

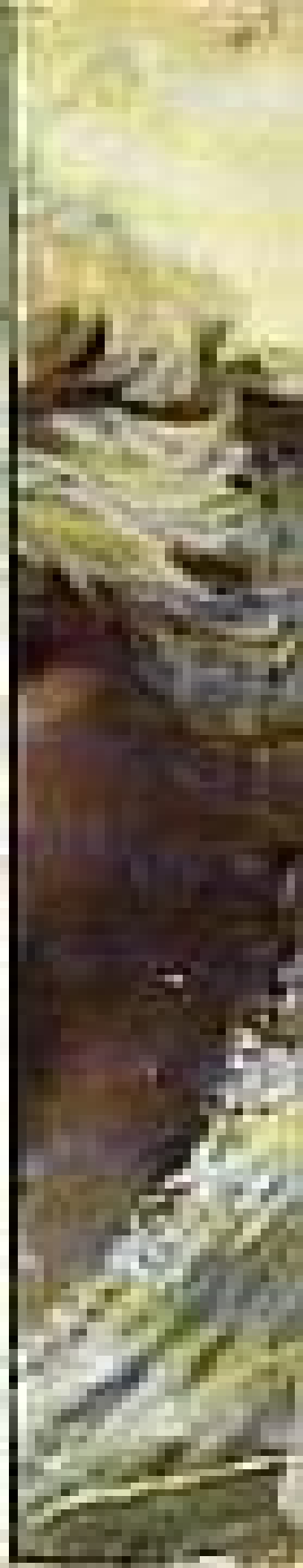
# JOAN AND WINGIE

FROM THE MIND OF THE AUTHOR OF  
"THE SECRET OF THE WINDMILL"  
AND "THE SECRET OF THE WINDMILL"

# GRANDDAD -ZOO-

FROM THE MIND OF THE AUTHOR OF  
"THE SECRET OF THE WINDMILL"  
AND "THE SECRET OF THE WINDMILL"

Illustrated by [unreadable]



**JOAN D. VINGE**

**KRÓLOWA ZIMY**

**(PRZEŁOŻYŁ: JANUSZ PULTYN)**

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)  
[43](#)  
[44](#)  
[45](#)  
[46](#)  
[47](#)  
[48](#)  
[49](#)  
[50](#)  
[51](#)  
[52](#)  
[53](#)  
[54](#)  
[55](#)  
[56](#)

*Dającej i odbierającej Pani.*

*"... ciasna jest brama i wąska droga, która prowadzi do żywota;  
i niewielu jest tych, którzy ją znajdą."*

Ewangelia wg św. Mateusza 7: 14

*"Będziecie mieć radość albo będziecie mieć siłę, rzekł bóg;  
nie będziecie mogli mieć i tego i tego."*

Ralph Waldo Emerson

# Prolog

Drzwi zamknęły się cicho za nimi, odcinając światło, muzykę i dzikie harce sali balowej. Nagła utrata obrazów i dźwięków wywołała w nim klaustrofobię. Zaciśnął dłoń na trzymanym pod płaszczem zestawie narzędzi.

W mroku rozległ się jej rozbawiony śmiech i ponownie rozbłysło światło, ukazując małą komnatę, w której stali. Nie byli sami. Wzdrygnął się, choć był na to przygotowany, choć już pięciokrotnie spotkało go to tej nie kończącej się nocy i zdarzy się jeszcze kilka razy. Teraz był to salon – bezkształtna kanapa przytłaczająca sobą gąszcz nóg ciemnych, obsypanych złotem mebli. Pomyślał przelotnie, że tej jednej nocy widział chyba więcej stylów i rodzajów smaku, aniżeli przez ostatnie czterdzieści lat spędzone na Kharemough.

Nie znajdował się jednak na Kharemough, lecz w Krwawniku, a choćby dożył stu lat, nigdy nie dozna nocy dziwniejszej od tej, świątecznej. Na kanapie, nieświadoma swego opuszczenia, leżała para, kobieta i mężczyzna. Oboje pogrążeni byli w głębokim śnie, wywołanym winem zaprawionym narkotykiem z leżącej na dywanie, na wpół opróżnionej butelki. Wpatrywał się w purpurową plamę, rozlewającą się na grubym kobiercu; usiłował jak najmniej – na ile mógł – zakłócać ich prywatność.

– Jesteś pewna, że i ta para była... bliska sobie?

– Zupełnie pewna. *Całkowicie*. – Zdjęła z ramion maskę z białych piór, odsłaniając kłębowisko niemal równie bladych włosów, wijących się jak węże nad żywą, dziewczęcą twarzą. Maską groteskowo kontrastowała ze słodyczą oblicza; haczykowaty, ostry dziób drapieżnego ptaka, wielkie czarne oczy nocnego łowcy, wpatrujące się w niego z – zawieszoną w równowadze – obietnicą życia i śmierci... *Nie*. W jej oczach nie dostrzegł kontrastu. Niczym się nie różniły.

– Wy, Kharemoughi, jesteście tacy obłudni – powiedziała, zrywając czepek z białych piór. – Straszni z was hipokryci. – Roześmiała się znowu, głosem pełnym zarówno światła, jak i mroku.

Z oporem ściągnął własną, prostsza maskę, przedstawiającą dziwaczne, fantastyczne zwierzę, na wpół rybę, na wpół wymyśloną istotę. Nie lubił zdradzać wyrazu swej twarzy.

Przyglądała mu się w bezlitosnym świetle z udawaną niewinnością.

– Doktorze, nie powie mi pan chyba, że nie lubi się przyglądać?

Z trudem przełknął zniewagę.

– Wasza Wysokość, jestem biochemikiem, a nie podglądaczem.

– Bzdura. – Na jej ustach pojawił się uśmiech zbyt stary, jak na taką twarz. – Wszyscy lekarze to podglądacze. Po co innego zostają doktorami? Nie licząc oczywiście sadystów, lubujących się w krwi i bólu.

Wolał nie odpowiadać, więc przeszedł obok niej po dywanie i postawił obok kanapy torbę z narzędziami. Za tymi ścianami dochodziło do szczytu bez troski, radosne świętowanie przez miasto Krwawnik cyklicznej wizyty Premiera. Nigdy nie sądził, iż spędzi tę noc z królową planety – a już na pewno, że na robieniu tego, co czyni.

Kobieta spała z twarzą zwróconą w jego stronę. Była młoda, średniego wzrostu, silna i zdrowa. Pod splątanymi jasnymi włosami widniała rozjaśniona lekkim uśmiechem twarz, mocno opalona przez słońce i wiatr. Resztę ciała miała bladą, podejrzewał, iż dobrze je chroni przed panującym za murami miasta przejmującym chłodem. Leżącego obok mężczyznę oceniał na niewiele ponad trzydzieści lat, miał ciemne włosy i jasną skórę, mógł pochodzić z tej lub innej planety, nie obchodziło go to teraz. Puste oczy ich świątecznych masek patrzyły z potępieniem, jak bezsilne bóstwa opiekuńcze, spoczywające na oparciu kanapy. Przetarł ramię kobiety środkiem odkażającym, by móc wstrzyknąć wskaźnik pod skórę. Miał nadzieję, iż ta prosta czynność przywróci mu pewność

siebie. Królowa przyglądała się bacznie, nic nie mówiąc, bo potrzebował ciszy.

Za zamkniętymi drzwiami nasilił się gwar; dochodziły go trochę niewyraźne, protestujące żarliwie głosy. Skulił się jak zwierzę w pułapce, oczekujące wykrycia.

– Proszę się nie obawiać, doktorze. – Królowa położyła mu na ramieniu lekką dłoń. – Moi ludzie dopilnują, by nam nie przeszkadzano.

– Jak, u diabła, dałem się na to namówić? – mruknął bardziej do siebie niż do niej. Wrócił do pracy, lecz ręce mu drżały.

– Dodatkowe dwadzieścia dwa lata młodości są bardzo przekonujące.

– Dużo mi z nich przyjdzie, jeśli spędzę je w kolonii karnej.

– Niech się pan weźmie w garść, doktorze. I tak nie uzyska pan dwudziestu dwóch lat, jeśli nie dokończy dzisiejszej pracy. Umowa wejdzie w życie tylko wówczas, gdy wśród Letniego ludu tej planety będę mieć przynajmniej jedno całkowicie normalne, sklonowane dziecko.

– Znam warunki. – Zakończył umieszczanie wskaźnika. – Mam jednak nadzieję, iż Wasza Wysokość rozumie, że w tych okolicznościach wszczepienie klonu jest nie tylko nielegalne, ale i bardzo ryzykowne. To trudny zabieg. Szansę uzyskania klonu będącego w miarę dokładną repliką pierwowzoru nie są zbyt wielkie nawet w warunkach ścisłej kontroli, nie mówiąc...

– W takim razie im więcej umieści pan dzisiaj wszczepów, tym będzie lepiej dla nas obojga. Zgadza się?

– Tak, Wasza Wysokość – potwierdził, czując do siebie pogardę. – Tak sędzę. – Ostrożnie przewrócił na plecy śpiącą kobietę i ponownie sięgnął do torby.

Na Tiamat jest więcej wód niż lądów, brak tu przeto wyraźnego horyzontu oddzielającego ocean od nieba; oba żywioły zlewają się z sobą. Woda spada na nie zjadliwymi szkwałami, wysysana z lśniącej powierzchni morza. Chmury przelatują jak uczucia po płomiennych obliczach Bliźniąt i stręcane przez nie rozpadają się na tęcze. Dziesiątki tęcz codziennie przestały już zachwycać, nikt nie przystaje, by je podziwiać, nikt się im nie przygląda...

– To wstyd – powiedziała nagle Moon, napierając mocno na wiosło sterowe.

– Co takiego? – zapytał jej kuzyn Sparks, uchylając się, gdy wypełniony wiatrem żagiel przerzucił mu bom nad głowę. Pływak łodzi zanurzył się jak latająca ryba. – To wstyd, że nie uważasz. Chcesz nas potopić?

Moon skrzywiła się, wyrwana z chwilowego nastroju.

– Och, sam się utop.

– Już mi niewiele brakuje, w tym kłopot. – Wskazał na wodę sięgającą do kostek ich wodoszczelnych butów ze skóry klee i chwycił za czerpak.

Ostatni szkwał porwał nie tylko koszyki z zapasami, ale i jego dobry humor, pomyślała. A może to tylko ze zmęczenia. Żeglowali już niemal miesiąc, posuwając się wolno wzdłuż wysepek Archipelagu Nawietrznego. Od wczoraj są już poza nim, poza zasięgiem znanych im map, kierując się przez przestwór otwartego oceanu w stronę leżących obok siebie trzech wysepek, sanktuarium Matki Morza. Ich łódź jest za mała na tak daleki rejs, a za jedynych przewodników mają gwiazdy i przybliżone mapy prądów morskich, zrobione ze splecionych patyków.

Byli jednak w równej mierze dziećmi Morza, jak i swych matek, Moon nie wątpiła też, iż Ona będzie dla nich łaskawa, wiedząc o świętym celu ich wyprawy.

Moon patrzyła na podskakującą głowę Sparksa na tle przebijającej się przez chmury ognistej tarczy jednego z podwójnych słońc Tiamat. Nagły blask rozpałił czerwienią jego włosy i rzadką, świeżo zapuszczoną brodę, rzucił na dno łodzi rozsmarowany cień jego szczupłego, muskularnego ciała. Westchnęła – nie potrafiła długo się gniewać, będąc w jego towarzystwie – i dotknęła łagodnie rudych, błyszczących warkoczy.

– Tęcze... mówiłam o tęczach. Nikt ich nie docenia. A gdyby ich zabrakło? – Odrzuciła kaptur cętkowanego wodoszczelnego kaftana i rozluźniła rzemyki pod szyją. Na plecy opadły jej warkocze białe jak mleko. Oczy miała barwy mgły i mchu. Patrzyła poprzez trójkątny żagiel, mrużąc oczy rozdzielała chmury od nieba, szukając łuków rozszczepionego światła, niksających w jednych miejscach, w innych podwajających się i mnożących.

Sparks wylał za burtę następną muszlę wody, nim uniósł głowę, podążając za jej wzrokiem. Pomijając nawet opaleniznę, jego skóra była za ciemna jak na wyspiarza. Tylko nad oczami o barwie zmiennej jak morze miał powieki i brwi niemal równie blade jak ona.

– Daj spokój. Tęcze będą zawsze, kuzyneczko. Póki nie zabraknie Bliźniąt i deszczu. To proste zjawisko dyfrakcji; pokazywałem ci...

Nie znosiła, gdy mówił jak tech, z tą nie zamierzoną arogancją.

– Wiem. Nie jestem głupia! – Ostro szarpnęła za miedziany warkocz.

– Au!

– Wolę jednak słuchać opowieści Babci, że to obietnica obfitości składana przez Panią, aniżeli pozbawiających je wszelkiego znaczenia gadek handlarza. Tak jak i twoich. Prawda, moje dziecko z gwiazd? Przyznaj się!

– Nie! – Odrzucił jej dłoń. – Nie śmieć się z tego, do licha! – Odwrócił się do niej plecami.



Widziała w duszy, jak do białości zaciskają się jego palce na krzyżu w kole; darze przekazany jego matce podczas ostatniego Święta przez pozaziemskiego ojca. – Matko Nas Wszystkich!

To jedno tkwiło między nimi jak ostrze – świadomość dziedzictwa, którego nie dzielił z nią ani z nikim innym im znanym. Byli Letniakami, rzadko stykali się z zamiłowanymi w techę, zadającymi się z nieziemcami Zimakami. Jednym z wyjątków były Święta, kiedy to do Krwawnika przybywali z całej planety wszyscy lubiący przygody i przyjemności. Nakładali tam maski, odrzucając różnice, by czcić okresowe wizyty Premiera i przestrzegać znacznie starszej tradycji.

Ich matki, będące siostrami, wybrały się do Krwawnika podczas ostatniego Święta i wróciły do Neith z, jak określiła to matka Moon, “żywymi pamiątkami magicznej nocy”. Ich dzieci przyszły na świat tego samego dnia, matka Sparksa zmarła przy porodzie. Gdy matka Moon wypływała z flotą rybacką, opiekowała się nimi babcia. Oboje wychowywali się razem, jak bliźnięta – dziwne, odmienne bliźnięta, dorastające pod poważnym, niespokojnym wzrokiem powściągliwych, prowincjonalnych wyspiarzy. Nigdy jednak nie miała dostępu do pewnej części Sparksa, nigdy nie dopuszczał jej do siebie, gdy wsłuchiwał się w gwiazdy. Potajemnie wymieniał się z wędrownymi handlarzami na techniczne błyskotki z innych planet, spędzał całe dni na ich rozbieraniu i składaniu, w końcu wyrzucał je do morza w napadzie pogardy do siebie, wraz z ofiarami błagalnymi, splecionymi z liśćmi.

Moon skrywała przed babcią jego techowe sekrety, z wdzięcznością, że ją do nich dopuszcza, lecz też z nie okazywaną niechęcią. Z tego co wiedziała, jej ojciec mógł być Zimakiem lub nawet nieziemcem, zadowalała ją jednak przyszłość pod własnym niebem, dlatego trudno jej było zachować cierpliwość wobec Sparksa, rozdartego pomiędzy dziedzictwem matki a dziedzictwem ojca, tkwiącym wśród gwiazd.

– Och, Sparks. – Pochyliła się i położyła chłodną dłoń na jego ramieniu, masując napięte mięśnie poprzez grube ubranie i sztormiak. – Nie chciałam, przepraszam – mruknęła, myśląc przy tym: *“Wolałabym wcale nie mieć ojca, niż spędzić całe życie z jego cieniem”*. – Nie martw się. Spójrz tam! – Za błyszczącymi w jego włosach rudymi skierkami tańczyły na oceanie błękitne. Nad falami Matki Morza wzbijały się i szybowały latające ryby, widziała już wyraźnie po zawietrznej najwyższą z trzech wysepek. Wygięta jak wąż kreska znaczyła w dali zetknięcie się morza i brzegu. – Miejsce wyboru! A tu... – mery! – W lęku i czci rzuciła im pocałunek.

Wokół nich wystawały z wody długie, giętkie, cętkowane szyje; hebanowe oczy przypatrywały się z nieodgadnioną wiedzą. Mery były dziećmi Morza, przynosiły szczęście żeglarzom. Ich obecność oznaczała, że Pani się uśmiecha.

Sparks spojrział na Moon z nagłym uśmiechem i chwycił ją za rękę.

– Prowadzą nas do... Ona wie, dlaczego przybywamy. Naprawdę dopłynęliśmy, wreszcie zostaniemy wybrani. – Z sakwy przy pasie wyjął zrobioną z muszli piszczalkę i wydobył z niej wesołe nuty. Głowy merów zaczęły się kołysać w rytm muzyki, wtórując jej niesamowitymi gwizdami i krzykami. Stare opowieści mówią, że rozpaczają po strasznej stracie i okropnej pomyłce, każda jednak podaje inną stratę i błąd.

Moon słuchała ich muzyki, nie uważając jej wcale za smutną. Coś ścisnęło ją nagle za gardło, nie pozwalając śpiewać; przypomniała sobie inny brzeg, odległy o połowę życia, na którym para dzieci podniosła marzenie leżące u stóp nieznajomej, jak rzadka, zwinięta muszla. Muzyka i pamięć niosły ją przez czas...

...Moon i Sparks biegli boso wzdłuż nierównych murków odgradzających płytkie zagrody w porcie, między ich wąskimi ramionami jak hamak zwisała sieć. Nieczułe, pokaleczone stopy uderzały w kocie łby ścieżki, nie zważając na ostre kamienie i bryzgi lodowatej wody. Klee w zagrodach,

zwykle leżące nieruchomo na porośniętym wodorostami dnie, wypływały z niezwykłym pośpiechem na powierzchnię, by śledzić przebiegające dzieci. Wytryskiwały pianę i chrząkały z głodu, lecz sieć była pusta, wypełniająca ją suszone wodorosty trafiły już do zagrody rodziny podczas południowego karmienia.

– Szybciej, Sparks! – Prowadząca jak zawsze Moon szarpnęła zwisającą między nimi sieć, wlokąc niższego kuzyna jak ładunek ryb. Odrzuciła z twarzy białe kosmyki włosów, patrząc na głęboki kanał, wdzierający się w ład daleko poza zagrody dla ryb. Posuwały się nim wysokie szczyty rozszczepionych żagli, tylko tyle widać było z floty rybackiej. – Nigdy nie dostaniemy się pierwsi do basenów! – Rozdrażniona szarpnęła mocniej.

– *Śpieszę się*, Moon. Jakby to przyplęwała *moja* matka! – Sparks pobiegł odrobinę prędzej, doganiając kuzynkę. – Jak myślisz, czy Babcia upiecze piernik?

Potknęła się przy skoku.

– Widziałam, jak wyjmowała garnek.

Biegli dalej po kamieniach ku błyszczącej plaży północnej i leżącej za nią wiosce. Moon przypomniała sobie śniadą, uśmiechniętą twarz matki, którą widziała ostatni raz przed trzema miesiącami. Szerokie, piaskowe warkocze piętrzyły się na jej głowie, skryte pod ciemną wełnianą czapką; gruby golf, sztormiak i ciężkie buty utrudniały odróżnienie jej od reszty załogi, gdy rzucała im ostatnie pocałunki, a łódź rybacka o podwójnym kadłubie wypływała w porannym wietrze.

Dziś wracała. Wraz z innymi rodzinami rybaków pójdą do świetlicy wioskowej, by tam ucztować i tańczyć. A potem, już w nocy, Moon skuli się na kolanach matki (choć robi się już na to za duża), ściskana mocno twardymi ramionami, patrzeć będzie na Sparksa, zasypiającego w objęciach babci. Z pieca dolatywać będą ciepłe podmuchy i szepty ognia, z włosów matki zapachy morza i statków. Babcia zacznie snuć hipnotyczną litanię do Morza, Matki ich wszystkich, zabierającego jej córkę.

Moon zeskoczyła na miękki, złotobrazowy piach plaży. Za nią dał susa Sparks, ich cienie spletały się w południowym blasku. Wpatrzona w skupisko kamiennych domów wioski i łodzie zrzucające w zatoce żagle, omal nie minęła nieznajomej, stojącej w oczekiwaniu. Omal...

Sparks wpadł na zatrzymującą się Moon.

– Uważaj, rybi mózdzku! – Wzbili nogami chmurę piasku.

Złapała go mocno, by utrzymać równowagę, powstrzymując oburzenie Sparksa wzmocnionym przez zdumienie chwytem. Wyrwał się i stanął, opadła sieć, zapomniana jak wioska, zatoka, powitanie. Moon skubała dół zrobionego w domu swetra, spletając palce z ciężką, rdzawoczerwoną przędzą.

Nieznajoma uśmiechała się do nich, jej rozjaśniona, owalna twarz, śniada od wiatru, wystawała nad starą szarą kurtką, grubymi portkami i niezgrabnymi butami noszonymi przez wyspiarzy. Nie była jednak ani z Neith, ani z żadnej innej wyspy...

– Czy... czy wyszłaś z Morza? – wydyszała Moon. Sparks stanął obok.

Kobieta wybuchnęła śmiechem, który rozbił jak szybę wrażenie niesamowitości.

– Nie... tylko je przebyłam, na statku.

– Czemu? Kim jesteś? – zapytali razem.

Odpowiadając im obojgu, kobieta wyciągnęła zawieszony na łańcuszku medalion – w drucianej koniczynie, jakby splecionej z haczyków do wędk, błyszczało ponurym, mrocznym pięknem gadzie oko.

– Czy wiecie, co to jest? – Opadła jednym kolanem na piasek, wyrzucając przed siebie czarne warkocze. Dzieci podeszły bliżej, by się przyjrzeć.

– Sybilla... ? – szepnęła nieśmiało Moon, widząc kątem oka, jak Sparks ściska swój medal. Potem patrzyła tylko na kobietę, wiedząc, dlaczego jej ciemne, zniewalające oczy zdają się otwierać na nieskończoność. Sybille były ziemskimi wyrazicielami nadprzyrodzonej mądrości, wybranymi przez samą Panią, potrafiącymi dzięki swemu charakterowi i wyszkoleniu wytrzymać trudy świętych odwiedzin.

Kobieta przytaknęła.

– Jestem Clavally Bluestone Letniak. – Przycisnęła dłonie do skroni. – Pytajcie, a odpowiem.

Milczały, oszołomione świadomością, że może odpowiedzieć na każde pytanie, jakie tylko przyjdzie im do głowy, że ustami Clavally odezwie się sama Pani, wprawiając sybille w trans.

– Żadnych pytań? – Porzuciła formalności, odpędzając je dobrym humorem. – Powiedzcie więc, kim jesteście, skoro wiecie już wszystko?

– Jestem Moon – powiedziała dziewczynka, odrzucając grzywkę. – Moon Dawntreader Letniak. To mój kuzyn, Sparks Dawntreader Letniak... wiem za mało, by pytać o cokolwiek! – dodała żałośnie.

– Ja zapytam. – Sparks podszedł bliżej, wyciągając medal. – Do czego to służyło?

– *Wprowadzenie...* – Clavally wzięła medal w ręce, krzywiąc się lekko i mrużąc. Jej oczy zmieniły się w zadymione kryształy, skakały dziko jak u śniącego, palce zaciskały się na krążku. – Znak Hegemonii: dwa krzyże w kręgu symbolizującym wież Kharemough z siedmioma podległymi mu planetami... medal otrzymany za chwalebłą służbę podczas powstania Kispah: "Czego inni szukali, ten osiągnął. Naszemu umiłowanemu synowi Temmonowi Ash wini Sirusowi, dnia 9:113:07". Sandhi, oficjalny język Kharemough i Hegemonii... *koniec analizy*. – Głowa jej opadła, pchana niewidzialną siłą. Osunęła się wolno na kolana, westchnęła i usiadła. – Już.

– Ale co to znaczył – Sparks spojrział na krążek bujający się nadal na jego kurtce. Minę miał niepewną.

Clavally pokręciła głową.

– Nie wiem. Pani mówi przeze mnie, a nie do mnie. To Przekaz – tak to już jest.

Sparksowi drżały usta.

– Hegemonia – wtrąciła się szybko Moon. – Co to jest, Clavally?

– Pozaziemcy! – Oczy Clavally rozszerzyły się lekko. – Sami nazywają się Hegemonią. A więc to jest z innej planety... Nigdy nie byłam w Krwawniku. – Znów spojrziała na medal. – Jak to się tu znalazło, tak daleko od portu gwiazdowego i Zimaków? – Popatrzyła na ich twarze. – Jesteście dziećmi radości, prawda? Wasze matki poszły razem na ostatnie Święto i miały szczęście wrócić z wami... i z tą pamiątką?

Sparks przytaknął, bojąc się tak samo logiki dorosłych, jak i transów zsyłanych przez Panią.

– Czyli... mój ojciec nie jest Letniakiem, a nawet nie z Tiamat?

– Tego nie potrafię powiedzieć – odparła Clavally wstając. Moon dostrzegła dziwną troskę, z jaką patrzyła na Sparksa. – Wiem jednak, że dzieci radości są szczególnie błogosławione. Czy wiecie, dlaczego tu jestem?

Pokręciły głowami.

– Czy wiecie, kim chcecie być po dorośnięciu?

– Chcemy być razem – odpowiedziała Moon bez namysłu.

Wywołało to znowu radosny śmiech.

– Dobrze! Wędruję po Nawietrznych, by zwracać się do wszystkich młodych Letniaków, którzy jeszcze nie ułożyli swego życia, przypominać im, że Morzu służyć można nie tylko będąc rybakiem czy rolnikiem, że jak ja mogą czcić Panią, służąc innym ludziom jako sybille. Niektórzy z nas rodzą

się ze specjalnym nasieniem w sobie, czekającym, aż dotknie go Pani, pobudzając do wzrostu. Gdy oboje dorośniecie, może usłyszycie Jej wezwanie i popłyniecie na miejsce wyboru.

– Och. – Moon lekko zadrżała. – Chyba słyszę je teraz! – Przycisnęła zimne dłonie do skaczącego serca, w którym kiełkowało nasienie marzenia.

– Ja też, ja też! – krzyczał niecierpliwie Sparks. – Czy możemy popłynąć teraz, razem z tobą, Clavally?

Nagły podmuch wiatru skłonił Clavally do naciągnięcia kaptura kurtki.

– Nie, jeszcze nie. Poczekajcie trochę, aż będziecie pewni wezwania.

– Jak długo?

– Miesiąc?

Położyła ręce na ich drobnych ramionach.

– Raczej kilka lat.

– Lat! – zaprotestowała Moon.

– Wtedy będziecie pewni, że to nie krzyk morskich ptaków słyszycie. Pamiętajcie jednak zawsze, to nie wy wybieriecie Panią, lecz Pani was. – Spojrzała znowu na Sparksa, niemal ostro.

– Zgoda. – To spojrzenie nie spodobało się Moon, śmiało wyprostowała ramię pod dłoń Clavally. – Zaczekamy. I zapamiętamy.

– A teraz – sybilla opuściła ręce – ktoś chyba na was czeka.

Czas zaczął znowu pędzić i pobiegli do wioski, często oglądając się za siebie.

– Moon, pamiętasz, co powiedziała nam na końcu? – Srebrne tony umilkły, gdy Sparks opuścił piszczałkę i przerwał wspomnienia Moon. Mery przestały śpiewać, patrząc na łódź.

– Clavally? – Moon kierowała pływak wokół cypla wbijającego się w wylot zatoki. Linia brzegowa Wyspy Wyboru była równie poszarpana, co znak noszony przez sybille. – To, że czeka na nas moja matka?

– Nie. To, że wybiera Pani, nikt inny. – Sparks spojrział na linię przyboju, potem znów na nią. – A jeśli... wybierze tylko jedno z nas? Co wtedy zrobimy?

– Wybierze nas oboje! – skrzywiła się Moon. – Jak mogłaby postąpić inaczej? Jesteśmy dziećmi radości – szczęściarzami.

– Ale jeśli nie? – Grzebał w mchu wypełniającym miejsce styku obu połówek drewnianego kadłuba. *Nierozrywalne...* Skrzywił się lekko. – Nikt nie zostaje sybillą tylko dlatego, że przejdzie próbę, prawda? Możemy sobie teraz przysiąc, że jeśli zostanie wybrane tylko jedno z nas, drugie się wycofa. Dla dobra wybranego.

– Dla dobra nas obojga – przytaknęła Moon. *Ale wybierze nas oboje.* Nigdy, od tej chwili sprzed wielu lat, nie wątpiła, że przybędzie tu i usłyszysz wezwanie Pani. Przez połowę życia było to pragnieniem jej serca, nie miała wątpliwości, że podobnie czuje Sparks, nie pozwalając, by beznadziejne marzenia o gwiazdach odciągnęły go od ich wspólnego celu.

Wyciągnęła ramiona i Sparks wszedł w nie ze smutkiem; złapali się za nadgarstki. Nim się spostrzegła, chwyt przeszedł w objęcie i jej obawy rozwiały się jak poranna mgła.

– Sparkie, kocham cię... bardziej niż wszystko pod niebem. – Pocałowała go, czując sól na wargach. – Niech Matka Morza zaświadczy, że masz me chętne serce, tylko ty, teraz i na zawsze.

Powtórzył te słowa, wyraźnie i dumnie, potem dopełnili ślubowania, pijąc morską wodę ze swych złączonych dłoni. – Po tym rejsie nikt nie powie, że jesteśmy za młodzi na przysięgi! – Po raz pierwszy ślubowali sobie miłość, gdy tylko potrafili wypowiedzieć te słowa, i wszyscy się śmiali. Dla nich były jednak prawdą i przez lata dzielili się wszystkim, łącznie z niepewnymi, tęsknymi dotknięciami ust, rąk i ciał...

Moon wspomniała kryjówkę wśród skał zawietrznej strony zatoki; ciepłe, stwardniałe dłonie kamieni otaczające ich drżące ciała, gdy leżeli splecieni miłośnie w jasne południe, a dalej na plaży szeptały fale. Jak wtedy, czuła teraz moc wiążącej ich razem potrzeby; wytwarzane przez nich ciepło, odganiające zimną samotność świata. Zjednoczenie dusz opanowujące ich w końcowej chwili – doznanie wysokości, pełni, jakich nie mogło dać im nic innego. Razem wkroczą w nowe życie, wreszcie będą należeć do ich świata równie w pełni, jak należą do siebie... Usta Sparksa musnęły jej ucho, przysunęła się i objęła go znowu. Porzucona łódź płynęła do brzegu.

\* \* \*

– Czy coś widzisz?! – zawołał Sparks. Po raz ostatni sprawdzał łódź spoczywającą pewnie na muszlach i resztkach wyrzuconych przez burzę poza zasięgiem przyływu. Wyrzeźbiony na dziobie rodzinny totem wpatrywał się w niego trojgiem namalowanych oczu. Trwał odpływ, lecz zdołał już odsłonić taki szmat mokrego piasku, że wleczenie czółna mocno ich wyczerpało. Wraz z nimi wyszedł na brzeg jeden z merów, pozwalając, by nieśmiało gładzili jego wilgotną, gładką, cętkowaną sierść. Nigdy dotąd nie dotykali żadnego. Ten był ich wielkości i dwukrotnie lżejszy.

– Jeszcze nie – tu! – dobiegł go głos Moon. Szaleńczo machała rękami. Szła obok mera brnącego przez plażę. – Przy strumieniu jest ścieżka. To o niej musiał opowiadać dziadek!

Ruszył przez zasłaną śmieciami pochyłość plaży ku ujściu potoku, a pod nogami trzeszczały mu porzucone muszle. Koryto strumienia przecinało szeroką wstęgę czerwonej soli na glinie, barwiąc ją swym zielonym jak mech nurtem. Nad brzegiem stała Moon, gotowa do wspinaczki na wzgórze.

– Pójdziemy w górę strumienia?

Przytaknęła, śledząc wzrokiem stromo wznoszący się niebieskozielony łąd. Jeszcze wyżej sterczały nagie, poszarpane szczyty z czerwonych skał. W niezmiernej skali czasu Morza te wyspy są młode; ich nie przygięte przez wiek grzbiety nadal drapią niebo.

– Zapowiada się wspinaczka. – Wcisnął niepewnie dłonie w kieszenie.

– No. – Moon patrzyła na mera wracającego plażą. Na dłoni czuła jeszcze dotyk jego gęstej sierści. – Dziś zatańczymy na wantach. – Spojrzała na Sparksa, uświadamiając sobie nagle, co oznacza ich obecność tutaj. – No, idziemy – stwierdziła niemal niecierpliwie. – Najtrudniejszy jest pierwszy krok. – Zrobili go razem.

Nie oni pierwsi tu idą, pomyślała Moon podczas wspinaczki... ilu było innych? Odpowiedź wyryta była na zboczu, gdzie przejście wielu stóp zdarło puszysty pumeks wulkaniczny, tak iż niekiedy posuwali się wąską ścieżką, zagłębieni w nim po kolana. A ilu wspięto się tylko po to, by uzyskać odmowę? Moon szybko zmówiła modlitwę, patrząc na ścieżkę, która była teraz wąską półką wznoszącą się na wysokość kostek ponad wąwóz porośnięty paprociami i nieprzebytymi zaroślami. Gdy umilkł wiatr, zapadła wokół całkowita cisza, nie widziała żadnej istoty większej od żuka. Raz tylko zdawało się jej, że słyszy w oddali krzyk ptaka... Dziesiątki metrów niżej migotał strumień, a z lewej strony wznosiła się równie wysoka, pokryta zielenią ściana. Choć przywykła do ostrożnych stąpań żeglarzy i wąskich ścieżek między zagrodami dla ryb, tu kręciło się jej w głowie.

Sparks złapał się wystającego krzaka, który ocierał mu twarz.

– To nie dla załamujących się łatwo – powiedział głośno, choć właściwie zamierzał zachować tę uwagę dla siebie.

– Przypuszczalnie o to chodzi – wymamrotała i wytarła twarz rękawem.

– Myślisz, że to próba? – Przyciskali się do nierównej, zniszczonej skały.

– Pani! – Na poły wezwanie, na poły przekleństwo. – Mam dosyć!

– Długo to się jeszcze ciągnie? A jeśli się ściemni?

– Nie wiem... Tam dolina się zamyka.

– Mówiłaś chyba, że dziadek zrobił to, gdy był młody? Myślałem, że wiesz.

Moon odetchnęła głęboko.

– Dziadek powiedział mi, że się załamał i zawrócił. Nigdy nie znalazł jaskini.

– Tego mi nie mówiłaś! – zaczął się śmiać. – I tak spodziewałem się czegoś innego.

W dole strumień robił pętlę, po dojściu do następnego zakrętu półka rozszerzyła się, a wraz z nią ścieżka. W tej odciętej od morskich wichrów dolinie żar słońca odbijał się od nagranych skał. Moon ściągnęła w marszu ciężką kurtkę. Sparks już wcześniej niósł ją narzuconą na ramiona. Wietrzyk przyciskał jej do piersi przepoconą lnianą koszulę. Rozpięta ją aż do pasa i podrapała się, mówiąc:

– Jest mi gorąco, wiesz? Naprawdę gorąco! Co robią ludzie, gdy jest im za ciepło? Można zawsze nałożyć więcej ubrań, lecz zdjąć tylko tyle, ile się ma. – Odpięta od pasa bukłak i napiła się wody. Gdzieś w dali słyszała plusk, lecz pomyślała jedynie o skwierczącym w kociołku tłuszczu.

– Pewnie nie powinniśmy się tym martwić. – Sparks wzruszył ramionami, dobrodusznie ironizując. – Do pełni lata jeszcze daleko. Prawdopodobnie umrzemy przed jego upałami. – Poślizgnął się i opadł z jękiem na kolano. – Może jeszcze wcześniej.

– Śmieszne. – Pomogła mu wstać, jej także nogi ciążyły jak kamienie. – Już widać Letnią Gwiazdę. Od paru dni patrzę na nią przez palce... Och – szepnęła. Otarła rozpaloną twarz wierzchem dłoni.

Sparks wymijał wybrzuszenie ściany. Przed ostatnim zakrętem szlaku słyszany przez nich szum przeszedł w ryk wody spadającej w przepaść, rozdieranej przez skały, składającej ciągle siebie samą w śmiertelnej ofierze. Przy wodospadzie kończyła się ścieżka.

Stali, zadyszani, oszołomieni kakofonią dźwięków i wodnego pyłu.

– To nie może być koniec! – Sparks wskazał na spadający strumień. – Jesteśmy na pewno na właściwej ścieżce. Gdzie dalej?

– Tu! – Moon przycupnęła, wyglądając za zasłonę wody, z głowy opadały jej mokre, luźne pasma włosów. – W skale są uchwyty. – Wstała i odrzuciła włosy na plecy. – To nie jest... – Pokręciła głową i umilkła na widok jego zagniewanej twarzy.

– Co to ma znaczyć?! – Sparks krzyknął w głąb doliny. – Jakich jeszcze prób żądasz? Czy mamy się pozabijać?

– Nie! – Moon pociągnęła go za rękę, w swym zmęczeniu czuła jego gniew, jak piach ciągle sypany pod nogi. – Chce, byśmy byli pewni. I jesteśmy. – Znowu się pochyliła, ściągnęła buty i opuściła nogi poza krawędź przepaści.

Zaczęła schodzić w dół, jej zmysły wypełniały się rykiem i bryzgami, pozwalając jej przytłoczyć strach. Widząc za sobą rozpoczynającego zejście Sparksa, zaczęła powtarzać, że przed nią schodzili tędy niezliczeni ludzie, przez niezliczone lata... (stopa ślizgająca się po mokrej skale)... ona też zdoła... (jeszcze jeden krok! zacisnęła palce na krawędzi skały)... to mokre zejście nie jest trudniejsze od wspinaczki po wantach, jakich dokonywała swobodnie niezliczoną ilość razy... (jeszcze jeden)...zawsze ufaj Matce Morza, stawiając pewnie dłonie i stopy... (skurcz palców; przygryzła wargi)... skupiła się na wierze w Panią, w siebie; bo jeśli zwątpi w którąś... (macała stopą po mokrej, śliskiej ścianie, nie znajdując żadnej szczeliny, żadnego występu, żadnego...)

– Sparks! – podniosła głos. – To się kończy!

– ... *półka*...! – Usłyszała to słowo, zagłuszone przez ryk wody i własny strach; złapała się go kurczowo, równie mocno przyciskając się do urwiska. – *Na prawo!* – Rzuciła się w tę stronę i

otworzyła oczy, gdy tylko trafiła nogą na kamienny występ. Mrugając gorączkowo, dostrzegła, że ginie za padającą wodą. Ruszyła tam i szybkim skrzętem ciała przebiła wodną zaporę, lądując w szczelinie. Gdy nadszedł Sparks, wyciągnęła rękę, by pomóc mu przejść.

– Dzięki. – Trząśł się cały, drżały mu sztywne palce.

– To ja dziękuję. – Odetchnęła głęboko. Razem weszli głębiej w szczelinę, widząc teraz, gdy oczy przywykły im już do zielonych plamek światła, że sięgała daleko w zbocze doliny.

– To tam, to musi być tam! Jesteśmy tu, w miejscu wyboru...

Stanęli znowu, instynktownie chwytając się za ręce. Czekali bez tchu. Słyszeli tylko głos wodospadu. Czuli tylko przypadkowo dolatujące bryzgi.

– Dalej – pociągnął ją Sparks – chodźmy dalej.

Cienie szczeliny sięgały wysoko nad ich głowy, przypominając Moon złożone do modlitwy dłonie. Idący jej krętym szlakiem Sparks zderzył się nagle z ostrym głazem.

– Wiedziałem, że powinniśmy byli wziąć z sobą świece.

– Nie jest ciemno. – Moon spojrzała na niego ze zdziwieniem. – To dziwne, jak światło staje się coraz bardziej zielone...

– O czym mówisz? Jesteśmy jak w grobie, nawet ciebie nie widzę!

– Przestań. – Zaczął opanowywać ją lęk. – Tu nie jest ciemno, otwórz tylko oczy. Dalej, Sparkie! – Pociągnęła go za ramię. – Nie czujesz tego? Jak muzyka...

– Nie. To miejsce wywołuje u mnie gęsią skórę.

– Chodź! – Szarpnęła mocniej, z wysiłkiem.

– Nie, zaczekaj... – Zrobił kilka kroków, jeszcze kilka.

Muzyka wypełniała ją teraz, biorąc początek z głowy i rozchodząc się po całym ciele w rytmie krwi. Otulała ją jak jedwab, smakując jak ambrozja i zalewając zielonym światłem morza.

– Nie czujesz tego?

– Moon – Sparks jęknął, gdy wpadł w mroku na następną skałę. – Przestań, Moon! To nie pomoże. Nic nie widzę, nic nie słyszę... Odpadam, Moon – powiedział drżącym głosem.

– Nie, to nieprawda! Nie możesz. – Zmieszała się, widząc prawdę w jego oczach, wpatrzonych w dal jak u ślepego, niepewność na twarzy. – Och, nie możesz...

– Nie mogę oddychać, jestem jak w smole. Musimy zawrócić, nim będzie za późno. – Zaciśnięła dłoń na jej ręce, przyciągając do siebie, odrywając od muzyki i światła.

– Nie. – Wolną ręką próbowała zwolnić jego chwyt. – Wracaj beze mnie.

– Moon, obiecałaś! Obiecaliśmy, musisz wracać.

– Nie wróć! – Wyrwała się, zobaczyła, jak zaskoczony, urażony chłopak cofa się niepewnie. – Sparks, przykro mi...

– Moon...

– Przykro mi... – Odwróciła się, wpadając w objęcia muzyki. – Muszę! Nie mogę teraz stanąć, nie mogę ci pomóc, to jest zbyt piękne. Chodź ze mną! Spróbuj, proszę cię! – mówiła, odchodząc coraz dalej.

– Obiecałaś. Wracaj, Moon!

Odwróciła się i pobiegła, jego głos zagłuszyła pieśń rozdartego pragnieniem serca.

Biegła, aż szczelina znów się rozszerzyła, otoczyła ją nienaturalną przestrzenią, oświetloną przez całkiem zwykły płomień lampy oliwnej. Wyszedłszy z mroku na złoty blask, przetarła oczy. Gdy odzyskała wzrok, gdy umilkła wiążąca ją lśniąca pieśń, bez zdziwienia ujrziała czekającą Clavally i kogoś obcego... Clavally, której uśmiechu nigdy nie zdoła zapomnieć, choćby minęły lata, a nawet całe życie.

- Jesteś, Moon! Przyszłaś!
- Pamiętałam. – Kiwnęła głową, promieniując radością wybranych i ocierając łzy.



Miasto Krwawnik leży nad morzem jak wielka spiralna muszla wyrzucona na piasek, daleko na północnym wybrzeżu największej wyspy Tiamat. Oddycha nieznużenie głębokimi rytмами przyływów, jego pradawny kształt zdaje się należeć do brzegu oceanu; jakby zrodziło je łono Matki Morza. Zwą je Miastem Pali, bo wznosi się na słupach nad skrajem wody; przepastne podbrzusze służy bezpieczną przystanią dla statków, chroniących się tam przed szaleństwami oceanu i pogody. Jest nazywane Portem Gwiezdnym, bo stanowi ośrodek handlu międzyplanetarnego; choć prawdziwy kosmoport leży w głębi lądu, a mieszkańcom Tiamat nie wolno wkraczać na jego teren. Jest nazywane Krwawnikiem, bo zależnie od punktu widzenia jest zarówno klejnotem, jak i raną.

Podobieństwo do wyrzuconego na brzeg morskiego stworzenia jest mylące. Krwawnik roi się od życia w jego wszystkich – a przynajmniej licznych – formach, ludzkich i nieludzkich. Najniższe poziomy, otwierające się na morze, zasiedlają robotnicy, marynarze i przybysze z wysp. Nad nimi wznosi się Labirynt, gdzie mieszanina techów i nietechów, miejscowych i pozaziemców, ludzi i obcych pobudza atmosferę rozedrganej twórczości i twórczego występku. Szlachta Zimaków śmieje się tam, spiera i rozrzuca pieniądze, wypróbując obce rodzaje pobudzania wspólnie z dostarczającymi je handlarzami z innych planet. Potem wraca na swoje poziomy, leżące wyżej, i składa hołd Królowej Śniegu, widzącej i wiedzącej wszystko, kierującej prądami wpływów i mocy, krążącymi jak woda muszlowymi zwojami miasta. Trudno im uwierzyć, że obraz trwający już niemal półtora wieku, kontrolowany przez tą samą rękę, nie będzie trwał wiecznie.

– ...nic nie trwa wiecznie!

Arienrhod stała cicho, samotnie podsluchując głosy płynące z głośnika skrytego w rzeźbionej podstawie lustra. Zwierciadło było jednocześnie ekranem, lecz teraz wygaszonym, ukazującym jedynie jej twarz. Niewidoczni szlachcice rozmawiali o pękniętych strunach selyxu, a nie o przyszłości, choć to także było możliwe, ponieważ pierwsze zjawisko wiązało się ostatecznie z kresem drugiego, a jej umysł zaprzątnięty był przyszłością, czy raczej jej brakiem.

Stała przy ścianie, będącej w tej komnacie oknem wychodzącym na iglicę dachu zakończoną gwiazdą. Znajdowała się na szczycie świata, bo była Królową Śniegu, tkwiącą w swym sanktuarium na wierzchołku miasta. Mogła stąd widzieć jego pofałdowane boki, zbocza góry odrywającej się od lądu lub nakrapiane białymi falami stalowoszare morze. Albo też, tak jak teraz, patrzeć na niebo, będące w nocy jaśniejącym paleniskiem, podsycanym pięćdziesięcioma tysiącami gwiazd ze skupiska, do którego ten błakający się układ zawędrował przed eonami. Przypominające płonący śnieg gwiazdy nie robiły na niej wrażenia, nie były w stanie, po tylu latach nie mogła sobie przypomnieć ich nazw. Jedna tylko, nieznaczną i schowaną wśród innych, wzbudzała w niej uczucie mroczniejsze od zdziwienia. Letnia Gwiazda, oznaczająca swym blaskiem zbliżanie się do Czarnych Wrót, które to pochwyciły wędrujące Bliźnięta i uczyniły je swymi wiecznymi więźniami.

Pozaziemcy nazywali Czarne Wrota wirującą czarną dziurą. Jednym z sekretów, jakich nie chcieli zdradzić jej ludowi, był sposób wykorzystywania takich bram do podróży w inną rzeczywistość, podróży szybszych niż światło. Sama wiedziała tylko, że przez Wrota można się dostać do siedmiu innych zamieszkałych planet, niektórych tak odległych, że nie mogła nawet zrozumieć jednostek miar. Kontaktowały się ze sobą i z niezliczonymi światami nie zamieszkałymi, bo Czarne Wrota wpuszczały statki kosmiczne w rejony, gdzie przestrzeń zwijała się w strunę i splatała, tak iż dalekie stawało się bliskim, a czas tworzył pętle.

Wszystkie one podlegały władzy Hegemonii Kharemough. Miały autonomię – uśmiechnęła się lekko – dzięki relatywistycznym opóźnieniom czasu, osiągalnym dla statków podczas przechodzenia

przez Wrota. Była jednak lojalnym wasalem Hegemonii, bo inaczej klany Zimaków utraciłyby dostęp do pozaziemskiej techniki, dającej im szacunek, cel życia i przyjemności... dzięki której stali wyżej od Letniaków, przesądnych hodowców ryb, przesiąkniętych wodorostami i tradycją.

W zamian Tiamat ofiarowywał przybyszom z innych planet przystań i port, miejsce odpoczynku i spotkań uprzyjemniających długie przeloty pomiędzy innymi planetami Hegemonii. Było to niezwykle skrzyżowanie szlaków, bo tylko ono krążyło wokół Wrót. Orbita była wprawdzie długa, krótsza jednak i łatwiejsza do pokonania niż z każdego innego świata.

Arienrhod odwróciła się plecami do gwiazd i przeszła znowu cicho do zwierciadła po miękkim, sztucznym kobiercu o pastelowych barwach. Porównywała swój wygląd z tą samą porcelanową maską bez wyrazu, z jaką przyjmowała przedstawicieli pozaziemskich kupców lub delegacje szlachty, kiedy to ukazywała im wysmakowane układy mlecznobiałych włosów pod śnieżnymi gwiazdkami diademu i nieskazitelną przejrzystość cery. Poglądziła dłonią policzek, ozdobioną klejnotami szyję i lśniący jedwab koszuli gestem niemal pieśczości. Czuła siłę i młodość ciała, równie doskonałego jak przed stu pięćdziesięciu laty, w dniu swej koronacji. A może? Skrzywiła się lekko, przyglądając się bliżej twarzy. Tak... Jej oczy barwy mgły i mchu lśniły zadowoleniem.

Był jeszcze jeden powód przybywania pozaziemców na Tiamat z bogatymi darami – trzymała w ręku klucz do długiego życia bez starzenia się. Morza planety były fontanną młodości, z której mogli pić najbogatsi i najpotężniejsi, a ona osobiście kontrolowała jej źródło – rzeź merów. Ona z wyrachowaniem decydowała, który pozaziemski kupiec lub urzędnik najlepiej przysłuży się interesom Zimaków w zamian za ten wyjątkowy towar... to jej niezwykle przypadkowe kaprysy nadawały faworyzowanym szlachcom prawo do eksploatacji obszarów morza, czyli do cennych fiolek srebrnego płynu. Powiadano, że o tym, jak blisko łask Królowej jest szlachcic, świadczy jego młodość.

*Nic jednak nie trwa wiecznie. Nawet wieczna młodość.* Arienrhod znów się skrzywiła, w jej dłoni mignął złocony rozpylacz. Podniosła go, otworzyła usta i wciągnęła ciężką, srebrną mgielkę. Zamroziła jej gardło, rozwodniła oczy. Westchnęła z ulgą, wyobrażając sobie skutki. Całkowite zachowanie młodości wymagało codziennego zażywania "wody życia", jak nazywali ją pozaziemcy. Bawiło ją to określenie, chociażby swą hipokryzją. To nie była woda, lecz wyciąg z krwi miejscowego stworzenia morskiego, mera, mający tyle samo wspólnego ze śmiercią – śmiercią merów – co i z długim życiem ludzi. Każdy użytkownik wiedział o tym równie dobrze jak ona. Czym jednak jest życie zwierzęcia w porównaniu z możliwością wiecznej młodości?

Jak dotąd nie udały się próby odtworzenia wyciągu pełnego dobroczynnych wirusów, które zwiększały zdolność ciała do odnawiania się bez błędów genetycznych. Wirus ginął wkrótce po opuszczeniu ciała swego pierwotnego żywiciela, bez względu na warunki przechowywania. Równie ograniczone było jego pół-życie wewnątrz innych stworzeń ssakopodobnych, dlatego konieczne były stałe dostawy. A to oznaczało bogactwo trwające tak długo, jak długo trwać będzie panowanie Zimaków.

Letnia Gwiazda była już jednak widoczna na dziennym niebie, trwała wiosna, zbliżała się Zmiana, nawet Letniacy już o tym wiedzieli. Dla planety nadchodziła nareszcie pora pełni lata, kiedy to niezwykle napięcia wywołane zbliżaniem się czarnej dziury spowodują podsycenie energii Bliźniąt i na Tiamat stanie się nieznośnie gorąco. Letniacy zostaną zmuszeni do opuszczenia leżących wokół równika wysp i wędrówki na północ. Ich napływ na ziemię Zimaków zakłóci dotychczasowe układy.

To tylko część wielkich przemian, jakich dozna jej lud. Zbliżanie się Bliźniąt do czarnej dziury uczyni z Tiamat planetę straconą dla Hegemonii... Znów wyjrzała przez okno na gwiazdy.

Podejście Bliźniąt do Czarnych Wrót, których rozrywany jeniec, Letnia Gwiazda, zajaśnieje na niebie Tiamat, wpłynie na ich stabilność. Przeloty z Tiamat na inne światy Hegemonii przestaną być proste i pewne. Planeta straci funkcję miejsca spotkań i postoju dla podróżników Hegemonii, urwie się odpływ wody życia i przyływ technologii. Tiamat był światem zamkniętym, Hegemonia nie pozwalała na rozwój techniki miejscowej, a bez podstawowej wiedzy o wytwarzaniu sprowadzanych towarów cała maszyna społeczeństwa Zimaków ulegnie szybkiemu, nieuniknionemu zepsuciu. Nawet bez napływających na północ Letniaków, popędzanych Zmianą, przestałby istnieć znany jej świat. Odrzucała samą myśl o życiu w takim świecie. Wtedy jednak przestanie to być jej troską.

*Mówią, że śmierć jest ostatecznym doznaniem zmysłów.*

W pustym pokoju zabrzmiał jej śmiech. Tak, może się teraz śmiać ze śmierci, choć ociągała się sto pięćdziesiąt lat przed złożeniem jej zapłaty. Wkrótce upomni się o swoje, a królowa zapłaci Letniakom na następnym, ostatnim Świącie, bo taka jest kolej rzeczy. Ale to ona będzie śmiać się na koniec. Na poprzednim Świącie, przed pokoleniem, zasiała między niczego się nie spodziewającymi Letniakami dziewięć ziaren własnego zmartwychwstania; dziewięć klonów siebie, które oni wychowają i uznają za swoje, których nauczą swych zwyczajów, a które, będąc dziećmi o jej umyśle, zdołają nimi pokierować, gdy nadejdzie pora.

Śledziła dorastające dzieci, wierząc niezłomnie, że wśród nich będzie choć jedno dokładnie takie jak ona... i było. Tylko jedno. Pesymizm pozaziemskiego lekarza sprzed niemal dwudziestu lat o mało się nie spełnił. Trzy klony zostały stracone w poronieniach, inne urodziły się z wadami fizycznymi albo dorastały upośledzone umysłowo bądź uczuciowo. Tylko jedno dziecko było, według raportów, doskonałe pod każdym względem... i uczyni z niego Królową Lata.

Schyliła się i podniosła spod stolika małą, ozdobną kostkę obrazową. Wewnątrz widniało zdjęcie jej samej jako dziewczynki. Obracała kostką, patrzyła, jak zmienia się śmiejąca trójwymiarowa twarz. Śledzący dziecko kupiec zrobił dla niej ten hologram. Spoglądając na niego, czuła, jak rodzą się w niej dziwne, niespodziewane uczucia. Czasami tęskniła za zobaczeniem nie tylko zdjęcia dziecka... za dotknięciem go, objęciem, przyglądaniem się jego zabawom, dorastaniu, dojrzewaniu i uczeniu się; widzeniem siebie, jaką musiała kiedyś być, tak dawno temu, że już tego nie pamiętała.

Ale nie. Spójrz na to dziecko, odziane w brzydkie, podarte szaty i tłuste skóry ryb, prawdopodobnie wyjadające coś palcami z garnka w jakiejś ciasnej, kamiennej norze. Jak może patrzeć na taką siebie – patrzeć na mikrokosmos, w jaki za parę lat skurczy się ten świat, gdy znowu porzucą go pozaziemscy handlarze? Może jednak nie stanie się tak, przynajmniej nie do końca, jeśli zdoła przeprowadzić swój plan. Baczniej przyjrzała się twarzy na hologramie, tak bardzo podobnej do jej własnej. Patrząc z bliska, dostrzegła, że trochę się różni, że czegoś jej brak.

Doświadczenia, tylko tego brakowało. Wyrafinowania. Wkrótce zdoła sprowadzić tu dziewczynę, wyjaśni jej wszystko, pokaże, czego się po niej spodziewa. A ponieważ będzie tłumaczyć sobie, dziewczyna wszystko zrozumie. Nie można dopuścić do utraty tej odrobiny wiedzy technicznej, na jaką pozwalają pozaziemcy. Tym razem lud Tiamat musi ją zachować i hołubić; spróbować przynajmniej przywitać powracających pozaziemców jako ludzie stojący trochę wyżej nad poziom barbarzyństwa...

Gwałtownie podeszła do lustra i dotykając perły w jego podstawie, odesłała w niebyt nie kończące się dworskie banały. Głośnym poleceniem zmieniła mikrofon i rozjaśniła ekran, ukazujący obraz z innego ukrytego oka. Skrytość i niezawodność mechanicznych szpiegów oraz czysta przyjemność płynąca z ich używania skłoniły ją do stworzenia rozbudowanej sieci obejmującej wszystkie poziomy miasta. Wszechwiedza i koncesje stanowiły kwiat i cierń tego samego pnąca,

które czerpiąc z jednego korzenia, spełniały różne funkcje.

Patrzyła teraz na Starbucka; widziała, jak chodzi niecierpliwie we wnętrzu zwierciadła. Ruch napinał i rozluźniał jego mięśnie pod ciemną skórą pozaziemca. Był potężnym mężczyzną, zdawał się rozsadać swym wzrostem ograniczenia niewielkiej komnaty. Niemal nagi, czekał, aż do niego przyjdzie. Patrzyła ze szczerym podziwem, przez myśli przelatywał jej kalejdoskop chwil namiętności, zapomniiała na chwilę, że zaczyna ją nudzić, jak wszystko inne. Usłyszała, jak mruczy jakieś bluźnierstwa, i zdecydowała, że dość się już naczekał.

Wśród rozlicznych cech Starbucka nie było cierpliwości, a świadomość, iż Arienrhod o tym wie i używa przeciwko niemu, nie poprawiała mu humoru. Wyznaczane przez nią pory wyczekiwania mógłby spędzać na rozważaniu cienkiej linii dzielącej miłość od nienawiści, lecz takie rozmyślenia były mu raczej obce. Zaklął znowu, tym razem głośniejszym, domyślając się, że jest obserwowany, i pragnąc ją rozbawić. Zadowolanie jej, pod każdym względem, stanowiło jego główne zadanie, jak i wszystkich poprzednich Starbucków. Ze swoim umysłem mógłby zostać intelektualistą, przeważały jednak skłonności handlarza niewolników i całkowity brak moralności. Cechy te, w połączeniu z siłą fizyczną, wyzwoliły młodzieńca zwanego Herne od pozbawionego przyszłości życia na macierzystej planecie Kharemough i zapewniły błyskotliwą karierę w handlu ludźmi i innymi przynoszącymi zysk towarami. Wszystko to pasowało idealnie do obecnego życia jako Starbucka.

– Kim jest Starbuck? – postawił to retoryczne pytanie lustrzanej butelce, stojącej na szafce przy łóżku, roześmiał się nagle i nalał sobie miejscowego wina. (Bogowie! co też cenią sobie te śmierdzące, zacofane światy. Niemal splunął. Do czego można się przyzwyczaić...) Nawet teraz wracał niekiedy do swej starej osobowości, upijając się i grając z przypadkowymi przybyszami z innych planet, próbującymi rozrywek Labiryntu. I czasem patrzyli na niego wyblakłymi oczami, zadając to samo pytanie: Kim jest Starbuck?

Mógłby im odpowiedzieć, że Starbuck jest zdrajcą, pozaziemskim doradcą Królowej tej planety, stawiającym wyżej jej interesy niż Hegemonii. Mógłby odpowiedzieć, że Starbuck jest łowcą, zbierającym swe obce Psy i prowadzącym je na rozkazy Królowej na ponure żniwa merów. Mógłby im odpowiedzieć, że Starbuck jest kochankiem Królowej i będzie nim, póki jakiś szybszy, sprytniejszy konkurent nie pokona go i nie zostanie następnym Starbuckiem. Królowa, uważana tradycyjnie za wcielenie Matki Morza, miała tylu kochanków, co ocean wysp. Wszystko to było prawdą, jak i kilka jeszcze rzeczy. Mógłby im nawet powiedzieć, że to on jest Starbuckiem, wkradającym się w zaufanie kupców, by wzmocnić pozycję Królowej podczas negocjacji – przyjęliby to śmiechem, jak i on, bo Starbuckiem mógł być każdy z nich albo żaden. Wiadomo było tylko, że musi być pozaziemcem. I że musi być najlepszy. Anonimowości Starbucka strzegł obyczaj i prawo; istniał ponad i poza wszelką władzą, karać go mogła jedynie Królowa.

Starbuck odwrócił się, patrząc ponad brzegiem pucharu na ubrania leżące bezładnie na półce, ciągnącej się wzdłuż wykładanej zwierciadłami ściany, przy lustrzanych drzwiach. Przyjrzał się czarnym jedwabiom i skórze oficjalnego stroju dworskiego, tradycyjnemu rogatemu hełmowi, maskującemu jego prawdziwy wygląd, nie pozwalającemu odróżnić Herne'a od dziesiątków jego bezwzględnych i żądnych władzy poprzedników. Hełm wieńczyły zakrzywione stalowe kolce, przypominające czułki żuka jelonka – prastary symbol najbardziej bezkarnej władzy, jaką można sobie wymarzyć; a przynajmniej tak sądził, zakładając go po raz pierwszy. Dopiero później zrozumiał, że tak on sam, jak i prawdziwa władza należy do kobiety.

Usiadł nagle, odrzucając przykrycia długiego łoża, i patrzył na ciągnące się w nieskończoność odbicia swej twarzy. *Czy widzi resztę swego życia?* Skrzywił się, odpędzając ten obraz, rozgarnął

dłonią gęste czarne kędziory. Był Starbuckiem od ponad dziesięciu lat i postanowił zostać nim... aż do Zmiany. Miał władzę i lubił ją, nie dbając, czym się to skończy, ani nie przejmując się prawdziwym źródłem potęgi.

*Nie przejmując się?* Spojrzał na wielką moc swych ramion, ciało nadal twarde i młode dzięki przywilejom. I rzezi merów... Nie, to nic nie znaczy, jest celem prowadzącym do jeszcze większego celu. Co innego źródło. Liczy się Arienrhod. Miała wszystko, czym można nim powodować – piękno, bogactwo, absolutną władzę... wieczną młodość. Od pierwszego ujrzenia jej podczas audiencji w pałacu, z poprzednim Starbuckiem przy boku, wiedział, że zabije, by ją osiąść, by ona go posiadała. Wyobraził sobie jej ciało wijące się pod nim, ślubny welon na jej włosach, czerwony klejnot jej gorzkich ust... smakujących władzą, przywilejami i wcieloną namiętnością.

Dlatego wcale nie wydało mu się niestosowne upaść bez namysłu na kolana przy łożu, gdy otworzyły się drzwi i jego wizja oblekła się w ciało.

– ...*Nadszedł czas Zmiany! Letnia Gwiazda wskazuje nam drogę zbawienia...*

O szarym świcie Moon stanęła na nabrzeżu, drżąc z zimna wywołanego chłodną mgłą i własnym nieszczęściem. Wstrzymywane aż do bólu oddechy wydobywały się z niej w postaci białych obłoczków, rozplływających się w burych oparach morza jak duchy, jak ulatujące dusze. Nie będę płakać. Otarła policzek.

– *Musimy się przygotować na Koniec i na nowy Początek!*

Odwróciła się, patrząc poza babcią na tonący w mgle tunel nabrzeża, a ryki szaleńca spadały niby fale na zamki z piasku jej opanowania.

– Och, zamknij się, stary wariacie... – mruknęła głosem drżącym z bezsilności, którą chciała wykrzyzczyć. Babcia spojrzała na nią, jej zniszczoną wiatrami twarz rozjaśniała wielka sympatia. Moon odwróciła wzrok, wstydząc się zdenerwowania, denerwując się, że czuje wstyd. Sybille tak nie mówią, pełne są mądrości, siły i współczucia. Skrzywiła się. *Jeszcze nie jestem sybillą.*

– *Musimy wygnać Złych spośród nas – musimy wrzucić do Morza ich bożki.* – Daft Naimy uniósł wysoko ramiona, grożąc pięściami zasnute mu chmurami niebu. Widziała, jak opadają poszarpane rękawy jego brudnej szaty. Wokół niego szczekały i ujadaly psy, trzymając się w bezpiecznej odległości. Nazywał siebie Prorokiem Lata i wędrował morzem z wyspy na wyspę, głosząc słowa, jakie słyszał od Pani, zniekształcone boskim szaleństwem. Jako dziecko bała się go, nim matka nie powiedziała, że nie ma czego; zaczęła go wyśmiewać, póki nie zakazała tego babcia; niepokoił ją, aż wzrastające zrozumienie nie nauczyło jej go znosić. Choć dzisiaj jej wytrzymałość była nie wiadomo czemu bliska wyczerpaniu... *a nie jestem jeszcze sybillą!*

Słyszała, że Daft Naimy urodził się Zimakiem. Słyszała, że kiedyś był lubiącym tech niewiernym... że pogwałcił prawa natury, rozlewając krew sybilli. Że Pani ukarała go szaleństwem i w ten sposób odpłaca za swą winę. Trójlistny symbol noszony przez sybille był ostrzeżeniem przeciwko skalaniu, przeciwko przekroczeniu świętego gruntu. Mawiają: śmierć za zabicie sybilli, śmierć za pokochanie sybilli, śmierć za bycie sybillą... (mają na myśli śmierć za życia). *Śmierć za zabicie sybilli...*

– *Jest Grzesznikiem czciciel fałszywych bogów! Widzę go!* – Sękata ręka Dafta Naimy wystrzeliła oskarżycielsko jak strzała.

Twarz Sparksa ukazała się nad końcem nabrzeża, na które wszedł po drabince. Rysy stężały mu w nienawiści, gdy spojrzał na tkwiącego w oddali starucha, a potem na nią. *Śmierć za pokochanie sybilli...*

Moon pokręciła przecząco głową, odpowiadając na inne nie wypowiedziane oskarżenie. Uciekł jednak od niej oczami, patrząc na babcię; przekazując jej swym wzrokiem to wszystko, co kochała i co straciła. W końcu zrozumiała, o co chodzi ludziom, gdy mówią: *śmierć za bycie sybillą.*

– Ale nie jestem jeszcze sybillą. – Powstrzymała szept na końcu języka.

Ktoś z dołu zawołał do Sparksa, odkrzyknął coś, nim podszedł do nich, wysoki, blady i zdecydowany. Trwał odpływ, woda zatoki leżała daleko poniżej nabrzeża. Ze swego miejsca widziały jedynie wystający, jak kiwający się palec, czubek masztu okrętu handlowego Zimaków, który go zabierze.

– No, chyba pora. Wszystkie rzeczy mam już na pokładzie; są gotowi do odpłynięcia. – Patrzył pod nogi, gdy stanął przed nimi, nagle onieśmielony. Mówił tylko do babci. – Chyba, chyba się pożegnam.

– *Przygotujcie się na Koniec!*

– Sparks... – Babcia wyciągnęła rękę, pogładziła go po policzku. – Musisz już odpływać? Poczekaj przynajmniej, aż wróci z morza ciocia Lelark.

– Nie mogę. – Odsunął głowę, by nie zdołała go dotknąć. Nie mogę. Muszę płynąć teraz. To nie na zawsze... – dodał jakby w obawie, że jeśli zaczeka, jutro zbyt łatwo przemieni się w zawsze.

– Och, kochany chłopcze... mój kochany. – Wyciągnęła sztywno ramiona i objęła go, jak to czyniła od niepamiętnych czasów. – Co zrobię bez ciebie? Jesteś całą mą pociechą po śmierci twego dziadka... Czy muszę tracić cię teraz, tracić was oboje naraz? Wiem, że Moon musi odejść, ale...

– *Żałuj, grzeszniku!*

Moon bardziej poczuła, niż zobaczyła, tężenie ust Sparksa, gdy uniósł głowę i popatrzył na Dafta Naimy.

– Przez całe życie wołało ją przeznaczenie – tak samo mnie, babciu. Nie wiedziałem tylko, że zawiedzie nas w różne strony. – Przycisnął na dowód swój pozaziemski medal i odsunął się od nich.

– Ale do Krwawnika! – powiedziała babcia, bardziej przeklinając, niż protestując, i kręcąc głową.

– To tylko miejsce. – Uśmiechnął się i chwycił uspokajająco jej okryte szalem ramiona. – Moja matka tam poszła i wróciła ze mną. Kto wie, z czym ja wrócę. Lub z kim.

Moon odwróciła się, obciążając natrętymi ruchami rękawy swej kurtki. *Nie możesz mi tego zrobić!* Podeszła na skraj nabrzeża i wyrzała przez barierkę na pionową, pokrytą wodorostami ścianę kamiennego falochronu, na czekający cierpliwie w dole statek handlowy. Wciągnęła głęboko raz i drugi przesycone wilgocią powietrze, czując portowe zapachy alg, ryb i przesiąkniętego solą drzewa... wsłuchiwała w dobiegający z dołu szum głosów, skrzypienia i dźwięczenia olinowania, pluskania nigdy nie zanikających fal. Aby tylko nie słyszeć...

– *Wasz świat zbliża się do Końca!*

– Do zobaczenia, babciu – dobiegł ją głos zagłuszony objęciem.

Nagle wszystko, co widziała i słyszała, co było tak bardzo znajome, nabrało posmaku obcości, jakby spotkała się z tym wszystkim po raz pierwszy... choć wiedziała jednocześnie, że nie jest tak naprawdę, że zmiana zaszła w niej. Dwie słone jak morska woda łzy spłynęły jej po obu stronach nosa i spadły dziesięć metrów niżej do zatoki. Usłyszała, jak mija ją, nie zwalniając kroku.

– Sparks! – Odwróciła się i zastąpiła mu drogę. – Tak bez słowa...?

Sparks cofnął się trochę, jakby bał się jej dotknąć.

– Wszystko w porządku. – Uniosła twarz, z pewną dumą udało się jej mówić, jakby było to prawdą. – Jeszcze nie jestem sybillą.

– Tak. Wiem. To nie dlatego... – przerwał, poprawiając dzianą czapkę.

– Ale to dlatego odjeżdżasz. – Nie potrafiła sama określić, czy było to stwierdzenie, czy oskarżenie.

– Tak. – Nagle spojrzał w dół. – Chyba tak.

– Sparks...

– Ale tylko częściowo! – Wyprostował się. – Wiesz, że to prawda. Zawsze mnie to ciągnęło, Moon. – Wskazał na północ, pod wiatr, w stronę Krwawnika. – Muszę znaleźć to, co utraciłem.

– Albo kogo? – Przygryzła język.

– Może... – Wzruszył ramionami.

Rozpaczliwie pokręciła głową.

– Gdy wrócę po wtajemniczeniu... nic się nie zmieni, nadal będziemy mogli być razem! – *Mogę mieć i to, i to, mogę...* – Może znowu być jak zawsze. Jak zawsze pragnęliśmy, by było... – Nawet siebie nie przekonała.

– Hej, chłopcze – dobiegł z dołu głos, odbijający się echem od murów nabrzeża. – Jedziesz? Przyptyw nie będzie czekał cały dzień!

– Za chwilę! – skrzywił się Sparks. – Nie, Moon, nie może. Wiesz o tym. “Śmierć za pokochanie sybilli...” – Głos mu się załamał.

– To tylko przesąd! – Zamknęła oczy. Wiedziała już, że tak jak ona, rozumie prawdę; jak zawsze wiedzieli i dzielili się wszystkim. Nigdy już nie będzie tak jak przedtem.

– Zmienisz się. Tak jak ja nigdy nie zdołam. – Zbielały mu dłonie zaciśnięte na barierce. – Nie mogę tu zostać, być tym, kim przedtem. Też muszę się zmienić. Muszę dorosnąć, dowiedzieć się... dowiedzieć, kim naprawdę jestem. Cały czas myślałem, że wiem. Myślałem, że zostając sybillą, znajdę odpowiedź na wszystkie pytania. – Oczy pociemniały mu od nowego uczucia, jakie ujrzała po raz pierwszy, gdy wróciła do niego w ukrytej jaskini na Wyspie Wyboru. Była w nim zazdrość, oskarżenie, które kazało jej zamilknąć.

– No to jedź, jeśli naprawdę dlatego wyruszasz – sprzeciwiała się ciemności, bojąc się porażki. – Ale nie rób tego z goryczy, bo jesteś zraniony lub chcesz zranić mnie. Jeśli to zrobisz, nigdy już nie wrócisz. – Wyczerpała swą odwagę. – I nie myśl, bym to zniosła, Sparkie...

Uniósł ręce, lecz gdy wyciągnęła swoje, by ich dotknąć, opuścił je wzdłuż boków. Odwrócił się, kręcąc głową bez znaku wybaczenia, zrozumienia czy nawet smutku. Ruszył nabrzeżem, zaczął schodzić po drabince.

Moon poczuła, że staje obok niej babcia, patrzyły razem, jak Sparks skacze na pokład statku, gdy fala uniosła mu go na spotkanie. Zniknął w kabine stojącej na szerokiej platformie łączącej oba kadłuby, i póki patrzyły, nie wyszedł z niej. Załoga odrzuciła cumy, trójkątne żagle z łopotem opadły z masztów i złapały mokry wiatr.

Mgła zaczęła się unosić, rozjaśniając świat. Moon widziała cały kanał prowadzący na otwarte morze, patrzyła na malejący w nim kupiecki katamaran, który skręcał w stronę wylotu zatoki. Gdy tylko oddalił się od nabrzeży Letniaków, włączono na nim silnik. Wreszcie osiągnął koniec kanału i zniknął w ścianie mgły, która połknęła go w jednej chwili jak statek – widmo. Moon ocierała oczy i twarz rękoma mokrymi od wilgoci i łez. Ocknąwszy się, jak po długim śnie, spojrzała na babcię, drobną i pogrążoną w smutku. Przeniosła wzrok za nią na sieci i kabestany obok nabrzeży, stare, nadwerężone wichrami magazyny u wylotu stromej uliczki wioski. Gdzieś dalej jest ich chata... i leżąca na plaży łódź, gotowa zabrać ją do wszystkiego, co zostało jej na świecie.

– Babciu?

Babcia poklepała mocno dłoń Moon. Ta dojrzała w jej zapadniętych szarych oczach postanowienie zachowania nadziei i wiary.

– Odplynął, dziecino. Możemy się tylko pomodlić, by kiedyś jeszcze znalazł drogę do domu, do nas. Teraz Pani czeka na ciebie. Im szybciej wyruszysz, tym szybciej do mnie wrócisz!

Wzięła Moon pod ramię i ruszyły nabrzeżem. – Przynajmniej przy twoim odjeździe nie będzie tego osieroconego, starego pomyleńca. – Moon obejrzała się, dostrzegając z pewną ulgą, że Daft Naimy już odszedł. Babcia przypomniwała coś sobie i zrobiła potrójny gest. – Ma biedną duszę.

Usta Moon skrzywiły się krótko i zastygły stanowczo, gdy odzyskała siły. Sparks popłynął do Krwawnika, by jej dokuczyć... lecz ona będzie przeklęta, jeśli ulegnie prądowi. Za wodą czeka ją własne przeznaczenie, za którym tęskniła połowę życia; znów wypełni ją piękno wezwania. Zaczęła iść szybciej, ciągnąc babcię za sobą.



Sparks stał na pokładzie, przyciskany do masztu lodowatym wiatrem, słuchał, jak silniki statku mierzą się z wzburzonym morzem. Przed sobą, na horyzoncie, widział Krwawnik leżący jak niesamowity sen. Od wieczności zbliżali się do niego po nakrapianych białą falach, płynąc stale na północ wzdłuż nie kończących się brzegów wyspy. Patrzył, jak miasto urosło od plamki wielkości paznokcia do czegoś niepojętego. Teraz zdawało się rozpościerać pod niebem jak zasłona, wypełniając mu świadomość, tak iż nie było w niej miejsca na nic innego.

– Hej tam, Letniaku. – Głos kupca przerwał jego zadumę, na ramieniu spoczęła mu lekko rękawica. – Niepotrzebny mi drugi maszt. Jeśli nie ma dla ciebie na pokładzie nic do roboty, wejdź do środka, nim zamarzniesz. – Sparks usłyszał śmiech żeglarza; odwrócił się, ujrzał uśmiech na surowej twarzy kupca i zrozumiał jego troskę.

Puścił maszt, jego rękawice z trudem oderwały się od warstewki lodu.

– Przepraszam. – Oddech ulatywał mu z ust obłoczkami niemal zasłaniającymi świat. Tak był okutany w grube tkaniny, że ledwo mógł zgiąć ręce, lecz mimo to północny wiatr przenikał go do szpiku kości. Jedynie ciepłe morze opływające zachodnie wybrzeże chroniło Krwawnik przed całkowitym opanowaniem przez lód. Nie czuł twarzy, nie wiedział, czy nadal się uśmiecha. – Na Panią, to jedna całość! Jak coś takiego może istnieć!

– Wasza Pani nie ma z tym nic wspólnego, chłopcze. Ani z ludźmi, którzy tam żyją. Zawsze o tym pamiętaj, póki tam będziesz. – Kupiec pokręcił głową, patrząc na miasto, i ścisnął spierzchnięte od wiatru wargi. – Ni... nikt nie wie, jak powstał Krwawnik. Ani dlaczego. Nawet pozaziemcy. Nie powiedzieliby nam zresztą, choćby nawet wiedzieli.

– Dlaczego? – Sparks się rozejrzał.

Kupiec wzruszył ramionami.

– Czemu mieliby zdradzać nam swe tajemnice? Przybywają tu, by handlować z nami maszynami. Nie byłiby nam potrzebni, gdybyśmy sami wiedzieli, jak je robić.

– Nie sądzę. – Sparks wzdrygnął się, rozruszając palce w rękawiczkach. Kupiec Zimak i jego załoga żyli handlem, tylko o nim rozmawiali podczas krążenia od wyspy do wyspy; szybko go to znudziło. Jak dotąd, podczas tego nie kończącego się rejsu tylko jedna rzecz zrobiła na nim wrażenie – równie swobodnie odnosili się do Letniaków i Zimaków, jakby różnice między nimi nie miały znaczenia. – Gdzie są statki gwiazdne?

– Co? – Kupcem wstrząsnął śmiech. – Nie mów mi, że spodziewasz się ich mrowia? Na wszystkie towary! Nie myślisz chyba, że jest ich tyle co gwiazd? I to po tych wszystkich opowiadaniach o techu, jakie wyciągałeś ode mnie przez tyle lat. Wy, Letniacy, musicie być rzeczywiście tacy tępi, jak wszyscy twierdzą!

– Nie! – Sparks poczuł, jak poniżenie wykrzywia mu zdrętwiałą twarz. – Chciałem... chciałem się tylko dowiedzieć, gdzie jest port gwiazdny, to wszystko.

– No jasne – prychnął kupiec. – W głębi lądu, ten teren jest dla nas zakazany. – Nagle oprzytomniał. – Czy na pewno wiesz, co robisz, płynąc do Krwawnika? Czy na pewno rozumiesz, w co się pakujesz?

Sparks zawahał się, spojrzął na wodę. W dali ukazała mu się twarz Moon podczas pożegnania; słyszał jej głos w wołaniach ptaków, w powietrzu. *Śmierć za pokochanie sybilli*. W piersi poczuł nagle lodowaty ból, jakby ugodził go lodowy sztylet. Zamknął oczy i zadrżał; głos i obraz zniknęły.

– Wiem, co robię.

Kupiec wzruszył ramionami i odszedł.

Statek kupca trącał pływające nabrzeże, na którym stał Sparks. Ze wszystkich stron przytłaczały go większe, wyższe i dłuższe statki, oplatane cumami jak dywanem unoszących się na powierzchni wodorostów. Wszystko to jednak było niczym wobec samego Krwawnika, wznoszącego się w górze niby wielka bestia. Z morza wznosiły się wieże szerokości domu. Dziwny ich las wieńczyło podbrzusze miasta, z którego zwisały wiązki łańcuchów, wielokrążków i niezrozumiałych urządzeń. Zapach morza mieszał się z dziwniejszymi, mniej pociągającymi woniami; spod miasta kapwały i ściekały niemożliwe do nazwania płyny. Szeroka grobla jeżyła się jeszcze bardziej obcymi kształtami, wznoszącymi się od pływających doków portu do brzucha miasta... Pomyślał nagle o wielkim, głodnym potworze.

– Idź na dolne poziomy, chłopcze! – Kupiec musiał krzyżeć, by zagłuszyć setki innych wrzasków, szczęki, zgrzyty i piski rozbrzmiewające w tym dziwnym świecie zawieszonym między lądem a morzem. – Poszukaj domu Gadderfy w Alei Pobrzeżka; wynajmie ci pokój!

Sparks przytaknął z roztargnieniem, uniósł rękę.

– Dziękuję. – Zrzucił na ramię torbę z rzeczami i wzdrygnął się, gdy ogarnął go zimny wiatr.

– Będziemy tu przez cztery dni, jeśli zmienisz zdanie!

Sparks pokręcił głową. Odwrócił się i odszedł, potem zaczął się wspinać. Kupiec patrzył za nim, póki nie pochłonęło go miasto.

– Hej ty tam, z drogi! Ślepy jesteś, czy co?

Sparks rzucił się w bok na stos skrzynek, a u szczytu rampy pojawił się nad nim dom na szczudłach, potem ostrożnie przekroczył próg i zaczął schodzić. Wysoko, w małym, pełnym okien pokoiku ujrzał twarz, zbyt małą, by go ostrzegła, nie oglądającą się nawet, by sprawdzić, czy ustąpił drogi. Wstał, zdrętwiały i zamyślony. *To prawda...* to wszystko prawda! Nagle poczuł tylko częściowe zadowolenie.

Obawiając się ciągnąć dalej tę myśl, ruszył główną ulicą wznoszącą się długą, leniwą spiralą. Teraz uważał na zakrętach. Droga ciągnęła się bez końca, łagodnie wspinając się i wijąc, mijając urwiste ściany magazynów i składów, rojące się od ludzi domy za barierkami. Nie było nieba, jedynie dolna strona następnej spirali, lśniącej matowo od jakiejś prążkowanej fosforescencji. Podpory drogi ciągnęły się jak odnóża stonogi ku światłu i prawdziwemu niebu, jakie znał zawsze, blademu i nieosiągalnemu na końcu alei za murami chroniącymi przed sztormami.

Mijał piętrzące się towary i śmieci, puste składy i puste twarze tłumu, starając się równie jak oni nie okazywać uczuć. Byli wśród nich rybacy w ubraniach podobnych do jego, ale także sklepikarze, robotnicy, inni w strojach zdradzających ich zajęcie i tacy, których zawodów nie mógł sobie nawet wyobrazić. Wszędzie wokół widział też bezpłciowe, półludzkie istoty wykonujące z bezmyślną dokładnością zadania niewykonalne dla dwojga ludzi. Nieśmiało podszedł do jednej z nich i zapytał głupio:

– Jak to *robisz*? – Istota nadal ładowała paki, nie racząc odpowiedzieć.

Zaczął mieć wrażenie, że ciągle idzie tą samą ulicą, zataczając koła. Każda aleja była taka sama jak wszystkie inne, wszędzie przytłaczały go hałasy, tłumy i zapachy dymu. Byle jak sklecone domy wypełniały szczeliny ula miasta jak plastikowe plastry, wiszące i sterczące; stare, obdrapane, brzydkie, podpierały jeszcze starsze budynki, równie wieczne co morze. Nic nie występowało tu pojedynczo, lecz po dwa, trzy, dziesiątki razy, aż każde wrażenie odbijało się echem. Miażdżący ciężar przygniatał kruche sklepienia i ramiona Sparksa. Katakumby murów parły na niego, zamykały się wokół, aż... *Pomocy!* Zatoczył się i oparł o niezwykle ciepłą ścianę domu. Usiadł wśród

odpadków i zasłonił oczy.

– Hej, przyjacielu, dobrze się czujesz? – Jakaś ręka dotknęła badawczo jego boku.

Uniósł głowę i otworzył oczy, mrugając, aż spojrzał wyraźnie. Stojąca nad nim krępa kobieta w kombinezonie robotnicy kręciła głową.

– Nie, coś mi źle wyglądasz. Trochę pozieleniałeś. Masz chorobę lądową, żeglarzu?

Sparks uśmiechnął się słabo, czując, jak twarz z zielonej robi mu się czerwona.

– Chyba tak – wymamrotał, zadowolony, że głos mu nie drży. – Chyba to właśnie mam.

Kobieta pochyliła głowę, lekko się krzywiąc.

– Jesteś Letniakiem?

Sparks przylgnął do ściany.

– Skąd wiesz?

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Twój akcent. Ponadto tylko Letniacy noszą tłuste skóry. Przybyłeś prosto z gospodarstw rybnych, co?

Spojrzał na swój płaszcz przeciwdeszczowy, nagle z niego niezadowolony.

– No.

– Już dobrze. Nie daj się pobić wielkiemu miastu, mały, nauczysz się wszystkiego. No nie, Polly?

– Zgadza się, Tor.

Sparks nachylił się, zobaczył naraz, że nie są sami. Za kobietą stał jeden z metalowych półludzi, jego matowa powłoka odbijała słabo światło. Nie miał pojęcia, jakiej jest płci. Dojrzał, że opuścił trzecią nogę, wyglądającą niemal jak ogon, i teraz siedzi na niej swobodnie. W miejscu twarzy przezroczyste okienko ukazywało wnętrze głowy z płytkami sterującymi.

Tor wyciągnęła płaską buteleczkę z zapiętej kieszeni kombinezonu i odkorkowała ją.

– Masz. To ci wzmocni kręgosłup.

Wziął butelkę, pociągnął łyk... i zakrztusił się, gdy przesłodzona zawartość rozpałała mu usta.

Przełknął ją z trudem, oczy mu zmętniały.

– Jesteś ufny – roześmiała się Tor.

Drugi łyk pociągnął ostrożniej, przełknął go bez kaszlu i pochwalił:

– Nieźle. – Oddał butelkę. Kobieta znów się roześmiała.

– Czy... hmm... czy... – Sparks oderwał się od ściany, przyglądając się metalowej figurze, starając się tak zadać pytanie, by nie było obraźliwe. – Czy to człowiek w blaszanym ubraniu?

Tor uśmiechnęła się i założyła za ucho kosmyk płowych włosów. Oceniał ją na sporo starszą od siebie.

– Nie, tak mu się tylko zdaje. Prawda, Polluksie?

– Zgadza się, Tor.

– Czy on jest... no...

– Żywy? Nie tak jak my. To serwo-automat, robot, obojętnie jak go nazwiesz. Urządzenie serwomechaniczne. Nie działa samodzielnie, a tylko reaguje na polecenia.

Sparks uprzytomnił sobie, że gapi się niepewnie.

– Czy on się nie...?

– Nie obrazi, że o nim mówimy? Nie, nic go nie obrazi, jest ponad to. Istny święty. Prawda, Polly?

– Zgadza się, Tor.

Objęła go ramieniem i przycisnęła serdecznie.

– Doglądał go teraz i zapewniam, aby nic mu nie brakowało, choć musi mieć gdzieś krótkie spięcie, co ogranicza jego słownik. Może zauważyłeś.

– No, tak... trochę. – Sparks przestąpił z nogi na nogę, zastanawiając się, czy to zostanie zauważone.

Tor znów się zaśmiała.

– Przynajmniej nie grozi mu "przekręcenie". Hej, skąd to masz? – Sięgnęła nagle po wiszący na piersi Sparksa pozaziemski medal.

– To mój... – Sparks cofnął się, wrywając krążek. – Dostałem go od kupca.

Tor przyjrzała mu się, poczuł nagle, jakby miał szklaną czaszkę. Wreszcie opuściła rękę.

– Dobra, posłuchaj, Letniaku, może zostaniesz tu ze mną i Polly, nim nie przyzwyczaisz się do zwyczajów Krwawnika? Właśnie skończyłam zmianę i idziemy na małą podziemną rozrywkę. Spędzimy miło czas, trochę się zabawimy, może na coś z boku postawimy... Masz jakieś pieniądze?

Sparks przytaknął.

– Dobra, może uda ci sieje podwoić. Chodź z nami... Mam wrażenie, Polly, że to go dużo nauczy.

– Zgadza się, Tor.

Sparks schodził z nimi aleją ku półmrokowi ciemniejącemu za murami przeciwsztormowymi. Gdzieś po drodze Tor zatrzymała się przy nie rzucających się w oczy drzwiach magazynu pokrytego grubą warstwą farby i zapukała w nie pięścią, najpierw dwa, potem trzy razy. Drzwi uchyliły się odrobinę, potem szerzej, wpuszczając ich do mrocznej jaskini. Sparks zawahał się, wszedł po niecierpliwym geście Tor, usłyszał nasilający się szum głosów i zobaczył, że nie są sami.

– Ile stawiasz?! – przekrzyczała hałas Tor, dając garść monet przygarbionemu, otulonemu w płaszcz mężczyźnie. Stała na skraju tłumu kibiców, klęczących, przykucniętych i siedzących. Ich uwaga skupiona była na małej arenie. Sparks podszedł do Tor, starając się dojrzeć cokolwiek przez drapiącą w gardle chmurę dymu, wypełniającą gęste powietrze. – Na co?

– Jasne, że na krwiorzajkę! Tylko głupek postawiłby na gwiazdola przeciwko krwiorzajce. No, na ile jesteś dobry? – Oczy błyszczały jej pożądaniem, jakie wyczuwał wszędzie wokół, narastające jak przyplływ.

– No to sporo tu głupków. – Mężczyzna w płaszczu rozdziawił usta i potrząsnął trzymanymi sztonami.

Tor prychnęła lekceważąco. Z tyłu narastał i opadał pomruk tłumu, echa odbijały się od szczelin i cieni; sala czekała. Sparks dojrzał, jak na pustą przestrzeń wchodzi dwie istoty, w tym jedna ludzka, niosąc pudełka o obłym kształcie. Skóra obcego lśniła tłusto, ręce miał zakończone długimi mackami. – Czy oni będą...? – Sparks zamilkł, bo zabrakło mu tchu.

– Oni? Coś ty, nie! To tylko operatorzy. No dalej, obstawiaj! – Tor pociągnęła go za rękę.

Pogrzebał w torbie i wyciągnął dwie monety.

– No dobra, niech będzie, hmm, dwadzieścia.

– Dwadzieścia! Tylko tyle masz? – Tor wyglądała na zawiedzioną.

– Tylko tyle stawiam. – Wyciągnął pieniądze.

Zgarbiony wziął monety bez słowa i zniknął w tłumie.

– Słuchaj, czy to aby legalne? – zawahał się Sparks.

– Jasne, że nie... Polluksie, utorej nam drogę wśród szlachetnie urodzonych. Potrzebne nam miejsca w pierwszym rzędzie.

– Zgadza się, Tor. – Polluks przepychał się prosto do celu. Sparks słyszał, jak przekleństwa i nagłe jęki bólu znaczą jego drogę przez tłum.

– Nie martw się, Letniaku, to nie zawody są zakazane – mówiła Tor w marszu, Sparks znalazł się nagle w połowie drogi do ringu – ale sprowadzanie niektórych zwierząt.

– Aha. Przepraszam... – mruknął, gdy nastąpił na ozdobioną klejnotami dłoń. Połowę tłumy tworzyli robotnicy i żeglarze, lecz druga lśniła w półmroku drogimi kamieniami, niektórzy mieli skórę barwy ziemi lub włosy jak chmury. Zastanawiał się, czy specjalnie się ubrudzili. Tor czekała na niego przy ringu, podwinął przy niej swe długie nogi. Z tyłu sterczał Polluks, oparty na dodatkowej nodze, nie reagując na okrzyki “niżej tam z przodu”. Tor wyciągnęła butelkę i napiwszy się wręczyła ją Sparksowi.

– Dokończ.

Już kręciło mu się w głowie od zmiennego zapachu dymu, odcinającego go od siebie samego i wszystkich innych. Przyłożył flaszkę do ust i pociągnął niebacznie; zostało w niej jeszcze sporo. Zapiekło go w gardle i zaczął kasłać.

Tor poklepała go po kolanie.

– Wprawia w nastrój, no nie?

Uśmiechnął się.

– Jak diabli – powiedział ochryple.

Wzięła dłoń.

– Potem, potem.

Czkający Sparks odwrócił się od niej, by spojrzeć na zagrodę; od ruchu zakręciło mu się w głowie, jakby był na nagle wzburzonym morzu. Trzymana na wodzy energia tego miejsca rozbrzmiewała w nim teraz, wraz z tłumem wydał długie westchnienie, wypuszczając powściągnany oddech, gdy dozorczy otworzyli klatki i uskoczyli w bok.

Już obcy z biczami zamiast palców przyciągał jego wzrok (choć nagle wszystko przestało go dziwić), lecz okazało się to tylko zapowiedzią cudów. Teraz nad krawędzią stojącego przed nim pojemnika ukazała się masa wijących się grubych macek; spływały w dół, pociągając za sobą sflaczałą torbę ciała pokrytego sinymi plamami.

– Krwiorzajka – szepnęła Tor. Sparks nie mógł dojrzeć głowy stwora, chyba że tworzyła jedno z tułowiem, bo nierówne kleszcze kłapały między mackami. Słyszał to wyraźnie w pełnej oczekiwania ciszy. Jego uwagę zwrócił nagły ruch w drugim końcu areny. – Gwiazdol – mruknęła Tor na widok płynącego w mrokach cienia. Cętkowane, węzowate zwierzę miało długość ręki. Sparks dostrzegł wąski snop światła odbity od odsłoniętego kła, gdy gwiazdol warknął z głębi gardła. Wszystkie światła skupione były teraz na polu walki, jak i wszystkie oczy. Gwiazdol okrążał krwiorzajkę, niepomny na tłum, ciągle nisko zawodząc. Krwiorzajka cicho śmignęła mackami, nie wydała głosu nawet wtedy, gdy gwiazdol rzucił się naprzód i oderwał kawałek skóry ze zwisającego tułowia. Jej macki wiły się szaleńczo, złapały i oplotły wąski łeb gwiazdola.

– Jad – syknęła Tor radośnie.

Gwiazdol zaczął krzyczeć, lecz został zagłuszony przez ryk żądnej krwi tłumy.

Sparks pochylił się, napięty jak struna, zdziwił się trochę, że zamiast protestu z jego gardła wyrwał się okrzyk łowiecki. Gwiazdol wydarł się, oszalały z bólu chwycił i rwał macki krwiorzajki i jej miękkie, oklapnięte ciało. Krwiorzajka zatoczyła się, wilgotne wici śmignęły znowu... Oszołomiony utraconą niewinnością, Sparks wyteżył swe wyostrzone zmysły, by chłonać balet śmierci.

Wieczność później, lecz mimo to za wcześniej, gwiazdol legł bezwładnie, a krwiorzajka otoczyła go pękami pokaleczonych macek i zaczęła dusić. Sparks widział białka szalonych oczu gwiazdola, nakrapiane białą i czerwono wewnątrz rozdziawionego pyska; słyszał, jak jęk umilkł nagle,

gdy kleszcze znalazły gardło przeciwnika. Trysnęła krew; krople spadły na płaszcz i spoconą twarz Sparksa.

Cofnął się szybko, wytarł twarz i spojrzał na pokrytą świeżą krwią rękę. Naraz odechciało mu się patrzeć na arenę, nie pociągał go widok pęczniejącego, czerwieniejącego tułowia ani krwi sączącej się z jego pęknięć, gdy krwiorzajka wysysała swą ofiarę... Nagle zabrakło mu tchu, by dołączyć do ogłuszającej wrzawy przekleństw i wiwatów. Odwrócił twarz, lecz nie było gdzie uciec oczami od promieniującego nienawiścią tłumu.

– Tor, ja...

Odwróciwszy się ujrzał, że zniknęła, jak i Polluks... i że wraz z nimi przepadła torba z jego rzeczami.

– Mówię ci, synku, nie mamy pracy dla Letniaka. Nie możesz obsługiwać maszyn, nie znasz kodów społecznych, nie masz doświadczenia. – Urzędnik spoglądał na Sparksa znad parapetu małego okienka jak na nierozgarnięte dziecko.

– Jak zdołam nabrać doświadczenia, jeśli nikt mnie nie najmie? – Sparks uniósł głos i skrzywił się, gdy wzmogło to ból w głowie.

– Dobrze pytanie. – Urzędnik zabrał się do ogryzania paznokci.

– To nieuczciwe.

– Życie jest nieuczciwe, synku. Jeśli chcesz tu pracować, musisz się wyrzec swego rodu.

– Niech mnie diabli, jeśli to zrobię!

– Wracaj więc do siebie z tymi śmierdzącymi skórami ryb i nie zawracaj głowy prawdziwym ludziom! – Następny w kolejce odsunął Sparksa; miał rękawicę okutą metalem.

Sparks obrócił się, ujrzał, że dłoń w rękawicy zaciska się w pięść dwa razy większą od jego. Znów się odwrócił i wśród śmiechu wyszedł z sali na ulicę. Za murem osłonowym na drugim końcu alei zaczynał się nowy dzień. W nocy chmury burzowe zasnuły gwiazdy, lecz na ulicach miasta nigdy nie było ciemno. Nie mógł ukryć swego gniewu, poniżenia ani wymiotów, gdy wyrzucał z siebie to, co wypił, widział i zrobił. Spał jak kłoda na stercie skrzynek. Śniła mu się Moon stojąca nad nim, wiedząca wszystko, z litością w agatowych oczach... Litością! Sparks przycisnął dłoń do bolących oczu, by odegnąć jej twarz.

W dole długiego zbocza ulicy, poniżej miasta, leżał port, a w nim czekająca nań, by zabrać do domu, mała łódź kupca. Żołądek ścisnął mu gniew i głód. Nie minął jeszcze dzień, gdy stracił wszystko, rzeczy, ideały, szacunek dla siebie. Może teraz wrócić chyłkiem na wyspy, pożegnać się z marzeniami, aż do śmierci żyć w cieniu litości Moon. Zacisnął usta. Może też uznać, że przeszedł prawdziwą szkołę, że Krwawnik odarł go ze złudzeń, nauczył, że nic nie ma, że jest niczym... że w tym mieście nikogo nie obchodzi. Zmiana tego zależy wyłącznie od niego.

Ma puste ręce... Poruszył nimi bezradnie, pogładził zwisający mu u pasa miasek z jedyną rzeczą zostawioną mu przez Tor i Krwawnik, jego fletem. Wyciągnął go powoli, pieśczośliwie, przytknął do ust i ruszył dalej; granie melodii z utraconych lat godziło go ze stratą wszystkiego innego.

Błąkał się bez celu, ustępując z drogi bezustannemu ruchowi, który nie zamierał nawet w nocy. Przyglądali mu się obcy, on przestał zwracać na nich uwagę. Szedł tak, aż coś brzęknęło o chodnik u jego stóp. Stał i spojrzał w dół. Moneta. Pochylił się powoli i podniósł ją, obracając w palcach ze zdziwieniem.

– Zarobiłbyś więcej w Labiryncie. Tam ludzie mają więcej do tracenia... bardziej też cenią artystów.

Sparks rozejrzał się ze zdziwieniem i zobaczył przed sobą kobietę z ciemnymi warkoczykami i opaską na czole. Wokół nich płynął tłum; wydawało mu się, że stoją na wyspie. Kobieta była w wieku cioci Lelark, może trochę starsza, miała na sobie długą suknię z podniszczonego aksamitu i pierzasty naszyjnik. Trzymała laseczkę z główką lśniącą jak węgielek. Z uśmiechem uniosła ją do twarzy. Nie patrzyła na niego, wokół jej oczu coś obumarło, coś im brakowało, jakby tkwiły w mroku.

– Kim jesteś? – zapytała.

*Ślepa.*

– Sparks... Dawntreader – odpowiedział, nie wiedząc nagle, gdzie patrzeć. Wreszcie spojrzął na laseczkę.

Wydawała się na coś czekać.

– *Letniak* – dokończył niemal niedosłyszalnie.

– Aha. Tak myślałam. – Kiwnęła głową. – Nigdy nie słyszałam w Krwawniku czegoś równie dzikiego i tęsknego. Przyjmij mą radę, Sparksie Dawntreaderze Letniaku. Idź do górnego miasta. – Sięgnęła do zwisającej jej z ramienia wyszywanej paciorkami sakiewki i wyciągnęła garść przypominających obwarzanki monet. – Powodzenia w tym mieście.

– Dziękuję. – Z wahaniem wyciągnął dłoń i wziął pieniądze.

Kiwnęła głową i opuściła laseczkę. Już miała odejść, gdy stanęła.

– Zajdź czasem do mojego sklepu w Cytrynowej Alei. Zapytaj o twórczynię masek, każdy pokaże ci drogę.

Także kiwnął, zapamiętał i powiedział szybko:

– Och, pewnie. Może przyjdę. – Patrzył, jak odchodzi.

Potem poszedł w górę. Do Labiryntu, w którym fasady domów są pomalowane w jasne plamki, paski, zwoje i tęczowe słoneczka. Barwy, kształty i stroje zwisające z okien lub powiewające na przechodniach nie powtarzały się nigdy dwukrotnie; lśniące szyldy i krzyki handlarzy obiecywały niebo, piekło i wszystko między nimi. Znalazłszy trochę spokojniejszy zakątek pod łopoczącymi kwiecistymi proporcami, stanął tam i grał pod brzęczący akompaniament rzuconych mu monet – nie było ich zbyt wiele, lecz lepsze to od niczego, od którego zaczynał.

Wreszcie odciągnęła go woń setek korzeni i ziół, poświęcił kilka monet, by wypełnić brzuch dziwnymi, wspaniałymi potrawami. Potem wymienił płaszcz przeciwdeszczowy na koszulę z czerwonego jedwabiu oraz sznury szklanych i miedzianych paciorków; sklepikarz wziął resztę jego pieniędzy. Wracając jednak wieczorem do swego kątku, by zarobić na nocleg, śpiewał Pani cichą modlitwę dziękczynną za dar muzyki, jaki zesłała nań w Krwawniku. Dzięki niemu może przetrwać, póki nie pozna zasad swego nowego życia...

Nagle otoczyli go idący w tyle czterej pozaziemcy w skafandrach kosmicznych bez oznak. Nim się spostrzegł, chwycili go za ręce i usta i zaciągnęli do ciemnej alejki między dwoma domami.

– Czego chcecie? – Wykręcił głowę, wyzwalając usta z dłoni brudnej od smaru. Wyteżając wzrok w półmroku, ujrzał trzech pozostałych, nie był pewien, czy widzi białe zęby błyszczące w drapieżnym grymasie, lecz na pewno dostrzegł blask trzymanej przez jednego z nich broni, jak też kajdanki. Z tyłu wysunęły się inne ręce i zacisnęły mocno na jego gardle.

Uderzył głową w tył i poczuł, jak spada na twarz stojącego z tyłu, słysząc jęk bólu zaczął walić łokciami i ciężkimi butami. Trzymający go upadł, klął niewyraźnie. Sparks wyswobodził się i otworzył usta, by wezwać pomocy.

Wcześniej jednak cień z metalowym błyskiem użył swej broni. Krzyk uwięził Sparksowi w gardle, gdy spadła na niego czarna błyskawica. Runął na twarz jak przewrócona zabawka, nie zdołał

uchronić głowy przed uderzeniem w chodnik. Nie poczuł bólu, tylko tępe stuknięcie i suchy grzechot tysięcy nerwów pękających w nie słuchającym ich ciele. Metalowa taśma zacisnęła się wokół jego szyi, usłyszał, jak brzydtko charczy.

Przewróciła go noga człowieka-cienia, który przyjrzał mu się z bliska. Widział teraz wyraźnie ich uśmiechy, jak i oni jego przerażoną minę.

– Jak mocno go uderzyłeś, tłustopalcy? Chyba się dusi.

– A niech się dusi, robaczywy drań. Uszkodzenie mózgu nie wpłynie na jego cenę poza planetą.

– Uderzony przez Sparksa mężczyzna wytarł krew z rozciętej wargi.

– No, niezła sztuka, co? Nadaje się nie tylko do kopalni, nosiree. Na Tsieh-pun sporo za niego dostaniemy.

Śmiechy. Ktoś postawił mu nogę na brzuchu i nacisnął.

– Wstrzymaj oddech, piękniśiu. O tak.

Jeden z nich ukląkł i skuł w metalowe kajdanki bezradne dłonie Sparksa. Mężczyzna z zakrwawioną twarzą przykucnął obok, wyciągnął coś z kieszeni i nacisnął. Ukazało się wąskie i długie na dłoń pasmo światła; drugą rękę wsadził do ust Sparksa i wyjął mu język.

– Twoje ostatnie słowa, piękniśiu?

*Pomocy!* – wydał milczący krzyk.



– Bogowie, nie znoszę tego obowiązku! – Inspektor policji Geia Jerusha PalaThion wyszarpnęła rąbek szkarłatnej peleryny z drzwi patrolowca. Samochód zadrżał lekko, spoczywając na odbojnikach dziedzińca pałacu na górnym końcu ulicy Krwawnika.

Sierżant spojrział na nią z ironicznym uśmieszkiem wykrzywiającym blade zmarszczki jego ciemnej, delikatnej twarzy.

– Nie lubi pani odwiedzać władczyni, pani inspektor? – zapytał niewinnie.

– Wiecie, o co mi chodzi, Gundhalinu. – Zarzuciła pelerynę na jedno ramię, skrywając pod nią praktyczny szaroniebieski mundur. Spięła ją broszą z pieczęcią Hegemonii. – Chciałam powiedzieć, BZ – wskazała – że nienawidzę ubierać się tak pstrokato, by grać kosmonautę przed Królową Śniegu.

Gundhalinu ustawił tarczę przeciwodblaskową na przedzie swego błyszczącego hełmu. Jej był pokryty złotem, jego zachował biel, sierżant nie miał także peleryny.

– Powinna pani być zadowolona, pani inspektor, że dowódca nie umieścił tu kwiatka w doniczce, by wywołać większe wrażenie... Musi pani odpowiednio wyglądać, gdy idzie pani tłumaczyć powszechne prawo tym maminsynkom, prawda?

– Gnoj. – Ruszyli ku potężnym wrotom głównego wejścia po delikatnych spiralnych wzorach, wrytych na bladych kamieniach. W drugim kącie dziedzińca dwaj służący Zimacy szorowali kamienie szczotkami na długich kijach. Zawsze tam byli, usuwając najdrobniejsze plamki. *Alabaster?* Zastanowiła się, patrząc pod nogi, i pomyślała o piasku, ciepłe i niebie. Tu nie było żadnej z tych rzeczy, podobnie jak w całym zimnym, kamiennym, wyrafinowanym mieście. Ten dziedziniec stanowił początek Ulicy, początek miasta, początek wszystkiego w Krwawniku. *Albo koniec.* Widziała za murami sztormowymi pałające bezradnie lodowate niebo terenów polarnych. – Ta szarada równie mało obchodzi Arienrhod, jak nas. Jedynym pożytkiem, jaki może dzięki niej osiągniemy, to przekonanie jej, że jesteśmy tacy głupi, na jakich wyglądamy.

– Tak, ale co z ich prymitywnymi obrzędami i przesadami, pani inspektor? Przecież wierzą ciągle w ofiary z ludzi. Kto nakłada maski i odbywa orgie na ulicach za każdym razem, gdy przybywa z wizytą Zgromadzenie...

– Czy nie świętujecie, gdy Premier raz na kilkadziesiąt lat przybywa do Kharemough, byście mogli ucałować mu nogi?

– To nie to samo. On jest Kharemoughi. – Gundhalinu wyprostował się, jakby broniąc przed skalaniem. – Nasze uroczystości są szacowne.

– To tylko kwestia stopnia – uśmiechnęła się Jerusha. – A nim zaczniecie tak lekko oceniać inne kultury, sierżancie, nauczcie się etnografii, aby naprawdę zrozumieć tradycje tego świata. – Zmieniła swą twarz w oficjalną maskę, tak wobec niego, jak i gwardzistów Królowej, którzy stali sztywno na baczność w mundurach naśladowujących pozaziemską policję. Ogromne, nadwerężone przez czas wrota otworzyły się przed nią natychmiast.

– Tak jest, pani inspektor – powiedział Gundhalinu, gdy ich lśniące buty zastukały na korytarzach prowadzących do Sali Wiatrów, lecz wyglądał na dotkniętego. Był na Tiamat niecały rok standardowy i prawie od początku służył jako jej asystent. Lubiła go i sądziła, że z wzajemnością, uważała, że szybko zostanie sprawnym oficerem. Lecz pochodził z Kharemough, planety kierującej Hegemonią, zdominowanej przez technokrację, wytwarzającej większość najnowocześniejszych towarów. Podejrzewała, że Gundhalinu jest młodszym synem dość znacznej rodziny, pchniętym na tę drogę kariery przez sztywne zasady dziedziczenia swego świata, techem do szpiku kości. Jerusha pomyślała z pewnym smutkiem, że nawet setki przesłuchań taśm ukierunkowujących nie nauczą go

choćby odrobiny tolerancji.

– Dobrze – powiedziała łagodniej. – Powiem ci, że jeden człowiek w masce prawdopodobnie pasuje do wszystkich twoich i moich uprzedzeń. Jest nim Starbuck. A pomijając wszystko inne, jest on pozaziemcem. – Spojrzała na freski sieni wejściowej, ukazujące chłodne sceny zimy, zastanawiając się, ile razy były one malowane i przemalowywane. Przebijał się jednak przez to obraz Starbucka stojącego po prawicy Królowej, z pogardliwą miną pod przeklętym kapturem kata, gdy spoglądał na spętanych obowiązkami przedstawicieli Prawa.

– Nosi maskę z tych samych powodów, co każdy złodziej i morderca – powiedział ponuro Gundhalinu.

– To prawda. Stanowi żywy dowód, że żaden świat nie ma monopolu na zacofanie... i że męty łatwo wypływają na wierzch. – Jerusha zwolniła, słysząc westchnienie drżące głęboko w trzewiach planety giganta. Sama odetchnęła, gotując się na Próbę Powietrza, będącą częścią obrzędu każdych odwiedzin pałacu, i zadrżała pod peleryną nie tylko od narastającego chłodu. Nigdy nie pozbędzie się lęku, tak jak nigdy nie przestanie się dziwić jego źródłu – miejscu zwanemu Salą Wiatrów.

Ujrzała jednego z dostojników, czekającego na skraju otchłani, zadowolona, że choć raz Królowa uznała za stosowne nie kazać im czekać. Im krócej będzie stać, myśląc o przejściu, tym mniej kłopotów jej sprawi. Może to oznaczać, że Arienrhod jest w dobrym humorze albo po prostu zbyt zajmują ją inne sprawy, by dzisiaj napawać się drobnymi szykanami. Jerusha dobrze wiedziała o systemie wywiadowczym, który Królowa kazała założyć w całym mieście, a szczególnie tu, w pałacu. Królowa lubiła przygotowywać mniejsze próby, aby zdemoralizować opozycję... i Jerusha nie miała wątpliwości, że bawi ją także przyglądanie się poceniu ofiar.

Jerusha poznała Kirarda Seta, Starszego rodziny Wayawayów, jednego z faworytów Królowej. Plotkowano, że widział cztery wizyty Zgromadzenia, lecz jego twarz pod modnym turbanem ciągle wyglądała chłopięco.

– Starszy – pozdrowiła go sztywno Jerusha, boleśnie świadoma kurzych łapek pojawiających się w kącikach jej oczu; a jeszcze bardziej jęklivego wezwania z otchłani, przypominającego głodny śmiech nie skruszonych grzeszników. *Kto mógł wznieść coś takiego?* Podziwiała to z każdą wizytą w pałacu, zastanawiając się, czy szlochy wiatru nie są w istocie głosami jego twórców, zapomnianych przodków, którzy wymarzyli i zbudowali na północy to nawiedzone miasto. Nie słyszała o nikim, kto wiedziałby, kim byli i co tu robili przed załamaniem się imperium międzygwiazdowego, przy którym obecna Hegemonia wydawała się niczym.

Gdyby znajdowała się gdziekolwiek indziej, mogłaby poszukać sybilli i próbować uzyskać odpowiedź, choć prawdopodobnie byłaby ona ciemna i niezrozumiała. Tu, na Tiamat, sybille krążyły po dalekich wyspach jak wędrowni magicy, myśląc, że przemawiają głosem Matki Morza. Ich mądrość była jednak nawet tutaj rzeczywista i nietknięta, choć Tiamatanie utracili kryjącą się za nią prawdę, tak jak zapomnieli pochodzenia Krwawnika. W mieście nie było żadnych sybilli – zgodnie z prawem Hegemonii, wspieranym przez wstręt Zimaków do wszystkiego, co choćby trochę trącało "prymitywizmem". Precyzyjna i wysoce skuteczna propaganda Hegemonii podtrzymywała w nich przekonanie, że stoi za tym jedynie mieszanina zabobonów, oszustwa i chorobliwego szaleństwa. Lecz nawet Hegemonia nie ważyła się usunąć sybilli z zamieszkałej planety... utrudniając tylko do nich dostęp. Sybille przechowywały utraconą mądrość Starego Imperium, miały ją przekazać nowej cywilizacji, która powstanie na jego ruinach, wraz z kluczem do zaginionych tajemnic. A jeśli było coś, czego nie chciała bogata i potężna Hegemonia, to właśnie ujrzenia, jak ten świat staje na własne nogi i nabiera takiej siły, by odmówić jej wody życia.

Jerusha przypomniała sobie nagle i żywo jedyną sybille, jaką widziała w Krwawniku – przed dziesięć laty, wkrótce po przybyciu tutaj, na jej pierwsze stanowisko. Zobaczyła, bo wysłano ją, by dopilnować jej wygnania z miasta. Ujrzała wtedy wrzeszczący tłum, prowadzący do portu swego przerażonego, protestującego ziomka i wsadzający go do łodzi. Na jego szyję założono nabitą kolcami, strzegącą przed czarownikami, żelazną obrożę z przyczepionym długim drągiem, za pomocą którego wleczono skazańca z obawy przed zbrukaniem.

Na stromym zejściu do portu szarpnięto nim zbyt mocno i upadł. Kolce wbiły mu się w gardło i bok twarzy, rozdzierając ciało. Krew sybilli, której rozlania tak lękał się tłum, spływała mu teraz po piersi jak naszyjnik klejnotów, plamiąc koszulę (była ciemnobłękitna; uderzyło ją wtedy piękno kontrastu z czerwienią). Tak jak wszyscy opanowana strachem, patrzyła, jak siedzi, jęcząc z rękoma przyciśniętymi do gardła, nic nie zrobiła, by mu pomóc...

Gundhalinu z wahaniem dotknął jej łokcia. Spojrzała, zakłopotana, na lekko drwiącą twarz Starszego Wayawayów:

– Jeśli jesteś gotowa, inspektorze.

Kiwnęła głową.

Starszy uniósł mały gwizdek, zwisający mu z łańcuszka na szyi, i wszedł na most. Jerusha poszła za nim z oczyma utkwionymi przed siebie. Wiedziała, co ujrzałaby, patrząc na dół, i wcale nie pragnęła zobaczyć straszliwego szybu, umożliwiającego dostęp do obsługujących miasto automatycznych zakładów, choć nie słyszała, by w ciągu znanego Hegemonii tysiąclecia wymagały one napraw. Zamknięte kabiny wind pozwalały badającym je technikom bezpiecznie docierać na niezliczone poziomy. Szybem tym wznosiła się także spiralna kolumna powietrza, wychodząca z wydrążonej podstawy Krwawnika i tworząca w górze otwarty komin. Było to jedyne miejsce w mieście nie osłonięte całkowicie murami sztormowymi, wysysające dech z podziemnych jaskiń. W powietrzu utrzymywał się zawsze mocny zapach morza i jęk, gdy wiatr wciskał się w szczeliny i występy szybu.

W powietrzu wisiały także swobodnie, jak ogromne rzeźby, przezroczyste płyty z jakiegoś sprężystego materiału, unoszące się i wzdymające niby chmury, powodujące w nigdy nie ustającym wietrze zdradzieckie zawirowania i prądy. Tędy właśnie prowadziło jedyne przejście do wyższych poziomów pałacu. Przed nią korytarz przechodził w most przekraczający przepaść jak wiązka światła. Był na tyle szeroki, by iść nim swobodnie przy braku wiatru, lecz stanowił śmiertelną pułapkę przy byle jego podmuchach.

Starszy Wayawayów zagwizdał coś i ruszył śmiało, gdy wokół niego ucichło wycie powietrza. Jerusha poszła za nim, niemal następując mu na pięty, by zmieścić się wraz z Gundhalinu w bezwietrznej bańce. Starszy szedł spokojnym, równym krokiem, gwizdząc drugą, a potem trzecią nutę. Nadal otaczała ich kula spokojnego powietrza, lecz Jerusha usłyszała za sobą, jak Gundhalinu wypowiedział na próżno imię jakiegoś boga, gdy spóźnił się odrobinę i wiatr smagnął go po plecach.

*To szaleńcze!* Powtarzała litanię strachu i niechęci, jak przy każdym przejściu. *Jakiż maniak mógł zbudować to wesole miasteczko dla sadystów...?* Wiedziała przy tym, że technika, dzięki której go wzniesiono, łatwo mogła pokonać ten środek bezpieczeństwa, gdyby tylko o to chodziło. Na poziomie techu, dopuszczonym teraz dla Zimaków na Tiamat, był on wystarczająco skuteczny. Bez względu na pozbawionego nerwów szaleńca, który go wymyślił, na pewno aż za dobrze służy celom obecnej Królowej.

Byli już na środku. Utkwiła wzrok w plecach starszego, słuchając atonalnych nut zaklinacza wiatrów, które odganiały w jęczącą jamę piski śmierci. Nie było to rzucanie jakiegoś magicznego

zakłęcia, lecz pobudzanie automatycznych urządzeń, które tak ustawiały wiatrowe ekrany, by chroniły idących. Ta wiedza nie była dla niej wielką pociechą, gdy brała poprawkę na ludzką omyłność lub nagłą awarię tak starych urządzeń. Kiedyś to samo co dmący w gwizdek robiły pudełka sterujące, lecz jedyne, o którym wiedziała, że nadal działa, zwisa z pasa Starbucka.

*Bezpieczni.* Stała butem na krawędzi drugiego brzegu. Opanowała przemożne pragnienie, by pozwolić nogom załamać się i usiąść. Spocona twarz Gundhalinu uśmiechała się do niej śmiało. Ciekawa była, czy tak jak ona stara się nie myśleć o drodze powrotnej. Patrząc znów przed siebie, odczytała triumf w chodzie Starszego Wayawayów prowadzącego ich do sali audiencyjnej.

Nawet tu, tak blisko iglicy Krwawnika, sala porażała swym ogromem. Zmieściłaby się w niej cała willa z Newhaven, jej macierzystej planety. Chłodne, pastelowe draperie z włókien zwisały z geometrycznych łuków wspartego na kolumnach sklepienia, migając i dźwięcząc egzotyczną pieśnią tysięcy maleńkich, ręcznie robionych srebrnych dzwoneczków.

Za przestworem białego dywanu, sprowadzonego z innej planety, zasiadała na swym tronie Królowa Śniegu, wcielenie bogini, jak szponiasty sokół śnieżny w lodowym gnieździe. Jerusha bezwiednie mocniej otuliła się peleryną.

– Zimniej niż w Karoo – mruknął Gundhalinu, rozcierając ręce.

Starszy Wayawayów gestem kazał im poczekać, a sam poszedł oznajmić ich przybycie. Jerusha była pewna, że ciemne, dalekie oczy pod koroną jasnych włosów już ich dostrzegły, choć Arienrhod nie okazała tego, patrząc na salę. Jak zwykle to ją pierwszą dostrzegła Jerusha, lecz teraz, podążając za wzrokiem Królowej, ujrzała świetlistą linię, jej uwagę zwróciło buczenie uderzającego w cel promienia energii.

– Szakt! – syknął Gundhalinu, gdy rozległy się krzyki i ujrzeli rozstępującą się grupę szlachty, pozostawiającą jednego spośród nich rozciągniętego uderzeniem na dywanie. – Pojedynek? – zapytał z niedowierzaniem.

Dłoń Jerushy zacisnęła się na imperialnym krzyżu na klamrze pasa, ledwo zapanowała nad nagłym gniewem. Czy Królowa aż tak bardzo gardzi policją, że dopuszcza do morderstwa na jej oczach? Otworzyła usta, by protestować, żądać. Nim jednak znalazła właściwe słowa, ofiara przekręciła się i usiadła, bez pęcherzy i zwęglań, bez plam krwi na śnieżnej czystości kobierca. Jerusha dojrzała, że to kobieta; dziwactwa mody szlachty nie zawsze pozwalały tak łatwo to określić. Poruszała się wśród lekkich zawirowań powietrza, otaczało ją pole odpychające. Wstała zgrabnie i złożyła Królowej wypracowany ukłon, a pozostali klaskali i śmieli się radośnie. Gdy szlachta się przesunęła, Jerusha spostrzegła czarną postać i zimny błysk metalu. Zrozumiała, że rolę mordercy grał Starbuck.

Bogowie! Jacyż to nędzni pomyśleńcy starają się dla żartu spalić? Bawią się bronią, która może kaleczyć i zabijać, nie bardziej rozumieją prawdziwe funkcje i znaczenie techniki, aniżeli rozpieszczone zwierzątko pojmuje wysadzaną klejnotami obrozę. *Tak – któż jednak inny jest temu winny, jak nie my?* Wzrok Arienrhod przyłapał ją nagle w połowie myśli. Spoczywały na niej oczy o dziwnych barwach, Królowa się uśmiechała. Nie miała przyjemnej miny. *Któż może wiedzieć, czy zwierzęta nie wiedzą, czym jest obroża?* Jerusha uparcie wytrzymywała wzrok władczyni. *Ani czy dzikusy nie rozumieją kłamstwa, które czyni z nich niepełnych ludzi?*

Starszy Wayawayów ogłosił ich przybycie i wracał od Królowej, gdy Starbuck stanął obok tronu. Zwrócił ku nim zasłoniętą twarz, jakby ciekaw skutków swego przedstawienia. *W głębi serca wszyscy jesteście dzikusami.*

– Możecie podejść, inspektorze PalaThion. – Królowa uniosła dłoń w przypadkowym geście.

Jerusha zdjęła hełm i wystąpiła naprzód. Z tyłu postępował Gundhalinu. Była pewna, że tak ona,

jak i on, okazują minami jedynie konieczne minimum szacunku. Dostojnicy skupili się z boku, przyjmując pozy znane z licznych holograficznych makiet handlarzy, patrząc ze szczerym brakiem zainteresowania, jak czyni gest powitania. Zastanowiła się przelotnie, dlaczego tak ich bawi i granie ze śmiercią. Wszyscy byli faworytami o młodych twarzach, choć tylko bogowie wiedzieli, jak naprawdę są starzy. Słyszała zawsze, że zażywający wodę życia obsesyjnie chronią swą przedłużoną młodość. Czy naprawdę można dożyć czasu, kiedy to doświadczyło się wszystkiego, co tylko można wymarzyć? Nie, nawet półtora stulecia na to nie wystarczy. A może po prostu o niczym nie wiedzieli, może Starbuck nie ostrzegł ich przed niebezpieczeństwem.

– Wasza Wysokość. – Uniosła wzrok, najpierw na Starbucka, potem na podwyższenie, na którym stał tron Arienrhod. Słodką, dziewczęcą twarz królowej wykrzywiała szydercza maska, z nadmiarem mądrości w oczach.

Arienrhod uniosła palec, przecinając słowa tym drobnym gestem.

– Postanowiłam, że od teraz będziecie klęczeć, przybывая tutaj, inspektorze.

Jerusha zacisnęła mocno usta. Odczekała chwilę i głęboko odetchnęła.

– Jestem oficerem Policji Hegemońskiej, Wasza Wysokość. Złożyłam Hegemonii przysięgę wierności. – Patrzyła umyślnie na wznoszące się oparcie tronu Królowej, przez nią i wokół niej. Dęte i zgrzewane powierzchnie szkła, lśniące spirale i ocienione szpary oślepiły jej oczy hipnotycznym zaklęciem Labiryntu; jego dziwacznej sztuki wyrosłej z żywej gleby zmiennej mieszanki kultur Krwawnika.

– Ale Hegemonia umieściła tu wasz oddział, by mi służył, inspektorze. – Głos Arienrhod przyciągnął znowu jej uwagę. – Domagam się jedynie hołdu należnego każdemu niezależnemu władcy – zaakcentowała lekko określenie niezależnemu – ze strony przedstawicieli innego.

– Domaga się, przekłeta! – Jerushę dobiegł niemal niesłyszalny szept Gundhalinu; dojrzała spoczywające na nim, zapamiętujące go oczy Królowej. Starbuck zszedł niemal ospale o jeden stopień niżej z pistoletem bujającym się w okrytej czarną rękawiczką dłoni. Stał jednak w milczącym oczekiwaniu, gdy Królowa ponownie uniosła rękę.

Jerusha zawahała się, czując zwisający jej ciężko u boku ogłuszacz i drżące obok z oburzenia Gundhalinu. *Moim obowiązkiem jest utrzymywanie spokoju.* Obróciła się lekko w stronę Starbucka i Gundhalinu.

– W porządku, BZ – powiedziała równie cicho co on, ale jednak niedostatecznie. – Uklękniemy. Ta prośba nie jest całkowicie nierozsądna.

Gundhalinu odpowiedział coś w nieznanym jej języku, źrenice mu się zmniejszyły. Pięść stojącego na podwyższeniu Starbucka zacisnęła się na broni.

Jerusha zwróciła się ku Królowej, czując na sobie oczy obecnych, już nie obojętnych, wpatrujących się pilnie, jak klęka i schyla głowę. Po sekundzie usłyszała chrząknięcia i skrzywienie skóry, gdy obok ciężko opadł Gundhalinu.

– Wasza Wysokość.

– Możecie wstać, inspektorze.

Jerusha zerwała się na nogi.

– Ty nie! – smagnęła głosem Królowa zaczynającego wstawać Gundhalinu. – Będziesz klęczał, póki nie pozwolę ci wstać, pozaziemcze.

Gdy mówiła, Starbuck, jakby kierowany jej wolą, podszedł do sierżanta i położył mu na ramieniu ciężką rękę odzianą w płynną czerń, zmuszając do powrotu na kolana. Starbuck mruknął coś w nieznanym języku. Jerusha wolno rozwarła dłonie zaciśnięte w pięści pod peleryną. Łamiącym się głosem powiedziała:

– Zabierz od niego łapy, Starbuck, bo oskarżę cię o napaść na oficera.

Starbuck uśmiechnął się. Pod gładką powierzchnią maski dostrzegła zwięzające się bezczelne oczy, zmieniającą się twarz. Nie ruszył się, nim Królowa nie nakazała tego gestem.

– Wstań, BZ – powiedziała łagodnie Jerusha, z trudem panując nad głosem. Wyciągnęła rękę, by mu pomóc, wyczuła, jak drży z wściekłości. Nie patrzył na nią; na jego ciemnej skórze uwydatniły się zmarszczki, czerwone jak krew z upokorzenia.

– Gdyby był moim człowiekiem, ukarałabym go za taką zuchwałość – powiedziała obserwująca ich teraz z nieruchomą twarzą Arienrhod.

*Już został ukarany.* Jerusha odwróciła się od niego i uniosła głowę.

– Jest obywatelem Kharemough, Wasza Wysokość; należy wyłącznie do siebie. – Spojrzała celowo na stojącego obok władczyni Starbucka.

Królowa uśmiechnęła się, tym razem z cieniem uznania.

– Może jednak komendant LiouxSked przysłała was do mnie nie tylko ze względu na płęć.

*To dowodzi, że nie jesteś wszechwiedząca.* Usta Jerushy ściągnęły się w nieznaczny uśmiech.

– Ośmielam się prosić o wybaczenie, lecz chciałabym zaznaczyć – podeszła szybko i po nagłym ciosie paraliżującym nerwy zabrała Starbuckowi pistolet – że to nie zabawka. – Chwyciła za uchwyt z matowego metalu, kierując ostrzegawczy palec lufy w stronę zbliżającego się mężczyzny. Usłyszała podniecone głosy obecnych. – Nie należy nigdy celować bronią energetyczną w coś, czego nie chcemy rozwalić.

Starbuck zastygł w połowie ruchu, widziała jego napinające się, drżące mięśnie. Opuściła pistolet.

– Przy bezpośrednim trafieniu pole odpychające zawodzi co piąty raz. Wasi dostojnicy powinni o tym pamiętać. – Królowa wydała jakiś dźwięk i głowa Starbucka pochyliła się nad tronem, a światło zatańczyło na kolcach jego hełmu.

– Dziękuję, inspektorze – Arienrhod kiwnęła głową, czyniąc przy tym dziwny gest palcami – ale znamy doskonale ograniczenia i zagrożenia związane z waszym pozaświatowym wyposażeniem.

Jerusha ukryła swe zwątpienie i wysunęła w milczeniu broń, kolbą naprzód, w stronę Starbucka.

– Pożałujesz tego, suko – mruknął głosem docierającym tylko do niej. Brutalnie wydarł jej pistolet i wrócił do podwyższenia.

Skrzywiła się bezwiednie.

– W takim razie...za pozwoleniem Waszej Wysokości przedstawię comiesięczny raport Komendanta, dotyczący stanu przestępczości w mieście.

Arienrhod kiwnęła głową i wychylona położyła władczo dłoń na ramieniu Starbucka, jakby uspokajała rozdrażnionego psa. Dostojnicy poczęli odpływać sprzed oblicza Królowej. Jerusha powściągnęła uśmiech bolesnego zrozumienia. Ten raport nie był bardziej znaczący od setek poprzednich czy następnych; wkrótce sama znajdzie się gdzieś indziej. Sięgnęła do urządzenia rejestrującego przy pasie i usłyszała głos swego przełożonego, recytujący statystykę napaści i włamań, aresztowań i skazań, pozaziemskich oraz miejscowych sprawców i ofiar przestępstw. Słowa zlewały się w jej umyśle w nic nie znaczącą melodię, wzbudzając dobrze znany gniew i żal. Bez znaczenia... wszystko to jest bez znaczenia.

Policja Hegemońska była formacją paramilitarną stacjonującą na wszystkich planetach Hegemonii, broniącą interesów jej obywateli i jej samej... co zwykle wiązało się z ochroną struktur władzy każdego świata. Na słabo rozwiniętej i zaludnionej Tiamat (połowa jej mieszkańców w ogóle nie zetknęła się z Hegemonią) liczebność policji ograniczała się do jednego pułku, zaznaczającego przeważnie swą obecność w rejonie portu kosmicznego i Krwawnika.

Podobnie ograniczona, powściągliwa, wręcz spętana była jej działalność, sprowadzająca się do przerywania pijackich bójek, aresztowania drobnych złodziejasków, nie kończących się wycierań nosów i nadaremnych oskarżeń, podczas gdy tuż przed jej nosem chodzili spokojnie najbardziej okrzyczani łajdacy cywilizowanej galaktyki, a niektóre najwystępniejsze zakały ludzkości spotykały się otwarcie w pieklach rozkoszy, gdzie czuły się jak u siebie.

Premier może i symbolizuje Hegemonię, lecz nią nie kieruje, jeśli w ogóle czynił to kiedykolwiek. Rządzi w niej ekonomia, kupcy i handlarze zawsze byli jej prawdziwym rdzeniem, a oni uznają nad sobą tylko jednego pana – Zysk. Istnieje jednak wiele różnych rodzajów handlu i wiele odmian handlarzy... Jerusha spojrzała na Starbucka sterczącego wyniośle po prawicy Królowej, żywy symbol szczególnego sojuszu Arienrhod z mocami ciemności i światła, wykorzystywania ich przez nią. On był wszystkim, co zgniłe, sprzedajne i zepsute w ludzkości i Krwawniku.

Na Tiamat – a w istocie w Krwawniku – tak jak na innych światach Hegemonii, wina i kara podlegała jurysdykcji dwóch trybunałów. Jeden, kierowany przez wybranego przez Zimaków miejscowego urzędnika, sądził według praw miejscowych. Drugiemu przewodniczył Sędzia Najwyższy spoza planety, wydający wyroki na nieziemców zgodnie z kodeksami Hegemonii. Policja dostarczała plew do obu młynów i według Jerushy plony winny być obfite. Arienrhod tolerowała jednak, a nawet popierała podziemie Hegi, tworząc z niego rodzaj czyścica, neutralnego gruntu wygodnego dla Wrót. A LiouxSkedowi, tej pompatycznej, wazeliniarskiej parodii człowieka i dowódcy brakowało kręgosłupa, by to zmienić. Gdyby tylko miała jego władzę i połowę możliwości...

– Czy macie jakieś uwagi do raportu, inspektorze?

Zaskoczona Jerusha poczuła się niebacznie przejrzana. Wyłączyła rejestrator, wykorzystując to dla opuszczenia wzroku.

– Żadnych, Wasza Wysokość – *Żadnych, jakich chciałabyś posłuchać, ani takich, jakie mogłyby cokolwiek zmienić.*

– Może nieoficjalne, Geio Jerusho? – spytała Królowa zmienionym głosem.

Jerusha spojrzała w twarz Arienrhod, otwartą i zachęcającą, twarz prawdziwej kobiety, a nie maskę władczyni.

Niemalże mogła zaufać temu obliczu... uwierzyć, iż za obrzędami i podstępami kryje się człowiek, do którego da się dotrzeć... *niemalże*. Jerusha spojrzała na stojącego przy boku Królowej Starbucka, jej giermka i kochanka.

Westchnęła.

– Nie mam żadnych nieoficjalnych uwag, Wasza Wysokość. Reprezentuję Hegemonię.

Starbuck powiedział coś w nie znanym jej języku; zjadliwość obelgi poznała jedynie po tonie.

Królowa wybuchnęła wysokim, niepohamowanym, niewinnym śmiechem i skinęła ręką.

– W takim razie możecie odejść, inspektorze. Gdy zechcę posłuchać zapuszkowanych wyznań lojalności, sprowadzę coppoka. Ma przynajmniej ładniejsze upierzenie.

Pojawił się pochylony w ukłonie Starszy Wayawayów, by wyprowadzić ich sprzed oblicza władczyni.

Jerusha znalazła się wreszcie na dziedzińcu pałacu, patrząc uważnie na pojazd patrolowy. Od osmalonego punktu trafienia rozchodziły się przez całą szybę pęknięcia spowodowane wybuchem. *To i do tego doszło?*

– Pewna jestem, że można by o tym długo mówić – wskazała ręką na obraz zniszczenia i

opuściła ją na klamkę – lecz niech mnie licho, jeśli zrobię tu przedstawienie. – Opadła na wyściełane siedzenie, a Gundhalinu zajął miejsce kierowcy. – Ponadto – zamknęła drzwi – nie potrafię powiedzieć więcej, niż że jestem zmęczona i czuję się jak wypluta. – Wygrzebała z kieszeni paczkę ieszów i wysypała kilka na dłoń. Włożyła je do ust i rozgryzła twarde, skórzaste mieszki, czując kojący nerwy cierpki smak. – Wreszcie... chcecie trochę? – Wyciągnęła paczkę.

Gundhalinu siedział sztywno za przyrządami, patrząc na dzikie macki zniszczenia. Milczał przez całą drogę powrotną, idąc Salą Wiatrów, jakby była to pusta ulica. Zaczął wprowadzać szyfr zapłonu, nic nie odpowiadając.

Schowała paczkę.

– Czy jesteście w stanie prowadzić, sierzancie? Może mam was zastąpić? – Wzdrygnął się od nagłej oficjalności jej głosu.

– Nie, pani inspektor! Jestem w stanie. – Kiwnął głową, patrząc prosto przed siebie. Widziała, jak w gardle więźnie mu więcej słów; oddychał ciężko jak rozzłoszczone dziecko. Pojazd cofnął się powoli i skręcił w stronę miasta.

– Co powiedział Starbuck tuż przed odesłaniem nas przez Królową? – zapytała bezosobowym tonem. Odczytywała niektóre ze znaków obrazkowego pisma Kharemough, głównie na instrukcjach obsługi większości ze sprowadzanego sprzętu, nigdy jednak nie chciało się jej nauczyć mówić sandhi. Policja jako wspólnego języka używała mowy miejsca swego stacjonowania.

Gundhalinu odchrząknął i przełknął ślinę.

– Przepraszam panią bardzo, ale ten bękart powiedział... “Hegemonii musi teraz brakować jaj, skoro przysłała ciebie.”

– To wszystko? – Jerusha niemal się roześmiała. – To przecież komplement... Dziwie się, że rozśmieszył królową. Może go nie zrozumiała albo wyczuła tylko, że to krytyka pod naszym adresem.

– Ponadto – mruknął Gundhalinu złośliwie – mamy go.

Teraz się roześmiała.

– No. A więc Starbuck jest z Kharemough.

Ponowne skinienie.

– A co wam powiedział?

Pokręcił głową.

– Nie mógł powiedzieć nic takiego, czego bym już nie słyszała, BZ.

– Wiem, pani inspektor. – Spojrzał na nią wreszcie, blade zmarszczki znów pokraśniały. – To znaczy, nie mogę pani powiedzieć, to mógłby zrozumieć tylko ktoś wychowany na Kharemough. Sprawa Honoru.

– Rozumiem. – Słyszała już przedtem, jak mówił o Honorze, wymawiając ze szczególnym naciskiem duże H.

– Dziękuję pani za wzięcie mnie w obronę przed Starbuckiem. Nie mogłem sam odpowiedzieć na jego zniewagi bez dalszej utraty twarzy. – Zadziwiła ją ceremonialność tych słów i ton nagłej wdzięczności.

Spojrzała na szlachtę i służbę gapiącą się na nich przez strzaskaną szybę, gdy mijali rezydencje górnego miasta.

– Nie traci się honoru, będąc znieważonym przez człowieka nie rozumiejącego znaczenia tego słowa.

– Dziękuję. – Ruszył w górę, omijając skaczące przed nimi dziecko. – Wiem jednak, że sam zawiniłem. Przysporzyłem też kłopotu pani i służbie. Jeśli zechce pani mnie zwolnić, rozumiem to.

Odchyliła się na miękkiej wyściółce siedzenia, rozcierając posiniaczone przez Starbucka



dłonie.

– Może wystarczy, jak nigdy więcej nie pójdziecie ze mną na wezwanie królowej, BZ. Nie dlatego, bym potępiała to, co zrobiliście, lecz z tego prostego względu, że teraz Starbuck ma przeciw nam broń. Przez to ciężiej będzie wam, i pośrednio mnie, powstrzymać ich przed nurzaniem w błocie dobrego imienia Hegi. Tak w ogóle to naprawdę was lubię, BZ, i będę cholernie rozczarowana, jeśli zechcecie ode mnie odejść. – *Choć prawdopodobnie nie byłbyś pierwszy.*

Lekki uśmiech ulgi rozjaśnił mu twarz.

– Nie, proszę pani. Jestem zadowolony... bardziej niż zadowolony. A zostawanie w domu, gdy odwiedza pani królową, to sam miód. – Uśmiechał się zaraźliwie.

Kiwnęła głową.

– Proszę nie myśleć, że gdybym tylko mogła, nie wysłałabym was, zamiast iść samej – uśmiechnęła się znowu, odprężona. Rozpięła i strąciła ciężki płaszcz, zdjęła hełm, patrząc na zaoblenia złotej skorupy. – Ktoś powinien zawiesić go na drzewie. Bogowie, mam tego dosyć! Dałabym wszystko za uczciwą pracę tam, gdzie trzeba prawdziwej policji, a nie pośmiewiska.

Gundhalinu patrzył na nią bez uśmiechu.

– Czemu nie załatwi sobie pani przeniesienia?

– Czy macie pojęcie, ile na to trzeba czasu? – Pokręciła głową, kładąc hełm na kolana, i poluzowała wysoki kołnierz munduru. – Zresztą próbowałam – westchnęła – bez skutku. “Jestem tu potrzebna” – powiedziała głosem gorzkim jak kwas.

– Czemu pani nie złożyła rezygnacji?

– Czemu się nie zamkniecie?

Gundhalinu posłusznie spojrział na przyrzady. Znajdowali się teraz w Labiryncie, posuwając się wolno zatłoczoną ulicą. Wieczór mroczył już niebo za murami przeciwsztormowymi. Jerusha obserwowała obdrapane alejki, jaskrawe piekła frontonów domów, przemykające jak jej marzenia i ambicje... Czy naprawdę dałaby wszystko za lepszą pracę? Czy zaryzykowałaby utratę rangi, choć wiedziała, iż otrzymała ją od LiouxSkeda tylko dlatego, by stanowić znaczniejszą ofiarę dla Królowej? Założyła za lewe ucho kosmyk ciemnokasztanowych włosów. Przecież za pięć lat i tak wszystko się zmieni. Hegemonia opuści Tiamat, a mnie pošlą w lepsze miejsce – każde będzie lepsze. Cierpliwość to wszystko, czego potrzebuję. Bogowie wiedzą, jak ciężko kobiecie zrobić jakąkolwiek karierę u Sinych, nawet teraz, nie mówiąc już o dojściu do jakiegóż władzy.

Zerknęła w jeden z mijanych zaułków. Był zdecydowanie fioletowy – tę barwę miały ściany, lampy, wywieszki – Aleja Indyga... Była niemal pewna, że wysłano ją na Tiamat, bo była kobietą, i początkowo była zadowolona. Wkrótce jednak zgorzkniała. Była Siną, bo lubiła tę pracę, a jeszcze jej nie skończyła...

Dostrzeżony przelotnie ruch zaalarmował jej podświadomość.

– W tył, BZ! Zapal migacz, coś widziałam w alejce. – Założyła hełm, dopinając rzemień pod brodą i jednocześnie otwierając drzwi. – Za mną. – Wyskoczyła i zaczęła biec, gdy tylko patrolowiec zahamował ostro przed wejściem do mrocznego zaułka. W powietrzu wisiały ciężkie zapachy z kuchni; wąską alejkę wypełniały klitki jadłodajni, pustych po kolacji. Kilka obecnych postaci wtopiło się w mury na widok czerwonego światła i szaroniebieskiego munduru. W połowie, gdzieś w połowie... Zwolniła, sięgając po włącznik lampy na hełmie, kierując ją na czarne jamy w dwupiętrowym, wzniesionym prowizorycznie budynku po jej lewej ręce. Zapalone światło ukazało w pierwszej jedynie stos metalowych bębnow, nic w następnej. Słyszała dudniące po chodniku kroki nadciągającego Gundhalinu... *głosy.*

Zalała światłem lampy kolejną dziurę w murze, głębszą od innych. Ukazało trzy postacie – nie,

cztery – pięć, jedna klęczała przy znieruchomiałej ofierze, trzymając w ręce coś świecącego.

– Stać! – krzyknęła, mierząc wyciągniętym ogłuszaczem.

– Sini! – zmieszane ruchy, jak owadów zaskoczonych światłem, jeden się jej nie spodobał.

Strzeliła i zobaczyła broń wylatującą z dłoni padającego.

– Powiedziałam stać! Wstawaj, ty z ostrzem; wyłącz je i rzuć tutaj. Już! – Poczwała stojącego przy niej Gundhalinu z wyciągniętym ogłuszaczem, skupiła całą swą uwagę na spełniającym jej rozkaz mężczyźnie. Świetlny ołówek poleciał chodnikiem, uderzając w jej but. – Teraz kłaść się na brzuchy. BZ, wyrwij im zęby. Będę cię osłaniać.

Gundhalinu ruszył od razu, patrzyła, jak klęka kolejno przy zatrzymanych i szuka u nich broni. Czekając, aż skończy, spojrzała na ofiarę leżącą bezradnie na boku; skrzywiła się i podeszła bliżej, by spojrzeć jej w twarz.

– Och... – W mętym świetle dojrzała młodą twarz o rudych włosach i zbielejących z przerażenia oczach, usłyszała nierówny, szarpany oddech. Opadła obok na kolana. Gundhalinu przeszukiwał ostatniego z pojmanyh. – BZ, znajdź kluczyki do kajdanek, którymi skuli chłopca. Nieźle oberwał, przyda mu się coś przeciw paraliżowi. – Otworzyła zawieszony przy pasie pakiet pierwszej pomocy i wyjęła strzykawkę ze środkiem pobudzającym. – Nie wiem, czy mnie widzisz, mały, ale wyobraź sobie szeroki uśmiech. Wszystko będzie dobrze. – Uśmiechając się rozpięła koszulę chłopca i wstrzyknęła mu lekarstwo w mięśnie piersiowe. Jęknął cicho z bólu lub sprzeciwu. Podniosła mu głowę i położyła na swych kolanach, podczas gdy Gundhalinu zbliżył się z kluczykiem do kajdanek. Ręce chłopca opadły bezwładnie wzdłuż boków.

– Wiem, co można z nimi zrobić. – Uśmiechnął się Gundhalinu, unosząc kajdanki.

Kiwnęła głową.

– Dobra. Użyj ich. – Odpięła i podała swoje. – Masz. Równe traktowanie wobec prawa.

Gundhalinu wstał ponownie. Patrzyła, jak skuwa trzech pojmanyh. Przez ciało chłopca przeszło drżenie. Gdy opuściła oczy, zobaczyła, jak z ulgą łapie powietrze. Powieki skryły jego dzikie oczy barwy morza. Odsunęła mu z twarzy mokre kosmyki rudych włosów.

– Lepiej idź do radia, BZ; nie zmieścimy tego tłumu na tylnym siedzeniu. Nasz młody przyjaciel chyba wyjdzie z tego cało.

Gundhalinu pochylił głowę.

– Tak jest, pani inspektor. – Pętany przez niego napastnik uniósł twarz i splunął.

– Baba! Pieprzona Sinica. Jak może ci się to podobać! Ulec babie. – Gundhalinu szturchnął go mocno butem, aż jęknął.

Jerusha oparła się plecami o ścianę, opierając ogłuszacz na kolanie.

– Nigdy o tym nie zapominaj, sukinsynie. Może nie wolno nam sięgnąć do sedna tego, co psuje to miasto, lecz możemy mu odciąć kilka palców.

Gundhalinu wrócił alejką do patrolowca. Jeśli nawet zaszłe wydarzenia kogoś zdziwiły, to nikt o nic nie pytał. Jerusha wiedziała, że wszyscy naprawdę zainteresowani zostali już powiadomieni. Chłopiec jęknął cicho na próbę i położył ręce na piersiach. Otworzył oczy i zaraz je zmrużył w świetle lampy.

– Czy zdołasz usiąść?

Kiwnął głową i wyciągnął ręce. Szarpnęła je i oparła go o ścianę. Na pierś chłopca skąpy wała krew z nosa. Grzebał między wiszącymi mu na szyi sznurami jaskrawych, połamanych paciorków.

– Cholera. Och, cholera... właśnie je kupiłem! – Oczy miał nadal szkliste.

– Nie martw się o opakowanie, skoro towar jest ca... – przerwała na widok bujającego się wśród paciorków zmatowiałego medalu. – Skąd to masz? – zapytała z niezamierzoną natarczywością.

Zacisnął pięść na krążku.

– To moje!

– Nikt temu nie przeczy. Stój! – Kącikiem oczu dojrzała jakiś ruch i wyszarpnęła broń. Leżący najbliżej wylotu alejki jeniec zachwiał się, niemal zdołał się wyprostować pomimo skutych na plecach dłoni. – Padnij i czołgaj się, bo dostaniesz tak jak chłopak. – Położył się na brzuchu, miotając na nią obelgi.

– Chciał... – zaczął chłopiec i przycisnął dłoń do ust. – Chciał... mi obciąć. Chcieli mnie sprzedać! Powiedzieli, że... będę... – Zadrżał.

Patrzyła, jak stara się opanować.

– Niemi nie opowiadają... choć tam, dokąd miałeś trafić, i tak nikt by cię nie zrozumiał. Zresztą, nikogo by to nie obeszło... To niezbyt miła myśl, co? – Łagodnie ścisnęła jego chude ramię. – Tak jednak dzieje się ciągle, tylko że już bez udziału tych pocziwców. Jesteś z innego świata?

Znów chwycił za medal.

– Taa... to znaczy nie. Moja matka jest stąd. Ojciec nie. – Mrużył mocno oczy.

Ukryła zdziwienie.

– Medal masz od niego – stwierdziła rzeczowo, nie interesując się, gdzie go zdobył, wężąc teraz za większym przestępstwem. – Ale wychowałeś się tutaj? Uważasz się za obywatela Tiamat?'

Ponownie potarł usta.

– Chyba tak – powiedział z nutą wahania lub podejrzliwości.

Alejką wracał Gundhalinu; światła ich lamp połączyły się, odganiając cienie.

– Zaraz po nich przyjadą, pani inspektor. – Kiwnęła głową. – Jak się czujesz? – zapytał chłopca.

Ten zapatrzył się w ciemną, pomarszczoną twarz Gundhalinu, zapominając na chwilę o właściwych manierach.

– Chyba dobrze. Dziękuję... dziękuję – Zwrócił głowę w stronę Jerushy i napotkawszy jej wzrok, spuścił oczy, by znów je zaraz podnieść. – Sam nie wiem jak... mogę tylko... podziękować.

– Chcesz się nam odwdziaczyć? – Uśmiechnęła się, gdy kiwnął głową. – Bardziej uważaj, gdzie chodzisz. Przysięgnij też podczas nagrywanego przesłuchania, że jesteś obywatelem Tiamat. – Zwróciła się do Gundhalinu. – Nie tylko porwanie i napad, lecz i próba zabrania obywatela planety obłożonej zakazem. Czuję się coraz lepiej.

Gundhalinu wybuchnął śmiechem.

– A niektórzy coraz gorzej. – Wskazał głową na pojmanych.

– Co to znaczy? – Chłopiec dźwignął się na nogi i oparł ciężko o ścianę. – Czy nigdy nie będę mógł wyjechać na inną planetę, choćbym tego chciał?

Gundhalinu podtrzymał go wyciągniętą ręką.

Jerusha spojrzała na zegarek.

– Tobie może się udać, bo masz ojca nie stąd; jeśli tylko zdołasz tego dowieść. Gdy odleczysz, nie będziesz mógł oczywiście nigdy tu wrócić... Musisz się poradzić prawnika.

– Dlaczego pytasz? – zainteresował się Gundhalinu. – Gdzieś się wybierasz?

Chłopiec spojrzał nieprzyjaźnie.

– Może kiedyś zechcę. Dlaczego nas nie wypuszczacie, skoro sami tu przylatujecie?

– Ponieważ twoja kultura nie osiągnęła dostatecznego stopnia dojrzałości – wyrecytował Gundhalinu.

Chłopiec spojrzał wymownie na pozaziemskich jeńców, a potem na Gundhalinu, który przyjął to grymasem.

Jerusha włączyła urządzenie zapisujące.

– Jeśli pozwolisz, zarejestrujemy kilka rzeczy. Potem zabierzemy cię do ośrodka medycznego, by...

– Nie trzeba. Czuję się dobrze. – Chłopiec wyprostował się i obciągnął ubranie.

– Sam wiesz, że raczej nie jesteś w stanie ocenić się właściwie. – Spojrzała ostro w jego pałające oczy. – Ale to twoja sprawa. Jeśli wolisz, idź do domu się przespać. W każdym razie musimy wiedzieć, gdzie cię można w razie czego znaleźć. Wymień swoje nazwisko.

– Sparks Dawntreader Letniak.

– Letniak? – Z opóźnieniem wyczytała zawahanie się jego głosu. – Od jak dawna jesteś w mieście, Sparks?

Wzruszył ramionami, uciekając wzrokiem.

– Niezbyt długo.

– Hmm. – *To wiele tłumaczy.* – Dlaczego przybyłeś do Krwawnika?

– Czy to też sprzeczne z prawem? – zapytał głosem ociekającym sarkazmem.

– Nic o tym nie wiem. – Usłyszała oburzone prychnięcie Gundhalinu. – Czy pracujesz, a jeśli tak, to co robisz?

– Pracuję. Gram na ulicy. – Ręce chłopca zaczęły nagle macać wokół, przeszukując koszulę, pas, powietrze. – Moja piszczalka...

Jerusha omiotła ciemne kąty światłem lampy zamocowanej na hełmie.

– To ta?

Chłopiec opadł na ręce i kolana przy jednym z jeńców i podniósł kawałki.

– Nie, nie! – Twarz i dłonie stężały mu z bólu. Pojmany zaśmiał się i otrzymał cios w usta.

Jerusha odciągnęła chłopca.

– Wystarczy, Letniaku... Wpadłeś w niezłą kabałę, bo nikt nie nauczył cię reguł. I nie nauczy, w tym rzecz. Póki jeszcze możesz, wracaj na swe spokojne, nie znające upływu czasu wyspy. Wracaj do domu, Letniaku... i odczekaj pięć lat. Po Zmianie będziesz tu u siebie.

– Wiem, co robię.

*Diabła tam wiesz,* pomyślała, patrząc na jego posiniaczoną twarz i ściszaną w dłoniach połamaną piszczalkę.

– Skoro brak ci teraz środków utrzymania, mogę cię oskarżyć o włóczęgostwo. Chyba że w ciągu dnia opuścisz miasto. – *Wszystko, bylebyś wrócił na statek i odpłynął, nim Krwawnik pochłonie następne życie.*

Chłopak patrzył z niedowierzaniem. Potem opanował go gniew i wiedziała już, że przegrała.

– Nie jestem włóczęgą! Wytwórczyni masek z Alei Cytrynowej. Mieszkam tam.

Jerusha usłyszała nadjeżdżający patrolowiec i tupot nóg w alejce.

– Dobra, Sparks, skoro masz gdzie mieszkać, możesz chyba wrócić do domu. – *Tylko że tego nie zrobisz, idioto.* – Ciągłe jednak potrzebne mi są nagrane zeznania ofiary, by na dobre załatwić te pijawki. Wstąp jutro na komendę policji, przynajmniej tyle możesz dla mnie zrobić.

Chłopiec kiwnął głową i ruszył alejką. Nie spodziewała się go więcej zobaczyć.

– Jak to nie wiesz, co się stało z chłopcem? – Arienrhod wychyliła się z miejsca, patrząc na łysą kopułę pochylonej głowy kupca. Jak szpony zacisnęła palce na miękkich podpórkach wygodnego fotela.

– Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość! – Kupiec spojrział na nią oczami zaszczutego szczura. – Nie sądziłem, że interesujecie się nie tylko dziewczyną, ale i nim. Powiedziałem mu, by poszedł do Gadderfy w Alei Pobrzeżka, lecz się tam nie pokazał. Jeśli mam przeszukać miasto... – Głos mu zadrżał.

– Nie, to niekonieczne. – Zdołała mówić uspokajająco, nie chcąc, by stary padł trupem na samą myśl o tym. – Moje metody są znacznie bardziej skuteczne od twoich. Sama go znajdę, gdy uznam, że jest mi potrzebny. – I chyba mam taki zamiar, – Powiedziałeś, że postanowił tu przybyć, bo... Moon... zostanie sybillą, a on został odrzucony? – *Jak ciężko nazywać siebie innym imieniem.* – Czego szuka w Krwawniku?

– Nie wiem, Wasza Wysokość. – Kupiec międlił w dłoniach ozdobny koniec skórzanego pasa. – Jak jednak mówiłem, zaprzysięgli sobie nawzajem; zawsze byli razem. Sądzę, że jego duma została zraniona, gdy nie został wraz z nią dopuszczony do tego hokus-pokus. Ponadto jego ojcem jest pozaziemiec, nosi zawsze ten medal... chyba jest ciekawy.

Kiwnęła głową, nie patrząc na niego. Od lat dostarczał jej wieści o dorastającej razem parze dzieci, niedorosłych oblubieńcach połączonych niewidzialnym sznurem wierności... dzięki czemu zdoła może ściągnąć dziewczynę do Krwawnika i wyrwać ją z zabobonnego wariactwa sybilli. Nie mogła jej winić za chęć uzyskania najwyższych szczytów w swym ograniczonym świecie; potwierdzało to jedynie, że obie są na pewno tą samą kobietą. Jednakże obsesja Moon uodparniała ją na próby handlarza, aby zainteresować ją techniką Zimaków, choć zdołał wywołać ciekawość w chłopcu, może ze względu na jego pozaziemskiego ojca. Moon przynajmniej nigdy nie odrzuciła kuzyna za jego techowe zainteresowania, co uczyniłaby każda prawdziwa Letniaczka. To skłaniało Arienrhod do tolerowania ich związku, w nadziei, że nawet tak nikłe kontakty z techniką pomogą Moon przygotować się na swe przeznaczenie. Przynajmniej nie jest z nim w ciąży – nawet Letniacy pielęgnują “zgubę dzieci” i wiedzą, jak jej używać. Gdyby znalazł się w pałacu, czekając na nią...

– Jesteś pewien, że Moon teraz “uczy się” z tymi sybillami na ich wyspie? Czy będzie tam bezpieczna?

– Równie bezpieczna, co wszędzie wśród Letniaków, Wasza Wysokość. Przypuszczalnie nawet bardziej. Być może będzie już na Neith, gdy tam wrócę.

– Powiedziałeś też, że widziane przez ciebie sybille nie są obłąkane? – spytała ostrzejszym tonem. Miała nadzieję sprowadzić tu dziewczynę, nim zarazi się chorobą sybilli, ale było już za późno.

– Nie są, Wasza Wysokość – pokręcił głową. – Całkowicie panują nad swoimi atakami. Nigdy nie widziałem żadnej, która by tego nie czyniła. – Uspokoił ją swym brakiem strachu.

Arienrhod przyglądała się malowidłu na ścianie ponad głową kupca. Dopóki dziewczyna jest zdrowa, wszystko inne jest mało ważne; choroba może być nawet zaletą, ochroną, jeśli dzięki niej utrzyma zaufanie Letniaków. Znów spojrziała na kupca.

– Przekażesz jej wiadomość od kuzyna, którą ci dostarczę. Chcę, by przybyła do Krwawnika. Moon musi przypląć tu z własnej woli; Letniacy nigdy by się nie pogodzili z porwaniem sybilli.

Kupiec trzymał pochyloną głowę; nie mogła dojrzeć jego miny, choć się lekko wzdrygnął.

– Ależ, Wasza Wysokość, skoro zostanie sybillą, może się bać przybyć do miasta.

– Przybędzie. – Uśmiechnęła się Arienrhod. – Znam ją, przybędzie. – *Zrobi to, jeśli uzna, że coś grozi jej kochankowi.* – Dobrze mi służysz... – uprzytomniła sobie, że zapomniała jego imienia, i nie użyła go – kupcze. Zasługujesz na hojną zapłatę. – *Bogowie, muszę się starzeć.* Jej uśmiech zmienił się lekko i nacisnęła kilka podświetlonych klawiszy na poręczy fotela. – Myślę, że przekonasz się o wymazaniu wszystkich długów, które zaciągnąłeś na kupno nowych towarów na handel.

– Dziękuję, Wasza Wysokość! – Patrzyła, jak podczas składania hołdu podskakuje mu obwisła twarz, nie znosiła widoku brzydoty wywołanej starością, choć z drugiej strony cieszyła się świadomością własnej na nią odporności.

Odprawiła go bez ostrzeżenia, by zachował spotkanie dla siebie. Był jej dalekim, lecz lojalnym krewniakiem; wiedziała, że bez względu na zdumienie wywołane swą dziwną pieczę i dziwnym przedmiotem tej opieki nigdy o nic nie zapyta ani niczego nie zdradzi. Zwłaszcza że płaci mu tak dobrze.

Gdy odszedł, wstała z fotela w małej prywatnej komnacie i podeszła do drzwi, odsuwając na bok białe płyty. Zastała za nimi czekającego w większej sali Starbucka, niezupełnie spodziewanego. Miał z sobą Psy – ziemno-wodne drapieżniki z Tsieh-punu, idealnie dostosowane do tropienia merów. Ich sfera kłębiła się w dalekim kącie komnaty, machając kończynami zakończonymi mackami i warcząc na siebie bezładnie.

Sam Starbuck opierał się jednak ze zwykłą dlań w szerszym otoczeniu bezczelnością o potężny samathański stół, stojący bardzo blisko jej lewego boku... bardzo blisko drzwi. Zastanowiła się, czy podsłuchiwał; uznała, że pewnie tak, lecz także, że to nieważne.

Był zakapturzony i odziany na czarno, lecz zamiast dworskiego stroju nosił wygodny skafander termiczny, obwieszony przyborami łowieckimi. Gdy się wyprostował, zabłysło światło na skrytym w pochwie nożu. Skłonił się jej sztywno, lecz dopiero po tym, jak spojrzał na nią badawczo, z ciekawością w ciemnych oczach.

– Już wyjeżdżasz? – zapytała go z chłodem w głosie.

– Tak, Wasza Wysokość. Jeśli was to zadowala. – Wychwyciła lekkie naśladowanie obrzędu wymienianego między równymi.

– Zadowala mnie bardzo. – *Tak, zżymaj się, mój łowco zbyt pewny siebie. Nie jesteś pierwszy, lecz kolejny i być może nie ostatni.* – Im szybciej wyjedziesz, tym lepiej. Będiesz teraz polował w rezerwacie Wayawayów?

– Tak, Wasza Wysokość. Pogoda jest tam dobra i powinna się utrzymać. – Zawahał się i podszedł do niej. – Zapewnście mi szczęście na łowach...? – Gładził jej ramię przez tkaninę.

Uniósł maskę, przyciągnęła rękoma jego twarz, całując ją z obietnicą większej nagrody.

– Dobrych łowów.

Kiwnął głową i odszedł. Patrzyła, jak zbiera Psy i rusza na poszukiwanie życia i śmierci.

– *Wprowadzenie...*

Ocean powietrza... ocean kamienia. Leciąca. Moon wpatrywała się obcymi oczyma w sklepione ściany prążkowanej skały, wbijającej się lejem w wąwóz, w niezmierną przestrzeń" zniszczonej erozją powierzchni, przypominającej wymyślną koronkę, z plamami fioletu, zieleni, czerwieni, szarości. Była zamknięta w wolu przezroczystego ptaka, bujającego w locie; przed nią migwały i trzaskały monitory i wyświetlacze dziwnych symboli. Jednakże unieruchomiona swym transem nie mogła ich dotknąć, gdy pędziła prosto na wznoszący się jak mur grzebień purpurowej skały.

Statek wzbił się w górę, przeskoczył grzbiet i runął w głębszą otchłań, aż zakreśliło się jej w głowie. Coś na tablicy zapłonęło czerwienią, pikając krytycznie, gdy ponownie nabrała wysokości. Skąd się tu wzięła, do czego ją przywiązano, gdzie znajdowało się to skamieniałe morze, to były zagadki, na które nigdy nie zdołała odnaleźć odpowiedzi; tak samo na pytania: z kim, jak i dlaczego... Niebo nad nią było bezchmurne, o barwie indyga, ciemniejące w zenicie, oświetlone przez jedno tylko, małe, srebrne słońce. Nigdzie nie widziała wody...

– *Wprowadzenie...*

Ocean piasku. Ciągająca się nieskończenie plaża, bezbrzeżne morze wydm, poruszone nieustającymi falami pędzonymi wiecznym wiatrem... Jej statek przesunął się nad zmarszczkami piasku i ze swego miejsca, osłoniętego przed palącym światłem, z wysokim, chroniącym ją oparciem, nie wiedziała na pewno, czy żyje naprawdę, czy nie...

– *Wprowadzenie...*

Ocean ludzi. Tłumy kołysały się wokół niej na narożniku dwóch ulic, popychając ją i wlokąc jak zdradziecki prąd. Obok ryczały i grzechotały maszyny zatykające drogi, wypełniające jej nos gorzkim smrodem i maltretujące uszy... Ciemnowłosy obcy, odziany cały na brązowo, w spiczastym kapeluszu i błyszczących butach, złapał ją za ramię; wypytywał o coś podniesionym głosem w nieznanym języku. Zobaczyła, jak jego twarz zmienia się nagle i ją puszcza...

– *Wprowadzenie...*

Ocean nocy. Całkowity brak światła i życia... poczucie wieku makrokosmosu... świadomość aktywności mikrokosmosu... wiedza, że nigdy nie przeniknie jego tajemnego sedna, choćby nie wiadomo jak często wracała tu, wracała do mrocznej otchłani nicości, nicości absolutnej...

– *...Koniec analizy!* – Usłyszała, jak słowa te odbijają się echem, poczuła opadającą swobodnie głowę, złapała oddech, gdy koniec następnego transu powrócił ją własnemu światu. Siedziała w przykłęku, w narastającym tempie rozluźniała mięśnie ciała... oddychała głęboko, świadoma każdej dzwoniącej w niej odpowiedzi.

W końcu otworzyła oczy i ujrzała uspokajający uśmiech Danaquila Lu, siedzącego na niezdatnym drewnianym krześle w drugim końcu komory. Teraz już panowała nad swym ciałem podczas Przekazu; nie musiano więcej jej przytrzymywać, wiązać z prawdziwym światem. Uśmiechnęła się do niego z dumą i zmęczeniem, usiadła po turecku na tkanej macie.

W drzwiach ukazała się Clavally, odcinając pasmo promieni słońca, które ogrzewało plecy Moon. Przeszła do następnej sadzawki światła, rozlanej pod zniszczoną framugą okna, i bezwiednie wysunęła rękę, by pogłodzić zawsze rozczochrane brązowe włosy Danaquila Lu. Był on człowiekiem spokojnym, a nawet nieśmiałym, łatwo jednak wybuchał śmiechem po kolejnym kaprysie Clavally. Moon wydawało się, że niezbyt dobrze się tu czuje, nie pasował do tej wyspy, do pokoi wyciosanych w porowatej skale. Nie potrafiła stwierdzić, gdzie byłby u siebie, lecz niekiedy dostrzegała w jego oczach tęsknotę. Czasami też przyłapywała go, jak się jej przygląda z wyrazem twarzy, którego nie

potrafiła określić – jakby kiedyś już ją widział. Na szyi i boku twarzy miał brzydkie szramy, wyglądające na pamiątkę po zwierzęcych pazurach.

– Co widziałaś? – Clavally zadała pytanie będące niemal rytuałem. Aby pomóc jej nauczyć się kontrolować Przekaz, opanować obrzędy ciała i umysłu tworzące sybille, zadawali jej pytania o znanych odpowiedziach – takie same, jakie tworzyły część ich szkolenia. Moon nauczyła się, że nigdy nie będzie wiedzieć, jakimi słowami odpowie na zadane jej pytanie. Zamiast nich otrzyma wizję: trafi do jamy mroku ogromnej jak śmierć... do pulsującego marzeniem świata, gdzieś w środku innej rzeczywistości. Mistyczne włókna wiązały każde pytanie z oddzielnym snem, tak iż Clavally lub Danaquil Lu mogli kierować doznawanymi przez nią Przekazami, zmniejszać straszliwą obcość przewidywaniami, co zobaczy.

– Znów trafiłam do Miejsca Pustki. – Moon potrząsnęła głową, pozbywając się przyprawiających o szaleństwo resztek snu, rozprasząc cienie ciągle dźwięczące w jej pamięci. Pierwszymi rzeczami, jakich nauczyła się po inicjacji, były blokady umysłu i kontrolowane skupienie, które zapewni jej zdrowie psychiczne, zapobiegnie wysłuchiwanemu tysiący ukrytych myśli wszystko dostrzegającego umysłu Pani i wpadaniu w uniesienie, gdy ktoś przy niej o coś zapyta. – Dlaczego idziemy tam głębiej niż ktokolwiek inny? To jak tonięcie.

– Nie wiem – odparła Clavally. – Może naprawdę toniemy. Podobno tonący także mają wizje.

Moon poruszyła się niespokojnie.

– Mam nadzieję, że nie.

Ich śmiech rozbrzmiał echem w małym pomieszczeniu. Clavally przycupnęła obok Danaquila Lu, w roztargnieniu zaczęła rozcierać mu z czułością ramiona, aż zagrzechotał melodyjnie jego naszyjnik z muszelek. Wilgotny chłód nocy w kamiennych komorach wywoływał u niego sztywność i ból, lecz nigdy się nie skarżył. *Może to dlatego...* Moon zacisnęła dłonie na kolanach, patrząc na nich oboje.

– Dobrze już kontrolujesz, Moon – uśmiechnął się Danaquil Lu, na wpół do niej, na wpół do rąk Clavally. – Robisz postępy z każdym Przekazem, masz bardzo silną wolę.

Moon powstała.

– Przyda mi się chyba trochę świeżego powietrza. – Sama uznała swój głos za słaby i cienki. Wyszła szybko, bo tak naprawdę to nie powietrza potrzebowała.

Niemal biegła ścieżką prowadzącą do zatoczki z ich łodziami; skręciła w inną, wznoszącą się niebieskozielonym, wietrznym przylądkiem nad niebieskozielonym morzem. Oddychając ciężko, rzuciła się na długą, pokrytą solą trawę, zanurzyła w niej nogi, oglądając się na zwrócone ku południu urwisko, gdzie od miesiący mieszkała jak ptak w gnieździe. Spojrzała znów na morze, dostrzegając w błękitnej dali poszarpany grzbiet Wyspy Wyboru, na której, mniejszej siostrze, przebywała teraz... przypomniała sobie z wyrazistością snu Przekazu chwilę postanowienia Pani, które rozdarło życie jej i Sparksa. *Nie żałuję!* Uderzyła mocno pięścią w zbitą trawę i rozwarła ją bezsilnie.

Uniosła rękę, by przyjrzeć się cienkiej, białej linii przez nadgarstek, ślad po nacięciu wykonanym przez Clavally metalowym sierpem wiele miesięcy temu. Potem przecięła swą rękę, a Danaquil Lu połączył ich nadgarstki, aż krew zmieszała się i kapąła razem, gdy w tym właśnie miejscu śpiewał hymn do Matki Morza. Tu, zwrócona ku oceanowi, została poświęcona, tu zawieszono jej na szyi drucianą koniczynkę; tu przyjęto ją do nowego życia, gdy wszyscy po kolei upijali z czary słonej wody; tu dopuszczono ją dzięki więzi krwi do tego świętego kręgu ludzi'. Drżała ze strachu, poczuła nagle gorąco, zimno i zawroty głowy, gdy wypełniła ją obecność Pani... straciła między nimi przytomność, następnego dnia obudziła się słaba i rozgorączkowana, cała



przerażona. Stała się jedną z niewielu wybranych. Po szramach na nadgarstkach Clavally i Danaquila Lu poznała, że przed nią wtajemniczyli tylko kilka osób. Ujęła w dłoń koniczynkę, przypomniała sobie Sparksa trzymającego swój symbol wszystkiego, co ich dzieli; ścisnęła ją ostrożnie ze względu na ostre występy. *Śmierć za pokochanie sybilli... za bycie sybillą...*

Ale nie za pokochanie innej sybilli. Patrzyła z zawiścią na urwisko, wyobrażała sobie Clavally i Danaquila Lu dzielących się miłością pod jej nieobecność. Gorzkie słowa żegnającego się Sparksa były teraz jedynie cienką białą linią na powierzchni jej umysłu, taką samą jak na nadgarstku. Czas i wspomnienia poprzedniego życia zatarły jej ból, jak fala zaciera ślady stóp na piasku, pozostawiając jasne lustro wody, odbijające miłość i potrzebę. Zawsze go kochała, zawsze go potrzebowała. Nigdy z niego nie zrezygnuje.

Clavally i Danaquil Lu zaprzysięgli sobie, i wiedza o tym była małym demonem, zamkniętym w jej piersi. Dla wyspiarzy seks był czymś równie naturalnym, co rośnienie, skrywali jednak swe życie osobiste; dlatego też spędzała wiele godzin na obowiązkowych samotnych medytacjach, które zbyt łatwo przechodziły w marzenia o pełnej zazdrości tęsknocie. A jedną z rzeczy, jakich dowiedziała się o sybillach, było to, że są tylko ludźmi. Żal, gniew i wszystkie drobne zawody życia nadal wyrastały z ziaren jej poświęcenia, jej najlepsze intencje ciągle owocowały złymi skutkami. Nadal śmiała się, płakała, czuła ból, wspominając jego dotknięcia...

– Moon?

Okręciła się z poczuciem winy na głos Clavally.

– Dobrze się czujesz? – Clavally usiadła obok niej na trawie, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Moon poczuła nagły napływ uczuć, a także energii, jakie wyzwalało w niej teraz każde pytanie – niedola łąkanie towarzystwa. Ledwo to opanowała.

– Tak – mruknęła – ale czasami... brak mi Sparksa.

– Sparksa? Twego kuzyna? – Przytaknęła. – Teraz go sobie przypominam. Widziałam was razem. Powiedziałaś, że chcesz, byście zawsze byli z sobą. Nie poszedł z tobą?

– Poszedł! Ale Pani odrzuciła go. Całe życie planowaliśmy, że zrobimy to razem... a potem go odrzuciła.

– Mimo to tu przybyłaś.

– Musiałam. Pół życia czekałam na zostanie sybillą. By znaczyć coś w świecie. – Moon zadrżała i objęła kolana, gdy nagle chmura zakryła słońce. Ocienione morze stało się matowoszare. – Nie mogł tego zrozumieć. Mówił głupie, nienawistne słowa. On... odszedł, do Krwawnika! Odszedł w złości. Nie wiem, czy kiedykolwiek wróci. – Uniosła głowę, spotkała wzrok Clavally, ujrzała w nim sympatię i zrozumienie, które odsuwała od siebie od tak dawna, i zrozumiała, że źle robiła, skrywając wszystko, samotnie dźwigając swe brzemie. – Dlaczego Pani nie wybrała nas oboje? Zawsze byliśmy razem! Czy nie wie, że jesteśmy tym samym?

Clavally pokręciła głową.

– Wie, że nie jesteście, Moon. To dlatego wybrała tylko ciebie. W Sparksie jest coś, czego ci brak – albo na odwrót – i gdy Pani wejrzała w jaskini w wasze serca, usłyszała w jego sercu fałszywą nutę.

– Nie! – Moon spojrzała przez wodę na Wyspę Wyboru. Na niebie gromadziły się chmury, grożąc następnym deszczem. – To znaczy... w Sparksie nie ma niczego złego. Czy to dlatego, że jego ojciec nie jest Letniakiem? Bo lubi technikę? Może Pani sądzi, że nie jest prawdziwym jej wyznawcą. Nie bierze Zimaków na sybille. – Moon zagłębiła palce w rzadką trawę, szukała usprawiedliwienia w splątanych źdźbłach.

– To nieprawda. Bierze.

– Tak?

– Danaquil Lu jest Zimakiem.

– On? – Moon uniosła głowę. – Ale... w jaki sposób? Dlaczego? Zawsze słyszałam... wszyscy mówią, że oni nie wierzą. I że nie... lubią nas – dokończyła pokornie.

– Pani wybiera dziwne drogi – odpowiedziała Clavally. – Gdy Dana był młody, jego rodzina posiadała ziemie graniczące z Letniakami. Raz, podjudzony, odwiedził miejsce wyboru sybilli. I Pani go wezwała. Został sybillą – nie mógł jej odmówić, tak samo jak ty nie mogłaś.

Moon spojrzała na morze, a potem na swą towarzyszkę, nie wiedząc, co powiedzieć.

Clavally uśmiechnęła się z żalem.

– Ludzie to owoc jednocześnie słodki i gorzki, zawsze. Pani wybiera to, co najbardziej odpowiada Jej smakowi, i nie dba, czy ktoś Ją czci, czy nie. – Spojrzała w dal, błędziła wzrokiem po komorach w ścianie urwiska. – Mało Zimaków próbuje zostać sybillą, bo są uczeni, że to szaleństwo albo zabobonne sztuczki. Rzadko widują sybille, nie wolno im wchodzić do Krwawnika. Pozaziemcy nienawidzą ich z tego samego powodu, a czego nie znoszą pozaziemcy, to odrzucają i Zimacy. Wierzą jednak w moc odpłaty Pani. – Zmarszczki pogłębiły się na jej twarzy. – Mają drąg zakończony kolczastą obrożą, by nikt się nie “splamił” krwią sybilli...

Moon pomyślała o Dafcie Naimy... i o Danaquilu Lu. Dotknęła trójlistnego tatuażu u podstawy szyi, pod białą wełną swetra.

– Danaquil Lu...

– ...został skazany, wygnany z Krwawnika. Nie może tam wrócić; przynajmniej za władzy Królowej Śniegu. Spotkałam go podczas jednego z objazdów wysp. Wydaje mi się, że odkąd jesteśmy razem, jest szczęśliwy... a przynajmniej zadowolony. Wiele się od niego nauczyłam. – Opuściła wzrok, nagle niespodziewanie spojrzała na dziewczynę. – Wiem, że to może podłe z mej strony, lecz cieszę się, że go wygnali.

– Rozumiesz więc, co czuję.

Clavally przytaknęła z uśmiechem. Podwinęła rękawy kurtki, odsłaniając dawno zagojone blizny na nadgarstku.

– Nie wiem, dlaczego zostajemy wybrani... ale nie z powodu naszej doskonałości.

– Wiem. – Moon skrzywiła usta. – Skoro jednak nie chodzi o zainteresowanie techniką, to jak Sparks może być mniej ode mnie doskonały...

– ...skoro uważasz, że nie może być nic doskonalszego od pamiętanego przez ciebie kochanka?

Wstydlive przytaknięcie.

– Gdy po raz pierwszy zobaczyłam was razem, miałam przecucie, tak jak i ty, że jeśli tu przybędziesz, zostaniesz wybrana. Wydawałaś mi się *słuszna*. Ale Sparks... był w nim niepokój.

– Nie rozumiem.

– Powiedziałaś, że odplynał, zły. Czy nie sądzisz, że odszedł z powodów słusznych i niesłusznych, że chciał cię skrzywdzić? Że winił cię za tve powodzenie i swą porażkę.

– Ale ja czułabym to samo, gdyby od został wybrany, a nie...

– Czułabyś? – Clavally spojrzała na nią. – Może czułby to każdy z nas... cała dobra wola świata nie zdoła nas powstrzymać przed połknięciem haczyka, na którym przynętą jest zazdrość. Ale Sparks wini ciebie za to, co się stało. Ty jedyna winiłabyś siebie.

Moon skrzywiła się i zamrugła, wspomniała ich dzieciństwo, jak rzadko próbował się jej sprzeciwiać. Gdy dochodziło już do sprzeczek, uciekał, zostawiając ją samą. Potrafił się gniewać wiele godzin, a nawet dni. W pozostawianej przez niego pustce pojawiał się jej gniew na samą siebie. Za każdym razem szła do niego i przeproszała, nawet wtedy gdy wiedziała, że to on się myli.

– Chyba tak. Choć nie ma w tym niczyjej winy. Ale to też źle.

– Tak... tylko że boli jedynie ciebie. Uważam, że to coś innego.

Dwie niespodziewane krople deszczu spadły na odkrytą głowę Moon; spojrzała w górę, zaskoczona i zmieszana. Naciągnęła kaptur, a Clavally wstała, wskazując na schronienie.

Pobiegły do kępy drzewiastych paproci. Po paru minutach deszcz zagłuszył wszystko. Stały w milczeniu, nic nie widząc za ścianą stopionej szarości, aż wiatr przegnał szkwał na morze. Moon oderwała się od ciemnego, soczystego pnia paproci; patrzyła na wzory kropelek zwisających jak perełki z delikatnych koronek liści, obserwowała, jak spadają. Wyciągnęła rękę.

– Już przestało. – Gniew na Sparksa minął jej równie szybko co deszcz, miał równie mały wpływ na większe wzory jej życia. Gdy znów się spotkają, będzie ich tyle dzielić...

– Wiem, że ludzie muszą się zmieniać. Zastanawiam się tylko, czy wiedzą, kiedy przestać.

Clavally pokręciła głową; ruszyły ścieżką z powrotem, wzdłuż powstałego nagle strumyczka.

– Nawet Pani nie zdoła dać na to odpowiedzi. Mam nadzieję, iż gdy się znowu spotkacie, przekonasz się, że Sparks odpowiedział sam na to pytanie.

Moon zawróciła, cofnęła się ścieżką kilka kroków, patrząc poprzez nigdy nie spoczywający ocean w stronę domu.

– ...a potem część zysków z ostatniego Świąta została przelana dla mnie na nowy fundusz, tak iż mogłam od razu zacząć robić maski na następny... niemal osiemnaście lat temu. Jak szybko mija czas, maskowany rytmem dni! Dla ciebie to rytm tworzenia – osobistego i powszechnego. Podaj pióra czerwono-pomarańczowe. – Wytwórczyni masek wyciągnęła rękę.

Sparks wychylił się na werandzie, sięgnął do jednej z tac stojących w dzielącym ich wejściu i podał jej garść piór. Malkin, szary, długonogi kot, wsunął ukradkiem pazur pomiędzy pozostałe pióra. Sparks przegonił go i powrócił do rozdzielania sznurów paciorków, wrzucając je do właściwych miseczek. Patrzył w górę i dół, starając się patrzeć na pracę swoją i jej, aż zakręciło mu się w głowie.

– Nie wiem, jak to robisz. Jak możesz tworzyć taką różnorodność masek, żadna się nie powtarza? Przecież ledwo... – Umilkł, ciągle niepewny swych słów pomimo jej zachęcań.

– ...odróżniam czerwone pióro od zielonego? – Uśmiechnęła się i uniosła głowę, spoglądając na niego ciemnymi oknami swych oczu i czujnikiem wzrokowym na otaczającej czoło opasce. – Cóż, na początku nie było to łatwe. Pragnęłam jednak się uczyć, czułam potrzebę stworzenia samej czegoś pięknego. Nie mogłam malować ani rysować, lecz to w istocie bliższe jest rzeźbie, wymaga dotyku, wyczucia rodzaju powierzchni. Musisz też wiedzieć, że jest to rzemiosło dziedziczone w rodzinie Ravenglass, podobnie jak i ślepotą. Urodzenie się niewidomą, a potem uzyskanie połowicznego wzroku – niekiedy sędzę, że takie połączenie wiedzie do szczytów wyobraźni. Wszystkie formy są cenne i wspaniałe... dostrzegasz w nich to, co chcesz zobaczyć. Mam dwie siostry, które także są ślepe i mają w mieście własne sklepy. Również wielu moich krewnych robi to samo, choć nie wszyscy są niewidomi. Trzeba mieć wiele energii twórczej, by mieć pewność, że zrobiło się maskę odpowiednią dla każdego hulaki, który na następnym Świącie będzie tańczył na tych ulicach. A wiesz co? – Uśmiechnęła się z dumą. – Moje są najlepsze ze wszystkich. Ja, Fate Ravenglass Zimak, zrobię maskę dla Królowej Lata. Podaj proszę kawałek czerwonego aksamitu.

Sparks przekazał jej skrawek tkaniny, wyczuwając ją palcami przy przesuwaniu.

– Ale cała ta praca, dzieło połowy życia, zajaśnieje jednej tylko nocy. Potem przepadnie. Jak możesz to znieść?

– Ponieważ jest to takie ważne dla tożsamości Tiamat jako oddzielnego świata, dla naszego dziedzictwa. Obrzędy Zmiany są tradycją sięgającą zamierzchłych czasów, nim na naszej planecie pojawiła się Hegemonia ze swymi władcami... niektóre wywodzą się z epoki, gdy sami byliśmy tu pozaziemcami...

– Skąd wiesz? – wtrącił. – Skąd wiesz, co się działo, nim pierwsze statki wypłynęły z Wielkiego Sztormu? – Bezwiednie przeszedł na język mitu.

– Wiem tylko to, co usłyszałam w kinie trójwymiaru. – Uśmiechnęła się. – Pozaziemcy mają archeologów, badających pisma i ruiny Starego Imperium. Twierdzą oni, że przybyliśmy tu jako uchodźcy z planety o nazwie Trista po pewnej międzygwiazdnej wojnie, stoczonej pod koniec Starego Imperium. Te fantastyczne oblicza, które zaczęłam tworzyć, jakby były prawdziwe, znajdowały się kiedyś na sztandarach rodów z pierwszych statków, przodków Letniaków i Zimaków. Pewnie poznajesz niektóre z nich; dla Letniaków nadal mają znaczenie. Twoje nazwisko okrętowe, Dawntreader, należy do kilkunastu najstarszych, wiedziałeś o tym? – Sparks pokręcił głową. – Gdy jednak nastąpiła Hegemonia, sprawiła, że zaczęliśmy się wstydić naszych "prymitywnych" tradycji, tak iż teraz przywołujemy je jedynie podczas Świąta, kiedy to tak naprawdę czcimy nie wizytę Premiera, lecz nasze dziedzictwo.

– Och. – Ciągłe czuł się niepewny i zmieszany poglądami Zimaków na historię, w której nie było Pani, choć nie przyznałby się do tego nawet przed sobą.

– Ponadto niektóre rzeczy stają się piękniejsze ze względu na swą ulotność. Pomyśl o rozwierających się kwiatach, granej przez ciebie pieśni, o tęczy... pomyśl o uprawianiu miłości.

*A gdyby nie by to więcej tęczy...* pomyślał Sparks i przygryzł wargę.

– Myślę, że to głupie oglądać się za siebie i żałować tego, co przemija.

– To ludzkie. – Przechyliła badawczo głowę, jakby wsłuchiwała się we własne myśli. – Dla artysty największą radością jest tworzenie czegoś. Gdy czujesz, jak pod twymi dłońmi coś rośnie, rośniesz wraz z tym. Jesteś żywy, przepływa energia. Gdy ustaje, przestajesz rosnać. Przestajesz żyć. Czekasz na następny akt tworzenia. Nie czujesz tego, grając swą muzykę?

– Tak. – Podniósł swą piszczałkę, przebiegł palcami po cienkich jak włos rysach muszli, przypominających blizny po ranach, śladach jej pracy. Wykonała ją tak dobrze, że nawet dźwięk niemal się nie zmienił. – Chyba tak. Nigdy o tym nie myślałem. Ale sądzę, że tak jest.

– Proszę błękitno-fioletowe skrzydło żuka... dziękuję. Nie wiem, jak sobie radziłam, nim przybyłeś. – Malkin stanął obok biodra Fate i wszedł jej na kolana, przygniatając tkaninę jej luźnej spódnicy.

Sparks roześmiał się; ten stłumiony, kpiący z siebie dźwięk oznaczał, iż wypowiedziane przez nią słowa były przewrotne. Pomimo przepowiedni, jaką wygłosiła przy pierwszym ich spotkaniu, krucha muzyka wysp nie wytrzymała konkurencji niezliczonych przyjemności Labiryntu; śpiewając na rogach ulic, ledwo zarabiał na pożywienie. Wdychał, wciągał z powietrzem drażniącą mieszaninę egzotycznych zapachów dobiegających z sąsiedniej kwiaciarni z roślinami z Newhaven i z samathańskiej restauracji po drugiej stronie alei. Gdyby nie dała mu schronienia w pokoju za sklepem, zamiast spać pod czujnym wzrokiem tysięcy masek, kładłby się na noc do rynsztoka... albo w gorszych miejscach.

Spojrzał na nią, wdzięczny wreszcie, że zmusiła go do pójścia na pozaziemską policję i złożenia oskarżenia na handlarzy niewolników. Pamiętał zdziwienie na twarzy Sinej, która uratowała mu życie, i wyraz winy na własnej. Westchnął. – Czy pozaziemcy naprawdę spakują się i opuszczą Tiamat po następnym Świącie? Porzucą wszystko, co tu mają? Trudno w to uwierzyć.

– Tak, odlecą niemal wszyscy. – Splotała chwost ze złotego sznurka. – Już zaczęli przygotowania, tak jak i my. Gdybyś tu się urodził, wyczuwałbyś zmianę. Czy to cię martwi?

Podniósł wzrok, bo nie spodziewał się tego pytania.

– Ja nie wiem. Wszyscy w Lecie mówili o czekającym nas dniu, o Zmianie; że wtedy przyjdziemy po swoje. Nie znoszę jednak myśli, że pozaziemcy oślepiąją Ziemię swą chwałą, gdy chcą coś wziąć, a potem uważają, iż mogą o nas po prostu zapomnieć. – Zacisnął dłoń na medalu, wsunął palce w rozcięcie stroju. – Ale...

– Ale dałeś się oślepić tą chwałą, tak jak wszyscy Zimacy. – Przerwała splatanie, by pogłodzić srebrzysty grzbiet śpiącego Malkina.

– Ja...

Uśmiechnęła się, obserwując go trzecim okiem.

– Co w tym złego? Nic. Zapytałeś mnie kiedyś, czy żałuję, że nie mogę opuścić naszej planety, skoro gdzieś indziej wyleczyliby mą ślepotę? Uważasz, że muszę żałować, iż mam te czujniki zamiast... iż korzystam z połowicznego wzroku, zamiast pełnego. Mogłabym tak myśleć, gdybym patrzyła na to dobrymi oczyma. Ale patrzę ślepymi... i dla mnie widzą wspaniale.

– Wspaniale. – Sparks oparł się plecami o ścianę sklepu, spojrzał w dół alei. – A po Świącie wszystko się skończy.

– Tak. To ostatnie Święto. Po nim pozaziemcy nas porzucą, a Letniacy znów ruszą na północ, i skończy się życie, jakie znałam zawsze. Tym razem wybór Królowej Dnia odbędzie się rzeczywiście... maska Królowej Lata będzie moim ostatnim i najlepszym dziełem.

– Co zrobisz po zakończeniu Święta? – Zrozumiał nagle, że to pytanie nie jest retoryczne.

– Zacznę nowe życie. – Zaciągnęła ostatni węzeł. – Jak wszyscy inni w Krwawniku. To dlatego nazywamy to Zmianą. – Uniosła ukończoną maskę jak ofiarę dla ludzi przechodzących aleją. Sparks zobaczył, jak niektórzy patrzą na nią i uśmiechają się.

– Dlaczego nazwali cię Fate (los)? Twój rodzice.

– Matka. Nie domyślasz się? Dla tego samego powodu, dla którego nosisz imię Sparks (Iskierki). Dzieci radości otrzymują szczególne imiona.

– To znaczy, dwa Święta temu? Kiwnęła głową.

– To ciężkie brzemie nosić całe życie takie imię. Bądź rad, że nie musisz.

Roześmiał się.

– Dostatecznie ciężko jest być w Krwawniku "Letniakiem". To jak kotwica, przeszkadzająca mi w dostaniu się gdziekolwiek. – Podniósł znów piszczałkę i przytknął do ust; lecz odłożył, gdy u wejścia do alei rozległ się przekazywany z ust do ust pomruk zdziwienia.

– Co tam się dzieje? – Fate odłożyła maskę, bezwiednie marszcząc czoło.

– Ktoś idzie aleją. Ktoś bogaty. – Domyślił się tego po strojach, nim jeszcze dostrzegł twarze nadchodzących wąską uliczką obcych. Na orszak składało się kilku mężczyzn i kobiet, lecz patrzył tylko na prowadzącą go postać. Bogactwo egzotycznych szat nagle przestało mieć dla niego znaczenie, gdy ujrzał wyraźnie jej twarz...

– Sparks? – Dłoń Fate znalazła jego ramię i zacisnęła się na nim.

Nie odpowiedział. Wstał powoli, czując jak wokół odpływa świat, aż został sam w pustej przestrzeni wraz z... – Moon (Księżyc)!

Stała, z uśmiechem, poznając go, i czekała, aż do niej podejdzie.

– Moon, co tu...

Otoczyli go jej towarzysze, złapali za ręce, odciągnęli.

– Co się z tobą stało, chłopcze? Ważysz się zbliżyć do Królowej?

Uniosła dłoń, nakazując go puścić.

– W porządku. Przypomniałam mu kogoś innego, to wszystko... Czy nie mam racji, Sparksie Dawntreaderze Letniaku?

Wszyscy patrzyli na nią, lecz nikt z równą mu niewiarą w oczach. Była Moon, była Moon... ale też i nie Moon. Pokręcił głową. *To nie Moon. To Królowa...* A więc stoi przed nim Królowa Śniegu, Królowa Zimy. Zakłopotany, niemal przerażony, upadł przed nią na kolana.

Schyliła się, wzięła go za rękę i podniosła.

– To nie jest konieczne. – Uniósł głowę i zobaczył, że wpatruje się w jego twarz z taką siłą, że aż się zarumienił i odwrócił wzrok. – Jakże rzadko spotyka się Letniaka potrafiącego coś uszanować. Kogo to tak bardzo ci przypominam, że widzisz ją, zamiast mnie? – Nawet głos jest taki sam; choć coś w nim z niego kpi.

– Moją kuzynkę, Wasza Wysokość. Moją kuzynkę Moon. – Przełknął ślinę. – S-skąd wiedzieliście, kim jestem?

Roześmiała się.

– Nie pytałbyś o to, gdybyś był Zimakiem. Nic w mieście nie uchodzi mej uwadze. Na przykład doszły mnie słuchy o twym niezwykłym talencie muzycznym. Tak naprawdę przyszedłam tu, by cię spotkać. By poprosić cię o pójście do pałacu i zagranie dla mnie.

– Mnie? – Sparks przetarł oczy, nagle zwątpiwszy, czy na pewno nie śpi. – Ależ nikt nie chciał słuchać mego grania... – Poczł, jak w na wpół pustej kieszeni brzęczy mu kilka zarobionych tego dnia monet.

– Słuchają właściwi ludzie. – Dobiegł go z tyłu głos Fate. – Czy nie mówiłam ci, że tak będzie? Wzrok Królowej powędrował do tyłu w ślad za jego wzrokiem.

– Co tam, maskarko? – zapytała. – Jak idzie ci praca? Czy zaczęłaś już maskę Królowej Lata?

– Wasza Wysokość. – Fate z powagą skłoniła głowę. – Dzięki Sparksowi praca idzie mi lepiej niż zazwyczaj. Za wcześnie jednak na Królową Lata. – Uśmiechnęła się. – Nadal panuje Zima. Troszczcie się o mego muzykanta. Nie chciałabym go stracić.

– Dostanie najlepszą opiekę – powiedziała miękko Królowa.

Sparks wszedł na werandę, podniósł piszczałkę i wsunął ją do sakiewki przy pasie. Potem nagle chwycił dłonie Fate i pochylił się ponad tacami, by pocałować ją w policzek.

– Przyjdę cię odwiedzić.

– Jestem tego pewna. – Kiwnęła głową. – Teraz nie pozwól czekać swej przyszłości.

Wyprostował się i ruszył za Królową, mrugając oczyma, bo rzeczywistość mieszała mu się z marzeniami. Dworzanie władczyni otoczyli go jak płatki obcego kwiatu i zabrali wraz z nią.

– Chcę poprosić, by mnie zabrał. Nie mogę dłużej czekać. To trwa już za długo. – Moon stała w oknie chaty swej babki, patrząc na wioskę przez nierówne szyby. Jej matka siedziała przy ciężkim drewnianym stole, na którym babcia czyściła rybę. Odwrócona do nich plecami dziewczyna czuła wstyd, że potrzebuje takiej podpory swego zdecydowania. – Kupiec wróci dopiero za kilka miesięcy. Pomyślcie, ile czasu wtedy minie od wezwania mnie przez Sparksa.

I tak wróciła do domu o miesiąc za późno; handlarz, który dostarczył wiadomość, zdążył już odpluć. Zacisnęła do białości ręce na drewnianym parapecie pełnym muszli, które zbierała w dzieciństwie wraz ze Sparksem. Za rzadko docierają na tą odległą wyspę statki z Krwawnika; najbliższym miejscem, w którym może jakiś znaleźć, jest zatoka Shotover na granicy z Zimą, a tak długiego rejsu nie może dokonać samotnie.

Jednakże na polach nad wioską jakiś obcy pracował teraz przy naprawie latającego statku, przypominającego ten, który widziała w jednym z transów. Nie był on Zimakiem, lecz pozaziemcem, pierwszym, jaki pojawił się na Neith, człowiekiem o mosiężnej skórze i dziwnych, zapadniętych oczach. Jego latający statek miał przymusowe lądowanie; tamtego ranka, wraz z rozpytujacymi się gorączkowo mieszkańcami wioski, patrzyła, jak spada z nieba. Z ulgą i odrobiną dumy ze swej wiedzy powiedziała im, co to jest i że nie powinni się bać.

Również pozaziemiec wydał się doznać ulgi, że miejscowi na tyle znają się na technice, by nie wpadać w panikę. Słuchając go, Moon zrozumiała, że jest równie zaniepokojony swą obecnością wśród tutejszych, co i oni. Wszyscy odeszli po jego szorstkim odganianiu i pozwalali obcemu spokojnie pracować w nadziei, iż szybko zniknie, jeśli nie będą na niego zwracać uwagi.

Musiała coś zrobić, nim zniknie. Na pewno zdąży do Krwawnika, wszyscy pozaziemcy tam przebywają. Gdyby tylko mógł ją zabrać ze sobą...

– Ależ Moon, jesteś teraz sybillą – zaoponowała jej matka.

Odwróciła się, rozżłoszczona swym lekkim poczuciem winy.

– Nie porzucę mych obowiązków! Sybille są potrzebne wszędzie.

– Nie w Krwawniku. – Głos matki stał się bardziej napięty.

– Nie o twoją wiarę się boję, Moon, ale o bezpieczeństwo. Jesteś teraz córką Morza. Wiem, że nie mogę ci zabronić kierować własnym życiem, ale w Krwawniku nie chcą sybilli. Gdyby się dowiedzieli, kim jesteś...

– Tak. – Przygryzła wargi na wspomnienie Danaquila Lu. – Wiem o tym. Schowam tam koniczynkę. – Podniosła ją na łańcuszku i skryła w dłoni. – Dopóki go nie znajdę.

– Źle zrobił, prosząc cię o przybycie. – Matka wstała i zaczęła chodzić wokół stołu. – Musi wiedzieć, że naraża cię na niebezpieczeństwo. Nie uczyniłby tego, gdyby o ciebie dbał. Zaczekaj, aż przyplynie do ciebie, zaczekaj, aż dojrzeje i przestanie myśleć tylko o sobie.

Moon pokręciła głową.

– Mamo, mówimy o Sparksie! Nie powiedziałby, że nie może wracać, gdyby nie był w kłopotach. Nie prosiłby, bym przybyła, gdyby mnie nie potrzebował. – *A już raz go zdradziłam.* Znow wyjrzała przez okno. – Znam go. – Podniosła muszlę. *Kocham go.*

Obok stanęła matka, wyczuwała wahanie, które nawet jej nie pozwalało zbliżyć się całkowicie.

– Tak, znasz. – Matka spojrzała na babcie, siedzącą przy stole i skupioną wyłącznie na oskrobywaniu łusek. – Znasz go lepiej niż ja. Znasz go lepiej, niż znam ciebie. – Matka dotknęła jej ramienia i obróciła, tak iż patrzyły na siebie. Przez chwilę Moon widziała w jej oczach lęk i rozpacz. – Moja córka to sybilla. Choć jesteś dzieckiem mego serca i ciała, to czasami wydaje mi się, że



wcale cię nie znam.

– Mamo... – Moon pochyliła głowę, przytknęła policzek do szorstkiej dłoni matki. – Nie mów tak.

Lelark uśmiechnęła się, jakby dostała odpowiedź na nie wypowiedziane pytanie.

Moon ostrożnie ujęła jej dłoń.

– Wiem, że dopiero co wróciłam do domu. Tak bardzo chciałam być z tobą – mocno ścisnęły się za ręce – muszę jednak choćby porozmawiać z pozaziemcem.

– Wiem – kiwnęła głową matka, ciągle się uśmiechając. Wzięła płaszcz przeciwdeszczowy leżący u stóp łóżka Moon i podała córce. – Wiem przynajmniej, że gdy ja nie mogę, będzie cię teraz strzec Pani.

Moon nałożyła płaszcz przez głowę i wyszła z domu. Na wpół biegła skalistą ścieżką prowadzącą na tarasowe pola wioski, bojąc się, że ujrzy statek pozaziemca wzbijający się w zasnuwane niebo, nim zdoła z nim pomówić. Gdy wspięła się na osłonę tarasu, na którym spoczywał latający statek, w przesyconym wilgocią powietrzu rozległ się wysoki, piskliwy dźwięk, obcy tu odgłos zapuszczania silnika.

– Zaczekaj! – Zaczęła biec, spostrzegając garstkę ciekawskich dzieciaków, które kryły się wokół tarasu, wskazując na nią i machając rękoma, bo sądziły, że macha im. Również sternik latającego statku wytknął głowę przez drzwi, patrząc na nią, a jęk ucichł.

Obcy wyszedł z pojazdu i wyprostował się. Nosił strój wyspiarza, lecz zrobiony z materiału, jakiego nigdy nie widziała. Zwolniła, gdy tylko zrozumiała, że nie odleci bez niej. Patrzyła, jak nadchodzi z rękoma opartymi na biodrach; spostrzegła nagle, jaki jest wysoki – ledwo sięgała mu do ramion.

– W porządku, jaki pani ma kłopot?

Stała, czując się zrównana tonem jego głosu z jeszcze jednym dzieckiem, naprzykrzającym mu się na błotnistym polu tej skalistej wyspy na końcu świata.

– Wy-wydawało mi się, że odlatujesz.

– Wkrótce to zrobię, gdy tylko załaduję narzędzia. Czemu pani pyta?

– Tak szybko. – Moon spojrzała na swój płaszcz, zbierając się na odwagę. Skoro ma to być teraz, to niech będzie. – Chcę o coś poprosić, nim wyjedziesz.

Nie patrzył na nią, zasuważąc osłonę kabiny pod zakrzywioną szybą na dziobie pojazdu i stukając w nią ręką.

– Jeśli mam pani wytłumaczyć, jak lata ten magiczny statek, to niestety, nie mam tyle czasu. Spóźniam się na spotkanie.

– Wiem, dlaczego lata. Powiedział mi kuzyn – rzuciła z rozdrażnieniem. – Chcę pojechać do Krwawnika.

Tym razem spojrzał na nią z lekkim zdumieniem. Zmusiła się do uśmiechu mówiącego, że ma uzasadnione powody do takiej prośby. Kilka odpowiedzi niemal spłynęło mu z języka, nim sięgnął po torbę z narzędziami.

– Przykro mi, ale nie lecę do Krwawnika.

– Ale... – Podeszła o krok, stając między nim a drzwiczkami, do których ruszył. – Gdzie lecisz?

– Wybieram się do Shotover, jeśli chce pani wiedzieć. A teraz, jeśli tylko...

– W porządku. Może to i lepiej. Czy zabierzesz mnie tam?

Odrzucił do tyłu swe czarne, proste jak druty włosy, strącając z nich błoto. Nie nosił brody, jedynie czarne wąsy nad skrzywionymi w podkówkę ustami. – W imię tysięcy bogów, czemu miałbym to zrobić?

– No... – Niemal się skrzywiła na taki brak życzliwości. – Z chęcią zrobię wszystko, co zechcesz, by się odwdzięczyć – zawahała się, gdy zrobił jeszcze mniej uprzejmą minę. – Chyba... popełniłam błąd, prawda?

Niespodziewanie wybuchnął śmiechem.

– Wszystko w porządku – wrzucił za siedzenia torbę z narzędziami – ale nie powinna pani tak ochoczo wyjeżdżać z pierwszym obcym, którego zobaczy. Może się to skończyć większymi tarapatami niż te, w których sądzi pani, że tkwi teraz.

– Och. – Moon poczuła, jak pomimo chłodnej pogody płoną jej policzki, i uniosła dłonie, skrywając w nich twarz. – Naprawdę, nie to miałam na myśli! Na naszych wyspach, gdy ktoś chce się gdzieś dostać, to inni go zabierają... – powiedziała zamierającym głosem. – Przepraszam. – Odeszła, potykając się o bruzdy, czując się jak głupie dziecko, które dostrzegą w jego oczach.

– Jedną chwilkę. – W jego głosie nadal czuć było złość, lecz jej żądło nie było już takie ostre. – Czemu chce się pani tam dostać?

Odwróciła się, starając sienie zapominać o koniczynce ukrytej pod płaszczem i o swym prawie do właściwej sybillom godności.

– W Shotover złapię jakiś statek do Krwawnika. To dla mnie bardzo ważne.

– Na pewno, skoro Letniak decyduje się wsiąść z pozaziemcem do latającej maszyny.

Moon zacisnęła usta.

– To, że nie korzystamy z pozaziemskiej techniki, nie oznacza jeszcze, że wpadamy w przerażenie na jej widok.

Znów się roześmiał, z uznaniem, jakby zadowolony, że odpłaciła mu się.

– W takim razie zgoda. Niech pani wsiada, jeśli chce ze mną odlecieć.

– Moon. – Wyciągnęła rękę. – Moon Dawntreader Letniaczka.

– Ngenet ran Ahase Miroe. – Potrząsnął jej dłonią, ale nie zetknął nadgarstków według zwyczaju wyspiarzy. Po namyśle dodał: – Nazwisko na początku. Wejdz i zapnij się.

Myśląc tylko o chwili obecnej, wspięła się śmiało z drugiej strony i zaczęła wojować z zabezpieczającą uprzężą. Wnętrze wyglądało inaczej niż w pojeździe, który widziała w transie; wydało się jej prostsze. Trzymała się mocno pasów, ich mylącej swojskości. Ngenet ran Ahase Miroe zasiadł za sterami i zamknął drzwi; wokół zaczęło narastać brzęczenie, tym razem bardziej stłumione, nie bardziej głośnie niż szum krwi w jej uszach.

Nic nie poczuła, gdy oderwali się od pola, gdy jednak ujrzała Neith i wioskę opadające w dół, przeszył ją nieokreślony ból, jakby coś się w niej zerwało. Przycisnęła dłonie do piersi, poczuła schowaną bezpiecznie pod ubraniem koniczynkę i zaśpiewała w myślach modlitwę.

Bujający pojazd wznosił się ostro, kierując na otwarte morze.

Jerusha PalaThion wpatrywała się w bezkresne lustro błękitu, pokryte zielonymi wzgórkami wysp. Wyobraziła je sobie przepływające pod pojazdem patrolowym jak wody pod ziemią, ujrzała samą siebie, schwytaną w nie kończącą się pętlę czasu, wyzwoloną z męczącej nadaremności jej obowiązków... Znow skupiła wzrok i spojrzała na Gundhalinu, sprawdzającego odczyty autopilota.

– BZ, kiedy dolecimy do zatoki Shotover?

Zerknął na zegar na tablicy kontrolnej.

– Za kilka godzin, pani inspektor. Westchnęła i uniosła nogi.

– Na pewno nie chce pani poczytać którejs z mych książek? – Wyciągnął jedną z wymiętoszonych fantazji ze Starego Imperium, nad którymi spędzał połowę wolnego czasu. Ta była po tiamatańsku, przeczytała tytuł: *Opowieści z minionej przyszłości*.

– Nie, dziękuję. Wolę już się nudzić. – Ukradkiem wrzuciła do pojemnika na odpadki strączek iestów. – Jak taki uczciwy technokrata jak wy, BZ, może czytać podobne bzdury? Dziwne, że nie kończy się to uszkodzeniem mózgu.

Wyglądał na urażonego.

– Są one oparte na solidnych danych archeologicznych i na analizach Przekazów sybilli. To... – uśmiechnął się, bezmyślna błogość zasnęła mu oczy – niemal tak dobre, jak bycie tutaj.

– Krwawnik jest niemal tak dobry, jak bycie tutaj; a jeśli ma on być przykładem powrotu do starych, dobrych czasów...

Prychnął z niesmakiem.

– Od tego właśnie chcę się oderwać przy czytaniu. Prawdziwy Krwawnik był...

– Na pewno był równie zły jak ten. Co więcej, nikt wtedy nawet nie kiwnął palcem w bucie, by coś zmienić, zupełnie tak jak teraz. – Usiadła wygodnie na swym miejscu, patrząc na błękitne wody. – Niekiedy czuję się jak butelka wrzucona do morza, bujająca się bez końca na falach i nigdy nie dobijająca do brzegu. Wiadomość, którą zawieram, znaczenie, jakie chcę nadać swemu życiu, nie mogą być przekazane... bo nikogo nie interesują.

Gundhalinu odłożył książkę i powiedział miękko:

– Komendant rzeczywiście wie, jak wypróbować waszych świętych przodków, prawda?

Spojrzała na niego.

– Pamiętam dokładnie każde słowo z pani rozmowy w wartowni, pani inspektor. Jest pani bardziej nerwowa niż ja – dodał z uśmiechem.

– Może po tylu latach łatwiej siadają mi bezpieczniki. – Pociągnęła bezwiednie za klamrę ciężkiego płaszcza. – Ale to bez znaczenia. – Nadal lecieli do zatoki Shotover na skraju Łata, najbardziej oddalonego od świata LiouxSkeda miejsca, jakie można było znaleźć w tak krótkim czasie. – Okrążyć połowę planety po raporcie o "przypuszczalnym" zauważeniu przemytników!

– "Podczas gdy prawdziwi przestępcy hulają w Krwawniku, śmiejąc się nam w twarz" – Gundhalinu dokończył wczorajsze słowa ze smutnym uśmiechem. – Tak, proszę pani, coś tu śmierdzi. – Zacisnął dłonie na sterownicy. – Jeśli jednak uda nam się przyłapać kogoś dostarczającego tubylcom zakazane towary... Ostatnio wiele o tym szumu.

– Płynącego od Królowej. – Jerusha skrzywiła się, wspomniawszy pokaz hipokryzji władczyni, który musiała znieść podczas swej ostatniej oficjalnej wizyty.

– Nie mogę tego zrozumieć, pani inspektor. – Pokręcił głową. – Myślałem, że chce całej wyższej techniki, jaką może dorwać na Tiamat; zawsze dążyła do niezależności technicznej. Nie przejmowała się przy tym legalnością. Do licha, nie sądziłem, że to robi.

– Nie przejmuje się Tiamat, techniką ani niczym, co nie ma związku z jej pozycją. A niektóre z przemyconych towarów ostatnio wchodziły jej w drogę.

– Trudno to sobie wyobrazić. – Gundhalinu uważnie zmienił ustawienie urządzeń sterowniczych.

– Nie wszyscy nabywcy są nieszkodliwymi dziwakami. – Z ciekawością i sporą sympatią studiowała raporty o kontrabandzie w zabite dechami kąty Zimy. Parę niezależnych statków przemytniczych, którym udało się przebić przez nadzorującą planetę sieć Hegemonii, mogło zbić małą fortunę na dostarczaniu taśm informacyjnych i podręczników techniki, ogniw zasilających i trudnych do zastąpienia części. Zawsze znajdowali się wśród Zimaków bogaci szlachcice, zwariowani na punkcie lśniących rzeczy i skrywający laboratoria w swych wyspiarskich posiadłościach, jak też samozwańczy szaleni naukowcy, dążący do poznania sekretów atomu i wszechświata. Inni skrycie gromadzili urządzenia techniczne w oczekiwaniu na odejście pozaziemców, starali się położyć podwaliny własnych ksiąstewek, nie rozumiejąc, że Hegemonia miała niezawodne sposoby zapobiegania temu. Można było nawet znaleźć kilku pozaziemców żyjących jak tubylcy w tej wodnej dzicy i nie wszyscy oni lubili ograniczenia stawiane przez Hegę ich nowemu domowi.

– Ktoś przeszkadza Starbuckowi i Psom, gdy wybierają się na łowy na mery, chyba za dobrze im idą. Liczebność merów musiała mocno spaść, co na pewno zmniejszy dochody Królowej... i jej możliwości wpływania na nas. Wtrącanie się wymaga skomplikowanych urządzeń zakłócających i środków komunikacji, które można dostać z jednego tylko źródła.

– Hmm. A więc zatrzymując przemytników, możemy dojść do przyczyn tych przeszkód? – naciskał natrętnie.

– Może. Nie wstrzymuję z tego powodu oddechu. Według mnie cała ta wyprawa to tylko strata energii. – *I o to właśnie chodzi LiouxSkedowi.* – Mówiąc szczerze, mam nadzieję, że nic nie znajdziemy. Czy to was szokuje, BZ? – uśmiechnęła się lekko na widok jego miny. – Widzicie, nie lubię tego przyznawać, lecz czasem z trudem przekonuję siebie, że owi miłośnicy techniki robią coś złego. I ci, którzy występują przeciwko zabieraniu życia jednego gatunku po to, by drugi mógł w nienaturalny sposób wydłużać własne. Niekiedy myślę, że wszystko, co brzydzi mnie w Krwawniku, wiąże się z wodą życia, że to miasto przyciąga wszystkie brudy i przestępstwa, bo jego przetrwanie zależy od zbrodni.

– Czy myślałaby pani tak samo, gdyby sama mogła osiągnąć nieśmiertelność?

Uniosła głowę w namyśle.

– Chciałabym wierzyć, że by tak było, ale nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Gundhalinu kiwnął głową.

– Nie sądzę, byśmy się kiedykolwiek mogli o tym przekonać. – Ponownie zmienił kurs, patrząc na zegar.

– Co się stało, BZ?

– Nic, pani inspektor. – Spojrzał na morze z właściwym Kharemoughi stoicyzmem. – Przed wyjazdem z miasta powinienem był coś zrobić. – Westchnął i sięgnął po książkę.

– Podróżujesz bez żadnych rzeczy. Rzeczywiście chcesz dotrzeć od Krwawnika tylko z tym, co masz na sobie? – Ngenet przycisnął długim palcem zamek drzwi pojazdu, podczas gdy Moon stała, patrząc na port Shotover. Dotarli tam z Neith w ciągu godzin, a nie dni. Uginały się pod nią kolana i nie mogła uwierzyć, że znalazła się tak daleko.

– Co...? Och, wszystko w porządku. Popłynę dalej z jakimś kupcem. W tej zatoce muszą być setki statków! – Zmieściłaby się w niej bez trudu przystań Neith, wioska i połowa wyspy. Zachodzące słońce przebijało się przez chmury, rozlewając ognie na powierzchni wody; statki różnej wielkości wzbijały się na falach przyływu. Niektóre wyglądały tak dziwnie, że nie potrafiła ich nazwać. Część pozbawiona była masztów i zastanawiała się, czy straciły je w sztormie.

– Wiele statków Zimaków używa silników. Wiele spośród nich w ogóle nie korzysta z żagli. Czy nimi też byś się zabrała? – Słowa Ngeneta zabrzmiały jej znowu jak poklepywanie po ramieniu, gdy nagle zrozumiała, dlaczego statki nie mają masztów. Podczas szybkiego lotu przez morze dowiedziała się o nim niewiele, poza tym że nie lubi mówić o sobie, lecz wypytywanie o cel jej podróży sporo zdradzało.

– Nie boję się silników. Praca będzie taka sama, niewiele rzeczy można robić na statku. – Uśmiechnęła się z nadzieją, że to prawda. Przesunęła dłonią po chłodnym metalu powłoki latającego statku, pokonując nagłą świadomość, że mógłby zabrać ją do Sparksa w niecały dzień... przestała się uśmiechać.

– Dobrze, sprawdź tylko, czy nie ma statku z kobiecą załogą. Niektórzy Zimacy nabrali złych obyczajów od szumowin z portu gwiazdowego.

– Nie, och. – Kiwnęła głową, przypomniawszy sobie, dlaczego babcia nakazywała jej strzec się statków handlarzy. – Zrobię to. – Była pewna, że Ngenet jest pozaziemcem, choć mówił tak, jakby nie przejmował się swymi rodakami bardziej niż Letniakami czy Zimakami. Nie pytała go dlaczego, przestała się już wprawdzie lękać jego zgryźliwości, lecz jeszcze nie była gotowa wyciągać go na zwierzenia. – Chcę podziękować...

Zmrużył brwi od zachodzącego nad portem słońca.

– Nie ma na to czasu. Spóźniłem się pół dnia na spotkanie. Wystarczy, że...

– Hej, miodku, wykop tego starucha, a pokażemy ci, jak *miło* spędzić czas! – Jeden z dwójki Zimaków machających im na nabrzeżu podszedł bliżej z uśmiechem uznania i wyciągniętymi ramionami. Gotowa na ostrą odpowiedź Moon ujrzała, jak zmienia nagle wyraz twarzy i odciąga swego towarzysza z niebezpiecznego kursu, szepcząc mu coś do ucha. Zaraz szybko odeszli, oglądając się za siebie.

– Skąd-skąd wiedzieli? – zapytała Moon, przyciskając dłonie do przodu płaszcz przeciwdeszczowego.

– O czym? – Ngenet krzywił się nadal, mocniej nawet, patrząc, jak tamci odchodzą.

– Że jestem sybillą. – Sięgnęła za pazuchę i wyciągnęła łańcuszek z koniczynką.

– Kim jesteś? – Zwrócił się ku niej i wziął koniczynkę do dłoni, jakby sprawdzając jej rzeczywistość. Pośpiesznie ją puścił. – Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

– No, nie chciałam... to znaczy...

– To przesądza. – Nie słuchał jej. – Nie możesz zostać tu sama na noc. Pójdiesz ze mną, Elsie zrozumie. – Schwycił ją za ramię i pociągnął przez wielkie wybrukowane nabrzeże w stronę miasta.

– Dokąd idziemy? Zaczekaj! – Moon wlokła się za nim w bezsilnym gniewie ku wejściu na najbliższą uliczkę. Na smukłym słupie dojrzała ognisty kwiat, potem następne, ciągnące się bez końca

świece bez płomieni. – Nie rozumiem. – Ściszyła głos. – Czy wierzysz w Panią?

– Nie, ale wierzę w ciebie. – Wprowadził ją na chodnik.

– Jesteś pozaziemcem!

– Tak, jestem.

– Ale myślałam...

– Nie pytaj, tylko idź. Nie ma w tym nic dziwnego. – Puścił jej ramię, lecz dalej szła za nim.

– Nie boisz się mnie? Pokręcił głową.

– Nie upadnij tylko i nie skalecz kolana, bo trochę bym się zmartwił.

Spojrzała na niego w oszołomieniu.

Za ich plecami schodził do lądowania inny statek latający ze znakami Policji Hegemońskiej.

Ngenet nie obejrzał się jednak i nie zobaczył, że zatrzymuje się obok jego pojazdu.

– Dokąd idziemy? – Moon wyminęła grupkę śmiejących się marynarzy.

– Na spotkanie z przyjacielem.

– Z przyjaciółką? Czy nie będzie...

– Chodzi o interesy, a nie przyjemność. Pilnuj się tylko, gdy tam będziemy.

Moon wzruszyła ramionami i wsunęła zdrętwiałe ręce do kieszeni spodni. Widziała teraz swój oddech, temperatura opadała wraz ze słońcem. Przyglądała się ciekawie skupisku jedno- i dwupiętrowych domów, tylu naraz nigdy nie widziała. Ich kształty były jednak jej znajome. Mury z łączonych zaprawą kamieni i drewnianych belek opierały się o siebie, niekiedy między nimi widać było ścianę z czegoś przypominającego wysuszony muł. Z każdej mijanej tawerny dochodziły ją różnorodne, nieznane głosy.

– Ngenet, skąd wiedzieli, kim jestem, skoro tyś się tego nie domyślił?

– Mów mi Miroe. Nie sądzę, by wiedzieli. Prawdopodobnie spostrzegli, że jestem od nich dużo wyższy i znacznie bardziej trzeźwy.

Moon poczuła, jak tężeją jej mięśnie pleców, gdy zauważyła, iż oczy przechodniów nie zatrzymują się na niej ani zbyt często, ani zbyt długo.

Ngenet skręcił w boczną uliczkę i stanęli wreszcie przed małą, stojącą luzem tawerną. Barwne szybki miały światło na kocie łby, łuszczący się szyld nad drzwiami głosił "Gospoda pod Mrocznymi Czynami".

– Elsie zawsze miała dziwne poczucie humoru – chrząknął. Moon zauważyła drugi napis "Zamknięte", lecz Ngenet nacisnął na klamkę, drzwi się otworzyły i weszli do środka.

– Hej, zamknięte! – huknęła na nich od baru niezwyklej tuszy baba, nalewająca piwo do dzbana dla nie wiadomo jakiego gościa.

– Szukam Elsevier. – Ngenet wszedł w krąg światła.

– Ach tak? – Kobieta odstawiła dzban i spojrzała na niego. – To chyba ty. Czemu tak późno?

– Miałem kłopoty z silnikiem. Czy jeszcze czeka?

– Nadal jest w mieście, jeśli o to ci chodzi. Wyszła jednak, by... załatwić coś na wypadek, gdybyś się jednak nie pokazał. – Jej zapadłe oczy znalazły Moon i skrzywiła się.

– Niech ją licho – zaklął Ngenet – wie przecież, że nie zawodzę!

– Ale nie wiedziała, czy twoje spóźnienie nie będzie wieczne. Kto to jest?

– Podrzuciłem ją. – Moon poczuła znowu na ramieniu dłoń Ngeneta i popychana, z oporami podeszła bliżej. – Nie sprawi najmniejszego kłopotu – dodał, ucinając w zarodku pytania. – Prawda?

Moon spojrzała na niego.

– Ja? – potrząsnęła głową, otrzymując cień uśmiechu.

– Wyjdę poszukać przyjaciółki. Zaczekaj tu, aż wrócę. – Wskazał głową na salę pełną stolików.

– Potem pogadamy może o Krwawniku.

– Dobrze. – Wybrała stolik w pobliżu kominka, podeszła do niego i usiadła. Ngenet ruszył do drzwi.

– Wiesz, gdzie szukać?! – zawołała gruba kobieta. – Pytaj o nią blisko świetlicy.

– Zapytam. – Wyszedł.

Moon milczała, czując się nieswojo pod surowym wzrokiem szynkarki, błędząc palcami po wyłobieniach drewnianego blatu. Wreszcie gospodyni wzruszyła ramionami, wycierając ręce o fartuch, wzięła kufel piwa i zaniósła go na stół. Moon uchyliła się lekko, gdy wylądował przed nią, a piana kapnęła na słoje drewna. Kobieta wycofała się bez słowa i coś zrobiła przy stojącej za barem czarnej skrzynce. Ktoś nagle zaczął śpiewać w połowie piosenki, w połowie słowa, pod akompaniament rytmicznych, piskliwych dźwięków, słyszanych przez Moon na ulicy.

Zaskoczona dziewczyna rozejrzała się, nikogo jednak nie zobaczyła. Sala była pusta – zupełnie, bo szynkarka zniknęła na schodach z dzbanem piwa. Oczy Moon spoczęły znów na czarnej skrzynce. Nagle wydała się jej naładowana muzyką, niby metalowa beczka czy worek. Pociągnęła łyk piwa i skrzywiła się; zrobione z wodorostów, cierpkie i źle uwarzone. Odstawiła kufel i ściągnęła płaszcz. W kominku niby żelazny pręt w palenisku kuźni lśnił rozgrzany do czerwoności kawałek metalu. Obróciła się, śledząc palcami główki zwierząt wyrzeźbione na oparciu krzesła, wchłaniając ciepło i muzykę. Zaczęła nogą wybijać rytm, który mile szarpał jej ciało. Melodia była skomplikowana, tony głośne i dudniące, głos wibrował niezrozumiałymi dźwiękami. Nie przypominało to zupełnie muzyki wydobywanej przez Sparksa z piszczałki... coś jednak w niej pociągało, przypominało nikle tajemną pieśń miejsca wyboru.

Moon zamknęła oczy, pociągając piwo, w myślach rozdzielała od siebie dobro i zło związane z nią i Sparksem, słuchając przy tym muzyki, jaką zawsze czuła innymi uszami. Pomówią o Krwawniku, powiedział Ngenet. Czy ją tam zabierze? A może próbuje ją skłonić do zmiany planów? Nikomu się to nie uda... uważała jednak, że zdoła jego przekonać do zmiany swoich. Może wykorzystać w tym celu troskę pozaziemca o nią, była tego pewna. Może znaleźć się tam jutro... Zaczęła się uśmiechać.

Ale czy to słuszne? Zaczęło ją coś gnębić w głębi. Co w tym złego? Ngenet chce jej pomóc, na pewno. A ona nie wie nawet, po co jest potrzebna Sparkswi, wyobraziła go sobie chorego, głodnego, bez grosza, przyjaciół, umierającego. Liczyć się może każdy dzień, godzina... Ważna jest każda minuta bólu czy rozpacz, której mu oszczędzi, ważniejsza od wszystkiego.

Otworzyła oczy na odgłos w głębi sali. Patrzyła na znajdujące się tam drzwi, czując, jak oczy robią się jej coraz szersze, jak umysł odmawia przyjęcia przekazywanych przez nie informacji – to jest żywe, porusza się. Jak człowiek stoi na dwóch nogach, choć zakończonych szerokimi, płetwiastymi stopami, przesuwa się płynnie niby morska trawa pod wpływem podwodnego prądu. Szarozielone ciało bez oznak płci lśniło oleście. Jedyńm odzieniem istoty był tkany pas obwieszony dziwnymi przedmiotami, jej ramiona rozdzielały się na kilka biczowatych macek. Opalizujące ślepia bez powiek wpatrywały się w nią niby oczy morskiego ducha.

Moon wstała, usta jej tak wyschły, że nie mogła z nich wydać żadnego głosu. Wyciągnęła nóż i odgrodziła się krzesłem od koszmarnego stwora. Na ten ruch istota zachrypiąła gardłowo i cofnęła się do drzwi, zniknąwszy, nim Moon uwierzyła, że naprawdę tu była.

Na jej miejscu stanął mężczyzna, jakiego dotąd nie widziała, sporo od niej starszy, z opadającą na jedno oko grzywką sztywnych jasnych włosów. Miał na sobie rybacką kurtkę, lecz pod nią nosił spodnie lśniące trupią zielenią w beżpłomiennym blasku sali.

– Nie sięgajpo to, panienko, zauważyłem cię. – Wyciągnął rękę, dostrzegła coś nieznanego w

jego dłoni. – Połóż to na podłodze, powolutku.

Niepewna groźby, dokończyła wyciąganie noża. Niecierpliwie machnął ręką i wypuściła zakrzywione ostrze. Podeszedł, by je podnieść.

– Czego chcesz? – zapytała, a piskliwość głosu zdradziła, jak bardzo się lęka.

– Wyjdź, Silky. – Mężczyzna spojrział na drzwi, nie zwracając uwagi na jej pytanie. Jedyłą odpowiedzią, jaką uzyskał, były niezrozumiałe syki. Nieznajomy uśmiechnął się bez wesołości.

– Tak – powiedział – równie mało cieszy się na spotkanie z tobą, co i ty. Wyjdź i pokaż się jej.

Istota wynurzyła się ostrożnie zza drzwi. Dłonie Moon zacisnęły się na zwierzęcych główkach oparcia krzesła. Na widok stwora pomyślała nagle o ozywającym herbie rodziny.

– Nie... nie mam pieniędzy.

Mężczyzna spojrział na nią dziwnie i wybuchnął śmiechem.

– Och, rozumiem. No to płyniemy na razie tą samą łódką, choć z innych powodów. Zachowuj się spokojnie, a nic ci się nie stanie.

– Cress! Co u diabła się tu dzieje? – Do sali weszła niespodzianie trzecia obca postać, tym razem ludzka. Moon ujrzała niską, pulchną kobietę o granatowoczarnej skórze i srebrzystych włosach, która stanęła, zaskoczona. – Mój drogi, nigdy nie zaciągniesz dziewczyny na randkę, mierząc do niej z pistoletu – powiedziała łagodnie, przypatrując się Moon bez uśmiechu.

Jasnowłosa tym razem się nie roześmiała.

– Nie wiem, co wie, Elsie, ale nie powinno jej tu być.

– Na pewno. Kim jesteś, dziewczyno? Co tu robisz? – Wydawała się pytać z czystej uprzejmości, choć stalowym głosem.

– Przyjacielem... jestem przyjacielem Ngeneta Miroe. A ty jesteś Elsevier, z którą miał się spotkać? – Moon przejęła inicjatywę, ujrzawszy, że jej odpowiedzi trafiają. – Poszedł cię szukać. Mogę po niego pójść... – Spojrzała w stronę drzwi.

– To niepotrzebne. – Kobieta machnęła ręką, a mężczyzna opuścił broń i schował ją do kieszeni, w której zniknął nóż Moon. Oboje lekko się odprężyli. – Zaczekamy z tobą. – Widmowa istota zasyczała coś z niemal ludzkim tonem pytania. – Silky chce wiedzieć, co go zatrzymało.

– Kłopoty z silnikiem – powtórzyła mechanicznie Moon. Wyprostowała się, nadal trzymając krzesło.

– Aha. To wszystko wyjaśnia. – Moon odniosła wrażenie, że w głosie starszej pani nie ma pełnego zadowolenia. – Nie musimy chyba czekać na stojąco, prawda? Moje stare kości skrzypią na samą myśl o tym. Usiądź, moja droga, wszyscy siądziemy przy ogniu i trochę się zapoznamy. Cress, przyniesiesz nam piwa?

Moon patrzyła niechętnie na zbliżającą się do stolika kobietę i potwora. Istota przykucnęła jednak na podłodze poza zasięgiem jej nóg z opuszczonymi oczyma i ciałem lśniącym od blasku. Płaskie macki przesuwwały się po obmurówce kominka rytmicznymi, hipnotyzującymi ruchami, niektóre były okaleczone, pokryte starymi bliznami. Kobieta przyciągnęła sobie krzesło i usiadła obok Moon z mającym ją ośmielić uśmiechem. Odpięła swój o wiele za duży płaszcz, ukazując prosty, pomarańczowy strój, równie jaskrawy co zieleń spodni Cressa.

– Musisz wybaczyć Silky'emu, że nie siądzie z nami do stołu; obawiam się, że niezbyt ufa nieznajomym.

Moon okrążyła powoli swe krzesło i usiadła. Mężczyzna przyniósł trzy kufle piwa, jeden postawił na obmurówce. Moon patrzyła, jak morski demon gładzi go nigdy nie spoczywającymi nieruchomo mackami, unosi i wychyla. Sama wzięła swój i zaczęła pić długimi łykami. Mężczyzna usiadł naprzeciw.



– Musisz wciągać osad, panienko – rzekł z uśmiechem.

Starsza kobieta cmoknęła ganiąco i także zabrała się do piwa.

– Nie szkodzi. Opowiedz nam o sobie, kochana. Chyba jeszcze nie zdradziłaś nam swego imienia. Ja rzeczywiście jestem Elsevier, a to Cress. Tam masz Silky'ego, partnera... handlowego mego zmarłego męża. Oczywiście tak naprawdę nazywa się inaczej, ale nie potrafimy wymówić jego imienia. To dillyp z Tsieh-pun; z innej planety, tak jak i my – dodała spokojnie. – Jesteś... koleżanką Miroe?

– Nazywam się Moon i... – zawahała się, świadoma ich niedomówień. Ciągle im nie ufała, nie wiedziała, co będzie gorsze, kłamstwo czy prawda. – Spotkaliśmy się przypadkiem. Podrzucił mnie do Shotover.

– I przyprowadził tutaj? – Cress pochylił się z grymasem. – Tak po prostu. Co ci powiedział?

– Nic. – Moon odsunęła się od niego w stronę kobiety. – Nie obchodzą mnie wasze sprawy. Jadę do Krwawnika. Powiedział... że zrozumiesz – zwróciła się do Elsevier, spojrzała w zmrużone oczy barwy indyga, otoczone siatką starczych zmarszczek.

– Co zrozumiem?

Moon odetchnęła głęboko i wyciągnęła spod swetra oznakę sybilli.

– To.

Elsevier była wyraźnie zaskoczona, Cross odchylił się w krześle, istota przy kominku syknęła pytająco.

– To sybilla! – odpowiedział mężczyzna.

– O...! – mruknęła Elsevier, niemal westchnęła. – Jesteśmy zaszczyceni. – Spojrzała na pozostałych, Cress kiwnął głową. – Wiem, że ta połowa Tiamat nie jest najlepszym miejscem dla sybilli. Miroe lubi się wtrącać w takie sprawy. – Uśmiechnęła się nagle szczerze, ale i z wielkim zmęczeniem. – Nic mi nie jest. Widząc cię taką młodą i mądrą, poczułam się stara i głupia.

Moon spojrzała na jej palce zaciskające się na blacie.

– Jestem jedynie naczyniem mądrości Pani – z roztargnieniem powtórzyła tradycyjne słowa. To pozaziemcy, a mimo to, podobnie jak Miroe, okazują jej szacunek bliski lękowi i poważaniu Letniaków. – Nie, nie myślałam, że pozaziemcy wierzą w potęgę Pani. Wszyscy mówią, że to przez was Zimacy nienawidzą sybille. Czemu nie nienawidzicie mnie?

– Nie wiesz? – spytał zaskoczony Cress. Spojrzał na Elsevier i na obcą istotę przy kominku. – Nie wie, kim jest.

– Oczywiście, Cress. Hega stara się zachować tę planetę w ciemności technicznej, a sybille są latarniami wiedzy. Ale tylko dla tych, którzy potrafią korzystać z ich światła – powiedziała Elsevier, pociągając w zamyśleniu piwo. – Możemy przynieść temu światu małe odrodzenie, nasz złoty wiek. Wiesz co, Cress, możemy być najbardziej niebezpiecznymi ludźmi, którzy kiedykolwiek odwiedzili tę planetę...

– Jak to nie wiem, kim jestem? – skrzywiła się lekko Moon. – Jestem sybillą. Odpowiadam na pytania.

Elsevier przytaknęła.

– Ale nie na te właściwe. Dlaczego jedziesz do Krwawnika, choć może cię tam spotkać wyłącznie nienawiść?

– Muszę. Muszę odnaleźć kuzyna.

– To jedyny powód?

– Tylko on się liczy. – Spojrzała na koniczynkę.

– A więc szukasz nie tylko krewniaka?

– Tak.

– Kochanka? – spytała bardzo łagodnie.

Kiwnęła głową, przełykając nagłą kulkę w gardle.

– Tylko jego kocham i będę kochać. Choćbym nigdy go nie znalazła...

Elsevier wyciągnęła zeszywniałą ze starości rękę i położyła na jej dłoni.

– Tak, kochanie, wiem. Dla niego przejdiesz bosą po ogniach piekieł. Ciekawa jestem, co tak go różni od wszystkich innych...?

Cress patrzył na nią, umknęła mu wzrokiem.

Moon potrząsnęła głową. *Co go różni ode mnie?*

– Jesteś z Krwawnika? – zapytała. – Może go widziałaś. Ma rude włosy...

Elsevier zaprzeczyła:

– Niestety. Nie jesteśmy z miasta. Przebywamy tu... z wizytą, czasowo. – Spojrzała na drzwi, jakby przypomniawszy sobie nagle, czemu tu czekają.

– Och... Co miałaś na myśli, mówiąc, że nie zadaję właściwych py...

Ktoś tam mocno pchnął drzwi gospody, aż walnęły o ścianę.

Moon spojrzała na innych, jej pytanie zawisło w powietrzu.

Z ciemności wyłoniły się dwie postacie: szczupły, niezbyt wysoki mężczyzna i wysoka, krępa kobieta, oboje pozaziemcy. Ubrani w takie same ciężkie stroje, na głowach hełmy. W dłoniach broń.

– Sini! – mruknął Cress, ledwo poruszając ustami. Elsevier uniosła dłoń do gardła, zacisnęła poły płaszcza na czymś pomarańczowym pod spodem. Spojrzała na swą śniadą skórę, opuściła rękę.

– Co się dzieje? – Moon przewyciężyła przemożną chęć podskoczenia na widok kryjącego się za nią Silky'ego. – Kim oni są?

– Sama powinnaś znać ich najlepiej – odparła spokojnie Elsevier. Uniosła kufel, nim spojrzała na natrętów. – Pani inspektor. Co za niespodzianka. Jest dziś pani daleko od domu.

– Przypuszczam, że o wiele bliżej niż wy. – Kobieta podeszła bliżej, przyglądając się wszystkim z ciągle widoczną w garści bronią.

– Obawiam się, że nie wiem, o czym pani mówi. – Wzrok Elsevier zapłonął kontrolowanym oburzeniem. – To prywatne przyjęcie odpowiedzialnych obywateli Hegemonii, a wasze wtargnięcie tutaj jest wielce...

– Daj spokój, przemytniczko techu. – Kobieta skinęła bronią, usta miała zaciśnięte. – Przyłot waszego statku został zauważony, przebywanie na tej planecie nielegalnie. Oskarżam was także o przemyt zakazanych towarów. Wstać, wszyscy, i położyć ręce na głowach.

Moon siedziała jak sparaliżowana, spoglądając na przemian na Elsevier i na Cressa, oni jednak patrzyli tylko na obcych. Koniczynka wpijała się w jej zaciskającą się dłoń. Przytomna na tyle tylko, by czuć strach, schowała ją pod sweter.

Umundurowana kobieta zauważyła ruch i podeszła kilka kroków; gdy się zbliżyła, Moon dostrzegła, jak jej twarz przybiera wyraz równie ogromnego zdumienia, co u pary Zimaków na nabrzeżu. Znajdujący się za nią mężczyzna przesunął się czujnie na bok, gdy Elsevier i Cress wstali jednocześnie. Moon poczuła, jak Elsevier pchnęła jej łokieć, i wstała niezgrabnie, przewracając krzesło na podłogę.

– Teraz, Silky! – mruknęła Elsevier i szarpnęła Moon do tyłu, a obcy odskoczył od stołu, kierując się do drzwi, którymi wszyscy weszli. Moon oparła się o ścianę z kominkiem, gdy policjanci wahali się, który cel wybrać, gdy Cress złapał kufel ze stołu i nim cisnął, gdy naczynie uderzyło w zwisającą z krokwi lampę i ją rozbiło. Kaskada iskier elektrycznych i piany opadła w nagłą ciemność.

– Biegnij za nim!

– BZ! Łap go!

– Moon, odsuń się! – Dziewczyna poczuła, jak Elsevier odpycha ją brutalnie, zaczęła po ciemku o własne krzesło i wpadła na stół. Za sobą usłyszała hałas i krzyk; ujrzała niewyraźnie, jak policjantka skacze, by chwycić Elsevier za płaszcz. Ręka Moon zacisnęła się na innym kuflu. Zamachnęła się nim i z całą siłą kobiety uderzyła w ramię policjantki. Dobiegł ją jęk bólu. Elsevier wyrwała się, szarpnęła Moon w stronę wyjścia.

– Nigdy, nigdy nie bij Sinych, kochana... – szepnęła jej bez tchu do ucha. – Ale dziękuję ci. Teraz w nogi!

Moon runęła przez drzwi, w głowie miała mgłę równie białą co znajdujący się za nimi, jasno oświetlony pokój, potem następnymi drzwiami wypadła na ciemną ulicę.

– Tędy! – Cress zjawił się obok, wskazał w lewo. – To ślepy zaułek. Elsie?

– Jestem. – Drzwi trzasnęły za nimi. – Nie gadaj tyle, do ładownika!

Pobiegli, Moon złapała starszą kobietę za rękę, użyczając jej swej siły i szybkości. Przed sobą, w paśmie rdzawożłotego światła gwiazd, ujrzała obcego znikającego w mrocznej kryjówce, za sobą usłyszała trzask otwierających się drzwi i krzyki. Wolna ręka nagle zdrętwiała jej aż do nadgarstka; panika dodała skrzydeł.

Cress stanął z poślizgiem w miejscu, gdzie Moon widziała znikającego obcego. Zobaczyła wyłocony przez noc płot z desek, wciskającego się między dwie przegniłe sztachety mężczyznę. Podążyła za nim, ciągnąc za sobą Elsevier, po drugiej stronie niemalże wpadła na wyrzucone przez fale drzewo.

– Do ładownika! – Cress machał na nie szaleńczo. – Zastawię dziurę.

– Tędy. – Elsevier szarpnęła ją za rękę, pobiegła między stosami i kupami gratów i resztek wraków. Moon skoczyła za nią, zerkając za siebie, widziała, jak Cress zasłania szparę kolczastym pniem drzewka. Gdy się odsuwał, gałąź złapała go za kurtkę i szarpnęła do tyłu; dostrzegła jeszcze, jak się wrywa, nim straciła go z oczu za stertą spleśniałych żagli. Obok Elsevier potknęła się w cieniach o jakąś przeszkodę i Moon wyciągnęła pomocną rękę.

Przed sobą, za zalanym cieniami i złotym światłem gwiazd podwórce zobaczyła leżące na śmietniku soczewki baterii ze zniszczonego metalu. W ich boku ział otwarty luk, a na ziemię opuszczała się rampa.

– Co to jest?

– Schronienie – wysapała Elsevier. Dobiegły do rampy i weszły na nią razem. W górze czekał Silky. – Włączone?

Obcy chrząknął potwierdzająco, skinął macką.

– To się zapnij, uciekamy stąd. – Elsevier oparła się o ściankę, przycisnęła dłoń do serca. – Cress? – Wyrzała przez luk, lecz za nim widać było jedynie złom i tłące się niebo.

Moon obróciła się i wychyliła za rampę. Cress nadbiegał, ale na jej oczach potknął się i upadł, przez kilka uderzeń serca leżał oszołomiony na ziemi. Gdy wreszcie wstał i ruszył, przypominał kogoś brnącego pod wodą, mozolącego się przy każdym ruchu.

– Idzie!

Dotarł do skraju rampy, zatrzymał się i długo patrzył w górę z rękoma przyciśniętymi do brzucha, nim wreszcie ruszył. Za nim zobaczyła okrążającego kupę żagli jednego ze ścigających.

– Cress, szybciej!

Mimo jednak jej krzyku mężczyzna zwolnił w połowie rampy. Jego oczy lśniły rozpaczą.

– Chodź!

Pokręcił głową i zachwiał się w miejscu. Przez podwórze widziała teraz obu oficerów policji, jeden wycelował w Cressa, usłyszała krzyk:

– Stać!

Moon wyskoczyła ze środka i zbiegła po rampie, by chwycić luźny rękaw kurtki mężczyzny i wciągnąć go przez luk. Za ich plecami rampa złożyła się teleskopowo, a drzwi zamknęły z sykiem. W uszach zabolowało ją od zmiany ciśnienia. Cress złapał się za futrynę następnych drzwi, gdy puściła go walcząca o zachowanie równowagi Moon. Jej rękę nadal unieruchamiał jakiś dziwny paraliż. Spojrzała w dół i cicho krzyknęła ze zdumienia na widok pokrywanej ją krwi.

– Cress, idź naprzód i... – Elsevier urwała, gdy mężczyzna osunął się na kolana i upadł. Moon ujrzała na jego kurtce jasną plamę, zrozumiała, że krew na ręce nie jest jej.

– Och, bogowie, Cress!

– Co się stało? – Moon opadła obok niego na kolana, wyciągnęła rękę.

Odsunął na bok jej poczerwieniałą dłoń.

– Nie! – W środku rozlewającej się na kurtce plamy zobaczyła wystającą z przegródki sakiewki rękojeść jej własnego noża do oprawiania ryb. – Nie dotykaj tego... wykrwawię się. – Moon cofnęła się, obejmując dłońmi swe boki. – Elsevier? – Spojrzała na kobietę.

– Cress, jak to się stało? – Elsevier opuściła się sztywno z drugiej jego strony, położyła mu dłoń na policzku. Za nią w drzwiach pojawił się Silky.

Cress roześmiał się poprzez zbielejące wargi.

– Powinienem być zostawić młodej pani jej sztylet... upadłem na to cholerstwo. Elsie, wsadź mnie do zamrażarki, b-bo-li... – Usiłował wstać, jęknął przez zaciśnięte zęby, gdy postawiły go na nogi.

– Silky, idź do sterów.

Obcy szedł przed nimi, gdy prowadziły Cressa do następnej kabiny, opuściły go tam na koję.

– Wsadził jej nóż do kieszeni! Drogi chłopcze, sam wiesz, jak bardzo głupio zrobiłeś. – Elsevier ucałowała swe palce i położyła je lekko na jego oczach.

– Jestem astrogatorem, a nie... najemnym mordercą. Skąd mogę... się na tym znać? – Zakaszłał, w kąciку ust pokazała mu się krew, ściekła po policzku w stronę ucha.

Elsevier cofnęła się, gdy na koję opuściła się przezroczyta, przydymiona kopuła, zasłaniając go przed ich wzrokiem.

– Spij dobrze – powiedziała to tonem błogosławieństwa, ale na nie wypowiedziane pytanie Moon odpowiedziała pokręceniem głowy. – Nie. To utrzyma go przy życiu, dopóki nie zdołamy sprowadzić mu pomocy. – Jej twarz zmieniła wyraz. – Jeśli tylko zdołamy wydostać się poza atmosferę, nim Sini ściągną na nas pomstę niebios. Zapnij się, moja droga, przyspieszenie może być za pierwszym razem nieprzyjemne. – Minęła Moon i zasiadła w wyściełanym, prostym fotelu znajdującym się przed deską rozdzielczą. Obcy siedział na drugim miejscu, macki miał zawieszony nad tablicą ze światełkami. Przed nimi szerokie okno z grubego szkła ukazywało inny widok złomowiska. Moon zasiadła w trzecim stojącym pionowo fotelu i niepewnie zacisnęła pasy. Obcy zapytał o coś gardłowo.

– A co innego mogę zrobić? – odparła ostro Elsevier. – Nie możemy zostawić jej policji; to przecież sybilla. Nie po tym, jak walczyła o me ocalenie – wiesz, co robią... Wznoszenie!

Pochylną do przodu, słuchając Moon szarpnął do tyłu napór niewidocznej fali. Odetchnęła głęboko ze zdumienia, powtórzyła to, gdy nacisk zaczął narastać, wypierając powietrze z jej płuc. Walczyła o nie jak tonąca, lecz z równym powodzeniem. Z jękiem niedowierzania opadła w nadymające się krągłości. Pomiędzy przednimi fotelami nie widziała już złomowiska ani w ogóle

ziemi, lecz tylko gwiazdy. Na jej oczach księżyc jak kamień przeleciał przez okno i zniknął. Moon zamknęła oczy, poczuła, jak coś ją wciąga w koszmarny wir, bezdenne i czarne.

Jednakże między zalewającymi ją wodami strachu odnalazła pamięć innego mroku, bardziej całkowitego i absolutnego niż wszelkie widziane przedtem – czarne serce Przekazu. Przekazu... to przypomina Przekaz. Uczepiła się tej kotwicy, poczuła, jak przytłaczający ciężar znajomego stanu zwalnia wirowanie lęku. Skupiła świadomość na uporządkowanych rytmach umysłu i ciała, łączących ją cienką nicią z rzeczywistością, powoli zapadła w cierpliwe trwanie.

Znowu otworzyła oczy, za oknem nadal widziała gwiazdy; przekręciła głowę, by spojrzeć na pobliską ścianę pokrytą jarzącymi się odczytami. Starła się niczego nie dotykać. Rozpoznała głos Elsevier, napięty, ledwo słyszalny, i odpowiadającej obcej istoty; oba były dla niej równie niezrozumiałe.

– ...Sprawdzone. Jeszcze nie ma alarmu śledzenia. Mam nadzieję, że nie mają przekaźników... nim je wezwą, możemy być już bezpieczni... Czy tarcze są zielone? Silky odpowiedział niepojętym głosem obcego.

– Też na to liczę... ale bądź gotów przełączyć moc.

(Odpowiedź.)

– Zgadza się, mamy tłumienie. A zresztą szukają głównie przylatujących... za słabo rozglądają się za innymi... Modlę się o to.

(Odpowiedź.)

Słaby chichot.

– Oczywiście... Ile czasu minęło?

Moon znowu zamknęła oczy, pocieszona przestała się przysłuchiwać. Jakimś sposobem lecą w tej okutej metalem kabinie; ale w niczym nie przypomina to jej lotu z Ngenetem. Zastanawiała się czemu i jak, rozmyślała mgliście, czy wygląda to na podróż pozaziemskim statkiem gwiazdnym... Nagle otworzyła oczy.

– Elsevier!

– Tak... Moon, dobrze się czujesz?

– Co robimy...? Dokąd lecimy? – Dyszała, łapiąc powietrze.

– Uciekamy... jaki mamy czas?

(Odpowiedź.)

– Wyleźliśmy z nory! – Stłumiony śmiech triumfu. – Odcięcie zasilania... lepiej oszczędźmy resztki na spotkanie.

Ściskające Moon imadło zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. Przeciągnęła się. Gdy zgniatający ciężar wypuścił ją spod siebie, poczuła się, jakby nie miała ciała, była banieczką unoszącą się na wodach morza... uleciała znad wyściełanego fotela przytrzymywana tylko pasami. Spojrzała z przestraszeniem w dół, chwyciła za ramię.

– Och, Silky. Staję się na to za stara. To nie jest życie dla cywilizowanego człowieka.

(Odpowiedź.)

– Oczywiście, to właśnie sedno sprawy! Nie myślisz chyba, że ciągnę pracę TJ tylko dla pieniędzy? Na pewno nie dla dreszczu emocji – mruknęła Elsevier. – Ale i tak nie będzie następnych wypraw. Na tej nie zarobiliśmy złamanego miedziaka, wszystkie towary zostały na pokładzie... Ach, biedny Miroe! Bogowie wiedzą, co się z nim stanie. – Rozległ się odgłos otwieranej klamry; Moon zobaczyła wznoszącą się nad oparciem fotela srebrzystą głowę Elsevier. – My już nigdy się nie dowiemy. – Kobieta odwróciła się, by na nią spojrzeć. – Moon, dobrze się...

– Nie martw się! – Moon uniosła zdumione oczy. – To obecność Pani. Pokój wypełnia Morze, to

dlatego się unosimy... To cud.

Elsevier uśmiechnęła się do niej z lekkim smutkiem.

– Nie, moja droga, jego brak. Jesteśmy poza zasięgiem twej bogini, poza zasięgiem twego świata. Po prostu tak daleko nie sięga jego grawitacja. Podejdz tu i zobacz, o czym mówię.

Moon odpięła się niepewnie i odepchnęła od fotela. Elsevier rzuciła się i chwyciła ją za nogę, nim walnęła w znajdujący się nad jej koją stożek, podobny do tego, który chronił Cressa.

– Spokojnie! – Elsevier przyciągnęła ją do okna i wskazała w dół. Poniżej nich unosiła się zakrzywiona kula Tiamat, niby nakrapiana pianą bańka przejrzystego błękitu, odbijająca się od ściany gwiazd.

W głębi duszy wiedziała, co zobaczy, gdy jednak podpłynęła do okna, ujrzała w nim widok przewyższający wszystko, co sobie wyobrażała. Mogła jedynie sapać:

– Piękne... piękne... – Przycisnęła dłonie do zimnej szyby.

– Zaczekaj, aż miniemy Czarne Wrota i zobaczysz, co jest za nimi.

– Och, tak... – W jej umyśle zakiełkowało ciemne ziarno wątpliwości. Oderwała oczy, odwróciła głowę. – Czarne Wrota? To przecież przez nie pozaziemcy lecą do innych światów... – Spojrzała znowu na swą planetę, która kiedyś wydawała się jej tak ogromna i różnorodna, a teraz leży u jej stóp jak pływak sieci z niebieskiego szkła. – Nie... nie mogę z tobą lecieć przez Wrota. Muszę się dostać do Krwawnika. Muszę znaleźć Sparksa. – Odepchnęła się mocno od okna, złapała za oparcie fotela Silky'ego. – Czy teraz zabierzesz mnie z powrotem? Czy możesz wysadzić mnie? Wysadzisz w porcie gwiazdnym?

– Zabrać cię z powrotem? – Między niebieskofiołkowymi oczami Elsevier pojawiła się zmarszczka; przycisnęła dłoń do ust. – Och, Moon, moja droga... Boję się, że nie rozumiesz. Widzisz, nie możemy cię odwieźć. Wykryliby nas, a zresztą mamy mało energii... nie możemy tam wrócić. Niestety, gdy mówiłam ci o Wrotach, nie była to propozycja.

– Jest pan właścicielem tego pojazdu? – Jerusha stała na końcu nabrzeża obok latającego statku, oddech zamarzał jej w chłodnym nocnym powietrzu. Wyładowywała swój zły humor na wysokim mężczyźnie, który opierał się o burtę z tą samą udawaną pewnością siebie, co przemytnicy techu w barze. Z tyłu Gundhalinu kołysał się na piętach z ledwo powstrzymanym gniewem.

– Tak i mam po temu wszelkie prawa. – Głos mężczyzny przypominał chrzęst żwiru. Wskazał gwałtownie na swą twarz, mimo słabego światła widać było, że to niewątpliwie pozaziemiec, z Tsieh-pun, jak sądziła, albo z Numeru Czwartego. – Czy po to zrobiła pani taki szmat drogi z Krwawnika, inspektorze, by wlepić mi mandat za złe parkowanie?

Jerusha skrzywiła się, pokrywając niepewność zdenerwowaniem. Splotła kurczowo obie ręce na ciężkim płaszczu, osłaniając tę uderzoną kuflem przez dziewczynę z baru. Prawe przedramię było rozpaloną do białości gwiazdą, płonąca wściekle w środku drżącego wszechświata ciała. Ból ją oszałamiał, mogła myśleć jasno tylko dzięki wielkiemu gniewowi. Stara baba z garstką dziwaków zrobili ją w konia i dręczyło ją podejrzenie, iż tylko dlatego, że tego chciała. Do licha, ma wymuszać prawo, a nie naginać je do własnego widzimisię! Przynajmniej ten nie uciekł. – Nie, obywatelu Ngenet, przybyliśmy, by oskarżyć was o usiłowanie kupna zakazanych towarów.

Jego twarz była wzorem oburzenia i zdziwienia. *Bogowie, czego bym nie data za to, by tylko uniósł ręce i powiedział: "Przyznaję się"!*

– Chciałbym wiedzieć, na jakiej podstawie wysuwa pani takie oskarżenie. Nie znajdziecie...

– Wiem o tym. Nie zdążyliście dobić handlu. Widziano was jednak w towarzystwie jednego z pozaziemców, który nam uciekł.

– O kim pani mówi? .

Niemal mogła uwierzyć, że tego nie wie.

– Kobieta, wiek około siedemnastu lat standardowych, jasne włosy i jasna skóra.

– Ona nie jest przemytniczką! – Ngenet odsunął się gwałtownie od pojazdu.

– Była z nimi, gdy poszliśmy ich aresztować – powiedział Gundhalinu. – Uderzyła panią inspektor i uciekła z pozostałymi.

– To Letniaczka z wysp Nawietrznych, nazywa się Moon Dawntreader. Podwiozłem ją tutaj i zostawiłem w gospodzie, bo... – przerwał. Jerusha ciekawa była, czego nie chciał powiedzieć. – O niczym nie wiedziała.

– To dlaczego pomogła im w ucieczce?

– A co, u diabła, by pani zrobiła, przybywszy świeżo z Lata, na widok celujących w panią z pistoletów dwóch pozaziemców? – Zdenerwowany zrobił dwa kroki. – Co, w imię tysiąca bogów, by pani pomyślała na jej miejscu? Nie zraniła jej pani?

Jerusha skrzywiła się znowu, zmieniła grymas w uśmiech.

– Trzeba by ją zapytać. – Coraz bardziej ją zastanawiało, dlaczego stara się ochronić dziewczynę. Jest jego kochanką?

– Mówiła pani, że uciekła?

Gundhalinu roześmiał się gorzko.

– Jak na człowieka, który nic nie wie, bardzo się pan przejmuje dzisiejszymi wydarzeniami.

Ngenet czekał na odpowiedź, nie zwracając na niego uwagi.

– Wszyscy uciekli. Ich statek bez przeszkód opuścił przestrzeń Tiamat. – Jerusha ujrzała, iż twarz mężczyzny przybrała nowy wyraz, daleki od ulgi.

– Wszyscy? To znaczy, że z nimi poleciała? – mówił wolno, jakby każde słowo było obce jego

językowi.

– Tak – przytaknęła, zaciskając zdrową rękę na łokciu drugiej i rozluźniając nerwy ramienia. – Zabrali ją. Twierdzi pan, że rzeczywiście zaplątała się w to przypadkowo i jest tutejsza?

Ngenet odwrócił się, uderzył pięścią w rękawicy w oszronioną owiewkę swego latającego statku.

– To moja wina...

*I moja. Gdybyśmy ich zatrzymali, nic by się jej nie stało. Oto do czego prowadzą próby zmiany zasad.* Jerusha zakłęta pod nosem.

– Kim była dla was, obywatelu Ngenet? – zapytał Gundhalinu. – Kimś więcej niż przygodną znajomą. – Nie było to pytanie.

– Była sybillą. – Spojrzał na nich. – Teraz możecie się o tym dowiedzieć.

Jerusha uniosła brwi.

– Sybillą? – Wiatr znad zatoki chwycił ją w mroźne szpony.

– Czemu miałoby to być dla nas różnicą?

– Niech pani da spokój, inspektorze. – Głos mu zgorzkniał.

– Jesteśmy oficerami policji. Pilnujemy przestrzegania prawa – *ty kłamczucho* – a ono chroni sybille, nawet na Tiamat.

– Tak samo jak chroni mery? I ten świat przed postępem?

Ujrzała, jak Gundhalinu napina mięśnie niby drapieźnik, który poczuł łup.

– Jak długo tu żyjecie, obywatelu Ngenet?

– Całe życie – odpowiedział z pewną dumą. – A przedtem mój ojciec i dziadek... to moja ojczyzna.

– I nie podoba się wam, jak nią rządzą? – spytał wyzywająco Gundhalinu.

– Jeszcze jak! Staracie się pozbawić ją przyszłości, pozwalacie takim robakom jak Starbuck wycierać o was buty, choć wyrzyna niewinne istoty dla korzyści paru parszywych bogaczy, którym zachciewa się żyć wiecznie. Drwicie z "prawa" i "sprawiedliwości"...

– Tak jak i wy, obywatelu. – Gundhalinu wystąpił naprzód; Jerusha widziała, jak wszystko gładko się układa w jego głowie.

– Inspektorze, wydaje mi się, że ten człowiek zamieszany jest w poważniejszą działalność przestępczą niż tylko przemyt. Uważam, iż należy go zabrać do miasta...

– Pod jakim zarzutem? Że zachowuje się jak bezczelny głupiec? – Pokręciła głową. – Nie mamy dowodów.

– Ale on... – Gundhalinu wskazał ręką, przypadkowo uderzając ją w ramię.

– Do cholery, sierżancie, powiedziałam, że go puszczamy! Atak bólu przesłonił jej widok jego zaskoczonyj twarzy. Z trudem skupiła wzrok na Ngenecie. – Nie oznacza to, że zostawiam was całkowicie, Ngenet. Wasza obecność tutaj i zachowanie są dostatecznie podejrzone, by uzasadnić cofnięcie wam prawa korzystania z tego samolotu. Konfiskuję go. Wracamy z nim do miasta. – Krople potu wystąpiły jej na policzki, płonąć zimnem.

– Nie możecie! – Ngenet oderwał się od drzwiczek pojazdu, stanął nad nią. – Jestem obywatelem Hegemonii...

– Zobowiązany do posłuszeństwa wobec mnie. – Uniosła głowę, patrząc na niego. – Z własnego wyboru jesteście obywatelem Tiamat. Jeśli tego chcecie, to żyjcie jak oni.

– Jak mam prowadzić plantację?

– Tak jak wszyscy Zimacy. Pływajcie statkami, handlujcie z kupcami. Świetnie sobie poradzicie, jeśli tylko o to wam chodzi... A może wolicie polecieć z nami do Krwawnika i zaczekać



na wyniki elektronicznych poszukiwań kontrabandy w waszej plantacji? – Ujrzała, że szuka słów i wreszcie ulega.

– Dobra. Zabierzcie pojazd. Wezmę tylko swoje rzeczy.

– To niepotrzebne. – Spojrzała na nią. – Podrzucę was na plantację, a stamtąd polecę do Krwawnika... BZ, odprowadzicie patrolowiec z powrotem.

Gundhalinu kiwnął głową, dostrzegła, iż tym ruchem pozbywa się części rozczarowania.

– Mam lecieć przy was, inspektorze?

– Nie. Nie sądzę, by obywatel Ngenet zamyślał jakieś głupstwa. Nie wygląda mi na niemądrego.

Ngenet wydał głos nie będący śmiechem.

– Możemy startować. – Spojrzała ponuro na patrolowiec. *Zanosi się na długą podróż.*

– Tak jest, pani inspektor. Do zobaczenia w Krwawniku. – Gundhalinu zasalutował i odszedł.

Patrzyła, jak wsiada do patrolowca i odrywa się od kamiennej nawierzchni nabrzeża. Niebo znów się zachmurzyło, zadrzała mocniej. *W Krwawniku mają przynajmniej centralne ogrzewanie...* nagle zatęskniła za niesionymi ciepłym wiatrem zapachami sillify, wiecznie letnimi popołudniami jej dzieciństwa na Newhaven. – No, obywatelu Ngenet...

Dłoń Ngeneta zacisnęła się łagodnie, lecz stanowczo na jej bolącym ramieniu. Syknęła ze zdziwienia i nagłego wstrząsu.

– Aha. – Uniósł ostrzegawczo drugą rękę i puścił ją. – Chciałem się tylko upewnić. Letniaczka panią zraniła, inspektorze. Może lepiej pozwoli mi pani zobaczyć, jak mocno.

– To głupstwo. Wsiadajcie. – Odwróciła od niego twarz z napiętymi mięśniami szczęki.

– Jeśli pani chce, może być męczennicą. – Wzruszył ramionami. – Na mnie nie robi to wrażenia. Jak pani powiedziała, nie jestem głupi.

– Wolę poczekać, aż zobaczy to lekarz w porcie kosmicznym.

– Jestem wykwalifikowanym lekarzem. – Odwrócił się i przycisnął dłoń do zamka w boku latającego statku. Otworzył się przedział bagażowy, lecz w mroku nie widziała, co zawiera. Wyjął ciemną torbę, postawił na ziemi i otworzył. – Oczywiście – spojrzał na nią z sardonicznym uśmiechem – uzna mnie pani pewnie za weterynarza, lecz przyrządy diagnostyczne są takie same.

Skrzywiła się lekko, nic nie rozumiejąc, ale pozwoliła mu wziąć się za rękę i przesunąć czytnikiem nad ramieniem.

– Hmm... – Znów ją puścił. – Złamana kość promieniowa. Unieruchomię ją tymczasowo i dam pani coś przeciwbólowego.

Stała w milczeniu, podczas gdy zakładał jej na ramię i zaciskał sztywną tubę łupków. Do wnętrza drugiej dłoni przycisnął małą gąbkę, poczuła, jak błoga nicość zaczyna gasić płonące w ramieniu ognie, i westchnęła.

– Dziękuję. – Patrzyła, jak chowa torbę, zastanawiając się nagle, czy mają za naiwną kobietę. – Wiecie, Ngenet, że to nie zmienia mego zdania.

Zamknął bagażnik, mówiąc żywo:

– Nie liczyłem na nic. W pewien sposób jestem odpowiedzialny za pani ranę, nie podoba mi się to. Ponadto – spojrzał na nią – jestem pani coś dłużny.

– Co macie na myśli?

– Pozwolenie mi na wybór mniejszego zła. Gdyby zostawić sprawę temu nadgorliwemu sierżantowi, pewnie zostałbym deportowany.

Uśmiechnęła się lekko.

– Chyba że nie mielibyście niczego do ukrycia.

– Któż tak naprawdę nie ma niczego do ukrycia, inspektorze PalaThion? – Otworzył drzwiczki

pojazdu i spojrzał na nią z nikłym uśmiechem. – A pani?

Okrążyła statek, poczekała, aż otworzy drugie drzwiczki, i wsiadła ostrożnie.

– Ostatni się o tym dowiecie, Ngenet. – Jedną ręką zapięła pasy.

Nic nie odpowiedział, lecz nadal się uśmiechał, włączając silnik. I nagle przestała być taka pewna, że będzie ostatni.

– ...dlatego jego obecność sprawia, iż uważam go za człowieka zamieszanego w przeszkadzanie polowaniom na mery. Osobiście skonfiskowałam jego samolot i nie sądzę, by bez niego mógł zbytnio stawać łowcom na zawadzie.

Arienrhod oparła głowę na pachnącej kwiatami poduszce, osłaniającej ją przed zimnym oparciem tronu. Słuchała inspektor przekazującej szczegółowy raport z większym zainteresowaniem, niż to zdradzała. Odczytała wzrok kobiety skierowany pod koniec na Starbucka i bardziej wyczuła niż dojrzała jego reakcję. Jakiś czas temu przegnał beczelnego chama, który towarzyszył PalaThion, głównie dla zabawy; lubiła słuchać, jak barwnie opisuje, co zrobiłby z inspektor, gdyby miał taką możliwość. Niezbyt się interesowała przeszłością Starbucka, lecz wpływała ona na terażniejszość w sposób nieraz zadziwiający... choć już coraz rzadziej zaskakiwał ją czymkolwiek.

– Kto to jest, inspektorze? Dlaczego go nie aresztowaliście, skoro wiedzieliście, że jest winny?  
– Zaostrzyła głos, pragnąc odsłonić głębszą zagadkę związaną z zatoką Shotover.

– Nie miałam dostatecznych dowodów – odpowiedziała ze znużeniem PalaThion, jakby ciągle się z tym spotykała. – Jako pozaziemiec podlega i tak jurysdykcji Hegemonii, Wasza Wysokość, dlatego jego nazwisko nie ma dla was znaczenia. – Przybrała obrobinię bardziej upartą minę.

– Oczywiście, inspektorze. – *Mogę je dość łatwo poznać, pozaziemko.* Spojrzała na podnóże podwyższenia, na jasną, połyskującą głowę Sparksa Dawntreadera, siedzącego niespokojnie na stopniach. Po przybyciu inspektor odesłała tłum trajkoczących szlachciców i z osobistych powodów nakazała chłopcu pozostać. PalaThion patrzyła na niego z wyraźnym zdumieniem. Arienrhod spostrzegła też, jak ciało Sparksa sztywnieje, chyba z dumy, gdy inspektor pochyliła głowę w krótkim uznaniu jego nowej pozycji.

– Czy widzieliście też dziewczynę z Lata, którą podwiózł ten wasz pozaziemiec?

PalaThion była najwyraźniej zaskoczona, nie wspomniała o niej w raporcie.

– Tak... widziałam, Wasza Wysokość. – Nieświadomie przesunęła lewą dłoń na cienki pancerz pokrywający jej prawe ramię. – Nie mogłam jej jednak przesłuchać. Uciekła wraz z przemytnikami. Jak wiecie – spuściła wzrok – zdołali nam umknąć i zabrali ją ze sobą poza planetę.

– Nie! – Arienrhod zerwała się na nogi; to jedno słowo wymknęło się jej spoza zębów, nim zdołała je zacisnąć. Odleciała, odleciała...? Rozluźniła pięści i usiadła płynnie, czując na swej twarzy trzy pary oczu. Brązowe, głęboko osadzone oczy inspektor zwięzały się w namyśle; Arienrhod rozumiała, iż musiała zauważyć tak znaczne podobieństwo. PalaThion opuściła je w końcu, jakby nie zdołała doprowadzić swych podejrzeń do żadnego logicznego wniosku.

– Czy znacie nazwisko dziewczyny? Mam podstawy sądzić, że może być moją... krewniaczką. – *Niech PalaThion robi z tym, co zechce.*

– Nazywa się Moon Dawntreader, Wasza Wysokość.

Spodziewając się tego, tym razem zdołała zapanować nad sobą, zamknąć w środku falę uczuć. Ale tkwiący niżej chłopiec upuścił piszczałkę, gdy usłyszał to nazwisko i wreszcie je zrozumiał. Bezgłośnie stoczyła się po stopniach na dywan u stóp PalaThion, niczym nie zakłócając całkowitej ciszy sali. Inspektor długo patrzyła na Sparksa, nim uniosła wzrok.

– Bardzo mi przykro, Wasza Wysokość – mówiąc to, znowu zerknęła na chłopca, jakby rozumiała, że coś ich łączy. – Nie sądzę, by ktokolwiek zamierzał do tego doprowadzić.

*Jest ci o wiele mniej przykro niż mnie.* Arienrhod przekręciła kciukiem pierścień. *I o wiele mniej, niż jeszcze ci będzie, pozaziemko.*

– Możecie odejść, inspektorze.

PalaThion zaszalutowała i odeszła szybko w stronę Sali Wiatrów, z tyłu powiewała jej czerwona peleryna. Arienrhod ponownie zacisnęła drżące ręce. Sparks wstał i podniósł piszczałkę, chwiejąc się z rozpaczy i zdumienia.

– Wasza Wysokość, czy... mogę odejść? – Ledwo to wyszeptał.

– Tak, idź. Wezwę cię, gdy będziesz potrzebny. – Uniosła dłoń. Opuścił podwyższenie bez należącego pokłonu. Patrzyła, jak odchodzi, nie pamiętając o niej. Jego włosy wyglądały jak świeża krew na tle śnieżnobiałego dywanu; zranione biedactwo, szukające kąta, w którym mogłoby się schować, cierpieć; był samotny, kruchy... piękny.

Odkąd tu przybył, poczuła, jak budzi się w niej coś dawno uspiętego. Odświeżenie, odzycie, pragnienie... Ale nie takie, jakie czuła wobec Starbucka czy setek innych kochanków, przeszłych i obecnych, płynące z bezdusznego ciała żadnego zaspokoić nienasycone potrzeby władzy. Tak, gdy patrzyła na Sparksa Dawntreadera, marzyła o jego leżącym obok w łożu śmigłym, zwinnym ciecie, chciała je dotykać i czuć przy swoim. Lecz spoglądała wtedy i na jego twarz, na świeżość zadziwienia, niewinność wdzięczności... uczucia, którymi w czasie długiego panowania nad Zimą nauczyła się gardzić u innych i odmawiać sobie. Był zakochany w Moon – w drugiej niej, córce jej umysłu – i obecność tego na wpół mężczyzny, na wpół chłopca rozdmuchiwała przygasłe węgielki jej dawno zapomnianej dziewczęcości, wzniecała żar w zimnych izbach jej duszy.

Nie odpowiadał jednak, gdy najpierw delikatnie, a potem mniej subtelnie okazywała mu, iż go chce. Cofał się, mamrocząc coś w strachu przed sobą, za obroną tarczę drugiej jej osoby... Tkwił tam, odporny jak kamień na wszystkie pokusy, a niespodziewany zawód podsycał ognie płonące wewnątrz niej. Teraz jednak, gdy oboje utracili swą przyszłość... Pragnęła, by wrócił, spojrzał na nią.

Samotna postać na śnieżnym polu zatrzymała się, obróciła. Na jego twarzy pojawiło się straszliwe zrozumienie, gdy utkwiała w nim oczy, myśląc: Oboje ją straciliśmy...

Wreszcie ponownie się odwrócił i poszedł do spiralnych schodów, prowadzących na wyższe piętra.

– Teraz, gdy rybka ci uciekła, możesz jeszcze raz zarzucić wędkę.

Zwróciła wzrok na Starbucka, czując w jego głosie ostrą jak brzytwa zazdrość, jak zawsze, gdy mówił o chłopcu.

– Rzuć w diabły tego słabowitego Letniaka z jego cholernym gwizdkiem, Arienrhod. Chce mi się rzygać, gdy go widzę i słyszę. Strać go na ulicę, z której go wzięłaś, nim ja...

– Zanim co, Starbucku? Czy mi rozkazujesz? – Pochyliła się ku niemu, unosząc berło.

Odsunął się lekko i opuścił wzrok.

– Nie. Proszę tylko, Arienrhod. Proszę cię, pozbądź się go. Nie potrzebujesz go, skoro ta dziewczyna...

Spuściła nagle berło na dłoń spoczywającą na poręczy tronu; zaskoczony Starbuck jęknął z bólu.

– Zabroniłam ci o niej mówić. – Przycisnęła dłoń do oczu, nie chcąc na niego patrzeć. Przegrała tę grę, przegrała! Jej plany, przyszłość, wszystko to przepadło w jednym fatalnym rzucie losu. Udało się jej zasadzić dziewięć ziaren, wyrósł z nich jeden nieskazitelny kwiat...a teraz zginął. Przez nieudolne wtrącenie się tych samych pozaziemców, których tyranie miała nadzieję przełamać. Nawet znając jej plany, nie mogliby bardziej gładko ich pokrzyżować. A teraz – co ma robić teraz? Musi zacząć od początku, ułożyć nowy plan, z konieczności mniej subtelny, mniej kruchy... a przez to bardziej zagrażający jej pozycji. Zbadanie wszystkich możliwości wymaga jednak czasu...

Tymczasem może się zemścić na ponoszących odpowiedzialność. Tak, może.

– LiouxSked. Chcę, by za to zapłacił, by Sini cierpieli. Przestań się nim opiekować, pozbądź się

go.

– Czy chcesz śmierci komendanta policji? – Głos Starbucka zdradzał lekkie zdumienie.

– Nie. – Pokręciła głową, zdejmując pierścienie z palców. – To byłoby za proste. Chcę, by został zrujnowany, całkowicie upokorzony, by utracił wszystko – swą pozycję, szacunek przyjaciół, szacunek dla siebie. Chcę kompromitacji policji. Znasz ludzi, którzy mogą to zapewnić... idź do Labiryntu i załatw to.

Ciemne oczy Starbucka za szparkami czarnej maski wypełniła mroczna ciekawość.

– Dlaczego, Arienrhod? Czemu taka kara za Letnią dzierlatkę, której nigdy nawet nie widziałaś? Najpierw sprowadziłaś chłopca, by ją ściągnąć; a teraz, skoro przepadła... Na siedem piętér piekła, czym jest dla ciebie?

– Jest dla mnie kimś... – Zrobiła długi wdech – była dla mnie kimś, lecz nie mogę ci tego wytłumaczyć, gdybym nawet chciała. – Gdy z zazdrości o chłopca zaczął stawać się nieudolny, podała mu sam szkielet sprawy, nie pokrywając go ciałem. Był zadowolony, gdy miał pewność, że jej zainteresowanie innymi kochankami jest sztuczne, ale Sparks to coś innego, nie tylko on to dostrzegął. Nie lubiła zaborczości Starbucka, lecz potrafiła ją wykorzystywać, jak i inne słabości. Dlatego powiedziała mu o istnieniu dziewczyny, nie wyjaśniając przyczyn swej troski... – Skoro przepadła, tym bardziej nie ma powodu, byś wiedział, kim była. Zapomnij o niej. – *Ja też muszę...*

– A chłopiec? – zapytał zawzięcie.

– O nim też zapomnij, jeśli przez to poczujesz się lepiej. – Zobaczyła, jak się krzywi. *Im bardziej ktoś się cofa, tym chętniej jest ścigany.* Pomyślała o Sparksie Dawntreaderze. – Skup się na LiouxSkedzie, a poczujesz się lepiej, znacznie lepiej. – Wychyliła się i lekko dotknęła jego ramienia.

Kiwnął głową, uspokojony jej dłonią.

– Co z PalaThion? To przecież ona pozwoliła przemytnikom uciec z planety. Czy chcesz, bym... załatwił coś dla niej?

– Nie. – Spojrzała ku Sali Wiatrów. – Mam dla niej inne plany. Zapłaci za swe winy... uwierz mi, zapłaci. Idź teraz. Chcę, by to się stało szybko.

Skłonił się i wyszedł. Siedziała samotnie w ogromnej, białej ciszy.

Sparks leżał rozciągnięty na łożu w swym prywatnym apartamencie, błędząc palcami po wąsach obcego pnącza, porastającego pięknie rzeźbiony zagłówek. Przepadła. Przepadła... powtarzał te słowa tak jak wzór, bez końca. Nie miał sił, by w to uwierzyć, by zareagować, poruszyć się, poczuć. By zapłakać. Jak mogła odejść – opuścić tę planetę równie nieodwracalnie, jakby umarła? Nie Moon, która była częścią jego życia od dnia narodzin. Nie Moon, która zaprzysięgła być na zawsze częścią jego...

Moon złamała tę przysięgę i została sybillą. Dlaczego? Dlaczego mu to zrobiła? Dlaczego zrobiła mu to teraz? Bo uwierzyła, iż nigdy nie wróci? Czemu już dawno nie powrócił na Neith? Gdyby czekał tam na nią, nigdy by do tego nie doszło.

Ale nie mógł wrócić. Najpierw dlatego, że wszystko szło źle, a potem, gdy znalazła go Królowa, dlatego że wszystko szło dobrze. Zawsze przez Krwawnik. Neith i cała reszta świata Letniaków wydawała mu się teraz odległa i szara jak brzeg we mgle; jedyną rzeczywistością jest kalejdoskop obrazów miasta rozszerzający mu zmysły i świadomość; czuł, że nigdy już nie zadowolony się ograniczonym światem wysp i morza. Morze... Dla mieszkańców miasta było jedynie warstewką wody na kamiennej kuli. Klęli na tysiące bogów, rzadko się do nich modlili, a potrzebne im odpowiedzi czerpali z maszyn.

Na stole w sąsiedniej komnacie miał końcówkę jednej z nich. Przeznaczoną dlań absurdalnie wielką przestrzeń wypełnił przyrządami, które gadały, śpiewały, a nawet słuchały, które wysyłały i pokazywały obrazy, podawały mu czas i odległość do najbliższych gwiazd. Niekiedy próbował je rozebrać, lecz przekonywał się tylko, iż części wewnętrzne rozsypują mu się na rękach w proch, albo środek był pusty, z wyjątkiem metalowych płytek pokrytych ścieżkami owadów i ich odchodami. Królowa zachęcała go do tego, pozwalała badać techowe urządzenia pałacu, nawet wysłała do płataniny sklepów w Labiryncie, by znalazł sobie nowe.

Ciągle się zastanawiał, dlaczego go wybrała i tak hojnie się odplaca za tę odrobinę, którą jej daje. Choć mniej o tym myślał niż na początku. Zaniepokoił go najpierw sposób, w jaki Królowa obserwowała go przy graniu – z napięciem nie mającym nic wspólnego z muzyką, powodującym drżenie jej palców i sprawiającym, że czuł się przed nią nagi. Potem nastąpiły dotknięcia, wyszeptywane słowa, pocałunki, przypadkowe spotkania na osobności... A jest tak podobna do Moon, że trudno mu przychodzi odrywać od niej oczy, trudno unikać jej spojrzeń, trudno nie odwzajemniać uczuć i nie odpowiadać na oczekiwania.

Ale to nie Moon, lecz ponadczasowa Królowa Zimy, coraz wyraźniej dostrzegał tę prawdę, gdy patrzył, jak się zachowuje wobec odwiedzających dwór pozaziemców i dostojników. Były w niej rzeczy, których Moon nie nabędzie – mądrość, wyrachowane oceny, głębia doświadczenia, jakie nigdy nie stanie się udziałem Moon, rzeczy, których nie potrafił nazwać... podobnie jak nigdy w niej nie dostrzegł nieokreślonego sedna Moon. Nigdy też nie stanie się wspomnieniem, nigdy nie będzie tą, z którą dzielił wszystko.

A przecież były takie podobne, minęło tyle czasu... że podobnie jak miasto, Arienrhod stawała się rzeczywistością, zaś Moon jedynie przelotnym wrażeniem. To budziło w nim lęk; strach przed utratą własnej osobowości pętał mu język, gdy miał przyjąć jej zaproszenie.

Teraz jednak pękła nić łącząca go z Letnią połową życia. Moon odeszła. Przepadła. Nie ma już po co wracać do domu... nigdy nie rozwikłają supłów, w jakie zmienili swą przyszłość. Nigdy więcej jej nie zobaczy; nigdy więcej się przy niej nie położy, jak wtedy, gdy pierwszy raz spoczął u jej boku na splecionym chodniku przy piecu. Za ścianami w mroku północy szumiał wówczas i łkał

wiatr, a Babcia spała spokojnie w sąsiedniej izbie... Wreszcie przyszedł lży, przekręcił się na bok i schował je w miękkiej ciemności poduszki.

Nie tyle usłyszał, co poczuł czyjąś obecność w pokoju, zimny powiew, gdy ktoś cicho otworzył i zamknął drzwi. Usiadł, wycierając twarz, zaczął wstawać na widok królowej.

Arienrhod położyła mu jednak dłoń na ramieniu i lekko posadziła z powrotem.

– Nie. Dzisiaj nie ma poddanego i władczyni, lecz dwoje ludzi, którzy utracili to, co kochają. – Usiadła przy nim, leżące się fałdy sukni odsłoniły jedną rękę. Była odziana prosto, bez biżuterii, z wyjątkiem naszyjnika z metalowych listków zawieszonych na węzlastym jedwabnym sznurku.

Znów wytarł twarz, usuwając z niej zakłopotanie, lecz nie zażenowanie.

– Nie... nie rozumiem... Wasza Wysokość. – Widząc ją siedzącą obok, wreszcie się zdumiał... – Skąd o niej wiecie? O Moon. O Moon i o mnie?

– Będąc tu tak długo, nadal pytasz, skąd wiem o różnych sprawach? – odparła z uśmiechem.

Spuścił wzrok, ściskając dłońmi kolana.

– Ale... dlaczego o nas? Spośród tylu innych na świecie? Jesteśmy tylko Letniakami.

– Ciągłe się niczego nie domyślasz? Spójrz na mnie. – Uniósł oczy. – Przypominam ci kogoś... przypominam ci Moon, prawda? – Kiwnął głową. – Myślisz, że nie wiem. – Dotknęła jego ramienia.

– Wiem; widzę, że cię to... trapi. Jest mi bliska, poprzez ciało i krew; bliższa niż ty dla niej.

– Jesteście... – Próbował wyobrazić sobie, jakie pokrewieństwo mogło spowodować aż takie podobieństwo. – Ciocią Moon? Siostrą ojca...

Pokręciła głową, uwalniając mleczne pasmo włosów.

– Moon nie ma ojca... już nie. My też jej nie mamy, ty i ja. Nigdy już nie zdołam się z nią spotkać, lecz była dla mnie równie ważna, równie cenna co dla ciebie. Może nawet bardziej. Kiedyś miałam nadzieję, że znajdzie się w mieście. – Przeszła na niego patrzeć, błędziła wzrokiem po zdobnym, zastawionym stoliku przy ścianie.

– Nie przybyłaby – głos miał bezbarwny. – Nie po zostaniu sybillą.

– Tak sądzisz? A dla ciebie? – Nadal trzymała współczująco dłoń na jego ramieniu.

– Byłem dla niej mniej ważny od zostania sybillą – westchnął. – Czemu jednak nie powiedziałaś mi o... niej i tobie, o... nas? – Nie mówił już do Królowej, lecz osoby rozumiejącej jego stratę.

– Powiedziałabym ci. Mówię teraz. Chciałam jednak wiedzieć, jakiego kochanka wybrała sobie spośród wszystkich moja... krewna. Chciałam najpierw sama poznać ciebie. I pochwalam jej wybór, bardzo pochwalam. – Ścisnęła lekko i puściła jego ramię, poprawiając w rozdrażnieniu włosy, lecz tylko rozpuściła je bardziej. Nigdy nie widział jej takiej, zmęczonej, roztargnionej i rozczarowanej. Tak bardzo ludzkiej, zachowującej się jak on... jak Moon.

– Sparks, nigdy już nie poznam Moon. Tylko ty możesz mi o niej opowiedzieć, przypomnieć ją. Powiedz, co pamiętasz najlepiej, co dostrzegasz w niej najgłębszego. Co lubiła i co w niej lubiłeś najbardziej? Powiedz, jak bardzo ją kochałeś...

Przypominał sobie noc płomieni w kominku i wiatru, tysiące innych obrazów Moon – dziecko wirujące z rozpostartymi rękoma na lśniącej plaży; zakutaną dziewczynę, wyciągającą wraz z nim sieć miedzianych ryb na oblodzony pokład; kochankę szepczącą miłe słowa, ogrzewającą serce.

– Nie mogę. Nie mogę ci o niej mówić... – zabrakło mu słów. – Nie teraz, gdy odeszła.

– Odeszła, Sparksie. – Arienrhod zdjęła diadem i rozpuściła włosy, które spłynęły jak fala na jej ramiona i plecy, na zgaszone, chmurne barwy jej prostej sukni. – Ale jej nie straciłeś. Póki tego nie chcesz. – Nachyliła się. – Jesteśmy bardzo podobne, prawda – ona i ja?

Patrzył na nią, na kaskadę śnieżnych włosów, szczupłe dziewczęce ciało, miękką tkaninę sukni opinającą małe, strone piersi... wargi, zadające pytanie oczy barwy mchu, twarz odpowiadającą.

– Tak.

– Pozwól mi być Moon dla ciebie. – Boleśnie znajomym gestem uniosła kosmyk jego włosów; poczuł pulsowanie w skroniach. Słyszał w sobie głos Morza, nie wiedział jednak, ani nie dbał, czy go ono błogosławi, czy przeklina. Płonie, i nawet Morze nie zdoła zdławić ognia jego żądz. Wyciągnął rękę, dotykając ją po raz pierwszy, pogładził chłodne, gładkie krzywizny jej ramienia.

Przybliżyła się gorliwie do jego pieśczoły, pociągnęła go na łóżko, pokierowała dłońmi.

– Pokaż, jak bardzo ją kochałeś...

Sparks leżał z zamkniętymi oczami, smakując wrażenia innych zmysłów, wyostrzonych przez błogie znużenie ciała. Czuł ciepły, piżmowy zapach spoczywającej obok Arienrhod, miękki nacisk jej ciała. Nie pachniała morzem, lecz aromatem sprowadzanych perfum. Mimo to wyczuwał w niej obecność Morza; była wcieleniem Pani, odzianym w fale, z włosów ulatywały jej mewy, jej wargi były jak wschód słońca, jak krew... czekająca na niego od wieków. Wsłuchiwał się w rytm jej spokojnego oddechu, otworzył oczy, by ujrzeć jej twarz. Miała opuszczone powieki, uśmiechała się w półśnie, mogła być nawet tą, której imię wymienił, gdy stracił opanowanie...

Drażniące zdumienie opanowało go na myśl, że leży obok Królowej Zimy. Przeważyla jednak przemożna czułość, pragnął dać jej swą miłość, wierność, życie, które ofiarował przysięgą tej drugiej, zaginionej.

– Arienrhod... – szepnął jej do ucha imię, do którego jeszcze nie przywykł. – Arienrhod. Chcę być przy tobie jedynym.

Otworzyła oczy, spojrzała nań z łagodnym wyrzutem.

– Nie. Nie, kochany.

– Czemu? – Objął ją zaborczo. – Dla Moon byłem jedyny. Pozwól mi być jedynym przy tobie. Nie jestem kolejną rybą w sieci, nie chcę cię dzielić z setką innych.

– Ale musisz, Sparksie. Jestem Królową, władczynią. Nikt nie stawia mi ograniczeń, nikt mi nie rozkazuje – nie pozwalałam na to, bo oznaczałoby to osłabienie mej władzy. Nigdy nie będzie jedyne czy jedynej. To ja jestem Jedyna. Ale nigdy też nie będzie takiego jak ty... – Pocałowała go czule w czoło, położyła palce na pozaziemskim medalu spoczywającym mu na piersi. – Moje gwiazdne dziecko.

Zadrzał.

– Co się stało?

– Ona tak mnie nazywała. – Podciągnął się na łokciu, spojrzał na nią, leżącą z uśmiechem, znalazł się poza czasem. – Skoro nie mogę być jedynym w ogóle, to choć jedynym, który się liczy. – Widział w myślach drwiącą postać odzianą w czerń, stojącą zawsze po prawicy Królowej, podbechtującą go i drażniącą przy każdym spotkaniu, ze złą radością płynącą z gorzkiej zazdrości. – Chcę wyzwąć Starbucka.

– Starbucka? – Arienrhod spojrzała nań ze szczerym zdumieniem i zaczęła się śmiać. – Kochany, jesteś tu zbyt krótko, by wiedzieć, co powiedziałeś, a także zbyt młody i żywy, by wszystko porzucić. Bo wyzwanie Starbucka tylko tym może się skończyć. Jestem zaszczyczona twym gestem, ale ci zakazuję. Uwierz, dla mego serca jest on niczym. Od pierwszej świątecznej nocy, kiedy nałożyłam maskę Królowej Zimy... tak dawno temu... – Zmieniły się jej oczy, już na niego nie patrzyła. – ... nie było w moim łóżku ani w życiu nikogo, kto sprawiłby, że zatęskniłabym za czasami, gdy byłam jedynie Arienrhod; gdy żyłam w świecie pozbawionym wiedzy, lecz wolnym; gdy pragnienia i marzenia coś znaczyły, ponieważ nie mogły się nigdy spełnić. Wzbudziłeś we mnie tęsknotę za utraconą niewinnością... wzbudziłeś. – Znów się uśmiechnęła, niemal ze zdumieniem. – Nie musisz



robić nic więcej, bym cię kochała... dlatego chcę cię uchronić przed krzywdą. Starbuck zabiłby cię każdą bronią, którą byś wybrał, łącznie z gołymi rękoma. Ponadto Starbuck musi być pozaziemcem, musi mieć znajomości wśród swoich, które pomagają mi ich powstrzymać.

– Też jestem pozaziemcem. – Wyciągnął medal, pozwolił mu bujać nad jej głową. – Mającym tyle wspólnego z tym światem, by jak ty ich nienawidzić. Słuchałem i patrzyłem, nauczyłem się wiele o dworze i mieście, o wykorzystywaniu ich przez pozaziemców. Tego, czego nie wiem, mogę się nauczyć od ciebie... – Rozchylił usta w uśmiechu, którego Moon nigdy by nie zrozumiała. – Znam jedyną rzecz, która jest mi potrzebna, choć może w to nie wierzysz. Wiem, jak wyzwać Starbucka i zwyciężyć. – Przestał się uśmiechać.

Arienrhod przyglądała mu się w milczeniu; widział, jak waży i mierzy go oczyma. Wydawało się, że przez twarz przeleciała jej chmura, nim skinęła głową.

– W takim razie go wyzwij. Jeśli jednak to uczynisz i przegrasz, nazwę cię nędznym samochwałą i pokocham się z nim na twoim grobie. – Złapała bujający się medal i ściągnęła Sparksa na siebie.

– Nie przegram. – Łapczywie poszukał jej ust. – A jeśli nie będę mógł być twym jedynym kochankiem, to stanę się najlepszym.

Nastał ranek. Starbuck przygotowywał się powoli i rozważnie w najbardziej wewnętrznej komnacie swego apartamentu. Każdym precyzyjnym ruchem i decyzją upewniał się, że całkowicie nad wszystkim panuje. Nałożył skafander stroju myśliwskiego zamiast żałobnego, wymuskanego kostiumu dworskiego, liczyła się przede wszystkim wygoda i swoboda ruchów. Obciągnął każdy palec czarnych skórzanych rękawic, włożył na głowę rogaty hełm. Pomyślał, że może po raz ostatni zakłada maskę czy stosuje się do rytuału, i naprężył mięśnie. Odrzucił pogardliwie tę myśl – tak samo odrzuci Sparksa Dawntreadera.

Ten nieopierzony maminsynek sądzi, że może zostać Starbuckiem, ośmielił się rzucić mu wyzwanie, a Arienrhod je przyjęła. Byłoby to z jej strony sprytne posunięcie, lecz walka jest tak obłudnie nierówna, iż nie sądził, by traktowała ją poważnie. Nie pozwoliłaby tępemu gnojowi z wiochy z medalem znalezionym na złomowisku mieć się za pozaziemca, gdyby nie wiedziała, że nie ma on najmniejszych szans zwycięstwa.

Nie, chce się tylko zabawić; to do niej podobne. Nie jest sobą, odkąd dostała wiadomość o kuzynce Dawntreadera; snuje się, przygnębiona i złośliwa, trudniej z nią wytrzymać niż zwykle. Nie uwierzyłby, że cokolwiek na świecie może przebić pancierz jej szczytowego samolubstwa czy wstrząsnąć jej niewzruszoną arogancją. Kim jest dla Arienrhod ta dziewczyna, że obserwowała ją od tyłu lat? Dałby wiele za dowiedzenie się, co jest jej słabym punktem...

Wiedział już, kim jest dla niej chłopiec, wreszcie stał się jej łózkowym łupem, zdobytym po najdłuższej pogoni, jaką kiedykolwiek musiała wykonać. Dzieciak był szalony albo celowo grał opornego i niewinnego. Bez względu na przyczyny, jego sposoby zadziałały aż za dobrze. Wyraz twarzy Arienrhod patrzącej na chłopca rozwścieczał go, budził zazdrość, jakiej nigdy nie czuł do żadnego z jej poprzednich kochanków.

To teraz nieważne. Traciłby czas, bolejąc nad tym, że już się nim znudziła. Gdy tylko minęło podniecenie łowami, a nieosiągalna zwierzyna stała się kolejną zawszoną zdobyczą, na pewno postanowiła pozbyć się jej tak jak poprzednich. To miało sens. Pasowało do znanej mu Arienrhod. Znów stanie się jego, wróci do niego jak zawsze dotąd, bo wie, czego ona chce, i może jej to dać.

Z przyjemnością zajmie się dla niej tą sprawą, zabije kłopotliwego sukinsynka. Arienrhod przyznała chłopcu prawo wyboru broni, lecz się tym nie przejmował, bo był dobry w każdej, a dzieciak jest smarkatym grajkiem. Było to niemal poniżej jego godności... lecz i tak sprawia mu radość.

Starbuck z zadowoleniem oglądał siebie w wysokim lustrze. Zapiął pas z bronią i wyszedł z komnaty, kierując się do Sali Wiatrów, gdzie Arienrhod wyznaczyła miejsce spotkania. Zdziwiło go to, lecz nie zgłosił sprzeciwu. Spotykana na korytarzach szlachta i służba omijała go szerokim łukiem, rzucając ukradkowe, niepewne spojrzenia. (Nawet dostojnicy traktowali go zawsze z szacunkiem, będąc w gruncie rzeczy rozpieszczonymi, dobrze urodzonymi słabeuszami.) Wszyscy wiedzieli o wyzwaniu i że walka odbędzie się tego dnia, choć nikt nie znał nazwiska konkurenta... ani wyniku starcia.

Zastanawiał się, jaką broń wybierze szczeniak. Poczuł w dłoniach pełne wyczekiwania mrowienie i rozluźnił je. Wyzwania należały do rzeczy, do istnienia których w ich połowie świata nie przyznałby się żaden szacowny Zimak. Wywodziły się z zamierzchłych, mrocznych czasów, nim jeszcze Hegemonia przyniosła kulturę tej zagubionej planecie; czasów, kiedy to Królowa była dla swego ludu żywą Matką Morza, a mężczyźni walczyli o jej boskie łaski... tak jak i teraz. Nie martwił się tym dziedzictwem sięgającym epoki przedcywilizacyjnej. Lubił mierzyć się z innymi, każdym

zwycięstwem udowodniać światu – Arienrhod, sobie – że jest lepszy od tych, którzy próbowali go pokonać. Nie tylko silniejszy, ale i sprytniejszy. To dlatego zawsze zwyciężał i zawsze będzie. Mimo iż urodził się na Kharemough jako Pozaklasowy, zmuszany przez cały świat do jedzenia gnoju, zdołał wałka wydostać się z szamba i zdobyć władzę, nieosiągalną dla żadnego z najlepiej nawet wykształconych technokratów. Miał wszystko to, co oni, a nawet więcej – wodę życia. Iluż z nich trwoniło fortuny, by choć jeden dzień w tygodniu czy miesiącu nie ulegać starzeniu? On codziennie pił z fontanny młodości, to zapewniała mu obecna pozycja. Dopóki dawał Arienrhod, co chciała, miał wszystko, czego sam pragnął, a nigdy nie tęsknił za starością. I dopóki pozostanie w pełni sił, żaden konkurent mu tego nie odbierze.

Dotarł do sali tronowej. Była teraz pusta, ogromna i cicha, jakby wstrzymała oddech. Przeszedł ją, nie naruszając milczenia. Zastanawiał się, co się czuje, mając władzę przez sto pięćdziesiąt lat, tak jak Arienrhod. Albo żyjąc tak długo, by doczekać się powrotu pozaziemców i odrodzenia Zimy, zaobserwować odtwarzanie cywilizacji i skorzystać z jej przyjemności? Chciałby wiedzieć, co mężczyzna (lub kobieta) mógłby wtedy czuć, zastanawiał się, czy przeżywszy tyle lat, zaczęłby rozumieć kręte ścieżki umysłu Arienrhod.

Dawno już stracił rachubę znanych przez siebie kobiet, od dobrze urodzonych do niewolnic; niektóre nienawidził, większość wykorzystywał, jedną czy dwie szanował, lecz żadnej jeszcze nie pokochał. Nic nie przekonało go dotąd, iż miłość to coś więcej, aniżeli sześcioliterowe słowo. Tylko słabeusze i przegrani wierzą w miłość lub bogów...

Nigdy jednak nie zetknął się z kimś takim jak Arienrhod. Była nie tylko kobietą, ale i żywiołem; na jej magnetyzm składały się wszystkie rzeczy, jakich pożądał. Przez nią uwierzył wbrew swej woli we własną słabość, odrobinę chętniej w moc obcych bogów... czy obcych bogiń. Nie uzyska też stu pięćdziesięciu lat młodości i przyjemności, stu pięćdziesięciu lat odkrywania jej tajemnic, choćby nawet chciał. Za pięć lat będzie musiał na zawsze opuścić tę planetę – lub zginąć. Za pięć lat wszystko ulegnie Zmianie, a Arienrhod umrze... a on wraz z nią, chyba że umknie na czas. Kochał ją, choć przedtem zawsze miłował tylko siebie. Nie sądził jednak, by kochał ją bardziej niż życie.

Wchodząc do Sali Wiatrów, ujrzał ją, czekającą na platformie. Za jej plecami jęczała i wzdychała niecierpliwa otchłań. Zabłąkane podmuchy wiatru unosiły jej mlecznobiałe włosy, powiewały swobodnie nad nieskazitelną bielą obrzędowej peleryny. Zrobiono ją z błyszczącego srebrzyście puchu polarnych ptaków, była miękka jak chmury... przypomniał sobie, jak czuł ją na swojej skórze. Miała ją na sobie sześciokrotnie, przy każdym z poprzednich wyzwania, po raz pierwszy, gdy on sam był wyzywającym.

Po jej lewicy stały Psy. Sierść im lśniła, perłowe, nic nie wyrażające oczy przesłaniały powieki wewnętrzne. Były tu, by zaprzysiąc służbę zwycięzcy i zająć się cicho ciałem pokonanego. Przez dziesięć lat nie słuchał nigdy ich wiecznych, monotonnych rozmów ani się tym nie przejmował. Nie wiedział, czy mają życie płciowe, a nawet płęć. Uważano ich inteligencję za niższą od ludzkiej, jak jednak, u licha, można ocenić obcy umysł? Na niektórych planetach używano ich jako niewolników, podobnie jak i ludzi. Zastanowił się przelotnie, co myślą, patrząc na niego, czy w ogóle myślą o czymkolwiek znanym ludziom, z wyjątkiem zabijania.

Złożył formalne ukłony Arienrhod i chłopcu.

– Przybyłem. Wymień swą broń. – Po raz pierwszy to nie on ją wybierał. Gdy wymawiał te obrzędowe słowa, spoczął na nim wzrok Królowej, lecz nie było w nim poparcia, jedynie chłód, jaki w niej narastał od chwili przybycia smarkacza. Czyżby nadal znajdowała się pod wpływem tego Letniego bękarta? Czy naprawdę wierzy w jego szansę?

Nagle wytracony z równowagi Starbuck uderzył pięścią we wnętrze dłoni. Do licha z nią, tak

się go nie pozbędzie! Zabije chłopca, a wtedy ona przyjmie go do swego łóżka, czy będzie tego chciała, czy nie. Udało mu się uwięzić rosnący morderczy gniew w pancerzu skupienia.

– No, co wybierasz?

– Wiatr. – Sparks Dawntreader uśmiechnął się lekko, wskazując dłonią. – Staniemy na mostku, a zejdzie z niego ten, kto lepiej zapanuje nad wiatrem. – Z sakwy przy pasie powoli wyciągnął swą piszczałkę.

Zaskoczony Starbuck o mało nie wybuchnął śmiechem. Dzieciak jest jednak zuchwały... i głupi. Dostojnicy ze swymi gwizdkami mogą podczas przechodzenia nad przepaścią utrzymywać wokół siebie spokojną przestrzeń, lecz nie potrafią panować nad dwiema. Swoim pudełkiem sterującym zdoła stworzyć akordy i alikwoty, które chroniąc go, pozwolą mu jednocześnie atakować. Jeśli smarkacz myśli, że jego piszczałka z muszli jest lepsza od gwizdków szlachty, to czeka go największa niespodzianka w życiu, i ostatnia.

Arienrhod cofnęła się, jej peleryna zafalowała jak mgła, jak przejrzyste tafle nad mostkiem. Zostali sami.

– Niech wygra lepszy – powiedziała obojętnym głosem.

Nie czekając na Sparksa, Starbuck minął go i wszedł na kładkę. Przeszedł po niej niemal beztrąsko, wystukując śpiewną kombinację klawiszy. Raz owinał go wiatr, zatykając dech, lecz na pewno nikt tego nie zauważył. Minawszy ponad połowę mostu, zatrzymał się i odwrócił. Czekał bez ruchu z jedną ręką opartą na biodrze, drugą na pasie. Nigdy dotąd nie stał nad otchłanią. Jęczące wnętrzości maszynerii miasta ciągnęły się w nieskończoność, a kładka zdawała się być zbyt krucha. Automatycznie przyciskał klawisze ostrych tonów, reagując na zmiany otaczającej go komórki ciśnienia, starannie unikając patrzenia w dół.

Sparks przytknął piszczałkę do ust i wszedł na mostek. Starbuck słyszał wyraźnie płynną czystość jej tonów. Trochę się zdziwił, ujrawszy, iż zadziały – muzyka otulała smarkacza jak zakęcie, szedł spokojnie, nic nie wydymało jego włosów ani zielonego jedwabiu koszuli. Musiał poświęcić wiele czasu na ćwiczenia w tym miejscu. Ale to w niczym mu nie pomoże.

Starbuck nacisnął drugi guzik, gdy chłopiec ledwo minął próg. Wydęte, przezroczyste tafle przesunęły się w powietrzu, wiatr runął z niespodziewanego kierunku i uderzył niby wąż w plecy Sparksa, który zachwiał się i opadł na kolano tuż przy pozbawionej osłon krawędzi przejścia, lecz ani na chwilę nie wypuścił piszczałki. Zręcznie odparował uderzenie i wstał na środku ścieżki. Ruszył dalej, nagle okazując twarzą bezlitosny gniew, wysyłając przed sobą nawałnicę przenikliwych dźwięków, chroniących go przed upadkiem, zakłócających finty i wypadki przeciwnika.

Starbuck potknął się, ledwo zdołał ustać na nogach, gdy wiatr uderzył go mocno w twarz. Oczy zasły mu łzami, mrugał gorączkowo, by odzyskać wzrok, zamiast skupić się na słuchaniu. Wichura spadła na niego od tyłu i powaliła. Opierając się na rękach i kolanach, odnalazł klawisze, dzięki swemu talentowi przywrócił wokół siebie bańkę spokojnego powietrza i wstał. Tafle wietrzne trzeszczały i stukwały, to Sparks zaatakował ponownie, uśmiechając się teraz z pozbawionym radości skupieniem. Zachwiał Starbuckiem, który jednak zdołał się obronić, wysyłając własne tony; zrozumiał wreszcie, iż walka nie będzie jednostronna... przynajmniej nie tak, jak to sobie wyobrażał. Nigdy nie przysłuchiwał się na tyle uważnie graniu chłopca, by dostrzec, z jakim mistrzostwem posługuje się tą cholerną muszlą. Mógł wydawać z niej alikwoty, a palcami przebierał tak szybko, iż nuty tworzyły niemal akordy. Ponadto grał tak, jakby rzucał do walki wszystkie umiejętności słuchu muzyka i umysłu niedosłego technika.

Była to jednak śmiertelna gra, a spośród wszystkich umiejętności Starbucka, które mógł wybrać

chłopiec, kierowanie wiatrami było najslabiej opanowane. Wyzwany spocił się, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu zaczął się lękać o swoje życie. Wiatr znowu go ugodził w chwili, kiedy miał się za osłoniętego. Sam uderzył złośliwie, wysyłając wichury z trzech różnych stron, usłyszał krzyk zaskoczonego chłopca, gdy jedna z nich złapała go nie przygotowanego i rzuciła do przodu. Pozostał jednak na moście i odzyskał równowagę, nim następny cios zdołał go wykończyć.

Starbuck zaklął pod nosem. Było za dużo możliwości, co uniemożliwiało przewidzenie skutków, jakie wywoła mieszanina ich oddzielnych poleceń, choćby nawet któryś z nich potrafił odgadnąć rozkazy przeciwnika. Pochylił się nisko i ruszył w stronę Sparksa, skupiając się wyłącznie na obronie, a nie ataku. Im bliżej się znajdują, tym trudniej będzie dzieciakowi tak wysyłać wiatry, by nie zagrozić sobie. Gdyby udało mu się złapać i zgnieść piszczałkę, zdołałby go jednak pokonać...

Cios zimnej siły uderzył weń płasko, rzucając w bok. Machał rozpaczliwie rękoma, gdy jego nogi znalazły się po jednej stronie kładki, a głowa i ramiona z drugiej. Przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę patrzył prosto w dół na czarne ściany przepaści, na których odległe spirale świateł maszyn błyszcząły niby wieczne ognie serca Czarnych Wrót, poczuł silny zapach morza i usłyszał pienia żałobne. Czekał, leżąc cicho, zaciskając ręce na wąskim brzegu zawieszzonego nad otchłanią łuku, zahipnotyzowany bliskością śmierci.

Nie opadał jednak ani nie wznosił się ostateczny, bezkształtny cios, by strącić go poza krawędź. Starbuck opanował odrętwienie i uniósł głowę, zobaczył Sparksa Dawntreadera stojącego nieruchomo, niezdolnego do zabójstwa.

Wpełził na metrowej szerokości most, działając teraz instynktownie, powstał i otoczył się ochronną bańką powietrza. Ruszył biegiem i o mało nie dosięgnął chłopca, nim ten wreszcie zareagował, wysyłając na niego dwa podmuchy wiatru. Łatwo je sparował, jednocześnie unosząc stopę w ciężkim bucie, by z całej siły kopnąć chłopca w pachwinę.

Sparks runął ze zwierzęcym krzykiem bólu. Nie wypuścił piszczałki, lecz nie mógł już jej użyć ani zagrozić przeciwnikowi... Starbuck cofnął się powoli, odwlekając triumf, żałując, iż chłopiec za bardzo cierpi, by wiedzieć, co stanie się z nim teraz. Uniósł głowę i spojrzał na Arienrhod, stojącą nadal tuż za mostkiem, daleko, jak nieosiągalne marzenie. Za chwilę droga do niej będzie wolna. Sięgnął dłonią do klawiszy przy pasie; Arienrhod przesunęła się lekko.

W powietrzu zderzyły się dwa zgrzytliwe tony. Zdumiony poczuł, jak uderzenie wiatru zwała go z nóg. To nie chłopak, nie – on sam! Spada...!

– Arienrhod! – Spadając wykrzyknął jej imię jako przekleństwo, modlitwę i oskarżenie; wraz z nim runął w mrok.

Czarne Wrota wypełniły osłonięty ekran zajmujący środek ściany jako płonący zwój na tle atramentowej czerni nieba usianego dalekimi gwiazdami. W sercu tego skupiska gwiazdowego ongiś znajdowało się aż za wiele kosmicznego śmiecia, zaspokajającego głód czarnej dziury. Epoki wyczerpały go niemal zupełnie, zmniejszając natężenie jej groźnych odchodów – promieniowania grawitacyjnego. Dziura pochwyliła jednak i gwiazdę, nazywaną przez Tiamatan Letnią, trzymała ją na krótkiej smyczy, wysysając chromosferę. Drobiniki kurzu i cząsteczek płonęły, oddając energię potencjalną, w czasie swej drogi ku zagładzie, którą podążał teraz statek...

Elsevier czuła, jak sięga po nią głód Wrót, czuła pierwsze mrowienie mięśni, powolny, wymuszony ruch swego nieważkiego ciała w stronę obrazu na ścianie... czuła to także w głębi umysłu, gdzie rodził się jej tajemny strach przed rozczłonkowaniem. Cofnął ją uspokajająco mocny, przejrzysty kokon, w którym się znajdowała.

Spojrzała między unoszącymi się nogami w stronę środka ciężkości statku, gdzie jak następna poczwarka płynęła Moon. Dziewczyna ciągle się wierciła, przypominając świetlika niecierpliwie czekającego na narodziny. Jej jaskraworóżowy skafander kosmiczny łapał odbicia od zawieszanej obok niej konsoli. Korona ze srebrnych drutów wisiała bezużytecznie nad jej białymi włosami. Ten symbiotyczny hełm astrogatora powinien był nosić Cress. Moon uniosła wzrok i spostrzegła patrzącą na nią Elsevier, a ta zauważyła na jej twarzy walkę uczuć.

– Moon, jesteś gotowa?

– Nie...

Elsevier zeszywniała, bojąc się wybuchu buntu ze strony dziewczyny. Sądziła, iż zdołała przekonać Moon, że ta podróż jest jedynie krótką zwłoką w jej dążeniu do odnalezienia kuzyna. Jeśli jednak teraz nie zgodzi się na rozpoczęcie Przekazu...

– Nie wiem, co robić. Niczego nie rozumiem, nie pojmuję, jak...

Elsevier uśmiechnęła się leciutko, gdy zrozumiała, iż Moon wyraża jedynie wątpliwość, a nie odmowę. Wyczuwała w niej poczucie winy.

– Nie musisz, Moon. Zostaw to mnie. Zaufaj mi, nie jestem jeszcze gotowa do spotkania z Odplacającym. Po prostu wprowadź wszystkie dane, tak jak ci pokazałam.

Moon bez słowa spojrzała na ekran, jej lęk podsycalo rodzące się zrozumienie straszliwej potęgi Wrót. Znajdowali się ponad osią ich obrotów, tkwili już w mackach ich czarnego, grawitacyjnego serca, przyciągającego z siłą tak nieodpartą, że nawet światło nie mogło się jej wyrwać. Dziura, o masie dwudziestu tysięcy słońc, była na tyle wielka, że specjalnie zaprojektowany statek mógł trafić poza jej horyzont zdarzeń, zanim rozerwą go wywołane przez nią siły pływowe. Lecz tylko astrogator wyszkolony w fizyce osobliwości i połączony symbiotycznie z komputerami był w stanie utrzymać odpowiednią równowagę stabilizatorów statku. Tylko astrogator mógł zapewnić wejście we Wrota w chwili, która umieści statek na szlaku prowadzącym do wybranego celu. Tylko astrogator – albo nie uczona dziewczyna z zacofanej planety, której umysł znajdował się już w symbiozie z największym bankiem danych w znanej przestrzeni i czasie.

– Chcesz, bym zaczęła Przekaz? Elsevier...? – Moon znów uniosła swą bladą twarz.

Elsevier wzięła głęboki wdech, odwołując się do nieuniknionej chwili. Teraz jednak wyznaczony czas minął i musiała powiedzieć.

– Tak, Moon. Patrz na ekran i zacznij Przekaz. – *Niech bogowie mi wybaczą, a ciebie ochronią, dziecko. Bo nigdy już nie ujrzysz swego domu.* Moon zamknęła na chwilę oczy, jakby w modlitwie do swej bogini, a potem skupiła je na błyszczącej spirali. – Wprowadzenie. – Elsevier wcisnęła

klawisz zdalnego sterowania na swym pasie, gdy tylko szczupłe ciało dziewczyny zadrżało w transie; dane dotyczące ich wejścia pojawiły się i zniknęły na tle obrazu. Jeśli ma rację – a nie może sobie pozwolić na jej brak – powinno to wystarczyć do rozpoczęcia wprowadzania koniecznych informacji do układu sterowania statkiem. Bez wszczepów astrogatora żaden człowiek nie jest w stanie w pełni wykorzystać obwodów symbiotycznego komputera, lecz Przekaz sybilli dostarczy informacji jemu niedostępnych.

– Zrobione. – Milczenie sterówki przełamał syczący szept Silky'ego, mówiącego łamanym sandhi. – Czy dziewczyna cierpi?

– Skąd mogę wiedzieć? – odparła głosem ostrym pod wpływem własnych wątpliwości. Spojrzała na jego ziemnowodne ciało prześwitujące z własnego kokonu, pełnego oleju chroniącego je przed odwodnieniem. Mówił z dziwnym niepokojem, rozumiała, że musi współczuć bezradnej, niewinnej dziewczynie, wyrwanej ze znanego jej świata, rzuconej na łaskę zdradzieckich obcych.

– Czy umrze?

– Silky, do cholery! – Elsevier przygryzła wargi i spojrzała na rosnącą złowrogość Wrót. – Wiesz, że nie potrafię na to odpowiedzieć...ale też, że nie zrobiłabym tego, gdybym wierzyła w takie niebezpieczeństwo. Wiesz o tym, Silky... Co nam jednak pozostało poza spróbowaniem? Powiedziałam jej, że to będzie długi trans; zgodziła się.

– Jest za młoda. Nie wie. Skłamałaś jej – powiedział tonem bliskim wymówce; nigdy go takim nie słyszała.

Elsevier zamknęła oczy.

– Wytlumaczę się jej. Dopilnuję, by na Kharemough znalazła wszystko, co jej konieczne do szczęścia. – Znów otworzyła oczy, patrząc na Moon. Opięte różowym skafandrem ciało dziewczyny było teraz bezwładne, opierało się o ściany kokonu. Czy naprawdę minęły cztery dni tau, odkąd dokonali tego nieszczęsnego lądowania na Tiamat, zakończonego ucieczką na statek z niczym, oprócz bliskiego śmierci Cressa i zastępującej go oszołomionej nieznanym?

A czas płynął. Policja będzie ich szukać w przestrzeni wokół Tiamat, a nie zdołają się wywinąć, gdy znajdzie na ich pokładzie porwaną obywatelkę planety. Dziewczyna chce powrotu do domu... ale nie ma możliwości jej odesłania. Cress potrzebuje szpitala... a jedyny, który może go ocalić, znajduje się za Wrotami, na Kharemough.

Lecz tylko Cress może ich przez nie przeprowadzić.

Potem przypomniała sobie, że Moon jest sybillą, a TJ powiedział jej kiedyś, iż widział sybillę pogrążoną w transie i sterującą polaryzatorem pola, by po wypadku ocalić pięcioro ludzi. Nie знаła się ona na skomplikowanych maszynach, nie ma więc znaczenia, że i ta się w nich nie rozeznaje. Jak sama powiedziała, jest tylko naczyniem, do jej obowiązków należało służyć wszystkim, którzy jej potrzebują – a mogła przeprowadzić ich przez Wrota w bezpieczne miejsce.

Gdy jednak próbowała wyjaśnić to Moon, natrafiła na barierę równie nieprzekraczalną jak same Wrota. Dziewczyna siedziała mocno przywiązana pasami do fotela promu, odmawiając przejścia na pokład większego statku.

– Odwieź mnie. Muszę się dostać do Krwawnika! – Jej twarz przypominała zaciśniętą pięść i na każdy argument odpowiadała tymi samymi dwoma zdaniami, nieruchoma i nieporuszona.

– Ależ Moon, pozaziemcy nigdy nie pozwolą ci na powrót, jeśli znajdą cię z nami. Wasza planeta jest zamknięta. Ześlą nas wszystkich do żużlowych obozów na Wielkiej Sinej, a uwierz mi, kochana, to gorsze od śmierci.

– To nieważne, skoro nie mogę wrócić. Bez niego nic się nie liczy.

Och dziecko, jaka jesteś szczęśliwa, wierząc, że to równie proste... i jaka naiwna. Mimo to

wiedziała, iż mówi prawdę; po śmierci TJ sama żyła jedynie połowicznie....

– Wiem, naprawdę. Tak ci się teraz wydaje. Skoro jednak nie chcesz dbać o siebie, pomyśl o Cressie. – Przesunęła ręką po chłodnej, przezroczystej skorupie, w której ledwo tliło się jego życie. – On umrze, Moon. Umrze, jeśli nie dotrzemy na Kharemough. Jesteś sybillą, to twój obowiązek.

– Nie mogę spełnić twej prośby! – Moon pokręciła głową, wprawiając w ruch warkocze. – Nie mogę, nie wiem, jak to zrobić. Nie mogę kierować statkiem gwiazdnym... – Uniosła głos. – I nie mogę opuścić Sparksa!

– Tylko na kilka tygodni! – Wybuchnęła rozdrażniona Elsevier. Nim zdołała odwołać te słowa, zobaczyła wznoszącą się głowę dziewczyny, patrzącej na nią badawczo.

– Na jak długo?

– Około miesiąca, w jedną stronę. – Czasu statkowego. Na Tiamat będzie to ponad dwa lata. Elsevier jednak tego nie powiedziała, pomysł zakiełkował z potrzeby. – Tylko miesiąc, Moon. Tyle czasu by minęło, gdybyś popłynęła z zatoki Shotover do Krwawnika na statku kupieckim. Pomóż nam przedostać się przez Wrota, pomóż Cressowi... a jeśli nadal będziesz chciała wracać, przywiozę cię tu. Obiecuję.

– Ale jak mogę to zrobić? Nie umiem latać statkiem gwiazdnym.

– Umiesz wszystko, możesz być wszystkim, odpowiedzieć na każde pytanie z wyjątkiem jednego. Jesteś sybillą, pora, byś się dowiedziała, co to oznacza. Zaufaj mi.

Zamilkła, sięgając do pasów przytrzymujących Moon na miejscu.

W statku rozległ się głośny stuk, przywracając Elsevier do teraźniejszości.

– Silky! Co to było? Coś lata swobodnie... – Unieruchamiały ją ochronne przeciwdziałania kokonu. Nie mogła uwolnić palca ani choćby odrobinę unieść głowy, pozostawało jej tylko patrzeć prosto przed siebie na pełzającego po ekranie raka.

– Zegarek.

Lekko westchnęła ze złości i ulgi, patrząc, jak uderzył w podwójną gwiazdę na dolnej połowie ekranu.

– Mam go! – Obrazy gwiazd płynęły ku środkowi ekranu, tworząc koronę wokół czarnej dziury, symbol jej władzy nad samym światłem... *Beztroska!* Coś większego od zegarka pozostawione luzem mogłoby w dążeniu do samozagłady wybić dziurę w kadłubie statku. – Zbyt wiele podróży odbyłam, Silky. TJ był moją siłą... a odszedł. – Poczowała lekkie drżenie włókien statku, gdy znowu podniosła wzrok, nie zobaczyła przed sobą pola gwiazd, lecz jedynie błonę czerwieniejących ogni piekielnych, oświetlających ich drogę do zagłady. – Steruje stabilizatorami pola, Silky, bo inaczej już wywijalibyśmy koziołki. Wiedziałam, że zdoła nas utrzymać!

*A jeśli to zniszczy jej umysł?* Jeśli coś stanie się dziewczynie, nigdy sobie nie wybaczy. Nigdy. Wystarczyło spędzić z nią kilka dni, by samą swą obecnością potwierdziła rzeczy, w które TJ zawsze wierzył. Giętka i niezależna, zaczęła dochodzić do siebie po wstrząsie gwałtownych przenosin, zaczęła sięgać po możliwości, które ofiarowywali jej w zamian. W prostym, cieszącym oko stroju sportowym zamiast szorstkich, ręcznie robionych ubrań, nikt obcy nie odróżniłby jej od obywatelki Hegemonii drugiej klasy, nie zasługującej na pełny dostęp do wiedzy. A w cywilizacji znacznie bardziej ceniącej naukę niż jej własna, sybilla jak ona zostanie doceniona i uznana za wartościową.

TJ marzył, by wszystkie inteligentne istoty uzyskały kiedyś równe szansę wyzyskania swych potencjalnych możliwości. To dlatego zaczął przemycać towary na Tiamat, wbrew jej daremnym sprzeciwom został zwykłym szmuglerem.

– Są przemytnicy i przemytnicy, serdeńko – odpowiadał z uśmiechem i wiedziała wtedy, że żaden protest nie zdoła zagłuszyć kierującego nim głosu wewnętrznego... nawet jej.



Hegemonia poprzez ograniczenia i zakazy uniemożliwiała powstanie na Tiamat techniki (nadal pamiętała jego wykłady wygłaszane w ich zatłoczonym mieszkaniu); utrzymywała jej mieszkańców na poziomie rozpieszczanych dzieci, otrzymujących dobrane starannie zabawki, które ich rodzice-panowie mogli potem bez trudu odebrać. A to wszystko ze względu na cenne świństwo, wodę życia, kuszącą najbardziej uprzywilejowanych i potężnych obywateli Hegemonii nadzieją na wieczną młodość.

Gdyby Tiamat rozwinął własną ogólnoplanetarną kulturę opartą na technice, gdyby pozwolono mu dojrzać w czasie stulecia odcięcia planety od Hegemonii, to kto wie, co mogłoby z tego powstać? Świat zdolny przeciwstawić się Hegemonii, który by już nie błagał o jej techniczne zabawki, bo sam potrafiłby je wytwarzać; świat, który wolałby zachować nieśmiertelność dla siebie, który miałby dość jego wykorzystywania? Albo świat, który uznałby, że zabijanie merów jest czymś niemoralnym... czy jeszcze gorzej, świat, który tak jak Caedw zamieniłby się w radioaktywny popiół. Tiamat miał coś, czego pozbawione były inne planety, lecz było to dla niego bardziej przekleństwem niż błogosławieństwem.

Tej sytuacji TJ nie mógł znieść. Wiedząc, że nie zdoła go powstrzymać, jak zawsze mu uległa, nigdy nie była w stanie odmówić mu w czymkolwiek. I jak zawsze, do końca przejęła jego pasję... a gdy zmarł, podjęła z Silkym jego krucjatę, jedyną rzecz, jaką uznała za celową po jego odejściu.

A teraz przypadek zetknął ją z Moon, jakby dowodząc, że warto było to robić, ukazując w niej dziecko, jakiego nigdy nie miała z TJ. Byłby z niej dumny. Czuwanie nad nowym życiem Moon nie jest brzemieniem; będzie przywilejem...

Elsevier poczuła zawroty głowy, gdy nieodparta siła pływowa objęła jej nieruchome ciało. Nawet ochronne pola statku nie były w stanie osłonić ich całkowicie. Jeszcze raz spojrzała na jarzące się serce czerni. *Och, nieba, nie jestem gotowa; to zdarzyło się zbyt nagle i trwa zbyt długo.* Przynajmniej Moon wyzwoli się z żaru i bólu, jej umysł przestanie sięgać do połowy galaktyki... *Nie zrobiłabym tego, gdyby nie Cress... Nie stałoby się to, gdyby nie Cress...* Och, bogowie, oby wszystko było z nim dobrze. Nadal leżał w pryzmacie ratunkowym; nie odważyli się przenieść go w bezpieczniejsze miejsce. Cały jednak statek i wszystkie jego urządzenia zostały tak zaprojektowane, by przetrwać przejście; na pewno i on wytrzyma – jeśli tylko przeżyją...

Poczuła rozchodzące się i schodzące kości, poczuła mniej bolesną, lecz nasilającą się niewygodę, gdy zaczęła rosnać temperatura wewnątrz statku. Wyobraziła sobie kadłub zewnętrzny rozpalony teraz od naprężeń, pędzący ku horyzontowi czarnej dziury, tworzący część płomiennego wołania o ratunek, wysyłanego bez przerwy przez potępionych, zgromadzonych na ostateczne rozliczenie. Statek był zbudowany z najmocniejszych, najbardziej wytrzymałych materiałów znanych ludzkości i wyposażony w przeciwpola chroniące go podczas upadku w wir. Był możliwie jak najmniejszy, w kształcie monety; stabilizatory utrzymywały go zawsze zwróconego płaską powierzchnią zgodnie z grawitacyjnymi gradientami. Ściany studni grawitacyjnej czarnej dziury były takie strome, że naprężenia pływowe rozdarłyby statek na strzępy, gdyby choć na chwilę został wytracony ze stałego położenia i zaczął się przewracać. Śmierć objęłaby ich w jednej płomiennej chwili, a jęki męczarni wiecznie odbijałyby się echem od ścian studni. Przejście przez Czarne Wrota wyczerpywało wytrzymałość ludzi i sprzętów, jak też granice kharemoughskiej techniki. Tylko symbioza komputera i mózgu astrogatora zdolna była utrzymać statek razem i prowadzić go do wybranego dokładnie punktu w środku horyzontu.

A jeśli Moon utrzyma statek, lecz nie trafi w maleńki otwór w hiperprzestrzeni, który wyplunie ich o dwa lata świetlne od Kharemough? Planeta ta ponad tysiąc lat temu odkryła na nowo zasady podróży przez Czarne Wrota, czerpiąc z przekazanej przez sybille wiedzy Starego Imperium. Znało

ono napęd ponadświatłny, dzięki któremu rozciągnęło swą władzę na obszar ciągle nieosiągalny dla Hegemonii, lecz mimo to korzystało z Czarnych Wrót. Kosmiczne skróty umożliwiły Hegemonii objęcie kontroli nad małą częścią planet Imperium i wykorzystywała ona resztki jego wiedzy, by móc przez nie bezpiecznie przelatywać. Ciągle jednak nie rozumiała do końca sił, którymi kierowała... Jeśli statek nie przekroczy horyzontu we właściwym miejscu, może się wynurzyć w całkowicie nieznanym obszarze kosmosu, bez żadnych planet w pobliżu i bez znajomości koordynat, które umożliwiłyby mu powrót... albo też nigdy się nie pojawić w znanym wszechświecie. Zdarzało się to już, oni również mogą zginąć.

Elsevier poczuła, jak rosną jej oczy pod zamkniętymi powiekami, nie mogła dłużej obserwować skrzących się ogni na powierzchni połykającej wszechświat czarnej dziury. Usłyszała jęk statku i jej własny, gdy poczuła, że puszcza jej szwy. Falująca jasna czerń odbijała się w niej echem, a świadomość zanikała; pozwoliła, by wszystkie jej wątpliwości i obawy uleciały niby snop iskier, aż wreszcie z chęcią zapadła w zapomnienie.

Czarne Wrota się otworzyły.

*Tak się nie zdarza.* Jerusha stała w eleganckiej izdebce rezydencji górnego miasta, trzymając ręce na plecach i wyglądając przez rombowne szybki okna. Między kołami narysowanymi na zniszczonej posadzce tańczyły dzieci, zajęte jakąś swoją nieodgadnioną zabawą – dzieci bogatych Zimaków razem z dziećmi bogatych pozaziemców, obojętne na dzielące ich rodziców odległości czasoprzestrzeni i poglądów. Starła się nie myśleć o odległościach, różnicach, okropieństwach. – *Tak się po prostu nie zdarza!*

Lecz nawet wściekłe zaprzeczenia nie były w stanie wygnać z niej tych myśli, powstrzymać przed odtwarzaniem nie wyjaśnionych wezwań, które oderwały ją nocą od biurka w komendzie policji, skierowały na mroczne korytarze drugiego poziomu. Nie mogły zapobiec przypominaniu dźwięków – wydawanych nie przez człowieka, lecz przez coś męczzonego – które zmusiły ją do otwarcia ostatnich drzwi i zapalenia światła.

Nie krzyczała przez połowę życia, lecz wtedy wrzasnęła. Jeden ochryply krzyk przeczenia, by nie widzieć beczącego, krwawiącego zwierzęcia, leżącego na podłodze tej śmierdzącej nory... plugawych, bredzących resztek człowieka. I to nie zwykłego, lecz komendanta Policji na cały Tiamat, który wypalił sobie mózg przedawkowaniem k'spagu. Bogowie, nigdy nie zapomni tego widoku, choćby dożyła nowego tysiąclecia! Zamrugała gwałtownie, gdy oczy nie chciały się skupić na dzieciach. Bez względu na to, jak bardzo starała się zapomnieć, ciągnęło się to za nią jak odór śmierci, psujący każde uczucie, każdą myśl. W swej pracy widziała dość ohydności, by uodpornić na nie najślabszą kobietę, gdy jednak spotkało to jednego z nich... Niezbyt lubiła LiouxSkeda, lecz żaden człowiek nie zasługuje na tak niski upadek na oczach całego świata. Choć on sam przypuszczalnie o to nie dba.

Ma jednak rodzinę. Mantagnes, pełniący teraz obowiązki komendanta, nakazał jej pomagać żonie LiouxSkeda w przygotowaniach do wyjazdu całej rodziny z Tiamat.

– Marika potrzebuje teraz obecności innej kobiety – powiedział, myśląc tak szczerze. Przygryzła język. *Do licha, może i tak.*

Zastanawiała się, jak zdoła stanąć przed Lesu Marika LiouxSked i dwiema dziewczynkami, mając ciągle w pamięci widok tego, co zobaczyła w nocy. Dzięki dużemu doświadczeniu udało się jej zapanować nad uczuciami, co zdawało się dobrze wpływać na pogrążoną w żalu kobietę.

Podczas ich poprzednich spotkań Lesu Marika okazywała zawsze swą wyższość i niechęć, zwłaszcza wtedy, gdy LiouxSked nakazywał jej udawać ukochaną nianię podczas rodzinnych wypadów do Labiryntu. Podobnie jak większość stacjonujących tu ludzi, łącznie z nią, komendant i jego rodzina pochodzili z Newhaven, dlatego rozmawiali teraz w swym ojczyństym języku, jak nieznajomi, którzy spotkali się w obcym kraju. Marika wracała z dziećmi do rodziny i przyjaciół (pojedzie z nimi i komendant, by spędzić resztę życia w zakładzie, lecz o tym nie rozmawiały). Jerusha zachęcała ją do bezpiecznych, ogólnych wspomnień planety, do zobaczenia której wszyscy tęsknili – oślepiającego słońca i upalnych dni; energicznych, ruchliwych ludzi; portów kosmicznych i ośrodków handlowych Miertoles lo Faux, gdzie po raz pierwszy ujrzała chwałę Premiera i zlekła się jego splendoru. Gdzie marzyła o obcych planetach...

Jerusha poczuła, że ktoś stanął za nią w milczeniu, obejrzała się i zobaczyła dziesięcioletnią Lesu Andradi, młodszą z dwóch córek LiouxSkeda. Była bystrą, ruchliwą dziewczynką, zupełnie niepodobną do uśmiechającej się głupawo starszej siostry, Jerusha coraz bardziej ją lubiła. A stopniowe dostrzeganie, że trzymające ją za rękę dziecko patrzy na jej mundur z takim samym lękiem, jaki ona czuła wobec umundurowanego ojca i brata, sprawiało, że łatwiej znosiła upokarzające

obowiązki niańki.

Andradi bezwiednie naśladowała jej postawę przy oknie – mała, niepocieszona postać w bezkształtnej szarej sukience, z czołem umazanym popiołem. Rodzina nosiła żałobę, jakby LiouxSked już zmarł. Bogowie tego nie sprawili... *Bogowie, niech ich piekło!* Jerusha zacisnęła wargi. Bogowie nie mają z tym nic wspólnego, pachnie to ludzką zdradą.

Andradi ukradkowo otarła piąstką oczy, przyglądając się zabawie innych dzieci, części świata, która została nagle przed nią zamknięta.

– Chciałabym się pożegnać ze Scelly i Minook. Mama nam jednak nie pozwoliła, bo... bo Tata.

Jerusha zastanowiła się, czyjej matka uznała to za niewłaściwe podczas żałoby, czy też obawiała się, co inne dzieci powiedzą jej córkom. Stwierdziła tylko:

– Zrozumieją.

– Ale ja nie chcę wyjechać i rozstać się z nimi na zawsze! Nienawidzę Newhaven!

Andradi urodziła się na Tiamat, a jej wrażliwi na pozory rodzice przejęli pretensjonalny styl życia mieszkańców Kharemough. Dla dziewczynki rodzinna planeta była pustym dźwiękiem, symbolem wszystkiego złego, które nagle wkroczyło w jej życie.

Jerusha wyciągnęła rękę i objęła wąskie ramiona dziewczynki, patrząc ponad jej głową na czystość i prostotę pokoju. Dobiały ją stłumione głosy z wyższych pięter, na których Marika wraz ze służbą pakowała ostatnie rzeczy rodziny. Zostawiała większość mebli, Jerusha podejrzewała, że nie tyle ze względu na koszty przewozu, co bolesne skojarzenia z tym miejscem.

– Wiem, Andradi. Teraz nienawidzisz Newhaven, lecz znajdziesz tam nowych przyjaciół, a oni nauczą cię wspinać się na widlaste drzewa, robić kapelusze z ich kory. Zabiorą cię na wyprawę z lampami w poszukiwaniu kwiatów kwitnących tylko nocą; w porze deszczowej woda spada z nieba jak ciepły prysznic, a wszystkie pnącza na waszym podwórku pokryją słodkie jagody. Będiesz mogła łapać w sadzawce lśniące wogsy... – Choć wątpiła bardzo, czy Marika pozwoli córce je chwycić.

– Co... co to jest? – Pociągnęła nosem Andradi.

Jerusha uśmiechnęła się.

– Małe stworzonka przypominające ryby, zamieszkujące zimowe sadzawki. W lecie zagrzebują się w mule i śpią, póki znowu nie spadną deszcze.

– Przez sto lat? – Oczy Andradi się rozszerzyły. – Długo.

Jerusha roześmiała się, gdy zrozumiała nieporozumienie.

– Nie, nie przez sto, zaledwie kilka. Zimy i lata są tam krótsze niż tutaj.

– Och, podwójne szczęście! – Andradi klasnęła w ręce. – To jakby się żyło wiecznie. Jak Królowa Śniegu!

Jerusha skrzywiła się, odsunęła od siebie tę myśl i skinęła zachęcająco głową.

– Pojedziesz tam. Polubisz Newhaven. Wiem o tym. – Miała świadomość, że pomija rzeczy, których sama nie cierpiała podczas dorastania. – Sama chciałabym tam wrócić – wymknęło się jej wbrew woli.

Andradi natychmiast przywarła do niej kurczowo, schowała drobną twarz w tunice Jerushy.

– Och tak, tak, Jerusho, jedź, proszę! Pokażesz mi wszystko, wiesz wszystko, chcę, byś pojechała ze mną. – Zadrżała. – Jesteś dobrą Siną.

Jerusha pogładziła jej ciemne, kędzierzawe włosy, nie potrafiła nic powiedzieć, zrozumiałwszy, czym stała się teraz dla tego dziecka, gdy jej dotychczasowy symbol stałości i zaufania zniszczył sam siebie. Pojęła też wreszcie, jak głęboko rozpacz oszołomionej Andradi przebiła się przez jej własne pancerze i zacisnęła uchwyt na sercu.

Rozchyliła ręce dziewczynki, zaciśnięte wokół niej ponad pasem z wyposażeniem, i ujęła jej wąskie, ciepłe dłonie.

– Dziękuję ci, Andradi. Dziękuję za prośbę, chciałabym z tobą pojechać, lecz mam tu zadanie do wykonania. Twój ojciec... twój ojciec nie zrobił tego sobie, Andradi. Cokolwiek by nie mówili ludzie, nigdy w to nie wierz. Ktoś go zmusił. Jeszcze nie wiem kto, lecz do niego dojdę. Upewnię się, że ta osoba zapłaci. A wtedy dostaniesz ode mnie wiadomość, byś wiedziała, kto to jest. Może wtedy będę mogła sama wrócić do domu.

– Zgoda... – Kędzierzawa główka pochyliła się znowu, a potem smutne skośne oczy spojrzały na nią. – Gdy dorosnę, też zostanę Siną.

Jerusha uśmiechnęła się, bez śladu ironii czy łaskawości.

– Tak, sądzę że to możliwe.

Razem spojrzały na wchodzącą Marikę, otuloną w szarość; gestem przywołała do siebie córkę i Andradi odsunęła się niechętnie.

– Wszystko gotowe, Jerusho. – Głos miała równie suchy i szary, co ona sama. – Możesz nas teraz zawieźć do portu gwiazdowego.

Jerusha przytaknęła.

– Tak, pani LiouxSked. – Z chęcią wyszła za nimi z opustoszałego pokoju.

Jerusha zostawiła troskę o samolot technikowi, którego obecność ledwo zauważyła, i podeszła do ciężkich oszklonych drzwi, oddzielających ogromny garaż od pomieszczeń policji. Całą tę aleję zajmowały biura, cele dla zatrzymanych i budynki sądowe, niechlujne plamy na szaleńczej kołdrze moralnej uczciwości Labiryntu. Oficjalnie była to Aleja Oliwinowa, lecz wszyscy, łącznie z jej mieszkańcami, zwali ją Aleją Siną.

Ledwo pamiętała, by zaczekać chwilkę, aż odporne drzwi otworzą się i pozwolą jej przejść do nieokreślonego korytarza. Ciągle myślała o zakończonej właśnie podróży, jej przyczynach, całym niewiarygodnym, wstrętnym łańcuchu wydarzeń, który wstrząsnął wszystkimi w tym...

– Przepraszam, pani policjantko. Przepraszam, pani policjantko. Przepraszam, pani policjantko.

Ktoś szarpał ją za rękaw munduru, gdy wchodziła do zatłoczonego pokoju strażników. Spojrzała z roztargnieniem na pozbawioną twarzy osłonę głowy pełnej mechanicznych mózgów – na polrobota, zagradzającego jej drogę z bezmyślną stanowczością.

– Inspektor – poprawiła go z równie roboczą monotonią. Ktoś pchnął ją od tyłu.

– Przepraszam, pani inspektor. Muszę sporządzić raport i wrócić do pracy. Proszę mnie upoważnić. – W mechanicznym głosie wyczuła ślad rozpacz. – Człowiek z Numeru Czwartego głosił wywrotowe uwagi na temat Hegemonii w barze Gwiazdny Dok. Mówił też miejscowym, że sybille mają dostęp do zakazanej wiedzy. Wydaje się być pod wpływem narkotyków.

– Tak, w porządku, upoważnienie 77A. Sprawdź jego identyfikację, a my go zgarniemy. – *Narkotyki. Nie myśleć o narkotykach.* Przeszła przez salę, omijając wzrokiem miejsce, gdzie przed miesiącem znajdowało się biuro LiouxSkeda.

– Przepraszam, pani inspektor! – Tym razem kajał się policjant, który wpadł na nią z naręczem hologramów.

– Moja wina; nie uważałam. – Zaczęła już zbierać powódź danych, oznaczająca koniec ich pobytu na Tiamat. Kupców i innych mieszkających tu pozaziemców dręczyła coraz większa troska o przyszłość lub jej brak; narastała plaga biurokracji wymagająca setek różnych zezwoleń, formularzy i regulaminów, niezbędnych przed ostatecznym opuszczeniem planety. A jeśli już teraz są tacy zajęci, to co będzie za cztery lata... *Tak, zajęci, musi być teraz zajęta; zbyt zajęta, by myśleć o tym...*

Nic jednak nie było w stanie na tyle mocno zająć jej umysłu, by wymazać na dłużej obrazie grozy i rozpacz. Nie skłamała, mówiąc Andradi, że jej ojciec nie zamienił się dobrowolnie w śliniace się warzywo. Nie miałyby to sensu – znała tego człowieka, można go było posądzać o wszystko, lecz na pewno nie o pociąg do narkotyków. Do licha, nie tknąłby paczki iestów! W Krwawniku można było jednak znaleźć z pół setki handlarzy, którzy potrafiliby załatwić podanie przesadnej dawki w filiżance herbaty czy talerzu zupy.

A jedna osoba mogła tego pragnąć – Arienrhod. Jerusha pamiętała wyraz jej twarzy, gdy usłyszała o porwaniu Moon, pełen wściekłości i rozpacz. Nagle zrozumiała, dlaczego Moon Dawntreader sprawiła na niej wrażenie innej kobiety. Wyglądała jak Królowa Zimy! Tylko w jeden sposób całkowicie obca osoba mogła być bliźniakiem Królowej – musiała być jej klonem. Arienrhod miała plany obejmujące tę dziewczynę, plany niewątpliwie związane z nadchodzącą Zmianą, kiedy to pozaziemcy odlecą, a ta planeta przejdzie znowu w ręce Letniaków. Kroniki przekazywały, że każda poprzednia Królowa Śniegu usiłowała w jakiś sposób zachować władzę swą i Zimaków po nadejściu Zmiany. Ta dziewczyna stanowiła część planu Arienrhod, była tego pewna. Mimowolnie zepsuła ten plan, a władczyni nie jest kobietą, która zostawia bez kary takie przewiny. Zemściła się na policji, na LiouxSkedzie; tego też Jerusha była pewna, ale wiedziała przy tym, iż nigdy nie zdoła tego dowieść. Może jednak odnaleźć bezpośredniego sprawcę...

Jeśli wcześniej Królowa nie zemści się na niej. Jerusha przełknęła znaną jej dobrze kulkę napięcia, powstała w gardle. Spośród winnych została tylko ona; jeśli Arienrhod chce kogoś zniszczyć, to właśnie ją. Od tygodnia niemal nic nie jadła i nie piła, obawiając się, że spotka ją to samo co LiouxSkeda. A może oczekiwanie jest częścią kary. Bogowie, może tego nie wytrzymać, skończy jak...

– *Pani inspektor.*

Wzdrygnęła się, wracając do realnego świata; zamrugnęła, by ujrzeć korytarz prowadzący do jej biura i zatroskaną twarz Gundhalinu.

– Och... BZ, co tu robicie?

– Czekam na panią. – Zerknął przez ramię w stronę jej biura, znowu z niepokojem na nią. – Inspektorze, w pani gabinecie czeka komendant z głównym sędzią. Nie wiem, czego, u diabła, chcą, sądziłem jednak, że powinienem panią ostrzec.

– Główny sędzia? – Jej słowa odbiły się pełnym niedowierzania echem. – Cholera! – Zamknęła oczy. – Czekanie się chyba skończyło.

Gundhalinu uniósł brwi.

– Wie pani, o co chodzi?

– Niezupełnie. – Pokręciła głową, czując rodzącą się w żołądku zimną rozpacz. Główny sędzia kierował pozaziemskim wymiarem prawa na Tiamat, tylko on mógł wydawać polecenia komendantowi policji. Nie mogła sobie wyobrazić żadnego powodu, dla którego miałby czekać w jej biurze... żadnego dobrego powodu. A więc taka jest zemsta Arienrhod. Zostanie zdymisjonowana, aresztowana, odesłana; oskarżona o łapówkarstwo, handel niewolnikami, zboczenie seksualne? Tysiące koszmarnych obrazów niewinnie skazanych ludzi wypełniało cichy korytarz jak oddział demonów, czekających z batogami na jej przejście. *Może jednak powinnam była zabrać się rano na ten statek z Andradi.*

– Dziękuję za ostrzeżenie, BZ – odezwała się cicho i głucho.

– Pani inspektor... – zawahał się Gundhalinu, w oczach miał ciągle pytanie, którego nie miał śmiałości zadać na głos.

– Potem – odetchnęła głęboko. – Zapytacie mnie później, gdy będę znała odpowiedź. – Ruszyła

korytarzem, wiedząc, że każdy krok jest najodważniejszym czynem, jakiego kiedykolwiek dokonała.

Dostrzegła ich przez szybę w drzwiach, zanim ją zauważyli. Mantagnes, dotychczasowy główny inspektor, a teraz pełniący obowiązki komendanta, siedział na jej biurku, bębniąc w nie palcami z ledwo skrywanym niezadowoleniem; podstarzały główny sędzia zajmował fotel, wyglądał posępnie w urzędowym, zapiętym pod szyję stroju. Poczwała, jak ślizgają się jej dłonie na matowej, brązowej gałce klamki.

Obaj mężczyźni zerwali się nagle, gdy tylko weszła. Zdumiał ją ten niespodziewany gest; oprzytomniała na tyle, by zaszalutować na ułamek sekundy wcześniej, niż uczynił to Mantagnes.

– Komendancie... Panie Sędzio. – Główny sędzia przywitał się, obaj nadal stali. Zastanowiła się, czy czekają, by usiadła pierwsza ze względu na jakieś spaczne rozumienie rycerskości. Zerknęła na pustkę za siebie, jeśli tak, to muszą chyba zakładać, że usiądzie na podłodze. – Proszę,.. nie musicie stać z mego powodu. – Grzeczny ton zabrzmiał bardzo fałszywie w małym pomieszczeniu. Nie próbowała wzmocnić go uśmiechem.

Mantagnes wyszedł spoza biurka i w milczeniu wskazał jej fotel. Przeszły ją ciarki na widok gniewu w jego oczach. Był Kharemoughi, jak i główny sędzia – mieszkańcy tej planety często zajmowali naczelne stanowiska, nic w tym dziwnego, skoro to ona rządziła Hegemonią. Wiedziała, że na Kharemough kobiety cieszyły się względnym równouprawnieniem, bo społeczeństwo to od czystej siły fizycznej wyżej ceniło umiejętności i pochodzenie klasowe. Jednakże służba na innych planetach, przyciągająca wielu ochotników z mniej rozwiniętych planet, zdawała się nęcić najbardziej tępych i żądnych władzy obywateli Kharemough, taki też był Mantagnes. Nic nie wiedziała o Hovanesse, głównym sędzi, lecz na jego twarzy nie dostrzegła niczego uspokajającego. Podeszła do biurka i usiadła, znalezienie się na znajomym terenie trochę zmniejszyło jej lęk. Rozejrzała się po ścianach, bardziej niż zwykle żałując, że nie ma tu okna.

Stali nadal.

– Inspektorze PalaThion, przypuszczalnie zastanawia się pani, dlaczego tu jesteśmy – powiedział Hovanesse beznadziejnie banalnie.

Zwalczyła nagłą, ogromną chęć wybuchnięcia śmiechem. *Czyż nie jest to domysł tysiąclecia!*

– Tak, na pewno, panie sędzio. – Splotła ręce na szarym symbolu dostępu do końcówki komputera, patrzyła, jak bieleją jej kłykiec dłoni ułożonych w geście nadaremnej modlitwy. Dostrzegła na skraju biurka zniszczoną paczkę, odczytała swe nazwisko; pomyślała z roztargnieniem, że nie zna tego charakteru pisma. Nazwisko zostało napisane błędnie. *Mam nadzieję, że to bomba.*

– O ile wiem... były komendant LiouxSked i jego rodzina odlecieli dziś z Tiamat. Widziała pani to?

– Tak, panie sędzio. Odlecieli zgodnie z rozkładem.

– Oby bogowie strzegli ich drogi. – Spojrzał ponuro na poplamione, stare kafelki podłogi. – Jak mógł zrobić coś takiego swojej rodzinie, skalać swe dobre imię!

– Panie sędzio, nie mogę uwierzyć... – Poczwała, jak Mantagnes spojrział na nią zimno, i zamilkła. *Chcą w to wierzyć; on nie był Kharemoughi.*

Główny sędzia szarpnął mocno za ręknie szyty surdut. Jerusha ukradkiem pociągnęła za kołnierz swej tuniki. Cieszył ją widok takiego jego skrępowania. Mieszkańcy Kharemoughu rodzili się do noszenia mundurów, to obywatele Newhaven źle się czuli w każdym urzędowym stroju.

– Jak pani wie, inspektorze... odejście komendanta LiouxSkeda pozbawia nas oficjalnego dowódcy sił policyjnych na Tiamat. Ze względu na morale musimy oczywiście jak najszybciej znaleźć kogoś na jego miejsce. Odpowiedzialność za to spada na mnie. Jednakże częścią polityki Hegemonii było zawsze zostawianie miejscowym władcom pewnego wpływu na wybór urzędników,

z którymi najchętniej będą współpracować.

Jerusha odchyliła się w fotelu, widząc, jak twarz Mantagnesa chmurnieje jeszcze bardziej.

– Królowa Śniegu poprosiła... zażądała, bym wyznaczył panią nowym komendantem.

– Mnie?! – Złapała się za krawędź biurka. – Czy... czy to żart?

– Piramidalny żart – powiedział ponuro Mantagnes. – A my jesteśmy jego ofiarami.

– To znaczy, zgodzicie się na to? Mam przyjąć stanowisko? – Nie mogła uwierzyć w to, co sama powiedziała.

– Oczywiście, że je pani przyjmie – powiedział głucho Hovanesse. – Jeśli tego sobie życzy od policji, która strzeże jej ludu, dostanie to. – Sugerował tonem, że Arienrhod wybrała własną zgubę.

Jerusha wstała powoli, pochyliła się nad biurkiem.

– W takim razie każecie mi zostać komendantem. Nie mam wyboru.

Mantagnes założył ręce na plecach.

– Nie przeszkadzało pani ani trochę, iż zadowolona Królową, zostając inspektorem, choć inni na to zasługiwali. – Po raz pierwszy ktokolwiek stwierdził to otwarcie. – Myślę, że chwytą się pani szansy zostania komendantem policji, bo jest pani kobietą.

– To lepsze od ciągłego pomijania w awansach ze względu na bycie kobietą. – Poczowała, jak piersi przygniata jej jakiś ciężar, niemal zatrzymując serce. – Ale nie chcę tego! Do licha, nie lubię Królowej bardziej niż wy, nie chcę być komendantem – nie, jeśli oznaczałoby to zostanie marionetką! Pułapka, to pułapka...

– To nie zależy od pani, komendancie PalaThion... chyba że złoży pani dymisję – powiedział Hovanesse. – Dopilnuję jednak, by pani wątpliwości, dotyczące własnych możliwości zadowolającego pełnienia obowiązków komendanta, zostały wiernie zarejestrowane.

Nic nie rzekła, niezdolna do wymyślenia krótkiej, właściwej odpowiedzi.

Mantagnes sięgnął do swego kołnierza i odczepił oznaki, które niewątpliwie miał nadzieję nosić zawsze. Rzucił je na biurko, wyciągnęła rękę, łapiąc je, nim stoczyły się na podłogę.

– Gratulacje. – Zasalutował z wielką precyzją.

Sztywno skinęła głową.

– Jesteście wolni... inspektorze Mantagnes.

Obaj mężczyźni wyszli bez słowa.

Jerusha usiadła w fotelu. Zacisnęła dłonie na skrzydełkach insygniów komendanta, poczuła, jak wrzynają się jej w palce. To sprawka Arienrhod, jej zemsta. Komendant PalaThion... Królowa postawiła ją wysoko, by zachwiała się na wietrze, rzuciła jej wyzwanie, które według Arienrhod ma zniszczyć jej karierę.

Ale na Bękartą, nie została Siną, bo jest słaba i łatwo się zniechęca. A skoro teraz jest komendantem PalaThion, do licha, wykorzystaj to! Wstała z wielką rozwagą i przypięła oznaki do kołnierza.

– Jeśli sądzisz, że mnie zrujnujesz, jeśli myślisz, że zawiodę – powiedziała głośno Królowej Powietrza – to pomyliłaś się po raz drugi. – Dłonie jej jednak drżały. *Nie zawiodę! Jestem równie dobra co każdy mężczyzna!* Poczowała ból starych, głębokich ran, które osłabiały jej wiarę w siebie.

Wysunęła szufladę biurka, sięgnęła po paczkę iestów. Zobaczyła jednak skreconą w agonii twarz LiouxSkeda i zacisnęła pustą dłoń. Zamknęła szufladę. Od jego przedawkowania ani razu nie tknęła paczki iestów.

Ponownie spostrzegła tajemniczą paczkę, przesunęła ją po biurku, by zająć czymś ręce i myśli. Rozplatała sznurek, rozwinęła szorstką brązową tkaninę, otulającą niezdarne pudełko. Wyglądało na dostarczone z daleka statkiem kupieckim, a nie było nikogo na terenach, które odwiedzała, kto



mógłby wysłać paczkę inspektorowi policji.

Otworzyła pudełko i wyjęła ostrożnie jego zawartość – muszlę wielkości dwóch otwartych dłoni, z jednym kolczastym wyrostkiem odłamanym od kruchej skorupki. Była barwy zachodzącego słońca, powierzchnię miała cierpliwie wypolerowaną – lśniła niby niebo o świcie. Ostatnio widziała ją i podziwiała na półce ponad kominkiem w domu na plantacji Ngeneta ran Ahase Miroe... kiedy to wsłuchiwała się w płomienie trzaskające w ciszy, popijając mocną czarną herbatę, którą wmusił w nią gospodarz, nim odleciała do Krwawnika. Przypomniała sobie teraz z ukojeniem bardzo wyraźnie tę zdumiewająco spokojną chwilę. Co za ironia losu, że jedyne przyjemne odwiedziny towarzyskie, jakie mogła sobie przypomnieć spośród dziesięciu lat, jakie przeżyła na tej planecie, to piętnaście minut spędzonych z mężczyzną, który prawdopodobnie złamał prawo...

Pogrzebała palcami we wnętrzu muszli, wyjęła wszystko z pudełka, lecz nie znalazła żadnej wiadomości dla siebie. Westchnęła – nie wiedziała, czego się spodziewać, lecz mimo to poczuła rozczarowanie. – Winszuję ci awansu, Geio Jerusho – powiedziała znużonym głosem. Podniosła znów muszlę i zamknęła oczy. Trzymając ją przy uchu w sposób wskazany przez Ngeneta, wsłuchiwała się w głos Morza.

HEJ, SPARKS, NIE ODCHODŹ ROZGRZANY. DAJ NAM SZANSE NA REWANŻ.

Holograficzne popiersie nad zniszczonym miastem na stole gry zaprotestowało, gdy zdejmował kruche nakrycie głowy. Mimo to zawiesił je na miejscu, wycofując się ostatecznie.

– Przykro mi – uśmiechnął się, zadowolony z siebie, zwracając się bardziej do patrzących wrogo innych graczy niż do komputera sterującego zjawą krupiera. – Znudziłem się. – Włożył w szczelinę kartę kredytową, zobaczył, jak wyskakuje z nową sumą – parę miesięcy temu nie wyobrażał sobie nawet, że na całym świecie istnieje tyle pieniędzy. Świadomość, że wszystko to należy do niego, już niemal przestała robić na nim jakiegokolwiek wrażenie. Wiedział teraz, jakie bogactwa krążą po spiralnej Ulicy Krwawnika. Zaczynał nawet nabierać pojęcia, ile pieniędzy wypływa Czarnymi Wrotami do innych światów Hegemonii... uczył się szybko. Ale jednak za wolno.

Odsunął się od stołu, popijając różowe wino samathańskie, nie tyle jednak, by stracić głowę. W tym także jest dobry, pomyślał, zna swoje możliwości i ograniczenia, to dlatego wygrywał coraz więcej i częściej. Arienrhod dostarczała mu pieniędzy i czas wolny od pełnienia obowiązków Starbucka spędzał w barach i kasynach na górze i dole Ulicy; wraz z towarzyszami wyszukiwał tyle przyjemności, na ile miał ochotę. Słuchał, pytał, obserwował przesuwanie się podziemnych prądów; usiłował wyczuć, skąd płyną informacje i dokąd zmierzają.

Bardzo się starał wydostać z otchłani głębokiej niewiedzy i gdy wino i narkotyczne perfumy zbyt licznych pokoiów zaczynały tępić mu zmysły, rosło w nim zdenerwowanie, aż do bólu. Nic w mieście nie mogło już sprawić mu przyjemności. Rzeczy zachwycające chłopca Letniaka nadal chyba istniały w drżących zwojach Labiryntu, lecz teraz ich nie zauważał. Im dłużej przebywał w Krwawniku, tym mocniej pogardzał ludźmi tworzącymi jego życie.

Zaczynał nienawidzić widoku wszystkiego i wszystkich, nie wiedząc dlaczego; mrok plamił jego przeszłość i przyszłość, a nawet jego własną twarz. Wszystkich – z wyjątkiem Arienrhod. Ona rozumiała ciemność leżącą jak trujące sadzawki w najgłębszych zakątkach jego umysłu; wiedziała, jak wykrwawiać jego wrogość; zapewniała go, że czarne jest sedno każdej duszy. Arienrhod pocieszała go, przynosiła mu spokój, spełniała każde życzenie... Arienrhod go kochała. A strach, że może stracić jej miłość, że pożałuje, iż pozwoliła mu zostać Starbuckiem, że rzuci go, jak rzuciła jego przeciwnika, był chmurą wiszącą zawsze nad powierzchnią tego spokojnego morza.

Wykorzystywała rozległy system elektronicznych szpiegów i łatwowierną szlachtę, by rozbudowywać skrawki wiadomości dostarczane przez niego, lecz pozaziemcy, którzy rzeczywiście mieli coś do ukrycia, strzegli tego skutecznie. Wiedział też, że brak jej wiedzy prawdziwego Starbucka, człowieka, który między nimi wzrastał. Nadejdzie dzień, kiedy to zacznie gardzić jego Letnią niewiedzą. Może, będąc pijanym wtedy, już zgubił świadomość swych możliwości...

Sparks wsunął kartę kredytową za podszewkę pasa, poczuł gorzką dumę, odchodząc od stołu. Zastanowił się przelotnie, czy te gry przynoszą coś dobrego albo czy Arienrhod nawet tu obserwuje go potajemnie i załatwia tak, by wygrywał.

Odsunął tę myśl, zakładając dłonie za pas. Rozejrzał się po mrowiu głów gołych, w turbanach, czapkach, hełmach, wysadzanych klejnotami fryzur, pochylonych w nieświętej czci dla migoczących krajobrazów wybranych przez nich gier losowych. To była jedna ze spelunek najwyższej klasy; bardziej wyszukana, mniej posępna do tańszych dziur w dolnym Labiryncie, w których tłoczyli się przeważnie robotnicy Zimacy. Lecz nawet tu nie było szczerzej radości. Gracze śmiali się i klęli z jednaką mściwością, obojętni na żywą muzykę, która utrudniała rozmowy i tłumiła dźwięki z sąsiedniej sali. Znajdowały się tam maszyny marzeń, dzięki którym można było zanurzyć się w

straszliwych doznaniach innych planet, popełnić każdą zbrodnię, doświadczyć wszystkiego, niemal aż do chwili śmierci, na przeżywanie czego wystarczało odwagi. Korzystał z nich coraz częściej, choć dawały mu coraz mniej.

Zaczął się przeciskać między stołami w stronę wyjścia, poruszając się z celowością i ostrożnością innego człowieka, noszącego maskę na twarzy i pozaziemski medal na piersi. Sparks Dawntreader miał na sobie sprowadzoną tunikę w jaskrawe pasy i wysokie buty. Włosy przyciął krótko na modłę Zimaków, lecz nie był świadom buty Starbucka, która powodowała, że inni usuwali mu się z drogi.

– Wyglądasz na człowieka, który wie, czego chce. – Jedyne, która się nie odsunęła, śmiało zastąpiła mu drogę. Rozcięta jej długiej sukni nie skrywały niczego.

Spojrzał na nią i odwrócił wzrok, ciągle nie przywykł do otwartości seksualnych zaczepek tego miasta.

– Nie, dzięki. Chcę tylko stąd wyjść. – Srebro jej sukni przypomniało mu na mgnienie oka srebrnobiałe włosy... Ruszył dalej, starając się jej nie dotknąć. Nie pożądał teraz żadnej kobiety poza Arienrhod, która nauczyła go pragnąć rzeczy, o których nigdy nawet nie śnił. Samo pojęcie seksu za pieniądze wydawało mu się groteskowe i zboczony, choć wiedział, że połowa kobiet i mężczyzn ofiarowujących swe ciała w takich miejscach to Zimacy. Znudzeni lub potrzebujący pieniędzy wykorzystywali swą zwykłą swobodę w sprawach seksu, by rozbudzić kupieckie apetyty pozaziemców.

Były tu także pozaziemskie prostytutki, kontrolowane przez innych pozaziemców i schowane w tajemnej pajęczynie władzy pokrywającej Labirynt. Na niektórych światach Hegemonii niewolnictwo było uznawane lub tolerowane, a Arienrhod nie wtrącała się w obyczaje swych klientów. Niektóre nie różniły się od miejscowych dziewcząt, kupczących swym ciałem (wydawały mu się tylko bardziej egzotyczne), lecz były wśród nich i żywe trupy, ofiary do wynajęcia przez tych, którzy nie zadowalali się marzeniami. Przesuwały się wśród tłumów niemal nagie, pusząc się bliznami – nie, puszenie to niewłaściwe słowo. Były widmami, chodziły z nieobecnyimi oczami, jak lunatyczki, śniące koszmary. Dowiedział się, że brały narkotyki, niektórym już zniszczyły one mózgi. Arienrhod powiedziała mu, że niczego nie czują. A kiedyś, gdy wpadł w szczególnie ponury nastrój, sam omal nie...

Ale wspomnienie, jak to leżał bezradnie w alejce, podczas gdy czwórka handlarzy niewolników nazywała go "ślicznym", rozbiło jego czarne myśli, tak jak wtedy rozbito mu piszczałkę. Zaczął się wówczas zastanawiać, czy rzeczywiście gardzi pozaziemcami, czy też pozaziemcem w sobie.

Lecz Arienrhod znowu uspokoiła jego sumienie, rozproszyła wątpliwości, roześmiała się łagodnie i powiedziała, że zło będzie zawsze, na każdej planecie, bo bez niego nie wiadomo by, czym jest dobro...

Sparks odetchnął głęboko, gdy zamknęły się za nim drzwi kasyna, przewietrzył płuca, stojąc na sztabie rzadkiej metalicznej rudy, służącej tu za próg. Brunatny kot prześlizgnął się obok jego nóg, zniknął w skrytej szczelinie w murze.

– ...Przestań, S'eing, daj spokój. – Coś znajomego, choć i obcego w tym głosie skłoniło go do odwrócenia się i spojrzenia na fasadę budynku. – Zrobię wszystko, na miłość bogów, wszystko, by się wydostać z tej piekielnej dziury i dostać tam, gdzie będą mogli mi pomóc! Wpisz mnie... – mówiący to był pozaziemcem o gęstych, ciemnych włosach, brunatnej skórze i rzadkiej, świeżo zapuszczonej brodzie. Siedział na skrzynce przystawionej do ściany, nosił poplamiony skafander członka załogi bez żadnych oznak. Sparks nie znał tego silnego człowieka, który zdawał się powoli umierać z głodu, i zaczął od niego odchodzić. Ale głos... – Jesteś mi to winien, do licha z tobą, S'eing! – Zobaczył, jak obcy odsuwa się od muru niezdarnym skrętem kręgosłupa, chwytając za nogawki

skafandra drugiego nieznanego.

Uznał go za kapitana frachtowca albo kogoś stojącego trochę niżej. Był potężnym mężczyzną z blizną na twarzy. Odsunął się nagle, wytrącając siedzącego z równowagi. Sparks zobaczył, jak tamten legł bezradnie na ulicy, zrozumiał ze współczuciem, że ma sparaliżowane nogi. Oficer ze szramą wybuchnął śmiechem, którego nie chciałby więcej słyszeć.

– Nic ci nie jestem winien, Herne, skoro nie możesz zapłacić. – Odszedł aleją, ścigany przekleństwami kaleki.

Biedak imieniem Herne starannie ułożył swe beużyteczne nogi, nie zważając na dyskretne, jak i niegrzeczne spojrzenia przechodniów. Sparks przyglądał mu się jak inni, złapany na litość. Wreszcie niepewnie zrobił krok w stronę mężczyzny, który próbował wciągnąć się na skrzynkę. Tamten spojrzał na niego i osunął się na chodnik.

– Ty! – Po rozpoznaniu przyszła nienawiść, jak noc po dniu. – Przysłała cię tutaj? Powiedziała ci, gdzie możesz mnie znaleźć...? No, przypatrz się dobrze, smarkaczu! Nasyć sobie oczy, zadowol mózg, a potem pamiętaj zawsze, że kiedyś ktoś zrobi to samo z tobą. – Dłoń Herne'a zacisnęła się na garści kurzu, odrzucił ją w bok.

– Starbuck. – Nie wiedział nawet, czy wypowiedział to słowo na głos, lecz był pewien, że jest prawdziwe. – Powiedziała... powiedziała, że nie żyjesz. – Myślał, że miała na myśli spadanie do morza z wysokości tysiący metrów. Jednakże z szybu wystawały platformy i maszyny. Jedna z nich musiała zatrzymać jego upadek... i złamać mu krzyż. O mało co nie zginął, ale jednak przeżył. Sparks poczuł nagle, jak opuszcza go nie uświadamiane dotąd ciśnienie na piersi, którego obecność poznał dopiero wtedy, gdy przestało istnieć. – Cieszę się...

Herne zwinął się w daremnym gniewie, zacisnął dłoń na nodze Sparksa.

– Ty synu Letniej flądry! Gdybym mógł cię dorwać, dokończyłbym to, co zacząłem! – Opadł znowu, rozluźniając swój chwyt. – No idź, ciesz się, smarkaczu. Ciągłe jestem dwa razy bardziej mężczyzną niż ty, Arienrhod też o tym wie.

Sparks stał tuż poza jego zasięgiem z płonąca twarzą. Pamięć tego, co Herne mu zrobił i co chciał uczynić tam, w Sali Wiatrów, pochłonęła jego współczucie niby komara tonącego w misce zółci.

– W ogóle nie jesteś mężczyzną, Herne, już nie. A Arienrhod należy tylko do mnie! – Odwrócił się i ruszył aleją.

– Ty głupcze! – Gniewny śmiech Herne'a uderzył w jego plecy. – Arienrhod nie należy do nikogo! Ty jesteś jej, będzie cię wykorzystywać, dopóki nie zużyje...

Sparks szedł dalej, nie oglądając się, aż minął róg Ulicy. Nie ruszył jednak w górę, w stronę pałacu. Stał, czekając, aż opuści go złość, pozbędzie się poczucia bezcelowości, wreszcie wybrał drogę w dół. Błąkał się bez celu, docierając do serca Labiryntu. Mijał bary i kasyna stanowiące dla niego drugi dom; patrzył z roztargnieniem na wystawy sklepowe pełne sprowadzanych przypraw i ziół, biżuterii, obrazów, kaftanów, komputerów... tysiący innych zabawek technicznych; kosztownych, wyszukanych błahostek pochodzących od napraszających się kupców, wpychających się przed zdumione oczy tubylców. Kiedyś stawał przy każdej witrynie i spacer po Labiryncie wydawał mu się chodzeniem po niebie. Teraz ledwo zatrzymywały mu oczy. Sam nie wiedział, jak i kiedy czas pokrył jego strach skorupą utraty złudzeń, a wino cudu przeszło w ocet.

Nawet wielobarwne aleje, żyzny grunt spotkań rzemieślników planety tej i siedmiu innych, na którym rozkwitał ich artyzm, już nie przyciągały jego uwagi. Przestały go pociągać kształtami, zapachami i muzyką. Świeże rany, wywołane poznaniem śmierci za życia będącej udziałem Herne'a, boleśnie ostro wciskały się w szklane ściany, którymi się osłonił. Otoczony przez bijące serce

miasta, które zamierzał odkrywać, przekonał się po raz kolejny, że rzecz, po którą sięga, wymyka mu się z rąk. Jak wszystko, o co dbał, na co liczył...

Zacisnął gwałtownie dłoń na kolumnie ruchomej rzeźby w mijanym właśnie stoisku; spomiędzy jej kolców wydobywały się szorstkie tony, skaczące jak koty. Jednakże dzwoniąca, atonalna muzyka umilkła pod jego dotykiem, zimny metalowy pręt odchylił się w drugą stronę. A może tylko wyobrażał sobie ich nierealność; lecz wrażenie nie mijało... *Dlaczego? Co mi się stało? Co złego?*

Puścił przedmiot, gdy oburzony rzeźbiarz podszedł do drzwi sklepu. Ruszył dalej, dopiero teraz poznając, w jaką uliczkę wszedł. To Aleja Cytrynowa, a przed sobą widzi już Fate Ravenglass, siedzącą jak zawsze na werandzie wokół tac i skrawków. Kiedyś przybył tu, szukając schronienia, został przyjęty bez pytań czy stawiania warunków. Zawsze może tu wrócić, do przystani spokoju i twórczości we wszechświecie obojętności i połamanych części.

Dostrzegł, że Fate nie jest sama, ujrzał jej gościa wstającego ze stopni w chmurze granatowych zasłon z tęczowymi wzorami. Rozpoznał jej przyjaciółkę Tiewe – dzięki welonom, bo nigdy nie dostrzegł u niej nic więcej niż hebanowe dłonie. Usłyszał delikatną pieśń jej skrytych naszyjników z dzwoneczków. Pytał Fate, dlaczego nigdy się nie odsłania, podejrzewając ją o kalectwo, lecz usłyszał, że taki jest zwyczaj rodzimej planety Tiewe. Później widział najwyżej dwóch innych ludzi pochodzących z niej, zawsze starannie opatulonych. Tiewe czuła się nieswojo w towarzystwie mężczyzn i objęła go zazdrosna wdzięczność, gdy zrozumiał, że odchodzi z jego powodu. Fate ma wielu przyjaciół, lecz nikogo, kto byłby dla niej kimś więcej. Czasami zastanawiał się nad jej celibatem.

Gdy Tiewe odeszła, zostawiając za sobą muzyczny ślad, Fate zwróciła twarz w jego stronę, na wpół z uśmiechem, na wpół ze skupieniem.

– Sparks, to ty? – Kot Malkin miauknął potwierdzająco ze swego ulubionego miejsca na progu.

– Tak. Cześć, Fate. – Sparks stanął przed nią, nagle niepewny.

– Co za miła niespodzianka. Siadaj, nie zachowuj się jak obcy. Byłeś nim dostatecznie przez ostatnie miesiące.

Z grymasem winy usiadł ostrożnie wśród tac na werandzie.

– Wiem. Przepraszam, ale...

– Nie, nie przepraszaj – zamachała rękoma, rozgrzeszając go dobrotliwie. – Mimo wszystko, ile to razy przysłałam cię odwiedzić w pałacu?

Roześmiał się.

– Ani razu.

– Powinnam więc być wdzięczna, że w ogóle przyszedłeś. – Schyliła się po odłożoną maskę. – Opowiedz mi plotki z dworu, jak się ubierają, w co się bawią, jakie wylęgły się tam wspaniałe bzdurki. Potrzebuję odrobiny radości. Tiewe robi cuda igłą i jedwabiem, lecz jest taka smutna... – Uniosła wzrok, skrzywiła się do nikogo, sięgnęła gwałtownie do tacy z paciorkami i rozrzuciła je. – Cholera! – Malkin skoczył z progu i zniknął w sklepie.

– Pozwól mi... – Sparks pochylił się, ledwo zdołał pochwycić zielony, błyszczący wodospad, spadający z krawędzi stopnia. Postawił tacę i wypełnił ją cierpliwie, ukojony bezmyślnością zadania. – Weź. – Wręczył jej trzy paciorki naraz, wracając z wdzięcznością do nawyków i błogich wspomnień dni spędzonych z nią.

– Widzisz, jak bardzo mi cię brak. – Uśmiechnęła się, gdy paciorki spadły jej na dłoń. – Ale nie tylko twych cierpliwych rąk, także rytmicznych Letnich pieśni i świeżości zdumienia.

Sparks oparł palce na jej kolanach, nic nie odpowiadając.

– Możesz zostać i zagrać mi trochę? Tak dawno w tej alejce nie było pieśni.

- Ja... – Przełknął kamyk w gardle. – Nie wziąłem ze sobą piszczałki.
- Nie? – Mniej by się zdziwiła, gdyby powiedział jej, że nie ma na sobie ubrania. – Dlaczego?
- Ostatnio... nie lubię grać.

Siedziała, pochylona nad maską, czekając na coś więcej.

- Byłem zbyt zajęty – powiedział usprawiedliwiająco.
- Sądziłam, że po to jesteś potrzebny Królowej – grasz jej.
- Już nie. Teraz... no, robię inne rzeczy. – Poglądził twardą powierzchnię stopnia. – Inne...  
rzeczy.

Przytaknęła, zapomniał, jakie drażniące może być spojrzenie jej trzeciego oka.

- Jak granie i picie zbyt wiele wina w Panoramic Parallax. – Było to stwierdzenie faktu.
- Skąd wiesz, gdzie byłem? – Nie chciał się przyznać do reszty.
- Czuję to. To pachnidło pochodzi z Tsieh-pun. Każde miejsce jest inne, podobnie jak i każdy narkotyk. Mówisz trochę niewyraźnie.
- Powiedz mi, czy wygrałem, czy przegrałem.
- Wygrałeś. Gdybyś przegrał, nie pytałbyś o to z takim zadowoleniem.

Roześmiał się, lecz niezbyt swobodnie.

– Byłabyś dobrą Siną.

– Nie. – Pokręciła głową i poszukała igłą otworu w paciorku. – Sinymi stają się ludzie o pewnym poczuciu wyższości moralnej, a ja nie chcę osądzać innych grzeszników. No – dodała, gdy paciorek znalazł się na swoim miejscu – proszę trochę zielonych piór.

– Wiem o tym. – Podał jej pióra.

– To dlatego przyszedłeś tu dzisiaj? – Umoczyła palce w kleju i posmarowała stosiny piór. – Dopóki wygrywasz w grze, Królowa nie może się wtrącać w to, co robisz ze swym wolnym czasem i pieniędzmi, prawda?

– Chce, bym grał. Daje mi pieniądze – powiedział to bez wahania, czuł, jak wzbierają w nim tajne sekrety, wiedział, że zdradzenie ich jest tylko kwestią czasu.

– Naprawdę? Jesteś taki dobry? – Fate zdawała się w to wątpić.

– Nie. Robię to, by się uczyć, poznawać sposoby myślenia pozaziemców, ich zamierzenia, by opowiadać o nich jej...

– Myślałam, że ma po to Starbucka.

– Ma. – Niewidzialna ściana jego bezmienności zdawała się zamykać ich w przestrzeni całkowitej ciszy, w której ledwo rozległ się jego głos, choć powinien rozbrzmiewać dumą. – Ja jestem Starbuckiem.

Najpierw jedyną jej odpowiedzią było ciche westchnienie na wdechu.

– Słyszałam, że jest nowy Starbuck. To prawda, Sparksie? Ty, Letniak... – chłopiec, lecz tego nie dopowiedziała.

– Na wpół Letniak. – Kiwnął głową – Tak. To prawda.

– Jak? Dlaczego? – Położyła nieruchome dłonie na otwartych ustach maski.

– Bo tak bardzo przypomina Moon. A Moon odeszła. – Arienrhod była jedyną rzeczą, która się dlań nie zmieniała, jedyną całą i rzeczywistą, bardziej nawet niż jego ciało. – Wiedziała o Moon, wiedziała, czym jest dla mnie. Tylko ona była w stanie zrozumieć... – Wymykały mu się pełne bólu słowa, opowiadał jej (choć nie do końca), co zaszło między nim a Arienrhod, gdy doszły ich wieści o porwaniu Moon. – ...dlatego wyzwałem Starbucka, bo ją kocham. Pozwoliła mi go wyzwać, bo też mnie kocha. I zwyciężyłem.

– Jak udało ci się zabić takiego człowieka?

– Zabiłem go piszczałką... w Sali Wiatrów. – *Tylko że on nie umarł.*

– I od tej pory nie grasz. – Fate pokręciła głową, spuszczać na ramiona grube warkocze. –

Powiedz mi... było warto?

– Tak! – Zdumiał się własnym głosem.

– Dlaczego wydaje mi się, że słyszę "nie"?

Zacisnął palce na tacy z paciorkami, naprężył mięśnie, nie dostrzegła tego.

– Musiałem zostać Starbuckiem. Musiałem być najlepszy, bo inaczej – nie byłbym jej godny.

Musiałem zostać jedynym, który się liczy. Myślałem jednak, że po zwycięskiej walce reszta pójdzie gładko, tak nie jest. Myślałem, że dostanę wszystko, co zechcę.

– A nie dostałeś. Teraz on pokręcił głową.

– U licha, coś ze mną niedobrze! Nic mi się nie udaje... cokolwiek bym robił.

– To może nie powinieneś tego robić. Możesz wracać do Lata, nic cię nie zatrzymuje.

– Do czego mam wracać? – prychnął. – Nie. Nie mogę wrócić. – Pytał już o to siebie i znalazł

odpowiedź. – Nikt nie wraca, wiem o tym teraz; możemy tylko iść przed siebie, bez żadnego powodu... Nie zostawię Arienrhod; nie mogę. Ale i tak ją stracę, gdy nie zostanę tym, kim chce, bym był. – *Herne wie; Herne wie wszystko...*

– Znajdziesz sposób na chwycenie pulsu pozaziemców. Skoro byłeś na tyle sprytny, by przechytrzyć Starbucka, to zdołasz zająć jego miejsce. Staniesz się taki jak on, już zaczynasz się stawać.

Zdumiał go jakiś żal w jej głosie. Zwinął dłoń w pięść, położył na drugiej.

– Muszę nim zostać. Muszę w to uwierzyć, nim zaczną się Łowy.

– Te, które dają wodę życia? Na mery?

– Tak. – Patrzył na chodnik, przenikał wzrokiem serce miasta i świata, sięgał nim ku przestrzeniom morskim należącym do szlachty Zimaków. Znow widział w myślach Łowy, naszyjnik nagich skał wystających z pełnego morza; czuł rytm oceanicznych fal grających na belkach statku, nucących pieśń świata, który porzucił. Pamiętał, jak z nagłą tęsknotą przeszukiwał horyzont... Jeśli jednak tak Pani wzywa go do domu, to nie rozumiał już Jej głosu. Może dlatego że polował na mery; albo też Morze jest tylko morzem, zbiornikiem wody, związkiem chemicznym.

Patrzył na brzeg najbliższej wyspy, gdzie malejąca kolonia merów leżała na pokrytej czarnymi kamieniami plaży... póki Psy nie zapędziły ich do morza, do czekających sieci, w których się zaplątywały i tonęły. Umierają, jeśli dwa razy w ciągu godziny nie mogą zaczerpnąć powietrza.

Żaden Letniak nie zabiłby mera; były dziećmi Pani, zrodzonymi przez Nią po tym, jak gwiazdy spadły do morza i stały się wyspami, jej małżonkami, Ładem. Powiadano, że żeglarz, który przypadkowo zabije mera, nie będzie miał już szczęścia... żeglarza, który czynił to umyślnie, topiła reszta załogi. Słyszał setki opowieści o merach ratujących żeglarzy, którzy wypadli za burtę, nawet całe załogi rozbitych statków; widział mery zamieszkujące port wyspy Przejścia, ich wrzecionowate grzbiety tworzące ścieg na giętkiej tkaninie powierzchni wód portowych, przeprowadzające bezpiecznie statki przez zdradziecką rafę Przejścia. Pamiętał mery, które przywitały ich na wyspie sybilli. Nigdy nie słyszał, by mer zrobił coś złego, skrzywdził kogoś.

Musiały jednak ginąć ze względu na dobro, jakie mogły przynosić ludziom – najwyższe dobro wiecznej młodości. Zawsze wierzył, że mity o nieśmiertelności merów, ich darze dawania jej ludziom są tylko starymi bajkami... dopóki nie przybył do Krwawnika. A potem spotkał Królową, panującą przez sto pięćdziesiąt lat... Arienrhod dała mu fiołkę lepkiego, srebrnego płynu, wpuścił sobie jego mgiełkę do gardła i zrozumiał, że i on może na zawsze zachować młodość.

Dlatego stał tam, płacąc swą obecnością za nieśmiertelność, zdradzając wszystko, czym był i w

co wierzył, podczas gdy gdzieś w głębi Psy zaganiały i topiły bezradne ofiary.

Potem wciągnęły na statki ich ciała i jakby mu pokazując, jaki jest bezsilny, przycupnęły z nożami, by rozcinać cętkowane gardła. Zbierały cenną krew merów, aż macki im poczerwieniały, a pokład stał się śliski.

Czerwień spłynęła do morza, za nią trafiły okaleczone ciała, z oczami wpatrującymi się z niedowierzaniem w śmierć. *Zmarnowane... wszystkie zmarnowane!* Odwrócił się, z bolącym sercem, na długo przed zakończeniem rzezi, starał się zatopić w nieskończonej dali oceanu i nieba. Nigdzie jednak nie mógł uciec przed pluskiem wpadających do morza kadłubów, *za późno, za późno*, ani przed dzikimi rozbryzgami wody, gdy gromadziły się ścierwojady, kalając zielono-błękitną czystość ekstazą swej uczy. Matka Morza w swej bezlitosnej mądrości nie marnowała niczego, przeklinał beztróskę tych, którzy to robili...

– Sparks? – Głos Fate ściągnął go z powrotem, pancierz miasta osłonił, broniąc przed przekleństwami Pani, przecząc, by istniały kiedykolwiek.

– Było to takie wstrętne... wszystko się zmarnowało! Nie mogłem... – Potrząsnął głową. – Tym razem zrobię to prawidłowo. Umiem wypatroszyć martwego mera, nie jestem już przesądnym Maminsynkiem. – Pamiętał pogardę Psów, wyraźną nawet przy braku słów, pamiętał łaskawe pocieszenia Arienrhod, które wyzwoliły go od demonów wątpliwości i wstrętu do siebie, przywiezionych przezeń do Krwawnika. A potem bez żadnych uwag wręczyła mu złoconą fiolkę wody życia.

– Nie, nie sędzę, a ty? – Znów żal. – Zetknięcie się ze śmiercią nie jest nigdy łatwe. To dlatego wszyscy tęsknimy za smakiem wody życia. Zabieramy ją dla siebie, bo najtrudniejszą z wszystkich rzeczy jest nasza śmierć... Robimy to, co uważamy za konieczne. – Wyciągnęła rękę w powietrze.

– Och, nie przerywaj... – Usłyszał za sobą obcy głos. – Połóż tu dostawę.

Sparks odwrócił się, patrząc wraz z Fate na dwie figurki stojące w alejce, jedną szarą, drugą nieludzką.

– Ty!

Pozbawiona twarzy głowa robota Polluksa spojrzała na niego z niezmienną obojętnością, lecz szare oczy Tor przeszły od wyrazu niezrozumienia do wielkiego zakłopotania.

– Dawntreader? – Przeszłowała z nogi na nogę. – Hej, no... Jak się masz, dzieciaku? Wygląda na to, że dobrze sobie radzisz – powiedziała, unosząc brwi. – Ledwo cię poznałam.

– Nie zawdzięczam tego tobie.

– No cóż... – Nieśmiało odwróciła wzrok. – Cześć, Fate. Masz wreszcie cały nowy ładunek. Czy Polluks ma go dla ciebie ustawić?

Fate zaczęła odsuwać tace, umożliwiając dostęp do drzwi.

– Pokażę mu gdzie. Nie wiedziałam, Tor, że jesteś przyjaciółką Sparksa.

– Nie jest. – Sparks wstał i usunął się na bok, gdy Polluks wchodził obojętnie na schody, wlokąc za sobą unoszącą się w powietrzu platformę z pojemnikami. Patrzył na Fate znikającą w środku, poruszającą się swobodnie w znajomym otoczeniu, za nią wszedł Polluks. Zatrzymał jednak próbującą im towarzyszyć Tor, zastawiając jej ramieniem drzwi.

– Och. – Odwrócił ją i przycisnął do ściany budynku. – Pogadamy. O tym, co mi zrobiłaś, nęcąc gwiazdołem. I na co zużyłaś wszystko, co mi ukradłaś.

Tor przyciskała plecy do łuszczącej się farby, patrzyła wszędzie, tylko nie na niego.

– Posłuchaj, Sparks, naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu, rozumiesz? Naprawdę niechętnie cię załatwiłam w ten sposób, byłeś taki ufny... i taki głupi... Lecz byłam winna życie Twardego Supła, właścicielki Morza i Gwiazd; zgubiłam część dziennego utargu kasyna. Gdybym nie



zwróciła forsę, wyrwałaby mi ją ze skóry, wiesz, że to znaczy? Szczerze, szło o ciebie albo o mnie. Pomyślałam też, że dam ci lekcję, którą i tak byś musiał zaliczyć. – Wzruszyła ramionami, zaczęła przychodzić do siebie.

– Co zrobiłaś z moimi rzeczami?

– Zastawiłam, a co myślałaś?

Roześmiał się.

– Dużo za nie dostałaś? – zapytał niemal obojętnie.

– Ziarnka, a co my... – Zadrżała się, gdy uniósł dłoń i ścisnął jej gardło, znów przygniatając do ściany. – Na bogów! – skrzeknęła, próbując uciec przed czymś w jego oczach. – Co ci się stało, chłopcze?

– Nauczyłem się twojej lekcji. – Nacisnął mocniej, radując się wyrazem jej twarzy. – Teraz jesteś mi coś winna, Tor, mogę ci to wydrzeć ze skóry.

– Nie... nie zrobisz tego? – Poczul, jak dławi się nagłym lękiem, podniosła rękę, chwytając go za ramię. – Co ty...

– Sparks, co ty robisz? – rozległ się zdumiony głos Fate.

Zamrugnął, rozpraszając mgiełkę zranionej dumy i puścił Tor.

– Nie jesteś warta kłopotów.

Tor oddychała nosowo, masując gardło.

– To tylko... to tylko nieporozumienie, Fate. Przyniosę ci pieniądze, chłopcze. To znaczy, gdy dostanę pensję...

– Zapomnij o tym. – Odwrócił się, czując, jak twarz mu płonie z gniewu i zakłopotania, zastanawiając się, co z tego dostrzegła Fate. Jego uwagę zwróciło jednak coś z tłumaczeń Tor, sięgnęło do źródła złego humoru – odwrócił się ponownie, okazując jej wyrachowaną zawziętość. – Z drugiej strony... nie, nie zapominaj. Jesteś mi coś winna i powiem ci, jak możesz się odpłacić. A jak dobrze się spiszesz, może nawet zarobisz. – Wyciągnął swą kartę kredytową i przysunął do jej oczu.

Tor spojrzała na nią z roztargnieniem.

– Co? – Sięgnęła z wahaniem; wyrwał jej kartę.

– Powiedziałaś, że jesteś naganiaczem dla Morza i Gwiazd. Musisz dużo wiedzieć o rządzących Labiryntem, znać wiele ciekawych plotek...?

– Och, nie... nic nie wiem, chłopcze, przymykam zawsze oczy. – Pokręciła głową, zamykając powieki przed pokusą. – Najwyżej przyjmuję parę zleceń na boczkach, za dodatkowe zyski ze stołów.

– Nie chrań. – Skrzywił się. – Ale może rzeczywiście wiesz za mało, by dotrzeć do rzeczy, które chcę poznać. – Nagle coś go natchnęło. – Znam kogoś takiego, to wystarczy! Ty coś z niego wyciśniesz, mnie się nie uda. Zajmiesz się tym dla mnie, zajmiesz się nim, rozumiesz?

– Nie. – Znów pokręciła głową. – W co, u licha, się wplątałaś? W co próbujesz mnie wrobić?

– Ja też dla kogoś pracuję, dla kogoś stojącego wyżej. Kto chce wiedzieć, co robi konkurencja. A człowiek zwany Herne wie o tym wszystkim, tylko że mu się nie poszczęściło. Znajdziesz go i pomożesz, będzie taki wdzięczny, że powie ci wszystko, co zechcesz.

– Ha! Znałam Heme'a, wielkiego hulakę, i jeśli opuściło go szczęście, niech gnije. Naćpał się paskudnie z kumplami i próbował... – nie mogła dokończyć, zacisnęła dłonie na zapięciu swego kombinezonu. – Zarobiłam siniaki w miejscach, których bym nie pokazała własnej matce, zanim Polluks nie ściągnął go ze mnie i nie przekonał, by się rozmyślił. – Zerknęła poza słuchającą w milczeniu Fate na flegmatyczny, metalowy kształt w drzwiach. – Może i jest tępą maszyną, lecz więcej w nim człowieka, niż w tym, który go zaprogramował.

Sparks uśmiechnął się, wyobrażając sobie porażkę Herne'a.

– Musiał być rzeczywiście kompletnie zaćpany, by porwać się na...

Tor pokraśniała na twarzy i uniosła pięści.

– Słuchaj, Letniaku, nie żartuj tak sobie z Zimaczką!

Błyskawicznie zdusił uśmiech.

– Na Ma... na bogów, nie to chciałem powiedzieć! Jeśli to ten sam Herne, to możesz się nie bać. Tym razem nie sprawi ci żadnych kłopotów. Znajdziesz go niedaleko Panoramy Paralaksy. Pokryję wszystkie wydatki, nie żałuj ich, upewnij się tylko, że nie wie, dlaczego to robisz. Nigdy o tym nie mów. – Zniżył głos, odwracając się od Fate. – Jeśli nie dostanę tego, co chcę, pożałujesz i nawet Polluks cię nie ochroni.

Biała twarz Tor zbladła jeszcze bardziej, zrozumiał ze zdziwieniem, że mu uwierzyła.

– Spotkamy się tu o tej samej porze za... tydzień.

– No, jasne – odparła słabo i wyslizgnęła się poza barykadę jego ciała. – Polluks, idziemy.

– Jak powiedziałaś, Tor. – Robot zszedł z werandy i podążył za nią.

Uderzyła go ze złością i poszła, rozcierając dłonie.

– Zamknij się, cholerna kupo złomu; przehandluję cię na psa.

Fate usiadła, dekorując naga, gapiącą się maskę, jakby stanowiła cały wszechświat. Nie odzywała się do niego ani nie podnosiła żadnego ze swych oczu.

Sparks poczuł, jak opuszcza go podniecenie na widok jej odsuwania się od niego, jakby zrywała wszystko albo on to uczynił.

– Powiedziałaś, że jakoś rozwiążę ten problem. Właśnie to zrobiłem.

– Tak, chyba tak. – Wzięła satynową szmatkę.

– Myślałem, że nikogo nie osądzasz.

– Staram się tego nie robić. Wszyscy wybieramy swoje drogi do piekła, ale niektóre wybory są łatwiej dostrzegalne od innych... nie lubię widzieć, jak krzywdzeni są moi przyjaciele.

– Ja też. Nie skrzywdzę jej. – Wiedział jednak, że przez chwilę był tego bardzo bliski. Ten właśnie moment widziała Fate.

– “Dzisiejsze słowo jest jutrzejszym czynem” – zacytowała cicho. – Ciebie też uważam za przyjaciela.

– Nadal?

– Tak, nadal. – Spojrzała na niego, lecz bez uśmiechu. – Uważaj, Sparks. Wiesz, że życie nie jest splecione z jednej nitki.

– W porządku. – Wzruszył ramionami, nie rozumiejąc jej do końca. – Spotkamy się jeszcze, Fate.

Uśmiechnęła się wreszcie, lecz nie takiego uśmiechu oczekiwał.

– Za tydzień, o tej samej porze.

– Hej, chłopie, widziałeś faceta zwanego H-Heme? – Tor umilkła, gdy żebrak uniósł twarz, patrząc z bezsilną nienawiścią zaszczutego zwierzęcia. Poznała, widziała ją już. Wychudła i brodata była tą samą twarzą: ciemną, pozaziemską, przystojną, o opatrzonych długimi rzęsami oczach, pięknych i zimnych jak śmierć. Przez chwilę przyglądała się jej, zawieszona między występnyymi palcami teraźniejszości i przeszłości. To Herne, ten sam Herne, który kiedyś patrzył na nią nie jak na człowieka, lecz jak na rzecz.

Teraz jednak nie było śladu rozpoznania w patrzących na nią oczach, dostrzeżenia ironii ponownego spotkania. Cofnęła się krok przed jego smrodem, brudnym ubraniem, wspominając

bogactwo szat, jakie miał poprzednio. Może to jednak narkotyki śmiały się ostatnie... Niemal się uśmiechnęła. Obok niego dostrzegła na wpół pustą butelkę i wyszczerbioną puszkę z garścią monet. Nadchodząc alejką, widziała przekazującego mu oskarżenie o żebractwo ciemnoskórego, pokrytego niestosownymi, różowymi piegami porucznika Sinych. Kaleka porzucił jednak zaczepną minę, z jaką przyjął jej pytanie. Szybkim, pozbawionym wyrazu spojrzeniem ocenił ją i Polluksa.

– Może znałem Herne'a. Chyba nie pamiętam. – Zacisnął znacząco palce na puszcze. – O co chodzi?

Sięgnęła do kieszeni i wrzuciła drobne do puszeki.

– Słyszałam, że opuścił go fart. Może coś na to poradzę.

– Ty? – Pociągnął z butelki i wytarł usta dłonią. – Znowu, o co chodzi?

– To sprawa jego i moja. – Założyła ręce, gra niemal zaczęła ją bawić. – No, gdzie jest?

– Ja jestem Herne – przyznał niechętnie.

– Ty? – powtórzyła jego zdumienie i roześmiała się. – Dowiedz tego.

– Ty suko!

Odskoczyła na wspomnienie jego brutalnej siły, lecz żebrak tylko pochylił się na skrzynce, spadłby z niej, gdyby Polluks nie wyciągnął sztywnej ręki i nie podparł go. Tor przyglądała się mu poza jego zasięgiem, oceniając to, co właśnie widziała.

– O to mi chodziło. Jesteś kaleką! Skrzywił się.

– Kto? Kto cię tu przysłał?

– Nikt ważny. – Niezdarnie wzruszyła ramionami. – Sama chciałam się z tobą spotkać, Herne. To mnie się bój. – Oparła się o Polluksa, z uśmiechem położyła rękę na zimnym metalu jego ramienia. – Jak myślisz, co mógłbyś zrobić dla mnie, żeby twoje warunki się poprawiły?

Zaskoczenie i wątpliwość napięły mięśnie jego policzka. Przyjrzał się znowu jej i Polluksowi. Przez moment zdawało się jej, że dostrzega rozpoznanie, a może tylko lęk przed nim. Ilu wrogów musi mieć taki człowiek w takim miejscu... jak wielu przyjaciół może mieć w całym wszechświecie? Zrezygnowany Herne oparł się niedbale o ścianę.

– Zrób, co chcesz, ja nie damę dupy. – Znów sięgnął po butelkę.

– Nie. – Pokręciła głową, z niemal współczuciem wspomniała Dawntreadera i własne kłopoty. – Tylko pytałam. Jak interesy? – Zerknęła do puszeki.

– Słabo. – Poczul, że nie chce pytać o jej interesy; delikatne napięcie wypełniło połowę ciała, nad którą jeszcze panował. Bywalcy Panoramy Paralaksy mijali go, odwracając oczy.

– Od naszego ostatniego spotkania dużo przeszedłeś.

Nie pamiętał. Teraz była tego pewna, sama nie wiedziała, z zadowoleniem czy z żalem.

– Już kiedyś żebrałem, nie zabiło mnie to.

Oderwała się od Polluksa, spojrzała na niego wolno.

– Tym razem może zabić.

Spojrzał na nią i opuścił wzrok, nic nie odpowiadając.

– Słyszałam, że przed swoim – no, wypadkiem, dobrze sobie radziłeś w Labiryncie – zastanowiła się, co lub kto był tego przyczyną. – Słyszałam, że naprawdę wiesz, którędy płynie władza, na planecie tej i innych. To ma dla mnie wartość.

– Czemu? – zapytał ostro.

– Co cię to obchodzi? – Odparowała, niepewna, jakie kłamstwo ma powiedzieć. – Jak na żebraka, zadajesz wiele pytań.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego Zimak chce to wiedzieć. Jest tylko jeden... – skrzywił się.

– Są nas tysiące i tak samo jak ty, cudzoziemcze, chcemy urosnąć. – Odpięła kieszeń i wyjęła

swoją kartę kredytową, pokazała mu ją w ten sam sposób co Sparks. – Może nie chcę być tragarzem do końca życia. Może chcę dostać swój kawałek, zanim wszyscy wrócicie na swoje planety po zagarnięciu całej puli. – Z pewnym zdziwieniem poczuła, że te słowa mają dla niej sens.

Przytaknął wymijająco, jakby trafiały i do niego.

– Powiedziałaś, że ma to dla ciebie wartość. Jak dużą? – Zerknął na kartę.

– Nie mam wiele... ale więcej niż ty. Czy masz chociaż gdzie spać?

Jeden przeczący ruch jego tłustej, rozczochranej głowy.

Zakłęła.

– Tak myślałam. Na razie możesz zostać u mnie. Potrzebujesz kogoś, kto będzie cię karmił i jakoś czyścił.

– Potrzebuję forsy, a nie kogoś do ucierania cholernego nosa! Nie marnuj mego czasu. – Sięgnął przez ramię i podrapał się z grymasem.

Popatrzyła na jego zadrapania.

– To cud, że ktokolwiek chce się zbliżyć, by coś tu wsadzić. – Wskazała na puszkę. – Co zrobisz, gdy którejś nocy te ciuchy z ciebie spadną?

– Wolisz sama je dzisiaj ściągnąć, kochanie? – Spytał lubieżnie.

Zacisnęła usta i zmusiła się do uśmiechu.

– Nie jesteś w moim typie, łamago. Całą brudną robotę odstawi za mnie Polluks. Przywykł do wleczenia martwych towarów.

– Jak powiedziałaś, Tor – zabrzączał dobrotliwie Polluks. Bezbarwny głos wyraźnie sugerował pochwałę. Z lekkim niepokojem odsunęła się od niego. Czasami z trudem przypominała sobie, że to tylko z góry zaprogramowane urządzenie załadowcze.

– Będziesz miał jedzenie i schronienie dopóty, dopóki będziesz dla mnie coś wart, Herne. Zgódź się albo nie. – *Zgódź się albo nie, cholero. Obojętnie co wybierzesz, będę załatwiona.*

– Nie będę wiedział, co się dzieje, jeśli nie zacznę niuchać. Muszę mieć na to pieniądze, sposoby by...

– Dostaniesz co trzeba, dopóki i ja będę dostawać. – *Dopóki Dawntreader będzie z nami handlował.*

Odchylił się z brzydkim uśmiechem na przystojnej twarzy.

– A wiec masz doradcę, kochanie. – Wyciągnął ostrożnie ręce.

– Mam wielkiego pryszczaka na tyłku. – Podniosła jego poobijaną puszkę i wysypała monety na swą dłoń. – Dobra, Polly, zabierz go do domu.

Bezkresny brak światła i życia otulał zmysły Moon tłumiącym wszystko całunem, pozbawiał ją wszelkich doznań. Spadając w bezdenną studnię, czuła się ostatnią drżącą iskierką życia we wszechświecie, w którym nieograniczoną władzę sprawowała Śmierć... pociecha Śmierci, wysysającej z niej siłę i zdrowie niewidzialnymi objęciami. Szukając utraconej miłości, dotarła w miejsce poza życiem, przeszła bramę, którą pokonywała po wielekroć, ale tym razem zablądziła, nikt nie odpowiadał na jej krzyki, żadne uszy ich nie słyszały, żaden głos nie przekazywał... Zabierzcie mnie do domu...

– Zabierzcie mnie do domu! – Moon usiadła na łóżku, jej głos odbił się od ciasnych ścian pokoiku.

– Moon, Moon... to tylko koszmar. Nic już nam nie grozi. Nic. – Elsevier objęła ją ramionami, uspokajając tak samo, jak dawno temu Babcia kołysała w nocy dziecko.

Pokój wypełnił jej mokre, mrugające oczy boleśnie sztucznym dniem. Umieszczony w ścianie trójwymiarowy telewizor tryskał hałasem i ruchem – tak jak przed zapadnięciem przez nią w niespokojny sen. Od próby ognia Czarnych Wrót nie mogła przebywać w ciemnym pokoju. Przełknęła grudkę bolesnego żalu i położyła głowę na miękkiej tkaninie okrywającej ramię Elsevier. Poczowała zimny przeciąg z tyłu wilgotnej koszuli nocnej. Świat powoli tężał wokół niej, uspokajając, że ma w nim miejsce; serce przestało wyrwać się jej z piersi. Spostrzegła, że wsłuchuje się w dźwięki morza.

– Wszystko dobrze. Już wszystko ze mną dobrze. – Głos miała nadal cienki i nieprzekonujący... koszmarne brak sił i panowania nad sobą stał się częścią jej jawy. Usiadła ponownie, odsunęła się od uspokajającej ją Elsevier, schowała za uszy kosmyki mokrych włosów. – Przepraszam, że znowu cię obudziłam, Elsie. Nie mogę... – Umilkła, wstydząc się swej bezsilności, żałośnie trąc oczy. Paliły ją, jakby były pełne wwanego piasku. Trzecią noc z rzędu dręczące sny przebijały się przez cienkie ścianki mieszkania. Widziała, jak zmarszczki na twarzy Elsevier pogłębiały się co dzień ze znużenia i smutku. – To głupie. – Zacisnęła dłonie. – Przepraszam, że nie śpisz przez moje głupie...

– Nie, droga Moon. – Elsevier pokręciła głową; Moon przestała się dziwić, gdy w jej oczach barwy indyga dostrzegła czułość. – Nie przepraszaj mnie. Zniosę chętnie wszystko, co zrobisz. To ja powinnam błagać cię o wybaczenie; przeze mnie masz te sny, przeze mnie nie możesz nosić koniczynki... – Spojrzała na oznakę sybilli, leżącą w opuszczeniu na jedynej tu szafce. – Z radością przejąłabym od ciebie wszystkie lęki; byłoby to skromną karą za zło, jakie ci wyrządziłam. – Odwróciła wzrok, masując jej ramię.

– To nie twoja wina. Zawiniłam sama, okazałam się za słaba na bycie sybillą. – Moon zacisnęła szczęki, aż zabolowały ją zęby. Z Czarnych Wrót i Przekazu wyszła obca, dręczona przez rozdartą rzeczywistość. Zanim dotarli na Kharemough, mogła już funkcjonować, stała się niemal człowiekiem; nadal jednak, gdy zamykała oczy i przestawała panować nad myślami...

Mogła swobodnie nosić koniczynkę w krążącym na orbicie portowym mieście, patrzyła zadowolona, jak uśmiechami i ukłonami witają ją całkowicie obcy ludzie z planet, o których istnieniu nigdy nie słyszała. Potem ktoś podszedł do niej i poprosił o odpowiedź na swe pytanie. Odwróciła się od niego z obłudnym lękiem i odmówiła – odmówiła. Elsevier odciągnęła ją; ale wiedziała już, że nigdy nie zdoła odpowiedzieć na żadne pytanie...

– Wszystko... wszystko będzie dobrze, gdy wrócę do domu, na Tiamat. – Gdzie nocne niebo płonie słońcami, nie jest, jak tu, czarną, gorzką pustką, która pochłonęła siły życiowe gwiazd, skurczonych do lodowatych, bezsilnych drobin. Gdzie czeka na dokonanie jedyna rzecz, która znaczy

dla niej równie wiele jak to, co zniszczyła, przybywając tutaj, i jedyny człowiek, który zrozumiałby, czym jest dla niej utrata największego pragnienia.

Sparks – musi go odnaleźć. – Jak długo jeszcze...? – Starła się nie zadawać tego pytania, odkąd tu jest, bo się bała; chciała je zadawać co dzień, co godzinę.

– Naprawdę nie chcesz zostać? Po wszystkim, co tu widziałaś? – Serce Moon zabolalo od głębi zawiedzionej nadziei, jaką wyczuła w głosie Elsevier. Widziała, jak bardzo stara się ona wypełnić jej czas i myśli niewiarygodnymi cudami miasta-portu gwiazdowego, płynącego przez kosmos na niewidzialnej wędce, trzymanej przez leżącą w dole planetę. Myślała, że Elsevier robi to tylko dlatego, by odciągnąć ją od lęków, ale zrozumiała teraz, że miała i inny powód.

– Naprawdę... chcesz, bym została z tobą na zawsze?

– Tak. Bardzo chcę, moja droga. – Elsevier uśmiechnęła się niepewnie. – Nigdy nie mieliśmy dzieci, wiesz, TJ i ja...

Moon spuściła wzrok, gotując się na sprawienie następnego zawodu.

– Wiem. Gdyby chodziło tylko o mnie, gdybym była kimś innym, zostałabym z tobą, Elsie.

Pojęła, że to prawda, choć czuła się jak dziecko zagubione podczas Świąta na tej niezrozumiałej, nieskazitelnej wyspie obracającej się na niebie. Elsevier starała się ją wciągnąć we wszystko, co widziała, aż zaczęła czuć beztroską dumę pozaziemców, dla których statek kosmiczny był czymś równie naturalnym jak żaglowy, którzy straszliwe, cudowne rzeczy przyjmowali za zwykłe. Dzięki cierpliwemu podsuwaniu przez Elsevier kolejnych drobnych dziwów techniki nauczyła się nad sobą panować, zaczęła mniej lękać się wielkich, aż wreszcie zdołała stanąć na balkonie ich mieszkania i spojrzeć w dół na Targ Złodziei, jakby była prawdziwą pozaziemką, obywatelką Hegemonii, czującą się zupełnie swobodnie w tej międzygwiazdowej społeczności.

Wtedy jednak uderzyła ją myśl, że wreszcie zrozumiała to, czego zawsze starał się nauczyć ją Sparks; rozumiała, czym dla niego byłoby stanie tam, gdzie ona; przypomniała sobie, iż porzuciła go w potrzebie.

– Sparks jest nadal w Krwawniku; muszę do niego wrócić. Nie mogę tu zostać bez niego. – Wyrwana na wyspę otoczoną martwą pustką. – Przycisnęła dłoń do trójlistnego tatuażu na gardle. – Opuściłam mój świat, choć nie powinnam była tego robić. Porzuciłam swe obowiązki, porzuciłam Sparksa, porzuciłam... Pani nie wysłuchuje mych modlitw. Jestem zagubiona, dlatego zagubiłam Jej głos. – Spuściła z łóżka boscie stopy, postawiła na chłodnej podłodze. – To źle, nie przynależę tutaj. Należę do Tiamat... – Nagle poczuła to, mówiąc z niezwykłą wprost mocą. Spojrzała w oczy Elsevier, pragnęła, by ta zrozumiała jej potrzeby, jej tęsknotę – i jej smutek.

– Moon. – Elsevier złożyła ręce w geście obieranym przez nią przy podejmowaniu decyzji. – Jak mogę to powiedzieć, by nie zabrzmiało źle...? Nie możesz wrócić do domu.

– Co? – Koszmar zaćmił jej wzrok, skrywając zatroskaną twarz Elsevier. – Mogę! – Rzuciła w cień światło swej wiary. – Muszę!

Elsevier chwyciła ją za ręce, na wpół uspokajając, na wpół broniąc siebie.

– Nie... nie. Chciałam tylko powiedzieć... że nie możesz wrócić, dopóki Cress nie wyzdrowieje na tyle, by znowu stać się astrogatorem. – Słowa zawiodły ją jak stracona okazja.

Moon skrzywiła się z niepewności, twarz Elsevier nadal okrywał welon wątplenia. Roztarła własną, czując, jak ciało ciąży jej ze znużenia i rozczarowania. – Wiem. Przepraszam. – Sięgnęła dłonią po stojącą przy łóżku do połowy pustą butelkę ze środkiem uspokajającym.

– Nie. – Ciemną ręką Elsevier złapała ją za nadgarstek, odciągnęła. – To nie jest wyjście. Także powrót na Tiamat nie rozproszy twych lęków; będą ci towarzyszyć wszędzie, zawsze, dopóki nie dowiesz się, czym naprawdę są sybille. Sama nie jestem dość mądra, by ci to wytłumaczyć, lecz

znam kogoś takiego. W czasie pierwszego dobrego okna zejdziemy na ziemię i spotkamy się z moim szwagrem. – Wzięła butelkę z pigułkami. – Dawno już powinnam była to zrobić... lecz jestem tylko głupią babą. – Wstała, patrząc z uśmiechem na nic nie rozumiejącą Moon. – Myślę, że samo postawienie nogi na prawdziwej planecie zrobi nam dobrze. Może Cress będzie mógł do nas dołączyć. Odpocznij teraz, moja droga... miłych snów. – Lekko dotknęła policzka Moon i wyszła z pokoju.

Dziewczyna znowu położyła się do łóżka i wygładziła cienką narzutę, która wystarczała tu całkowicie. W pozbawionej życia nocy otaczającej to miasto i jego planetę nie czekały jej jednak miłe sny. Leżała, wpatrując się w niezbyt zrozumiałą akcję migoczącą szybko na ekranie na ścianie, jej umysł i ciało bolały ją od nadmiaru różnych potrzeb. Nikt w tym obcym miejscu nie zdoła choćby jednego z jej mrocznych snów przemienić w jasny, dopóki nie pozwolą jej wrócić do domu... do domu... Łzy stoczyły się jej na policzki spod zasuwających się na oczy powiek.

Zaś sztucznego dnia jechała zatłoczonym portowym tramwajem przez Targ Złodziei. Obok niej cisnęła się Elsevier, Silky, niepewnie stojący na nogach Cress i tylu innych pasażerów, że zaludniliby całą wyspę. Orbity stacji kosmicznych co kilka godzin przecinały okno – korytarz sięgający na powierzchnię Kharemough, przenoszący informacje i towary, ale znajdowały się one o setki lub tysiące kilometrów od planety. Każdy, który minąłby przystanek, musiał czekać cały dzień na następną okazję.

W tramwaju, do którego wsiedli, nie było wolnych miejsc, lecz niespodziewanie wstał pewien mężczyzna i ofiarował jej swoje. Uśmiechnęła się i oddała je Cressowi, a wtedy podniósł się następny. Zakłopotana, posadziła zamiast siebie Elsevier i szepnęła:

– Czy myślą, że choruję, bo jestem blada?

– Nie, moja droga. – Elsevier skrzywiła się z niezadowoleniem i szarpnęła za rąbek pozbawionej rękawów, sięgającej ud żółtej tuniki dziewczyny. – Przeciwnie. Naprawdę powinnaś była założyć suknię. – Dotknęła statecznej, bordowej szaty, narzuconej przez Moon na ramiona.

– Jest za gorąco. – Moon poczuła plecionkę warkoczyków, które upięła na czubku głowy, przypomniała sobie obfite stroje i obcisłe kombinezony, które przymierzała i odrzucała w sklepach Bazaru – centrum miasta. Po opuszczeniu statku próbowała nosić swe dawne ubrania, ale były zbyt ciężkie. Powietrze na stacji było gorące jak krew i nosiła tak mało, na ile tylko pozwalała Elsevier.

– Gdy byłam dziewczyną, chodziłam otulona welonami od stóp do głów; było to częścią tajemnicy kobiet. – Elsevier poprawiła fałdy swego luźnego kaftana w barwne plamy; zadzwieczał cicho jej naszyjnik z dzwoneczków. – Czego bym nie dała w żarze lata, by móc zrzucić je wszystkie i pobiec nago ulicą. Nigdy się nie odważyłam.

Moon złapała się za oparcie siedzenia, jeden krok za cierpiącym w milczeniu Silkym, wyczuwała, jak mu nieswojo w ciżbie obcych. Wyglądała przez otwarte boki tramwaju mijającego coraz to nowe aleje międzygwiazdowego portu, w którego eleganckim, klaustrofobicznym getcie dla pozaziemców mieściło się mieszkanie zajmowane przez Elsevier, Silky'ego i Cressa – a teraz i przez nią. Już się zgubiła, nie lepiej rozumiała plan miasta niż zwyczajnie zamieszkujących je ludzi. Wiedziała tylko, że mieści się ono w pierścieniu, którego środek zajmował port gwiazdny. Obywatele Kharemough nazywali dzielnicę pozaziemców "Targiem Złodziei", a mieszkający w niej obcy przejęli tę nazwę z rozbawioną przewrotnością. Kharemough rządziło Hegemonią, bo produkowało najnowocześniejsze produkty techniki, i Elsevier stwierdziła któregoś dnia, nie bez dumy, że "Targ Złodziei" to określenie bardziej prawdziwe niż obraźliwe.

– Jak więc zostałam – przybyłam na Kharemough? – zapytała Moon, gdy Elsevier nie rozwinęła swych myśli. Wydawało się jej coraz bardziej nieprawopodobne, iż ta łagodna, usuwająca się w cień

kobieta wybrała życie buntowniczką, zwalczającą wszystko, począwszy od prawa międzygwiazdowego.

– Och, moja droga, to, jak straciłam welony i szacunek do siebie, jest długą, nudną, zawiłą historią. – Mimo tych słów w kącikach jej ust zjawił się uśmiezek.

– Fałszywa skromność. – Cress opadł na siedzenie przed nimi, zamknął oczy i przycisnął dłonie do piersi. Dopiero dwa okresy dzienne temu wyszedł z portowego szpitala.

– Cress, dobrze się czujesz? – Elsevier dotknęła jego ramienia.

– Doskonale, proszę pani – uśmiechnął się. – Zamieniam się w słuch.

Szturchnęła go i wyprostowała się z rezygnacją.

– Dobrze. Pochodzę z Ondinee, ta planeta wydałaby ci się, Moon, jeszcze mniej zrozumiała niż Kharemough. Jestem tego pewna, choć stoi na dużo niższym poziomie technicznym. Kobiet w moim kraju nie zachęca się...

– Nie pozwala – wtrącił Cress.

– ...do życia pełną piersią, tak jak jest u was. – Jej głos wzniósł się nad szum rozmów, jak dym wzbijający się ponad mgłą otulającą miasto na innej planecie, w której krajobrazie dominowały piramidy świątyn-grobowców pradawnej teokracji. Kobiety kupowano tam i sprzedawano jak inne towary, żyły one w oddzielnych pomieszczeniach rodzinnych zagród, z dala od mężczyzn, będących dla nich nie mężami, lecz zazdrosnymi panami. Ich życie biegło wąskimi drózkami wydeptanymi przez pokolenia; było ograniczone, lecz uspokajająco przewidywalne.

Potulna dziewczyna imieniem Elsevier – Posłuszeństwo – podążała utartymi ścieżkami tradycji, otulała się welonami zakrywający mi jej człowieczeństwo, potykała nieraz na koleinach zwyczajów, nigdy jednak nie patrzyła na swe życie z takiego dystansu, by zastanawiać się, dlaczego takie jest. Aż pewnego dnia na dziedzińcu świątyni ciekawość odciągnęła ją od ofiarnych okrążeń wokół kapliczek patronujących jej duchów, skierowała do tłumu otaczającego zwariowanego pozaziemca krzyczącego o wolności i równości. Wspięła się zuchwale na stopnie Wielkiej Świątyni Ne'ehmana, a grupa radykalnej miejscowej młodzieży wciskała ulotki w ręce i szaty wszystkich stojących spokojnie. Tłum okazał się jednak zły i groźny, przybyła bezlitosna Kościelna Służba Bezpieczeństwa, by go rozproszyć. W wybuchłej panice wrzucała do czarnych suk wszystkich, których zdołała schwytać.

Elsevier została złapana i pobita, liczne ciała przyciskały ją do kąta chwiejnej suki. Kulila się tam, obłapiana i deptana, w podartych zasłonach płakała histerycznie ze strachu przed pohańbieniem i śmiercią. Nagle jednak chwyciły ją silne ręce, postawiły na nogi i oparły o ścianę. Otumaniona ze zgrozy, czuła, jak cały świat wokół niej zmienia się w wodę, podobnie jak i jej ciało...

– Na miłość boską, nie mdlej teraz! – zagrzmiało w jej uszach.

– Nie utrzymam cię długo... – Klaps.

Ból przebił się jak kolec przez pokrywę jej przerażenia. Otworzyła z piskiem oczy, ujrzała przed sobą wychudłą, zakrwawioną twarz szalonego pozaziemca, sprawcy tego wszystkiego... jedyne go człowieka, którego kochała w swym życiu. Wtedy jednak była jak najdalsza od miłości.

– Już dobrze? – Jęknął, gdy ktoś walnął go w nerki. Oparł sztywno ramiona o ściany, osłaniając ją sobą. Pokręciła głową. – Zabolalo cię? Nie chciałem tego. – Wyciągnął jedną rękę i dotknął miękko jej nagiego policzka. Zadrżała pod jego palcami, zakryła twarz kawałkiem podartego welonu. – Przepraszam. – Spuścił wzrok, znów się przytrzymał, gdy pojazd zarzuciło na zakręcie. – Nie słuchałaś tam nawet mojej mowy, prawda? – Uśmiechnął się ze skruchą; nagle zdał się jej mało co starszy. Ponownie pokręciła głową i otarła oczy. Mruknął coś gorzko we własnym języku. – KR ma rację; sprawiam więcej zła niż dobra...! Nie drzyj, nie skrzywdzą cię. Gdy znajdziemy się u inkwizytora, odsiej ją złe ziarno i pozwolą ci odejść.



Kolejny przeczący ruch głowy. Zbyt dobrze znała opinię o policji kościelnej. Strach znów wypełnił jej oczy.

– Nie płacz, proszę cię. – Spróbował się uśmiechnąć, lecz nie na długo. – Nie pozwolę im cię skrzywdzić. – Mówił bzdury, lecz chwyciła się ich, by nie zemdleć. – Posłuchaj – spróbował zmienić temat – skoro... tu jesteś, to może coś ci powiem? Być może to moja ostatnia szansa. – Kropelki potu zabłysły na jego prostych, brązowych włosach.

Nie odpowiedziała, uznał to za zgodę i resztę niewygodnej jazdy wypełnił odżywczym, świeżym powietrzem swego beznadziejnego idealizmu – opowieściami o ludziach żyjących jak bracia, kobietach cieszących się równą swobodą co mężczyźni, tak jak oni odpowiadających za swe czyny... Gdy suka zatrzęsa się i stanęła, przypominając im o rzeczywistych tarapatach, nabrała już pewności, że jest on strasznie szalony... i strasznie piękny.

Potem jednak otwarły się ciężkie drzwi, wpuszczając ostre światło dnia i równie ostre rozkazy strażników, zapędzających biednych więźniów na ogrodzone podwórko aresztu. Wyszli ostatni i krótko uściskał jej rękę.

– Bądź dzielna, sostro – powiedział i zapytał, jak się nazywa.

W końcu się do niego odezwała, zdążyła tylko wymienić swe imię, nim chwycili go strażnicy. Usłyszała, jak zaczął krzyczeć o jej niewinności podczas wyciągania, potem jęknął. Ciężkie łapy wywlekły ją, tak iż nie mogła zobaczyć, co mu zrobili. Dołączono ją do innych na posterunku, lecz tam go nie ujrzała.

Wewnątrz czekał jej ojciec, wezwany rozpaczliwymi krzykami przyzwoitki, która widziała, jak zabierają ją do pojazdu. Podbiegła do niego z płaczem, po wielu pogrózkach i złożeniu dużego datku na fundusz misyjny Kościoła zabrał ją z tego straszego miejsca, nim śledztwo kościelne zdołało na stałe zaszkodzić jej reputacji.

Przebywała w domu niemal dwa tygodnie, nie ośmielając się go opuszczać, dopóki powoli nie opuścił ją strach i zanim zdolna była do ponownego pomyślenia o szalonym pozaziemcu... zastanowienia się nad jego słowami, jego uprzejmością w środku chaosu... a nawet do lękania się, czy jeszcze żyje. Była świadoma, że nigdy się tego nie dowie, że nigdy już sienie spotkają, lecz mimo to nie potrafiła zapomnieć jego błyszczących oczu.

A jednak nie poznała zatopionego w myślach obcego, siedzącego na ławce pod obrośniętym winem murem dziedzińca, gdy matka przyprowadziła ją do "konkurenta" i zostawiła czującą się nieswojo i niepewnie pod jego badawczym wzrokiem. Miał na sobie płaszcz i tradycyjny strój przedsiębiorcy; połowę jego twarzy skrywał cień kapelusza o szerokim rondzie. Przesłoniętymi welonem oczyma widziała tylko czerwień i zieleń na jego obliczu.

Niechętnie odrzuciła ciemnoniebieską zasłonę na głowę, by ujrzał jej twarz, odwróciła przy tym wzrok. Gdy dygnęła, w spokojnym powietrzu zabrzmiała pieśń naszyjnika ze srebrnych dzwoneczków.

– Elsevier. Ne poznajesz mę, prawda? – Słowa padały wolno, lecz wyraźnie dosłyszała w nich rozczarowanie obcego. Ściągnął kapelusz.

Rozpoznała go po głosie, choć był zmieniony, i usiadła przy nim na ławce z krótkim okrzykiem zdumienia.

– Ty! Och... poświęcony Calavre! – Ledwo zauważyła, że zakłęła. Uniosła dłoń, lecz nie dotknęła jego twarzy; ciepły brąz jego skóry pokryty był ledwo co zagojonymi ranami i siniakami, ostrą linię jego szczęk nadal zniekształcała opuchlizna.

– Powiedziałem twemu ojcu, że małem wypadek. – Uśmiechnął się samymi wargami i oczami. – Szczęka jest zadrutowana. – Wskazał na nią wyjaśniająco.

Jej twarz stężała ze współczucia, skręciła dłonie na kolanach.

– Jusz dobrze. Nemał wcale nie boli. – Inkwizytorzy nie wydali go Sinym, lecz w świętej karze zmieniali się, bijąc go dzień i noc, wreszcie o świcie wyrzucili na ulicę, skąd odpełził najszybciej, jak potrafił. – Ne chcę wężej o tym myśleć... – Roześmiał się krótko, lecz dopiero po wielu latach opowiedział jej drobną cząstkę prawdy. Zamilkł i spojrzał na nią, jakby spodziewając się czegoś. – Twoją szczękę tesz zadrutowano, sostro?

– Nie! – pokręciła z brzękiem głową. – My... myślałam o tobie. Ciągłe. Nie sądziłam, że cię jeszcze zobaczę, bałam się o ciebie. – Poczwała nagłą ochotę przyciśnięcia do serca jego posiniaczonej twarzy. – Po co tu przyszedłeś? – Splatała w palcach rąbek welonu. Nie jako konkurent. Nie zakrywała jednak twarzy, przy nim nie czuła takiej potrzeby.

– Musiałem się upewnić, że z tobą w porządku. Wszystko dobsze? – Nachylił się.

– Tak. Przyszedł mój ojciec... Byłeś dla mnie taki dobry. Mój ojciec...

– Ne. Proszę, ne mów mu o mnę. Powiedz mi tylko, sze wysłuchałaś mej mowy. Powiedz, sze zasałem żarno w twym umyśle... Powiedz, sze chcesz dowedzeć się wężej.

– Czemu? – Spośród wszystkich pytań i odpowiedzi, które wypełniały jej myśli, wymknęło się tylko to, które nic mu nie mówiło.

– “Czemu?” – Dojrzała jednak zrozumienie w jego oczach.

– Bo... chciałem znów cę zobaczyć.

– Och! Mogę palcami sięgnąć nieba! – Zachichotała głupawo; zakryła dłońmi usta na widok jego miny. Kobieta, która chce zdobyć jego miłość, musi wpierw wzbudzić w nim szacunek. – Tak. – Śmiało spojrzała mu w oczy, lecz policzki jej drżały. – Chcę dowiedzieć się więcej. Proszę, przyjdź jeszcze.

Uśmiechnął się.

– Kedy?

– Mój ojciec...

– Kedy?

– Jutro. – Opuściła wzrok.

– Przyjdę. – Kiwnął na obietnicę.

– Ile... ile masz żon? – Pożałowała tego pytania.

– Ile? – Spojrzał z oburzeniem. – Ani jednej. Na Kharemough mamy tylko jedną. To wystarczy na całe życe... jeśli żona jest dobra. – Sięgnął do marynarki i wyciągnął garść ulotek.

– Przynosłem ci, bo ne mogę sam mówić. Napisałem tę... i tę. Przeczytasz je?

Kiwnęła głową, poczuła, jak ciarki przeszły dotkniętą przez niego ręką.

– Mace ładny ogród – powiedział z nutą tęsknoty. – Sama dbasz o kwaty?

– Och nie. – Z pewnym smutkiem pokręciła głową. – Wolno mi tu tylko przychodzić przy specjalnych okazjach. Nigdy nie pozwalają mi wykonywać żadnych brudnych prac. Ale kocham kwiaty. Gdybym mogła, siedziałabym tu bez przerwy.

Na jego pokaleczonej twarzy pojawił się wyraz szczególnego zdecydowania. Bardzo ostrożnie sięgnął do pnącza nad głową, by zerwać wielopłatkowy kwiat lawendy. Dał go jej.

– Wszyscy kędyś umrzemy. Lepej żyć na wolności niż umrzeć na łodydze.

Trzymała kwiat, wdychając jego woń. Uśmiechała się bardziej do niego niż do tych słów. Odwzajemnił uśmiech.

– A węc do jutra. – Wstał niezdarnie.

– Idziesz...

– Mam dzisaj spotkane na uniwersytece. – Widząc jej rozczarowanie, pochylił się

konspiracyjnie. – Wiesz, jestem obcym agitatorem.

– Nie będziesz... – Ośmieliła się go dotknąć.

– Aha. – Naciągnął kapelusz na oczy. – Nie będę pszemawał, pszynajmniej dopóki nie zdołam znów otwoszyć ust... Do widzenia, sostro. – Przeszedł dziedziniec trochę się zataczając, nim uświadomiła sobie, że nadal nie zna jego imienia. Spojrzała na plik materiałów propagandowych i przeczytała: *“Partnerzy w Nowym Świecie”, napisał TJ Aspundth*. Westchnęła.

– Co ci dał? – spytała patrząca podejrzliwie na broszurki matka.

– To... wiersze miłosne. – Elsevier zatknęła je pośpiesznie za pas i naciągnęła welon. – Sam napisał niektóre z nich.

– Hmm... – Jej matka pokręciła głową, zabrzmiały dzwoneczki. – Ale to Kharemoughi, przez wideokomp zwrócił się do twego ojca z prośbą o zobaczenie się z tobą. Mój pan był bardzo zadowolony. A w końcu to jego sprawa... a nie nasza.

– Dlaczego? – Elsevier wstała, chrzęszcząc papierami. – Dlaczego nie nasza?

Matka wyjęła jej kwiat z dłoni i poprowadziła do pomieszczeń kobiecych.

TJ przychodził wytrwale, występując przed rodzicami jako wzór obyczajności, przed nią jako uparty marzyciel, zakochany nie w dziewczynie, jaką była, lecz kobiecie, jaką mogła być. Pod płaszczykiem ofiarowywania wierszy miłosnych wręczał jej więcej literatury rewolucyjnej, nim jednak zaczęła badać nowy świat, którego horyzonty rozszerzały się przed nią każdego dnia, jej odsuwanie się od rodziny doprowadziło do znalezienia schowanego przez nią stosu broszur i zakazu spotkań z TJ.

– Ale nie pozwoliłaś, by was rozdzielili. – Moon pochyliła się nad siedzeniem. – Uciekłaś?

– Nie, moja droga. – Elsevier pokręciła głową, splotła dłonie w geście posłuszeństwa. – Obawiając się tego, ojciec zamknął mnie w wieży, nim jeszcze wpadłam na ten pomysł. – Uśmiechnęła się. – Ale TJ nie zrażał się łatwo. Pewnej nocy przybył na statku powietrznym, wspiął się do okna i porwał mnie.

– A ty...

– Byłam wściekła! Nie byłam tak uświadomiona politycznie, jak sądził on czy ja. Przyjmowałam wszystko tylko dlatego, by go zadowolić. A teraz niszczył moją reputację. Tej nocy omal nie umarłam ze wstydu. Rano byliśmy już w porcie gwiazdnym i nie miałam odwrotu. – Patrzyła na miasto, widząc inne miejsce i czas. – Sądzę, że zostało nam to na zawsze, na całe życie. On wierzył w hasło *“Bądź przekonany, iż masz rację, a wtedy śmiało do przodu”*, ja w *“Rób, co musisz...”* Lecz nawet tej straszliwej nocy nie wątpiłam, że postąpił tak z czystym sercem, że kochał mnie tak, jak nawet nie śmiałam marzyć, że mnie to spotka. Dokuczałam mu – po wielu latach – że postąpił jak typowy tyrański mężczyzna. Śmiał się tylko i mówił, że próbował tylko postąpić zgodnie ze zwyczajami.

– Pobraliśmy się w porcie gwiazdnym przed jedną z tych strasznych maszyn notarialnych i lot na Kharemough był naszym miodowym miesiącem. Biedny TJ! Przebyliśmy połowę galaktyki, nim pozwoliłam mu się dotknąć. Odkąd jednak nauczyłam się, że wszystko, co opowiadano o moim... ciele, jest kłamstwem, łatwiej doszłam do wiary, że odnosi się to także do umysłu. Różniliśmy się pod wieloma względami... lecz dusze mieliśmy jednakowe. – Westchnęła.

Niespodziewanie objęła ich ciemność, gdy tramwaj wjechał do jednej z przezroczywych szprych, łączących przez próżnię koło miasta ze znajdującą się w środku piastą portu gwiazdnego. Słowa Elsevier wywołały u Moon wspomnienia płomieni kominka, wiatru, ciepłych pocałunków, dwóch serc bijących razem. Czerń próżni przesączała się do pustki w jej duszy, ukryła twarz, równie ponurą co serce.

– Szkoda, że nie mogę go poznać. – Twarz Cressa zabłysła na chwilę, gdy rozżarzał jedną z pachnących korzeniami trzciniek, które palili tu chyba wszyscy.

– Odszedł – powiedział Silky, przypominając oczywisty fakt. Słabo mówił zrozumiałym sandhi, powszechnym językiem Kharemough, którego Moon nauczyła się dzięki pomocy Elsevier. Lecz jego myśli stojące za rzadkimi mruknięciami były dla niej dalej mętne.

– TJ przeskoczyłby cię bez trudu – powiedziała z dumą Elsevier. – Zawsze był gotów do działania. Ty poruszasz się przy nim jak mucha w smole, nadajesz się najwyżej na astrogatora.

Cress wybuchnął śmiechem, który przeszedł w kaszel.

– Wiesz, że zabroniono ci palić! – Elsevier pochyliła się i zabrała mu rozżarzoną trzcinę, nie zaprotestował.

– Odszedł – powiedział Silky. – Odszedł. Odszedł... – to słowo jakby go fascynowało.

– Tak, Silky – mruknęła Elsevier. – Dobrzy zawsze umierają młodo, choćby nawet dożyli setki. – Poklepała jedną z okaleczonych macek spoczywających na oparciu siedzenia Cressa. – Nigdy nie widziałam go równie zagniewanego czy pięknego, jak wtedy, gdy zabrał cię z karnawału ulicznego w Narlikar. – Pokręciła głową, naszyjnik z dzwoneczków zabrzączał srebrzyście. – Podzielał każdy ból, dlatego walczył o jego koniec. Nie wiem, jak mógł z tym żyć.

*Gdzie teraz jest Sparks, kto go krzywdzi? Dlaczego nie mogę mu pomóc?* Moon spojrzała na Silky'ego z nagłym, nieoczekiwanym dla niej zrozumieniem. Och, Pani – nie mogę dłużej czekać! Lecz jej modlitwa przeszła bez wysłuchania i odpowiedzi.

– Pomyśleć, że odciął się od wszystkich radykałów, bo obawiał się o mnie – choć wiedziałam, że sam chętnie zginąłby za swe przekonania. Byłam zła, ale też zadowolona. Był pacyfistą wśród ludzi o innych poglądach. – Pociągnęła z trzciniki Cressa. – A potem zabrał się za przemysł! Och...

Tramwaj znów wjechał w światła, na poziom pasażerski portu gwiazdowego. Wszędzie wokół widniały ekrany ściennie pokazujące obrazy z innych planet; na niższych poziomach budowli czekały na dostarczenie na powierzchnię Kharemough niewyobrażalne ilości towarów sprowadzanych z wszystkich tych światów. W zamian wysyłano o wiele więcej złożonych wyrobów przemysłowych. Były i inne obrazy, mające za cel przerażenie przybywających, wychwalające techniczne osiągnięcia, które umożliwiały przeprowadzanie w kosmosie większości procesów produkcyjnych. Moon dowiedziała się, że jest to największe, lecz nie jedyne z miast krążących nad Kharemough. Na orbitach znajdowały się tysiące zakładów przemysłowych i fabryk, pracujący w nich ludzie spędzali większą część życia w przestrzeni pomiędzy planetą a jej księżycami. Myśl o ciągłym życiu w mroku i izolacji przygnębiała ją i dręczyła.

Tramwaj zatrzymał się przy poczekalni dla udających się na powierzchnię planety. Moon szła bez słowa za Cresse i Silkym w rojącem się wokół tłumie, by zająć miejsca na sali, podczas gdy Elsevier poszła do automatów biletowych.

– Ach... – westchnął siadający Cress i spojrzał na wszechobecne ekrany wizyjne. Zmieniały się na nich obrazy spoza portu gwiazdowego, ukazując zamgloną, otuloną chmurami powierzchnię Kharemough; abstrakcyjne wzory odpadków przemysłowych na najbliższym księżycu; wspaniałe widoki międzygwiazdowego frachtowca, łańcuch monet wyglądający na tle matowej czerni jak naszyjnik z muszelek. Siedział po drugiej stronie Silky'ego, chronili go razem przed obcymi.

– To lubię w Kharemough. Nigdy nie pozwalają odpocząć twym myślom. – W tych spokojnych słowach zabrzmiała fałszywa nuta, gdy na ekranie zjawiły się statki. Elsevier powiedziała, że Cress był kiedyś astrogatorem w wielkiej linii żeglugowej.

– Szkoda, że nie dojrzymy statków Premiera, lecz wróci on do domu dopiero za kilka tygodni. Młoda pani, na pewno byłby to wspaniały widok.

Moon oderwała wzrok od ekranów.

– Dlaczego tak mnie nazywasz? Mam na imię Moon.

– Co? – Cress spojrział na nią z roztargnieniem i wzruszył ramionami. – Wiem o tym – powiedział z rozmysłem – ale jest pani sybillą, zawdzięczam też pani życie. To zasługuje na szacunek. Ponadto – uśmiechnął się – gdybym zbyt się spoufalili, mógłbym się w pani zakochać.

Spojrzała na niego zaskoczona, lecz jego twarz nie zdradzała, czy żartuje z niej, czy nie. Odwróciła wzrok, nie wiedząc, co ma odpowiedzieć, spróbowała się skupić na obrazach z ekranów.

Bezosobowe głosy podawały komunikaty w sandhi i kilku innych językach, jakich nie rozpoznawała. Rysunkowe symbole pisma były dla niej niezrozumiałe, zdołała się jednak nauczyć mówić z taśm, które powtarzały się w kółko. Otwierały jej umysł muzyką, podczas gdy słowa zapamiętywały się bezboleśnie i nieświadomie. Rozumiała już większość z tego, co słyszała. Ten język miał jednak swoje niuanse, tak samo jak stosunki łączące używających go ludzi. Sztywny system kastowy obejmował całą ludność planety, od dnia narodzin każdego człowieka określał jego rolę w społeczeństwie. Liczne zakazy nie obejmowały pozaziemców, jeśli tylko trzymali się oni z dala od miejscowych zwyczajów – Moon uzyskała bilet, kiedy po naleganiach Elsevier nazwała sklepikarza zgodnie z zasadami klasyfikacji sandhi, a nie “obywatelem”. Bardziej poważne naruszenia zasad zachowania były karane grzywnami lub nawet utratą odziedziczonej pozycji. Technicy, Nietechnicy i Pozaklasowi korzystali z oddzielnych sklepów, restauracji i teatrów, przedstawiciele kasty najwyższej i najniższej nie mogli nawet rozmawiać ze sobą bez pośrednika. Ściskając bilet, zastanawiała się z oburzeniem, dlaczego wszyscy się z tym godzą. Elsevier uśmiechnęła się tylko i odpowiedziała:

– Bezwładność, moja droga. Większość ludzi nie lubi zmieniać znanego na nieznanie. TJ nigdy nie mógł tego zrozumieć.

Moon wychyliła się z miękkiej wyściółki kanapy, gdy z tłumu wyłoniła się Elsevier.

– Już wsiadają. Lepiej chodźmy. – Elsevier pomachała wydrukami w stronę bramy w drugim końcu poczekalni, wsysającej pasażerów w nieznanie. Cress i Silky wstali, zrezygnowana Moon poszła w ich ślady.

– Nie chmurz się tak, młoda pani – powiedział astrogator. Nic nie poczujesz. Nad wszystkim czuwają kontrolerzy ruchu, prom to nie statek. Bardziej przypomina skrzynię na towary.

– Na dole jest pięknie, Moon. Poczekaj, aż zobaczysz ozdobne ogrody KR.

– Elsie, nie ogrodów mi trzeba. – Znów spojrziała na obrazy kosmosu, przyciągana nimi jak żelazo przez magnes. – Muszę wracać.

Cress rzucił Elsevier oskarżające, nieprzeniknione spojrzenie, odwróciła się od niego.

– Poczekaj, Moon, aż zobaczysz KR. Wszystko wtedy zrozumiesz.

Weszli do promu jako jedni z ostatnich. Moon zerknęła przez wejście do śluzy do jego baryłkowatego, pustego wnętrza. Jak powiedział Cress, była to skrzynia bez własnego napędu. Sprowadzano ją na planetę i z powrotem tak jak każdy inny towar, zaciśnięty w niewidzialnym uchwycie promieni odpychających – lub przyciągających – wysyłanych z jednego z planetarnych ośrodków sterowania. Okno dostawcze było szeroką na trzydzieści metrów kolumną pustej przestrzeni, sięgającą strefy ciężkiego przemysłu pomiędzy Kharemough a księżycami.

Na pokładzie zaprowadzono ich do rzędów siedzeń otaczających ekran podłogowy, ukazujący powierzchnię planety, otuloną w mgły barwy błękitu i khaki. Moon usiłowała się skupić na jej solidnym ogromie, zapomnieć, że leży niezmiernie nisko pod nimi. W promie nie było unoszenia się nad siedzeniami w stanie nieważkości, Kharemoughi szczylicili się, z nie skrywaną dumą, iż trudno jest pozbyć się grawitacji, lecz tworzyć ją mogą, kiedy tylko zechcą.

Zamknięto wejścia, prom oderwał się od stacji i zaczął spadać w rurę energii. Moon nie zważała na ciche rozmowy wokół siebie, w większości ich nie rozumiała, skupiła się wyłącznie na pędzącej im na spotkanie powierzchni planety. Jej bezkształtna, otulona chmurami tarcza rosła, ukazując coraz to nowe szczegóły, ściszony głos Elsevier nazywał lśniące błękitem morza, zielone i brunatne wyspy, tak wielkie, że zdawały się odpychać od siebie ocean. Łąd znajdujący się tuż pod nimi puchł ciągle, aż tylko on był widoczny. Dzielił się stale na plamy gór, puszczy, pól toczących się nieubłaganie w stronę świtu... a potem, nim się spostrzegła, ukazał się wąski krąg oświetlonego mętnie miasta, rozłożonego w koncentrycznych warstwach wokół wielkiej, lśniącej, bezdrzewnej równiny.

– ...ładowisko – powiedziała Elsevier.

W ostatniej chwili odniosła wrażenie, że niewidoczna ręka innego olbrzyma schwyciła ich w powietrzu, nim runęli na błyszczące, krzyżujące się linie pola. Odsunął ich w bok, do jednego z mocnych magazynów otaczających ładowisko, i wreszcie postawił na ziemi.

Tłum pasażerów opuścił wymalowane w ciepłe barwy wnętrza dworca. Moon czuła, jak cierpną jej nogi od ciężenia obcej planety... albo złego krążenia. Sztuczna grawitacja kosmicznego miasta była niższa od tej, do której przywykła, tają przewyższała. Nogi uginały się pod nią, choć szła uważnie.

Na powierzchni planety dopiero świtało, powietrze było nadal chłodne. Elsevier roztarta ramiona, Moon bez sprzeciwu założyła bordową suknię i pas. Na Kharemough dbano o przyzwoitość i Elsevier ostrzegła ją, że swobodne obyczaje Targu Złodziei nie sięgają ziemi. Na wschodzie słońce rozwijało się jak kwiat, nad nimi niebo nadal było czarne i bezgwiazdne... Gdy spojrzała w górę, ujrzany widok zaparł jej dech. Ciemność przesłaniały lekkie, poskręcane sztandary zieleni i różu, żółci i złota, lodowatego błękitu; wzdymające się wstęgi tęczy i skrzące się bielą promienie koronowały zaczarowany kraj.

– Spójrz na to, Silky – rzuciła w sandhi Elsevier, patrząc w ślad za Moon. W jej słowach nie było pochwały. – To haniebne.

– Możecie to powtórzyć, obywatelko – skinął ze wstrętem głową w hełmie jeden z trójki przybyłych wraz z nimi pasażerów, którzy obok czekali na taksówkę. – Zanieczyszczenie – chyba nie ma jutra. Na bogów, krąży tam cała flota wyrzucanego śmiecia. Jak mogą od nas wymagać, byśmy wykonywali naszą pracę. To już nie kontrola ruchu, lecz wyścigi w rozwalaniu.

– SN... – w tej trójce była kobieta, roześmiała się lekko i nie całkiem radośnie poklepała kolegę po okrytym mundurem ramieniu. – Ci obywatele nie są stąd – powiedziała ze znaczącym

uniesieniem brwi. – Nie powinniśmy ich zanudzać naszymi drobnymi skargami, prawda?

– Tak, staruszkę – zakołysał się trzeci hełm. – Naprawdę potrzebny ci ten urlop. Zaczynasz gadać jak biopurysta.

SN zatknął ręce za pas, wyglądał na zmartwionego.

– Co złego z tym niebem? – Moon niechętnie opuściła wzrok. – Pełno na nim światła. – *Jak powinno być.* – Jest piękne.

Pierwszy z obcych spojrział na nią, skrzywiony, potem uśmiechnął się wbrew sobie. Pokręcił głową bardziej z żalem niż gniewem.

– Niewiedza jest błogosławieństwem, obywatelko. Cieszcie się, że nie jesteście Kharemoughi. – Przed nimi stanął statek powietrzny i miejscowi wsiedli.

– Witamy na Kharemough – powiedział Cress po tiamatańsku – gdzie bogowie mówią w sandhi. – Uśmiechnął się do niej.

Elsevier zatrzymała następną taksówkę; Nietech za sterami spojrział na nich z lekkim zdziwieniem, gdy poprosiła o lot do posiadłości KR Aspundtha. Wyciągnęła piękną rękę, pokazując mu noszony na kciuku sygnet z rubinem. Kharemoughi bez słowa odwrócił się do sterów i zaczął okrążyć obwód lądowiska.

– Co złego z niebem? – spytała Moon, wyglądając przez kopułę taksówki, rozjaśniało się, jutrzienka blakła w świetle dnia.

– Zanieczyszczenie przemysłowe – powiedziała spokojnie Elsevier. – “Czy jesteśmy skazani na wieczne powtarzanie błędów naszych przodków? Czy historia jest dziedziczna, czy też wymuszają środowisko?”

– Ładnie powiedziane – stwierdził Cress, odwracając się ze swego miejsca obok pilota.

– Słowa TJ. – Elsevier odegnała komplement jak komara. – Kharemough był dość dobrze rozwinięty nawet po rozpadnięciu się Starego Imperium. Zachował swój przemysł, choć tak jak wszędzie, odcięcie od międzygwiazdowego handlu wywołało tu wielką biedę. Nauczono się w końcu wyrabiać towary na własne potrzeby, lecz sposobami prymitywniejszymi i znacznie bardziej rozrzutnymi. Po tysiącleciu planeta niemal uległa zniszczeniu, uratowało ją przeniesienie zakładów w kosmos. Teraz jednak stare kłopoty zastąpiły nowe – na razie mniej poważne, lecz kto wie, czym się okażą dla przyszłych pokoleń? Przyczyna i skutek, nie ma przed tym ucieczki.

Moon dotknęła tatuażu ukrytego pod emaliowanym kołnierzem, spojrziała na leżące w dole morze zielonych liści. Patrząc w dół, odsunęła się od siedzącego obok Silky'ego. Wiedziała, że obawia się jej dotyku, sama też skrywała wstręt, jaki w niej budził lśniąca obcością. Lecieli nad i przez wąskie pasmo miasta, składającego się przeważnie, jak jej się zdawało, z magazynów i składów wszelkich możliwych rodzajów, które jeszcze nie obudziły się do życia. Innych budynków było mało. Teraz unosili się nad otwartą zalesioną przestrzenią, w której znajdowały się małe parkowe polany z prywatnymi domami.

– Elsie, mówiłaś chyba, że jest tu nadal za wielu ludzi, a nie są tak stłoczeni jak wyspiarze.

– Są, moja droga – lecz tylu ich pracuje w kosmosie, że mieszkańcy powierzchni mają dla siebie miejsca, ile chcą i na ile ich stać. Gromadzą się wokół takich ośrodków jak ten, który właśnie opuściliśmy. Im kto bogatszy, tym dalej od niego mieszka. KR ma do pokonania kawał drogi.

– Jest więc bogaty?

– Bogaty? – zachichotała Elsevier. – Och, obrzydliwie bogaty... Wszystko powinno należeć do starszego TJ, został jednak potępiony i pozbawiony pozycji w karze za skandaliczne zachowanie. Jestem pewna, że zrobił to celowo, gardził całym systemem kastowym. W przeciwieństwie do KR, który zawsze popierał status quo. Obaj nawet ze sobą nie rozmawiali.

– Dlaczego więc miałby się z nami zobaczyć? – Spytała z niepokojem Moon.

– Spotka się z nami, nie bój się. – Na jej twarzy znów pojawił się tajemniczy uśmiech. – Nie myśl o nim źle, to bardzo dobry człowiek, po prostu uznaje inne wartości.

– Wszyscy Kharemoughi są nietolerancyjni – powiedział Cress. – Różnią się tylko przedmiotem swej nietolerancji.

– KR przybył na pogrzeb TJ i powiedział mi, że wie, iż wszystko, co ma, zawdzięcza jemu. Dodał też, że jeśli będę czegoś potrzebować, wystarczy, jak go poproszę.

– Jak zmarł TJ? – zapytała z wahaniem Moon.

– Na serce. Przejście przez Czarne Wrota jest wysiłkiem dla ciała człowieka, zwłaszcza serca. Obciążają je także rozczarowania. – Rozejrzała się wokół na zieleń i zakurzoną czerwień pofałdowanego, zalesionego kraju. Nad drzewami wystawały ogromne guzy szarych skał, niby grube, pękate paluchy, do ich szczytów i boków kleiły się ryzykownie domy. – Było to bardzo nagłe. Mam nadzieję, że też zostanę zaskoczona.

Znowu opadali, na teren wielkiej posiadłości. Mijali malowidło złożone z klombów wspaniałych kwiatów, krzewów nasiadających dziwne postacie, kruchych altan otoczonych labiryntami z żywopłotów. Pilot wysadził ich na wybrukowanym tarasie przed głównym budynkiem mającym wielkość hali zebrań. Wszystkie jego obłóści, garby i łagodne ściany pokrywały pnącza. Dom miał wiele okien, przeważnie wypełnionych kolorowymi szybami powtarzającymi kształty i barwy wspaniałego ogrodu. Przyglądająca się z podziwem Moon zauważyła, jak zaczynają się otwierać wielkie, pokryte freskami drzwi.

– Obywatele, czy mam zaczekać? – Pilot przerzucił rękę przez oparcie swego fotela, patrząc na nich sceptycznie.

– To niepotrzebne. – Elsevier chłodno przekazała mu należność z karty kredytowej. Moon wysiadła z innymi.

– Niezłe miejsce na dzień na wsi – przeciągnął się Cress.

– Wiele. – Silky obrócił się wolno, przypatrując się rzędom ogrodów.

Elsevier poprowadziła ich do drzwi. Czekala tam na nich pełna godności kobieta w średnim wieku, mająca blade szramy i srebrne kółko w jednym nozdrzu. Ubrana była w prostą białą szatę przepasaną szeroką szarfą, nabijaną ciężką turkusową biżuterią.

– Ciocia Elsevier, co za niespodzianka! – Moon nie była pewna, czy łaskawy uśmiech, którym obdarzyła wszystkich, nie był jedynie przylepiony do warg.

– Żadne zaskoczenie – mruknęła Elsevier. – Jednym z wynalazków, które przyniosły memu teściowi fortunę, był układ elektronicznie prześwietlający dzwoniących... Witajcie, droga ALV – powiedziała w sandhi. – To miłe, że nasze odwiedziny się nałożyły. Przywiozłam ze sobą gościa. – Dotknęła ramienia Moon. – Mam nadzieję, że wasz ojciec ma się dobrze. – Moon zauważyła, że nie użyła rodzinnego twój.

– Znakomicie, dziękuję, teraz jednak konsultuje się z nim fizyk Darjeeng-eshkrad. – Wprowadziła ich do chłodnego wnętrza i zamknęła drzwi. Światło wpadające z obu stron przez barwne szklane tafle rozbijało wrażenia Moon, osłabiało jej nagłe poczucie niespoistości grupki. – Postaram się, by było wam wygodnie, dopóki nie skończy. – Wskazała na salę. Moon zauważyła, że ma długie, rzeźbione paznokcie.

Przez szereg wznoszących się pokoi doszli do ostatniego, jego szerokie barwne okna wychodziły na malowane ogrody. ALV wcisnęła kilka klawiszy na płycie wstawionej w drzwi; wielkie malowidło z kilkoma Kharemoughi uczującymi pod drzewami zmieniło się w ekran trójwymiarowego telewizora, pełen spierających się ludzi. Skinęła w stronę stosów czerwonych i



purpurowych poduch oraz oaz niskich drewnianych stolików, pokrytych złotem i ametystem.

– Proszę tutaj. Serwo tu i na zewnątrz... będą na wasze usługi. Mam nadzieję, że mi teraz wybaczycie. Tkwię nad zestawieniami podatkowymi Ojca, to straszna robota. Dołączy do was, gdy tylko będzie mógł. – Zostawiła ich samych z dyskutantami na ścianie.

Cress założył ręce, sapiąc z oburzenia.

– “Czujcie się jak w domu, ukradnijcie trochę sreber.” Więzy rodzinne nic nie znaczą na Wielkiej Niebieskiej. Wszyscy moi rodzice...

– Zostaw, Cress. – Elsevier pokiwała nad nim głową. – Zaledwie dwa razy spotkałam tę dziewczynę... kobietę – raz, gdy miała osiem lat, drugi na pogrzebie TJ. W tym czasie nie słyszała o nas zbyt wiele dobrego. Wiesz też, co dobrze urodzeni myślą o... – Spojrzała na siebie – ...o mieszanych małżeństwach.

Z kolei Cress pokiwał głową i szturchnął sandałem nogę stołu.

– Piękna robota, Elsie – powiedział głośno. – Moglibyśmy dostać ze cztery cyfry za parę z tych kamyków.

Syknęła karcąco.

– Opanuj się. Moon?

Zaskoczona dziewczyna odwróciła się od okna.

– Czyż nie mówiłam ci, że jest tu pięknie?

Moon przytaknęła z uśmiechem, nie znajdowała słów pochwały.

– Jak sądzisz, czy mogłabyś tu zostać i być sybillą?

Moon przestała się uśmiechać. Pokręciła głową, wróciła wolno do pokoju i usiadła na stosie poduszek. Elsevier śledziła ją wzrokiem, lecz bez wzajemności. *Nie mogę odpowiedzieć na żadne pytanie!* Gdy Elsevier usiadła obok, zmieniła temat, wskazując na ekran.

– Czemu są tacy rozgniewani?

Elsevier przyjrzała się bacznie gestykulującym mówcom.

– To przecież stary PN Singalu, polityczny przywódca Bezklasowych. Niech mnie, nie wiedziałam, że jeszcze żyje. To debata parlamentarna; tam stoi tłumacz, a więc ten nerwowy młody dandys musi być dobrze urodzonym. Jak wiesz, nie mogą rozmawiać ze sobą bezpośrednio.

– Myślałam, że Bezklasowi nie mają żadnych praw. – Moon patrzyła na obu mężczyzn piorunujących się wzrokiem ze swych podwyższeń, ponad ogoloną głową mówiącego monotonnym głosem tłumacza. Wpadali sobie w słowo, podczas gdy on powtarzał to, co już słyszeli. Moon nie potrafiła ich odróżnić, zastanawiała się, jak poznają, który z nich stoi niżej.

– Och, mają pewne, łącznie z prawem do przedstawicielstwa. Po prostu nie wolno im niczego, czego im wyraźnie nie przyznano. Nie mają też tyłu przedstawicieli, by mogli zmieniać prawo. Choć stale próbują.

– Jak w ogóle może u nich działać rząd? Myślałam, że premier jest w kosmosie.

– Ten znajduje się na zupełnie innym poziomie – machnęła ręką Elsevier. – On i Zgromadzenie reprezentują Kharemough, lecz z czasów, kiedy ta planeta zetknęła się po raz pierwszy z innymi, tworzącymi teraz Hegemonię. Kharemough uważał, że za pomocą Czarnych Wrót odbuduje część Starego Imperium, lecz w gruncie rzeczy nie zbliżył się nawet do jego osiągnięć technicznych. Z czasem planeta przekonała się, że bez napędu szybszego od światła nie może praktycznie władać podległymi jej światami. Jej marzenia o panowaniu utonęły w odmętach kosmosu i dopóki nie odtworzy napędu gwiazdowego, musi się zadowalać dominacją gospodarczą, i to taką tylko, jaką dopuści reszta Hegemonii. Premier i jego podróżujący dwór są jednak jak na początku symbolem jedności, choć nie jedności imperium. Wędrują od planety do planety, przyjmując hołd jako faktyczni

bogowie – na pozór wieczni, chronieni od starzenia się kosmosu dylatacją czasu i wodą życia.

– Wszędzie są chętnie przyjmowani, bo ironicznie, to tylko nieszkodliwa fantazja. – Głosy dyskutantów i spory za nimi narastały w czasie słów Elsevier; jej zaskakujące zamilknięcie zbiegło się z nagłą ciszą, która zapadła nagle o pół kontynentu stąd, w sali rządu.

Moon spostrzegła wyraz zaskoczenia, który pojawił się na zniszczonej twarzy starca... i dziwnego niedowierzania na obliczu aroganckiego młodego Techa. Nawet tłumacz się zmieszał, usiadł między nimi z otwartymi ustami, rozglądając się na boki.

– Co? – spytała, a zaraz potem Cress.

– Nie zaczekał; nie zaczekał na tłumacza! – Elsevier złapała się za policzki z krzykiem zadowolenia. – Och, spójrzcie na tego starca! Całe życie pracował na taką chwilę, wiedząc, że nigdy nie nastąpi... A teraz nadeszła. – W sali narastał szum, młody Tech odwrócił się i wyszedł poza zasięg kamer jakby w transie. Jego miejsce zajął przywołujący wszystkich do porządku człowiek w szarym stroju i opończy władzy.

– Co się stało? – Moon pochyliła się, aż zadrżały jej kolana.

– Tech się zapomniał – sapnęła Elsevier. – Zwrócił się bezpośrednio do Singalu – jak do równego sobie – a nie poprzez tłumacza. Na oczach milionów świadków!

– Nie rozumiem.

– Singalu jest teraz Technikiem! – roześmiała się Elsevier. – Na Kharemough można poprawić swą pozycję w jeden tylko sposób, gdy ktoś o wyższej pozycji podciągnie stojącego niżej, zwracając się do niego przy świadkach jak do równego. Tak właśnie się stało.

– A gdyby uczynił tak Singalu? Czy Tech stałby się Pozaklasowy? – Moon patrzyła na żylastego starca trzymającego się kurczowo mównicy, nie wstydzącego się łez, uśmiechającego się pomimo nich. Poczula, jak coś ściska jej gardło, obok Elsevier wycierała oczy.

– Och nie, Tech kazałby go aresztować... – Elsevier przerwała, gdy człowiek w szarym stroju podszedł do Singalu i objął go sztywno, składając cicho gratulacje. – Och, gdyby TJ mógł to widzieć, podzielić tę...

– Czy podzieliłby również smutniejszą chwilę, gdy młody sprawca tego wszystkiego wróci wieczorem do domu i zażyje truciznę?

– KR? – Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi. Moon ujrzała wysokiego niegdyś mężczyznę, przytłoczonego teraz brzemieniem lat – choć Kharemoughi bardziej umiejętnie odsuwali starość niż inni ludzie, nie posiadający wody życia. Zamrugła i spojrzała ponownie, lecz nadal widziała brązowe plamy na skórze, a luźny kaftan nie był w stanie przesłonić wszystkich oznak wieku. Ale to przecież młodszy brat TJ... jak mógł się tak strasznie postarzyć?

– Tak, KR. – Elsevier usiadła ponownie, układając spódnicę. – Tę chwilę też by podzielił. Mimo iż młody głupiec jest sam sobie winny; mimo iż o wiele za lekko bierzecie zasadę "lepsza śmierć niż hańba". A czy wy podzielacie radość starego Singalu? – Również do Aspundtha zwracała się z dystansem, przez wy, a nie rodzinne ty.

Uśmiechnął się, niemal dobrodusznie.

– Tak, dzielam. Mimo wieku jest ciągle sprytny i zdolny – co jest jeszcze jednym dowodem, iż nasz system wyławia osoby z inteligencją i inicjatywą, wbrew temu co robił TJ, próbując go wywrócić do góry nogami poprzez podciąganie każdego nisko urodzonego, który się do niego uśmiechnął.

– KR, jak możecie tak mówić? Wiecie, że dobrze urodzeni strzegą swej czystości jak dziewictwa! Nikt nie podciągnął waszego ojca, jednego z najbardziej błyskotliwych umysłów swego pokolenia.

– Ale mnie podciągnięto. – Łaskawie wzruszył ramionami. – Mój ojciec był zadowolony, wiedział, że kiedyś to nastąpi.

– Gdy zgromadzi w banku dość kredytów, by zapłacić za adopcję przez jakiś szacownych przodków – powiedział Cress.

Twarz Aspundtha pozostała spokojna, Moon odgadła, że nie mówi po tiamatańsku.

– Nasze społeczeństwo jest zorganizowane w sposób wielce naukowy, doskonale przystosowany do technicznych skłonności. I ten sposób działa – wydzwignął nas z chaosu epoki przedkosmicznej. Dał tysiąc lat ciągłego postępu.

– Raczej stagnacji – skrzywiła się Elsevier.

Machnął z oburzeniem ręką.

– Jak możesz tak mówić, mieszkając na najwyżej rozwiniętej planecie Hegemonii?

– Rozwiniętej technicznie. Pod względem społecznym niewiele przewyższacie Ondinee.

– Dlaczego mam wrażenie, że już to słyszałem? – westchnął.

Elsevier uniosła rękę.

– Wybaczcie, KR... nie przybyłam tu, by spierać się o politykę, byłoby to stratą czasu waszego i mojego. Zwracam się do innych waszych zdolności; przyprowadziłam kogoś, komu potrzebna jest wasza pomoc. – Wstała z poduch, pociągając za sobą Moon.

Dziewczyna stała sztywno, patrząc na podchodzącego na powłóczących nogach KR Aspundtha, przyglądając się zawieszonyj na jego piersi koniczynie.

– Sybilla! To niemożliwe!

Zatrzymał się i kiwnął głową z powagą.

– Pytaj, a odpowiem.

Elsevier podniosła dłonie i odpięła emaliowany kołnierz, pozwoliła mu opaść z gardła Moon, odsłaniając tatuaż.

– Wasza siostra duchowa. Ma na imię Moon.

Moon zasłoniła szyję rękoma, odwróciła się, skrywając oznakę zawiedzionego natchnienia, jakby stanęła przed nim nago. Ale Elsevier odwróciła ją stanowczo, uniosła brodę, aż znowu spojrzała mu w oczy.

– Zaszczycacie mój dom. – Aspundth pochylił przed nią głowę. – Wybaczcie, jeśli rozczarowałem was swym zachowaniem i żałujecie, iż tu przybyliście.

– Nie. – Moon zdołała się opanować, odpowiedziała w niezdarnym sandhi. – Nie rozczarowaliście. Nie... nie jestem sybillą. Nie tu, to nie moja planeta.

– Naszych wizji nie ogranicza czas ani przestrzeń; zawdzięczamy to cudowi nauki Starego Imperium. – Podeszedł bliżej, wpatrując się cały czas w jej twarz. – Możemy odpowiadać wszędzie i zawsze... Ale ty nie. Próbowowałaś i nie udało ci się. – Stanął przed nią, patrząc spokojnie w jej zdumione oczy. – To łatwo poznać bez żadnego wewnętrznego wglądu. Ale dlaczego? Na to pytanie musisz mi odpowiedzieć. Usiądź teraz i powiedz, skąd przybyłaś. – Opadł na poduszki, opierając się przy tym o stół.

Moon usiadła i spojrzała na niego poprzez stół, Elsevier dopełniła krąg wraz z Silkym i Cressesem.

– Przybyłam z Tiamat.

– Tiamat!

Kiwnęła głową.

– A teraz Pani nie przemawia przeze mnie, bo porzuciłam mego... nie dotrzymałam obietnicy.

– "Pani"? – Spojrzał na Elsevier.

– Matka Morza, bogini. Może lepiej wyjaśnię, jak się tu znalazła. – Złączyła dłonie, pochyliła się i opowiedziała. Moon zobaczyła, jak pogłębia się zmarszczka pomiędzy białymi brwiami Aspundtha, lecz Elsevier nie patrzyła na jego twarz. – Nie mogliśmy jej odwieźć, a potrzebowaliśmy astrologa, by pokonać Czarne Wrota. Ponieważ Moon jest sybillą, wykorzystałam ją – z lekkim naciskiem na wykorzystaną. – Dopiero co została sybillą, a potem nie mogła wejść w Przekaz. – Łączyła i splatała palce.

W drzwiach pojawił się bardzo błyszczący mechaniczny sługa, podszedł do Aspundtha z tacą pełną wysokich szklanek. Na kiwnięcie pana postawił je na stole.

– Czy potrzeba coś jeszcze, proszę pana?

– Nie. – Odegnął go niecierpliwym ruchem ręki. – Czyżbyś zmusiła ją nie przygotowaną do Przekazu trwającego godziny? Bogowie, takiego nieodpowiedzialnego postępowania można się było spodziewać po TJ! To cud, że nie jest teraz rośliną.

– A co innego mogli zrobić? – wtrącił się rozżłoszczony Cress. – Oddać się w ręce Sinych? Pozwolić mi umrzeć?

Aspundth spojrział na niego bez wyrazu.

– Uważacie jej zdrowie za dobrą cenę.

Wzrok Cressa spoczął na koniczynie na piersi Aspundtha, przesunął się na wytatuowane gardło Moon, lecz nie na jej oczy. Pokręcił głową.

– Tak. – Moon spojrzała, jak twarz Cressa rozluźniła się na te słowa. – To był mój obowiązek. Ale okazałam się za słaba. – Pociągnęła ze stojącej przed nią wysokiej, oszronionej szklanki; brzoskwiniowej barwy napój zamusował jej w ustach, wywołał łzy.

– Skoro tak, uważam cię za człowieka o najsilniejszym umyśle – albo największym szczęściu – spośród wszystkich, jakich znam.

– Mnie? – Moon splótła ręce na kojącej chłodem szklance. – Kiedy więc przestanę się obawiać powrotu do ciemności? Ciągłe czuję, że Przekaz to... to jakby umieranie od środka! – Pociągnęła nowy łyk, aż zasnuły się jej oczy. – Nienawidzę ciemności !

– Tak, wiem. – Aspundth przez chwilę siedział cicho. – Elsevier, czy możesz tłumaczyć? Bardzo mi zależy, by Moon dobrze zrozumiała każde słowo.

Elsevier przytaknęła i zaczęła powtarzać po tiamatańsku słowa Aspundtha.

– Tiamat jest... zacołany. Czy wiesz, dokąd trafiasz, gdy znajdujesz się w ciemności? Czy rozumiesz, dlaczego niekiedy widzisz inne światy? – Po zakończeniu tłumaczenia Elsevier pokręciła głową i szepnęła do Aspundtha: – To dlatego ją do was sprowadziłam.

Moon spojrzała na okno, szukając nieba.

– Pani wybiera...

– Ach. Na waszym świecie przyczyną jest bogini, a przynajmniej zawsze w to wierzyliście. Co byś pomyślała, gdybym ci powiedział, że twoje wizje nie są darem bogów, lecz dziedzictwem Starego Imperium?

Moon poczuła, jak wstrzymuje oddech, i szybko go wypuściła.

– Tak! To znaczy... spodziewałam się tego. Wszyscy tu wiedzą, że jestem sybillą; ale skąd? Ty jesteś sybillą, a nigdy nie słyszałeś o Pani. – Już dawno temu przestała rozumieć Matkę Morza dosłownie, jako piękną kobietę o włosach z wodorostów, odzianą w pianę, wznoszącą się z fal w powożonej przez mery muszli. Nawet bezkształtna, podstawowa siła, której dotyk czuła niekiedy w swej duszy, nie zawierała w sobie nic z Niej. Jeśli w ogóle czuła cokolwiek, poza własnym pragnieniem odczucia...

– Wy, pozaziemcy, macie tylu bogów. – Utrata i zmiana zbyt ją oszołomiła, by dotarł do niej

jeszcze jeden cios. – Dlaczego jest ich tak wielu?

– Bo jest tyle światów; każdy ma co najmniej jednego, a zwykle wielu. “Moi bogowie czy twoi”, powiadają: “kto wie, którzy są prawdziwi?” Dla pewności czcimy ich wszystkich.

– Jak jednak Stare Imperium mogło umieścić wszędzie sybille? To byli przecież ludzie, a nie bogowie?

– Byli. – Sięgnął po stojącą na środku stołu wazę z owocami w cukrze. – Choć mieli potęgę niemal boską. Potrafili podróżować bezpośrednio między planetami, w ciągu tygodni czy miesięcy, a nie lat, mieli nadświatłą komunikację i napęd gwiazdny. A mimo to Imperium się w końcu rozpadło... nawet oni przecenili swe możliwości, a przynajmniej tak sądzimy. Jednakże w czasie schyłku Imperium grupa wybitnych, pozbawionych egoizmu ludzi stworzyła magazyn, bank danych dotyczących stanu wiedzy o wszystkich obszarach nauki. Mieli nadzieję, że zgromadziwszy wszystkie odkrycia ludzkości w jednym, niezniszczalnym miejscu, osłabią zbliżające się załamanie ich cywilizacji, przyspieszą znacznie jej odbudowę. A ponieważ rozumieli, iż rozpad techniczny może na wielu światach okazać się całkowity, opracowali najprostszy środek dostępu do swego banku danych – wykorzystujący ludzi. Sybille, które mogą przekazywać swą chłonność bezpośrednio wybranym przez nie następcom, za pośrednictwem krwi.

Moon dotknęła palcami blizny na przegubie.

– Ale... jak czyjaś krew może pokazać, co mieści się w... w maszynie na jakiejś innej planecie? Nie wierzę w to!

– Nazwij to boskim zakażeniem. Wiesz, co to jest zakażenie?

Przytaknęła.

– Gdy ktoś jest chory, trzymamy się od niego z dala.

– Dokładnie. “Zakażenie” sybilli jest chorobą stworzoną przez ludzi, osiągnięciem biotechnicznym tak złożonym, że dopiero zaczęliśmy odsłaniać jego tajemnice. Wywołuje ono, a może wszczepia, pewne zmiany w tkance mózgu, dzięki którym sybilla może odbierać komunikaty przekazywane z szybkością nadświatłą. Staje się odbiorcą i nadawcą. Łączy się bezpośrednio z pierwotnym źródłem danych. To tam trafiasz, gdy zapadasz się w pustkę. Gubisz się nie w kosmosie, lecz w obwodach komputera. A czasami porozumiewasz się z sybillami przebywającymi na innych planetach, które znają odpowiedzi na pytania, jakich Stare Imperium nigdy nie zadawało. – Stuknęła się z nią szklanką z zachęcającym uśmiechem. – Suszy mnie od tej gadaniny.

Moon patrzyła, jak koniczynka chwije się na tle bogatej, przetykanej złotą nitką brązowej szaty; zobaczyła, jak jej obraca się cicho, opuszczona, zawieszona na haczyku w klimatyzowanym pokoju krążącym gdzieś wysoko.

– Czy od tego zakażenia inni szaleją? Śmierć za zabicie sybilli... śmierć za pokochanie sybilli... – przerwała, dotykając zimnych kamieni na krawędziach stołu.

Uniósł brwi.

– Tak mówią na Tiamat? Też znamy to przysłowie; choć nie rozumiemy go już dosłownie. Tak, dla niektórych ludzi zakażenie tą “chorobą” kończy się szaleństwem. Sybille są wybierane dla cech swego charakteru, jedną z nich jest równowaga emocjonalna... a krew sybilli może oczywiście przenosić chorobę. Także ślina, lecz powoduje zakażenie tylko w przypadku zetknięcia się z otwartą raną. Przy zachowaniu pewnej ostrożności nie jest prawdą “śmierć za pokochanie sybilli”, bo inaczej nie spotkalibyście dzisiaj mej córki. Przypuszczam, że wszczepiono ten przesąd, by chronić sybille w mniej cywilizowanych społecznościach. Symbol, który nosimy, trójlistna koniczynka, oznacza skażenie biologiczne; to jeden z najstarszych symboli znanych ludzkości.

Nic już jednak nie słyszała.

– Nie jest prawdą “śmierć za pokochanie sybilli”? A więc Sparks... nie musimy żyć osobno. Możemy być razem! Elsevier! – Moon szarpała starą kobietą. – Dziękuję ci! Dziękuję za przyprowadzenie mnie tutaj, ocaliłaś mi życie. Nie ma niczego między piaskiem a niebem, czego bym dla ciebie nie zrobiła!

– Co się dzieje? – Oszołomiony Aspundth oparł głowę na dłoni. – Kim jest ten Sparks? Chodzi o miłość?

Elsevier odsunęła Moon na odległość ramion i łagodnie przytrzymała.

– Och, Moon, drogie dziecko – powiedziała z niewytłumaczalnym żalem. – Nie chciałabym zmuszać cię do spełnienia tej obietnicy.

Moon patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc.

– Zaprzysięgliśmy...

– To rodzaj ich małżeństwa – mruknęła Elsevier.

– Odszedł, gdy zostałam sybillą. Ale teraz, gdy wrócę do niego, powiem mu...

– Wrócę? Na Tiamat? – wyprostował się Aspundth.

– Moon – powiedziała Elsevier – nie możesz wrócić.

– Wiem, wiem, że muszę zaczekać, aż...

– Moon, wysłuchaj jej! – krzyknął Cress. Wściekłość, z jaką się odezwał, zaparła jej dech.

– Co? – Oklapła w objęciach Elsevier, mrugając ciągle. – Powiedziałaś, że będziemy mogli...

– Moon, nigdy nie powrócimy na Tiamat. Nigdy nie zamierzaliśmy, nie możemy. Ty też nie możesz. – Elsevier drżały wargi. – Skłamałam ci. – Odwróciła wzrok, szukając łagodniejszych słów na powiedzenie tego i nie znajdując. – Wszystko było wielkim kłamstwem. Przepraszam. – Puściła ramiona Moon.

– Ale dlaczego? – Moon bezmyślnie układała włosy, których kosmyki zasłaniały jej twarz niby pajęczyna. – Dlaczego?

– Bo jest już za późno. Wrota Tiamat się zamykają, stają zbyt niepewne, by taki mały statek jak nasz mógł pokonać je bezpiecznie. Nie... miesiące minęły, odkąd opuściliśmy Tiamat. To już ponad dwa lata. Równie długo potrwałby powrót.

– Kłamstwo! Nie lecieliśmy lata. – Moon opadła na kolana, gdy objęło ją zrozumienie. – Dlaczego mi to robisz?

– Bo powinnam była uczynić to na początku. – Elsevier zasłoniła oczy. Cress mówił coś szybko Aspundthowi w sandhi.

– Nie skłamała, Moon. – Aspundth odchylił się, nieświadomie oddzielając się od nich. Elsevier zaczęła głucho tłumaczyć jego słowa. – Czas na statku płynie inaczej niż na zewnątrz. Wolniej. Spójrz na mnie i na Elsevier i zwróć uwagę, że jestem wiele lat młodszy od TJ. Moon, gdybyś teraz wróciła na Tiamat, znalazłabyś się tam po niemal pięciu latach.

– Nie... nie, nie! – Wstała z trudem, wyrwała się Cressowi, który próbował jej pomóc. Podeszła do okna, patrząc na ogrody i niebo z czołem przyciśniętym mocno do szyby. Jej oddech pokrywał szkło ulotną mgiełką, przesłaniając jej widok. – Nie zostanę tutaj. Nie możecie mnie tu zatrzymać! – Zaciśnęła pięści, walnęła nimi w okno. – Jak mogłaś mi to zrobić, skoro wiedziałaś? – Odwróciła się rozwścieczona. – Ufałam ci! Do diabła z twoim statkiem, do diabła z wszystkimi waszymi bogami!

Aspundth stał teraz obok niskiego stolika; przeszedł powoli przez pokój.

– Spójrz na nich, Moon – powiedział spokojnie, niemal pogodnie. – Spójrz na ich twarze i powiedz, czy chcieli zniszczyć twe życie.

Niechętnie zwróciła oczy na trójkę siedzącą nadal przy stole – jedna twarz była nieodgadniona,

jedna schylona ze wstydu, jedna błyszczała od gorzkich łez. Nie odpowiedziała, lecz to wystarczyło. Zaprowadził ją z powrotem na miejsce.

– Moon, zrozum proszę, uwierz mi... to dlatego że twoje szczęście tyle dla mnie znaczy, nie mogłam się zmusić do powiedzenia ci prawdy. – Głos Elsevier był cichy i słaby. – I dlatego że chciałam, byś została.

Moon stała w milczeniu, czuła, jak twarz ma sztywną i zimną niby maska. Elsevier odwróciła wzrok.

– Tak mi przykro.

– Wiem – Moon wydusiła te słowa z odrętwiałych warg. – Wiem o tym. Ale to niczego nie zmienia. – Usiadła między poduchami, bezsilna, lecz ciągle niezdolna do wybaczenia.

– Zostało popełnione zło, bratowo – powiedział Aspundth. – Pozostaje pytanie – co zrobisz, by je odpłacić?

– Wszystko, co będzie w mojej mocy.

– Naszej mocy – dopowiedział Cress.

– To weź mnie do domu, Elsevier!

– Nie mogę. Wszystkie powody, jakie ci podałam, są prawdziwe. Jest za późno. Możemy jednak dać ci nowe życie.

– Nie chcę nowego życia. Chcę starego.

– Pięć lat, Moon – powiedział Cress. – Jak go odnajdziesz po pięciu latach?

– Nie wiem – złączyła pięści. – Muszę jednak wracać na Tiamat! To nie koniec. Czuję to, to nie koniec! – Coś zadrgało w głębiach jej umysłu; zabrzmiał odległy dzwoneczek. – Jeśli nie możecie mnie zabrać, musi być inny statek. Pomóżcie mi go odnaleźć...

– Też by cię nie zabrał. – Cress przesunął się między poduszkami. – To zakazane; skoro już opuściłaś Tiamat, prawo nie pozwala ci tam wrócić. Twoja planeta jest zamknięta.

– Nie mogą... – Poczowała jak rośnie w niej złość.

– Mogą, dziewczyno. – Aspundth wziął ją za rękę. – Powiedz mi tylko, co to znaczy "to nie koniec"? Skąd możesz wiedzieć?

– Nie... nie wiem. – Zakłopotana spuściła oczy.

– Pragniesz tylko, żeby to nie był koniec.

– Nie, wiem o tym! – Nagle znów była wojownicza. – Nie wiem tylko... skąd.

– Rozumiem. – Skrzywił się bardziej z lęku niż niechęci.

– Nie może – mruknął Cress, patrząc na niego. – Prawda?

– Czasem tak się zdarza. – Aspundth spojrział ponuro. – Jesteśmy rękoma maszyny sybillowej. Czasami posługuje się nami dla własnych celów. Myślę, że powinniśmy przynajmniej spróbować dowiedzieć się, dlaczego jej wyjazd spowodował taką zmianę.

Spoczęły na nim pełne niewiary oczy Moon, tak jak i innych. Cress roześmiał się nerwowo.

– To znaczy, że maszyna działa na własną rękę? Dlaczego? Jak?

– To jeden ze wzorów, jakie stale próbujemy odtworzyć. Może być szalenie złożony, jak na pewno wiesz. Ale wszystko zdolne do pełnienia jej funkcji musi niewątpliwie posiadać rodzaj czucia.

Moon usiadła niecierpliwie, ledwo słuchając, ledwo rozumiejąc.

– Jak mogę się dowiedzieć – czy muszę wracać?

– Ty masz klucz, sybillo. Pozwól, że zapytam, a ty odpowiesz.

– Chcesz... Nie, nie mogę. Nie mogę – skrzywiła się.

Opadł na kolana, pogładził jej srebrne, proste włosy.

– No to ty pytaj, a ja odpowiem. Wejście... – Zamknął oczy, wchodząc w Przekaz.

Zaskoczona, zapytała na wpół świadomie:

– Powiedz mi co... co się stanie, jeśli ja, Moon Dawntreader, nigdy nie wrócę na Tiamat?

Patrzyła na jego oczy mrugające w nagłym zdumieniu, przeszukujące pokryte plamkami światła kąty pokoju, powracające na ich twarze, spoczywające na jej.

– Ty, Moon Dawntreader, sybillo, pytasz o to? Jesteś jedyna. Taka sama... lecz nie ta sama. Możesz być nią, możesz być Królową... Kochał ciebie; teraz kochają; taką samą, lecz nie tą samą. Wracaj – twoja strata jest raną czyniącą gorzkim dobre ciało w sercu Miasta... raną nie do wyleczenia... przeszłość stanie się nieustającą przyszłością, chyba że przełamiesz Zmianę... Koniec analizy. – Głowa Aspundtha opadła; długo opierał się o stół, nim zdołał ją unieść. – Jest tu chyba – noc – pociągnął ze szklanki. – Pokój jest pełen obcych twarzy...

Moon chwyciła swe naczynie, wypila z niego, by pozbyć się ściskania w gardle. Kochał ciebie, lecz teraz kochają.

– Co powiedziałem? – Aspundh spojrział na nią, patrząc znów wyraźnie, lecz twarz miał ściągniętą i zmęczoną.

Powiedziała mu zacinając się; pomogli inni.

– Ale nie rozumiem tego... – Nie rozumiem tego! Jak może kochać... Przygryzła wargi. Dłoń Elsevier spoczęła krótko i lekko na jej dłoni.

– “Możesz być Królową” – powiedział Aspundh. – “Twoja strata jest raną nie do wyleczenia.” Myślę, że twa intuicja była prawdziwa... masz ciągle nie wykonaną rolę w wielkiej sztuce. Powstała nierówność.

– Ale to już się stało – powiedziała powoli Elsevier. – Czy nie znaczy to, że tak miało być?

Uśmiechnął się, kręcąc głową.

– Nie będę udawał, że wiem. Jestem technokratą, a nie filozofem. Dzięki bogom, nie do mnie należy interpretacja. Od Moon zależy, czy to już koniec, czy nie.

Moon zeszywniała.

– To znaczy, że... mogłabym wrócić na Tiamat?

– Tak, chyba tak. Elsevier cię zabierze, jeśli nadal chcesz wracać.

– Ale powiedziałaś...

– KR, to niemożliwe!

– Jeśli wyruszyacie natychmiast i użyjecie dostarczonych przeze mnie dostosowaczy, pokonacie bezpiecznie wrota, nim Tiamat zostanie całkowicie odcięty.

– Ale nie mamy astrogatora. – Nachyliła się Elsevier. – Cress nie odzyskał jeszcze sił.

– Macie astrogatora. – Poruszył oczyma.

Moon wstrzymała oddech, gdy spoczęły na niej oczy wszystkich.

– Nie!

– Nie, KR – skrzywiła się Elsevier. – Nie możesz jej prosić, by jeszcze raz odważyła się na coś takiego. Nie może, choćby nawet chciała.

– Może... jeśli pragnie dostatecznie mocno. – Aspundth dotknął swej koniczynki. – Mogę ci pomóc, Moon; tym razem nie musisz robić tego bez przygotowania. Jeśli chcesz powrotu do swego starego życia, bycia znów sybillą, możesz... musisz... to zrobić. Nie możemy stawić czoła wszystkim naszym nocnym koszmarom, musisz jednak sprostać temu, bo inaczej nigdy nie uwierzysz już w siebie. Nigdy nie wykorzystasz tkwiącego w tobie cennego daru; zawsze już będziesz nikim. – Ostry głos ją ubódł. Splótł dłonie i położył na stole.

Moon zamknęła oczy, całą ją pochłonęła ciemność. Ale to jeszcze nie koniec. *Mam być czymś*



więcej! A on ma być ze mną. Nie można go utracić; to jeszcze nie koniec... Twarz Sparksa rozproszyła mrok jak wschodzące słońce. To prawda, musi to zrobić; a wtedy się dowie, czy ma dość sił, by rozwiązać każdy problem. Otworzyła oczy, potarła drżące ręce.

– Muszę spróbować. – Ujrzała żal rodzący się w ciemnoniebieskich oczach Elsevier – i rosnący z nim lęk. – Elsie, to dla mnie wszystko. Nie zawiodę cię.

– Oczywiście, że nie, moja droga. – Krótkie kiwnięcie, cień uśmiechu. – Dobrze, zrobimy to. Ale KR... – Spojrzała na niego. – Jak wrócimy bez niej?

Uśmiechnął się z tajemną winą.

– Z podrobionymi dokumentami, które też wam dostarczę. W chaosie ostatecznego opuszczania Tiamat nikt was nie wykryje, na pewno, nawet Silky'ego.

– Dlaczego, KR, ty skryty grzeszniku – roześmiała się słabo.

– Nie uważam tego za zabawne. Jeśli nauczę tę dziewczynę wszystkiego, co powinna wiedzieć sybilla, a potem wyślę ją na Tiamat, popełnię zdradę. Lecz postąpię zgodnie z prawem wyższym nawet niż Hegemonia.

– Wybacz. – Skarcona schyliła głowę. – Co z naszym statkiem?

– Stanie się odpowiednim pomnikiem w kosmosie, pomnikiem niemożliwych do spełnienia marzeń mego zmarłego brata. Powiedziałem ci, że nikomu się nie przydasz, Elsevier. Zrób to, a nigdy nie będziesz musiała szmugłować.

– Dziękuję. – W oczach zabłysła jej iskierka buntu. – I tak zamierzaliśmy zrezygnować, zrobilibyśmy to, gdyby ostatnia podróż nie okazała się taką całkowitą klęską. To stwarza mi dodatkową możliwość dostarczenia mimo wszystko naszych towarów.

Aspundth skrzywił się lekko.

Gdy inni zaczęli wstawać, Cress rozplótł z wielkim wysiłkiem swe nogi. Moon zerknęła na niego i spostrzegła, że patrzy na nią. Szybko odwrócił wzrok, spojrzał na Elsevier – uśmiechnęła się ponuro.

– A więc to pożegnanie, Elsie?

Moon wstała, pomogła mu się dźwignąć na nogi, gdy wśród osób zgromadzonych wokół stołu zapadła decyzja.

– Cress...

– Weź to za moją część spłaty długu, jaki mamy wobec ciebie, młoda pani. – Wzruszył ramionami.

Elsevier zwróciła się do Aspundtha, lecz Moon ujrzała, jak jego twarz tężeje w odmowie, nim padło pytanie.

– Bez trudu znajdzie inny statek; w waszym... interesie na pewno brakuje astrogatorów.

– KR, są przemytnicy i przemytnicy – powiedziała Elsevier.

– Sądysz, że nie będą chcieli przyjąć na pokład człowieka znajdującego się na czarnej liście za morderstwo? – Aspundth spojrzał ironicznie.

Moon puściła rękaw Cressa.

– W samoobronie! – wybuchnął astrogator. – Tak jest w aktach, w samoobronie.

– KR, naćpany pasażer wyzwał go na pojedynek. Zabiłby go. Ale zasady nie uznają żadnych wyjątków... Naprawdę myślisz, że latałabym z mordercą?

– Nie mogę nawet zrozumieć, dlaczego wysłałaś za mego brata. – Aspundth westchnął w obronie. – Zgoda, Elsevier, choć niemal przeciągnęłaś strunę, wymuszając na mnie obietnicę. Chyba mam jakąś linię żeglugową, której przyda się astrogator.

– Naprawdę? Och, bogowie... – roześmiał się Cress, chwiejąc się jak trzcina. – Dziękuję, stary

obywatelu! Nie pożałujecie tego. – Rzucił Elsevier długie, jasne spojrzenie pełne wdzięczności.

– Mam nadzieję – powiedział Aspundth, przechodząc obok Cressa do Moon. – Czy nie pożałuję tego, co ty zrobisz?

Ujrzała w jego oczach ponury obraz tego, czym byłby jej upadek, nie tylko dla niej, lecz i dla wszystkich innych.

– Nie.

Kiwnął głową.

– Zostań więc ze mną kilka dni, dopóki nie przygotują statku, a nauczę cię wszystkiego, co powinna wiedzieć sybilla.

– Zgoda – dotknęła gardła.

– KR, ona musi...

– Zatrzymuję ją tu dla jej dobra, Elsevier, i dla waszego. – Lekko uniósł głowę.

– Tak... oczywiście – uśmiechnęła się starsza kobieta. – Masz oczywiście rację. Moon... – Poklepała ją po dłoni, odwracając znów oczy. – No, mniejsza o to. Nieważne. – Podeszła do drzwi, nie odwróciła się i nie zobaczyła wyciągniętej ręki Moon. Silky ruszył za nią bez słowa.

– No – uśmiechnął się Cress, na wpół do niej, na wpół do swej nogi. – Życzę ci wiele szczęścia, młoda pani. “Możesz być Królową.” Będę wtedy opowiadał, że cię znam. – Wreszcie spojrzał jej w oczy. – Mam nadzieję, że go znajdziesz. Do widzenia. – Cofnął się, odwrócił i wyszedł.

Moon patrzyła w milczeniu na puste wejście, lecz nikt się w nim nie pokazał.

Moon siedziała sama na huśtawce w ogrodzie, wprawiając ją w ruch nogami. Nad nią śpiewało nocne niebo, setki oddzielnych tonów barw przekształcały się w jeden. Oparła głowę na poduszce, słuchając oczyma. Gdyby je zamknęła, usłyszałaby inną muzykę; słodkie akordy sztuki wokalne Kharemoughi wpadające przez otwarte drzwi, nakładające się na nie świergotanie owadów w krzakach, ostre i gardłowe krzyki dziwnych stworzeń wędrujących po ścieżkach ogrodu.

Spędziła ten dzień tak jak poprzednie, powtarzając ćwiczenia szkolące jej umysł i ciało, wchłaniając taśmy nauczające, dostarczone jej przez KR Aspundtha, poznając wszystko, co Hegemonia wiedziała o sybillach, kim były, jak działały i co stanowiły dla ludności jej planet. Na tym świecie sybille kończyły specjalną szkołę, gdzie podczas nauki kontrolowania transów były chronione i otaczane opieką, tak jak ona sama, mniej starannie, była strzeżona przez Clavally i Danaquila Lu na samotnej wyspie pod innym niebem.

Oprócz jednak przestrzeganego rygorystycznie programu podstawowego, Aspundth i inne sybille Hegemonii dowiadywali się o złożonej sieci, której część stanowili, ogromnego zasięgu technicznego zaklęcia Starego Imperium, rzuconego przeciw zapadającemu zmrokowi. Rozumieli, że Miejsce Nicości leży w głębi maszyny znajdującej się na planecie, której nawet sybille nie potrafiły nazwać. Wiedza ta dawała im siłę znoszenia jego straszliwego nieistnienia, które niemal zniszczyło.

Uczyli się prawdziwej natury swej władzy; umiejętności nie tylko znoszenia ciężaru codziennego życia, ale i ulepszania go; wnoszenia większego wkładu do społecznego i technologicznego rozwoju swej planety, niż zdołałby największy nawet geniusz – bo mieli dostęp do nagromadzonych osiągnięć geniuszy z całej historii ludzkości... jeśli tylko ich ludy miały mądrość i chęć wykorzystania tej wiedzy.

Przekazywano im także wiedzę o charakterze ich niezwykłego “zakażenia”, uczono, jak je wykorzystywać, by bronić siebie przed krzywdą i chronić przed zagrożeniem tych, których kochali. Sybille mogły nawet rodzić dzieci. Sztuczny wirus nie przenikał barier ochronnych łożyska – przez co

przychodziły na świat dzieci nie dziedziczące umiejętności matek, lecz mające większe od innych szansę na zostanie w przyszłości sybillami. Mieć dziecko... leżeć w ramionach jedyne, którego kiedykolwiek kochała, wiedzieć, że mogą być z sobą tak samo, jak zawsze...

Moon usiadła, wyrwana z marzeń przez kroki kogoś przemierzającego podwórko. *Ale on teraz kocha kogoś innego.* Bardziej niż odległość w czasie i przestrzeni zabolęła ją wspomnienie rzeczy dzielącej ich teraz, przywołanej nagle widokiem nadchodzącego KR Aspundtha.

– Moon – uśmiechnął się na powitanie. – Czy pójdziemy na wieczorny spacer? – Codziennie przed nocą szli przez ogrody do małego budynku z marmurowymi kolumnami, znajdującego się w środku krzaczastego labiryntu, gdzie w urnach spoczywały prochy jego przodków. Kharemoughi czcili hierarchię bóstw, gładko przenosząc w niebiosa własne poglądy na społeczeństwo klasowe, przejęli też jako swoje panteony innych planet Hegemonii. Pierwszą warstwę tworzyli wielbieni przodkowie, których sukcesy lub niepowodzenia określały pozycję ich potomków. Aspundth składał pobożne hołdy własnym przodkom; Moon zastanawiała się, czy osiągnięcia ojca ułatwiały mu wiarę w jego boskość.

Wstała z huśtawki. Każdego wieczoru towarzyszyła mu w przechadzce i w odosobnieniu ogrodów omawiali sprawy, których nie rozumiała do końca podczas dziennej nauki.

– Czy jest ci ciepło? Wiosenne wieczory bywają chłodne. Weź mój płaszcz.

– Nie, czuję się dobrze. – Pokręciła głową, buntując się potajemnie. Miała na sobie suknię bez rękawów, jaką wybrała na jednym z pokazów w trójwymiarze. Odnosiła wrażenie, że tych ludzi krępuje nawet widok nagiego ramienia. Nie lubiła być zmuszaną do noszenia więcej, niż chciała, dlatego nosiła mniej.

– Ach, ciężko cię wychować! – roześmiał się, skrzywiła się na to lekko. – Dzisiaj nie masz swego czarującego uśmiechu. Czy dlatego że musisz jutro wracać do portu gwiazdowego? – Zaczęli iść razem. Moon pilnowała się, by stawiać kroki równie wolno jak on.

– Częściowo. – Spojrzała na swe miękkie pantofle, wzory gładkich kamieni pod nogami. Silky całe godziny klęczały na nich zafascynowany... Chętnie zobaczyłaby go znowu, chętniej niż Elsevier; uciekłaby z duszącej doskonałości sztucznego piękna tego świata. Wyczekiwała tych wieczornych przechadzek, podczas dnia KR był zajęty swymi interesami i jej naukę nadzorowała ALV, pilnując, by nikt nie wiedział o pobycie w domu ojca młodej dziewczyny o podejrzanej przeszłości. ALV traktowała ją z szacunkiem ze względu na koniczynkę na gardle, lecz sama jej obecność wystarczała, by Moon potykała się co krok, rozlewała napoje, biła naczynia. Bezlitosna przemądrzałość ALV sprawiała, że miała fatalną wymowę, pytania wydawały się niestosowne, a śmiech nie do pomyślenia. Ten świat bał się śmiać z siebie, tracić panowanie nad sobą, nad Hegemonią, nad Tiamat.

– Czy sądzisz, że trzeba ci więcej czasu? Uważam, że mógłbym cię nauczyć jeszcze paru rzeczy... a czasu niestety mamy mało.

– Wiem. – Zaskoczone zwierzę rozłożyło kryzę migoczących łusek i zasyczało na ich drodze. – Wiem, bardziej gotowa już nie będę. Ale co się stanie, jeśli nigdy nie przygotuję się dostatecznie? – Czowała, jak wraz z poznawaniem prawdy powoli zmienia się jej wiara w siebie, w noszony przez nią tatuaż koniczynki, w symbolizującą ją moc. Ciągłe jednak nie była w stanie wejść w Przekaz, paraliżował ją strach, iż porażka teraz byłaby porażką na zawsze.

– Będiesz gotowa – uśmiechnął się – bo musisz być.

Zdołała odwzajemnić uśmiech, gdy rozumiała to oświadczenie. Były rzeczy w sieci sybilli, których nawet Kharemoughi nie potrafili wyjaśnić, zjawiska niezwykle, nieprzewidywalne, jakby wiedzące wszystko źródło natchnienia sybilli nie było do końca doskonałe. Niektóre z jego

odpowiedzi były takie pogmatwane, że nie potrafił ich rozwikłać żaden specjalista; czasami zdawało się dążyć do własnej zagłady, choć zwykle jedynie reagowało. Tym razem wybrało działanie, a ją jako swe narzędzie... Nie zawiedzie; nie mogła. Co jednak było jej celem, skoro jest już niepotrzebna Sparksowi? *Odzyskanie go. Zrobię to. Mogę to zrobić. Zaciśnęła pięści. Należymy do siebie. Należy do mnie.*

– Tak lepiej – powiedział Aspundth. – O co chcesz mnie zapytać na końcu? Czy jeszcze czegoś nie rozumiesz?

Przytaknęła powoli i zadała jedyne pytanie, które dręczyło ją od początku.

– Dlaczego więc Hegemonia skrywa na Tiamat, że sybille są wszędzie? Dlaczego mówicie Zimakom, że jesteśmy źli albo szaleni?

Skrzywił się, jakby złamała jakieś szczególnie silne tabu.

– Nie mogę ci tego wytłumaczyć, Moon. To zbyt skomplikowane.

– Ale to niesłuszne. Powiedziałaś, że sybille są konieczne, że działają jedynie dla dobra świata.

– Zrozumiała nagle, jakie są zamiary Hegemonii, pojęła, ilu rzeczy się dowiedziała dodatkowo, poza programem.

Wyraz twarzy Aspundtha powiedział jej, że on też to dostrzegł i teraz żałuje, bo nie ma możliwości powstrzymania tego.

– Miałem nadzieję, że nie sprawię, bo nie powinienem, zbyt wielkich szkód mojej planecie. – Odwrócił wzrok. – Musisz wracać na Tiamat, ale będę się modlił, by nie ucierpiał na tym Kharemough.

Nic nie odpowiedziała.

Opuścili pachnącą ścieżkę biegnącą przez kwitnące syllify, poszli labiryntem ze strzyżonych krzewów, aż w jego skrytym sercu ukazała się marmurowa kaplica, odbijająca pastelowe barwy nieba. Aspundth wszedł do cienistego wnętrza, Moon czekała na niego na mokrej od rosy marmurowej ławce. Pojawił się wietrzyk, przynosząc zapach błagalnych kadzideł; zastanawiała się, o co dzisiaj KR Aspundth modli się do swych przodków.

Na kolana sfrunęły jej ptaki o barwach jaskrawych w dzień, teraz pastelowych i szarych, śpiewały coś łagodnie. Gładziła miękkie piórka na ich grzbietach, wiedząc, że to po raz ostatni, że od jutra zamiast spokojnych ogrodów będą Czarne Wrota... Roztarta ramiona, poczuwszy nagle wieczorny chłód.

– Obywatelu, co robicie w moim biurze? – Jerusha spojrzała znad stosów urzędowych odmów, piętrzących się przy końcu komputera, zawałających kąty jej biurka i pokoju.

– Powiedziano mi, bym tu przyszedł. W sprawie zezwolenia. – Sklepikarz skręcał swą chustę, rozdarty między niepewnością a zaczepnością. – Podobno pani ma mi powiedzieć, dlaczego nie słyszałem...

– Tak, wiem. Mógłby się tym zająć każdy sierżant, każdy policjant z połową mózgu! – *Bogowie, gdybym mogła choć przez jeden dzień obejść się bez podnoszenia głosu... choć godzinę.* Przesunęła dłonią po mocno skręconych rudoczarnych kędziorach. – Kto u diabła was tu przysłał?

– Inspektor Man...

– ...tagnes – uzupełniła. – No, wysłał was w złe miejsce. Wracajcie do pierwszego biurka i powiedzcie oficerowi dyżurnemu, by wskazał wam właściwe.

– Ale on powiedział...

– Tym razem nie bierzcie "nie" za odpowiedź! – Wskazała mu drzwi, patrząc już na nie doczytany raport, ciągle czekający na ekranie, by się z nim zapoznała, sięgnęła do przycisku łączności wewnętrznej. – Sierzancie, ruszcie głową i sprawdzajcie tych idiotów! Po co tu, do diabła, jesteście?

– Całe piekło ucieka z tej cholernej... – dokończenie wyzwiska zagłuszyły drzwi zamykające się za sklepikarzem.

– Przepraszam, pani komendant – powiedział ponuro zrugany sierżant. – Czy mam przysłać następnego?

– Tak. – Nie, nie, żadnego więcej. – I dajcie mi Mantag... nie, odwołuję to. – Puściła przycisk głośnika. Mogłaby wywalić Mantagnesę za jego złośliwość... ale gdyby mogła go oskarżyć o otwarty bunt, a nie otwartą niechęć. Komendantem jest już kilka lat, lecz jej pozycja w policji zmieniła się ze złej na gorszą. On wie o tym. Wie, ten drań... Patrzyła tępo na wydruk raportu. Kilka miesięcy temu główny komputer padł, majestatycznie wtrącając w chaos cały ich system danych. Ciągłe jeszcze pracuje z połową zwykłej skuteczności, nawet specjaliści z Kharemough nie zdołali wszystkiego naprawić, ponieważ zabrakło im ważnych części... Od miesięcy stara się uporządkować dane, stara się od godziny uporać z tym jednym raportem, lecz nic się jej nie udaje. Wcisnęła ZGODA i odesłała go bez czytania. *Nic nie wychodzi. Cofa się, jest zagrzebywana żywcem.* – Grzebała w szufladzie wśród zgniecionych, pustych opakowań, szukając w nich strączka iestów. *Do licha, poszły niemal wszystkie* – jak zdołam wytrzymaść?

Drzwi się otworzyły, nim odpowiedziała sobie na to pytanie, wszedł kapitan – *och, bogowie, jak on się nazywa?* – i zasalutował.

– Melduje się kapitan Kerla Tinde, pani komendant – jakby sądził, że go nie pamięta. Przywykła już do zimnego, wyniosłego tonu. W policji nie znoszono jej energii, z małymi tylko wyjątkami, bliska już była odwzajemnienia tych uczuć. Dyscyplina poszła w diabły, nie mogła jednak wszystkich zdegradować, a spróbowała już wszystkiego innego. Nie słuchają jej, bo jest kobietą, tak (niech będzie przekłety dzień, w którym postanowiła być kimś innym)... lecz także dlatego że zajęła miejsce słusznie należące się Mantagnesowi. I przez to, że był to pomysł Królowej. Uważali ją za marionetkę władczyni, a jak mogła udowodnić, że tak nie jest, skoro sznurki Arienrhod oplatały ją jak pajęczyna, trzymały zawieszoną między niebem i piekłem, wysysały jej wolę ciągnięcia dalej?

– Co jest, Kerla Tinde? – spytała, niezdolna do pozbycia się ostrości głosu.

– Pozostali oficerowie poprosili mnie, bym przemówił w ich imieniu, proszę pani. – Zabrzmiało to wyjątkowo niestosownie. – Chcemy, aby skończyło się zmuszanie oficerów do patrolowania

miasta. Uważamy, że to obowiązek zwykłych policjantów; oficerowie niszczą swój autorytet, gdy są zmuszani do prześladowania obywateli na ulicy.

– Wolelibyście raczej, by obywatele prześladowali się nawzajem? – Zbyt łatwo się skrzywiła, wychylając się naprzód. – Jakie ważniejsze obowiązki chcielibyście pełnić w zamian?

– Te, do których jesteśmy przeznaczeni! I bez patrolowania mamy za mało czasu na pracę papierkową. – Jego szeroka twarz odbiła jej skrzywienie, grymas za grymas. Spojrzał znacząco na stosy pudełek z taśmami zawałające biurko.

– Wiem, KerlaTinde – odpowiedziała, też na nie patrząc. – Wycinam ile tylko mogę czerwonych taśm. – *Powinieneś zobaczyć siniaki, jakie zarobiłam za to od Hovanesse.* – Wiem, że padnięcie komputera pogorszyło wszystko dziesięć razy, lecz, do licha, ciągle głównym naszym zadaniem jest chronienie obywateli Hegi i to musi być wykonywane.

– To choć raz dajcie nam coś wartego trudu! – KerlaTinde machnął ręką na nie istniejący widok za oknem. – Lepszego od wyciągania pijaków z rynsztoka. Pozwólcie nam szukać wielkich przestępców, składać oskarżenia, które będą coś znaczyć.

– Nigdy takich nie uzyskacie. To tylko strata czasu. – *Bogowie, naprawdę to mówię? To rzeczywiście ja, ta sama, która stała tam gdzie on i mówiła to, co on powiedział?* Pod biurkiem zgmiotła w bolesną kulkę pustą paczkę iestów. Ale to prawda, co mu właśnie oznajmiła...

Gdy tylko została komendantem, próbowała zgnieść wielkie ryby, o których wiedziała, że kierują tu, w Krwawniku, siatkami międzyplanetarnych przestępców. Wszyscy przeciekli jej między palcami jak woda. Wszelka nielegalna działalność, o którą mogliby być oskarżeni na Tiamat, okazała się być prowadzona przez miejscowych obywateli. A Zimacy podlegali prawu Królowej; nie mogła ich tknąć bez jej zezwolenia.

– Komendant LiouxSked tak nie uważał.

*Akurat.* Nie było jednak sensu tego mówić. Czy LiouxSked znajdował się w takim samym rozwścieczającym impasie? A może Arienrhod przekształciła dla niej społeczeństwo Krwawnika? Nie mogła wytłumaczyć tego ani KerlaTinde, ani nikomu innemu; wiedzieli już, że jest w kieszeni Królowej i żadne jej słowa nie potrafiłyby tego zmienić.

– KerlaTinde, patrolujecie ulice z ważnych powodów, wiecie, że nasilają się napady – za tym także dostrzegają rękę Arienrhod; czytała w oczach oficera, że i o to ją obwinia w miarę zbliżania się do odlotu. Nie dostaniemy już żadnych uzupełnień. Dlatego będziecie patrolować Ulicę, póki nie każę wam przestać; póki ostatni statek nie oderwie się od tej planety.

– Główny inspektor Mantagnes nie...

– Mantagnes nie jest komendantem, do cholery! Ja nim jestem! – Głos jej się załamał. – Ja wydaję rozkazy. Teraz, kapitanie, wyjdźcie z mego biura, nim zrobię was porucznikiem.

KerlaTinde cofnął się, jego oliwkowa skóra pociemniała od urazy. Drzwi odcięły ją od jeszcze jednej nie rozstrzygniętej konfrontacji, kolejnego głupiego błędu.

*Nic dziwnego, że mnie nie cierpią.* Nienawidziła siebie, patrząc na nieprzejrzyste, spolaryzowane okna, jej jedyną osłonę przed wrogością promieniującą z komendy. Szyby odbijały niewyraźnie jej postać, przypominały widmo przekazu holograficznego, skażone odzwierciedlenie fałszywej rzeczywistości. Nie było już Jerushy, kobiety, mocnego ludzkiego ciała; widziała jedynie wiedźmę o zszarpanych nerwach, ostrym jak nóż języku i paranoicznych złudzeniach. Kogo, u diabła, oszukiwała? To jej wina, nie nadaje się do tej pracy, zawodzi... jest roztrzęsiona, słaba, ulegająca emocjom, kobieca. Odchyliła się w fotelu, spojrzała na swe ciało, dostrzegając prawdę, której nie mógł skryć nawet gruby mundur. A nigdy nie miała dość odwagi, by przyznać, że winna jest ona, a nie jakiś szatański spisek Królowej. Nic dziwnego, że jest pośmiewiskiem.

A jednak – widziała twarz Królowej u tej Letniaczki. Widziała wściekłość Królowej na wiadomość o utracie dziewczyny. Widziała LiouxSkeda walającego się we własnych odchodach – bez żadnego zrozumiałego powodu poza zemstą Arienrhod. Nie przegapiła prawdy! To Królowa systematycznie ją od niej odciąga.

Nic jednak nie mogła zrobić, nic. Próbowwała wszystkiego, lecz nie było żadnego wyjścia – nabierała tylko przekonania, że bezpowrotnie traci swą karierę, przyszłość, wiarę we własne możliwości. Jej kariera legła w gruzach, raport o jej dowództwie okaże się jedną długą listą porażek i skarg. Koniec ich pobytu na Tiamat oznaczać będzie kres wszystkiego, do czego dążyła, czego pragnęła. Arienrhod niszczyła ją także, nie tak szybko jak LiouxSkeda, lecz dzięki temu mogła patrzeć na każdy szczegół jej pełnej cierpień drogi do zagłady.

Na dobitkę Arienrhod musiała rozumieć, że nie zrezygnuje, że dalej będzie przeczyć swemu przeznaczeniu – jak robiła to zawsze, przez całe życie. Bo rezygnując teraz i opuszczając Tiamat, składając dymisję, przyznałaby, że wszystko to było na próżno. Gdy skończą z tym światem, i tak okaże się, że wszystko zostało zmarnowane, lecz do tej pory nawet piekielne zagadki jej marzenia są lepsze od życia bez żadnych marzeń.

Nie może uderzyć w Królową, nie może się jej odwzajemnić choćby najmniejszą przykrością. Przypadkowo zepsuła jeden plan Arienrhod, mający na celu zachowanie władzy przez Zimaków. Nie dało to jej jednak choćby chwili satysfakcji, bogowie świadkami, a potem nie natrafiła na najmniejszy nawet ślad nowych sieci snutych przez Królową Nocy. Nie wątpiła, że będzie nowy plan... lecz wiedziała także, że tym razem Hegemonia, w jej osobie, nie zdoła zapobiec jego wprowadzeniu w życie. A ta porażka stanie się ukoronowaniem jej własnej zagłady.

Miała jeszcze czas. Walka nie jest jeszcze rozstrzygnięta, musi się rozejrzeć...

– Słyszysz, suko? Dorwę cię jeszcze, klnę się na Bękartą! Nie załamie się, nie zdołasz mnie zniszczyć, nim...

Drzwi znowu się otworzyły, przerywając jej słowa, wszedł policjant i jednym szybkim spojrzeniem sprawdził, że jest sama. Postawił na biurku jeszcze jeden pojemnik z zapieczętowanymi danymi i zerknął ukradkowo.

– No, na co się gapicie?

Zasalutował i wyszedł.

*Znowu dałam powód policji do plotek. Jej zdecydowanie uległo zachwianiu. Skąd możesz wiedzieć, czy już nie straciłaś rozumu...?* Sięgnęła po nowy pojemnik, lecz chwyciła jeden arkusz wydruku leżący pod nim. Wyrwała go i przeczytała jedną linijkę: LISTA SKARG. Zgniotła kartkę w dłoniach. Kto położył to tutaj? Kto?

Zabrzączał głośnik komunikacji wewnętrznej; nie ufając swemu głosowi, włączyła go w milczeniu.

– Wiadomość radiowa z zewnątrz, pani komendant. Nadawca nazywa się Kenneth czy jakoś tak. Czy mam przełączyć?

*Ngenet?* Bogowie, nie może teraz z nim rozmawiać, nie w takim stanie. *Czemu, u diabła, wybiera najmniej stosowne chwile, czemu znów się jej naprzykrza?*

– Chce się też z panią zobaczyć inspektor Mantagnes.

– Przełączcie na mnie rozmowę. – *Co powiedziałam? Co?* – Przekażcie Mantagnesowi, by... – Zacisnęła zęby. – By zaczekał.

Usłyszała z głośnika trzaski zakłóceń, potem znajome zniekształcenie znajomego głosu.

– Halo? Halo, Jerusha...

– Tak, Miroe! – Z nagłym przypiływem przyjemności uznała, że to miło słyszeć kogoś

rozmawiającego z nią chętnie, z własnej woli... uświadomiła sobie nagle, jak wiele daje jej jego przyjaźń. – Bogowie, dobrze, że znowu cię słyszę. – Uśmiechała się, wreszcie uśmiechała.

– Nie słyszę cię... paskudny odbiór! Kiedy... znowu przylecisz na plantację... na jakiś dzień...? Minęło tyle czasu, odkąd mnie odwiedziłaś!

– Nie mogę, Miroe. – Kiedy to było? Minęły miesiące, odkąd przyjęła jego zaproszenie, rozmawiała z nim – miesiące, odkąd poświęciła dzień czy godzinę dla siebie, na coś, co wywołało u niej uśmiech. Nie może, nie może sobie na to pozwolić.

– Co?

– Powiedziałam, że... że... – Zobaczyła swoje odbicie na ścianie, twarz klawisza, twarz więźnia w celi. Dotknął ją ciemny palec lęku. – Tak! Tak, przylecę. Przylecę wieczorem.



– No dobra, pijawki. Zostawiam was teraz. – Tor cofnęła się, licząc na pokrętną łaskę, licząc wbrew nadziei. Niechcący odsłaniając więcej ciała, niż zamierzała, zaczęła w pochyleniu niesamowicie kręty bieg z przeszkodami. Holograficzne monety statków i rój meteorów splatały się nieuchwytnie na szydełkowej czapce, która przytrzymała jej kruczą perukę. Fałdy jej jedwabnego kombinezonu odbijały niebieskie płomienie, przypominające ogień spawarki; nie osłonięte ciało błyszczało w mroku groźną lawendą.

Z tłumy dobiegały ją gwizdy i protesty; grała ze stałymi klientami, tak jak jej powiedziano, tracąc tyle i wygrywając, by nabrali przekonania o uczciwości interesu. Pijawki. Ku jej wielkiemu zdziwieniu gry były przeważnie prowadzone uczciwie. Były po prostu tak złożone, że zwykły człowiek nie miał szans na ich rozgryzienie. Gdy pomyślała o straconych przez nią godzinach i pieniądzach, równie rozrzutnie i głupio, jak przez każdego z tych naćpanych tumanów, kręciła z oburzeniem głową w czarnych loczkach. Choć teraz nie jest już tak źle, znała już szyfry, które pozwalały jej potajemnie sterować wynikami gier.

Nie, prowadzenie kasyna, będącego przykrywką dla interesów Źródła na tej planecie, jest całkiem dobre. Była Gospodynią, oficjalną właścicielką Piekła Persefony, niezaprzeczalnie najlepszej jaskini gry w Krwawniku. A na boku zajmowała się innym potajemnym handlem, który zlecał jej Źródło – głowa pozaziemskiego podziemia przestępczego na Tiamat. Częścią polityki Królowej było wyznaczanie zdolnych Zimaków jako przykrywek dla nielegalnej działalności pozaziemców, tak by panowie występku mogli mieć zapewnioną całkowitą bezkarność, wolni byli od prześladowania przez policję Hegi. Pracując dla Źródła, była już czterokrotnie aresztowana przez Sinych, lecz musieli ją przekazywać straży Królowej, która ją po prostu puszczała.

– Hej! – Zerknęła przez balet ruchliwych postaci, starając się dokładniej dojrzeć pozaziemca, który właśnie wszedł zza zasłony drobnych, lśniących lusterek, ciągnąc za sobą żywego trupa.

– Polluks! – Wcisnęła mikrofon na bransoletce, potęgując krzyk, którym zagłuszyła dudniącą wokół muzykę. Robot zjawił się przy niej ze swą uspokajającą siłą stali. – Ten zboczeniec, który właśnie wszedł, wyrzuc go znowu. Nie potrzebujemy jego interesów. – Wskazała na niego, próbując nie widzieć, czy żywy trup jest mężczyzną, czy kobietą, ani nie dostrzec żadnego szczegółu jego postaci. Mdlilo ją od samego widoku żywych zwłok, podobnie jak na myśl o ludziach z nich korzystających.

– Jak powiedziałaś, Tor. – Polluks ruszył z prostolinijnym zdecydowaniem. Był lepszym wykidajłą od wszystkich pracujących tu ludzi, wykupiła jego kontrakt.

Wszystko szło tak doskonale... śmiesznie, jak bardzo. Nawet Herne... Odwróciła się, oparła łokciem o koniec czarnego jak węgiel krzywego kontuaru. Dziwny, pochłaniający światło materiał wysysał ciepło z jej skóry; zadrżała i wyprostowała się. Herne siedział dalej, nadzorując rzędy automatów serwujących alkohole i narkotyki, oburzająco popularny anachronizm. Ustanowienie go kierownikiem baru, przy którym goście tracili zahamowania wraz z pieniędzmi, było jej najlepszym pomysłem. Zwierzali się przed sobą, i jeszcze chętniej przed nim, a wszystko, czego się dowiedział, przekazywała Dawntreaderowi, który po tylu latach nadal rzucał się na wszystkie wieści jak nałogowiec.

Któż by pomyślał tamtego dnia w alejce Fate, kiedy to Dawntreader niemal jej nie zadusił, że dzięki jego złemu humorowi dojdzie do tego? Dzięki uratowaniu Herne'a i kontaktom Dawntreadera wznosiła się szybciej i wyżej, niż mogłaby kiedykolwiek zamarzyć.

– Hej, Persefono, dziecino, Źródło cię potrzebuje. – Nagle pojawił się za nią Oyarzabal, jeden z

pomocników Źródła. Objął jej talie, ścisnął groźnie pod rąbkiem zmysłowej sukni wieczorowej.

Powściągnęła silne pragnienie wbicia mu łokcia pod zebra. Po opuszczeniu doków nauczyła się z trudem pewnego taktu i wyrafinowania, opanowanie nowego terenu opłacała siniakami. – Ostrożnie. Uruchomisz alarm przeciwko złodziejom. – Odsunęła jego dłonie, ale niedaleko. Oyarzabal to oferma, bo woli ją od łatwych, eleganckich dziewcząt, od których się tu roiło, mimo to zbyt go nie zrażała. Był kiedyś parobkiem na Wielkiej Niebieskiej, pociągał ją na swój prostacki sposób. Parę razy poszła z nim do łóżka i zbyt go nie rozczarowała. Zastanawiała się nawet, czy nie namówić go do małżeństwa przed ostatecznym odlotem i na dobre rzucić Tiamat.

– Hej, słodziutka, może potem ty i ja...

– Dziś jestem umówiona. – Ruszyła, nim mógł znowu ją chwycić, zmiękla trochę, na tyle, by się uśmiechnąć. – Spróbuj jutro.

Rozjaśnił się, zęby miał wykładane sztucznymi diamentami. Znowu się odwróciła, kręcąc głową.

Przepchała się przez tłum do drzwi prowadzących do prywatnych pomieszczeń Źródła, składających się z biur i strzeżonych miejsc spotkań – pilnowanych nie tylko przez ukrytych ludzi, ale też najbardziej wyrafinowane urządzenia przeciwposłuchowe, jakie można było dostać za pieniądze. Gdy tylko się dowiedziała, że Herne jest Kharemoughi, zapytała go o możliwość wykorzystania ich legendarnej sprawności technicznej do śledzenia interesów Źródła. Nie potrafił jednak uporać się ze strażnikami elektronicznymi i w końcu zrozumiała, że nie wszyscy Kharemoughi rodzą się z wiedzą, jak zmienić rudę w komputer. Musiała więc zadowalać się śledzeniem, kto i kiedy dzwoni do Źródła, domyślając się jedynie po co.

Sama niezbyt lubiła, jak ją wzywał. Drzwi do biura otworzyły się, gdy do nich doszła, z uprzedzeniem, jakiego nauczyła się spodziewać, i wpuściły ją do środka. Wewnątrz zamrugała gorączkowo i zwolniła. Pokój był jak zawsze tak ciemny, że niemal nic nie widziała. Kadzidla wypełniały powietrze wszechobecną słodyczą. Podniosła rękę, by przetrzeć oczy, zatrzymała ją w porę, nim zniszczyła wymalowane na powiekach wspaniałe kwiaty. Zrezygnowana opuściła dłoń, gdy z mgliście czerwonego tła zaczął się wyłaniać ciemny kształt – sylwetka Źródła; nigdy nie widziała niczego więcej.

Oyarzabal powiedział jej kiedyś, że Źródło choruje i jego oczy nie znoszą światła. Nie wiedziała, czy w to wierzyć, czy przyjąć, że woli nie ukazywać swej twarzy. Czasami, gdy jej wzrok przystosowywał się powoli do ciemnej poświaty płynącej od czerwonej ściany za jego plecami, miała wrażenie, że ta twarz jest zniekształcona. Nigdy jednak nie była tego pewna.

– Persefona – mówił szorstkim szeptem. Nie wiedziała, czy to jego prawdziwy głos. Był w nim nie znany jej akcent.

– Jestem, panie. – Wybrany przez niego sposób zwracania się nabierał w mroku nowych, posępnych znaczeń. Poprawiła niespokojnie perukę, poczuła, jak z nagłego napięcia swędzi ją pod nią skóra. Wiedziała, że doskonale widzi w ciemności, i za każdą wizytą zbierała siły, by znieść jego oględziny.

– Obróć się.

Zrobiła zwrot na grubym dywanie, zastanawiając się bezsensownie, jakiego jest koloru, czy po prostu nie czarny.

– Lepiej... tak, teraz bardziej mi się podoba. Nigdy nie będziesz piękna, wiesz o tym, nauczyłaś się jednak to ukrywać. Przebyłaś długą drogę. Nie przypuszczałem, że aż tak długą.

– Tak, panie. Dziękuję, panie. – Co ty powiesz. Nie mówiła mu, że pozwalała Polluksowi wybierać dla niej stroje. Jego całkowicie bezstronny osąd przewyższył jej własny niepewny smak w

wyborze stylu najbardziej odpowiedniego dla jej niezgrabnego ciała. Jak powiedział Źródło, peruką i makijażem skrywała swą bezlitosną pospolitość.

– Jak jednak ktoś może znieść bez cierpień porównywanie do ideału...? – Jego głos odpłynął, zamilkł na sekundy wlokące się jak godziny. Raz, kiedy pozwolono jej odczytać listę poleceń w słabym, czerwonym świetle latarki, dostrzegła na biurku twarz kobiety w kostce obrazowej. Jaśniała wielką, pozaziemską urodą, otaczała ją mgła opiętych złotą siatką kruczych włosów. Zrozumiała z nagłą niechęcią, dlaczego nosi takie same włosy, dlaczego nosiły je wszystkie jej poprzedniczki; dlaczego jak i one nazywa się Persefona. Zdumiała się, że taki człowiek jak Źródło może aż tak bardzo kochać czy nienawidzić kobietę, by stała się dla niego obsesją. Przechodziły ją ciarki na myśl, że jest odbiciem tej obsesji. Otrzymywała jednak za to tak wysoką cenę, że nic nie mówiła.

– Jak dzisiaj interesy?

– Naprawdę dobrze, panie. W porcie gwiezdny mieli dziś wypłatę, jest wyjątkowo tłoczno.

– Czy udał się ostatni interes? Czy miałaś dostateczną różnorodność, by zadowolić pewnych prywatnych nabywców?

– Tak, Coonabarabran miał rację, mówiąc, że da radę, by wszystko mu zostawić. Jesteśmy w stanie zapewnić dziś wszelkie przyjemności. – Była pewna, że zna już odpowiedzi na te pytania, tak iż zawsze odpowiadała uczciwie. Nie prosił jej o spełnianie wszystkich jego żądań – nie potrafiła się przekonać do handlu narkotykami, oderwać się umysłowo od jego skutków. Źródło doglądał i parzył się wieloma innymi nielegalnymi procederami, niektóre były ponad jej wytrzymałość. Zawsze jednak znajdował się ktoś mniej wrażliwy.

– Dobrze... spodziewam się dzisiaj szczególnie ważnego gościa. Upewnij się, czy wewnętrzny pokój spotkań jest bezpieczny i odpowiednio przygotowany. O północy znajdzie się przy bocznym wejściu. Nie można pozwolić jej czekać.

– Tak, panie. – Jej? Mało która kobieta z podziemia mogła liczyć na podobną troskę przy spotkaniach ze Źródłem.

– To wszystko, Persefono. Wracaj do gości.

– Dziękuję, panie – powiedziała pokornie. Drzwi otworzyły się i wyszła, ponownie mrugając, do białego blasku następnej sali. Westchnęła, gdy drzwi zamknęły się za nią. Odchodziła bez urazy, że uznał ją za nieatrakcyjną, jedynie z ulgą. Znajdował się całkowicie poza skalą jej ambicji i w głębi serca bardzo się go bała, ze wszystkich racjonalnych powodów – a także z tych, dla których dziecko boi się ciemności.

Ariehrod szła za ponurą postacią Persefony przez prywatne korytarze prowadzące do wewnętrznego pokoju spotkań Źródła. Przez bariery ścian dochodziły ją stłumione odgłosy kasyna w postaci głębokiego dudnienia, będącego bardziej wibracją, niż prawdziwym dźwiękiem, przenikającego jej piersi jak ręka śmierci. Jest to bardziej odpowiednie, pomyślała, niż bezduszna radość grających tłumów, bo zdradza prawdziwą naturę potęgi Źródła, ukrytej w jego zacienionych salach. Persefona stanęła przed zamkniętymi drzwiami wyglądającymi tak samo, jak inne przez nich mijane, i skinęła ręką. Królowa podeszła, a gospodyni dotknęła dłonią płytki w drzwiach – sygnał przybycia, zdołała to już zauważyć. Persefona schyliła głowę z roztargnionym szacunkiem i odeszła. Ariehrod była pewna, że została przez nią rozpoznana, zastanawiała się, co by pomyślała, dowiadując się, że Tor Starhiker/Persefona jest jako pionek Sparksa Dawntreadera znana Królowej.

Drzwi otworzyły się przed nią, ukazując mrok, i odsunęła od siebie wszystkie inne myśli. Odrzuciła kaptur opończy barwy cienia i weszła śmiało, nie czekając na zaproszenie. Gdy tylko przekroczyła próg, drzwi zamknęły się za nią, odcinając całkowicie od światła. Jak zawsze złapała ją w swe ciężkie łapy panika. Nagle trudno jej przyszło uwierzyć, że wkracza na inny poziom, do

bezlitosnej, tajemnej sieci międzygwiazdowego występku – opuszcza znany, rządzony przez nią świat. Była zgubiona... Jej mechaniczni szpiedzy zaglądali do każdego zakątka miasta, nie mogli jednak przeniknąć do tego miejsca, strzeżonego przez jeszcze potężniejsze i nowocześniejsze urządzenia... ta wciskająca się wszędzie ciemność próbowała zdławić jej wolę i pochłonąć opanowanie. Stała sztywno, aż minęła ta chwila i doszła do siebie. Mrok... to diabelnie skuteczna sztuczka. Trzeba o niej pomyśleć.

– Wasza Wysokość. Zaszczycacie mą skromną siedzibę – zasyczał na powitanie z dziwnym akcentem zniszczony głos Źródła (mówi jak trup, czy to też sztuczka?). – Proszę usiąść, poczuć się wygodnie. Nie ścierpiałbym, że kazałem Pani stać.

Arienrhod zauważyła zamierzony dobór słów, nawiązanie do jej barbarzyńskiego dziedzictwa. Nie odpowiedziała, podchodząc śmiało do miękkiego fotela po drugiej stronie dzielącego ich pustego stołu. Od pierwszego spotkania, kiedy to została zmuszona do upokarzającego błakania się po omacku, na następne jego wezwania nie zapominała nakładać wzmacniających światło szkielek kontaktowych. Dzięki nim mogła dostrzegać ogólne zarysy pokoju, łącznie z mglistą sylwetką samego Źródła. Mimo usiłowań nie zdołała uchwycić rysów jego twarzy.

– Wasza Wysokość, czego pragniecie? Mam pełny wybór przyjemności dla zmysłów, jeśli sobie pobrażacie. – Uczynił szeroki gest, ledwo dostrzegalny.

– Nie dzisiaj. – Nie określała go żadnym tytułem, odmawiając uznania tego, czego żądał od innych swych klientów. – Nigdy nie łączę interesów z przyjemnościami, chyba że jest to konieczne. – Poczula, jak w zaciemnionym pokoju zwiększa się wrażliwość jej innych zmysłów i jak okaleczony wzrok stara się nad nimi zapanować.

Ochrypiły chichot.

– Co za szkoda. Co za marnotrawstwo, czy nie ciekawi was nawet, co tracie?

– Przeciwnie – powiedziała, odrzucając jego łaskawe traktowanie. – Niczego nie tracę. To dlatego jestem Królową tego świata. I dlatego jestem tutaj. Zamierzam pozostać Królową Tiamat po tym, jak odleciecie stąd wraz z resztą pozaziemskich pasożytów. By to jednak zapewnić, muszę wystąpić o wasze wątpliwe usługi na skalę większą, niż miało to miejsce w przeszłości.

– Przedstawiacie sprawy tak delikatnie. Jak mężczyzna może odmówić wam czegokolwiek? – Głos miał twardy jak żelazo. – Wasza Wysokość, co macie na myśli?

Położyła łokieć na tłumiącej zmysły poręczu fotela. Jak ciało. Jakby dotykała ciała.

– Chcę, by podczas Świąta coś się stało, coś, co spowoduje chaos – kosztem Letniaków.

– Macie pewnie na myśli wypadek podobny do tego, jaki spotkał poprzedniego komendanta policji, lecz oczywiście na znacznie większą skalę. – Jego głos nie zdradzał żadnego zdziwienia; zarazem uspokajało to ją i drażniło. – Może narkotyki w dostarczanej wodzie.

*Dlaczego jednak miałoby to mnie drażnić? To mój pomysł.* – Żadnych narkotyków. Mogłyby zaszkodzić i moim ludziom, a tego nie chcę. Musimy zachować kontrolę. Miałam na myśli epidemię, taką, na jaką większość Zimaków zostałaby zaszczepiona. Letniacy byłiby wobec niej bezbronni.

– Rozumiem. – Lekkie skinięcie. – Tak, można to załatwić, choć będzie to z mojej strony wielka zdrada Hegemonii, jeśli dam wam środki umożliwiające zachowanie władzy. Dla naszych interesów najbardziej korzystne jest utrzymanie władzy nad dzikusami nawet po odlocie.

– Interesy Hegemonii są sprzeczne z waszymi – warknęła. Nie jesteście bardziej wobec niej lojalni niż ja. – Zapach kadzideł w powietrzu był zbyt mocny, jakby coś skrywał.

– Nasze interesy pokrywają się w kwestii wody życia – usłyszała jego uśmiech.

– Wymieńcie więc swą cenę. Nie mam czasu na brnięcie w mroku. – Zaostrzyła swój głos, dźgnęła nim w jego chamską bezkształtność.

– Chcę łupów z trzech Łowów. Wszystkich.

– Trzech! – roześmiała się krótko, nie przyznając, że nie spodziewała się po nim mniejszego żądania.

– Wasza Wysokość, ile wynosi okup za królową? – Otaczająca ich ciemność niemal namacalnie przesycała jego głos; uświadomiła sobie znowu, o ile lepszy miała słuch, starający się wyrównać brak widoku jego twarzy. – Jestem pewien, że policja bardzo by się zainteresowała tym, co szykujecie dla tego świata. Ludobójstwo jest poważnym zarzutem – zwłaszcza wobec własnego ludu. Czego się jednak można spodziewać po rządach kobiety... Jak wiecie, w Hegemonii kobiety nie panują. Na wielu planetach jest sporo miejsc, w których złamano by nawet twoją butę, Arienrhod.

Ręce Arienrhod zacisnęły się od niespodziewanego natężenia jego nienawiści, straszliwy cios rozpalonego do białości potępienia przebił się przez zaciągnięte kurtyny mroku. Rozpoznała szczególnie odór tkwiący pod zapachem kadzideł... odór choroby czy rozkładu. Nie odważy się.

– Nie groź mi, Thaninie Jaakola. Możesz sobie być panem niewolników na Wielkiej Niebieskiej, człowiekiem odpowiedzialnym za dużą część nieszczęść na siedmiu różnych światach – pozwoliła mu poznać swą prywatną wiedzę – lecz do Zmiany jest to mój świat, Jaakola, i przebywasz na nim tylko dlatego, że na to pozwalam. Cokolwiek spotka mnie, spotka i ciebie, bo jeśli coś mi się stanie, utracisz ochronę przed prawem. Jestem pewna, że jest wiele miejsc, gdzie i ciebie by upokorzono. – *Jestem pewna, że nigdy nie zapomnisz tej chwili.* – To, o co cię proszę, jest rzeczywiście ryzykowne, lecz i proste. Jestem też pewna, zważywszy na twe zasoby, że załatwisz to bez trudu. Dam ci cały łup z ostatnich Łowów Starbucka... to wartość okupu za Królową, dla ciebie i dla każdego innego.

Ciemność wzmacniała ich oddechy i jego milczenie. Arienrhod też się nie odzywała. Wreszcie wychwyciła lekkie skinienie głową i usłyszała:

– Tak. Załatwię tę sprawę za umówioną cenę. Z radością będę myślał o tobie rządzącej Tiamat po naszym odlocie – bez wody życia, która utrzymywałaby twą młodość. Panowanie nad Krwawnikiem po naszym odejściu... wiesz sama, że bez nas będzie to inne miejsce. Naprawdę inne. – Jego śmiech ciągnął się jak guma.

Arienrhod wstała bez dalszych uwag; dopiero gdy odwróciła się do niego plecami i podeszła do drzwi, pozwoliła sobie na grymas.

– Gdzie, u diabła, idziesz?

Tor spojrziała z poczuciem winy, gdy dobiegł ją z korytarza ten głos – głos Herne'a, mijała właśnie pokój, jaki przygotowała dla niego w kasynie. Większość innych pomieszczeń przy tym korytarzu zajmowały prostytutki i ich klienci. Na zewnątrz jednak wstawał nowy dzień i było pusto, kasyno zamykano na krótko, zapewniając odpoczynek i odzyskanie sił.

Tor obejrzała się z rozmyślną powolnością i spojrziała na Herne'a. Opierał się ciężko o framugę drzwi, jego bezsilne nogi otaczał niezgrabny, sztucznie napędzany szkielet wewnętrzny, dzięki któremu mógł się jakoś poruszać. Krótka, wycięta szata narzucona beztrudnie stawiała go na skraju nieprzyzwoitości. Skrzywiła się.

– Mam ważną randkę. Co cię to obchodzi, babciu?

– Idziesz tak ubrana?

Zerknęła na swój kombinezon; ujrzała w zwierciadle pamięci własną twarz pozbawioną malowideł – swą ponurą, prawdziwą osobę, zmęczoną udawaniem, że jest kimś innym, z chęcią patrzącą na cienkie, mysie włosy, wystające spod peruki i złotej czapeczki.

– Czemu nie?

– Tylko ty możesz zadać takie pytanie – prychnął z niezadowoleniem, szarpnął za swą szatę. Miał przekrwione oczy, twarz obwisłą ze zmęczenia i nadużywania narkotyków.

– Gdybym cię ubierał, starając się cię zmienić, wydatki niewiele by dały. – Widziała, jak w zadowoleniu zaciska wargi. Czas nie uczynił jej podobną jemu. I nigdy nie uczyni. Była umówiona na spotkanie ze Sparksem Dawntreaderem, nie na randkę z kochankiem; lubiła go teraz nawet mniej niż Herne'a. Z trudem przypominała sobie wystraszonego Letniaka, którego znalazła na alejce. Ona zmieniła się zewnętrznie od tego dnia, czasami z trudem rozpoznawała swą twarz, ale wiedziała, że jeśli odrzuci wszystkie przebrania, zawsze odnajdzie siebie. Obserwowała wewnętrzne przeobrażenia w Sparksie Dawntreaderze, sprawiały wrażenie, jakby był poddawany powolnemu dławieniu przez coś nieludzkiego...

– Na miłość bogów, czemu tu sterczysz w korytarzu jak kołek w płocie? Szpiegujesz dla mnie, a nie mnie, zapomniałeś? Łyknij sobie i idź spać; jak będziesz mógł pracować, skoro cały dzień jesteś na nogach? – Wolały spać bezpiecznie w swych eleganckich pokojach na górze, a nie wychodzić na niewdzięczne spotkanie ze świtem.

– Nie mogę spać. – Pochylił głowę, potarł twarzą o ramię. – Nie mogę już spać, wszystko tu śmierdzi... – przerwał i spojrzał na nią nagle, szukając czegoś bez skutku. Twarz znowu mu stwardniała. – Zostaw mój tyłek w spokoju!

– No to odstaw narkotyki. – Ruszyła dalej.

– Co ona robiła tu w nocy? – zatrzymał ją głosem.

Tor znowu się zatrzymała, rozpoznała nacisk na słowo, wiedziała, że i on wie, kto o północy przechodził tędy do Źródła. Arienrhod, Królowa Śniegu. Była otulona w ciężki płaszcz, tak jak i jej goryl, lecz Tor była Zimakiem, poznała swą władczynię. Zdziwiła się, że uczynił to i Herne, że obchodzi go, co tu robiła.

– Przyszła na spotkanie ze Źródłem. Po co, możesz się domyślać tak samo jak ja.

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

– Mogę się domyślać, czego nie robili. – Rozejrzał się po korytarzu, znów zerknął na nią. – Zbliży się ostatnie Święto; nadciąga dla Arienrhod kres wszystkiego. Może jednak nie jest wcale gotowa na oddanie wszystkiego Letniakom? – Uśmiechnął się twardo, z niezrozumiałą radością.

Tor stała cicho, rozważając, czy Zmiana nie jest nieunikniona.

– Musi. Tak zawsze było; inaczej doszłoby do... wojny czy czegoś takiego. Zawsze się na to godziliśmy. Gdy Letniacy nadejdą...

Prychnął drwiąco.

Tacy jak ty godzą się na Zmianę! Tacy jak Arienrhod sami dokonują zmian. Czy zrezygnowałabyś ze wszystkiego, będąc Królową od stu pięćdziesięciu lat? Gdybyś mogła zajrzeć do oficjalnych zapisów, postawiłbym wszystko, że przekonałabyś się, iż każda poprzednia Królowa Śniegu starała się zachować Zimę na zawsze. I żadnej się nie udało. – Uśmiechnął się znowu. – Żadnej.

– Co możesz o tym wiedzieć, cudzoziemcze? – Tor machnęła ręką, lekceważąc jego wymysły. – To nie twój świat. Nie jest twoją Królową.

– Jest nią. – Uniósł wzrok, lecz nad nimi był tylko sufit. Odsunął się, powłócząc nogami w żelaznej klatce, odwrócił się od niej. – Arienrhod będzie zawsze Królową mego świata.

*Czas się cofa.* Tak jak poprzednio Moon wisiała zawieszona w otoczonym przyrządami kokonie w sercu statku. Wszystko takie samo jak kiedyś... nawet wstrząsający widok Czarnych Wrót na ekranie przed nimi. Jakby nigdy ich nie pokonywała, jakby nigdy nie postawiła nogi na innej planecie, nigdy nie została wtajemniczona u źródła wiedzy pod kierunkiem obcego, sybilli, która nie miała prawa istnieć w jej wszechświecie. Jakby przez jedną, fatalną chwilę nie utraciła pięciu lat życia.

– Moon, moja droga. – Z góry dobiegł ją niepewny głos Elsevier; przynaglał ją łagodnie ze spokojnym natężeniem. Niewidzialna pajęczyna kokonu już ją zamknęła, tak iż nie mogła spojrzeć w jej twarz. Było jej coraz trudniej oddychać, a może to ścisnęło ją własne napięcie. Zamknęła oczy, poczuła drżenie przechodzące przez statek; grożące mu nieuniknionym zniszczeniem, chyba że ona... Znów otworzyła oczy, by spojrzeć w straszliwą twarz sądu.

Ale Czarne Wrota nie są obliczem Śmierci – to jedynie zjawisko astronomiczne, dziura w kosmosie wybita na początku czasu, zapadająca się stale w siebie. Osobliwość jego jądra leżała w jakiejś innej rzeczywistości, w nie kończącym się dniu, zdającym się jej niebem dla umierających słońc tej nocy. Wokół tego jądra tkanka przestrzeni skręcała się w gigantycznym wirze studni grawitacyjnej czarnej dziury. Pomiedzy zewnętrzną rzeczywistością znanego jej wszechświata a wewnętrzną osobliwości leżała strefa, w której osiągalna jest nieskończoność, w której przestrzeń i czas zmieniały biegunowość, gdzie można było przemieszczać się między nimi bez ograniczeń prawami zwykłej czasoprzestrzeni. Tę dziwną otchłań przebijały kanaliki, pierwotne rany powstałe przy wybuchu rodzącym wszechświat i spowodowane niezliczonymi oddzielnymi trupami umierających gwiazd. Przy odpowiedniej wiedzy i właściwych przyrządach statek gwiazdny mógł przeskoczyć jak myśl z jednego kąta znanego kosmosu w drugi.

Nawet statki gwiazdne Starego Imperium, podróżujące szybciej od światła, korzystały z tych Wrót, ponieważ nie mogły pokonywać natychmiastowo odległości międzygwiazdnych. A teraz, gdy najbliższe znane źródło rzadkiego pierwiastka koniecznego przy napędzie gwiazdym znajdowało się w układzie planetarnym oddalonym od Kharemough o tysiąc lat świetlnych, jego statki nie mogły dotrzeć tam bezpośrednio nawet w ciągu tygodni czy miesięcy. Zrobiłyby to powtórnie tylko wtedy, gdyby zostały wysłane do tamtego układu po to, by odzyskać napęd gwiazdny, a z nim przynieść Nowe Tysiąclecie.

Mimo iż ekran ukazywał jedynie drobny ułamek całkowitego promieniowania czarnej dziury, nie mogła dostrzec, co leży w jej skrytym jądrze. Światło, które wpadło w dziurę, nigdy się z niej nie wydostanie. Widziany przez nią oślepiający blask był obrazem zamrożonym na granicy widzialności tego wszechświata. Wszystkie drogi wszystkich rzeczy, które kiedykolwiek prowadziły do Wrót – statków, pyłu, żywych istot – zabarwiały się tam na czerwono na horyzoncie czasu; krzyk rozpaczony odbijał się echem w całym zakresie fal elektromagnetycznych, rozbrzmiewał ciągle przez całą wieczność.

Jak modlitwę powtarzała litanie wszystkiego, czego się dowiedziała: wierzy, iż sybille są powszechną prawdą; wierzy w umiejętności i mądrość Starego Imperium; wierzy, iż Miejsce Pustki nie jest krainą Śmierci, że nie jest straszniejsze niż martwe komórki mózgu komputera.

Ma to zrobić; nie zawiedzie. Można przekroczyć każde wrota, nie ma otchłani przestrzeni czy czasu, której nie da się pokonać, żadnej przepaści niezrozumienia czy wiary, nie ma, dopóki tylko trwa przy swym celu. Skupiła wzrok na obrazie na ekranie, wchłaniała go świadomie. Wypowiedziała znajome/obce słowo, które wreszcie pojawiło się na jej wargach. Wejście... 1

runęła w mrok.

\* \* \*

*Koniec analizy.* Z dala dobiegł ją krzyk sybilli, oznaczający koniec Przekazu, wznosił się na złotych skrzydłach w spiralnym tunelu, którego drugim końcem była całkowita ciemność. Dosłyszała inny głos, nie mogła wychwycić jego znaczenia – wysoką, piskliwą, bezrozumną pieśń. Uniosła dłonie do ust, przycisnęła – dopiero teraz poznała, że może nimi poruszać – uszczypnęła się, zdumiona odczuciem i milczeniem. Uświadomiwszy sobie doznanie, poczuła jego dziką siłę, rozpalone do czerwoności włókienka mięśni i ścięgien poddanych torturze ich przejścia... ich przejścia. Przekaz się skończył.

Otworzyła oczy, głodna, żądna, wyczekująca światła. I światło odpłaciło się jej kaskadą blasku, zalało jej źrenice, aż krzyknęła z radości/bólu. Zerkając przez palce, mokre od wyciśniętych łez, dostrzegła twarz Silky'ego tkwiącą przed nią jak krzywe zwierciadło, jego mleczne, przejrzyste oczy wpatrywały się w nią z nieodgadnionym zainteresowaniem.

– Silky. – Nie oddzielał ich żaden kokon. – Wydawałeś mi się Śmiercią... – Dotknęła swego ciała, napawając się odczuciem własnej materialności. W bezzródłych komnatach Miejsca Pustki tak jak poprzednio miała halucynacje, pożerały ją jej najbardziej prymitywne lęki. Odarta jest ze wszystkich zmysłów; ma ciało z próżni: skórę, kości, mięśnie... duszę. A Śmierć znów przyszła do niej we śnie o głębszym mroku i zapytała: *Kto posiada twe ciało i krew? A ona szepnęła – Ty. – Kto jest silniejszy nad życie, nad wolę, nad nadzieję i miłość? – Ty.*

*A kto jest silniejszy ode mnie?*

Drżącym głosem:

– Ja.

I Śmierć się usunęła, pozwoliła jej przejść...

Z powrotem przez tunele poza czasem, w światło dnia.

– Jestem! – zaśmiała się radośnie. – Spójrzcie na mnie! *Jestem... Jestem, jestem!* – Macki Silky'ego złapały za tkwiącą między nimi tablicę sterującą, gdy zniszczyła niepewną równowagę. – Jestem sybillą.

– Tak, moja droga... – dobiegł ją głos Elsevier; spojrzała w górę. Elsevier unosiła się w powietrzu, wyzwolona z kokonu, lecz nie poruszała się swobodnie. – Znalazłaś drogę powrotną, tak bardzo się cieszę.

Moon przestała się uśmiechać, w głosie Elsevier dosłyszała słabość.

– Elsie? – Moon i Silky wzbili się jak niezdarni pływacy, odpychając się od tablicy stabilizującej; przytrzymali się przyrządów zawieszonych nad głową Elsevier. – Elsie, dobrze się czujesz? – Wyciągnęła wolną rękę.

– Tak, tak... doskonale. Oczywiście. – Elsevier miała zamknięte oczy, lecz spod każdej powieki wypływała srebrzysta strużka płynu. Niemal szorstko odepchnęła dłoń Moon; dziewczyna nie potrafiła stwierdzić, czy płacze z bólu, dumy, obu odczuć czy żadnego z nich.

– Dzięki swej odwadze zaczęłaś poprawiać rzeczy. Teraz musisz znaleźć odwagę, by dojrzeć, że kończymy to, co zaczęliśmy. – Otworzyła oczy i wytarła twarz, jakby budziła się z własnych mrocznych snów.

Moon spojrzała na morze powietrza na ekranie, przed nimi nie było żadnych Wrót, jedynie rudawe płomycki świec tysięcy tysięcy gwiazd, wśród nich były i Bliźnięta... niebo domu, Tiamat.

– Najgorsze mamy już za sobą, Elsie. Cała reszta będzie prosta.



Ale Elsevier nic nie odpowiedziała, Silky patrzył w milczeniu tylko na nią.

– BZ, wolałabym nie wyznaczać wam tego obowiązku; ale nie mogę już dłużej tego odwlekać. – Jerusha stała przy oknie swego biura, wyglądała przez nie, choć jedynym widokiem była ślepa ściana. *Zamknięta. Zamknięta...*

– W porządku, pani komendant. – Gundhalinu siedział na baczność na krześle dla gości, pogodna zgoda jego głosu ogrzewała jej plecy. – Mówiąc prawdę, chętnie wyrwę się na trochę z Krwawnika. Pewni ludzie skłaniają się trochę za bardzo do “obijaczy”... Ulży mi, gdy odetchnę świeżym powietrzem, choćby od tego zsiniały mi płuca. – Uspokoił ją uśmiechem, gdy się odwróciła. – Nie przejmuję się nimi, pani komendant. Wiem, że wykonuję mą pracę... wiem też, kto wykorzystuje osobistą niekompetencję jako wymówkę, by pani wypadła źle. – Oburzenie ściągnęło mu twarz. – Muszę jednak przyznać, że towarzystwo podwładnych... nuży każdego.

Uśmiechnęła się słabo.

– Zasługujecie na odpoczynek, BZ, bogowie zaświadczą; choć ściganie złodziei w tundrze jest tylko marnowaniem waszego czasu. – Pochyliła się nad biurkiem ostrożnie, starając się nie przewrócić żadnego stosu. – Chciałabym nie musieć wysyłać was, byście nadzorowali bezpieczeństwo portu gwiazdowego, bo, u licha, nie wiem, jak bez waszej pomocy zdołam tu sobie radzić. – Spuściła oczy, wstydząc się trochę, że to przyznaje; nie mogła jednak nie wyrazić swej wdzięczności za jego niezłomną lojalność.

Roześmiał się, kręcąc głową.

– Nie potrzebuje pani nikogo, pani komendant. Nie mogą pani tknąć, póki się pani nie załamuje.

*Och, ale się zatamuję... i oni dotykają, codziennie. Potrzebowałam tych słów otuchy, jak życie potrzebuje słońca.* Nigdy by jednak tego nie zrozumiał. Dlaczego ona nie urodziła się z poczuciem najwyższej wartości własnej, która zdawała się być nieodłączna od każdego Kharemoughi? Bogowie, musi to być wspaniałe, nigdy nie musieć szukać u innych zapewnień, że czyni się słusznie! Nawet gdy awansowała go na inspektora, nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogło za tym stać cokolwiek innego niż jego przydatność na stanowisko oficerskie.

– Cóż, to i tak kwestia miesięcy.

– Już za kilka miesięcy będzie po wszystkim, pani komendant. Nadejdzie Tysiąclecie! Już za kilka miesięcy nastąpi Zmiana i będziemy mogli porzucić tę bryłę błota, zapomnieć o niej do końca życia.

– Staram się nie sięgać tak daleko w przyszłość. Jeden dzień naprzód, tak podchodzę do rzeczy. – Bezmyślnie przełożyła stosik kart z podaniami.

Gundhalinu wstał, w jego oczach pojawiła się troska.

– Pani komendant... jeśli potrzebuje pani kogoś, kto będzie wypełniał pani rozkazy podczas mej nieobecności, proszę wziąć KraiVieuxa. Otoczył się twardą skorupą, lecz myśli co najmniej połową mózgu... uważa też, że stara się pani pracować uczciwie.

– Naprawdę? – spytała ze zdumieniem. KraiVieux był starym oficerem, jednym z ostatnich, u których by podejrzewała najmniejszą nawet skłonność do akceptowania jej. – Dzięki, BZ. To mi pomoże. – Uśmiechnęła się znowu, tylko z małym wysiłkiem.

Kiwnął głową.

– Cóż, chyba lepiej zacznę się pakować. Pani komendant... niech pani dba o siebie.

– Wy też, BZ – odpowiedziała na jego salut, patrzyła, jak wychodzi z biura. Doznała nagłego, szarpiącego przecucia, że już nigdy więcej go nie zobaczy. *Przestań! Chcesz sprowadzić na niego pecha?* Okrążając biurko, sięgnęła do kieszeni po paczkę iestów; niepewną ręką odpowiedziała na

brzęczenie łączności wewnętrznej.

Arienrhod siedziała cierpliwie, z rękoma spoczywającymi na żyłkowanym marmurze szerokiego blatu, podczas gdy ostatni w tym dniu z procesji miejscowych i pozaziemskich gości przedstawiał swe prośby i plany. Z połowiczną uwagą słuchała jego niezdarnej mowy. Uznała, że jego rodzimym językiem jest umicki z Samathe, lecz nie pozwoliła mu na niego przejść. Znała umicki, w ciągu lat nauczyła się prawie stu języków i dialektów, lubiła jednak zmuszać pozaziemców do używania jej mowy, gdy przybywali na dwór o coś prosić.

Kupiec klepał coś o kosztach frachtu i stopach zysku, stopniowo stając się niewidzialnym. Patrzyła przez niego na nie kończącą się procesję takich jak on – odmiennych, lecz jednakowych. Ilu? Zapragnęła nagle poznać ich liczbę. Dałoby to wymiar przeszłości, pojęcie absolutu. Z wiekiem wszystko zszarzało, stało się bure jak kurz od nieużywania, zamazane, ogłupiające i bezsensowne. Chciałaby choć raz spotkać nowego pozaziemca, który patrząc na nią, widziałby raczej kobietę niż władczynię, raczej barbarzyńcę niż doświadczonego męża stanu...

– ...czas w – no, sallak – przelocie. Oznacza to, że w żaden sposób nie mogę dużo zarobić na solach, dlatego też proponuję...

– Poprawka, panie kupcze. – Pochyliła się nad biurkiem. – Czas przelotu z Tsiehpun jest w rzeczywistości o pięć miesięcy krótszy od waszych ocen, co dokładnie odpowiada cyklom koloidalnym naszych soli manganowych. Tak więc ich wywóz na Tsiehpun jest interesem wyjątkowo korzystnym.

Kupcowi opadła szczęka. Arienrhod uśmiechnęła się sardonicznie i wyjęła dyskietkę ze swego czytnika taśm. Pchnęła ją po gładkim marmurowym blacie w jego wyciągnięte ręce. Przybywający tutaj po raz pierwszy mogli ją brać za naiwną i słabą, lecz zawsze się rozczarowywali.

– Może wrócić tu później, gdy dokładnie ustalicie fakty.

– Wasza Wysokość... – Opuścił głowę, nie śmiać spojrzeć jej w oczy: bezczelny szczeniak nagle wtulił ogon między nogi. – Oczywiście macie rację, to było głupie... hmm, przeoczenie. Sam nie wiem, jak mogłem popełnić taką pomyłkę. Teraz, gdy ją dostrzegam, proponowane przez was warunki uznaję za możliwe do przyjęcia.

Uśmiechnęła się ponownie, bez śladu uprzejmości.

– Panie kupcze, gdy spotkacie się z tyloma "pomyłkami" co ja, nauczycie się nie popełniać wielu własnych. – Wspomniała odległe początki, kiedy to potykała się na każdym "przeoczeniu" rzucanym jej pod nogi przez pozaziemców, kiedy musiała konsultować ze Starbuckiem wszystkie decyzje, duże i małe, oczywiste i niepewne. A dostarczane przez nich informacje nie zawsze odpowiadały jej oczekiwaniom... Jednakże z upływem miesięcy, lat, dziesięcioleci zaczęła dostrzegać koszty swych pomyłek. Nigdy nie zapominała lekcji dawanych przez doświadczenie, nigdy nie powtarzała dwa razy tego samego błędu. – Cóż, skoro dostrzeżliście niedokładność w swych obliczeniach, skłonna jestem postąpić wbrew moim wrażeniom i zawrzeć z wami umowę na transport i handel. A nawet – zaczęła, aż znowu na nią spojrzy, bacząc na każde słowo – przychodzi mi na myśl dodatkowy drobny interes, który mogłabym wam naraić. Oczywiście, za obopólnym zyskiem. Znam kupca, który ma małe stado ledopter i chce je przewieźć na Samathe. – *Ale tylko w ostateczności.* – Jak wiecie, ledoptry kosztują znacznie więcej na Tsiehpun. – *On też zna cenę, ale nie wie, że jesteś w porcie.* – Za odpowiednią prowizję mogłabym go przekonać, że chętnie przejmiecie od niego ledoptry.

Na twarzy kupca pojawił się wyraz chciwości i wątpliwości.

– Nie jestem pewien, Wasza Wysokość, czy mam dość... stabilizatorów ładunku, jak na tak...

hmm... kruchy towar.

– Mielibyście je, gdybyście zostawili na Tiamat przewożoną przez was na Tsieh-pun skomputeryzowaną bibliotekę.

Otworzył usta. – Skąd wie... to byłoby – hmm – nielegalne.

*Tym bardziej ten towar powinien zostać tutaj, gdzie jest naprawdę potrzebny.*

– Wypadek. Przeoczenie. Przy transporcie przez galaktykę takie rzeczy powtarzają się ciągle. Na pewno nieraz zdarzały się i wam. – Teraz zgadywała, w oparciu o jego minę.

Nie odpowiedział, lecz w głębi jego ciemnych oczu pojawił się rodzaj dzikiego lęku.

*Tak, wiem o tobie wszystko... przez sto pięćdziesiąt lat widziałam wielu takich.*

– Ledoptry są o wiele bardziej opłacalnym ładunkiem. A gdy znajdziecie się na Tsieh-pun i pomyłka zostanie wykryta, nie będzie już czasu na jej naprawienie – Wrota będą już zamknięte. Widzicie, jakie to proste. Nawet dla was. Zysk – tylko to się liczy, prawda? – *Zyskiem dla Zimaków jest wiedza; tego towaru nie mogą kupić.* Uśmiechnęła się w duchu, wspominając potajemną wiedzę o podobnych zyskach, które od dawna zdobywała w podobny sposób; po cichu gromadziła informacje techniczne i inne, gotując się na nadchodzące czasy głodu.

Kupiec kiwnął głową, nadal ukradkowo myszkuje wzrokiem po kątach.

– Tak, Wasza Wysokość. Skoro tak mówicie.

– W takim razie wszystkiego dopilnuję. Możecie odejść.

Posłuchał bez ponaglenia. Spojrzała na biurko, dyktując uwagi do mikrofonu.

Gdy uniosła wzrok, ujrzała w drzwiach Starbucka, patrzącego z oszołomieniem i podziwem.

– Rozumiem... Czy to wszystko? – Arienrhod opadła na miękkie oparcie fotela, usłyszała, jak zakołysało się łagodnie ze znajomym skrzypieniem.

– “Czy to wszystko?” – roześmiał się Starbuck ze śladem urazy. – Cały długi dzień spędziłem na Ulicy, zdzierając nogi dla twojej przyjemności. Czy nie przynoszę mnóstwa plotek? Czyż ta suka Sina nie ma tylu kłopotów, że nie może sobie z nimi poradzić? Czyż...

– A wiesz, kiedyś dotknęłoby cię to do żywego. – Arienrhod znów się nachyliła nad swymi złączonymi dłońmi. – Sparks Dawntreader skakał pod niebo na mój uśmiech, drżał na skrzywienie ust. Gdybym spytała “Czy to wszystko?”, opadłby na kolana i zaczął błagać, bym wyznaczyła mu następne zadanie; jakiegokolwiek, bylebym była zadowolona. – Odęła wargi, jej słowa były ostre jak brzytwy.

– I śmiałaś się, że taki z niego lizus. – Okryte czarnymi rękawiczkami pięści Starbucka spoczęły wyzywająco na jego biodrach. Królowa nic jednak nie odpowiedziała, czekając na skutek swych słów. Po chwili opuścił ręce i oczy. – Jestem taki, jaki chciałaś, bym był – powiedział cicho, ledwo słyszalnie. – Przykro mi, że ci się to nie podoba.

*Tak... mi też.* Kiedyś, gdy na niego patrzyła, gdy ją obejmował, czuła ciepło zapomnianego Lata. Teraz jednak sam zapomniał Lata, w jego zmiennych, zielonych oczach nie dostrzegała już przeszłości, ani swojej, ani nawet jego. Widziała w nich tylko własne odbicie – Królową Śniegu, wieczną Zimę. *Czemu zawsze muszę się okazywać dla nich za silna? Zawsze za silna... ześlijcie mi kogoś, kogo nie zdołam zniszczyć.*

– A tobie przykro? Żałujesz, że pozwoliłaś mi... że zostałem Starbuckiem? Czy nie wykonuję swych zadań? – Już nie był zuchwały.

– Nie, ani trochę. Było to nieuniknione. – *Przykro mi jednak, że to nieuniknione...* – Zdołała się uśmiechnąć do zagubionego chłopca, który ukradł Starbuckowi głos. – Radzisz sobie bardzo dobrze. – *Zbyt dobrze.* – Starbucku, zdejmij maskę.

Ściągnął z głowy czarny hełm, wsadził pod pachę. Z uśmiechem patrzyła na rozsypujący się blask włosów, nadal tę samą szczerą twarz, świeżą i młodą... nie, niezupełnie tę samą. Już nie. Nie bardziej niż jej. Przestała uśmiechać się oczami; patrzyła, jak mrocznieją jego rysy. Jakiś czas patrzyli na siebie w milczeniu.

Wyrwał się wreszcie, przeciągnął, stanął czujnie jak kot.

– Czy mogę usiąść? Miałem ciężki dzień.

– Na pewno, siadaj. Nie wątpię, że takie pilne nurzanie się co dzień w występku musi być bardzo męczące.

Skrzywił się, zajmując jedno z dopasowanych, skrzydlatych krzeseł, pokonując wielką przepaść między biurkiem a drzwiami, między nią a nim.

– Jest nużące. – Wychylił się nagle do przodu, łapiąc się jej głosu. – Każda minuta ciągnie się jak rok, rozstawanie się z tobą to piekielna męka. – Usiadł znowu niespokojnie, beznadziejnie, bawiąc się pozaziemskim medalem, bujającym w rozcięciu jedwabnej koszuli.

– Nie powinno cię nudzić dokuczanie Sinym... kobiecie, która zabrała Moon nam obojgu. – Zmuszała się do rzeczowego tonu, przekształcała swe uczucia w broń mającą zniszczyć... *kogo!*

Wzruszył ramionami.

– Bawiłoby mnie to bardziej, gdybym widział jakieś tego rezultaty. Ciągłe dowodzi.

– No oczywiście. Pozostanie komendantem aż do gorzkiego, bardzo gorzkiego końca. Każdego dnia stąpa boso po tłuczonym szkle... Zostań jutro w pałacu, a ją zobaczysz.

– Nie. – Nagle spojrzał na swe stopy. Z pewnym zdziwieniem zobaczyła, że się zaczerwienił. – Nie. Mimo wszystko nie chcę na to patrzeć. – Macał wypchany pas w poszukiwaniu czegoś, czego tam nie było, nie było od bardzo dawna.

– Jak chcesz. Jeśli w ogóle wiesz, czego chcesz – powiedziała na wpół z wymówką, na wpół z troską. Gdy nie odpowiadał, ciągnęła dalej: – Muszę przyznać, że PalaThion trzyma się lepiej, niż sądziłam. Myślałam, że jest bardziej krucha i od napięcia zacznie pękać szybciej i głębiej. Musi skądś czerpać oparcie.

– Od Gundhalinu. Jednego z inspektorów. Inni go za to nie cierpią, ale ma to w nosie, bo uważa się za lepszego od nich.

– Gundhalinu? A tak... – Arienrhod zerknęła na notatnik. – Zapamiętam. Jest jeszcze jeden pozaziemiec, nazwiskiem Ngenet; ma na wybrzeżu plantację. Zdaje się, że poleciała do niego z wizytą. Przyjaźń o podejrzanym korzeniach... – Poglądziła włosy, patrząc na malowidło ścienne nad głową Starbucka, ukazujące biały mrok zimowej burzy spadającej z oblodzonych szczytów, skuwającej dolinę i cały świat w samotnym uścisku Zimy. – Nigdy nie zbierano plonów z jego plantacji, tak?

Starbuck wyprostował się w krześle.

– Nigdy. Jest pozaziemcem. Uważałem, że nie powinniśmy go niepokoić, dopóki...

– Słusznie. Domyślałem się też, że zakazał tego wprost; sprzeciwia się całemu przedsięwzięciu. Ciekawe, co by się stało, gdybyś zapolował w jego rezerwacie, a PalaThion nie zdołała cię ukarać?

Roześmiał się, nie ukazując teraz nawet śladu dawnych wahań. – Dobrze Łowy. Zakończy to sprawę?

– Na razie. – Uśmiechnęła się. – W ostatnich Łowach chwycimy kilka dusz.

– Ostatnie Łowy... – Starbuck opadł na jedno skrzydło oparcia fotela, bawiąc się palcami. – Wiesz, słyszałem na Ulicy ciekawą plotkę. Podobno Źródło miał kilka dni temu gościa o północy. Podobno byłas nim ty. Gadają też, że być może nie chcesz czekać na koniec Zimy. – Podniósł wzrok. – Jak się sprawilem?

– Doskonale. – Kiwnęła głową, wsłuchując się w towarzyszące im milczenie. Była zdziwiona, lecz tylko trochę. Znała źródła jego informacji, wiedziała, że za pośrednictwem Persefony wykorzystuje Herne'a. Pochwalała nawet jego zaradność. Zdumiała się tylko tym, że jej zamiary są dla wszystkich takie jasne. Musi się baczniej przyjrzeć Persefonie.

– No i? – Starbuck oparł pięści na kolanach. – Co na to powiesz? Czy mam nadal sądzić, że po następnym Świącie razem pójdziemy do morza?

– Och, powiedziałabym ci... kiedyś. Lubiłam po prostu słuchać, jak mi przysięgasz, że nie możesz, nie będziesz żył beze mnie... mój najdroższy. – Powstrzymała jego gniew dwoma słowami, które niespodziewanie wyrwały się jej z serca.

Wstał, przeszedł pokój i okrążył okute srebrem krawędzie biurka. Arienrhod uniosła jednak dłonie, powstrzymując go spokojnie, lecz stanowczo.

– Najpierw posłuchaj. Skoro pytasz, to ci powiem. Nie mam zamiaru być potulną ofiarą, patrzeć bez słowa, jak wszystko, co starałam się dać temu światu, idzie do morza wraz ze mną. Nigdy nie zamierzałam. Na wszystkich bogów, których tu nigdy nie było, tym razem po odejściu pozaziemców ta planeta nie popadnie w ciemnotę i zacofanie!

– Jak możesz ją przed tym powstrzymać? Po odejściu pozaziemców utracimy nasze oparcie, podstawę naszej władzy. – Z radością usłyszała, jak nieświadomie zaprzysięga hołd. – Dopilnuj nas. Nie możemy też powstrzymać Letniaków, tak samo jak nie możemy zapobiec zmianie pór roku. To będzie znowu ich świat.

– Jesteś uprzedzony. – Pokręciła głową, ciężką od pierścieni dłonią wskazała na miasto za ścianami komnaty. – Letniacy zgromadzą się w mieście na Świąto... przybędą na nasz teren. Musimy tylko ich unieszkodliwić... może poprzez epidemię.

Na którą Zimacy będą na szczęście, dzięki cudom pozaziemskiej medycyny, uodpornieni. Twarz Starbucka się wykrzywiła.

– Chcesz... mogłabyś to zrobić? Zrobisz...

– Tak, jeszcze raz tak! Ciągłe jesteś tak przywiązany do tych ciemnych, przesądnych barbarzyńców, że nie jesteś w stanie poświęcić kilku z nich dla przyszłości planety? Tańczą ręką w rękę z pozaziemcami; spiskują, jak prześladować nas – Zimaków – ludzi pragnących uczynić z tego świata równoprawnego partnera Hegemonii. Udaje się im od tysiąclecia! Czy chcesz, by udawało się zawsze? Czy nie pora na naszą kolej?

– Tak! Ale...

– Ale nic. Pozaziemcy, Letniacy... czy kiedykolwiek spotkało cię z ich strony coś innego niż zdrada, porzucenie? – Patrzyła, jak te słowa docierają do ciemnych zakątków jego duszy, które tak starannie przepatrzyła.

– Nic. – Usta miał wąskie jak ostrze noża. – Masz rację... zasługują na to za wszystko, co zrobili. – Jego zaciśnięte na pasie ręce przypominały szpony wpijające się w ciało. – Jak jednak to załatwisz, by Sini się nie dowiedzieli?

– Źródło wszystkim się zajmie. Już przedtem aranżował dla mnie wypadki, takie jak ten, który spotkał poprzedniego komendanta policji. – Patrzyła, jak rozszerzają się oczy Starbucka. – Teraz skala będzie większa, lecz za cenę zdobyczy z twych ostatnich Łowów dobrze wykona swe zadanie. Jest na swój sposób honorowym człowiekiem.

– Ale zdarzy się to przed odlotem ostatnich statków. Czy Sini nie będą próbować...

– W obecności Premiera, przy zamykających się Wrotach? Uciekną, zostawiając nas w chaosie, przekonani, że bez nich i tak skończymy w morzu. Znam ich... przyglądałam się im przez półtora wieku.

Z westchnieniem pozbył się wahań.

– Znasz ich lepiej niż oni samych siebie.

– Wszystkich tak znam. – Wstała z fotela, pozwalając mu się wreszcie objąć. – Nawet ciebie.

– Zwłaszcza mnie – szepnął jej do ucha, zaczął całować kark, szyję. – Arienrhod... masz moje ciało; jeśli chcesz, możesz wziąć i duszę.

Dotknęła płytki na biurku otwierającej drzwi do bardziej odpowiedniej komnaty. Pomyślała przy tym z żalem: *Już ją mam, kochany.*



– Panie inspektorze, zarejestrowałem gdzieś pod nami gorące ciała. – Pilot TierPardee, z rzadkim u niegożywieniem porzucił zachowywane zwykle zadzierzyste milczenie. – Wygląda mi to na ludzi. Wzdłuż tego jaru z lewej strony, kryją się w krzakach.

– Używają maszyn? – Gundhalinu wsadził powieść ze Starego Imperium w kieszeń ciężkiego płaszcza i wychylił się z fotela, aż w gardło wpiły mu się pasy pojazdu patrolowego. *Wreszcie coś się dzieje...* Niedoskonałymi oczyma człowieka wypatrywał śladów dostrzeżonych przez wszystkowiedzące urządzenia. Już półtora dnia szukali złodziei, którzy napadli na port gwiazdny. Trop, początkowo niewyraźny, stawał się coraz świeższy. Lista brakujących towarów obejmowała należący do policji przenośny, wydajny promiennik; zastanawiał się, jak, u licha, zdołali się do niego dostać. Koczownicy byli zazwyczaj słabo uzbrojeni, powodzenie ich napaści opierało się głównie na skrytości i unikaniu starć. Pomimo tego byli równie bezlitośni i prymitywni, jak stanowiący ich kryjówkę całkowicie czarno-biały kraj. Niemal zawsze zabijali mimochodem kilku pozaziemców, którzy stanęli im na drodze. Gundhalinu zamierzał się upewnić, czy dzięki obecnemu łupowi nie zmienią swych sposobów działania.

Ponownie zerknął na odczyt na tablicy, by sprawdzić go osobiście, gdy TierPardee zanucił:

– Tak, panie inspektorze! Wreszcie ich złapaliśmy, mają ślizgacze śnieżne. – Pilot roześmiał się wesoło. – Opuszczę się teraz i przestraszę ich na śmierć; wtedy bez trudu załadujemy tych Maminsynków, prawda, panie inspektorze?

Gundhalinu otwierał właśnie usta, by wyrazić swe wątpliwości, gdy zauważył następny odczyt, który akurat rozpałił się czerwienią – sygnałem zagrożenia.

– Cholera, zabieramy się stąd!

Sięgnął za zdumione, ociągające się ciało TierPardee i pociągnął do tyłu drążek sterowniczy, zmuszając pojazd do szybkiego wznoszenia. Czuł drżenie drążka i usiłował go uspokoić.

– Chodź...

– Panie inspektorze, co... – TierPardee nigdy nie dokończył zdania, bo dosięgnął ich z dołu piorun wycelowanej energii, strącając z nieba.

W mózgu Gundhalinu pojawił się na mgnienie oka spiralny, niezatarty obraz czerni, bieli i błękitu; wirowali jak kołowrotek w swobodnym spadku, nim nie zadziałały stabilizatory pojazdu, zatrzymując koszmarnie koziołki, lecz nie runięcie. Silniki nie działały, zlatywali jak kamień, cicho pędzili w dół, by rozbić się o ziemię. Na ekranach patrolowca pokazywały się przypadkowe światełka; komputer nie odpowiadał na wykrzykiwane rozkazy. Ręka inspektora sięgnęła instynktownie do rozrusznika alarmowego; pchał go ciągle, póki otumaniony mózg nie zrozumiał wreszcie, dlaczego nie ma reakcji na wysiłki – promiennik stopił osłonę silnika, nic nie można było zrobić. Nic. TierPardee siedział, gapiąc się jak manekin, wydawał dźwięki, które Gundhalinu w pierwszej chwili uznał za śmiech. Niebo zniknęło, ujrzał podobną chmurom powierzchnię śniegu i skaczące im na spotkanie wystające czarne kły urwiska...

Ocaleli tylko dlatego, że wpięrow uderzyli w śnieg. Worali się w oslepiającą biel, która stłumiła częściowo siłę upadku, nie na tyle jednak, by nie uderzył hełmem w szybę.

Dłuższą chwilę leżał nieruchomo, zgięty wpół w uprzęży pasów. Słyszał dzwonięcie, nie był w stanie skupić wzroku ani nawet pisnąć. Wiedział, że musi powiedzieć coś ważnego, przed czymś ostrzec – nie potrafił jednak ubrać tego w słowa ani w myśli. Zdziwiło go ciepło w kabinie, bo przecież są pogrzebani w śniegu. *Pogrzebani. Pogrzebani. Martwi i... ?* Zamknął oczy. Bolały go. Coś śmierdzi... powietrze. Coś cuchnęło, jakby pogrzebem – pogrzaniem.

Zapiekły go oczy i znowu je otworzył. Paliła się izolacja. O to chodzi. Lawina śniegu topniała, spływała po oknach.

– Pardee. Przeładowanie. Wyłaż. – Słowa były niezrozumiałe nawet dla niego. Potrząsnął pilotem, lecz ten nie otwierał oczu, wisiał nieruchomo w pasach. Gundhalinu wojował z klamrą swej uprząży, w końcu się odpiął. Spróbował otworzyć drzwi, ciągle zawałał je śnieg. Bez sensu walił w nie pięściami, każdy cios przenosił się kośćmi do dudniącej głowy. W końcu stanął bokiem i zaparł się nogami, wkładał w pchanie cały swój strach i powracającą siłę. Drzwi zaczęły puszczać, o centymetr za każdym razem, aż wreszcie odskoczyły, niemal wyrzucając go na śnieg.

Wylądował na kolanach w kałuży lodowatej brei, jego cierpiącym ciałem wstrząsnęły nagle bolesne ciosy żaru i mrozu. Podciągnął się, opierając o bok pojazdu, zmusił swe mdlejące nogi, by go podpierały, chroniły od groźnego ciepła silnika i lodowatych objęć wiatru. Musi wywlec TierPardee i odciągnąć go jak najdalej, nim patrolowiec zmieni się w gwiazdę.

Pochylił się nad kabiną, coś jednak szarpnęło go za kołnierz, rzuciło znów w śnieg. Tym razem usłyszał nie dzwonienie, lecz paskudny głos ludzkiego śmiechu odbijającego się od ściany urwiska. Paskudny, bo był jego ofiarą. Obrócił się i ukląkł, by spojrzeć na swych prześladowców. Nie zdziwił go widok białych kurtek i nogawek, kilku bladych, niewyraźnych twarzy. Drewniane, pocięte szparkami okulary śnieżne nadawały im wygląd owadów o wylupiastych oczach. Ale to na pewno ludzie – koczujący Zimacy, pasterze pfalli zmieniający się przy lada sposobności w złodziei, zastępujący wówczas tradycyjne jaskrawe szaty czystymi, maskującymi strojami polarnych komandosów. Cios w plecy przerwał jego oględziny. Legł na brzuchu w śniegu, ktoś obrócił go na bok i zręcznie rozbroił. Rozległ się ryk triumfu i brodaty mężczyzna uniósł jako łup zdobyczny ogłuszacz.

Gundhalinu usiadł i otarł twarz ze śniegu, przyciśnięty potrzebą działania zapomniał o ponizającej pozycji.

– To wybuchnie! – Wskazał ręką, niepewny, ile zrozumieli.

– Pomóżcie mi go wyciągnąć; nie ma czasu! – Jakoś wstał, ulżyło mu, gdy usłyszał zaskoczone głosy napastników. Ruszył do patrolowca, lecz wyprzedził go jeden z bandytów. Koczownik stanął przed nim z pistoletem TierPardee i uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Jest do niczego, znalazłem tylko to. W środku jest za gorąco, zapomnij o tym. – Wędrująca muszka ogłuszacza nagle skierowała się w pierś Gundhalinu. – Pif, nie ruszasz się, Siny! – Opatulona postać wybuchnęła piskliwym, chłopięcym śmiechem.

Gundhalinu zatrzymał się, patrząc poza smarkaczem i żarzącą się muszką pistoletu.

– On żyje, jest tylko ranny! Musimy go stamtąd zabrać... – Oddechy ulatywały mu w postaci białej mgły.

Po ostrym rozkazie został złapany za ramiona przez napastnika, który zabrał jego pistolet, i przez jeszcze jednego. Zaczęli go odciągać od pojazdu. Chłopak przebiegł obok, jak wszyscy miał buty śnieżne, i znów wybuchnął śmiechem na widok zataczającego się, zapadającego w zaspie Gundhalinu.

– Nie! Nie możecie! On żyje, do diabła, spali się tam żywcem!

– Ciesz się, że możesz patrzeć, a nie jesteś razem z nim – uśmiechnął się trzymający go. Zmusili go do przejścia za występ skalny, gdzie ukryli swe ślizgacze śnieżne. Wszyscy tam stanęli, odwrócili się i przykucnęli, by popatrzeć. Obaj bandyci nadal trzymali inspektora, zmuszając, by także się obrócił. Widział, jak w oddali patrolowiec stopił już cały śnieg wokół siebie, potrzaskany kadłub pokrywał się matową poświatą. Gundhalinu spojrział w górę, wypełnił oczy błękitem nieba i pomodlił się do bogów ośmiu różnych światów, by TierPardee nigdy się nie dowiedział, co go

spotyka.

Niebo było jednak puste, w równie pustym, białym milczeniu mroźnego świata Zimy pojawiło się słońce palącego, oślepiającego oczy światła, a potem nastąpił wybuch, który ogłuszył inne zmysły.

W ślad za bólem jego cierpiące ciało odzyskało przytomność. Leżał oparty o głaz, podczas gdy koczownicy chodzili bezładnie, mruzcili coś i wskazywali rękoma z pewnym przerażeniem. Jeden śmiał się nerwowo. Gundhalinu odzyskał pamięć i zrozumiał, z czego się śmieje... wychylił się i zwymiotował na ubity śnieg.

– Wysłali cię, byś nas zabił, a nie możesz nawet patrzeć na widok śmierci! – Jedna z koczowniczek stanęła nad nim i splunęła. Ślina wylądowała na grubym materiale mundurowego płaszcza; patrzył, jak zamarza. Uniósł głowę, czując, jak parzy go wciągane do płuc mroźne powietrze, czując, że został właśnie opluty przez starą wiedźmę o gębie jak sieć na ryby, która na Kharemough nie byłaby godna dotknąć najniższego z Bezklasowych.

Podciągnął się na skałę, spętany sztywnością mięśni i chłodem, aż mógł spojrzeć na nią z góry. Głosem drżącym z wściekłości powiedział:

– Wszyscy jesteście aresztowani za morderstwo i rabunek. Zabieram was do portu gwiazdowego, gdzie zostaniecie osądzeni. – Sam nie bardzo wierzył, że to powiedział.

Stara kobieta spojrzała na niego niedowierzająco i wybuchnęła sprośnym, otulonym mrozem śmiechem, obejmując się rękoma. Reszta bandytów zaczęła się gromadzić wokół nich, nie interesując się swą poprzednią ofiarą, gdy tylko ta przestała istnieć.

– Słyszycie go? – Wskazała twarz Gundhalinu wykrzywionym przez reumatyzm palcem. – Słyszycie, co nam mówi ten smarkaty obcy o brudnej skórze? Myśli, że jesteśmy aresztowani! Co na to powiecie? – machnęła ręką.

– Musiał zwariować – uśmiechnął się jeden z mężczyzn, Gundhalinu uznał, że są tu trzej mężczyźni i jeszcze jedna kobieta... wydawało mu się, że smarkacz jest dziewczyną, ale nie miał pewności. Ten przeklęty świat wywracał na opak wszystkie cywilizowane obyczaje, niczego nie mógł osądzić wedle znanych mu reguł.

Jedno jednak rozumiał jasno – nie wyjdzie z tego żywy. Teraz zabiją jego. Ta świadomość go oszołomiła, oparł się mocno o skałę. Widział, jak podnoszą okulary, by lepiej mu się przyjrzeć, w ich otoczonych białymi obwódkami, błękitnych jak niebo oczach nie dostrzegł śladu litości. Jeden z napastników pomacał rękaw jego kurtki, wyrwał rękę.

– Co z nim zrobimy? – Smarkacz odsunął jednego z mężczyzn, by lepiej widzieć. – Czy mogę go dostać? Och, pozwól, mam! – Ogłuszacz znów skierował się w jego stronę. Gundhalinu rozumiał, że te słowa były zwrócone do starej kobiety. – Do mojej kolekcji.

Doznał nagłej wizji własnej pokaleczonej głowy, natkniętej na kij, jak kawałek mięsa w jakiejś przerażającej lodowce kostnicy. Znowu poczuł mdłości i przycisnął język do podniebienia. *Bogowie! ... och, bogowie, tylko nie to.* Skoro mam umrzeć, to czysto... i szybko.

– Zamknij się, smarku – powiedziała baba ostro. Dziewczyna wykrzywiła się za jej plecami.

– Zabijmy go teraz, szamanko – powiedziała inna kobieta. – Pobawmy się z nim przed śmiercią. Wtedy inni obcy będą się bać tu przychodzić.

– Jeśli mnie zabijecie, nigdy nie przestaną was ścigać! – Gundhalinu zrobił krok naprzód i ujrzał wyskakujące z ukrytych pochew dwa noże. – Nie zdołacie się wywinąć z morderstwa na inspektorze policji. Nie spoczną, póki was nie złapią. – Wiedział, że mówi tak tylko dlatego, by siebie pocieszyć, że to nieprawda. Czuł niepewność kłamstw, wiedział, że czują ją i tamci. Zaczął drżeć.

– A skąd będą wiedzieć, co tu się stało? – Stare babsko znów się uśmiechnęło. Zęby miała

piękne, białe jak śnieg. Wbrew sobie zastanowił się, czy są prawdziwe. – Możemy rzucić twoje ciało w szczelinę, a lód zgniecie kości. Nawet wszystkie wasze bogi nie dowiedzą się, gdzie leżysz! – Nagle chwyciła coś wiszącego u jej boku i walnęła go w pierś, rzucając na skałę z pomrukiem zdziwienia. – Myślisz, że ty, obcy, możesz nas ścigać na naszym terenie? Jestem Matką. Ziemia jest moim kochankiem, skały, ptaki i zwierzęta to moje dzieci. Mówią do mnie, znam ich język. – Gniew zmienił jej oczy w porcelanę. – Powiedzieli mi, jak upolować łowcę. A teraz chcą ofiary, chcą nagrody.

Gundhalinu spojrzął na długą rurkę z błyszczącego metalu, która przyciskała go do oblodzonej skały, rozpoznał policyjną latarkę elektronową, nim znowu zmętniały mu oczy. Stał prosto ze sztywną godnością, wysiłkiem woli panował nad odruchami fizycznymi, gdy stara wiedźma powoli się cofała. Także inni odeszli poza zasięg wiru energii, zostawiając go samego w kręgu pędzącego śniegu. Usta i płuca bolały go od lodowatego powietrza. Każdy oddech może być teraz ostatni, ale przez pamięć nie przewinęła mu się taśma ze scenami z całego życia, nie doznał żadnego objawienia powszechnej prawdy... w ostatnich chwilach życia nie czuł nic; zupełnie nic...

Stara kobieta uniosła latarkę i przycisnęła spust.

Gundhalinu zatoczył się od ciosu, który nie padł; otworzył oczy, nie pamiętał, kiedy je zamknął, i ujrzał, że baba przyciska spust raz za razem, bez żadnego skutku. Mruczała coś wściekle, potrząsając latarką. Przyglądający się chciwie inni klęli gniewnie.

Inspektor podszedł niepewnie i wyciągnął rękę.

– Daj – ustawię to za ciebie.

W wyblakłych niebieskich oczach pojawiło się zdumienie, wyszarpnęła latarkę poza jego zasięg. Stał cierpliwie z wyciągniętą dłonią.

– Zacięła się. Stale tak się dzieje. Naprawię, jeśli mi pozwolisz.

Skrzywiła się, lecz wyraz jej twarzy zmienił się lekko i nieznacznie skinęła głową. Zobaczył, jak celują teraz w niego dwa ogłuszacze, wiedział, że nie uda mu się uciec. Wcisnęła mu w dłoń latarkę.

– To ją napraw, skoro tak ci spieszno do śmierci. – Sugerowała tonem, że zwariował; zastanowił się, czy jest tak rzeczywiście.

Ukląkł, czując, jak śnieg gryzie go przez tkaninę spodni. Położył latarkę na udach, zdjął rękawice i otworzył sakwę z narzędziami, którą miał przy pasie. Wyjął cienki jak włos namagnetyzowany pręt i włożył go do otworu w spodzie rękonożnicy, zaczął pewnie gmerać w ukrytym mechanizmie. Jego spocone dłonie przywierały do mroźnego metalu, ledwo to zauważał. Posuwając się wzdłuż niewidocznych ścieżek, dotarł do odpowiedniego skrzyżowania i rozdzielił dwie połączone części. Ostrożnie wyciągnął drut, rad, że chodziło o kłopot, który podejrzewał. Odłożył pręt na miejsce, dziwiąc się własnej staranności, i oddał latarkę starej kobiecie. Spojrzął w jej oczy bez wyrazu.

– Powinno teraz działać. Niepotrzebnie kradniecie nasze narzędzia, skoro nie wiecie, jak się nimi posługiwać.

Wyrwała mu latarkę wraz z naskórkiem. Skrzywił się, lecz ręce miał nieczułe i niepotrzebne, jak z drewna. Podobnie twarz i umysł. Wstał, zostawiając rękawiczki u swych stóp. Przynajmniej dowiódł swej wyższości nad tymi dzikusami, wreszcie może umrzeć czysto, z honorem, od własnej broni.

Tym razem jednak nie wycelowała latarką w niego. Odwróciła się i skierowała ją w stronę kępy wiecznie zielonych krzewów rosnących u podnóża ściany urwiska. Wystrzeliła; usłyszał elektryczny trzask promieniowania i mały wybuch, po którym jeden drzewiasty krzak stanął w

płomieniach. Wokół rozległy się pochwalne krzyki, żądza śmierci powróciła na dzikie, bezlitosne twarze.

Baba machnęła na niego latarką.

– Dobrze się spisałeś, obcy – wyskrzeczała, uśmiechając się bez śladu ludzkich uczuć.

Kącikiem oka patrzył na płonące drzewo. Dym uderzał w ścianę urwiska; zapach spalenizny był przejmująco obcy. Ale przypalone ludzkie ciało pachnie tak jak każde inne mięso...

– Jestem Kharemoughi. Potrafię z zawiązanymi oczami naprawić każde urządzenie. Dzięki temu stoję wyżej niż zwierzęta.

– Ale umrzesz jak każdy z nas, prawda, obcy? Naprawdę chcesz zginąć?

– Jestem gotów umrzeć. – Wyprostował się; całe jego ciało zdawało się teraz należeć do kogoś innego.

Uniosła latarkę, ręce drżały jej lekko pod jej ciężarem. Zacisnęła dłoń wokół spustu i spojrzała w twarz Gundhalinu, pragnąc, by się załamał i zaczął błagać o życie. Umrze jednak, a nie da im tej satysfakcji... wiedział też, że i tak zginie.

– Zabij go. Zabij! – Patrzący niecierpliwili się i zaczęli podnosić głosy. Spojrzał z roztargnieniem na krąg twarzy, zobaczył, jak dziewczyna wykrzywia się w nie znanej mu minie.

– Nie. – Stara kobieta opuściła rurkę, uśmiechając się ze skrywaną odrazą. – Nie zabijemy go, lecz zatrzymamy. Potrafi naprawiać sprzęt, który kradniemy w porcie gwiazdowym takim jak on.

– Jest niebezpieczny, szamanko! – powiedział jeden z mężczyzn, gniewny z zawodu. – Nie potrzebujemy go.

– Mówię, że będzie żył! – warknęła wiedźma. – Chce umrzeć – spójrzcie na niego! Człowiek, który nie boi się śmierci, jest szalony, a zabicie szaleńca przynosi nieszczęście. – Ciągłe się do niego uśmiechała ze świadomym szyderstwem.

Gundhalinu poczuł, jak jego fatalistyczne otępienie ustępuje wraz z ostatecznym zrozumieniem. Nie pozwoli mu na czystą śmierć. Chcą z niego zrobić swego niewolnika...

– Nie, ohydne zwierzęta! – Rzucił się na starą kobietę, na latarkę. – Zabij mnie, przekłeta. Nie będę...

Instynktownie odsunęła rurkę i walnęła go nią w twarz. Gundhalinu upadł w śnieg, krew paliła mu skórę, ból dudnił mu w głowie jak krzyk. Wypluł krew i zęby, usiadł, jęcząc i podpierając się odmrożonymi rękoma, a koczownicy zaczęli się od niego odsuwać. Słyszał, jak starucha wydaje rozkazy, ale ich nie rozumiał. Nie obchodziły go, nic go nie obchodziło.

– Masz... załóż rękawice, głupi. – Dziewczyna stanęła nad nim, machnęła mu nimi przed twarzą. Odsunął się, spróbował ją zlekceważyć, nabierając garść śniegu i wsadzając go do poranionych ust.

– Siny! – Tym razem ujrzał przed sobą ogłuszacz TierPardee. – Siniaczku, lepiej mnie posłuchaj! – Rzuciła mu rękawiczki na brzuch.

Naciągnął je powoli na nieczułe palce pokryte zakrzepniętą krwią. Nie mógł znieść myśli o ogłuszeniu, wciągnięciu go na ślizgacz i rzuceniu jako torby z częściami zapasowymi. Musi zachować jak najwięcej godności, póki nie znajdzie ucieczki od tego koszmaru... jakiegoś sposobu, jakiegokolwiek.

Coś opadło na jego hełm, prześlizgnęło się jak wąż po twarzy i spoczęło wokół szyi. Zaskoczony uniósł wzrok, a pętla zacisnęła się na jego gardle. Wyraz jego twarzy rozśmieszył dziewczynę, drugi koniec liny spoczywał w jej rękawiczce. Kołysała nim swobodnie, stojąc zuchwale przed policjantem.

– Dobry chłopiec. Mama chce twoich rąk, ale powiedziała, że mogę resztę ciebie wziąć do mego zoo. – Ściągnęła okulary na oczy, skrywając do połowy swą wąską, ściągniętą twarz. – Moje

Sine zwierzątko. – Znów się rozeźmiała i szarpnęła za sznur. – Chodź, Siny! I lepiej się pośpiesz.

Gundhalinu szybko wstał, powlókł się za nią przez śnieg w stronę czekających ślizgaczy. Wiedział, że jest martwy, mimo iż go nie zabili, bo od tej chwili skończył się jego świat.

Moon patrzyła poza oparcie grubo wyściełanego fotela Elsevier, mocno wychylała się poza poręcz własnego, by móc widzieć osłonięte okno. Tiamat unosił się w nim jak wschodzący księżyc, lecz był o wiele od niego piękniejszy. Dom – wracała do domu, patrząc na rosnącą w dole, otuloną chmurami kulę błękitu, wypełniającą się nieskończonymi morzami, trudno było nie wierzyć, iż czas się odwrócił; że zastanie wszystko, tak jak było kiedyś, a nawet jak powinno być. Ale jeśli nawet nie taki świat straciła, to wiedziała teraz, że odnajdzie swą drogę... znajdzie sposób, by odwrócić zmiany.

– Osłony zielone?

– No.

Słuchała mruczanych przez Elsevier pytań i monosylabowych odpowiedzi Silky'ego, pocieszającego rytmu rytuału powtarzającego się przedtem nieskończoną ilość razy. Ich wejście w atmosferę Tiamat nie było takie bolesne i straszne jak podczas odlotu z planety. Miała wrażenie, iż podróż powrotną odbywa ktoś inny. Słuchała tylko połową uwagi, przeskakując od przeszłości do przyszłości, omijając niepewną, groźną teraźniejszość. Teraz nic nie może iść źle, nic nie pójdzie. Przeszła Czarne Wrota; może teraz działać.

Przed zejściem z orbity Elsevier połączyła się z zaskoczonym Ngenetem i dowiedziała się, że nie spotka się z nimi w zatoce Shotover, bo przed pięciu laty, po ich poprzednim lądowaniu, stracił swój pojazd latający. Tym razem muszą podjąć większe ryzyko i zbliżyć się do jego plantacji na wybrzeżu na południe od Krwawnika; tylko jemu mogła Elsevier zaufać przy ostatecznym lądowaniu.

Elsevier – gaśła, Moon tylko to słowo znajdowała dla określenia delikatnej przemiany, jaką dostrzegła po minięciu Wrót. Próbowwała się dowiedzieć, o co chodzi, lecz Elsevier odmawiała odpowiedzi; nie tracąc swej czułości, zamykała się w sobie, nie dopuszczając Moon.

Dziewczyna była urażona i zaciekawiona, dopóki Bliźnięta nie zaczęły panować na ekranach statku. Wtedy dostrzegła nareszcie, że tego właśnie wypatrywała Elsevier, na to się przygotowywała – na koniec, którego nadejście będzie początkiem dla Moon. Na ostateczne zerwanie ze znanym jej życiem, opuszczenie statku, z którym wiązała się połowa jej gorzkich i słodkich wspomnień. Na ostateczne rozstanie się z przybraną córką, której mogła dać nowe życie w zamian za to, które porzuciła, lecz ofiarowała jedynie większe jeszcze straty.

Ogromne nibymorze nieskończonych chmur zasłoniło im teraz widok oceanu, opadali coraz niżej, pokonywali szafirowe, górne warstwy powietrza. Niedługo... niedługo przebiją się przez powierzchnię chmur, niedługo dojrzy swe przeznaczenie, długą, ciągłą linię zachodniego wybrzeża kontynentu, gdzie leży plantacja Ngeneta – i Krwawnik.

– ...wskaźnik większy o jeden i... Silky! Zauważono nas! Przełącz ciąg..

Niebo przed nimi przeszył płomień niebieskobiałego światła, wbił się sztyletami w oczy Moon; metalowa osłona zatrzęsała się wokół niej, drażniąc jej zęby. Jęknęła z niedowierzania – zostali zaatakowani.

– Bogowie! – krzyknęła Elsevier bardziej w gniewie niż rozpacz. – Zostaliśmy wykryci, nigdy się nie dostaniemy...

Wokół nastąpił nowy wybuch... a po nim długa cisza. Przerwało ją nagłe włączenie się urządzenia komunikacyjnego. – ...Poddajcie się, bo zostaniecie zniszczeni. Mamy was na promieniu. Nie uciekniecie.

– Stracone... – Trzeci wybuch zatarł nazwę tego, co stracono, i pytający krzyk Moon. Czwarty nie dał na siebie czekać; tablica z przyrządami zaskwierczała i zaskrzeczała z przeładowania,

ogłuszając ich oszołomione zmysły.

– Odciać moc! – Usłyszała Moon łamiący się głos Elsevier, słowa z trudem przebiły się do jej dzwoniących uszu. – ...nadziei... chyba zginiemy... – Mrok wypełnił kabinę z nagłością śmierci. Mrugające oczy Moon dostrzegły świecenie powietrza na zewnątrz; ujrzała bezgraniczne, błękitne, białe i złote pola nieba, które zamazały się, gdy runęli pod powierzchnię chmur. Złapała się swego miejsca, licząc uderzenia serca; z każdym bijącym dowodem życia rozumiała coraz bardziej, iż nie ma następnego wybuchu, tego, którego w swej bezbronności już nie zdołają zobaczyć.

Znowu wypadli z chmur, równie nagle, co wpadli. Wreszcie ujrzała morze, falujący pod nimi ocean stopionej cyny. W wielkie okno uderzyły krople deszczu, zamazując jak łyż widok morza i nieba. Ciągłe żyli. Statek opadał płaskim łukiem, jak kaczka puszczone na nieskończenie ogromnym stawie. Elsevier i Silky krzatali się w milczeniu przy przyrządach. Moon też się nie odzywała, pomagając im w jedyny dostępny jej sposób.

– Teraz, Silky, włącz systemy awaryjne...

Na siedzenie Moon opadł nagle bury stożek, odcinając wyczerpany głos Elsevier, widok wznoszącej się powierzchni morza, białej jak lód i szarej jak stal. Unieruchomiona przez poduszkę ze sprężonym powietrzem, leżała bezsilna, niezdolna do działania, całkowicie bezradna. Po ciągnącym się wiecznie wyczekiwaniu dobiegło ją niewyraźne dźwięczne uderzenie metalowej kuli o stalowoszare morze, niby grom spadający gdzieś indziej.

Po następnej krótkiej wieczności poduszka odsunęła się od niej, uniósł się dymiący garnek. Odrzuciła pasy bezpieczeństwa i zerwała się z fotela, by stanąć pomiędzy miejscami pilotów. Nad Silkym ciągle wznosiła się szara tarcza, kręcił głową w bardzo ludzkim geście oszołomienia. Przed Moon morze waliło o właz z wściekłym oburzeniem; kropelki lodowatej wody przenikały w szczelinki wryte upadkiem na wzmocnionej, przezroczystej ścianie. Pod nogami ciążyła jej cała struktura statku kosmicznego, wokół huczał napór gniewnych odmętów.

Nad siedzeniem Elsevier wisiał pewnie kaptur; jak gdyby nigdy... Moon zerknęła nagle na twarz kobiety, bojąc się jej widoku, lecz nie mogąc patrzeć gdzie indziej.

Ciemną barwę górnej wargi Elsevier przecinała czerwona kreska, lecz ona sama uniosła głowę i położyła ją na oparciu fotela.

– To nic, moja droga... to tylko z nosa... muszę dokończyć wiadomość, Ngenet przybywa. – Zamknęła oczy, oddychając płytko, jakby ciężka łapa grawitacji nadal ją dławiała... już zdławiała. Siedziała nieruchomo, niezdolna nawet do podniesienia palca, jak kobieta posiadająca cały czas świata. Moon dotknęła jej ramienia z lekliwą czułością.

– Wylądowaliśmy, Elsevier. Ocaliłaś nas. Już po wszystkim.

– Tak. – Fioletowoniebieskie oczy wypełniły się zdumieniem; Elsevier patrzyła zaskoczona na coś poza ich zasięgiem. – Tak mi zimno. – Dreszcz przeszedł mięśnie jej twarzy.

I nagle jej oczy stały się puste.

– Elsie. Elsie? – Moon zacisnęła dłoń na jej ramieniu, potrząsnęła... puściła, gdy nie doczekała się żadnej reakcji. – Silky... – Moon odwróciła się nieco, nie chcąc zrobić tego do końca – ...ona nie... Elsie! – powiedziała błagalnie.

Silky stanął obok w ciasnej przestrzeni między fotelami. Wyciągnął zimne wężo-palce swej szarozielonej ręki i dotknął ciepłego ciała Elsevier, jej gardła... Nie wzdrygnęła się pod tym dotykiem, patrzyła dalej na coś poza oczami, aż nasunęły się na nie płaskie paski szarości, zamykając je na zawsze.

– Martwa.

Statek osiadł głębiej i zakołysał się, wytrącając ich z równowagi. Moon spojrzała na nie



słuchające jej stopy. Woda otaczała nogawki jej skafandra, morska woda, wlewająca się do kabiny.

– Martwa? – Pokręciła głową. – Nie, to niemożliwe. Ona żyje. Elsie. Elsie, toniemy! Obudź się! – Potrząsnęła bez władny m, nie odpowiadającym ciałem. Macki objęły jej ramiona, odciągnęły bezceremonialnie.

– Martwa! – Nigdy jeszcze nie widziała u Silky'ego równie czystych i głębokich oczu. Dotknął kolejno różnych symboli świetlnych na tablicy, powtórzył to. – Luk skoczył. Toniemy. Wyjdź... – Wskazał jej służę; zachwiała się, gdy nowa, głęboka do kolan fala złapała ją w połowie drogi.

– Nie! Nie jest martwa. To niemożliwe! Nie możemy jej zostawić. – Moon złapała się za oparcie fotela.

– Chodź! – Silky wpadł na nią, oderwał ją, podciągnął się do luku. Potknęła się i upadła, zalała ją następna fala; wstała dysząc, w oczy paliła ją sól. Dobrnęła do wejścia do służy, złapała za futrynę, jeszcze raz obejrzała się za siebie; zobaczyła Silky'ego klęczącego w wirującej wodzie obok Elsevier, pochylił głowę i położył ją na chwilę na jej ramieniu w geście hołdu i pożegnania.

Zaraz wstał i doszedł z trudem do Moon.

– Wyjdź! – Macki znowu objęły jej ramię i wciągnęły do służy. Niezdolna do oporu, puściła skraj wejścia i ruszyła w ślad za nim. Zobaczyła stojący otworem, pijący morze jak bezradny topielec luk...

– Mój hełm! Utonę... – Zawróciła do wnętrza kabiny, lecz chwyciła ją w ramiona głęboka po pas fala, zbiła z nóg. Lodowata woda znów ją zalała; na wpeł pływając, Moon walczyła o powstanie, zaparło jej dech, gdy zimny strumień otoczył kołnierz jej skafandra. Statek nachylił się pod naporem morskich bałwanów, skierował do luku zalewającą go wodę, wylał wraz z nią i Moon. Uderzyła o breg luku, trzasnęła głową o metal, aż pojazd wypluł ją i Silky'ego na otwarty ocean.

Krzyk dziewczyny zgasł jak płomień, gdy morze zamknęło się nad jej głową. Ruszyła ku powierzchni, wyskoczyła na powietrze, gdzie zacinały wiatrem deszcz wbijał ją w ocean. Palce oślepiającego gorąca i chłodu szarpały ją pod niezgrabnym strojem.

– Silky! – zawołała jego imię, lecz porwał je wiatr, zabrzmiało samotnie i żałośnie jak krzyk merów.

Nagle pojawiła się obok niej pokryta pianą głowa Silky'ego, podparł ją, starając się pozostać na powierzchni, ściągana w dół wypełnionym wodą skafandrem ciśnieniowym. Sam zdjął swój i pływał swobodnie. Poczula, jak szarpie za zapięcia na przedzie jej kombinezonu, starając się go ściągnąć.

– Nie! – Złapała jego śliskie macki, lecz umykały jej niby węgorze. – Nie, zamarznę! – Szarpanie ją pogrzyżyło, wypłynęła, rzucając się i plując. – Nie przeżyję w tym... bez tego! – Wiedziała, że nie ma szans ocalenia, bo wciągał ją w głąb skafander pełen płynnego balastu. Zrozumiała wreszcie całkowicie, tak jak jest to możliwe tylko raz w życiu, trującą ironię Wyboru Żeglarza – zamarznąć lub utonąć.

Silky puścił jej skafander, starając się tylko ją podtrzymać. Pierwszy wstrząsający ból zimna przeszedł w przenikającą do szpiku kości mękę, pozbywającą ją sił i rozsądku. Pomiędzy wznoszącymi się płynnymi górami widziała w dali zanurzający się statek kosmiczny – aż nie zostało nic, poza płynącymi razem morzem i niebem. Elsevier. Ofiara dla Morza... Moon poczuła, jak słona woda łąz miesza się z morską i spadającą z chmur.

Po nieokreślenie długim czasie zrozumiała, że szkwał przeszedł. Niebo otarło łzy i przestało się gniewać, twarz morza nie wzdymała się już złością, wyczerpanie wysuszyło jego łzy, a między rozchodzącymi się chmurami mignęło Moon blade, skute lodem słońce. Silky nadal mocno ją podtrzymywał, pomagając się unosić; jej ciało rozrywały nieopanowane drgawki. Czasami zdawało

się jej, że widzi brzeg, nieosiągalnie daleki, zawsze niepewna, czy to nie zwid mgły albo jej umysłu. Nie miała siły mówić, a jedyną odpowiedzią Silky'ego była milcząca otucha jego obecności. Wyraźniej niż kiedykolwiek czuła jego obcość i świadomość, że to bez znaczenia...

Powinna mu powiedzieć, by ją zostawił, oszczędzał swe siły, że nie ma nadziei, by Ngenet znalazł ich w porę. Koniec i tak będzie jednakowy. Nie mogła jednak ułożyć tych słów, w głębi serca wiedziała, że nie chce tego uczynić. Umrzeć samotnie... umrzeć... zasnąć tu na zawsze. Miała wrażenie, że czuje, jak w kościach tężeje jej szpik. Była taka zmęczona, tak boleśnie wyczerpana; zapadnie w sen, ulula ją nieubłagana kołysanka Matki Morza. Kilka tygodni na innej planecie było tylko snem. Jest Tiamatanką, Letniaczką, wiedzącą rozpaczliwie to, co każdy Letniak wie od urodzenia – że Pani jest jednocześnie stworzycielką i niszcycielką, że życie każdej kobiety czy mężczyzny nie więcej znaczy w Jej wielkim wzorze, aniżeli istnienie najdrobniejszego raczka wlokącego się po mulistym dnie...

Przed nimi coś przebiło powierzchnię wody, zalewając twarz Moon zimną pianą. Jęknęła, gdy ręce Silky'ego zacisnęły się na jej piersiach, zerknęła skutymi lodem oczami na patrzący się na nich pysk, pokryty lśniąca sierścią. Wyłoniły się dwa, trzy następne nieludzkie oblicza, za i obok pierwszego, spoczywały jak rybackie boje na uspokajającej się wodzie. Zrozumienie przychodziło powoli, wznosiło się z głębin jak banieczka powietrza, przebijało nieczułe otępienie – mery...

Skupiły się wokół niej, szturchały ją nagłaco płetwiastymi przednimi łapami. Nie mogła sobie wyobrazić, czego od niej chcą, wiedziała jednak, z niezłomnym zaufaniem dziecka, że to dzieci Pani, które przybyły jej na ratunek.

– S-Silky – wydusiła z siebie przez dzwoniące zęby – puść m-mnie.

Rozluźnił chwyt, zanurzyła się jak kamień. Nim zdołała zareagować, smukłe, sprężyste kształty znów ją uniosły. Połączone błonami palce płetw owinęły się wokół niej jak płatki zamykającego się kwiatu, wydzwignęły ją na powietrze, aż legła na brzuchu na miękkiej, szerokiej piersi mera unoszącego się na wodzie. Mamrotała coś ze zdziwienia, podtrzymywana tuż nad falującą powierzchnią morza, stopy miała nadal zanurzone w nienasyconym chłodzie. Mer – samica, poznała to po grzywie złotej sierści – otuliła ją płetwami, jakby pieściła małe, karmiła ją ciepłem swego ciała, jak ogrzewałaby i karmiłaby swe dziecko. Zaczęła głębokie, pozbawione melodii zawodzenie, utrzymując je w rytmie kołysania morza. Zbyt wyczerpana, by się zastanawiać, Moon położyła głowę na aksamitnej piersi mera, podparła ją dłońmi, czuła, jak pieśń przenika jej drżące ciało. Silky i dwa pozostałe mery nadal unosiły się obok, lecz nie pamiętała o nich, nie pamiętała niczego z przeszłości czy przyszłości, jej życie skurczyło się do chwili obecnej.

Nigdy się nie dowiedziała i nie chciała dowiedzieć, ile czasu upłynęło na szerokim świecie, gdy unosiła się w objęciach mera. Słońce wędrowało po niebie, opuszczało się ku miejscu spotkania z morzem, gdy coś się zmieniło na obliczu wody, zbliżał się ku nim długi cień statku, odległe dudnienie jego silników coraz gwałtowniej przerywało milczenie.

– Moon. Moon. Moon. – Silky mówił jej imię, dotykał jej szyi kapiącymi mackami, skłaniając do słuchania.

Nie było jednak Moon, która mogłaby mu odpowiedzieć, jedynie morze. Morze... Morze upominające się o swoje.

– Moon... słyszysz mnie?

– Nie... – Był to raczej sprzeciw wobec wtargnięcia w bezmyślny spokój niż odpowiedź na pytanie. Świat był płynącymi bezkształtnie akwarelowymi obrazkami...

Coś szarpnęło jej wargą nad szczękającymi zębami; gorący, lepki płyn wlał się do jej ust i

spłynął gardłem jak płonący olej. Zakwiliła z przyjemności i odmowy, poczuła, jak tężeje akwarelowy świat, przyjmuje postać nie znaną jej szarzejącej pamięci – z wyjątkiem tkwiącej nad nią twarzy, łączącej przeszłość i terażniejszość w jednym podwójnym obrazie.

– M-M-Miroe?

– Tak – odpowiedział z ogromną ulgą. – Odzyskuje przytomność, Silky. Poznała mnie. – Ujrzała za nim przycupniętego, cierpliwie patrzącego Silky'ego i okrągłe, nie mrugające oko iluminatora kabiny.

– G-gdzie? – Kurczowo przełknęła pieprzowo-słodki syrop, gdy Ngenet znowu przytknął jej kubek do ust. Jej drżące ciało zostało wyjęte z pełnego wody skafandra i opatulone ciepłymi kocami.

– Na moim statku. Dzięki bogom znalazłaś się wreszcie bezpiecznie na jego pokładzie. Płyniemy do domu. – Zmienił ciepły okład leżący jej na nosie i policzkach.

– D-domu...? – Życie przeszłe i obecne znowu biegło razem.

– Do mojej plantacji, będziesz tam bezpieczna. Dość już się naspacerowałaś na gwiazdnej drodze, dość spędziłaś czasu w ramionach Matki Morza, dziecko-merze... niemal całe życie. – Stwardniała, łagodną dłonią odgarnął jej z czoła wilgotne włosy. – Nastąpiła pora na stały ląd.

– El-Elsie. – Słowo zapiekło jej gardło jak żółć.

– Wiem. – Ngenet wyprostował się na skraju koi. – Wiem. Nic nie możesz teraz dla niej zrobić poza odpoczynkiem i dochodzeniem do zdrowia. – Jego głos i kabina zapadły się w niezmiernej dali.

Moon spoczęła głębiej w gnieździe z koców, świadomość ją opuściła, skurczyła się do doznania gorących igieł, wnikających w jej zdrętwiałe z zimna ciało, przetykających zablokowane lodem żyły, odwiązujących jej mięśnie; wyzwalających ją...

Jerusha pozostawiła za sobą puste pokoje mieszkania w mieście, pozostawiła na stole ledwo naruszone chleb i owoce z nie chcianej kolacji i wyszła do Labiryntu. Półmrok za murami na końcu alejki oznaczał koniec kolejnego zniesionego jakoś dnia nie do zniesienia oraz obietnicę następnych nie do przetrzymania. Praca była dla niej życiem, a teraz całe to życie stało się piekłem. Jediną ucieczką był sen, lecz spanie przyspieszało tylko nadejście nowego poranka. Dlatego wahała się bez celu, anonimowa wśród rojnych tłumów, mijała sklepy, z których jedna połowa była już zamknięta, druga zaś nadal czepiała się kurczowo życia i zysków, będzie się czepiać aż do gorzkiego końca.

*Gorzkiego końca... Dlaczego? Czemu się przejmuje? Czy to ma sens?* Mocniej naciągnęła kaptur lichy tkanego pasiastego kaftana, zasłaniając twarz, i skręciła w Aleję Cytrynową. W połowie drogi do zmierzchu był często przez nią odwiedzany sklep botaniczny, gdzie sprzedawano ziołowe lekarstwa i przyprawy, a półki ugięły się od świątków i amuletów przeciwko nieszczęściom sprowadzanych z jej domu, z Newhaven. Doszło do tego, że kupiła najsilniejszy talizman, jaki zdołała znaleźć, i nosiła go na szyi, a przecież u siebie kpiła ze starszych za uleganie ślepej wierze i marnowanie pieniędzy na zabobonne bzdury. Do czego to doprowadziła ją praca. Jednakże cholerne czary nie pomogły jej bardziej niż wszystko inne, czego próbowała. Nic nie polepszało sytuacji, nie skutkowało.

A teraz odeszła jedyna osoba, która ją popierała, powstrzymywała przed uznaniem, że jest całkowitą, obłądną pomyłką. *BZ... Niech cię, BZ Jak mogłeś mi to zrobić? Jak mogłeś – umrzeć?* Dlatego przyszła tu znowu, wmawiając sobie, że nie wie dlaczego...

W pobliżu sklepu zauważyła znajomą twarz – znajome odrzucanie płomiennie-rudych włosów. Sparks Dawntreader szedł w jej stronę ubrany jak aktor z erotycznego holo. W ostatnich latach widywała go rzadko, jedynie podczas swych nieczęstych wizyt w pałacu. Zdziwiła się, zobaczywszy go teraz, że nie wydaje się nawet o dzień starszy niż wówczas, gdy przed pięciu laty ujrzała go po raz pierwszy, jak leżał bezwładnie w uliczce. Zdumiewało ją też, że Arienrhod go ma (w każdym znaczeniu tego słowa, jak podejrzewała) w pałacu... że zachowuje jego młodość.

Jej ciekawość przeszła w lęk, gdy się do siebie zbliżyli. Pełna winy przestraszyła się, że ją zobaczy, że rozpozna pomimo przebrania i odczyta motywy ukryte w jej niespokojnych oczach. Zwolniła, starając się ukryć swą obecność, póki nie przejdzie. *Bogowie, to teraz czaję się jak przestępca?*

– Cześć, Dawntreader. – Niechętnie pierwsza go przywitała; poznała po jego minie, że nie przyjrzałby się jej twarzy, gdyby się nie odezwała.

Nie spodziewała się jednak ani nie zasługiwała na następną jego minę – na uśmiech, którym wyraził swą rozkwitającą młodość, ukazując jej boleśnie, jak bardzo się postarzała, każdy dzień był dla niej jak rok. Jego oczy były niepokojącym naśladownictwem wzroku Królowej – zawierały doświadczenie i cynizm, nie pasujące do reszty twarzy. Spojrzały na wystawę sklepu botanicznego pełną figurek bogów i amuletów, potem na talizman zwisający z jej szyi. Szarpnął niespokojnie za liczne kołnierzyki swej obcisłej koszuli w geście bijącej wprost w oczy wrogości.

– Oszczędźcie sobie pieniędzy, komendancie PalaThion. Moc waszych bogów tu nie sięga. Wszyscy bogowie Hegemonii razem wzięci nie zdołają zapobiec temu, co się z wami stanie – choćby nawet chcieli.

Jerusha odstąpiła krok, słowa te ukąsiły ją jak żmije pełne jadu jej najskrytszych obaw. *Czy tego chce? Nawet on? Dlaczego:*

Dlaczego, Dawntreader? Dlaczego wy? – szepnęła.

W jego oczach pojawiła się nagle nienawiść.

– Kochałem ją, a odeszła. – Opuścił oczy pod wpływem jej wzroku i nie podniósł.

Jerusha długo stała na ulicy, nim zrozumiała, że wyjaśnił jej dlaczego. Potem podeszła do wejścia do sklepu botanicznego, poruszała się niepewnie, jakby rzucono na nią urok.

Stała w wąskim przejściu przed zakurzonymi półkami zawierającymi towary, po które przyszła, zaślepiła ją słodko-gorzka tęsknota tego miejsca, uparta walka tradycji Newhaven przeciwko przyjęciu zwyczajów nowych czasów czy innych planet. Nie widziała kęp smoczych łapek i pęków splecionych ziół, nie czuła pieszczącej jej zmysły dzikiej mieszaniny zapachów, nie słyszała...

– Mówiliście do mnie? – Nagle uświadomiła sobie, że już nie jest tu sama.

– Tak. Chyba przestawili półkę z proszkami. Czy wiecie w jakie miejsce? – Ciemnowłosa, jasnoskóra kobieta w średnim wieku, prawdopodobnie miejscowa. Niewidoma. – Jerusha poznała światłoczułą opaskę otaczającą jej czoło.

Jerusha rozejrzała się po regałach, właściciel szeptał z ozywieniem z innym przybyszem z Newhaven.

– Zdaje się, że z tyłu. – Przysunęła się do półek, robiąc miejsce niewidomej.

Kobieta ciągle jednak stała denerwująco w przejściu, pochylała lekko głowę, jakby czegoś słuchała.

– Inspektor... PalaThion, prawda?

– Komendant PalaThion – odwzajemniła pogardę ledwo skrywanym szyderstwem.

– Oczywiście. Proszę wybaczyć.

*Gdy słońce poczernieje.* Jerusha odwróciła wzrok.

– Gdy po raz ostatni słyszałam pani głos, była pani inspektorem PalaThion. Nigdy nie zapominam głosów, ale czasami nie pamiętam o dobrych manierach. – Uśmiechnęła się, przepraszając serdecznie, promieniowała taką życzliwością, że Jerusha poczuła wbrew sobie, jak opuszcza ją stały ostatnio grymas. – Było to prawie pięć lat temu. Mój sklep jest zaraz obok... Przyszłam wtedy na wasz posterunek ze Sparksem Dawntreaderem.

– Maskarka. – Jerusha wreszcie rozpoznała kobietę. – Tak, pamiętam. – *Jasne, że pamiętam.*

*Ocalenie tego lotrzyka było drugą co do wielkości pomyłką mego życia.*

– Widziałam, jak rozmawialiście na ulicy. – Widziałam? Te słowa na chwilę zbiły Jerushę z pantafelów; spróbowała ukryć swe wyraźne zdenerwowanie. – Nadal niekiedy mnie odwiedza, wtedy gdy potrzebuje otuchy. Chyba nie pozostało mu wielu ludzi, z którymi mógłby rozmawiać. Cieszę się, że mówił z wami.

Jerusha nic nie odpowiedziała.

– Powiedźcie, komendancie, czy z równą jak ja przykrością patrzycie na zmiany, jakim podlega?

– Przekroczyła przepaść milczenia Jerushy, jakby w ogóle jej nie było.

Jerusha nie chciała stawić czoła ani pytaniu, ani pytającej, martwymi palcami dotknęła worów własnej zmienionej twarzy.

– Nie dostrzegłam w nim żadnych zmian. Nie postarzał się nawet o dzień. – *Może i tak jest, niech go diabli.*

– Ależ tak, postarzał się... – powiedziała maskarka z goryczą. – Od przybycia do Krwawnika przybyły mu setki lat.

– Jak nam wszystkim. – Jerusha sięgnęła na półkę po buteleczkę z ciemnego plastyku z olejkiem wiriolowym, zawahała się i wzięła jeszcze jedną. Pomyślała nagle o swej matce.

– Krople nasenne, prawda?

Jerusha zacisnęła na buteleczkach zachłanne, broniące ręce. – Tak.

– Poznałam po zapachu. – Kobieta kiwnęła głową z uśmiechem. – Używałam ich przed dostaniem czujników wzrokowych. Męczyła mnie straszna bezsenność. Bez wzroku nie potrafiłam rozpoznać przemijania nocy i dni... nie byłam dostrojona do rytmów Tiamat. Przypuszczam, że tak naprawdę nikt nie jest. Wszyscy w końcu, lub na początku, jesteśmy tu obcymi.

Jerusha uniosła wzrok.

– Chyba tak. Nigdy o tym nie pomyślałam... Może to sedno moich kłopotów. Gdziekolwiek się udam, wszędzie jestem obca. – Usłyszała siebie mówiącą głośno to, co ledwo ważyła się myśleć. Nie dbając o to, pokręciła głową. – Im bardziej chcę spać, tym mniej mi się udaje. Sen jest mą jedyną przyjemnością. Mogłabym zasnąć na zawsze. – Odwróciła się, chcąc podejść do tkwiącego przy wyjściu sklepikarza.

– Tak nie pozbędziecie się swych kłopotów, komendancie PalaThion. – Maskarka zastawiła jej nieznacznie drogę. Jerusha patrzyła na nią z osłabłymi nogami.

– Co?

– Kroplami nasennymi. Pogarszają tylko problem. Pozbawiają was snów... wszyscy musimy je mieć lub cierpimy z ich braku. – Wyciągnęła rękę, dotknęła lekko trzymany przez Jeruszę buteleczek, szarpnęła je. – Znajdźcie lepszy sposób. Musi jakiś być. To minie. Wszystko mija, wystarczy poczekać.

– Musiałabym czekać wiecznie. – Lecz nacisk nie ustawał... wbrew swej woli... poczuła, jak rozwiera dłoń, i buteleczki wróciły na półkę.

– Mądra decyzja. – Maskarka uśmiechnęła się, patrząc przez nią, w nią.

Jerusha nie odpowiedziała, nie wiedziała nawet, co mogłaby powiedzieć.

Kobieta odsunęła się wreszcie, puściła ją, jakby trzymała dotąd na uwięzi, przeszła obok do półek w tyle sklepu. Jerusha wyszła ze sklepu, nic nie kupując, nie odzywając się nawet do właściciela.

*Dlaczego jej postuchałam?* Jerusha leżała nieruchomo na niskiej otomanie, opierając się na łokciu. Czowała otulone w watę żyłki wędrujące niepowstrzymanie od dłoni do łokcia, gdy tylko ręka zapadała w sen. Za każdym razem, gdy tu przychodziła, opanowywał ją paraliż niweczający jej zdolność do działania czy chociażby reagowania, do myślenia. Patrzyła, jak upływają sekundy mierzone czystą tarczą zegara wtopionego w kryształ na sterylnej półce pustego regału, zasłaniającego daleki kąt pokoju. Bogowie, jakże nienawidzi widoku tego miejsca, każdego jego martwego centymetra – pozostało bez żadnych zmian od odlotu LiouxSkeda, nadal osłaniało przebywających w nim przed beczasową rzeczywistością otaczającego ich budynku i miasta.

Z pełnym udręki poświęceniem naśladowali styl życia Kharemoughi; przyjmowali ich wyszukane, skomplikowane i bezduszne obyczaje, które kiedyś wydawały się jej ciemne i odpychające. Ledwo zmieniała to patyna jej własnych rzeczy. Snuła fantazje o warstwach przeładowanych ozdobami, rokokowych fresków i odlewów, bezwstydnym ciepłe palety pokrywających wszystko krzykliwych barw... zamknęła dłonią oczy, w które przesiąkała się jak woda bezlitosna subtelność prawdy, zamazująca i rozcieńczająca kolory.

Zmuszała się do bycia w tym miejscu pełnym paskudnych wspomnień – stanowiło to część jej brzemienia, jej kary. Mogłaby się stąd wyrwać, wysprzątać to mauzoleum z pamiątek po śmierci, zastąpić je rzeczami świeżymi i żywymi... mogłaby nawet pozbyć się go całkowicie, wrócić do swych starych, ciasnych, wygodnych pokoi w Labiryncie. Jednakże przybywała tu po każdym dniu pracy i nic nie robiła. Z jakiego powodu? To niepotrzebne, beznadziejne... *nic nie dające*... Uniosła

dłonie do ust, przycisnęła mocno do warg. *Patrz, przestań!*

Usiadła, odrywając ręce, pochyliła głowę, aż kaptur kaftana zasłonił jej twarz. Wszędzie są szpiedzy Królowej, jej oczy – a zwłaszcza w tym mieszkaniu, była tego pewna. Czowała, jak jej dotykają brudnymi łapami, gdziekolwiek by poszła, cokolwiek by zrobiła. W starym domu mogła swobodnie być człowiekiem, być sobą, przestrzegać swego dziedzictwa... wolno jej było ściągać ocierający skórę purytański kaftan, chodzić nago, kiedy tylko chciała, tak jak na jej planecie, gdzie było to odwiecznym zwyczajem. Tu jednak zawsze robiłaby widowisko dla oczu Królowej, przeto bała się odstąpić, fizycznie czy psychicznie, narazić na niewidzialne drwiny Białej Suki.

Podniosła rzucony na podłogę czytnik taśm, patrzyła, nic nie widząc, na wyniki analizy spektralnej, którą starała się zbadać od tygodnia... dwóch tygodni... od zawsze. Nigdy nie lubiła fikcji, w żadnej postaci; codziennie wysłuchiwała zbyt wielu kłamstw, by mieć cierpliwość dla ludzi, którzy z nich żyli. A teraz nie potrafiła się skupić na faktach. Mimo to nie chciała i nie pozwalała sobie na ucieczkę w fantazję... co czynił zawsze BZ, tak lekko, tak beztrudnie. Jednakże bycie na Kharemough Techem oznaczało i tak życie w wymyślonym świecie, w którym wszyscy znali jego miejsce, w którym jego jest zawsze na wierzchu. Gdzie życie biegnie jak doskonała maszyna... tylko że maszyna ta się popsuła, a czekający na zewnątrz chaos skoczył, by ją zniszczyć.

Wyobraziła sobie wyparowujący patrolowiec, wypuszczający ze śmiertelnej sceny dwie dusze w – co? Wieczność, czyściec, nie kończący się cykl odrodzeń? Jak można wierzyć w jakąś religię, jest ich tyle, każda utrzymuje, że tylko ona posiada Prawdę, a wszystkie są odmienne. Tylko w jeden sposób dowie się o tym sama... cześć jej duszy już przekroczyła bez biletu czarną wodę, odpłynęła ze Sternikiem i jej jedynym przyjacielem na tym świecie pełnym wrogów. Jej jedynym przyjacielem... Czemu, u Ucha, posłuchałam? Czemu zostawiłam na półce te buteleczki? Wstała, nie zauważony czytnik znów spadł na podłogę. Zrobiła krok, wiedząc, iż idzie do drzwi, zatrzymała się, rozdzierana niepewnością. Motywy, Jerusho! pomyślała rozpaczliwie. Chciałam zostawić te butelki, bo inaczej nigdy nie zmieniałabym decyzji. Mięśnie jej osłabły, osunęła się na podłogę, całe ciało otuliła wata zmęczenia. Nie mogę tu spać! Nie ma ucieczki, nie została jej żadna przystań, nikt...

Jej poszukujące oczy spoczęły na wyblakłych barwach muszli leżącej jak ofiara na stoliku naśladowującym ołtarze Imperium. *Ngenet... Och, bogowie, czy jesteś jeszcze moim przyjacielem?* Trwały spokój domu na plantacji, niezłomna cisza w środku sztormu wypełniły oczy jej duszy. Ostatnio spotkała się z nim przeszło rok temu; wraz z pogłębianiem się jej depresji, kurczeniem się świata wokół niej, oboje świadomie i nieświadomie zerwali wiotką, sztuczną nić rzadkich wizyt. Wmawiała sobie, że nie chce, by ujrzał, jaką ostrą jak brzytwa suką się stała... a mimo to zaczęła go jednocześnie przewrotnie nienawidzić za niedostrzeżenie, iż bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje jego bezpiecznej przystani.

A teraz? *Tak... teraz.* Jakiż to ślepy masochizm każe jej wznosić mury własnego więzienia? Podeszła do telefonu, wystukiwała z pamięci kolejne numery, aż połączyła się radiowo z plantacją. Liczyła mijające sekundy biciem czubków palców w bladą, twardą powłokę ściany, aż wreszcie odpowiedział jej sam głos, bez obrazu, zniekształcony przez zakłócenia. *Cholerne miejsce!* Przeszkadza sztorm. Zawsze przeszkadza.

– Hallo? Hallo? – Pomimo zakłóceń wiedziała, że nie ten głos chciała usłyszeć.

– Hallo! – Nachyliła się bliżej nad mikrofonem, jej podniesiony głos odbijał się echem w pustych pokojach. – Mówi komendant PalaThion z Krwawnika. Chcę rozmawiać z Ngenetem.

– Co...? Nie ma go tutaj, pani komendant... wypłynął na swoim statku.

– Kiedy wróci?

– Nie wiem. Nie powiedział... zostawi pani wiadomość?

Przerwała połączenie uderzeniem pięści; odwróciła się od ściany, drżąc z wściekłości.

– Żadnej wiadomości.

Znowu przeszła przez pokój, by podnieść bladoróżową muszle, przesuwała niepewnymi palcami po jej gładkich zwojach. Dotknęła uszkodzonego miejsca, gdzie odłamał się kruchy kolec. Zacisnęła palce na następnym cierniu, oderwała. Trzasnął następny i jeszcze jeden, kolce spadały w milczeniu na dywan. Jerusha jęczała przy tym cicho, odłamywała własne palce.



– Cokolwiek robimy, wpływa to na wszystko inne.

– Wiem... – Moon schodziła z Ngenetem zboczem wzgórza mieniącego się ochrą i srebrem słonych traw, falujących jak harfa, poniżej domu na plantacji. Budynek wtapiał się w suche, spalone pagórki, jego zniszczone kamienie i białe od soli belki były tak samo częścią tej ziemi jak – jak i on. Moon zerknęła ponuro kątem oka na profil Ngeneta, przypomniała sobie, jak dziwny się jej wydał, gdy ujrzała go po raz pierwszy i ostatni. Przed pięciu laty... To prawda, widziała, co pięć lat zrobiło z jego twarzą, lecz nie z jej.

Mimo to się zmieniła, w chwili kiedy to ujrzała, jak światło życia opuszcza oczy Elsevier. Śmierć ją przepuściła... lecz nie zniknęła. Rozpacz unosiła się i opadała w dziewczynie jak zamknięta w butelce sztormowa fala żalu. Gdyby nie wyzwiała Śmierci, ta nie utkwiliby w jej duszy.

– Gdyby Elsevier nie przywiozła mnie na Tiamat, żyłaby nadal. Gdybym została z nią na Kharemough, byłaby szczęśliwa. – Nagle zamiast Elsevier ujrzała Sparksa. *Żadne pragnienie nie liczyło się bardziej od mego.* Zamrugnęła gwałtownie, stając pod wiatr.

– Ale nie ty. – Ngenet spojrział na nią, podtrzymał mocną dłonią na bardziej stromym odcinku. – A widząc cię nieszczęśliwą, sama też czułaby się źle. Nie można wiecznie żyć, kłamiąc innym, to nigdy się nie udaje. Musimy być szczerzy wobec siebie. Wiedziała o tym, bo inaczej by jej tu nie było. Musiało tak się stać. Śmierć musi przyjść, choć pragnęlibyśmy temu zaprzeczyć. – Spojrzała na niego ostro, ujrzała ogarniętego własną rozpaczą i znów odwróciła wzrok.

Ngenet pokręcił głową.

– Po śmierci TJ nigdy nie doszła do siebie. Mój ojciec zawsze mawiał, że to kobieta jednego mężczyzny. Na dobre czy złe. – Wbił ręce w kieszenie puchowej kurtki i spojrział na północ, ku tonącemu w bieli dalekiemu brzegowi, na którym leżał Krwawnik. – Moon, wszystko wpływa na wszystko inne. Nie dowiedziałbym się niczego, gdybym tego nie pojął. Nigdy nie przypisuj sobie całej zasługi... ani całej winy. Nie powinnaś się obwiniać.

Niepocieszona pokręciła głową.

– No to zacznij myśleć, jak możesz się jej odwdzięczyć! – Zaczekał, aż w jej oczach zrodzi się pytanie. – Nie pozwól, byś zgorzkniała z żalu. Sama mówiłaś, że sybilla powiedział, byś wróciła na Tiamat. Że musiałaś wrócić.

– Aby pomóc Sparksowi. – W ślad za nim spojrzała na północ. *Kobieta jednego mężczyzny...* Wiatr porwał jej włosy jak ptasie skrzydła i unióś nad ramionami. Odsunęła przed oczu mlecznobiałe kosmyki.

– To tylko trybik większej maszyny. Umysł sybilli nie wysyła wiadomości przez połowę galaktyki, by pocieszać złamane serca. Masz coś więcej do wykonania. – Stał nagle przed nią.

– W-wiem. – Z nagłym przestraszeniem szła po splątanej trawie; patrzyła na własny cień, jak chmura spoglądająca na ląd. – Rozumiem to teraz – mruknęła, czując w głębi serca, że nie pojmuje tego do końca ani w pełni nie wierzy. – Nie wiem jednak co takiego, oprócz ratowania Sparksa. Coś kazało mi przybyć... lecz powiedziało za mało.

– Czy na Kharemough nauczyłaś się czegoś, czego nie dowiedziałabyś się tutaj?

Zaskoczona uniosła wzrok.

– Tak... co to znaczy być sybilla. Że na Kharemough są rzeczy, które powinniśmy mieć tutaj, lecz są nam zakazane. – Usłyszała, jak głos lodowacieje jej jak wiatr. – Pojęłam, w co wierzyła Elsevier, i dlaczego... Wszystko to stało się częścią mnie. Nikt nie sprawi, bym o tym zapomniała. Chcę to zmienić. – Błądziła oczyma po północnym horyzoncie. – Ale nie wiem jak.

– Znajdziesz sposób, gdy dotrzesz do Krwawnika.

Spojrzała na niego.

– Gdy ostatnio o tym mówiliśmy, nie chciałeś, bym tam pojechała.

– Nadal nie chcę – burknął. – Kim jednak jestem, by stawać na drodze przeznaczenia? Ojciec nauczył mnie wiary w reinkarnację, w to, iż kształt naszego obecnego życia jest nagrodą lub karą za czyny w poprzednim. Gdybym chciał zabawić się w filozofa, powiedziałbym, że z chwilą śmierci Elsevier jej duch odrodził się w tobie, tam w morzu. Ocean się zmienił.

Zamknęła oczy, czując działanie tych słów, potem uśmiechnęła się i otworzyła powieki.

– Miroe, czy zastanawiałeś się kiedyś, kim byłeś przedtem? I nad tym, czy cokolwiek by się zmieniło, gdybyśmy rodzili się z wiedzą, co mamy odpłacać, zamiast brnąć ślepo przez karę?

Roześmiał się. – Takie pytanie powinienem zadać tobie, sybilli.

*Sybilli. Jestem znowu pełna. Pełniejsza. Poświęcona...* Zimne powietrze paliło jej płuca. Przycisnęła miejsce pod kurtką, gdzie kryła się koniczynka; ponownie spojrzała ku Krwawnikowi, pragnąc zobaczyć coś niemożliwego do dojrzenia. Zbliżało się końcowe Święto, kiedy to Premier po raz ostatni przybędzie do Krwawnika. Pomyślała z ciekawością, iż leciał z Kharemough w ślad za nią. Miną jednak dwa tygodnie, zanim zawinie tu statek handlowy, który będzie mógł ją zabrać do Krwawnika. Już za dwa tygodnie się dowie... Poczwała nagle, jak serce bije jej mocno w piersi, nie wiedziała, z wyczekiwania czy strachu.

Minęli boczne budynki mieszczące dziwne warsztaty Ngeneta, poszli podnóżem wzgórza ku szerokim, zalewanym polom, wypełniającym wąską nizinę nadmorską na północ i południe, aż do granic jego posiadłości. W swym warsztacie Miroe majstrował przy najprzeróżniejszych, przestarzałych silnikach i prymitywnych narzędziach, rzeczach, które jeszcze kilka miesięcy temu uważałaby za cudowne, lecz teraz wydawały się jej po prostu nieużyteczne. Pytała go, czemu się nimi zajmuje, skoro towary z miasta mogą zrobić to samo, na dodatek znacznie lepiej. Uśmiechnął się tylko i jakoś wykręcił od odpowiedzi.

Zimaccy robotnicy chodzili na szczudłach w basenach z wodorostami. W surowych, północnych wysokościach były one głównym pożywieniem ludzi i zwierząt. Pracujący witali Ngeneta z szacunkiem; niektórzy mężczyźni i kobiety rzucali także ukradkowe spojrzenia Moon. Miroe powiedział swoim domownikom, że jest ona rozbitkiem wyratowanym przez mery. Mieszkający na uboczu i pracujący na oceanie Zimacy bliżsi byli wierze w Matkę Morza niż się jej zawsze zdawało; zajmowali się nią z troskliwością należną przedmiotowi małego cudu. Pewnego słonecznego popołudnia robotnicy polowi uczyli ją chodzić na szczudłach. Balansując uważnie, idąc niezgrabnie i potykając się na równej ziemi, zrozumiała ze smutkiem, dlaczego do pracy w gąszczu zalewanych traw zakładają wodoszczelne kombinezony.

Idąc za Ngenetem po wysokich kamiennych chodnikach przecinających pola, szła jednocześnie tunelem czasu, widok i zapach morskich żniw przenosił ją na Neith, do babci, matki, Sparksa – do straconych lat. Do czasu, kiedy to przyszłość była równie pewna co przeszłość, kiedy to wiedziała, że nigdy nie będzie musiała samotnie stawiać jej czoła. Stracone lata. Teraz słyszała odgłosy nowej przyszłości, biegły za nią od gwiazdy do gwiazdy, wzywały do miasta na północy...

Ich buty zaskrzypiały na drewnianym nabrzeżu osłoniętej zatoczki, służącej jako przystań plantacji. Wcinająca się w ląd woda, osłonięta jego mocnymi ramionami przed wiejącymi stale wiatrami, lśniła pod niebem błękitem i srebrem. Widok Morza nie wywoływał już w niej koszmaru wyznaczonej przez Panią próby wody; zdumiała się, że jej nie przypomina. Silniejsza niż pamięć była jednak świadomość, iż Morze ją oszczędziło. Przeżyła. Morze daje, Ona odbiera; oto podstawowe przejawy większej, powszechnej obojętności. Mimo to dwukrotnie, umysłem i ciałem, zetknęła się z

ową obojętnością i została oszczędzona. Żył w niej bezimienny przeciwność, a póki żyje, nie ma się czego bać.

Daleka, błękitna tafla wody trysnęła bielą, gdy para merów zakłóciła jej spokój doskonałymi łukami swych ciał. Moon patrzyła, jak wznoszą się i opadają na powierzchni zatoczki, by zniknąć ponownie w morskiej otchłani. Inny kształt, mniej natarczywy, prul wodę, zbliżając się do opartej o barierkę Moon – był to Silky, który od chwili przybycia tu większość czasu spędzał w zatoce.

– Miroe, co się z nim stanie? Nie ma nikogo, nigdzie. – Przypomniała sobie, jak znaleźli go Elsevier i TJ.

– Jest tu mile widziany, wie o tym. – Ngenet wskazał na swe ziemie i spojrzał na nią z uśmiechem.

Uśmiechnęła się także, patrząc na wodę. Uderzyła ją mocno ironia obecności Silky'ego wśród merów. Ludzie z plantacji nienawidzili i bali się takich jak on, bo nie dość, że byli obcymi, to na dodatek Psami Królowej Śniegu, łapiącymi i zabijającymi mery. A wiedziała już, że Ngenet nie tylko odrzuca ich rzeź i chroni je w swej posiadłości, lecz także dobrał sobie robotników myślących tak samo jak on. Ngenet od tylu lat znał Silky'ego jako towarzysza Elsevier, że mu ufał; inaczej jego ludzie.

Przyjęły go jednak mery, choć one właśnie powinny być najbardziej nieufne, i większość czasu spędzał w morzu. Zachowywał się jeszcze bardziej milcząco niż zwykle, Moon wyczuwała jego rozpacz jedynie dlatego, że pamiętała ostatnie chwile na statku kosmicznym.

Silky dołączył do nich przy unoszącym się nabrzeżu, podciągnął się zgrabnie, przeskoczył barierkę i stanął obok, ociekając wodą. Jego mokre, bezpłciowe ciało lśniło nago w powietrzu, odziane jedynie w ulotne klejnoty wodnego świata. (Wydawało się jej dziwne, że Elsevier i inni tak łatwo uznali go za samca, według niej to gładkie ciało mogło równie dobrze należeć do samicy). Oczy Silky'ego odbijały jedynie jej postać, uniemożliwiały wnikięcie do myśli. Kiwnął im głową i pochylił się nad barierką, opuszczając macki.

Spojrzała na zatokę, do pary merów dołączyły trzy dalsze, ich migający balet stanowił odbicie wewnętrznego, bezinteresownego piękna. Podczas codziennych popołudniowych spacerów oglądała nowy, ruchliwy jak rtęć taniec w wodzie, jakby czciły tak jej powrót do życia. Ich wdzięk wypełnił ją nagłym pragnieniem stania się taką jak one, jak Silky – bycia prawdziwym dzieckiem Morza, a nie tylko przybranym...

– Silky, spójrz na nich! Gdybym mogła zamienić się z tobą skórą, choćby na godzinę...

– Chcesz wrócić do morza, z którego lodowatego błękitu wyciągnąłem cię szczękającą zębami ledwo dwa tygodnie temu? – Ngenet spojrzał na nią z niedowierzaniem lub oburzeniem. – Chyba jednak trochę ucierpiałaś psychicznie.

Pokręciła głową.

– Nie! Tylko nie to. Pani, nigdy już! – Wzdrygnęła się i roztarła ramiona przez grubą tkaninę kurtki. Drgania niedogrzenia szarpały wszystkimi mięśniami jej ciała, oszałamiały ją i okaleczały. Teraz mogła znowu myśleć i ruszać się, codziennie coraz dłużej spacerowała w cierpliwym towarzystwie Ngeneta, rozplątywała węzły swego ciała, starała się przypomnieć sobie, co się czuje, chodząc bez przejmującego bólu. – Całe życie wierzyłam, że mój lud należy do Morza. Ale stać się jego naprawdę, tak jak mery, choćby na krótko... byleby tylko poznać... – przerwała nagle.

Mery zakończyły swój taniec i znów zniknęły pod wodą; nagle, niespodzianie, trzy wąskie głowy o ociekającej sierści wynurzyły się z półmroku tuż pod nią. Ich węzowate szyje odchyliły się i zakołysały jak morska trawa, błyszczące jak gagat oczy wpatrzyły się w Moon. Błony ochronne osunęły się gładko na obsydianowe powierzchnie, grzebień zakończonej piórkami szczeciny nad

oczyma uniósł się i zeszywniał, nadając pyskom zdziwiony wyraz. Środkowy mer był tym, który niósł ją jak własne dziecko zagubione w morzu.

Moon przechyliła się przez barierkę, wyciągnęła rękę.

– Dziękuję wam. Dziękuję – mruknęła głosem pełnym uczuć. Mery wysunęły się kolejno z wody, dotknęły jej dłoni i zanurzyły ponownie. – Zdawało mi się niemal, że wiedzą. – Odsunęła się od barierki, czując, jak mróz kąsa jej mokrą rękę. Wsunęła ją do rękawiczki i kieszeni.

– Może i wiedzą – uśmiechnął się Ngenet. – Może nawet jakoś pojmują, iż uratowały sybillę, a nie tylko jakiegoś pechowego żeglarza. Nigdy nie widziałem, by tańczyły tak dla obcego czy ociągały się z odpłynięciem. To ciekawe istoty – dodał, odpowiadając na pytanie w jej oczach.

– Istoty? – Zrozumiała, jak wiele przyznał i odrzucił tym jednym słowem. Po swym uratowaniu dowiedziała się wielu rzeczy o Ngenecie, o jego pełnym szacunku stosunku do merów, trosce o ich bezpieczeństwo. Istniał nawet szcątkowy zestaw gestów i dźwięków, którymi się z nimi porozumiewał i posłał je, by jej szukały, co pozwoliło mu przybyć na czas do miejsca katastrofy. Nie podejrzewała jednak...

– Masz na myśli – ludzkie istoty? – Zarumieniła się i potrząsnęła głową. – To znaczy, inteligentne, takie jak Silky? – Patrzyła kolejno na ich twarze.

– Tak trudno by ci przyszło w to uwierzyć? – odpowiedział na wpół pytająco, na wpół wyzywająco. Słyszała jego głos z dziwną intensywnością.

– Nie. Nigdy jednak nie myślałam... nigdy nie myślałam. – *Nigdy nie myślałam, że spotkam obcego z innego świata; nigdy nie myślałam, iż może on nie być człowiekiem; nigdy nie myślałam, iż sybilla odpowie na takie pytanie.* – Czy prosisz mnie... o odpowiedź...? – Mówiła wysokim, napiętym głosem, poczuła, jak się zapada...

– Moon?

Zapada się... *Wejście.*

– Co mówiłam? – zapytała go, gdy było już po wszystkim.

– Opowiedziałas mi o merach – uśmiechnął się Ngenet.

Moon odtwarzała w pamięci swe słowa, posuwając się faliście w niebieskozielonym podwodnym świecie. Płynne powietrze opierało się i ustępowało, opierało się i ustępowało pod naporem jej rąk. Tak obdarował ją Ngenet za odpowiedź na nie zadane pytanie, za potwierdzenie jego przeświadczenia. Dowiedziała się wreszcie, co to znaczy należeć do Morza, całkowicie i przemożnie; nie musieć wiecznie balansować na niepewnej linii pomiędzy oceanem a niebem, na wąskiej miedzy pomiędzy światami.

Wsluchiwała się w rytmiczny, kojący szum powietrza, ulegający każdej prośbie o oddech, oszczędzała je, ciepłe i lekko stęchłe, gdy napływało poprzez zawór sterujący. W oddali bezkresne przestrzenie morza zasłaniała mgiełka zawieszona z piasku. Mimo to widziała wyraźnie w tej płytkiej zatoce, widziała nieskazitelne piękno towarzyszących jej merów i Silky'ego, ich opływowe kształty podtrzymywane niewidzialnymi rękoma.

– To dlatego śpiewacie! – Jej głos popłynął ku nim w chmurze śmiechu; wydostał się niezakłócenie z głośnika przy ustach, choć dla nich był jedynie snopem bąbelków. *Bo nie możecie powstrzymać radości.* W przerwach między oddechami dobiegał ją śpiew merów, syrenie pieśni, które słyszała tylko w legendach i snach; przeplatające się gwizdy, jęki, bicia dzwoneczków, westchnienia i krzyki – słyszane osobno, brzmiały smutno i samotnie, lecz wspólnie tworzyły chór wznoszący hymny ku chwale Matki Morza. Pieśni te ciągnęły się niekiedy godzinami, a były to najprawdziwsze pieśni, powtarzane bezustannie przez ich pozbawionych wieku twórców, niezmiennie od wieków.

Wiedziała o tym, mimo iż były tak złożone, że nie potrafiła ich od siebie odróżnić, mimo braku pewności, czy na wzór pieśni ludzi przekazują jakieś znaczenie... Wiedziała, bo powiedziała to sobie.

Po wyjściu z niespodziewanego Przekazu ujrzała Ngeneta trzymającego ją za ręce, jego śniadą twarz wykrzywiało uczucie. Gdy tylko go poznała, podniósł i pocałował jej okryte rękawiczkami dłonie.

– Wierzyłem... zawsze wierzyłem, miałem nadzieję, modliłem się... – głos mu się załamał. – Nigdy bym się jednak nie ośmielił zapytać ciebie. I okazało się to prawdą. Nie wiem, czy mam się śmiać, czy płakać!

– Czym – czym są? – mruknęła, nadal oszołomiona.

– Mery, Moon! Mery...

*...rozumna, oddychająca tlenem forma życia, wytworzona poprzez manipulację genami; bioinżynieryjny nośnik technowirusa przenoszącego czynnik długowieczności...* Biologiczne określenia Starego Imperium ciągnęły się bez końca, nic dla niej nie znacząc. Ngenet zmusił ją jednak do wysłuchania każdego szczegółu, który wrył się mu w pamięć, przekazywał go głosem pełnym emocji. Rozumna forma życia... rozumna...

Moon czuła, jak otaczają ją macki Silky'ego, jak podnoszą ją i wyrzucają w koziołku ku śrubowatym ciałom; jak łapią znowu, zamrażając chwilę. Ujrzała wysoko nad sobą błękitną powałę powierzchni zatoki, potem ocienione, piaszczyste dno pokryte koloniami głowonogów, usiane jaskrawymi skorupiakami. W powolnym, spiralnym skręcie widziała z każdej strony żywe stworzenia, pojedyncze lub w ławicach, znane i nie znane, ścigane i uciekające... mijała je wszystkie swobodnie w towarzystwie merów, płynęła przez ich dziedziczne tereny. Zagrażały mało komu, nie

bały się nikogo w głębinach oceanu... nie lękały niczego, oprócz Łowów.

Zaskoczona zapytała Miroe, jak pozaziemcy mogą pozyskiwać wodę życia, skoro wiedzą, że mery to coś więcej niż zwierzęta.

– Muszą wiedzieć, mają przecież sybille.

– Ludzie zawsze traktowali siebie nawzajem jak zwierzęta. Skoro nie rozpoznają w lustrze inteligentnej istoty, to nic dziwnego, że jeszcze gorzej traktują inne gatunki. – Ngenet spojrział na Silky'ego, który zawieszony na barierce patrzył w zamyśleniu na wznoszącą się i opadającą wodę. – A choćby nawet mery były tylko zwierzętami, czy mieliby prawo mordować je dla własnej próżności? Mery są istotami sztucznymi genetycznie. Musiano wykorzystywać je do badań, lecz Stare Imperium załamało się, nim na tyle opracowano ich “dobroczynne zakażenie”, by całkowitą nieśmiertelność zapewnić ludziom. Zabijanie merów dla wody życia sięga chaosu towarzyszącego upadkowi Imperium, kiedy to pragnący nieśmiertelności dla siebie nie liczyli się ze śmiercią innych. Prawda została przypuszczalnie zatajona przed tysiącem lat, kiedy to Hega ponownie odkryła ten świat. Teraz jedyną ich troską jest cena i czas.

– Ale dlaczego Stare Imperium dało merom rozum?

Pokręcił głową.

– Nie wiem. Ty też nie. Musieli mieć jakiś powód, ale jaki? Wiem tylko jedno, nie stały się rozumne po to, by padać ofiarą Łowów! – Potem wyjaśnił jej, dlaczego pomagał przemytnikom, podobnie jak przedtem jego ojciec. – Tradycję tę zapoczątkował dziadek, pierwszy z urodzonych tu przodków, który pokochał mery jak i cały ten świat, który uczynił sanktuarium z tej ziemi. Późniejsze pokolenia nie zadowolowały się jednak bierną rolą opiekunów i zaczęły potajemnie występować przeciwko wyzyskiwaczom – ostrzegając, przeszkadzając, dokonując sabotaży – aż... do dnia, w którym Sini napadli na was w tawernie i wyrwali dziurę w życiu nas wszystkich. – Spojrział znów na północ z dziwnym grymasem, nie mającym nic wspólnego z jego słowami.

Ale teraz, po następnych stu pięćdziesięciu latach wyzysku, pozaziemcy znowu opuszczą Tiamat; dobiega końca niesprawiedliwość, którą starał się powstrzymać... zbliża się czas niewiedzy i zacofania, następne pół obrotu nieskończonego koła daremności. Lato zapewni wreszcie merom bezpieczne miejsce w czasie – porę na dokonujące się z bolesną powolnością zwiększenie liczebności, na nieuniknione wynagrodzenie słusznego zła, wyrządzonego przez ich twórców.

Ale dobro i zło, a nawet czas, nic nie znaczą dla merów, nie są pojęciami, które by Moon rozpoznała wśród układu ich spraw. Pozostawione w spokoju żyły setki, może nawet tysiące lat. W ich mózgu pierwszeństwo miały inne czynniki – żyły dla chwili, dla ulotnego piękna bąbelka unoszącego się ku światłu i znikającego, dla aktu tworzenia, stawania się. Nie potrzebowały i nie pragnęły żadnych trwałych rzeczy, bo pieśń, taniec, działanie są dziełami sztuki, takimi jak kwiat czy życie, piękniejszymi jeszcze przez swą przemijalność. Namacalne, materialne, było dla nich równie mało przydatne i doniosłe, co sam czas. Wedle miar ludzkich życie ich jest wieczne i spędzają je hedonistycznie, pochłonięte zmysłowymi pieszczotami ruchu w wodzie, przepływami ciepła i zimna, prądów i pływów, oszałamiającym rozdarciem między morzem a powietrzem, płynnym żarem pragnień, kojącym naciskiem lodowatego mrozu.

Gdyby nawet znalazł się tłumacz, dzięki któremu mogłaby się z nimi porozumieć, to i tak znalazłaby niewiele wspólnych słów. Mimo to, znajdując się wśród nich, chociażby w grubej skórze skafandra płetwonurka, czuła, jak rozpływa się osłaniająca jej umysł sztywna pokrywa doznań, wartości, celów. Mogła odsuwać na bok wspomnienia ostatnich przeżyć, niepewność przyszłych zdarzeń, pozwalając, by teraz splotło się w jednej pianie z zawsze i jutro. Zobaczyła okrążającego ją gorliwie mera, który opiekował się nią jak matka; wiedziała, iż wszyscy są jej przyjaciółmi,

członkami rodziny, kochankami, poczuła, że stała się częścią ich beczasowego świata... Cicho, z pewnym wahaniem zaczęła wplatać swój głos w harmonię pieśni merów.

Poczuła podpływającego do niej Silky'ego, jego macki przesuujące się po gładkiej tkaninie na jej ramionach, okrążające przewód dostarczający powietrze z butli tlenowej, pociągające... – Silky! – Gniewny protest umilkł, gdy zacisnęła zęby na regulatorze, broniąc się przed wyrwaniem go z ust. Starając się obronić zapas powietrza, uniosła ręce oplecione nowymi mackami, szarpnęła niezgrabnie nogą w płetwie. Po chwili ujrzała, że obok walczy para obcych, zobaczyła nóż wysuwający się z pochwy na ramieniu fałszywego Silky'ego, migający między jego mackami jak jadowity kiel węża, rozdartego między dwiema ofiarami. Kopnęła go i odrzuciła, wcześniej jednak ostrze wybrało ofiarę i spostrzegła wypływającą z ramienia Silky'ego ciemną chmurę krwi.

Złapała przyjaciela, spróbowała uciec z nim poza zasięg zabójcy. Spokojne wody zakotłowały się jednak nagle od kształtów, mery z kolonii na brzegu rzuciły się do morza, wraz z innymi utworzyły jedną, opanowaną paniką masę. Rzuciły się wokół niej, uderzały mocno płetwami, głowami, ciałami, siniaczyły i kaleczyły. Trzymała kurczowo bezładne, chwytające się macki Silky'ego, wlokła go przez chaos. W jasnej wodzie nad sobą ujrzała jednak spływającą w dół ciężką sieć i czarną plamę podwójnego kadłuba dziwnego statku prującego powierzchnię zatoki. Następne postacie, które wyglądały jak Silky, lecz nim nie były, kierowały opadaniem sieci. Otoczyła ją jak chmura, wpędzając na powrót w dziką klaustrofobię... Łowy. Nie – nie tutaj, nie tutaj...

Trudno jednak było zaprzeczać zaciskającemu palce na jej szyi niemożliwemu faktowi, iż w dole mery szalały z bólu i oszołomienia wywołanego wydawanymi przez obcych dźwiękami... że wszystkie zginą. Puściła Silky'ego, zobaczyła, jak kiwnął głową i przetkał macki przez oczka sieci, podczas gdy zgięła się w pół i wyjęła nóż z pochwy na nodze. Zaczęła z całej siły ciąć włókna siatki; ustępowały pod szalonymi szarpnięciami jej ostrza, aż puściły na tyle, że mogli się przedostać.

Przeplętnęła przez otwór, ciągnąc za sobą Silky'ego, zdążając w ostatniej chwili, bo sieć opadła na szalejące mery. Została jednak przy dziurze, rwała ją nadal i szarpała, poszerzając przejście.

– Tu! Tu! Wyjście, wyjście, wyjście! – przekrzykiwała ich falujące jęki, niemal łkając z wściekłości. Spanikowane mery głuche były jednak na głosy rozsądku; parę, które się wydostało, zostało wypchnięte przez kotłowanąinę. W gotującej się masie szukała swej merzej matki, lecz nie mogła jej znaleźć. Cięła dalej, klnąc i dysząc z wysiłku. Mimo to mery tonęły, bezradnie ulegały mordercom, nie mogła ich uratować...

Obok Silky szarpał sieć, poruszał się niezdarnie ze względu na ranę lub dźwięki oszałamiające mery. Spojrzawszy na niego, dostrzegła dwa Psy opadające z góry, chwytające go w macki, odrywające od sieci...

Inne macki szarpnęły ją od tyłu, niemal oślepiły, wyrwały nóż, który próbowała zwrócić przeciwko napastnikowi. Zakryły jej maskę jak wijące się węże, ponownie znalazły przewód z powietrzem, wyrwały z ust regulator. Mroźna woda przedostała się do wnętrza maski, strach podwoił jej siły, lecz żywe więzy Psa nie dawały punktu oparcia, tonęła mimo swej zwiększonej mocy...

Dopiero gdy wysunęła głowę nad powierzchnię, gdy bolące płuca rozwarły się wreszcie w oddechu wpuszczającym powietrze, a nie ostatnią, śmiertelną porcję wody, dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie jest trzymana i topiona, że jeszcze jej nie załatwili.

Zachwiała się ze zdumienia, gdy jej płetwy zaplątały się w wodorostach; starła z oczu palące łzy oceanu, ujrzała przed sobą skraj wody i brzeg. Dwa Psy wyprowadziły ją na ląd; na wpół wlekły, na wpół niosły po kamienistej plaży kolonii merów. Była teraz pusta i Psy rzuciły Moon na ziemię, gdzie leżała, dławiąc się i kaszląc. Usłyszała, jak na twarde kamienie opada inne ciało, ujrzała

rozciągniętego obok Silky'ego. Uniosła się na łokciu, by go dotknąć, obejrzeć rany, ale nie była w stanie; dotknęła jedynie jego ramienia w niepewnej zachęcie.

Usiadła, wmuszając każdy rwany oddech w przeciążone płuca, ściągnęła zaparowaną maskę i poczuła na twarzy rwący wiatr. Po jakimś czasie wyszły na plażę następne postacie, wlokąc na płyciznę obfite żniwo ciał merów, by przystąpić tam do ich oprawiania. Moon wbiła pięści w piasek plaży, łkała cicho, lecz nie nad sobą.

Pracy Psów przyglądała się stojąca na brzegu dziwna postać, czarna jak widmo, o ludzkiej sylwetce i rogatej głowie legendarnej istoty. Widziała, jak macha ręką i pokazuje; wiatr niósł jego ledwo słyszalny, bezdźwięczny głos – głos człowieka. Pierwsze mery zostały wywleczone na brzeg. Psy klękały przy każdym, błyskały nożami i po sierści cicho jak westchnienie zaczynała spływać krew, wypełniać wiadra. Pozbawione wdzięku, obrabowane z życia, odarte z radości i piękna, ciała leżały jak ścierwa na zajmowanej od pokoleń plaży, czekały na ucztę padlinożernych ptaków.

Moon zamknęła oczy, niezdolna do patrzenia. Poczowała mdłości i morderczą nienawiść. Położyła dłoń na ciężkim otoczaku, zaciskając ją coraz bardziej, ukłękła. Obok podniósł się Silky, skoczył na nogi jednym nagłym ruchem, pochylił się nad nią. Usłyszała jego głos, nie zrozumiała, co mówi, wyczuła jednak, jak głęboko go rani widok braci tnących jego przyjaciół. Ruszył, zataczając się lekko, nim zdołała do niego dołączyć. Podszedł do nieludzkiej postaci w czerni i otaczającej go sfory Psów.

– Silky... – Z trudem wstała, zerwała płetwy, chwyciła kamień i ruszyła za nim.

Człowiek w czerni ledwo rzucił na nich okiem.

– Zatrzymać ich. – Machnął od niechcenia ręką, a trzy Psy zastąpiły drogę Silky'emu, otoczyły go bez wahania. Wybuchły obce głosy i pomruki, zaczęła się walka. Macki skakały do głów i srebrnych oczu, pokazały się ponownie srebrzyste noże...

– Nie! Silky! – Podbiegła do niego. Trzeci Pies złapał ją i odciągnął. Zobaczyła zanurzające się znowu ząbkowane ostrze. Krzyknęła, jakby to ją ugodzono. Silky opadł na kamienie jak następny kamień. Człowiek w czerni odwrócił się na jej wrzask, w tejże chwili z całej siły walnęła trzeciego Psa, powalając go na ziemię. Pozostałe chwyciły ją i przytrzymały pomimo szarpań, podczas gdy uderzony wstał krwawiąc, odrzucił kaptur jej skafandra i odsłonił gardło. Na ramiona rozsypały się jej włosy, macki zagłębiły się w nie, odciągnęły głowę do tyłu.

– Stać! – Ktoś głośno krzyknął. Moon nie miała już głosu ni czasu, ujrzała po raz ostatni kalejdoskop chmur i nieba, gdy kapiące krwią ostrze ukłuło ją w gardło.

Gwałtowny ruch odrzucił od niej Psy, powalił ją na ziemię.

– Zostawcie ją! Co, u diabła, robicie? – Ciężkie buty człowieka w czerni stanęły nad nią okrakiem, osłoniły jak drzewo podczas burzy. Spojrzała w górę, zobaczyła jedynie ciemną sylwetkę na tle pustego, kamienistego brzegu. – ...bo jest sybillą, niech was licho, dlatego! Chcecie mnie skalać? Spływaj stąd do piekła i wrzuć do morza ten nóż! – Odegnął Psy, odstąpił krok, gdy odeszły, i kucnął przy dziewczynie.

Moon podciągnęła się słabo, poczuła cienką ciepłą strużkę krwi wypełniającą tatuaż w zagłębieniu gardła, spływającą pod kołnierz skafandra i między piersi.

Człowiek w czerni... była teraz pewna, że za maską kryje się człowiek. Widziała tylko jego oczy, były szarozielone. Niepewnie sięgnął rękawicą do jej gardła. Cofnęła się, zaskoczona, lecz tylko wytarł krew z tatuażu nagłym machnięciem dłoni. Zobaczyła, jak zadrżał na widok koniczynki, przesunął gwałtownie rękawiczką po kamieniach.

– Bogowie! Czy zwariowałem? – Rozejrzał się, szukając na brzegu zaprzeczenia lub potwierdzenia. – Nie istniejesz. Nie możesz! Kim jesteś? – Znów uniósł rękę, chwycił ją za brodę i



ustawił twarz tuż przed sobą, po chwili opuścił dłoń, przesuwał ją po policzku i włosach w geście niemal pieszczoty. – Nie nią... – jakby się usprawiedliwiał.

Uniosła do gardła własną dłoń w rękawiczce, czując ból sięgający od ucha do ucha, od brody do piersi, zasłaniając swą ranę, chroniąc koniczynkę przed jego spojrzeniem.

– Moon – szepnęła, nie wiedząc, czemu podała swe imię, ciesząc się jednak, że nie straciła jeszcze głosu. – Sybillą... – mówiła szorstko, z rosnącą histerią – tak, jestem nią! A ty popełniasz morderstwo! Nie masz prawa polować na tej ziemi. Nie masz prawa zabijać rozumnych istot! – Wskazała dłonią na rzeź na plaży, nie patrząc na nią jednak. – To morderstwo, morderstwo!

Jego oczy podążyły w ślad za jej dłonią, wróciły zielone i twarde jak szmaragdy.

– Zamknij się, przekłeta... – Patrzył jednak na nią niedowierzającym, pożądanym wzrokiem z dłońmi zaciśniętymi na kolanach. – Bądź przekłeta, przekłeta! Co tu robisz? Jak mogłaś tu wrócić, zobaczyć mnie takiego? Po tym, jak mnie zostawiłaś... mogę cię za to zabić! – Skręcił głowę, oderwał oczy, rzucał te słowa na wiatr.

– Tak! – krzyknęła. – Zabij i mnie, morderco merów, morderco sybilli, tchórze – i sam bądź przekłety! – Gwałtownym ruchem ukazała mu gardło. – Rozlej mą krew i weź na siebie tę winę! – Wyciągnęła zakrwawione palce, by go złapać, zranić, skalać...

Ale jej dłoń nagle osłabła, opadła zapomniana, gdy dostrzegła wreszcie symbol błyszczący na czarnym stroju; splatające się w kole krzyże, znak Hegemonii, medal, który widziała każdego dnia swego życia w Lecie... Znowu uniosła rękę, nie powstrzymał jej dotknięcia. Powoli, powolutku uniosła oczy, wiedząc, że za chwilę...

– Nie! – Jego pięść opadła bez ostrzeżenia i posłała ją w mrok.

– Cześć, Miroe. – Jerusha wysiadła z patrolowca, odziana w mundur i najlepszy z udawanych uśmiechów. Wiatr zacisnął na jej ramionach swe mroźne dłonie, próbował zerwać słabo przypiętą pelerynę i zabrać się do brutalniejszych pieszczot. *Cholerna pogoda!* Walczyła o zachowanie uśmiechu.

– Jerusha? – Ngenet schodził po stoku, wezwany przez robotników rolnych, którzy dostrzegli jej przybycie. Jego szeroki, witający uśmiech wydał się jej szczerzy, sama się rozjaśniła. Odczytała jednak dwuznaczność wzroku, który spojrzał najpierw na mundur, a potem w jej oczy. – Minęło wiele czasu.

– Tak. – Kiwnęła głową, wykorzystując ten ruch, by opuścić wzrok, zastanowić, czy jedynie czas jest przyczyną wahania. – Wiem. Co – co u ciebie, Miroe?

– Jak zawsze. Wszystko jak zawsze. – Wsunął dłonie w kieszenie kurtki i zadygotał. – Bez zmian. Przybyłaś urzędowo czy z wizytą? – Zerknął do pustego patrolowca.

– Chyba wszystkiego po trochu – odpowiedziała, starając się mówić bez troski. Dostrzegła nieznaczne skrzywienie jego ust, wzniesienie wąsów. – Dowiedzieliśmy się, że niedaleko stąd wylądował przemytnik techniki – *całe dwa czy trzy tygodnie temu* – a ponieważ brałam udział w poszukiwaniach...

– Komendant policji uganiający się po pustkowiu? Od kiedy? – zapytał wesoło.

– Cóż, tylko ja byłam wolna – uśmiechnęła się ze skruchą, rozciągnęła nie używane mięśnie policzków.

– Do licha – wybuchnął śmiechem – wiesz przecież, że nie musisz mieć wymówki, by tu przyjechać. Zawsze jesteś mile witana... jak przyjaciel.

– Dziękuję – zrozumiała szczerą określenia i była za nie wdzięczna. – To miłe, że ktoś uważa mnie za człowieka, a nie za Siną. – Szarpnęła za pelerynę, nagle ją kłopotą. *Moja tarcza i zbroja. Co zrobię, gdy mi ją zabiorą!* – Próbowałam... próbowałam się do ciebie dodzwonić, parę tygodni temu. Gdzieś wyjechałeś. – Nagle się zastanowiła, dlaczego on się nie odezwał. *Bogowie, czemu miałabym go winić, skoro sama nigdy tego nie robiłam?*

– Przykro mi, nie mogłem... – zdawało się, że pomyślał o tym samym pytaniu i także nie znalazł odpowiedzi. – Byłaś chyba... zajęta.

– Zajęta! Och, na piekło i szatany, to było... czyste piekło, z szatanami. – Oparła się o patrolowca, pociągnęła i zamknęła drzwiczki. – Miroe, przepadł BZ. Zginął. Zabili go bandyci poza miastem. Nie mogę już... nie mogę dłużej tego wytrzymać. – Pochyliła głowę. – Nie wiem, jak zdołam wrócić do Krwawnika. Gdy tylko pomyślę, jak wszyscy by się ucieszyli, jak by im to było na rękę, gdybym nigdy nie wróciła. O ile lepiej by się stało, gdybym to ja zginęła.

– Na wszystkich bogów – czemu mi nie powiedziałaś?

Odwróciła się od jego wyciągniętej dłoni, nachyliła nad kadłubem, patrzyła rozpaczliwie na morze.

– Do cholery, nie przyleciałam tu, byś był kubłem na moje żale!

– Oczywiście, że przyleciałaś. Po co są przyjaciele? – Słyszała jego śmiech.

– Nie dlatego!

– W porządku. A czemu by nie? Czemu? – Pociągnął ją za łokieć.

– Nie dotykaj mnie. Proszę, Miroe, nie dotykaj. – Poczuła, jak ją puszcza, czuła, jak ramię drży jej nadal. – Wytrzymam. Wszystko będzie ze mną dobrze, sama sobie poradzę. – Jej opanowanie wisiało na włosku.

– Myślisz, że najlepszym na to sposobem jest śmierć?

– Nie! – Spuściła pięści na stary metal. – Nie. To dlatego muszę się wyrwać... muszę znaleźć inny sposób. – Odwróciła się powoli, z zamkniętymi oczami.

Czekał chwilę w milczeniu.

– Jerusho, wiem, jakie śruby wkręcają w ciebie bez przerwy. Nie wytrzymasz takiego nacisku z wszystkich stron. Nie zdołasz znieść go sama. – Nagle niemal się rozgniewał. – Czemu przestałaś dzwonić? Czemu przestałaś odpowiadać? Nie ufasz mi?

– Aż za bardzo – zacisnęła usta, powstrzymując głupawy chichot. – Och, bogowie, za bardzo ci ufam! Spójrz na mnie, nie minęło nawet pięć minut, a już się przed tobą wywnętrzam. Sam twój widok wystarcza, bym się załamała. – Pokręciła głową, nie otwierając oczu. – Zrozum. Nie mogę się na tobie opierać, bo zostanę kaleką.

– Jerusho, wszyscy jesteśmy kalekami. Rodzimy się kalecy. Powoli otworzyła oczy.

– Naprawdę?

Stał z rękoma założonymi na plecach i patrzył na morze. Wiatr się wzmógł, porywając jego krucze włosy, Jerusha skuliła się pod ciężkim płaszczem.

– Znasz odpowiedź, bo inaczej by cię tu nie było. Chodźmy do domu. – Spojrzał na nią, kiwnęła głową.

Poszli na wzgórze, prowadząc urywaną rozmowę o plonach i pogodzie, cały opór powoli spływał z niej ku morzu. Minęli skrzypiący wiatrak, tkwiący nad budynkami jak samotny strażnik. Używał go do pompowania wody ze studni; uderzyło ją nagle, nie po raz pierwszy, że stanowi absurdalny przeżytek na plantacji posiadającej importowaną siłownię.

– Miroe, zawsze się zastanawiałam, dlaczego nim napędzasz pompę.

Spojrzał na nią, na wiatrak i powiedział pogodnie:

– Sama przecież zabrałaś mi pojazd powietrzny. Nie wiadomo, czy nie stracę i generatorów.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała, lecz jedynie pokręciła głową. Doszli do głównego budynku, przez naruszone sztormami wejście wkroczyli do sali, którą dobrze zapamiętała przy pierwszej wizycie. Mało co się od tego czasu zmieniła, spędziła w niej kilka skradzionych pracy wieczorów, w czasie których siedziała skulona przy kominku, otulając się w ciepło i złoty blask, grając w trójwymiarową czamę lub zaspokajając łagodną ciekawość Miroe wspomnieniami z innych planet.

Ściągnęła hełm i potrząsnęła ciemnymi kędziorami. Pozwoliła oczom błędzić po uspokajającej swojskości zatłoczonego pokoju, w którym pamiątki pozaziemskich przodków Miroe, dziedziczone zaocznie, utrzymywały niepewny sojusz z prostymi, niezgrabnymi meblami miejscowego pochodzenia. Jerusha podeszła do szerokiego, kamiennego kominka i odwróciła się do gospodarza, czując, jak tają jej plecy.

– A wiesz, choć minęło tyle czasu, to zupełnie tego nie czuję. Czy to nie zabawne, że bywają takie miejsca?

Spojrzał na nią przez połowę pokoju, odpowiedział jedynie uśmiechem.

– Czemu nie zanieśiesz swoich rzeczy na górę? Poproszę, by przynieśli nam coś do jedzenia.

Podniosła torbę wypełnioną do połowy zapasowymi ubraniami i weszła na piętro zniszczonymi schodami. To wielki dom... wypełniony echami dzieci i śmiechów... wypełniony wspomnieniami. Poręcz wygładziła się od dotknięć niezliczonych dłoni, lecz korytarze i pokoje były teraz puste. Został tylko Miroe, ostatni z rodu, samotny. Samotny pomimo pracujących dla niego Zimaków. Wyczuwała więzi zaufania i szacunku, które ich łączyły, silniejsze niż istniejące zazwyczaj pomiędzy właścicielem i robotnikami, tubylcami i pozaziemcem. A jednak zawsze otaczało go niewidzialne

pole rezerwy, oddzielało, zamykało w sobie. Czują niekiedy, jak skrzy się przy zetknięciu z jej polem.

Weszła do pokoju, który zawsze zajmowała, rzuciła torbę i hełm na rozgrzebane łóżko, patrzyła, jak toną w pościeli. Drewniane łóżko twarde było jak podłoga – zresztą o ile wiedziała, zrobiono je z desek – lecz mimo to nigdy nie leżała w nim przez pół nocy, modląc się o sen, podczas gdy oczy wypalały otwór w powiekach, wpatrując się w mrok...

Rozpięła i zdjęła pelerynę, podeszła z nią do wielkiej szafy. Zatrzymała się na zdumiewający widok skafandra kosmicznego leżącego na jej podłodze. Machinalnie powiesiła pelerynę na wieszaku, sięgnęła po kombinezon i przytrzymała w wyciągniętych rękach, przyglądając mu się uważnie. Potem powoli zdjęła pelerynę i zawiesiła zamiast niej skafander.

Wróciła do łóżka, spojrzała znowu na rozgrzebaną pościel, podniosła szczotkę leżącą na stojącym obok taborecie, przesunęła w palcach długi, jasny włos. Odłożyła go i znieruchomiła w milczeniu, ujrawszy nagle w myślach małe, samotne, kędzierzawe dziecko w zniszczonych majteczkach i sandałach, które w przykłęku patrzyło na pływające w wysychającym stawie srebrzyste wogi. Blask słońca spływał na nie jak gorący miód, dławił każdy dźwięk, a wykładana kamieniami, popękana morena suchego łóżyska rzeki ciągnęła się w nieskończoność...

Jerusha wzięła z łóżka hełm i torbę i szybko zeszła po schodach.

– Jerusha? – Miroe wyprostował się znad niskiego stołu stojącego przy kominku, skrzywił się nic nie rozumiejąc. – Myślałem, że...

– Nie powiedziałaś mi, że masz innych gości. – Jej głos zabrzmiał nie chcianym przez nią znaczeniem. – Nie zostanę.

Twarz mu się zmieniła, jakby został przyłapany na strasznym przeoczeniu. Jej oblicze zdawało się zamrożone przez śmierć.

– Czy nigdy nie jesteś po służbie? – zapytał spokojnie.

– Twoje zasady moralne mnie nie ranią, nie obchodzą, nawet na służbie.

– Co? – Przybrał całkowicie nową minę. – To znaczy... czy o tym myślałaś? – Jego ulga objawiła się szczerym śmiechem. – Myślałem, że szukałaś przemytników!

Otworzyła szeroko usta.

– Jerusho. – Podeszedł do niej przez zatłoczony pokój. – Na bogów, nic z tych rzeczy. Źle myślisz, to tylko przyjaciółka. Nie ma żadnego romansu. Jest taka młoda, że mogłaby być moją córką. Wypłynęła dziś łodzią.

Jerusha opuściła oczy.

– Nie chciałabym przeszkadzać.

Odchrząknął.

– Nie jestem plastikową lalką, bogowie świadkami... – Podniósł i odłożył sflaczałą poduszkę.

– Nie uważałam cię za nią – wiedziała, że źle to mówi.

– Powiedziałaś kiedyś, że nie jestem głupi. Ale przez cały ten czas, pomimo tylu twych wizyt, nigdy się nie domyśliłem...

– Uniósł dłoń i dotknął jej w sposób, w jaki nigdy tego nie czynił. – ...że pragniesz czegoś więcej.

– Nie pragnę. – *Nie pragnę się do tego przyznać, nawet przed sobą.* Spróbowała się ruszyć, oderwać od jego dłoni, próbowała, próbowała – drżąc jak dziki ptak.

Cofnął rękę.

– Czy jest ktoś inny? W mieście, na twojej planecie, gdziekolwiek...

– Nie – powiedziała z płonąca twarzą. – Nigdy nie było.

– Nigdy? – Wziął głęboki oddech. – Nigdy?... Nikt cię nie dotykał tak... – Wzdłuż karku, ucha, szczęki – albo tak... – Wędrował skrajem tuniki ku jej piersiom – ...nie robił tego... – Powoli wziął ją w ramiona, przycisnął do siebie, aż poczuł, jak jej ciało splata się z jego, aż złożył jak nektar swe usta na jej wargach.

– Tak... teraz... – mruknęła, gdy przerwał pocałunek. Zachłannie sięgnęła po jego usta.

– Bardzo przepraszam, proszę pana!

Jerusha zastygła w pół oddechu; ujrzała w drzwiach starego kucharza zwróconego do nich plecami.

– Co się stało? – zapytał Miroe wojowniczym tonem.

– Obiad, proszę pana. Obiad już przygotowany... ale może jeszcze poczekać. – Jerusha usłyszała porozumiewawczy uśmiech kucharza wycofującego się do kuchni.

Miroe westchnął ciężko, spróbował się uśmiechnąć i skrzywić, lecz wyglądał jedynie na urażonego. Wziął ją za rękę, lecz ta prześlizgnęła mu się między palcami. Spojrzał na nią zdumiony.

– Bardzo mnie wypytywałeś, Miroe – uśmiech drżał jej od napiętych uczuć – ale powinieneś być uczynić to kiedy indziej. – Pokręciła głową, przyciskając na chwilę dłonie do ust. – Teraz jestem zbyt bliska końca... albo zbyt daleka.

– Rozumiem. – Kiwnął nagle wymijająco głową, jakby ta chwila między nimi, na którą czekała tak długo, nic go nie obchodziła.

Nieoczekiwanie poczuła w piersiach ukłucie rozczarowania i wstydu. *Czy tyle tylko to dla niego znacze!* – Lepiej wróć do miasta. – *Będiesz mógł powiedzieć swym Zimackim kochanicom, że o mało co zjadłbyś obiad z komendantem policji.*

– Nie musisz. Możemy udawać, że nic się nie stało.

– Może ty. Ja nie potrafię udawać, już nie. Rzeczywistość ryczy zbyt głośno. – Naciągnęła pelerynę, ruszyła zgarbiona do drzwi.

– Jerusho. Poradzisz sobie? – Wyczuła jego troskę.

Zatrzymała się i odwróciła, panując nad sobą.

– Tak. Nawet dzień poza Krwawnikiem jest jak transfuzja. Może... spotkamy się jeszcze na Świącie – nim stąd odleciemy? – Nienawidziła siebie za to pytanie.

– Nie, chyba nie. To właśnie Świąto wolałbym ominąć. Zresztą nie opuszczę Tiamat, to mój dom.

– Oczywiście. – Poczuła, jak rodzi się na jej ustach sztuczny uśmiech, przypominający skurcz mięśni. – No to może zadzwonię przed odlotem. – *Obyś pękł, poszedł w diabły...*

– Odprowadzę cię.

– Nie warto. – Pokręciła głową, nałożyła hełm i zapięła rzemień pod brodą. – Nie trzeba. – Otworzyła ciemne drzwi na żelaznych zawiasach i wyszła, zamykając je szybko za sobą.

Była w połowie stoku, gdy usłyszała, jak woła jej imię. Obejrzała się i zobaczyła, jak zbiega ku niej. Stała, niezdarnie zaciskając w pięści skryte w rękawiczkach ręce.

Tak?

– Nadciąga sztorm.

– Nie nadciąga. Przed opuszczeniem Krwawnika sprawdziłam prognozę pogody.

– Do diabła z prognozami; gdyby ci dranie choć raz oderwali się od symulatorów i spojrzeli w niebo. – Machnął ręką do horyzontu po zenit. – Sztorm zjawi się jutro o świcie.

Spojrzała w górę, ujrzała jedynie rozproszone chmury i blade, podwójne halo otaczające zaciemniające się Bliźnięta.

– Nie martw się. Wróć w nocy.

– Nie o ciebie się martwię. – Patrzył ciągle na północ.  
– Och – poczuła, jak jej twarz traci wszelki wyraz.  
– Dziewczyna, którą tu goszczę, wypłynęła na małej łódce. Ma wrócić dopiero jutro wieczorem.  
– Spojrzał na nią ze smutkiem. – Już raz wyciągnąłem ją z morza niemal zamarznąłą. Teraz może mieć mniej szczęścia. Nie dotrę do niej na czas, chyba że...

Kiwnęła głową.

– Zgoda, Miroe. Poszukamy jej. Zawahał się.

– Nie – nie wiem, jak cię o to prosić. Nie mam prawa się do ciebie zwracać. Ale...

– Wszystko w porządku. Mam obowiązek pomagać.

– Nie. Chcę cię poprosić, byś zrobiła to – nie z obowiązku. Byś zapomniała, że spotkałaś tę, którą spotkasz. – Uśmiechnął się lub skrzywił. – Zrozum. Ja też ufam ci aż za bardzo. – Zaczął rozcierać ręce, spostrzegła, że wybiegł za nią bez płaszcza.

Przypomniała sobie niepokój, z jakim ją przywitał, zrozumiała go wreszcie.

– Nie jest chyba wielokrotnym mordercą?

– Daleko jej do tego – roześmiał się.

– W takim razie okażę się strasznie zapominalska. Chodź, wsiadaj, nim zamarzniesz. Do konspiracji wciągniesz mnie po drodze.

Zeszli ze wzgórza, prosto w zębiska wiatru. Jerusha wystartowała patrolowcem, poleciała na północ wzdłuż wyschłej wstęgi wybrzeża.

– Dobra. Chyba sama zdołam ułożyć wszystkie kawałki. Masz coś wspólnego z przemytnikami techniki, którzy zniknęli gdzieś tu dwa tygodnie temu. Twój gość jest szmuglerem. – Z pewną ulgą weszła w znajome koleiny, znajome nawyki, ich stare, proste stosunki.

– Częściowo się zgadza.

– Częściowo? – spojrzała na niego. – Wytłumacz to.

– Pamiętasz okoliczności naszego pierwszego spotkania?

– Tak. – Ujrzała nagle w myślach twarz Gundhalinu, pełną uzasadnionego oburzenia. – BZ naprawdę cię przyłapał.

– Twój sierżant – powiedział. Wyczuła jego uśmiech, potem zrozumienie. – Przykro mi, że tak się stało. Ze względu na ciebie.

– Przynajmniej stało się to szybko. – *W tym życiu możemy liczyć tylko na taką łaskę.* – Dziewczyna? – zapytała z rodzącym się przecuciem.

– Rękę złamała ci Letniacka dziewczyna; ta, która odleciała stąd z przemytnikami.

– Wróciła? Jak? – mruknęła zaskoczona, lecz jednak nie zdumiona.

– Przywieźli ją ze sobą.

Jerusha poczuła, jak patrolowiec staje dęba i zlatuje w długim spadku, ustawiła na nowo przyrządy.

– Co oznacza, że zjawiała się tu nielegalnie. – *A może i coś znacznie więcej.* – Gdzie była?

– Na Kharemough.

Chrząknęła.

– Mogłam się domyślić. Powiedz mi, Miroe, czy jesteś pewny, że zabrano ją stąd przypadkowo?

Zmarszczył brwi.

– Na sto procent. Dlaczego pytasz?

– Czy nigdy cię nie uderzyło, że Moon Dawntreader, Letniaczka, jest bardzo podobna do Królowej Śniegu?

– Nie. – Całkowite niezrozumienie. – Nigdy nawet nie widziałem Królowej.

– Co powiesz, jeśli dowiesz się ode mnie, że Królowa – usłyszawszy o jej zniknięciu – wściekła się mocno? Że wpadłam we wszystkie te kłopoty, bo pozwoliłam jej uciec? Co powiesz na wiadomość, że Moon Dawntreader jest klonem Królowej?

Wpatrywał się w nią.

– Masz dowody?

– Nie, nie mam! Ale wiem o tym; wiem, że Arienrhod miała plany dotyczące tej dziewczyny... że chciała uczynić ją Królową Lata. Jeśli się dowie, że Móon wróciła...

– Są zupełnie inne. To niemożliwe. – Miroe wpatrywał się w morze. – Zapomniałaś o czymś.

– O czym?

– Moon jest sybillą.

Zaskoczona Jerusha sprawdzała w pamięci te słowa.

– No jest... ale to nie znaczy, że się mylę. Ani tego, że nie zagraża Hegemonii.

– Co w związku z tym zamierzasz? – Miroe kręcił się w fotelu, by móc na nią spojrzeć.

Pokręciła głową.

– Nie wiem. Przekonam się, gdy tam dolecimy.

– Złóżcie tam zdarte skóry. Szybko... nadsięga białe... schronienie przed zmrokiem... – warczały Psy.

Moon czuła, jak słowa odpływają i przypływają, niby mroźny jęzor fali liżący jej stopy i nogi. Otworzyła oczy, choć pamiętała, że nie chce ich rozwierać i patrzeć – ale ujrzała jedynie niebo i przesuające się szczątki chmur. Nie ruszała się ze strachu.

– To jest martwe.

– ...szczęście, chwała Matce!... nigdy nie znaleźliśmy tylu skór...

– Chwała Królowej Śniegu – śmiech.

– A to nie. – Niebo zasłoniła otulona w biel twarz. Ktoś ukląkł i pomógł jej usiąść.

– Czarny. – Moon usłyszała, jak mamrocze niby opętana. – W czerni. Gdzie... gdzie? – Wyciągnęła rękę, szukając oparcia, zanurzyła palce w grubym, białym futrze na ramieniu, gdy nagle ujrzała leżące obok ciało. – Silky!

Postać w bieli odciągnęła ją i wstała.

– To chyba jedna z miłośniczek merów. Musiała zabić Psa. Inne nie załatwiły jej do końca. – Głos był męski i młody.

– Silky... Silky... – Moon sięgnęła do koniuszków bezwładnych macek jego wyciągniętej ręki.

– Skończ z nią – rozległ się szorstki, stary głos.

Moon przesunęła się w bok, a chłopak kucnął i chwycił kamień. Złapała za zapięcia kurtki, rozerwała ją do połowy, gdy kawałek skały wzniósł się nad jej głową. – Sybillą! – Zasłoniła się tym słowem jak tarczą.

Chłopiec wypuścił kamień z drżących palców i odrzucił kaptur. Moon ujrzała jego ludzką twarz, widziała, jak patrzy zmieszany na smugę zakrzepłej krwi na zranionym gardle.

– Sybillą... – Wskazała na tatuaż, modląc się, by był dostatecznie wyraźny i napastnik go rozpoznał.

– Mamo! – Chłopiec przysiadł na piętach i krzyczał przez ramię. – Spójrz na to!

Obok Moon pojawiły się inne upiornie białe postacie, jej niepewnym oczom wydały się dwojącym, błyszczącym trybunałem duchów.

– Sybilla, mamó! – powiedziała kręcąca się żywo szczupła dziewczyna. – Nie możemy jej zabić.

– Nie boję się krwi sybilli! – Moon rozpoznała skrzekliwy głos starej baby, gdy jedna z lśniących białych figur uderzyła się w pierś. – Jestem święta. Będę żyła wiecznie.

– Och, jak diabli – dziewczyna odepchnęła brata, pochyliła się, by spojrzeć na gardło Moon. Wyprostowała się, chichocząc nerwowo. – Możesz mówić?

– Tak. – Moon wstała, położyła jedną dłoń na gardle, drugą na nabrzmiałej twarzy. Spojrzała na rozciągnięte zwłoki Silky'ego, zobaczyła za nim dalsze białe postacie pracujące nożami, patroszące ciała martwych merów. Zachwiała się i chwyciła za kolana, nie patrząc na ćwiartowanie. *Nie widziałam go. Nie widziałam. Tu był ktoś inny!* Jęknęła, jej głos był samotnym lamentem pieśni opuszczonego mera.

– Chcę ją. – Dziewczyna zwróciła się do starej kobiety. – Chcę ją do mojego zwierzyńca. Może odpowiedzieć na każde pytanie!

– Nie! – Starucha warknęła i schyliła głowę. – Sybille są zarażone, tak mówią pozaziemcy. To oszuści. Żadnych więcej zwierzaków, Blodwed. Wszystko już nimi śmierdzi. Pozbędę się tych, które...

– Tylko spróbuj! – Blodwed kopnęła ją złośliwie. Baba zasyczała i cofnęła się. – Tylko spróbuj! Skoro chcesz żyć wiecznie, stara wariatko, lepiej zostaw moje zwierzęta w spokoju!

– Dobra, dobra... – zaskomliła starucha. – Nie mów tak do matki, niewdzięcznico. Czy nie pozwalam ci mieć wszystkiego, co zechcesz?

– To za mało. – Blodwed oparła dłonie na biodrach, patrzyła z uśmiechem na skuloną w żalu Moon. – Uważam, że powinnaś być taka, jak zaprawdę.

– Bogowie! Och, moi bogowie – było to raczej przekleństwo, niż modlitwa.

Jerusha stała cicho przy Miroe na martwej plaży, przysłuchiwała się dobiegającym z dala, z wysoka skrzekom przegnanych ścierwojadów. Bez ustanku przebiegała oczami po zasłanym śmiercią polu kamieni, nie chcąc utkwic ich w jednym miejscu, zapamiętać jakiegokolwiek szczegółu sceny, lecz także nie mogąc patrzeć na spopielalą twarz Ngeneta. Nie była w stanie nic powiedzieć ani nawet go dotknąć, wstydziła się naruszyć niezmierną rozpacz. Odbyły się tu Łowy, ofiara z merów – widziała śmierzącą rzeźnię na pustym brzegu. Takie rzeczy odrzucała z zasady, nawet nie próbowała wnikać w ich rzeczywistość. Ale ten człowiek nienawidził rzeczywistości.

Miroe odszedł od patrolowca, zaczął chodzić między okaleczonymi ciałami merów, z masochistyczną dokładnością przyglądał się każdej obdarłej ze skóry, skrwawionej postaci. Jerusha ruszyła za nim, trzymając się z dala; zaciskała coraz mocniej szczęki, aż zaczęła się zastanawiać, czy kiedyś jeszcze otworzy usta. Zobaczyła, jak się zatrzymał i ukląkł przy jednym z ciał. Gdy podeszła bliżej, spostrzegła, że nie należy do mera. I nie do człowieka.

– Ma-martwy Pies?

– Martwy przyjaciel. – Podniósł bezładne ciało dillypa, jakby to było śpiące dziecko, zobaczyła zostawioną przez nie ciemną plamę na plaży. Patrzyła, nic nie rozumiejąc, jak zaniósł zwłoki do wody, wszedł w nią bez wahania, brnął ciągle, aż mroźne morze sięgnęło mu po pierś. Wtedy powoli wypuścił wygnańca.

Gdy Miroe wyszedł z wody, Jerusha zdjęła swą pelerynę i zarzuciła mu na ramiona. Z roztargnieniem kiwnął głową, mogło się zdawać, że jest nieczuły na mróz. Przypomniała sobie nagle, że jeden z przemytników ściganych przez nią pięć lat temu był dillypem.

– Ona też na pewno zginęła – powiedział Miroe głosem jak stal. Jerusha zrozumiała, że nie znalazł śladu Moon Dawntreader. – Zrobił to Starbuck i Psy. – Wskazał dłonią, słowa padały jak przekleństwa. – Ostatnie Łowy. Na mojej ziemi. – Zacisnął dłonie w pięści. – I zostawił je takie



poćwiartowane, takie – rozłożone jak na scenie. Dlaczego?

– Na rozkaz Arienrhod. – Prawda spadła na nią jak promień światła, zrozumiała jedyny możliwy powód, dla którego Arienrhod postąpiła tak z pozaziemcem, kimś zupełnie jej obcym. *Przeze mnie! Nie, nie... nie przeze mnie!*

Miroe zwrócił się ku niej, jakby świeciła winą niby latarnia morska.

– To zbrodnia przeciwko obywatelowi Hegemonii na jego ziemi. – Między tymi słowami odczytywała oskarżenie przeciwko sobie. – Widziałas to na własne oczy, masz prawo interweniować. Czy możesz oskarżyć Starbucka o morderstwo, komendancie?

Zesztywniała.

– Nie wiem. Niczego już nie wiem, Miroe... – Dotknęła naszywek na kołnierzu peleryny, odetchnęła głęboko. – Ale przysięgam ci, na bogów twoich i moich, że zrobię wszystko, co tylko możliwe, by tak się stało. – *(patrzac na zniszczone ciała)* – Niszczy wszystko, czego się tknie, niech będzie przeklęta... – *(Życie BZ uleciało w ognistej kuli)* – ...zmuszę ją do zapłaty, choćbym miała zginać! Nie wywinie się z tego... – *(Zrujnowane życie LiouxSkeda)* – ...myśli, że jest nietykalna, myśli, że na zawsze zostanie Królową, ale się z tego nie wywinie... – *(zrujnowane i jej życie)* – ...choćbym miała utopić ją własnoręcznie!

– Wierzę ci, Jerusho – powiedział Miroe bez uśmiechu, usłyszała, jak zimne oskarżenie opuszcza jego głos. – Ale masz mało czasu.

– Wiem. – Obejrzała się, umyślnie ryjąc w pamięci obraz rozdartych resztek stworzenia, którego jedyną zbrodnią było życie. – Nigdy nie widziałam mera... – Zacisnęła usta.

– Tu też ich nie widzisz – głos mu drżał. – Teraz to tylko kupy mięsa, nie ma w nich nic z merów. Powinnaś je zobaczyć, jak tańczą wśród fal, lub posłuchać ich pieśni... Nie zrozumiesz znaczenia tej zbrodni, jeśli nie dowiesz się prawdy o nich. Jerusho, to więcej niż zwierzęta.

– Co? – Odwróciła się. – Co powiedziałeś? – *Nie, nie mów tego; nie chcę wiedzieć.*

– To rozumne istoty. Dziś na tej plaży popełniono nie dwa morderstwa, lecz pół setki. A w ciągu ostatniego tysiąclecia...

Zachwiała się.

– Nie... Miroe, nie są rozumne. To niemożliwe!

– To żywe istoty utworzone dzięki inżynierii genetycznej; Stare Imperium dało im nie tylko nieśmiertelność, ale i rozum. Moon Dawntreader powiedziała mi, kim są naprawdę.

– Ale dlaczego? Dlaczego miałyby być rozumne? Jak Hega może nie wiedzieć...? – Głos się jej załamał.

– Nie wiem dlaczego. Wiem jednak, że Hegemonia musi znać prawdę, i to od tysiąca lat. Gdy się o wszystkim dowiedziałem, powiedziałem Moon, że nie wiem, co robić, śmiać się czy płakać. – Twarz mu się skurczyła. – Wiem teraz. – Odwrócił się do niej plecami.

Jerusha stała w milczeniu, w bezruchu, czekała, aż pęknie i spadnie krucha czara nieba, aż szale sprawiedliwości zgniotą skorupę świata kłamstw, dławiąc i ją... Nic się jednak nie zmieniło w morzu, w powietrzu, w zarysie skał ani w przytłaczającej świadomości śmierci, zniszczenia, żałoby.

– Miroe... wracamy do patrolowca. Doczekasz się tu – doczekasz własnej śmierci.

Powoli kiwnął głową.

– Ocalałe z czasem tu wrócą. Muszę je zostawić – zostawić je swoim. Nie mogę im pomóc, nie mogę już pomóc sobie. – Spojrzał na tkwiącą przy skraju wody małą łódkę, na jej łopoczący żałobnie żagiel. – Dała mi najcenniejszy podarunek, jaki mógłbym otrzymać od kogokolwiek. Jerusho, dała mi prawdę... Powiedziała mi, że kazano jej tu wracać, że przysłała ją sybilla. Nie rozumiem, nie mogę uwierzyć, że miał na nią czekać taki koniec. Co to wszystko znaczy?

– Nie wiem. Nic nie wiem – Jerusha pokręciła głową. – Może wszystko, co robimy, jest pozbawione znaczenia. Musimy jednak próbować, prawda? Musimy spodziewać się sprawiedliwości... i nastawiać na zemstę. – Ruszyła do patrolowca, otulając się rękoma. Gdy mijali porzuconą łódkę, pomyślała, że Psy Arienrhod zniszczyły klonowe dziecko Królowej... a ona nigdy się o tym nie dowie.

– Martwiłam się o ciebie, gdy zapowiedziano sztorm.

– Był lekki. Umknęliśmy mu na czas – odpowiedział obojętnie.

Miękki śmiech. – Iluż z moich Starbucków mogłoby to powiedzieć nie kłamiąc?

Sparks nie odpowiedział, leżał nieruchomo na łóżku, oglądał siebie w lustrze, patrzył na nią patrzącą na niego, w nieskończoność. Obok leżała Arienrhod; krągłe linie jej ciała były jak łąd wyłaniający się z morza, przysłonięty śnieżnymi polami włosów. Z talii jak rzeka światła spływały jej sploty cienkich jak włos srebrnych łańcuszków. Powolnymi, ciekawskimi palcami wcierała w jego skórę pachnący olejek, lecz masowane ciało nie odpowiadało. Nie zareaguje na najintymniejsze dotknięcia, na najlepiej znane zachęty. *Jak trup... bogowie, pomocy, jestem pochowany za życia.*

Dłoń Arienrhod ześlizgnęła się z zeszywniałych mięśni jego uda, rigor mortis. Przekręciła się na brzuch, położyła mu na piersi i spojrzała z troską w oczach barwy agatu. Złych oczach – widział cienie kładące się tuż pod powierzchnią, głębie bezlitosnej mądrości... oczy odmienca, czyniące go więźniem własnego umysłu. Zamknął swoje. *Zrobiłem to dla ciebie, Arienrhod.*

– Mimo to jesteś aż taki zmęczony? – Wzięła jego pozaziemski medal, obracała go leniwie w palcach; słyszał prądy zimnej niechęci krążące po płyciźnie troskliwości. – Albo taki znudzony? Czy mam włączyć coś na trójwymiarze?

– Nie. – Objął ją rękoma i przycisnął do siebie, wsunął dłonie pod jedwabistą szatę jej włosów, całował wargi, oczy, wgłębienie na gardle... nie czując niczego. Niczego. Wyszłe z morza widmo dziewczyny tkwić będzie między nimi za każdym razem, gdy położą się jak teraz, będzie wtedy widział jej oczy – właściwe, jedyne. Będą go oskarżać, płacząc krwawymi łzami, zawsze...

– Arienrhod – powiedział rozpaczliwie. – Do diabła, wiesz, że cię kocham! Wiesz, że jesteś dla mnie wszystkim, wszystkim, czym ona była dla mnie, i czymś więcej... – jęczał jednak zamiast mówić, zdjął z niej rękę.

Leżące na nim ciało Arienrhod zeszywniało.

– “Ona”?... O czym ty mówisz, kochany? O naszej Moon? – Głos miała łagodny i mętny. – Czy ciągle przybywa cię dręczyć? Odeszła. Straciliśmy ją dawno temu, musisz o niej zapomnieć. – Powolnymi, kolistymi ruchami zaczęła masować mu skronie.

– Na wszystkich bogów, myślałem, że zapomniałem! – Rzucił głową z boku na bok, starając się uciec od własnych odbić, lecz podążały za nim nieubłaganie.

– To dlaczego? Czemu o niej myślisz? Trapisz się zbliżaniem Zmiany? Obiecuję ci, że nigdy do niej nie dojdzie.

– Nie obchodzi mnie wcale. – *Ani zabijanie mego ludu... nic już mnie nie obchodzi.* Ostrożnie zdjął ją z siebie, sam przekręcił się na brzuch i zasłonił głowę rękoma. Usiadła przy nim z brzękiem girlandy srebrnych nici.

– A co...? – spytała dziko, zaciskając dłonie na jego ramionach. – Jesteś mój, Starbucku; jesteś wszystkim, co kocham na świecie. Nie chcę się tobą dzielić z Letnim marzeniem. Nie stracę cię dla ducha... choćby mojego.

– Nie była duchem! Była prawdziwa. – Ugryzł się w dłoń.

Arienrhod wbiła w niego paznokcie.

– Kto? – spytała, znając odpowiedź.

– Moon. – Coś nim wstrząsnęło, jakby szloch. – Moon, Moon, Moon! Była tam, na Łowach; wyszła z morza wraz z merami!

– Przywidzenie – skrzywiła się.

– Żadne przywidzenie, Arienrhod! – Rzucił się na plecy, czuł, jak drapie go paznokciami. – Dotknąłem ją, widziałem znak na jej gardle – i krew. Dotknąłem jej krwi... przeklęła mnie. – *Śmierć za zabicie sybilli... śmierć za kochanie sybilli...*

– Ty głupcze! Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym od razu?  
Pokręcił głową.

– Nie mogłem. Ja...

Uderzyła go w twarz; z niedowierzaniem opadł na poduszki.

– Gdzie jest? Co się z nią stało?  
Potarł twarz.

– Psy – omal jej nie zabiły. Powstrzymałem je. Zo-zostawiłem ją na plaży.

– Czemu? – Otchłań straty w jednym wyszeptanym słowie.

– Bo by mnie poznała – wydzierał z siebie słowa. – Dowiedziałyby się... zobaczyłyby, kim jestem! – Jego odbicia krążyły wokół, bez ustanku.

– Czyżbyś się wstydził być moim kochankiem i najpotężniejszym człowiekiem na świecie? – Odrzuciła włosy.

– Tak – mówiąc to, wstydził się na nią patrzeć. – Wstydziłem się, gdy z nią byłem.

– Ale zostawiłeś ją samą na brzegu pomimo nadciągania zawieruchy, tego się nie wstydzisz. – Arienrhod otuliła się ramionami, drżała, jakby to ona została porzucona.

– Do licha, nic nie wiedziałem o sztormie, nie dostałem prognozy! – *Wystarczyło spojrzeć na niebo, by dojrzeć jego nadciąganie.* Ale zamknął się w kabinie, by ukryć wstrząsającą utratę panowania nad Psami; a gdy z niej wyszedł, sztorm już ich dopadł, było za późno, by myśleć o czymkolwiek poza ratowaniem siebie. A potem – potem było za późno na cokolwiek. Spojrzał gniewnie na rozłoszczoną Arienrhod. – Nie różu miem cię! Czemu tak się tym przejmujesz? Choćby nawet była twoją krewną, to bardzo daleką. Nigdy nie byłeś z nią tak blisko jak ja...

– Nikt na świecie nie był jej bliższy ode mnie. – Arienrhod pochyliła się nad nim. – Nie rozumiesz tego? Nie domyśliłeś się jeszcze – *ja jestem Moon.*

– Nie. – Odsunął się od niej, złapała łańcuszek jego medalu i przytrzymała.

– Moon jest moim klonem! Wychowałam ją wśród Letniaków, by została po mnie Królową. Jesteśmy jednakowe pod każdym względem – *pod każdym.* – Chwyciła jego ręce i przesunęła po swoim ciele. – Obie cię kochamy ponad wszystkich.

– To niemożliwe... – Dotknął jej twarzy i poznał, że to prawda. Są jak noc i dzień, żelazo i powietrze, piołun i miód... *To dlatego kocham was obie?* Pochylił głowę. *Bo kocham was obie; bogowie, pomóżcie mi.*

– Wszystko jest możliwe. Nawet to, że do mnie wróci. – Arienrhod patrzyła poza niego, poza czas. – Ale czy nadal jej potrzebuję... czy nadal jej pragnę? – Znowu skupiła wzrok na nim. – A ty, kochany?

Opadł przy niej, poczuł, jak go obejmuje, gładzi go miłośnie, zachłannie.

– Nie. – *Nie bardziej, niż pragnąłem jej, tylko jej.* – Chcę tylko ciebie, Arienrhod. Uczyniłaś mnie wszystkim, kim jestem. Nie pragnę niczego więcej. – *I tylko na ciebie zasługuję.*

– Chodź, sybillo! Poznaj inne moje zwierzątka. – Ostry, wysoki głos Blodwed ukuł Moon jak ostroga, popędził przez tłum gapiów zgromadzonych u wejścia do jaskini. Wszyscy podeszli bliżej, by się jej przyglądać, wskazując palcami i mrużąc, rzucając wulgarne pytania, które ignorowała z opanowaniem, jakie zdołała wykrzesać ze swego ociągającego się ciała; czuła się wielką rybą, skaczącą na nabrzeżu. Żaden z koczowników nie podchodził jednak na tyle blisko, by mocją dotknąć, rozstępowali się przed jej niepewnymi krokami jak trawy kładzione wiatrem. Nawet Blodwed nigdy jej jeszcze nie dotknęła; lecz Moon rozpoznała wiszący u jej pasa ogłuszacz.

Gdyby nawet odważyła się uciec porywaczom, to nie miałyby dokąd iść. Dwa dni jechali ślizgaczami śnieżnymi, wspinając się na wyżynę zajmującą środek wyspy, nim dotarli do obozowiska koczowników. Nie zdołałyby wędrować samotnie po pustkowiach Zimy... sił ledwo jej starczało na pokonanie ogromnego wnętrza skalnego schronienia. Jej przejściu towarzyszyło szczekanie i warczenie psów przywiązanych do namiotów z jaskrawych tkanin, pokrytych plamami szarych i brązowych skór. Tkwiły one na podłodze groty niby groteskowe grzyby. Dziesiątki wiecznie promieniujących grzejników i latarń wypełniało rozległą przestrzeń ciepłem i światłem, podobnie jak odbijającymi się echemi głosów targujących się o łupy tubylców. Moon zwolniła, przytrzymała odziane w rękawiczki dłonie nad jednym z mijanych grzejników. Niecierpliwość Blodwed paliła jednak jeszcze mocniej.

– No chodź, prędzej! – I ruszyła dalej, zbyt oszołomiona zmęczeniem i zimnem, by zaprotestować.

Blodwed zaprowadziła ją do wąskiego, opadającego korytarza w tyle jaskini; w jego cieniach mgliście migwały światła. Wewnątrz uderzyła ją mieszanina dziwnych zapachów. Drogę zagrodziły im wrota zrobione z drewna i poskręcanych drutów. Blodwed podeszła bliżej i przytknęła kciuk pod spód ciężkiego zamka. Drzwi się otwały i machnęła na Moon, by przez nie przeszła.

Sybilla posłuchała, słysząc za sobą kroki Blodwed; stanęła bez ruchu, chłonąc szczegóły swego nowego więzienia. Średnica skalnej izby wynosiła prawie dziesięć metrów, powała sterczała niemal równie wysoko, w jej środku jak słońce żarzył się grzejnik. Przy ścianach znajdowały się stworzenia nie znanych gatunków, zamknięte w klatkach, przywiązane linami lub łańcuchami, pokryte sierścią, piórami, łuskami lub gołą, pomarszczoną skórą. Zakryła dłonią nos i usta, gdy uderzył w nią z pełną mocą smród ich plugawego nieszczęścia. Widziała, jak się płaszczą lub warczą; jedno leżało bez ruchu, obojętne na wszystko... ujrzała człowieka leżącego na gołej prycy, znajdującej się przy ścianie, najdalej jak tylko było można od wejścia i od innych więźniów.

– Niech ją cholera! Przeklęta! – zawołała nagle Blodwed. Moon obejrzała się, zwierzęta zaczęły syczeć, wyć i krzyczeć, gdy rozbójniczka odwróciła się i pobiegła korytarzem. Drzwi zatrzęsnęły się za nią. Moon odwróciła się znowu, spojrzała na postać leżącą bez ruchu na prycy. Ruszyła powoli, poczuła, jak podeszwy jej stóp zaczęły odzyskiwać czucie. Przestraszone zwierzęta cofały się przed nią.

Dochodząc do ciągle śpiącego obcego, rozpoznawała kolejno, że to mężczyzna, pozaziemiec... Siny. Ciężki płaszcz jego munduru pokrywały ciemne plamy, pod nim nosił brudne białe nogawice i buty koczowników. Gdy przyjrzała się jego twarzy, zobaczyła piękne rysy, jakie często widziała u arystokracji na Kharemough; były jednak boleśnie wychudzone, skóra zwisała luźno z kości. Ciągle się nie budził. Oddychał z trudem, chorobliwie. Niepewnie wyciągnęła rękę, dotknęła jego twarzy; cofnęła dłoń sparzoną gorączką.

Pozwoliła zapnąć się swym drżącym nogom, osunęła się obok prycy na zimną podłogę.

Zwierzęta się uspokoiły, czuła jednak na sobie ich przestraszone oczy, zalewały ją swą niedolą, aż przelała się czara jej nieszczęść. Oparła głowę na skraju posłania, rozdzierana ciężkim, suchym szlochem. *Pomóż mi, Pani, pomóż... niszczyć wszystko, czego się tknę.*

– Co... się stało? – Rozgorączkowana ręka pogładziła jej włosy; wyprostowała się, powściągnęła szlochanie. – Czy płaczesz... nade mną? – Pytanie padło w sandhi. Chory mężczyzna z trudem uniósł głowę, oczy miał czerwone i zaropiałe, pomyślała, że ledwo ją widzi.

– Tak – odpowiedź była niewiele co głośniejsza niż pytanie.

– Nie trzeba... – przerwał mu atak kaszlu.

– Spójrz na to! Patrz!

Moon obejrzała się, gdy Blodwed znowu wpadła do sali, ciągnąc za sobą większą dziewczynę.

– Powąchaj! Przed wyruszeniem kazałam ci utrzymywać porządek!

– Sprzątałam – krzyknęła starsza dziewczyna, gdy Blodwed chwyciła ją za warkocz i pociągnęła.

– Fossa, powinnam wytrzeć to twoją gębą. Nie zrobię tego, jeśli posprzątasz tu, nim...

– Dobrze, dobrze! – Dziewczyna zawróciła do drzwi, wycierając łzy bólu. – Ty smarkata weszko.

– Czekaj. Co mu jest? – Blodwed wskazała na pozaziemca obok Moon.

– Zachorował. Próbował uciekać, gdy wyprowadziliśmy go na siusiu; pobiegł w śnieżyce, wyobrażasz sobie? Zaczął chodzić w kółko i znaleźliśmy go tuż za wejściem. – Zrobiła dziwny gest i odeszła, kręcąc głową.

Blodwed przeszła salę i przykucnęła obok Moon, patrząc na twarz chorego.

– Och – złapała go mocno za brodę, gdy próbował odwrócić głowę. – Co ci za to zrobili? – Zamknął oczy.

– Chyba cię nie słyszy – Moon chwyciła go za rękę, ścisnęła lekko palce i puściła. – Blodwed, potrzebuje uzdrowiacza – mruknęła.

– Czy może umrzeć? – Blodwed przyklękła, w jej głosie nie było już ani śladu wojowniczości.

– Nie mamy tu uzdrowiacza. Mama tym się zajmowała, ale teraz ma źle w głowie. Nigdy nie wyuczyła kogoś innego. Czy możesz mu pomóc?

Moon spojrzała na dziewczynę.

– Może... – zaczęła splatać w warkocz swe włosy. – Czy macie jakieś przyrządy lekarskie pozaziemców? – Blodwed pokręciła głową. – A może zioła, cokolwiek?

– Mogę zwędzić mamie. Są stare... – Blodwed wstała oczekująco.

– Przynieś je. – Moon patrzyła, jak odchodzi, zmieszana jej posłuszeństwem. Znowu wzięła dłoń pozaziemca, szukając pulsu; zaparło jej dech na widok przedramienia pokrytego siatką poszarpanych blizn. Patrzyła na nie w milczącym zdumieniu, potem położyła rękę, wnętrzem dłoni w dół. Trzymała ją, oczekując, siedziała z pustą głową.

– Są tutaj. – Blodwed wróciła wreszcie, niosąc pakunek owinięty w skórę z naszytymi kosteczkami i kawałkami metalu. Otworzyła go i wysypała zawartość na podłogę między nimi. – Aktywacja neutronowa – powiedziała, machając dłonią. – Mama zawsze używała zaklęć. Czy umiesz zaklinać, sybillo? – powiedziała to bez szyderstwa.

– Chyba tak. – Moon grzebała wśród zawiniątek z suszonymi roślinami, prychnąc na czyste, plastikowe torebki pełne nasion i kwiatów. Jej nadzieje się nie spełniły. – Zupełnie ich nie znam.

– No, to jest...

Pokręciła głową.

– Chodziło mi o to, że nie wiem, jak ich używać. – KR Aspundh opowiadał jej o służbie

badawczej Starego Imperium. Nim przekazywali nową planetę kolonizatorom, obsiewali ją roślinami leczniczymi, różnymi gatunkami dostosowanymi dla odmiennych ekosystemów. – Na wyspach leczyliśmy wieloma roślinami morskimi. – *I nazywaliśmy je darami Pani.* – Muszę zapytać – ty za mnie zapytasz, wywołasz trans, dobrze? – Blodwed kiwnęła ochoczo głową. – Zapytaj mnie, jak się ich używa – Moon wskazała na zioła. – Zapamiętaj, co powiem – bardzo dokładnie, bo inaczej wszystko na nic. Uda ci się?

– Jasne – Blodwed uśmiechnęła się z wyższością. – Potrafię wyśpiewać wszystkie zwrotki pieśni szlaku. Nikt poza mną tego nie umie. Potrafię zaśpiewać każdą piosenkę, którą usłyszę w radiu, choćby tylko raz.

Moon zaczęła się uśmiechać, przestała, gdy zabolęła ją rana na policzku.

– Udowodnij to. Pytaj, a odpowiem. *Wejście...*

Blodwed odchrząknęła i usiadła bardziej prosto.

– Och, sybillo. Powiedz mi... jak używać tych magicznych roślin?

Moon spojrzała na trzymany przez nią pęczek ziół, poczuła, jak zaczyna się osuwać w studnię nieobecności...

...*Clavally.* Znowu ujrzała światło i znaną sobie twarz. Zarumienioną, zaskoczoną twarz Clavally, jej potargane włosy, nagie ramiona tak blisko niej, jak... *Danaquil Lu.* Zobaczyła, jak Clavally spiesznie zasłania się kocem. Pomyślała bezradnie, *Danaquil Lu,* przepraszam... Clavally, to tylko Moon... Nie mogła jednak przeszkodzić ich życiu, choć tak głęboko w nie wniknęła, dzielić jej przeprosiny czy szczęście ponownego spotkania; nie mogła poprosić o pomoc ani porozumieć się w żaden inny sposób.

Jednakże w kącikach szerokich ust Clavally pojawił się niepewny uśmiech, jakby odczytała jakąś tajemnicę w oknie oczu Danaquila Lu. Czule dotknęła jego policzka i nadal się uśmiechając, położyła się do łóżka, czekając cierpliwie...

– ...*Koniec analizy!* – Moon pochyliła się wyczerpana, poczuła łapiące ją i podtrzymujące szybkie ręce Blodwed.

– Zrobiłaś to! Nie jesteś oszustką... – zabrzmiał jej w uszach niedowierzający głos rozbójniczki. Blodwed oparła ją o pryczę i cofnęła ręce z nagłą chytrą. – Obudź się! Już się obudziłaś? Gdzie byłaś?

Moon kiwnęła głową i położyła czoło na kolanach.

– Odwiedziłam... starych przyjaciół. – Chwyciła się pod kolana, czepiając wspomnień jedyne ciepła i szczęścia, jakie pamiętała.

– Znam teraz wszystkie zioła, sybillo – ukłął ją znowu głos Blodwed. – Pokażę ci. Czy chcesz go leczyć?

– Nie – Moon uniosła opierającą się głowę, otworzyła oczy. – Chcę sprowadzić prawdziwego uzdrowiacza, by użył tych ziół. Musisz mi jednak pomóc, dostarczyć wszystkiego, co potrzebne. – Kiwnięcie głową. Moon przygotowała się, wiedząc, że jeśli ma dość sił, by zacząć, Przekaz podtrzymają do końca. Ciało się buntowało, odmawiając przystąpienia do następnej próby. Jeśli jednak ulegnie teraz zmęczeniu, to nim znowu będzie gotowa, dla pozaziemca może już być za późno. A nie chce patrzeć, jak ktoś następny przez nią umiera. Skupiła całą swą uwagę na jego twarzy.

– W porządku, zapytaj mnie, jak go leczyć. *Wejście!* – popłynęła poprzez...

...poprzez komorę anty grawitacyjną o białych ścianach, w której grupa ludzi odzianych w pastelowe i przezroczyste skafandry unosiła się nieważko, czepiała stołu, omawiała niezrozumiałą metodę leczenia. Za nimi, za pogrubionymi szybami szerokiego okna ujrzała grube sople lodu zwisające z okapu i lampy oświetlające pole zawiewane śniegiem...

– ...*analizy!* – doszła do siebie, ledwo słysząc w głowie suchy grzechot zamykającego hasła. Lecąc do przodu, poczuła na dłoniach i ubraniu ostry zapach kilku dziwnych ziół. Oszołomienie przesłaniało jej widok przypatrującej się twarzy Blodwed i bezwładny, owinięty w koce pakunek skrywający chorego pozaziemca, zmieniało wszystko w zamglony obraz. Uspokojona odszukała swe ręce i kolana i powędrowała na nich ku grzejnikowi na środku sali. Gdy napływ ciepła stał się tak mocny, że nie mogła go wytrzymać, położyła się wreszcie i zasnęła.

Moon obudziła się z nagłym przerażeniem, patrzyła, nic nie rozumiejąc, na otaczające ją ściany. Skalne ściany – a nie nieskończenie opuszczone niebo na martwej, kamienistej plaży, na której odziany w czerń kat nosił medal równie jej znany, co twarz jedyne go kochanka... Osłoniła się przed duchem zaporą z palców, przycisnęła je do nabrzmiałej, bolesnej twarzy. *Nie, to nieprawda!*

Wdarły się w nią ciche głosy, zwracając znowu uwagę na salę o skalnych ścianach. Opuściła dłonie, skupiła wzrok na skupisku klatek, poczuła, że fala upływającego czasu wyrzucają na brzeg terażniejszości. Ktoś przeniósł ją na posłanie z koców. Zwierzęcy smród już się rozwiął, jakby ktoś oczyścił klatki, powietrze wypełniał silny zapach ziół. Zza zamkniętych drzwi nie dobiegał żaden głos; rozumiała, że musi być środek nocy. Zwierzęta kręciły się i szeleściły, zajmowały swoimi sprawami, przyglądały się jej tylko jednym okiem.

– Wiecie, że jestem jedną z was – mruknęła cicho i ponuro. Wstała, zachwiała się lekko na widok gwiazd, z trudem przeszła pokój.

Pozaziemiec leżał pod namiotem z koców, owinięty w inne jak niemowlę. Na podgrzewanej płycie przy jego głowie stał garnek z pachnącym naparem z ziół. Uklękła przy pryczy, dotknęła dłonią jego twarzy. Wmawiała sobie, że jest chłodniejsza, niepewna, czy to prawda. – Wróc... – szepnęła niemal w modlitwie. *Udowodnij mi, że mam prawo żyć i być sybillą.* Pochyliła głowę, przycisnęła czoło do twardej ramy pryczy.

– A więc... wróciłaś do mnie?

Podniosła głowę, zobaczyła pozaziemca próbującego otworzyć oczy.

– Nigdy – nigdy cię nie opuszczałam. – Skrzywił się, pokręcił głową, jakby nie miało to sensu. – Nigdy nie odchodziłam. – Powtórzyła w sandhi.

– Ach – patrzył na nią szparkami oczu. – Już się nie boję. Kiedy... kiedy wyjdziemy?

– Kiedy? Niedługo. – Poglądziła jego przepocone włosy, ujrzała, jak się uśmiecha. Nie wiedząc, o co pytał, powiedziała: – Gdy nabierzesz sił. – Bezwiednie użyła rodzinnej formy.

– Nie sądziłem, że będziesz taka dobra. Zostaniesz ze mną... do tego czasu?

– Zostanę. – Spojrzawszy w dół, dostrzegła nie tknięty dzban z gęstym lekarstwem, stojący przy jej kolanie. Podniosła go. – Musisz to wypić. – Wsunęła mu rękę pod ramiona, przekreśliła na bok. Posłusznie wyciągnął wolną rękę, nie mógł jednak chwycić kubka; znów ujrzała świeże blizny na nadgarstku. Przytrzymała naczynie, dopóki nie wypił. Pod koniec zaczął kaszleć, w piersiach grzechotało mu, jakby były pełne kamieni. Plastikowy kubek wyslizgnął się z jej dłoni i potoczył pod pryczę. Trzymała mocno pozaziemca w ramionach, przekazywała mu swą siłę, aż atak minął, i jeszcze trochę.

– Jesteś... taka prawdziwa – westchnął na jej ramieniu. – Taka miła...

Opuściła go na posłanie już śpiącego. Siedziała długo, patrząc na niego, nim znowu oparła się o pryczę, położyła głowę na rękę i zamknęła oczy.

– Jesteś prawdziwa.

Słowa powitały ją jak starzy przyjaciele, gdy znowu się obudziła i powoli podniosła głowę znad zdrętwiałej od snu ręki. Usiadła, mrugając oczami.



Pozaziemiec opierał się o ścianę, podtrzymywany kłębem koców.

– Czy śnię, czy... naprawdę mówiłaś do mnie w sandhi?

– Mówiłam – odpowiedziała w sandhi. Moon poruszała palcami, czuła mrowienie, gdy w ramieniu zaczęła znowu krążyć krew. – Nie mogę w to uwierzyć. Byłeś taki chory. – Poczła wypełniające ją ciepło. *Moc przyszła poprzez mnie i uleczyła cię.*

– Myślałem, że jesteś Porywaczką Dzieci. Gdy byłem młody, niania opowiadała mi, że jest blada jak zorza... – Oparł się mocniej na zgromadzonych kocach. – Ale nie jesteś duchem. Prawda...? – Pytał, jakby nadal nie dowierzał swym zmysłom.

– Nie. – Roztarta drugą ręką skrecone mięśnie karku, krzywiąc się. – Inaczej nie bolałoby mnie tak bardzo.

– Też jesteś więźniem. – Pochylił się, lekko mrużąc oczy; oczy miał nadal trochę zaczerwienione. Kiwnęła głową. – Twoja twarz. Czy cię... męczyli? – zapytał.

Pokręciła głową.

– Nie. Nie zranili mnie. Boją się mnie, na razie.

– Boją? – Spojrzał na drzwi i korytarz za nimi. Odległe odgłosy budzącego się do nowego dnia obozowiska dochodziły jak echo z innego świata.

Uniosła twarz, ujrzała, jak krzywi się na widok rany na gardle, potem opuszcza głowę.

– Sybilla?

Znowu się schyliła.

– Bogowie, wszystko dzieje się za szybko. – Położył się znowu, przeczekał na boku następny atak kaszlu.

Coś mignęło jej w kąciuku oka. Okręciła się i zobaczyła za sobą stosik niebiesko-czarnego ubrania związanego wstążką, obok dzban i talerz z suszonym mięsem.

– Ktoś przyniósł nam jedzenie. – Sięgnęła po nie od razu. – Jedzenie... – Nie wiedziała nawet, kiedy po raz ostatni coś jadła.

– Blodwed. Parę godzin temu. Udawałem, że śpię.

Moon pociągnęła długi łyk z dzbana, gęsty, niebieskobiały płyn spłynął jak ambrozja jej spieczonym gardłem do skurczonego żołądka.

– Och... – wydyszała, westchnęła z radości i ulgi, odstawiając dzbanek. Napelniła plastikowy kubek, podała jemu.

– Nie – zasłonił twarz. – Nie chcę tego.

– Musisz. Żeby się wyleczyć, nabrać sił.

– Nie. Nie muszę... – opuścił dłoń przed oczu, uniósł głowę, patrząc na nią. – Tak... chyba muszę. – Wziął naczynie zdrową ręką; ujrzała blizny i na tym nadgarstku. Dostrzegł, że na niego patrzy, uniósł bez słowa kubek do ust i wypił powoli.

Moon żuła kawałek suszonego mięsa, przełknęła go, nim zapytała:

– Kim jesteś? Jak się tu dostałeś?

– Kim jestem... – Spojrzał na płaszcz swego munduru, dotknął go; twarz przybrała zdziwioną minę, jakby budził się ze śpiączki. – Gundhalinu, sybillo. Inspektor policji BZ Gundhalinu... – skrzywił się – z Kharemough. Zestrzelili mój patrolowiec i wzięli do niewoli.

– Jak długo tu jesteś?

– Od zawsze. – Zamknął oczy, otworzył je znowu. – A ty? Porwali cię z portu gwiazdowego? Skąd jesteś? Z Wielkiej Błękitnej czy z Samathe?

– Nie, z Tiamat.

– Stąd? Jesteś przecież sybillą. – Oderwał kubek od warg. – Zimacy nie...

– Jestem Letniaczką. Moon Dawntreader Letniaczką.

– Gdzie nauczyłaś się sandhi ? – W tym pytaniu kryło się coś mroczniejszego niż ciekawość.

Moon skrzywiła się niepewnie.

– Na Kharemough.

– A więc jesteś tu nieprawnie! Jak zdołałaś tu wrócić? – Głos mu się załamał, był zbyt słaby jak na udźwignięcie ciężaru władczego żądania.

– Tak samo, jak odleciałam – przy pomocy przemytników techniki. – Nieświadomie przeszła na swój język; była zdziwiona i oburzona jego oburzeniem. – Co zamierzasz z tym zrobić, Siny? Aresztujesz mnie? Wydalisz? – Dotknięta, zasłoniła dłońmi usta.

– Zrobiłbym to... gdybym miał możliwości. – Podążał za nią zawzięcie od jednego języka do drugiego. Własna sprawiedliwość wyczerpała go jednak i opadł zmęczony na pryczę. Roześmiał się szorstko, nienawistnie. – Nie martw się. Leżę na twarzy... w kosmicznym gnoju, mieszkam w psiarni... nie mam żadnej władzy. – Dokończył napój i zwiesił zaczepiony o palec kubek poza krawędź pryczy.

Moon napełniła kubek i znowu wetknęła mu do ręki.

– Szmuglująca sybillą. – Pił ostrożnie, patrząc na nią. – Myślałem, że waszym celem jest służba ludzkości, a nie sobie. A może zrobiłaś sobie ten tatuaż... z przyczyn czysto handlowych?

Moon zarumieniła się z gniewu.

– To niedozwolone!

– Podobnie jak przemyt. Ale się zdarza. – Kichnął gwałtownie, rozpryskując picie na siebie i na nią.

– Nie jestem przemytniczką. – Starła kropelki z kurtki. – Ale nie dlatego, że to potępiam. To ty się mylisz, Gundhalinu, jak wszyscy Sini – pozwalacie swoim przybywać tu i zabierać, co zechcą, nie dając nam nic w zamian.

Uśmiechnął się bez wesołości.

– Połknęłaś więc tę niby prostą przynętę i skryty w niej haczyk? Skoro chcesz zobaczyć... prawdziwą zachłanność i wyzysk, polec na planetę, na której nie ma naszych sił utrzymujących porządek. Albo powstrzymaj... ludzi swego pokroju przed wracaniem i sprawianiem kłopotów, skoro już się wydostałaś z tego świata.

Moon przysiadła na piętach, nic nie mówiąc, powstrzymując gniewne słowa. Gundhalinu także milczał; siedziała, wsłuchując się w oddech świszczący w jego gardle.

– To mój świat. Mam prawo tu być. Jestem sybillą, Gundhalinu, i będę służyć Tiamat na wszelkie możliwe sposoby. – Coś twardszego od dumy wypełniło jej słowa. – W każdej chwili mogę udowodnić, że nikogo nie udaję. Pytaj, a odpowiem.

– Nie trzeba, sybillo – wyszeptał przepaszająco. – Już to zrobiłaś. Powiniennem cię nienawidzić za wyleczenie... – Przekręcił się na brzuch i spojrzał na nią; zdumiał ją swą miną, zacisnęła dłoń na własnych nadgarstkach. – Ale świadomość, że żyję i nie jestem sam, widok twej twarzy... słuchanie, jak mówisz w cywilizowanym języku, moim języku... Bogowie, nie sądziłem, że kiedykolwiek jeszcze go usłyszę! Dziękuję ci... – załamał mu się głos. – Jak długo... jak długo byłaś na Kharemough?

– Prawie miesiąc. – Włożyła do ust następny kawałek suszonego mięsa, nim znowu na niego spojrzała; zaczęła, aż się rozpuści, wygładzi gardło spięte nagłym współczuciem. – Mogłam zostać dłużej, może nawet do końca życia. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

– Dlaczego więc wolałaś tu wrócić? – W jego głosie nie było już sarkazmu, wyłącznie pragnienie. – Gdzie mieszkałaś? Co widziałaś?

– Głównie na Targu Złodziei. W mieście portowym. – Usiadła na skrzyżowanych nogach, rozmieściła się wygodnie i pozwoliła myślom powrócić do dni, kiedy to karmiła swe oczy; ujrzała Elsevier, Silky'ego i Cressa, żywych i radujących się wraz z nią; podróż na powierzchnię planety; ozdobne ogrody KR Aspundtha... – Piliśmy lith i jedliśmy owoce w cukrze... Och, widziałam na ekranie, jak Singalu został Techem.

– Co? – Gundhalinu usiadł oparty o ścianę, patrząc na nią z niewiarygodnym zadowoleniem. Zauważyła, że brak mu zęba. – Na bogów, nie mogę w to uwierzyć! Stary Singalu? Wymyśliłaś to sobie, prawda?

Pokręciła głową.

– Ależ nie! To był przypadek. Ale nawet KR się cieszył. – Przypomniała sobie łzy w oczach Elsevier, we własnych... Nagle napłynęły jej do oczu, tym razem płakała z żalu.

– Spotkałaś się z KR Aspundthem! – Potrząsnął głową i otarł własne oczy, ciągle się uśmiechając. – Nawet mój ojciec nie spotkał się z nim! No, mów dalej, co było potem?

Moon przełknęła ślinę.

– Rozrozmawialiśmy. Poprosił, bym zatrzymała się u niego na kilka dni. Wiesz, jest sybillą... – przerwała.

– Wiem, że jest wiele – rzeczy, o których mi nie mówisz – powiedział spokojnie Gundhalinu. Pokręcił głową. – Nie. Nie chcę o nich wiedzieć. Nie chcę nawet usłyszeć, dlaczego, u licha, KR Aspundth zaprosił na herbatkę przemytników techniki. Mogłaś jednak mieć wszystko, czego można tu pragnąć – życie, rzeczy tu nie znane. Czemu? Dlaczego to odrzuciłaś i zaryzykowałaś utratę wszystkiego, by tu przybyć? Widzę po twoich oczach, że wolałabyś nie być do tego zmuszona.

– Uważałam, że muszę. – Poczula, jak jej połamane paznokcie wpijają jej się w dłonie. – Nigdy nie chciałam lecieć na inne planety. Jechałam do Krwawnika, by odszukać tam kuzyna... Gdy dotarłam do zatoki Shotover, spotkałam tam Elsevier i Sini próbowali nas zaaresztować...

– Zatoka Shotover? – Jego twarz przybrała szczególnie żalospną minę. – Jaki ten kosmos jest mały. Nic dziwnego, że się zastanawiałem... gdzie przedtem widziałem twą twarz.

Pochyliła się z rodzącym uśmiechem, przyjrzała jego twarzy.

– Nie, zbyt byłam zajęta ucieczką.

Wykrzywił usta.

– Nikt nigdy nie uznał jej za godną zapamiętania. A więc jechałaś do Krwawnika. Ale chyba po upływie pięciu lat nie zdążasz tam nadal? To, co się zdarzyło twojemu krewnemu, jest teraz starą historią.

– Nie jest – pokręciła głową. – Będąc na Kharemough, zapytałam, a Przekaz powiedział mi, że mam wracać, że to jeszcze nie koniec. – Zimne milczenie pustki wewnątrz niej stawało się coraz głośniejsze, wstrzymywało jej dech. – Ale odkąd wróciłam, niszcę lub ranie wszystko, o co dbam... – Głos zaczął jej drżeć. Cofnęła się, pragnąc schować się w jakiejś kryjówce.

– Ty? Nie rozumiem.

– Bo wróciłam! – Pozwoliła płynąć słowom, powiedziała mu wszystko, o każdym zdarzeniu i każdej karze, które bezlitośnie skierowały ją w to miejsce... – To stało się przeze mnie! Zmusiłam ich, by to zrobili, uczynili to dla mnie. Jestem przeklęta – gdyby nie ja, nic z tego by się nie stało, zupełnie nic!

– Nie zobaczyłabyś tego, to jedyna różnica. Nikt nie kieruje przeznaczeniem innych – nie panujemy nawet nad własnym. – Poczula, jak z wahaniem kładzie jej ręce na ramionach. – Inaczej nie więziono by nas tutaj; nie żyłbym, by ci to powiedzieć... źle robisz, winiąc siebie.

Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Ale mery. O Pani, nawet mery... były bezpieczne na ziemi Ngeneta, dopóki nie przybyłam!

– Skoro Starbuck i Psy zakłusowali, nie ma w tym twojej winy. Odpowiedzialna jest Królowa.

Mówię ci, musisz być po trzykroć błogosławiona, a nie przeklęta, skoro ze... spotkania ze Starbuckiem wyszłaś jedynie ze zranionym gardłem. – Zaczął kaszleć, złapał się za własne gardło.

– Starbuck? – odetchnęła głęboko, zbierając odwagę, by zadać pytanie. – To on był człowiekiem w czerni? Czym on jest? – Nie spytała: *Kim jest?*

Gundhalinu uniósł brwi, zabrał dłoń z jej mięknącego ramienia.

– Nigdy nie słyszałaś o Starbucku? To towarzysz Królowej; jej Łowca, giermek, główny doradca w kontaktach z nami... jej kochanek.

– Ocalił mi życie. – Dotykała gojącej się rany na szyi. – Kim on jest, Gundhalinu?

– Nikt nie wie. Jego nazwisko jest skrywane.

*Kochał cię kiedyś, lecz teraz kocha ją.* Słowa Przekazu wypełniły jej myśli, nagle je pobudzając.

– Teraz rozumiem. Wszystko rozumiem!... To prawda. – Odwracała wzrok, lecz szmaragdowe oczy spoza czarnej maski kata podążały za nią, podążały...

– Co takiego?

– Starbuckiem jest mój kuzyn.

– To niemożliwe – powiedział spokojnie Gundhalinu. – Starbuck jest pozaziemcem.

– Sparks także. Jego ojciec jest pozaziemcem. Zawsze chciał być taki jak oni, jak Zimacy... Teraz jest. – *Potwór. Jak mógł mi to zrobić?* Potarła twarz, rozmazując wokół oczu nagłą wilgoć.

– Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski. Tylko dlatego że Starbuck bał się... zabić sybillę...

– Wiedział, że jestem sybillą, nim dostrzegł mą oznakę! – Wróciła do tego dowodu nie do niesienia. – Poznał mnie; wiem o tym. Nosił też medal Sparksa. – *I zabijał mery.* Przycisnęła do ust zaciśniętą pięść. – Jak on mógł? Jak mógł się zmienić w to?

Gundhalinu położył się znowu, zapadło niewygodne milczenie.

– Krwawnik robi to z ludźmi. Ale jeśli to prawda, to przynajmniej zostało mu tyle ludzkich uczuć, by ocalić twe życie. Teraz możesz o nim zapomnieć; zapomnieć przynajmniej o... jednym kłopotcie. – Westchnął, patrząc w ciemności.

– Nie. – Zerwała się na nogi, zaczęła chodzić w kółko przy pryczy. – Bardziej niż kiedykolwiek chcę się dostać do Krwawnika. Musi być jakaś przyczyna jego postępów; jeśli się zmienił, musi być sposób na odwrócenie zmiany. – *Odzyskaj go. Nie przegram... nie teraz, gdy dotarłam tak daleko.* – Kocham go, Gundhalinu. Obojętnie, co zrobił, jak bardzo się zmienił, nie mogę przestać go kochać. – *Ani potrzebować go, czy nie pragnąć, by wrócił. Jest mój, zawsze był! Nie oddam go – bez względu na to, kim jest, co ona z niego zrobiła...* Prawda ją pobudzała i czyniła bezradną. Nie patrzyła już na twarz Gundhalinu, nie widziała, jak powoli zmienia się jej wyraz. – Zaprzysięgliśmy sobie nasze życia i jeśli już tego nie chce, musi mi to udowodnić. – Jedną dłoń zacisnęła w pięść, drugą ją złapała.

– Rozumiem – Gundhalinu uśmiechnął się, lecz trochę niepewnie. – A myślałem zawsze, że tubylcy prowadzą nudne, proste życie. – Znów patrzył pogodnie. – Na Kharemough przynajmniej miłość jest na tyle dworska, że zna swoje miejsce, nie wyrywa nam serc.

– Nigdy więc nie byłeś zakochany – stwierdziła bezlitośnie. Przycupnęła teraz przy jaskrawych i ciemnych ubraniach zostawionych im przez Blodwed; z roztargnieniem podniosła jedno. Była to tunika, zszyta z szerokich tkanych wstęg.

– Jeśli masz na myśli miłość pochłaniającą wszystko, zaćmiewającą zmysły i spadającą jak piorun, to nie. Czytałem o niej... – głos mu zlagodniał. – Ale nigdy się z taką nie spotkałem. Nie

sądziłem, by w ogóle istniała w prawdziwym wszechświecie.

– Kharemoughi nie żyją w prawdziwym wszechświecie – skrzywiła się Moon. Zdjęła kurtkę, rozpięła skafander i wyszła z niego. Zaczęła rozcierać podrażnioną skórę, obtarte ramiona, drapać po plecach. Pozwalała mu patrzeć, widziała, jak próbuje tego nie robić, czerpała dziwną przyjemność z jego zakłopotania. Nałożyła ciepłą, ciężką tunikę na skąpą bieliznę, wbiła się w nogawice i wykładane futrem buty, otoczyła biodra szerokim pasem z malowanej skóry. Dotknęła samodziałowej wstęgi wszytej z przodu tuniki; miała barwę zachodzącego słońca na tle granatowej jak noc wełny.

– Jest piękna... – Zdumienie przebiło się przez jej mroczny nastrój. Zrozumiała nagle, że wstęga i strój są bardzo stare.

– Tak. – Mina Gundhalinu była inna, niż się spodziewała. Dojrzała jednak kryjące się pod nią zakłopotanie i poczuła ukłucie wstydu za jego wstyd.

– Gundhalinu...

– Mów mi BZ. – Otrząsnął się jakoś. – Wszyscy tutaj jesteśmy po imieniu. – Wskazał na zwierzęta.

Kiwnęła głową.

– BZ, jesteśmy... – przerwała znowu, słysząc, że ktoś nadchodzi. Zamek zazgrzytał i drzwi się otworzyły. Weszła Blodwed, niosąc skrzynkę, a za nią małe dziecko o różowych policzkach. Rozbójniczka zatrzasnęła drzwi nogą. Zwierzęta zaczęły się kręcić i patrzeć na nią; napięte, poruszały się ukradkowo pod ścianami. Szkrab podszedł do klatek i niespodziewanie usiadł przed nimi na podłodze. Nie zwracająca na niego uwagi Blodwed przeszła salę.

Moon zerknęła na Gundhalinu, ujrzała, jak jego oczy stają się martwe, twarz traci ożywienie, pozostawiając tylko rezygnację. Blodwed rozjaśniła się jednak, kładąc pudło i stając przed nimi, by przypatrzeć się badawczo.

– Nie mogę uwierzyć, już z nim dobrze! Patrz... – Złapała go za rękaw i szarpnęła. – Sprowadziłam prawdziwą sybillę, byś nie umarł, Siniaczku. – Wyrwał się i usiadł. – Teraz możesz dokończyć mi czytać.

– Zostaw mnie. – Opuścił nogi poza skraj pryczy i podparł głowę rękoma. Zaczął mocno kasłać. Blodwed wzruszyła ramionami i spojrzała na Moon, drapiąc się po haczykowatym nosie.

– A co z tobą? Myślałam, że oboje umrzecie. – W jej głos wkradł się ton szacunku.

Moon kiwnęła głową, panując nad głosem i starannie dobierając słowa.

– Wszystko ze mną w porządku... Dziękuję, że przyniosłaś mi ubrania. – Dotknęła przodu tuniki.

– Jest bardzo piękna. – Nie zdołała ukryć niedowierzania.

Niebieskie oczy Blodwed były przez chwilę pełne dumy; spojrzała w dół.

– To tylko stare szmaty. Należały do mojej prababki. Nikt już się tak nie ubiera, nikt nawet nie wie, jak je tkąć. – Szarpnęła za połę swej brudnej białej kurtki, jakby naprawdę bardziej się jej podobała. Pogrzebała w kartonie i wyciągnęła plastikową kostkę wielkości pięści. Powietrze wypełnił, niby deszcz, niezrozumiały hałas. Blodwed zaczęła nucić melodię i Moon pojęła, że szuka czegoś w radiu.

– W tej jaskini odbiór jest naprawdę paskudny. Oczywiście nic nie pomogło, że stary Siniaczek rozebrał radio na części i zmajstrował nadajnik. – Wykrzywiła się do niego. – Masz tu kolację – powiedziała, rzucając puszkę na pryczę. Dziecko płakało, stojąc przed klatkami i machając rękoma. – Hej, nie wtykaj tam palców, do diabła! A to twoja.

Moon złapała puszkę wlatującą jej do dłoni, usiadła i oderwała pokrywkę. Zawartość przypominała gulasz. Patrzyła na Gundhalinu otwierającego swą konserwę i zaczynającego jeść. Spojrzała na pociągające nosem dziecko.

– Czy... czy to twój brat? – zapytała.

– Nie. – Rozbójniczka odsunęła się z naręczem puszek z obrazkami zwierząt. Szła od uwiązanych stworzeń do siedzących w klatkach, podając każdemu wieczorny posiłek. Moon patrzyła, jak się rzucają lub odskakują gwałtownie, uspokajają po przejściu Blodwed.

Dziewczyna wróciła z nachmurzoną miną i usiadła z własną puszką. Chłopiec podszedł do niej, szarpnął za kurtkę i jęknął.

– Nie teraz! – Wsadziła mu do buzi łyżkę gulaszu. – Czy znasz się na zwierzętach? – Spojrzała na Moon i na klatki poza nią.

– Nie na tych. – Moon oderwała wzrok od chłopca o twarzy różowej i białej jak porcelanowa figurka.

– No to zrobisz to samo co wczoraj, ale tym razem opowiesz mi o zwierzętach. – Rozjaśniła się, spodziewając odmowy. – Niektóre z nich mogą być także chore. Nie, nie wiem, jak się nimi opiekować. – Opuściła wzrok. – Chciałabym się tego nauczyć.

Moon kiwnęła głową, przełykając resztki gulaszu, i powoli wstała.

– Skąd masz te zwierzęta?

– Ukradłam z portu gwiazdowego. Albo dostałam od handlarzy czy złapałam... elfolisa, tamte szare ptaki i króliki. Nie wiem nawet, jak nazywają się pozostałe.

Moon czuła na sobie wzrok Gundhalinu śledzącego ją z posępnym oskarżeniem, zignorowała go, podchodząc do najbliższego zwierzęcia, o najpaskudniejszym wyglądzie – drżącej torby zmarszczek leżącej w gnieździe z siana. Płakało ohydnie, pokazało szeroki, ssący pysk, gdy tylko otworzyła drzwiczki klatki. Zwalczając wstręt, przykucnęła przed nim i wyciągnęła rękę z garścią kuleczek karmy, trzymała ją nieruchomo.

Trzęsące się z lęku stworzenie powoli się uspokoiło, po ciągnącej się w nieskończoność chwili przysunęło się, cal po calu, aż wreszcie niepewnie dotknęło pyskiem jej dłoni. Wzdrygnęła się, a zwierzę odskoczyło, zaczęło znowu się przybliżać. Bardzo delikatnie brało po jednej kuleczce z dłoni. Odważyła się pogłaskać drugą ręką; sploty, podobne do mózgowych, były gładkie i zimne w dotyku, jak powierzchnia pomarszczonej jedwabnej poduszki. Stworzenie spoczęło z zadowoleniem pod jej dłonią, wydając dźwięki przypominające pękanie bąbelków.

Moon odeszła powoli, zbliżyła się do pary gibkich, chodzących stale drapieżników w następnej klatce. Opuściły uszy i pokazały kły lśniące bielą na tle czarnych wzorów na czarnej sierści. Było w nich coś kociego, zaczęła więc cicho gwizdać, naśladowując dźwięki wydawane przez koty, mrużące w domu na jej kolanach. Długie, pędzelkowate uszy drgnęły, obróciły się, nastawiły jak anteny radarów... zwierzęta podeszły trochę opornie, przyciągane gwizdaniem. Podsunęła im palce do powąchania, poczuła falę przyjemności, gdy kruczy policzek musnął jej dłoń w geście akceptacji. Smukłe stworzenia cisnęły się do prętów klatki, gardłowymi głosami dopraszały się głaskania.

Bardziej już pewna siebie przeszła do gada o głowie przypominającej motykę i skórzastych skrzydłach; do miękkich jak pióra krągłości, nie mających żadnych głów; do ptaka o szmaragdowym upierzeniu i rubinowej piersi, leżącego bezwładnie na podłodze klatki. Utraciła poczucie czasu i wszelkich potrzeb poza chęcią porozumienia się, choćby w najmniejszym stopniu z każdym stworzeniem, doczekania się w zamian rodzącego z trudem zaufania... Wreszcie zakończyła obchód, zobaczyła chłopczyka śpiącego na kolanach Blodwed, patrzącej na nią z milczącą nienawiścią.

Moon odwróciła wzrok, zrozumiała to spojrzenie w chwili ostatecznego zrozumienia.

– Jestem gotowa do Przekazu, Blodwed; zacznę go, kiedy tylko zechcesz.

– Jak to robisz? – Słowa rozbójniczki spadły na nią jak ciosy. – Dlaczego przychodzą do ciebie, a do mnie nie? To moje zwierzęta! Powinny mnie kochać! – Jej gniew obudził chłopca, zaczął

płakać.

– To chyba oczywiste – mruknął zgryźliwie Gundhalinu. – Traktuje zwierzęta jak ludzi, a ty ludzi jak zwierzęta.

Rozwścieczona Blodwed wstała, a chory zeszywniał.

– Blodwed... boją się ciebie. Bo... – Moon zawahała się, szukała słów odpowiadających jej myślom. – Bo ty się ich boisz – dokończyła śmiało.

– Nie boję się ich! Ty się ich bałaś.

Moon pokręciła głową.

– To nie tak. Widzisz... boisz się im okazać, że się o nie troszczysz. – Umknęła wzrokiem od oczu Blodwed, cofnęła do klitek.

Usta dziewczyny poruszyły się, przestała warczeć.

– Karmię je przecież, robię przy nich wszystko! Czy to mało?

– Naucz się być dla nich łagodna. Przekonasz się... że łagodność nie jest... słabością.

Chłopczyk czepiał się nóg Blodwed, ciągle płacząc. Spojrzała na niego i z wahaniem pogłaskała po głowie, nim podeszła z Moon do klitek.

Sybilla ponownie zaczęła obchód od stworzenia przypominającego mózg, wzięła je do rąk, skupiła na nim swe zmysły.

– Zapytaj mnie o nie. *Wejście...* – Usłyszała pytanie Blodwed i przekazała je...

– ...*analizy!* – Stwierdziła, że siedzi wyczerpana na podłodze, a młode elfolisa o zadartym nosie ssie jej wstążkę. Pogłaskała jego grube, białe futerko, wyjęła wstążkę z ust i bardzo ostrożnie oderwała od tuniki ostre pazurki. Podała zwierzątko Blodwed. – Weź je – szepnęła cicho.

Blodwed wyciągnęła ręce, niepewność zwalniała jej ruchy; młode nie walczyło ani nie protestowało, gdy Moon położyła je na czekające dłonie. Rozbójniczka umieściła je na brzuchu, trzymała niemal nieśmiało. Zachichotała, gdy elfolisiątko wcisnęło się pod kurtkę i przycupnęło na jej boku. Siedzący u jej stóp szkrab wyciągnął jedną rękę i wsadził kciuk do buzi.

– Czy powiedziałam ci dość? – Moon spojrzała na krąg pustych klitek, widziała jeszcze zielony i złoty cień sklepu ze zwierzętami na jakiejś innej planecie. *Tak daleko... my wszyscy jesteśmy tak daleko od domów.*

– Lissop, gwiazdole, nietopeskrzyd... – Blodwed wymieniała wszystkie nazwy. – Wiem chyba nawet, co jest temu. – Wskazała ręką. – Nie mam odpowiedniej karmy. – Twarz się jej wydłużyła. – Dobrze się spisałaś. – Spojrzała na Moon, próbowała mówić ośmielająco i przytuliła elfolisiątko. – Prawda, Siny?

Gundhalinu uśmiechnął się niechętnie i drwiąco zasalutował.

– Szlachetna... – umilkł.

Trzy pary oczu spojrzały razem w stronę korytarza, którym ktoś nadchodził. Drzwi się otworzyły i wszedł brodaty mężczyzna o ponurej twarzy. Zwierzęta wcisnęły się w ściany.

– Czego chcesz, Taryd Roh? – Głos Blodwed znowu zabrzmiał ostro.

– Szamanka chce mieć to naprawione. – Pokazał kruchy przyrząd, którego Moon nie rozpoznała. – Każ temu Techowi zacząć zarabiać na swoje utrzymanie.

– Jest zbyt chory. – Blodwed wysunęła brodę do przodu.

– Żyje – wyszczerzył zęby Taryd Roh i spojrzał na Moon. – A ta śliczna laleczka, którą mu sprowadziłaś, potrafiłaby ożywić nawet trupa. Może odwiedzisz mój namiot, sybilleczko? – Twarda ręka pogładziła jej podrapany policzek, sprawiając ból.

Moon cofnęła się ze wstrętem. Mężczyzna roześmiał się i przeszedł obok niej.

– Słuchaj, gnoju – powiedziała Blodwed – trzymaj się od niej z dala! Naprawdę ma moc...

– No to co tu robi? – prychnął. – Nie wierzysz w te zabobonne bzdury, prawda, Techu? – Położył przed Gundhalinu uszkodzony przyrząd i zestaw narzędzi. – Myśl nie tylko o zabawie, bo jeśli do jutra nie zacznie to działać, zmuszę cię, byś wszystko zjadł. – Trzepnął przybrudzone oznaki na kołnierzu więźnia; Moon ujrzała, jak szczupła twarz Gundhalinu poszarzała i obwisła.

Taryd Roh odwrócił się od nich, przeszedł do drzwi sali jak morderczy rak pełzający w wiecierzu pełnym ryb.

Blodwed zrobiła sprośny gest palcami w stronę jego pleców.

– Bogowie, jakże nienawidzę tego drania! – Skrzywiła się, gdy elfolisiątko obudziło się pod jej kurtką, zaczęło się wiercić i drapać po skórze. – Uważa się za Premiera czy kogoś takiego, bo jest faworytem mamy. Był w Krwawniku i też zwariował, to dlatego lubi go tak bardzo.

Moon patrzyła, jak Gundhalinu wyciągnął się na pryczy, poruszając jak stary kaleka, i odwrócił twarzą do ściany. Nic nie powiedział.

Blodwed wyciągnęła spod kurtki rzucające się małe i niemal ze złością wrzuciła do klatki. Moon wyczuła, iż przetrząsa pokój oczami, szukając czegoś nie mającego nazwy, a brakującego, sama patrzyła na Gundhalinu. Wreszcie rozbójniczka wzięła paplające dziecko i wyszła, pozostawiając ich w przytłaczającym milczeniu.

Moon przeszła gęstniejącym powietrzem do posłania Gundhalinu i uklękła obok.

– BZ? – Wiedziała, że nie chce jej pytań i że musi je zadawać. Dotknęła jego ramienia. Nawet przez gruby płaszcz czuła, jak drży. – BZ...

– Zostaw mnie samego.

– Nie.

– Na miłość bogów, nie jestem jednym z jej zwierzaków!

– Ani ja! – Wpiła palce w jego ramię, zmusiła do słuchania. Przewrócił się na plecy i spojrzał na nią wyblakłymi oczami.

– A już myślałem, że nie może być gorzej...

Moon spojrzała na niego i kiwnęła głową.

– To może zacznie być lepiej.

– Nie zacznie. Nie mów mi, że mamy jakąś przyszłość. Mogę wytrzymać najwyżej myśl o jutrze.

Zobaczyła, że zostawiony przez Taryda Rohę zepsuty przyrząd leży koło jej kolan.

– Potrafisz to naprawić?

– Z zawiązanymi oczami – powiedział z krzywym uśmiechem. Potem uniósł rękę. – Gdybym miał dwie sprawne ręce. Ale nie mam.

– Masz trzy. – Moon klasnęła w swoje. Podniósł swą drugą dłoń i położył na jej.

– Dziękuję. – Wziął długi oddech i usiadł. – Taryd Roh... Taryd Roh przyłapał mnie, jak przestrajałem radio Blodwed. Gdy ze mną skończył, nie mogłem chodzić przez dwa dni. I na bogów, to go bawiło. – Przesunął dłonią po włosach, Moon dostrzegła, że znowu drży. – Nie wiem, co robił w mieście, ale był w tym dobry.

Moon wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie, jak Taryd Roh dotknął jej twarzy.

– Za co to? – Spojrzała na jego ręce, poranione nadgarstki.

– Za wszystko! Za wszystko. – Pokręcił głową. – Za to, że jestem dobrze urodzonym, Techem, Kharemoughi! Być traktowanym jak niewolnik przez tych dzikusów – gorzej niż niewolnik! Żaden człowiek o mojej dumie nie może tak żyć – bez honoru, bez nadziei. Dlatego spróbowałem jedyne honorowe wyjścia. – Powiedział to z doskonałą obojętnością. – Ale znalazła mnie Blodwed, zanim wszystko się skończyło.

– Uratowała cię?



– Oczywiście. – Moon wyczuła nienawiść w tych słowach.

– Czy można upokarzać trupa? – Spojrzał na swą bezużyteczną rękę. – Okaleczyłem się jedynie... Przystałem jeść, wtedy powiedziała, że pozwoli Tarydowi Roh mnie karmić. Po piętnastu minutach z nim wolałbym żreć gównem. – Spróbował wstać, lecz opadł na pryczę, kaszląc aż do łez. – A potem była burza... – Bezradnie wyciągnął ręce, jakby chcąc jej pokazać, jak bardzo starał się postąpić właściwie.

Bojąc się, że nic nie rozumie, Moon zapytała tylko:

– A teraz?

– A teraz wszystko się zmieniło. Muszę... muszę myśleć nie tylko o sobie. – Nie wiedziała, czy się z tego cieszy, czy żałuje.

– Rada jestem, że ci się nie udało. – Opuściła wzrok. – Pojedziemy do Krwawnika, BZ. Wiem o tym. – *To jeszcze nie koniec.* Nagle była tego pewna, jakby ożył w niej rodzaj intuicji.

Pokręcił głową.

– To już mnie nie obchodzi. Za późno, zbyt długo tu jestem.

– Podniósł jej brodę. – Ale ze względu na ciebie, będę na to czekał.

– Nie jest za późno.

– Nie rozumiesz. – Szarpnął za klamrę płaszcza mundurowego. – Jestem tu od miesiąca, już po wszystkim! Po Świącie, po Zmianie, po ostatecznym opuszczeniu... wszyscy już stąd odlecieli na swoje planety, zostawiając mnie. Na zawsze. – Jego szczupła twarz wykrzywiła się. – “W snach słyszę, jak wzywa mnie ojczyzna; a nie mogę jej odpowiedzieć...”

– Jeszcze nie odlecieli! To dopiero nastąpi.

Patrzył na nią, jakby go uderzyła. Pociągnął ją na pryczę obok siebie, niemal potrząsnął.

– Naprawdę? Kiedy? Kiedy? Och, bogowie, powiedzcie mi, że to prawda!

– Prawda – przytaknęła. – Ale nie wiem k-kiedy... To znaczy, nie jestem pewna... chyba za tydzień czy dwa, po uroczystościach.

– Za tydzień? – Puścił ją, oparł się o ścianę. – Moon... niech cię diabli, nie wiem, czy jesteś niebem, czy piekłem; tydzień. – Potarł dłonią usta. – Myślę jednak, że niebem. – Objął ją, na chwilę, cnotliwie, z odwróconą twarzą.

Uniosła ręce, gdy się odsunął, i przycisnęła go z nagłą wdzięcznością, szepcząc:

– Nie puszczaj. Jeszcze trochę. Proszę, BZ; potrzebuję tego. Obejmij mnie... – *Aż wszystko nie utonie w brzydocie. Aż poczuję jego ramiona wokół siebie...*

Gundhalinu zeszywniał ze zdziwienia i dziwnego oporu. Ale jednak objął ją rękoma, niemal mechanicznie, i przyciągnął znów do siebie, osłaniając ją i odpowiadając.

*Tyle czasu...* przypomniała sobie czułe dłonie Sparksa, jakby było to wczoraj... *tyle czasu.* Położyła mu głowę na ramieniu, poczuła, jak ponad myślami, ponad czasem roztapia się przy jego mocnym ciele; stworzyła z niego widmo innego ciała i splotła łańcuchy gorzkiej świadomości sięgającej w przyszłość. Po chwili poczuła, jak ręce Gundhalinu tężeją, usłyszała, jak zmienia się jego oddech; zrozumiała, że niespodziewanie szybciej bije jej serce.

– Czy... porozmawiasz jeszcze ze mną w sandhi? – zapytał z wahaniem.

– Tak. – Uśmiechnęła się do jego rękawa. – Choć nie znam go dóbr ze...

– Wiem. Masz okropny akcent – roześmiał się łagodnie.

– Ty też! – Pozwoliła mu położyć głowę na swoim ramieniu; pogładziła jego plecy wolnymi, uspokajającymi ruchami, usłyszała, jak wzdycha. Jego ramiona stopniowo rozluźniły się i opadły, poczuła, jak znowu zmienia sposób oddychania. Uniosła głowę i zobaczyła jego zastygłą w półuśmiechu, śpiącą twarz. Położyła go uważnie na pryczę, uniosła nogi i przykryła kocami. Potem

pocałowała lekko w usta i przeszła do własnego postania na podłodze.

– Naprawiłeś to? Masz szczęście, Siniaczk. – Blodwed stanęła po wejściu do sali i podniosła zepsuty odległościomierz, który Gundhalinu naprawił rano przy pomocy Moon. Jej głos ledwo skrywał ulgę, lecz policjant usłyszał tylko groźbę i skrzywił się. – Hej, dlaczego to zrobiłaś?

Białe ptaki wleciały z ramion Moon; para gwiazdoli schowała się pod pryczę na głos Blodwed.

– By dać im odrobinę wolności – powiedziała Moon z większą pewnością siebie, niż rzeczywiście czuła.

– Uciekną! To dlatego trzymam je w klatkach, inaczej te głupole by uciekły.

– Nie uciekną. – Moon wyciągnęła dłonie, pełne okruchów chleba. Ptaki znowu wylądowały na jej ramionach, kłócąc się o miejsce. Pogładziła ich kędzierzawe pióra. – Trzymając je w klatkach, nigdy nie uczynisz swoimi, nie będziesz wiedzieć, czy możesz otworzyć drzwiczki.

Blodwed podeszła do niej przez pokój i ptaki znowu wzbiły się w powietrze. Moon wsypała okruchy na dłoń dziewczyny, lecz ta zacisnęła ją w pięść i wysypała wszystko na podłogę.

– Chrzanię to. Nie potrzebuję. Chcę posłuchać historyjki, Siny. – Przeszła do Gundhalinu i usiadła obok niego na pryczy. – Opowiedz jeszcze o Starym Imperium.

Umyślnie odsunął się od niej.

– Nie znam więcej opowieści. Powiedziałem ci wszystkie.

– Nieważne. Mów! – Potrząsnęła go za ramię. – Poczytaj znowu tę książkę. Poczytaj jej, też jest sybilla.

Moon spojrzała na nich, odrywając na chwilę wzrok od ptaków dziobiących okruchy u jej stóp.

– Siadaj, sybillo – skinęła władczo Blodwed. – Spodoba ci się. To o pierwszej w ogóle sybilli i o końcu Starego Imperium. Mówi o kosmicznych piratach, sztucznych planetach, obcych i cudownych broniach, pif-paf! – Ze śmiechem zastrzeliła Moon palcem.

– Naprawdę? – Moon spojrzała na Gundhalinu. – Czy to naprawdę o pierwszej sybilli? – Wzdrygnęła się.

– Powiedział, że to czysta prawda. – W głosie Blodwed rósł entuzjazm. – No dalej, Siny. Poczytaj o tym, jak ocaliła przed piratami swego Prawdziwego Kochanego.

– On ją ocalił – Gundhalinu pokrył kaszlem swe oburzenie.

– Zacznij wreszcie czytać. – Wychyliła się, gwiazdole cofnęły się, skrobiąc pazurami, gdy sięgała pod pryczę. Znalazła zniszczoną książkę i rzuciła Gundhalinu. – Na koniec myśli, że on umiera, a on, że ona już nie żyje; to takie smutne. – Skrzywiła się upiornie.

– Blodwed, ja ci coś opowiem. – Te słowa nagle natchnęły Moon. Usiadła na skrzyżowanych nogach, podeszły gwiazdole, płosząc ptaki, i położyły na jej kolanach swe spiczaste mordki. – O mnie... o moim Prawdziwym Ukochanym, przemytnikach techniki i Krwawniku. – *Postuchasz tego i zrozumiesz.* Poczwała, jak porywają natchnienie, niemal zniewala.

Opowiedziała wszystko od początku; opuściła zapory powstrzymujące jej uczucia, przywołała widok śmiejącej się w słońcu twarzy Sparksa, usłyszała unoszącą się nad morzem jego muzykę; poczuła przy sobie jego jasną jak ogień postać... przywołała jego odejście i wyrwanie na drogę cząstki jej duszy. Niczego nie opuściła o rzeczach, które widziała i uczyniła...

(“Chcesz powiedzieć, że nie wiesz nawet, że lot na Kharemough zajmuje pięć lat? Naprawdę jesteś głupia!”)

(“Uczę się.”)

...o ludziach, którzy starali się jej pomóc, cenie, którą za to zapłaciła.

– A potem ten mężczyzna w czerni, który zabijał mery. Zobaczyłam medal, jego medal... To był Sparks, w-wreszcie go odnalazłam. – Opuściła wzrok, przycisnęła dłoń do płonących policzków, pamiętała jedynie jego pieszczoty.

– Chcesz powiedzieć, że... on jest Starbuckiem? – szepnęła z lękiem Blodwed. – O cholera. Twój Prawdziwy Kochany zabija mery... A ty – nadal go kochasz?

Moon przytaknęła w milczeniu; usta jej drżały. *Do licha ze wszystkim, kocham!* Odetchnęła głęboko, starając się opanować, z trudem wróciła do rzeczywistości, by przyjrzeć się reakcji Blodwed.

Dziewczyna ukradkiem otarła oczy i podrapała się w głowę, jej krótkie włosy sterczały jak siano.

– Och... to niesprawiedliwe. Teraz umrze i nigdy się o tym nie dowie.

– Co? – Zesztywniała Moon.

– Zmiana – wyjaśnił Gundhalinu. – Ostatnie Święto i koniec Zimy. Koniec Królowej Śniegu... i Starbucka. Razem utoną. To koniec wszystkiego... – Spojrzał na nią z nagłym, milczącym zrozumieniem.

Moon uniosła się z kolan, odepchnęła gwiazdole, zerwała czar, którym oplotła dziewczynę.

– Matko Nas Wszystkich – nie ma czasu! Blodwed, musisz nas wypuścić! Muszę go znaleźć, muszę się dostać do Krwawnika przed Zmianą.

Rozbójniczka wstała ze stwardniałą twarzą.

– Nic nie muszę! Wymyśliłaś to wszystko, bym pozwoliła ci odejść. Nie zrobię tego!

– To nie kłamstwo! Starbuck jest Sparksem i umrze... To niemożliwe, bym tylko po to przebyła taką drogę! – Walczyła z rosnącym w niej przerażeniem, przegrywała. – Jeśli dostanę się do Krwawnika, BZ pomoże mi odszukać Sparksa. Jeśli sam nie dostanie się tam na czas, jego ludzie odlecą na inne planety i zostawią go. Nie mamy nawet dwóch tygodni...

– A więc za dwa tygodnie będzie po wszystkim, a ty nawet o mnie nie pomyślisz, żadne z was. Dlatego zostaniecie tu ze mną, na zawsze. – Blodwed splotła ręce, oczy płonęły jej zdradą.

Moon wstała, czując, jak ściany zaciskają się wokół niej.

– Proszę cię, Blodwed, proszę! Pomóż nam!

– Nie obchodzi mnie, czy to prawda! Nie dbacie o mnie; dlaczego mam dbać o was? – Blodwed złapała za rękaw tuniki Moon, zrywając z ramienia zetlałą tkaninę, i wyszła, zatraskując za sobą drzwi.

– Nie rozumiem tego – mruknął BZ z ironią i rozpaczą. – Czytane przeze mnie opowieści zawsze kończyły się dobrze.

Leżąca bez snu w środku nocy Moon poczuła nagle, jak budzą się leżące obok gwiazdole i czegoś nasłuchują. Nastawiając z nimi ucha, usłyszała kroki zbliżające się od strony cichego obozowiska. Usiadła, mrugając oczyma w blasku grzejnika. BZ także siedział na swej pryczy; zrozumiała, że tak jak ona musiał przez pół nocy leżeć w cichej rozpaczy. Och, Pani, rozmyśliła się...

Drzwi się otworzyły, lecz sylwetka, jaka się w nich ukazała, nie należała do Blodwed. Moon usłyszała, jak Gundhalinu wciąga powietrze. Siedział cicho jak śmierć, cały sparaliżowany.

– Obudź się, mała sybillo. Przyszedłem po kilka twoich sztuczek... nauczę cię też paru moich. – Taryd Roh przeszedł przez pokój, ściągając kurtkę.

Moon zerwała się na nogi, poruszając w zwolnionym tempie. *Nie uwierzył... Matko, proszę cię, Matko, daj mi się obudzić!*

Cofnęła się, gdy koszmar nie mijał, a modlitwy się nie spełniały. Poczuła, jak Gundhalinu łapie ją za ramiona i przyciąga do siebie.

– Zostaw ją, sukinsynie, bo stracisz tę resztkę rozumu, która ci pozostała.

Taryd Roh wybuchnął śmiechem.

– Nie wierzysz w to bardziej niż ja! Trzymaj się z dala, Siny, bo tym razem pokażę ci, co to prawdziwy ból.

Uchwyt BZ na jej ramionach stracił całą siłę. Opuścił ręce i odsunął się. Moon rozwarła usta w krzyku. Gdy Taryd Roh skoczył pomiędzy nich, Gundhalinu stanął przed nią i wymierzył w gardło napastnika dobrze wyćwiczony cios.

Zabrakło mu jednak sił i Taryd Roh zablokował jego ramię, skręcił je i rzucił nim na klatki. Gundhalinu odbił się od ściany, nim jednak odzyskał równowagę, ciężka pięść zbroja uderzyła go w kolana, a buty przycisnęły leżącego na ziemi. Taryd Roh sięgnął po nią ponownie, chwycił w ramiona, przycisnął swe usta do jej. Moon szaleńczo kręciła twarzą, aż znalazła jego wargę. Zatopiła w niej zęby, poczuła smak krwi.

Odrzucił ją z krzykiem bólu. Niemal upadła, chwiejnie starała się uciec poza zasięg jego ramion.

– Jesteś przeklęty, Tarydzie Roh! Masz teraz w sobie szaleństwo sybilli, nie została ci żadna nadzieja! – Głos miała cienki jak skrzek ptaków krążących nad jej głową. Napastnik nie przestał jednak jej ścigać, krew lśniła mu na twarzy, w oczach miał inny obłęd. Moon chwyciła się drutów zamkniętych drzwi krzycząc:

– Błodwed! Błodwed! – Zacisnął w dłoni jej szyję, zdławił, aż straciła głos, wybuchły w ramionach ból sparaliżował ją całkowicie. Taryd Roh odciągnął Moon.

Gwiazdole zaatakował jego nogę, zatopił grube pazury w tkaninie nogawic i w ciele. Kły złapały napastnika za łydkę. Taryd Roh ciągnął ją, kopiąc zaciekle, aż rzucił zwierzę na krążącego wokół towarzysza. Gdy jednak znowu zacisnął dłonie na gardle Moon, nagle zachwiał się i opadł z sił.

– Ty suko! – wymamrotał z przerażeniem. Przycisnął dłonie do głowy, zatoczył się i upadł, legł nieruchomo na podłodze.

Moon stanęła nad nim i powiedziała ochryple:

– Nauczę cię kilku sztuczek, niedowiarku. – Przekroczyła jego nieprzytomne ciało i pobiegła do Gundhalinu, który z trudem wstawał. Spróbowała podeprzeć go drżącymi, ciężkimi rękoma, zobaczyła świeżą ranę na jego czole. – BZ, czy wszystko w porządku?

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Czy ze mną wszystko w porządku? – Długo trzymał w dłoniach jej twarz, nim objął dziewczynę i przycisnął mocno do serca; Moon wtuliła twarz w jego szyję. – Dzięki bogom... dzięki bogom, nic nam nie jest.

– Dobra, co zachciewa się wam robić? – Błodwed wpadła przez drzwi, stanęła na chwilę na widok leżącego na podłodze ciała Taryda Roh. Gwiazdole krążyły wokół niego jak drapieżniki przy zdobyczy, warcząc groźnie. Rozbójniczka spojrzała na Moon i Gundhalinu, stojących razem. Moon dojrzała pytanie rodzące się w jej oczach i odpowiedź, którą otrzymała bez jego zadawania.

– Czy to wy mu zrobiliście? – W jej słowach krył się lęk.

Moon kiwnęła głową.

Błodwed szeroko otwarła usta.

– Umarł?

– Nie, lecz gdy się rano obudzi, będzie – będzie obłąkany. Bardziej niż dotąd. – Moon umilkła nagle.

Błodwed spojrzała na stężałą twarz Taryda Roh. Uniosła wzrok, patrząc z dziwną mieszaniną uczuć, od której powoli zaczął oddzielać się narastający gniew. Sięgnęła pod kurtkę, wyjęła

ogłuszcacz i sprawdziła tarczę. Pochyliła się i przytknęła muszkę do skroni leżącego.

– Nie będzie. – Nacisnęła spust; coś szarpnęło jego ciałem. Moon cofnęła się, wpadła na sztywniejącego Gundhalinu.

Nie czuła jednak ani litości, ani wyrzutów sumienia.

– Dobrze załatwione. – Blodwed odrzuciła broń. – Mówiłam mu, że pożałuje, jeśli spróbuje cię skrzywdzić. – Uniosła głowę i spojrzała na nich z czymś głębszym niż poczucie własności i silniejszym od zdenerwowania. – Do diabła, naprawdę to zrobiliście! Gdy mama dowie się, co tu zaszło, każe was żywcem obedrzeć ze skóry i uzyska wszystko, co zechce. Nie zdołam jej powstrzymać. Wszyscy uważają ją za świętą, ale tak naprawdę jest szalona. – Wytarła nos. – Dobra! Dobra, nie patrzcie tak na mnie! Pomogę wam uciec.

Moon zasłabła, gdy wreszcie zareagowała na wszystko i osunęła się na kolana.

Zachłanny mróz nocy przed świtem kąsał Moon pomimo ochronnej odzieży i zasuniętej na twarz szarobrazowej wełnianej maski. Gwiazdy migotały na czarnej kopule nieba, śnieg lśnił srebrzyście w blasku bliskiego pełni księżyca, świecącego poza otworem jaskini.

– Nigdy nie widziałam równie pięknej nocy.

– Ani ja. Na żadnej z planet. – Gundhalinu poruszył się pod ogrzewanymi kocami, wraz z przywiązаныmi zapasami zajmował przód obładowanego ślizgacza śnieżnego. – I nigdy nie zobaczę, choćbym dożył Nowego Tysiąclecia. – Odetchnął głęboko i zakaszał ciężko, gdy mroźne powietrze wpadło do jego gojących się płuc.

– Zamkniecie się? – Blodwed pojawiła się po raz ostatni. – Chcecie obudzić cały obóz? Masz. – Rzuciła coś na kolana Gundhalinu; Moon rozpoznała trzy małe klatki. – Zabierzcie je do portu gwiazdowego. Są chore. Nie mogę ich tu trzymać. – Głos miała spięty jak zaciśnięta pięść. Gundhalinu umieścił je pod kocami.

Blodwed podeszła do innych zwierząt zgromadzonych w klatkach przy wejściu do jaskini. Złapała pierwszą i otworzyła drzwiczki.

– Wypuszczę też wszystkie dzikie, te potwory nie lubiły nawet ciebie – powiedziała, ponuro patrząc na Moon. Szaro-skrzydłe ptaki wypadły, krążąc w oszołomieniu po ziemi. Wreszcie uniosły się ze śniegu i odleciały, krzykiem witając wolność. Blodwed otworzyła szarpnięciem następne drzwiczki. Białe króliki wyskoczyły razem, drżąc na futrzastych łapkach, i pokicały w świetle księżyca, nie wydając najmniejszego dźwięku.

Rozbójniczka sięgnęła po ostatnią klatkę; elfolisiątko wypadło z niej, piszcząc z oburzenia. Nogą pchnęła je na śnieg.

– Uciekaj, do diabła! – Młode usiadło, becząc ze zmieszania, nastroszyło srebrzystą sierść, wreszcie się namyśliło i z drzeniem skoczyło z powrotem do ciepła i schronienia. Znalazło po drodze nogi Blodwed, wspięło się po futrze i skórze jej buta i zaczęło skomleć.

Dziewczyna zaklęła i pochyliła się, by je podnieść.

– No dobra... – głos się jej załamał. – Zatrzymam resztę! Spojrzała na Moon. – Ale teraz wiem, co im trzeba. Zechcą ze mną zostać.

Moon kiwnęła głową, nie dowierzając swemu głosowi.

– Macie już chyba wszystko. – Blodwed bezwiednie pogładziła główkę zwierzątka. – Nawet odległociomierz. Módl się, Siny, że dobrze go naprawiłeś.

– Co teraz zrobicie? – zapytał Gundhalinu. – Nie mając nikogo, kto by naprawiał takie rzeczy, ani możliwości zdobycia nowych? Zapomnieliście, jak żyją prawdziwi hodowcy i myśliwi, potraficie tylko napadać.

– Nie ja. – Pokręciła głową Blodwed. – Znam i stare zwyczaje. Mama nie będzie żyła wiecznie,

choć może myśli inaczej. Potrafię zadbać o siebie i o innych, gdy tylko zajmę jej miejsce. Nie potrzebuję cię, cudzoziemcze! – Potarła oczy. – Ani ciebie. – Nagle objęła Moon. – Lepiej stąd odjedźcie. Znajdź go, nim będzie za późno!

Moon przycisnęła ją, zapominając o całym źle, które wyrządziła, przebacząc wszystko; poczuła, jak elfolisiątko piszczy między nimi.

– Znajdę.

Razem wypchnęli ślizgacz na śnieg i Moon usiadła za sterami. Włączyła silnik zgodnie z podawanymi mrukliwie przez Gundhalinu wskazówkami.

– Hej, Blodwed! – Pozaziemiec obejrzał się na nią przez ramię. – Masz. – Rzucił jej zniszczoną powieść. – Chyba już nigdy bym jej nie przeczytał. – Nie uśmiechał się.

– Też jej nie przeczytam, jest w twoim języku!

– To nigdy cię nie powstrzymywało.

– Ruszajcie już, do licha! – Pogroziła im książką, lecz Moon dostrzegła jej uśmiech.

Zapaliła światła i rozpoczęli końcowy etap wyprawy na północ.

Arienrhod zasiadała na tronie w sali audiencji, w której za niecałe dwa tygodnie przyjmie ostatnią wizytę Premiera całej Hegemonii. Zastanawiała się leniwie, czy będzie jej żałował. Dziś jednak stała przed nią komendant policji i domyślenie się powodów jej odwiedzin nie wymagało dużej wyobraźni. Dowodem wielkości sukcesu Starbucka było już to, że PalaThion przybyła osobiście.

Jerusha zostawiła swą eskortę wśród plotkujących szlachciców w drugim końcu sali, przypuszczalnie dlatego, by nie musiała ona klękać. Odkąd została komendantem, sama tego nie robiła – było to jej jedyne, drobne zwycięstwo. Arienrhod uśmiechnęła się do siebie, gdy PalaThion zdjęła hełm i złożyła urzędowy ukłon.

– Wasza Wysokość.

– Komendant PalaThion. Wyglądacie okropnie, komendancie – musicie za dużo pracować. Wicie przecież, że odlot waszych ludzi z Tiamat nie jest końcem świata. Powinniście pomyśleć o sobie, bo przedwcześnie się postarzejecie.

Jerusha spojrzała na władczynię ze słabo skrywaną nienawiścią i trudno wykrywalną rozpaczą.

– Wasza Wysokość, są gorsze rzeczy ód starości.

– Nie potrafię ich sobie wyobrazić. – Odchyliła się. – Czemu zawdzięczam waszą wizytę, komendancie?

– Dwóm rzeczom, które uważam za gorsze od starości, Wasza Wysokość – morderstwu i nielegalnej rzezi merów. – Mówiła tak, jakby naprawdę wierzyła, że obie te zbrodnie są sobie równe. – Przybyłam z nakazem aresztowania Starbucka, pod zarzutem morderstwa i zabijania merów na ziemi należącej do pozaziemca nazwiskiem Ngenet. Jak wiecie, zabronił on Łowów na swojej plantacji. – Strzeliła oskarżycielsko oczyma.

Arienrhod uniosła brwi, niezbyt udatnie udając zdziwienie.

– Morderstwo? To musi być pomyłka, nieporozumienie.

– Sama widziałam jedne zwłoki. I ciała merów. – PalaThion zmrużyła oczy na to wspomnienie, ściągnęła usta. – To nie była pomyłka, nie ma mowy o nieporozumieniu. Chcę Starbucka i to teraz... Wasza Wysokość.

– Oczywiście, komendancie. Sama wypytam go o te oskarżenia. – Przez krótki czas po przelotnym pojawieniu się Moon nie dowiedziała się o tym niczego więcej. Teraz jednak... – Sparks! – Poprzez biel sali spojrzała na niego, stojącego pomiędzy szlachtą, która pokazywała się w przygotowywanych na Święto strojach. Z zaradnością bogatych zdołali już sobie zapewnić najpiękniejsze i najwymyślniejsze okazy sztuki maskarek oraz dobrane do nich kostiumy. Stali razem, niby stado wspaniale obrzydliwych bestii, ich totemowe oblicza patrzyły na nią beznamiętnie, niby stwory z fantazji wywołanych narkotykami.

Sparks podszedł szybko na jej wezwanie. Patrzyła, jak idzie, widziała, jak niebieski kaftan bez rękawów i obcisłe spodnie podkreślają gibkość jego ruchów. Twarz miał jednak zupełnie inną; znużona i pogrążona w rozpacz czyniła go równie odmienionym, jakby nałożył świąteczną maskę. Klęknął przed nią z milczącym posłuszeństwem, ignorując całkowicie PalaThion. Nie była pewna, czy jego nieuprzejmość jest wyrachowana, czy wynika z winy, bo wiedziała, że czuje wyrzuty sumienia wobec tej kobiety, choć sam nie rozumie ich przyczyn.

– Słucham, Wasza Wysokość. – Spojrzał na Królową.

Nakazała mu gestem wstać.

– Sparks, gdzie jest Starbuck?

Spojrzał na nią z oszołomieniem, szybko się opanował.

– Hmm, nie wiem, Wasza Wysokość. Opuścił pałac. Nie powiedział mi, kiedy wróci. –

Obdarzył ją sardonicznym uśmiechem i zdumionym spojrzeniem. – Nie rozmawia ze mną.

– Komendant PalaThion przybyła tu, by aresztować go za morderstwo.

– Za morderstwo? – Sparks zwrócił się do Jerushy.

PalaThion patrzyła na niego z trucizną w oczach, równie jadowity był wzrok, który uniosła ku Królowej.

– Bardzo dokładnie to wyliczył.

– Dajcie spokój, komendancie – powiedziała Arienrhod z rozdrażnieniem. – Czy uważacie mnie za telepatkę? Nie wybaczam też morderstwa moim poddanym. – Wyraz twarzy PalaThion mówił wyraźnie, że żadna z tych możliwości by jej nie zdziwiła. – Chcę się o tym więcej dowiedzieć. Powiedzieliście, że widzieliście ciała. Czyje?

– Widziałam jedno ciało – jeśli nie liczyć zabitych merów. – Jerusha zawahała się, jakby czuła coś więcej niż tylko nieprzyjemne wspomnienia. Sparks bawił się agatami na końcu pasa, jak biczem uderzał nimi o udo, krzywiąc się przy każdym ciosie. – Było to ciało dillypa.

– Psa! – Z ulgą zmieszała się w tym słowie pogarda.

– Nie, Wasza Wysokość – powiedziała zimno PalaThion. – Dillypa. Wolnego obywatela Hegemonii, gościa obywatela Ngeneta. Został zadźgany. Według zeznań Ngeneta zaginął inny jego gość, przypuszczalnie także nie żyje. Była to obywatelka tego świata, Letniczka nazwiskiem Moon Dawntreader. Ciała merów zostały poćwiartowane. – Powiedziała to z najwyższym wstrętem.

– Poćwiartowane? – zapytał trochę zbyt głośno Sparks.

Arienrhod poczuła na sobie pałacę spojrzenie PalaThion w chwili, gdy wymawiała imię Moon. Podejrzewa. Była jednak na to przygotowana i nie zmieniła miny grzecznego obrzydzenia.

– To nazwisko gdzieś już słyszałam... Czy to twoja krewna, Sparksie?

– Tak, Wasza Wysokość. – Zacisnął jedną dłoń na drugiej, Arienrhod widziała, jak wbija paznokcie w ciało. – Przypominacie sobie może, była moją kuzynką.

– Masz moje kondolencje – powiedziała to bez śladu ciepła.

PalaThion patrzyła na nią bez rozradowania czy rozczarowania, lecz z dziwną mieszaniną tych uczuć.

– Wróciła tu nielegalnie. Zniknęła pięć lat temu. – Coś zazgrzytało w jej głosie.

– Chyba przypominam sobie ten incydent. – I myślałam, że to już koniec, lecz tak nie jest.

– Co macie na myśli, mówiąc, że mery były poćwiartowane? – zapytał ponownie Sparks. – W jaki sposób?

– Mam na komendzie nagrany film, jeśli bawią was takie widoki, Dawntreader.

– Cholera, nie o to mi szło! Chcę wiedzieć, co się stało z Moon.

– Sparks – Arienrhod pochyliła się w spokojnej przestrodze.

– Komendancie, to przecież jego kuzynka. Nic dziwnego, że interesuje się tym zdarzeniem. – *Niech go diabli... widać aż za bardzo to zainteresowanie.*

– Wasza Wysokość, były... obdarte ze skóry – PalaThion nadal krzywiła się mocno.

– Obdarte? – Spojrzała na Sparksa ze skrywanym zdziwieniem, ujrzała w jego oczach brak zrozumienia. – Starbuck nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Po co miałby je obdzierać ze skóry?

– Lepiej ode mnie znacie jego powody, to wasz człowiek – PalaThion bawiła się pasem z bronią, niebezpiecznie blisko dochodząc do arogancji. – Któż inny miałby możliwość jednoczesnego zabicia tylu merów?

*Nie podoba mi się to. Zbyt mało wiem.* Arienrhod gładziła przezroczyste krągłości poręczy



tronu.

– Cóż, mówiąc szczerze, komendancie, jeśli nawet to zrobił, nie pojmuję waszego zainteresowania. Wkrótce i tak umrze, gdy tylko nadejdzie Zmiana. – Wzruszyła ramionami, godząc się z tym fatalistycznie, i lekko się uśmiechnęła.

– Prawo nie może na to zważać, Wasza Wysokość. – Jerusha spojrzała ostro na Królową. – A ponadto – taka śmierć byłaby dla niego zbyt lekka.

Sparks odwrócił się, zatrzymał i pogładził włosy.

Arienrhod poczuła nagle kipiącą w uszach krew.

– Mów za siebie, pozaziemko! Radziłabym pomyśleć o własnych losach po Zmianie, a nasz pozostawić nam.

– Wasz los, Wasza Wysokość, i mój są z sobą związane, bo Tiamat podlega Hegemonii. – Arienrhod odniosła wrażenie, że słowo podlega zostało lekko podkreślone. Przekonanie Jerushy załamało się jednak już w czasie tego blefu, powróciła do zwątpienia w siebie. PalaThion wiedziała – tak, wiedziała – że Zima coś planuje, ale była przy tym przeświadczona, iż nie może temu zapobiec. – W każdym razie chcę przesłuchać Starbucka i spodziewam się, że w tym pomożecie – powiedziała dobitnie, nie licząc na to.

– Oczywiście zrobię wszystko, co będę mogła, by wyjaśnić to nieprzyjemne zdarzenie. – Arienrhod rozplotła kołnierz z krystalicznych paciorków, pozwoliła im spłynąć swobodnie na srebrną suknię. – Ale Starbuck to człowiek wolny, przychodzi i odchodzi, kiedy chce. Nie wiem, kiedy się z nim spotkam.

Usta PalaThion skrzywiły się powątpiewająco.

– Moi ludzie będą go szukali, ale oczywiście bardzo by mi pomogło, gdybym poznała jego nazwisko.

Arienrhod nakazała Sparksowi podejść do podwyższenia, gładząc jego nagie ramię. Poczowała, jak drży, jakby jej dotknięcie sparzyło go chłodnym ogniem.

– Przykro mi, komendancie. Nikomu nie mogę wyjawić jego nazwiska, byłoby to zdradą zaufania, najgłębszych podstaw jego pozycji. Będę jednak bacznie go obserwować... – Wyciągnęła rękę, by musnąć kędzior jego włosów, owinać go wokół palca. Odpowiedział jej wzrokiem pełnym nagłego lęku. Uśmiechnęła się, niepewnie odwzajemnił się tym samym.

– Sama to wykryję. A wtedy go złapię! – PalaThion pochyliła się z pełnymi pozorami dworskości i wyszła z sali.

Sparks roześmiał się, pozbywając napięcia.

– Prosto na jej oczach!

Arienrhod przyłączyła się do niego, nie czując właściwie radości; wspomniwała czasy, gdy śmiech był czymś prostym, płynął z uciechy, a nie bólu...

– Co za szkoda, iż nigdy się nie dowie, co straciła. – *Muszę się jednak o tym upewnić.* – Starbuck musi na razie nosić maskę Prostego Człowieka.

Sparks kiwnął głową, nagle oprzytomniał.

– Ze mną wszystko dobrze – mruknął.

– Co się stało na plaży? – Pochyliła się nad nim, przytrzymała oczyma.

– Powiedziałem ci wszystko, co wiem, wszystko, co widziałem! Zabiliśmy mery, jak zwykle, ciała zostawiłem, by znalazł je Ngenet. Nic więcej nie zrobiliśmy. – Założył ręce na piersi. – Nie wiem, co stało się później. Na Panią, chciałbym wiedzieć... – Słowa te były żalosną modlitwą utraty i tęsknoty.

Odwróciła od niego wzrok, poczuła, jak twarz jej płonie od niezrozumiałego uczucia.

*Chciałbyś? No to, na wszystkich bogów, mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz!*

– Oczy Pani! – Ślizgacz śnieżny zwolnił i stanął.

Gundhalinu w duchu powtórzył stłumione przekleństwo Moon. Nowy pas gołej, kamienistej ziemi zagroził im drogę, wznoszącą się na stok następnego wzgórza. Nigdy dotąd nie widział i nie spodziewał się zobaczyć terenów wokół portu gwiazdowego nie pokrytych metrowej wysokości zaspami. Jednakże w czasie jego uwięzienia Tiamat wszedł na letni odcinek orbity, nadchodziła pełnia lata, zapoczątkowana Zmianą – kiedy to Bliźnięta zbliżą się najbardziej do Czarnych Wrót. Oddziaływanie grawitacyjne Wrót wzmagало aktywność bliźniaczych słońc; powoli pochłaniało ten zamrożony świat, stopniowo zalewało rejony równikowe ogromnym żarem.

W czasie ostatnich kilku dni wędrówki po czarnych i srebrnych pustkowiach, na których grasowali bandyci, pogoda stale się poprawiała. Pod gryzionymi przez lodowce wulkanicznymi szczytami, pod nieskazitelną czystością nieba dzień po dniu ogromna błyszcząca pustynia rozpościerała swój pierwotny kobierzec. Choć jechali na północ, temperatura podnosiła się stale w stronę punktu topnienia śniegu i mijała go w południe. Radość z tego przeszła w gniew, gdy coraz częściej drogę ślizgaczowi śnieżnemu zagradzały pasma tundry i nagich skał.

Gundhalinu wypełził spod sterty skór i koców, chwycił za przód ślizgacza i schylił się, by unieść płozy i wrażliwe na uszkodzenia podwozie. Moon złapała za tył pojazdu i powlekli się ciągnącym w nieskończoność zboczem. Patrzył na rzucane przez słońce, naśladujące ich wspinaczkę gigantyczne cienie, starał się nie zwracać uwagi na zaciskające się na piersiach obręcze z rozpalonego do czerwoności żelaza i na świadomość, iż swą słabością spycha najcięższą robotę na dziewczynę; iż ta wykonuje ją samotnie i bez najmniejszej skargi.

Wreszcie dotarli na szczyt wzgórza i ujrzeli spadające w dół śnieżne zbocze. Wypuścił długo wstrzymywany oddech, a wraz z nim atak głębokiego kaszlu. Moon podeszła do niego, poprowadziła na miejsce na saniach.

– BZ, jak długo jeszcze? – Skrzywiła się i jak troskliwa niania podciągnęła mu futro pod brodę. Nie miała już ziół, a wiedziała, że jego kaszel znów się pogorszył.

Uśmiechnął się nikle i pokręcił głową.

– Niedługo. Może już jutro się tam znajdziemy. – *Port gwiazdny. Ocalenie. Niebo.* Nie przyznał się, że nie pamięta już, który to dzień ich podróży, piąty czy szósty. Nie dopuszczał do siebie świadomości, iż minęło tyle czasu, ani tego, że mógłby się pomylić w rachubach.

– Chyba powinniśmy rozbić tam obóz – wskazała Moon, Gundhalinu spostrzegł, jak zadrżała, gdy lodowaty wiatr uderzył na grzbiet wzgórza. – Słońca już zachodzą. – Popatrzyła na ciągnące się w nieskończoność, opadające do dalekiego morza wzgórza, spojrziała na ciemniejszy błękit nieba. – Robi się dla ciebie zbyt zimno na jazdę. – Usłyszał nagle, jak głośniejszy od wiatru wciąga dech. – BZ!

Spojrzał w ślad za jej ręką, nie wiedząc, czego ma się spodziewać, ale na pewno nie tego, co zobaczył.

Z granatowocznego nieba spadały gwiazdy. Nie były to jednak mętne szkiełka tego zimowego świata, lecz gwiazdy błyszczące w marzeniach, godne oddania za nie życia, gwiazdy imperium, majestatu, chwały... urzeczywistniło się niemożliwe.

– Co-co to jest? – W głosie Moon usłyszał lęk i przerażenie niezliczonych tubylców siedmiu różnych planet, którzy w ciągu tysiąclecia doświadczyli tego, co ona teraz.

Pięć statków gwiazdnych rosło z każdym uderzeniem serca, z każdą zmianą paralaksy następowało na niebie przesunięcie barw i jasności, tworzyły się złożone wzory na złożonym tle, jakby światło przebijało się przez pryzmaty z płynącej wody. Patrzył na piątkę statków powoli

zmieniających położenie, ustawiających się w krzyż; ujrzał, jak rozszerza się błyskawicowa gra ich ogni, jak łączą się w jedną, potężną gwiazdę, oznakę Hegemonii. Barwy płonęły muzyką, którą niemal słyszał, wypełniały niebo wszystkimi odcieniami, wszelkimi niemożliwymi przekształceniami pełnego zórz firmamentu nad jego ojczystą planetą...

– Premier? Czy to Premier? – Słowa Moon zniekształcała maska chroniąca twarz i jej uniesiona do ust dłoń.

Oddychał ciężko, niezdolny do mówienia.

– To statki! – Sama sobie odpowiedziała. – To tylko statki. Jak mogą być równie prawdziwe, równie piękne?

– To Kharemoughi. – Mógłby powiedzieć "Imperium"; mógłby powiedzieć "bogowie." Nie zdradził, iż to tylko statki w kształcie monety, otoczone holograficznymi obrazami mającymi zadziwić podległe światy. Spojrzał na nią, oślepioną chwałą, i uśmiechnął się.

– Naprawdę? – Miętko dotknęła jego policzka, zwróciła ku niebu, na którym wzór już się rozpadł, płomienie przygasły, a węgle spadły na ziemię... za wzgórze, ledwo dwa grzbiety stąd. – Patrz! – Otrząsnęła się z podziwu. – Tam musi być port gwiazdny! BZ, jesteśmy niemal na miejscu. Dostaniemy się tam wieczorem. – Mgiełki oddechu przesłaniały jej policzki, twarz płonęła podnieceniem. – Zdążymy!

– Tak. – Odetchnął głęboko. – Mamy mnóstwo czasu. Dzięki bogom. – Patrzył, jak ostatni statek osuwa się za śnieżne zbocze. Jutro... – Nie musimy pchać się tam dzisiaj. Jeden dzień niczego nie zmieni. Wystarczy, że dojedziemy jutro.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– To tylko kilka godzin jazdy.

Wzruszył ramionami, ciągle patrząc w dal.

– Może i tak. – Zaczął kasłać, tłumiąc to dłońmi. Przyłożyła rękawiczkę do jego czoła, jakby szukając gorączki.

– Im szybciej obejrzy cię uzdrowiacz-lekarz, tym lepiej.

– Tak, nianiu.

Szturchnęła go. Uśmiechnął się z powracającą ochotą i włączył silnik. Ślizgacz śnieżny przetoczył się gładko ponad grzbietem i opadł w dolinę, odcinając ich od resztek poświaty lądowania statków. Godziny... tylko godziny dzielą go od powrotu do życia, któreomalże utracił na zawsze, jedyne życie godnego człowieka. Bogowie, chce dzisiaj dostać się do portu gwiazdowego!

Dlaczego więc powiedział jej "jutro"? *Wystarczy, że dojedziemy jutro.* Przesunął rękoma pod kocami, odgarnął ciągnące do ciepła jego ciała zwierzątka Blodwed. Zostały już tylko dwa; trzy lub cztery noce temu padł zielony ptak. Rankiem wygrzebali w śniegu mały grób. *Gdyby nie ty, sam tam trafiłbym...* Powiedział jej to głośno, klęcząc na śniegu pod brany na świadka milczącym niebem.

Powtarzał to oczyma każdego nowego ranka, kiedy to budził się jako wolny człowiek i zastawał ją przy sobie w nadmuchiwym namiocie; na tyle blisko, by móc ją dotknąć, choć od tamtej nocy nigdy tego nie uczynił. Patrzył, jak śpi bezbronne, jak sny zmieniają jej twarz... przyglądał się otwartej twarzy i śnieżnym, splątanym włosom, barbarzyńskiej, nienaturalnej bladości cery, bliższej mu teraz od własnej śniadości, nagle zdającej mu się piękną i słuszną. W myślach obejmował ją znowu, rankiem budził pocałunkiem w usta... w tym beczasowym pustkowiu był jak nigdy dotąd, w przeszłości i przyszłości, wolny od sztywnych zasad życia. Kształtował się tu jak embrion, nie wstydział się tęsknoty ku barbarzyńskiej dziewczynie o oczach jak mgła i agat.

Widział ją, jak obudzona z niespokojnego snu jego snutymi w marzeniach pocałunkami spogląda na niego z ospałym uśmiechem. Widział, jak jej oczy wypełniają się świadomością, poznawał

tkwiące w nich niepewne pragnienie. Ale pytały w nim tylko oczy, a w niej tylko one odpowiadały. A teraz nie będzie już więcej poranków...

Zziębnięci i obolali wjechali na ostatni grzbiet, by ujrzeć przed sobą, niby wschodzące o północy słońce, mętne światła portu gwiazdowego. Niska kopuła nad podziemnymi budowlami tworzyła wielką szramę na pochylonej ku morzu równinie. Zaobloną powierzchnię dziwnego miasta zalewało nieziemskie światło. Po lądowaniu statków gwiazdnych nie pozostały najmniejsze ślady; niezniszczalnej skorupy kopuły nie przecinały żadne otwory. Daleko na horyzoncie dojrzał migoczącą, muszlowatą sylwetkę nigdy nie zasypiającego Krwawnika.

Gundhalinu westchnął, rozpraszając trochę bolesne ściskanie w piersiach. Moon siedziała cicho za sterami. Zastanawiał się, czy znieruchomiła na widok pierwszego portu gwiazdowego, jaki zobaczyła w życiu, potem przypomniał sobie, że nie jest on pierwszy. Niespodziewanie wyciągnęła rękę i dotknęła jego ramienia w geście bardziej szukającym wsparcia, niż go ofiarowującym. Uniósł dłoń, by położyć na niej, lecz stwierdził, że jej nie zaciśnie, i opuścił ją.

– Nie martw się – mruknął drętwo, niezdarnie. – Lepiej skrećmy w lewo, podjedziemy do głównego wejścia. W czasie wizyty środki bezpieczeństwa zostaną zaostrome, nie chcę zostać ofiarą przez nadmiar ostrożności.

Usłuchała, ciągle nic nie mówiąc. Gnębiony niemożnością dotknięcia jej, uspokojenia nawet siebie, wpatrywał się w rosnącą przed nimi kopułę.

Byli o sto metrów od głównego wejścia, gdy zalały ich światła, a bezcielesny głos kazał im stanąć. Podeszło ostrożnie czterech mężczyzn w niebieskich mundurach, których wyglądu niemal już zapomniał; wiedział, że dalsi przyglądają się ślizgaczowi z wnętrza. Policjanci mieli opuszczone zasłony na twarze, nie poznał żadnego. Ale świadomość, że jest jednym z nich, nie pocieszała go ani nie uspokajała. Siedział, zeszywniał, z poczuciem winy, jakby był przestępcą, a nie ofiarą.

– Znaleźliście się na zakazanym terenie. – Poznał oznaki sierżanta, lecz nie głos. – Wyoście się, Maminsynki, a jeśli ciągniecie za sobą resztę złodziejskiej bandy, zabierzcie ją ze sobą, nim zabawimy się w strzelanie do celu.

Gundhalinu zeszywniał.

– Kto, u diabła, uczył was regulaminu, sierżancie? Zdumiony podoficer cofnął się z oburzeniem.

– Kto, u diabła, pyta? – Skinął ręką. Dwaj jego ludzie stanęli przy Moon, trzeci wyciągnął Gundhalinu ze ślizgacza. Nogi mu się załamały i usiadł na śniegu.

– Zostawcie go!

– Zabierzcie od niej łapy! – Gniewny protest Gundhalinu nałożył się na głos Moon, gdy ruszyła ku niemu i została zatrzymana przez dwóch policjantów. Ściągnął kaptur i zdarł porysowaną maskę skrywającą jego rysy. Umyślnie przeszedł na kłostan, rodzimy język Newhaven. – Powiem wam, sierżancie, "kto pyta". Zwraca się do was inspektor policji Gundhalinu.

Sierżant odrzucił osłonę hełmu, zaczął się wpatrywać.

– O bogowie...

– Gundhalinu nie żyje! – Trzeci policjant zajrzał mu w twarz. – Na nadejście Tysiąclecia, to on!

Moon wyrwała się, podeszła i pomogła mu wstać. Gundhalinu otrzepał nogawice i wyprostował się wolno z dawną godnością.

– Raporty o mojej śmierci były przedwczesne. – Objął dziewczynę ramieniem, oparł się na niej ciężko.

– Panie inspektorze – zagabnął sierżant. Gundhalinu połączył nazwisko z jego twarzą, TessraBarde. – Myśleliśmy, że bandyci pana dorwali. Pomóżcie mu...

– W porządku. – Gundhalinu pokręcił głową, gdy Moon chwyciła go mocniej w obronnym

geście, odmawiając puszczenia. – Czuję się już lepiej – powiedział, nagle obojętniejąc na zimno i zmęczenie, czując ciepło i wracające z ulgą siły.

– Witamy z powrotem, panie inspektorze! Wrócił pan w ostatniej chwili. – Jeden z mężczyzn chwycił jego dłoń, patrząc ciekawie na Moon; Gundhalinu wyczuł, co sobie wyobraża. – Kim jest wasza przyjaciółka?

– Cieszę się, że wróciłem, nie możecie sobie wyobrazić, jak bardzo. – Spojrzał na odsłoniętą twarz Moon, odczytał na niej przestraszone pytanie i zrozumiał wreszcie, iż część jej milczącej niepewności dotyczyła jego. Uśmiechnął się z obietnicą, poczuł, jak słabnie jej chwyt.

– Moja towarzyszka była więziona razem ze mną. Nie powiem nic więcej o nas obojgu... – Odwlekał chwilę, w której będzie musiał skłamać – ...dopóki nie otrzymamy gorącego posiłku i wygodnych krzesel. – Zakaszła ciężko, podkreślając tym swe słowa.

– Panie inspektorze, wie pan przecież – usłyszał mówiącego z naciskiem TessraBarde – że, no, miejscowym nie wolno wchodzić do środka.

– Na wszystkich bogów, sierzancie! – Czuł, że opuszcza go cierpliwość. – Gdyby Zimacy bandyci nie dostawali się do tego cholernego kompleksu, nie tkwiłbym tu ledwo żywy! A gdyby nie ta kobieta, nie tkwiłbym wcale. – Ruszył do tunelu wejściowego, opierając się ciągle na ramieniu Moon. – Zabierzcie nasze sanie.

Nie było dalszych sprzeciwów.

Jerusha przetarła oczy, szybkim ruchem dłoni ukryła ziewnięcie. Szum pół setki rozmów rozbrzmiewał wokół niej, wznosił się do powały i opadał stamtąd w nużących atakach. Była na nogach od dwudziestu godzin, a poprzedniej nocy spała źle. Nawet jej honorowe miejsce przy głównym stole wśród półbogów Rady Hegemonii okazało się jeszcze jedną próbą cierpliwości. Według statkowego czasu Premiera i Rady był teraz środek dnia, a nie połowa nocy; ten sam czas przybrali wszyscy, którzy przybyli na ich powitanie.

Wymieniła uścisk dłoni z samym Premierem Ashwini. Ubrana w mundur komendanta policji, przytłoczona jaśniejącymi galonami i mosiężnymi oznakami, mogłaby konkurować blaskiem ze słońcem. Tak przynajmniej myślała, nim nie ujrzała jego stroju urzędowego, wysadzanego klejnotami i tak wymyślnie skrojonego, by ukazywać każdą linię jego ciągle młodego ciała... Ile naprawdę ma lat? Czteryście? Pięćset? Nawet Arienrhod musi skrecać się z zazdrości na widok wszystkiego, co sobą reprezentuje. (Cieszyła się skrycie, iż Królowej nie wolno było uczestniczyć w tym przyjęciu). Dożywotni Premier odziedziczył po swym ojcu stanowisko symbolu Hegemonii, jakim był od wieków, odkąd marzenia Kharemough o panowaniu nad innymi planetami zostały zniweczone przez nieskończoną obojętność czasoprzestrzeni galaktyki. Przywitał się z nią z uprzejmą dwornością, za którą wykryła osobiste zdumienie, iż okazała się kobietą. Obok Premiera siedział teraz Główny Sędzia Hovanesse, lecz nie obchodziło jej niemal wcale, co teraz o niej wygaduje.

Obok krzątał się robot służący, zrećnie sprzątając szóstą czy siódmą nie tkniętą potrawę i stawiając przed nią następną. Wypiła łyk herbaty, patrząc na oleiste plamy na jej parującej, rudawo-brunatnej powierzchni. Zaparzała się, póki łyżeczka nie zdradzała gotowości do rozpuszczenia; Jerusha miała nadzieję, że będzie na tyle mocna, by nie zasnęła.

– Pani Komendant, czy przeszkodziliśmy pani w ucziwym, nocnym śnie?

Obejrzała się, zawstydzona, do siedzącego po jej prawej ręce pierwszego sekretarza Temmona Ashwini Sirusa, nieślubnego syna Premiera. Był przystojnym mężczyzną o jaśniejszej skórze i grubszych kościach niż przeciętny Kharemoughi, dopiero wkraczającym w wiek średni. To ją zdziwiło, ponieważ Premier wyglądał na młodszego od niego. Znacznie bardziej zdumiewające było

jednak ujrzenie mieszańca wśród członków Rady, gromadzącej szczyt pychy Kharemoughi. Wiedziała, że w swym ojczystym świecie zdobył sobie wielką sławę jako wódz i polityk i że zmusił Premiera do zerwania z tradycją i "wybrania" go na wolne miejsce w Radzie. Na początku uczy prowadziła z nim błahą rozmowę, podobnie jak z siedzącym po jej lewej ręce, noszącym królewskie szaty Przewodniczącym, którego ciężka woda kolońska pobudzała ją do kichania. Rozmowy wygasły jakoś i była rada, że skierowali gdzieś indziej swą uwagę.

– Nie, oczywiście, że nie, panie sekretarzu Sirius – mruknęła, przypomniawszy sobie wreszcie o dobrych manierach. Przesunęła palcem pod szyjnym od galonów wysokim kołnierzem.

– Ledwo pani tknęła potrawy. I to po całym trudzie, jaki włożył szef kuchni, by nas zadowolić. Ta skórka kanauby jest doskonała. – Płynnie mówił klostanem, jak większość Techów z Kharemough łatwo uczył się języków. *Jak inaczej może wypełnić tyle czasu?*

Uśmiechnęła się mdło. Bogowie, wydostańcie mnie stąd...

– Nie przywykłam w pracy do obiadów z dwunastu dań. – Po tylu latach ojczysty język brzmiał w jej ustach bardziej obco niż tiamatański. – Nie sądzę, bym sprostала temu wyzwaniu. – *Teraz już żadnemu.*

– Proszę spróbować melona, pani komendant. – Kiwnął głową, gdy posłusznie uniosła ząbkowaną łyżkę. – Cieszenie się dobrą kuchnią jest dla mnie jedynym sposobem wytrzymania przytłaczającej nudy spraw państwowych. I picie dobrych trunków...

*A więc to rozwiązało ci język. Zjadła jeszcze odrobinę melona, wbrew swej woli poczuła nagle, iż jej smakuje. A niech tam – spędź choć godzinę w świecie z marzeń; będzie ci musiała starczyć do końca życia. Udawaj, że wszystko potoczyło się tak, jak pragnęłaś, że ostateczny odlot nie zakończy wszystkiego.* Przez okna sali spojrzała na straszliwą, czerwono-złotą jamę lądowiska, na którym po ognistej chwale przybycia, statki Rady spoczywały niby przygasłe żuzle, jak tysiące innych zniszczonych statków kosmicznych. Zasilane kraty pola i pomieszczenia na jego poboczu skrzyły się światłami, przypominały stygnącą powierzchnię potoku lawy. Przez chwilę poczuła dumę i radość na widok najbardziej niewiarygodnych osiągnięć ludzkości, na swą obecność wśród najwybitniejszych jej przedstawicieli, na perspektywę jeszcze wspanialszej przyszłości... na syrenie obietnice, które wywabiły ją z ojczystej planety. *I co z tego ma?* Spojrzała znowu na drzewiaste kształty stołów, na twarze wyglądające jak żywe liście porywane wiatrem, na oblicze Sirusa; pomyślała nagle, boleśnie, *BZ... to ty powinieneś tu siedzieć, a nie ja.*

– Proszę mi powiedzieć, pani komendant, jak to się stało, że...

– Przepraszam, pani komendant. – Sierżant ze straży wcisnął się bezczelnie między nich. – Proszę mi wybaczyć – zwrócił się przepraszająco do pierwszego sekretarza.

– O co chodzi, TessraBarde? – Jerusha nie wyczuła w jego głosie żadnej szczególnej nagłości sprawy.

– Przykro mi, że muszę pani przeszkodzić, ale sądzę, że chętnie się pani dowie – dopiero co powrócił inspektor Gundhalinu.

Łyżka Jerushy zadzwięczała na płatkach talerza w kształcie liścia.

– On zginął.

– Nie, proszę pani, widziałem go na własne oczy. Przywiozła go jakaś tubylcza dziewczyna. Teraz jest w szpitalu na badaniu lekarskim...

– Gdzie on jest? – Jerusha rzuciła pytanie najbliższej pielęgniarki natychmiast po wejściu do pokoju lekarzy, w skrzydle szpitalnym. Nakazała TessraBarde wytłumaczyć się za siebie pierwszemu sekretarzowi, niezbyt jednak dbała, czy podane przez niego powody okażą się wystarczająco jasne.

– Inspektor Gundhalinu...

– Tam, pani komendant. – Zagadnięta wskazała brodą, ręce miała pełne sprzętów.

Jerusha niezwłocznie weszła w następane drzwi, nadal niezbyt wierząc, iż pokój nie okaże się pusty.

– Gundhalinu! – Nie był pusty i włożyła w swój głos więcej uczucia, niż zamierzała.

Odwrócił się do niej ze stołu do badań, zawisł na jego skraju, powstrzymywany do pasa aparaturą, podczas gdy ubrany na niebiesko Tech medyczny przesuwiał mu po piersi diagnozer. Mogła policzyć każde żebro wystające mu z boku. Spojrzała na jego twarz, zauważyła z niedowierzaniem jej wymizerowanie, zarost i braki zębów. Zobaczyła, jak szuka koszuli, gdy stanęła przed nim. Odegnął technika gestem, machnął rękoma i wreszcie zasłonił nimi pierś jak zawstydzony chłopczyk.

– Pani komendant...

Tak, na wszystkich bogów, to ty, BZ... Powstrzymała chęć zapomnienia o godności jego i swojej przez objęcie go jak matka.

– Gundhalinu, co za widok przynosisz obolałym oczom – powiedziała uśmiechając się, aż pomyślała, że dłużej tego nie wytrzyma.

– Bogowie! Wybaczcie mi, komendancie, nie chciałem tak się pani pokazać... to znaczy, bez munduru...

– BZ, dałabym wszystko, byleby to ciało okazało się prawdziwe. Jeśli jest, cała ta uroczystość na górze ma jednak sens.

Uśmiechnął się niezdarnie.

– Równie prawdziwe, co ich przybycie. – Pochylił się, zasłonił usta dłonią i zaczął kasłać.

– Dobrze się czujecie? Medyku, co mu jest? – Jerusha zwróciła się do technika, spostrzegła przy tym po raz pierwszy, że w kącie pokoju siedzi spokojnie czwarta osoba.

Medyk wzruszył ramionami.

– Wyczerpanie. Postępujące zapalenie pł...

– Nic, z czym nie poradziłyby sobie tabletki antybiotyku – przerwał mu nagle Gundhalinu. – I gorący posiłek dla mnie i mojej przyjaciółki. – Z nagłym uśmiechem spojrzał na milczącą czwartą postać, wymierzył swą niechęć w medyka niby broń.

– Zobaczą, co da się zrobić, inspektorze. – Technik wyszedł z pokoju z twarzą całkowicie pozbawioną wyrazu. Jerusha zastanawiała się, co skrywa, zdenerwowanie czy tylko śmiech.

– Gdybym wiedziała, wzięłabym coś ze stołu. Pierwsza połowa urzędowej kolacji wykarmiłaby głodujące masy planety. – Gdy mówiła, opanowała ją ciekawość, przesunęła wzrokiem po zlewach i półkach pełnych nie znanych jej przyrządów medycznych, zatrzymała się na milczącym świadku rozmowy. Jasno-skóra dziewczyna ubrana w białą kurtkę z żółkniejącą blizną na twarzy; tuziemka? Dziewczyna spojrzała na marszczącą brwi Jerushę nie ze strachem i zawstydzeniem, jakich można by się spodziewać, lecz badawczo. Było w niej coś znajomego...

Gundhalinu zauważył wymianę spojrzeń i powiedział trochę zbyt szybko.

– Pani komendant, ta Letniaczka uratowała mi życie, przyprowadziła tu przed ostatecznym odlotem. Moon, podejdź tu i poznaj komendanta PalaThion; jeśli ktokolwiek na tej planecie może ci pomóc w odnalezieniu kuzyna, to tylko ona. – Spojrzał na zwierchniczkę. – Zostałem pojmany przez bandytów, podobnie jak ona. Ale zdołała...

Jerusha nie słuchała płynących słów. Moon... Letniaczka... Moon Dawntreader Letniaczka! Porwane niewiniątko, zamordowany gość Ngeneta, zagubiony klon Królowej... *klon Królowej*. Tak, poznaje teraz tę twarz, wreszcie widzi ją wyraźnie. Przeszedł ją chłodny dreszcz. *Co ona tu robi? Jak może tu siedzieć, jak mogła właśnie ona przyprowadzić go z powrotem? Nie ona...* Dziewczyna



stała obok Gundhalinu; obronnym gestem wziął ją za rękę. *Czy on nie wie, że Moon jest tu nielegalnie; czy jej nie pamiętał?*

– Komendancie PalaThion – uśmiechnęła się Moon, objawiając nagle niepokój.

– Co robicie...

– Komendancie, biorę na siebie odpowiedzialność za przyprowadzenie jej tutaj... – wtrącił się Gundhalinu, gdy sąsiedni pokój wypełniły liczne głosy. Jerusha ujrzała, jak jego twarz się rozjaśnia, a potem wykrzywia w nagłej panice, gdy rozpoznał używany przez nie język. – Święte...! Komendancie... Moon – zaczął zrywać z niej kurtkę – potrzebuję okrycia.

Moon pozwoliła mu się rozebrać, pomogła nawet wyplątać się z rękawów, jakby rozumiała jego zdenerwowanie. Stał obok stołu, zapiął kurtkę z przodu, gdy wszedł pierwszy sekretarz i przewodniczący, ciągnąc za sobą znakomitą świtę pół tuzina gości i innych osobistości. Jerusha zaszalowała im, zobaczyła, jak Gundhalinu czyni to także, wyprężając się z dumy.

– Pani komendant. – Pierwszy sekretarz Sirius odpowiedział im kiwnięciem głowy. – Gdy dowiedzieliśmy się, że zaginiony oficer jest naszym rodakiem, postanowiliśmy tu przyjść i osobiście pogratulować mu szczęśliwego powrotu. – Spojrzał na Gundhalinu i Moon; znowu na Gundhalinu, jakby nie mógł uwierzyć, że Kharemoughi może tak wyglądać.

– Inspektor BZ Gundhalinu, sadhu. – Zaszalował powtórnie, jakby musiał to udowodnić. Jerusha ucieszyła się nagle, że przez ostatni miesiąc spędzała bezsenne noce na bezlitosnej nauce mówionego sandhi. Ciągłe nie pojmowała wszystkich zawiłości określeń wyrażających pozycje. – Technik drugiego szeregu, Sadhanu, bhai, dziękuję wam za przybycie. To najwyższy zaszczyt, największe osiągnięcie mego życia.

– Gundhalinu-eshkrad. – Wyraz twarzy Sirusa wypogodził się pod wpływem komplementu i wiadomości, iż spotkał się przynajmniej z dobrze urodzonym. – Podnosicie prestiż swej klasy i rodu, będąc inspektorem w tak młodym wieku.

– Dziękuję, sadhu. – Zmarszczki Gundhalinu poczerwieniały. Próbował bez skutku powstrzymać atak ciężkiego kaszlu; z grzecznym współczuciem odczekali, aż przeszedł.

– To mój najlepszy oficer. Bardzo mi go brakowało. – Jerusha poczuła zadowolenie, zauważywszy szybkie, zdumione spojrzenie Gundhalinu, którym przyjął pochwałę wypowiedzianą w sandhi. Moon stała cicho między nimi, patrzyła z uśmiechem na inspektora, jakby wiedziała, co zostało o nim powiedziane. Jerusha zauważyła po raz pierwszy noszoną przez dziewczynę tunikę, której barwy podkreślały obcość jej bladej skóry i jasnych, srebrzystych włosów. Był to tradycyjny strój Zimackich koczowników; widziała go raz wystawiony jako rzadkość w oknie antykwariatu w Labiryncie. *Kim jesteś, dziewczyno?*

Usłyszała jedynie przedstawiającego się sekretarza Sirusa, wysuwającego przed siebie dłoń w stosowanym na Kharemough odpowiedniku podania dłoni. Moon zeszywniała, niespodziewanie usłyszawszy jego nazwisko. Gundhalinu wystąpił o krok i podniósł swoją rękę. Nim spotkały się wnętrza ich dłoni, przeskoczyła między nimi jak elektryczna iskra chwila skrępowania. Jerusha zauważyła, iż dłoń BZ nie rozwarła się do końca, palce skrzywione były jak szpony. Dostrzegła różowawe szramy przecinające nadgarstek. *Och, bogowie...*

Sirus dokonywał dalszych prezentacji. Gundhalinu nie drgnęła twarz, gdy wyperfumowany przewodniczący odmówił dotknięcia jego dłoni. Czy boi się, że coś złapie? – zastanowiła się Jerusha. Zrozumiała, co spowodowało rany na przegubie, wiedziała, że Kharemoughi pojmują to także.

– Inspektorze Gundhalinu, musieliście cierpieć straszne trudy, błakając się po pustkowiu po katastrofie patrolowca – słowa Sirusa dawały szansę wytłumaczenia się.

– Nie... błąkałem się po pustkowiu, sekretarzu Sirusie – odparł drewnianym głosem Gundhalinu. – Uwięzili mnie bandyci. Traktowali mnie... źle. – Spuścił wzrok pod naporem ich połączonych spojrzeń, przycisnął nadgarstki do boków. – Gdyby nie ta kobieta, nigdy bym nie powrócił. Uratowała mi życie. – Złapał Moon za łokieć i wysunął ją naprzód. – Oto Moon Dawntreader Letniaczka. – Mówił jej spojrzeniem, jaki zaszczyt mu wyświadczyła. Uśmiechnęła się w odpowiedzi i popatrzyła na Sirusa z nagłym napięciem.

– *Tuziemka?* – zapytał głośno podpity przewodniczący. – Głupia barbarzyńska dziewczyna uratowała inspektora Kharemoughi? Nie bawi to mnie, Gundhalmueshkrad, ani trochę.

– To nie żart. – Gundhalinu uniósł głowę, mówił nagle głosem miękkim i zimnym. – Nie jest głupią dzikuską. To najmądrzejszy, najszlachetniejszy człowiek w tym pokoju. Jest sybillą. – Ostrożnie odciągnął kołnierz jej tuniki; dumnie uniosła brodę, odsłaniając na wpół zagojoną ranę od noża i wytatuowaną koniczynkę. Jerusha skrzywiła się. Na Sternika, zrobiłeś to!

Twarze zaskoczonych obecnych przybrały instynktownie ten sam wyraz, jedynie przewodniczący wychylił zbyt wiele czarek, by okazać szacunek, a nawet dobre maniery.

– Co to ma znaczyć na tym świecie? Nałóżcie jej suknię i nazywajcie eshkrad, ale nie stanie się przez to Techniczką. Sybilla na tej planecie... – Zamilkł, gdy z tyłu ktoś do niego podszedł i zaczął szeptać do ucha ostre, niezrozumiałe słowa.

Jerusha obserwowała jednak pilnie dziewczynę i zauważyła, że rumienia się jej policzki, jakby rozumiała każde słowo. Odsunęła się od Gundhalinu, przytknęła do boków sztywne ręce i powiedziała w nienaturalnym sandhi:

– Jestem jedynie naczyniem przechowującym wiedzę. Nie ma znaczenia, jak marnym. Mądra jestem mądrością tych, którzy z niego piją. Głupcy czynią sybillę głupią, kimkolwiek by nie byli.

Jerusha wzdrygnęła się i pokręciła głową.

Twarze Kharemoughi wykrzywiło zdumienie.

– Nie zamierzaliśmy was obrażać – powiedział szybko Sirus, ratując sytuację. – Ponieważ jesteście dla swego ludu świętą kobietą, sybillo, zasługujecie i na nasz szacunek. – Uśmiechnął się lekko, poniżając siebie. – Komendancie, gdzie nauczyła się sandhi?

– Ja ją nauczyłem – wtrącił się Gundhalinu, nim Jerusha zdołała otworzyć usta, by dać oczywistą odpowiedź. Inspektor objął ramiona Moon, przyciągnął ją blisko do siebie. – Z całym szacunkiem należnym czcigodnemu przewodniczącemu chciałbym stwierdzić, że jeślibym uczynił ją Gundhalinu-eshkrad, gdyby została mą żoną, zwiększyłaby honor całej mej klasy.

Zaskoczenie było teraz bardzo bliskie zgrozie. Jerusha patrzyła na obecnych.

– ...przerażające – usłyszała słabo dobiegający gdzieś z tyłu głos kobiety.

– Gundhalinu-eshkrad – Sirus poruszył się niespokojnie – przeżyliście wielkie trudy, rozumiemy to...

BZ zachwiał się pod wrogością ich spojrzeń. Zgarbił się, lecz nadal trzymał rękę na ramionach Moon.

– Tak, sadhu – mruknął przeproszająco. – Nie mogę jednak słuchać, jak ją obrażają. Uratowała mi życie.

– Oczywiście – Sirus uśmiechnął się ponownie. – Nie zamierzacie jednak poślubić... – patrzył na boki.

– Kocha kogoś innego – odparł Gundhalinu niemal ze smutkiem. Moon przekręciła się pod jego ręką, by spojrzeć mu w twarz.

– Poślubilibyście ją więc? – zapytał obraźliwie przewodniczący. – Nie zostało wam ani odrobiny dumy? Aż tak zwyrodnialiście? Jak można bez hańby mówić takie rzeczy! Już raz

okazaliście się niedoszłym samobójcą! – Słowo to oznaczało również tchórza.

Inspektor wciągnął z sykiem powietrze.

– Próbowałem postąpić honorowo. Nie moja wina, że mi się nie udało! – Wyciągnął dłonie.

– Gdy prawdziwie wyższemu człowiekowi coś się nie udaje, jest to zawsze jego wina – powiedział inny dostojnik, którego Jerusha nie znała. – Niedoszły samobójca nie zasługuje na życie.

Strzaskana tarcza szacunku dla siebie Gundhalinu rozpadła się całkowicie; cofnął się chwiejnie kilka kroków, oparł o stół i chwycił go kurczowo, jakby te słowa były śmiertelnym ciosem.

– Wybaczcie mi, sadhanu, bhair – pohańbienie mej klasy i rodu. – Nawet na nich nie patrzył. – Nigdy nie zasługiwałem na zaszczyt waszego szacunku ani nawet waszej wizyty. Zasługuję jednak w pełni na waszą pogardę i obrzydzenie. Nie jestem lepszy niż niewolnik, niż pełzające zwierzę. – Ramiona mu drżały, Jerusha podeszła szybko, by go podeprzeć, nim upadnie.

– Co robicie z ludźmi! – Rzuciła niebacznie przez ramię. – Czego od niego chcecie? Czy ma znowu poderżnąć sobie żyły, chcecie patrzeć, jak jego "honor" spływa do zlewu? – Machnęła ręką. – Jeden spośród was, dzielny, uczciwy oficer, przeszedł przez piekło i okazał tyle hartu, by przeżyć, a wy za to wszystko nazywacie go "upadłym trupem"!

– Nie jest pani jedną z nas, komendancie – odparł spokojnie Sirius. – Gundhalinu... to rozumie. Pani nigdy nie zdoła.

– Dziękuję za to bogom. – Jerusha pomogła BZ położyć się na stole, nie zwracała uwagi na dostojników wychodzących z pokoju. Usłyszała, jak przewodniczący umyślnie podnosi głos, określając Gundhalinu słowem używanym wyłącznie wobec najniższych Bezklasowych. Usta Gundhalinu drżały, konwulsyjnie przełykał ślinę.

– Obywatelu Sirusie! – powiedziała nagle Moon.

Jerusha wykorzystała jej odezwanie się jako pretekst do odwrócenia głowy, dając Gundhalinu czas na wzięcie się w garść. Zobaczyła Sirusa wahającego się w drzwiach i dziewczynę starającą się ująć w karby wściekły gniew, z jakim na niego patrzyła. Udało się jej; złość Moon została wyparta przez pilniejsze uczucie.

– Muszę – muszę z panem pomówić.

Sirus uniósł brwi i spojrzał na Gundhalinu.

– Uważam, że padło tu aż za wiele słów.

Z upartym zdecydowaniem pokręciła głową, rozrzucając proste, białe włosy.

– O... o kimś innym.

– Prosi pani jako sybilla?

Kolejne zaprzeczenie.

– Proszę jako pańska krewna. – Przestał przesuwając się w stronę drzwi. Ostatni z wychodzących Kharemoughi obejrzał się, zachichotał obraźliwie, przemierzając korytarz. Jerusha patrzyła pilnie, wyczuła, że Gundhalinu prostuje się za nią. – O pańskim synu. Z poprzedniego Święta.

Oczy Sirusa zajrzały na chwilę w przeszłość. Kiwnął raz głową i obejrzwawszy się wskazał Moon drogę do innego pokoju. Poszła za nim, spoglądając za siebie.

Oczy Gundhalinu śledziły ją, jakby stracenie jej widoku było dlań czymś niemożliwym do zniesienia, patrzył z twarzą pozbawioną nadziei.

– BZ... inspektorze Gundhalinu. – Oстрым głosem Jerusha zwróciła na siebie uwagę.

– Pani – posłusznie zwrócił głowę, lecz nie myśli.

Jerusha zawahała się, nagle niepewna, co ma robić.

– BZ... naprawdę kochacie tę dziewczynę?

Widać było, jak pracuje mu gardło.

– A jeśli tak, pani komendant? – zapytał zbyt obojętnie. – Może to i skandal, ale nie zbrodnia.

– BZ, czy wiecie, kim ona jest?

Podniósł oczy, odczytała w nich poczucie winy. Nic nie odpowiedział.

– To ona uciekła pięć lat temu z przemytnikami techniki – ciągnęła dalej, mówiąc o wszystkim, co wiedziała, mając nadzieję, że to wystarczy. – Wróciła tu nielegalnie. Będzie musiała zostać deportowana.

– Pani komendant, nie mogę... – Jego zdrowa ręka zacisnęła się na wyściełanym blacie stołu.

– Jeśli naprawdę ją kochacie, BZ, to nie ma sprawy – uśmiechnęła się zachęcająco. – Poślubcie ją. Wywieźcie stąd jako swoją żonę.

– Nie mogę. – Z tacki na końcu stołu wziął ostrą jak cierń sondę, wypróbował ją na swej dłoni.

Powiedziała pośpiesznie:

– Nie zamierzacie chyba pozwolić tym hipokrytycznym snobom...

– To nie dlatego – zeszywniał. – Niech pani nie mówi tak o przywódcach Hegemonii. Mieli wszelkie podstawy, by mnie skrytykować.

Jerusha otworzyła usta, zamknęła powtórnie.

– Moon nie wyszłaby za mnie. – Odłożył sondę. – Jest... hmm, zaprzysiężona – zawahał się, jakby ciągle uważał za niewłaściwą tę nieurzędową formę małżeństwa. – Swemu kuzynowi... synowi pierwszego sekretarza Sirusa. – Ponownie spojrzął niedowierzająco na drzwi. – Kocha go. Cały czas stara się dostać do Krwawnika, by go zobaczyć. – Mówił o faktach matowym głosem, jakby czytał sprawozdanie. – Nazywa się Sparks Dawntreader.

– Sparks?

– Znacie go?

– Tak. Podobnie jak wy. Po waszej ostatniej wizycie w pałacu ocaliliśmy go przed porwaniem przez handlarzy niewolników. Potem wzięła go Arienrhod; jest nadal jednym z jej faworytów na dworze. To go zepsuło.

Gundhalinu zmarszczył brwi.

– A więc to możliwe...

– Co takiego?

– Moon uważa, że został Starbuckiem.

– Starbuckiem! – Jerusha klepnęła się w czoło. – Tak... tak, to by pasowało. Dziękuję wam, bogowie! Dziękuję tobie. – Zwróciła się do inspektora z ponurą miną. – Próbowałam się dowiedzieć, kim jest Starbuck, by móc go wsadzić za morderstwo i nielegalne zabicie merów.

– Morderstwo? – zapytał zaskoczony Gundhalinu.

Przytaknęła.

– Zamordował dillypa albo pozwolił na to Psom. Myślałam też, że zabił i Moon... ale to i tak wystarczy. Tym razem tak ubodę Arienrhod, że jęknie z bólu! – *Dawntreader, zepsuleś się więc bardziej, niż myślałam.* Ujrzała w myślach posiniaczonego chłopca ze strzaskaną puszczką, potem zabójcę w czerni na tle zaścielonego ciałami brzegu. *Nawet w najstraszniejszych koszmarach nie wyobrażałam sobie, że upadniesz tak wysoko.*

– Obiecałam Moon, że go znajdziemy... pomożemy mu, jeśli będzie można. Jeśli nie uda się nam, Zmiana i tak go zmieni.

– Nie bądźcie tego taki pewny. A więc Moon nadal pragnie go odzyskać, chociaż musiała go widzieć na plaży? – Jerusha uświadomiła sobie nagle z niezadowoleniem, że Sparks należał do Arienrhod i do Moon... ciągle należy. *Do klonu Arienrhod.*

– Skąd pani o tym wie? – zapytał Gundhalinu.

– Nieważne. – Wyciągnęła rękę do stożkowego metalowego przyrządu, przymocowanego do czujników.

– Mówi, że ciągle go kocha. Po tylu latach nie przestaje się tak zwyczajnie... Chce się tylko dowiedzieć, czy czuje to samo wobec niej. – W jego głosie mignęła ostatnia nadzieja.

*Czy naprawdę tylko tego chce?*

– BZ, nie mogę pozwolić, by dostała się do miasta. – Jerusha pokręciła głową, dotykając mosiężnych oznak na kołnierzu. – Przykro mi, ale nie mogę tak ryzykować.

– Nie rozumiem. Nie zamierza nikogo zakazić. Zostanę z nią, póki go nie odnajdzie.

– A co potem?

Uniósł ręce i zaraz opuścił.

– Nie wiem... Pani komendant, Zmiana jest bardzo blisko, a po niej nie będzie ważne, czy była na innej planecie, czy nie. Letniacy odrzucają samą taką myśl. Była na Kharemough tylko przez dwa tygodnie. Jakie szkody może wyrządzić?

– Pytacie mnie, jakie szkody może tu przynieść sybilla znająca przyczyny swego istnienia? – mówiła niemal gniewnie. – Jeśli uda się nam aresztować Starbucka, będzie mogła dzielić z nim celę. Uwierzcie mi jednak, że dla wszystkich zainteresowanych lepiej będzie, jeśli nigdy go nie zobaczy, a on nigdy nie ujrzy jej.

– Nie mogę uwierzyć, że słyszę to od pani. – Słowa te były brzemiennie ponurym oskarżeniem.

– A ja nie mogę uwierzyć, Gundhalinu, że nie widzicie zagrożenia! Co, u diabła, się z wami stało? – *Nie naciskaj mnie, BZ. Bądź dobrym Sinym i zgódź się na to; nie zmuszaj mnie, bym teraz cię zraniła.*

– Troszczę się o nią. Wydaje mi się, że to powinno coś znaczyć. – Zaczął kasłać, przyciskając rękę do piersi.

– Więcej niż wasze obowiązki wobec prawa?

– To tylko niewinna letniacka dziewczyna! Czemu, u licha, nie możemy zostawić jej w spokoju?

– Mówił jak człowiek dręczony; Jerusha zrozumiała, że był dla siebie najbardziej bezlitosnym katem.

– Moon nie jest jakąś tam letniacka dziewczyną – powiedziała z wielkimi oporami. – Czy nigdy nie zauważyliście, jak bardzo przypomina Arienrhod?

Jego mina wskazywała, że postradała rozum.

– Mówię poważnie, Gundhalinu! Mam wszelkie podstawy, by sądzić, iż Królowa jakoś siebie sklonowała. A jedynym powodem, dla którego mogłaby to uczynić, jest jej sprzeciw wobec końca Zimy. – Powiedziała mu wszystko, każdy szczegół pośredniego dowodu. – Rozumiecie więc – Moon jest sybilla. Nie mogę dopuścić, by Arienrhod dostała w swe ręce – dostała siebie, uczyniła z tego groźną broń przeciwko nam. Robi wszystko, co tylko może, by zachować władzę. – *I dalej psuć, wszystko, czego się tylko tknie.* – Ja jednak zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, by się upewnić, że to się jej nie uda. Obejmuje to zapobieganie dostaniu się Moon w jej łapy.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Gundhalinu pokręcił głową i zrozumiała, że naprawdę nie może. – Moon... nie spotkałem nikogo takiego jak ona. W niczym nie przypomina Arienrhod! Troszczy się o wszystkich, o wszystko... to każdy wyczuwa. Jeśli w mężczyźnie czy kobiecie jest choć iskierka dobroci, ona wznieca z niej płomień. Wszyscy ją kochają... nic nie można na to poradzić. – Na kącki jego ust wypełził bezmyślny uśmiech.

– Na miłość bogów – skrzywiła się Jerusha – nikt nie jest taki wspaniały.

– Ona jest. Niech pani porozmawia z nią.

– Lepiej nawet na nią nie spojrzę, jeśli rzeczywiście jest taka. Nic dziwnego, że mówią "miłość jest ślepa" – dodała łagodniej. Poczowała, że wysyła przepaszający uśmiech, gdy zdrowa niechęć

zaciśnęła mu usta. – Po prostu patrzycie na to z niewłaściwej strony, BZ. Potrzebujecie dobrego posiłku i wiele snu, a także czasu, by uwierzyć, że wrócicie do świata, do którego należycie.

– Nie traktujcie mnie protekcyjnie! – Walnął w tacę z przyrządami, aż podskoczyły i zabłyszczały. Jerusha zamrugła. – Wiem, gdzie jestem, i nie należę tu więcej! Nie nadaję się na inspektora policji, nie pasuję do świata ludzi. Chcę tylko dotrzymać jedynej obietnicy, którą mogę spełnić, jedynej osobie, której nie obchodzi, skąd pochodzę. A wy próbujecie mi wmówić, że ona jest potworem; że muszę przeszkodzić jej w otrzymaniu jedynej rzeczy, której pragnie, i to wtedy, gdy niemal po nią sięga!

– Mówię wam, że jako oficer policji macie obowiązek bronić Hegemonii. To najważniejsze. Nie możecie tak naginać prawa, by odpowiadało to waszym gustom. Tak się nie robi. – *Sama powinnam o tym wiedzieć.*

– W takim razie składam dymisję.

– Nie przyjmuję jej. Nie jesteście w stanie jej przedłożyć, ponadto stanowicie dla mnie zbyt wielką wartość. Do odlotu ostatniego statku będę potrzebowała każdego człowieka. – Mówiąc to, wiedziała, że stawka jest nieskończenie wyższa – obejmuje jego karierę, godność, może nawet życie. – BZ, wysłuchajcie mnie, proszę. Wiecie, że nie powiedziałabym wam tego wszystkiego, gdybym w to nie wierzyła. Arienrhod jest zagrożeniem! – *A także potworem i zarazą.* – Zagraża Hegemonii, a przez nią także i Moon. – Kimkolwiek by nie była. – Natomiast Starbuck jest niebezpiecznym mordercą, który zabił w sobie poprzedniego Sparksa Dawntreadera, tak samo jak wyciął tysiące merów. Pomyśl o tym, Gundhalinu, pomyśl! Jesteście ciągle dobrym oficerem, nie możecie zaprzeczyć, iż zaniedbujecie swe obowiązki. Nie pomagacie też Moon, przywracając ją im. – W oczy Gundhalinu zaczął wsączać się rozsądek i mroczne zdecydowanie. *Zostań ze mną, BZ.*

W drzwiach ponownie zjawiała się Moon, oglądała się przez ramię z twarzą wykrzywioną zmartwieniem i rozczarowaniem. Z tyłu z drugiego pokoju wychodził Sirius. *Cholera, nie teraz, gdy niemal już wygrałam!* Jerusha spojrzała na Gundhalinu, z nagłą ulgą stwierdziła, że nie zmienił miny.

– BZ – szepnęła – to nie musicie być wy. Każę ją zaaresztować komuś innemu. Zostaniecie tu, póki was nie wyleczą. Potrzebujecie odpoczynku i...

– Zrobię to. – Powiedział to tak, jakby nie istniała. Zsunął się ze stołu, stanął niepewnie i przybrał urzędową minę. – Już mnie wyleczyli, pani komendant. Czuję się dobrze – rzucił z roztargnieniem. – Muszę to zrobić, muszę zrobić to teraz, nim zmienię zdanie. – Na tle ciemnej skóry jego zmarszczki zajaśniały niby gwiazdy bladą bielą.

Moon spojrzała na niego, stanęła w drugim końcu pokoju.

– BZ?

Gundhalinu powiedział spokojnie:

– Moon, jesteś aresztowana.

Moon skuliła się na samym skraju siedzenia, przyciskając do krzywej szyby, gdy tylko wagon kolejki wyjechał bez szmeru ze stacji portu gwiazdnego. Poza nią było w niej zaledwie kilku pasażerów, głównie techników po służbie, pragnących włączyć się w tłumy czczące Święto na ulicy. Krwawnik – dotarła do kresu trwającej tak długo, kosztującej tak wiele podróży. Obejrzała się za siebie, gdy wpadli w mrok poprzecinany błyskającymi złotem pierścieniami, mrugała za każdym razem, gdy pociąg wbijał się w nie jak milcząca igła... mrugała tak długo, aż znowu patrzyła wyraźnie.

Skręcała dłonie w bezsilnym gniewie, czując wpijające się w przeguby zimne, nierozzerwalne okowy. Obok siedział Gundhalinu, oddzielony od niej nieprzekraczalną barierą zdrady i Obowiązku. Co ta kobieta mu powiedziała? A może od początku zamierzał to uczynić? Spojrzała na niego, szybko odwróciła wzrok, gdy stwierdziła, że ciągle się jej przygląda. W oczach miał teraz niedolę, miękka i uległa, a nie twardą stal inspektora Gundhalinu, w którą mogłaby walić z uzasadnionym gniewem. Nie mogła patrzeć na jego nieszczęście, bała się w nim zatracić; utonąć we wszystkich wspomnieniach niemal zbyt ludzkich oczu, utkwionych w jej twarzy w świetle poranka, potrzebujących jej, pragnących jej, proszących, lecz nigdy nie żądających... we wspomnieniach, jak prawie im odpowiedziała... prawie...

*Bądź przeklęty, kłamco, draniu! Wierzę ci; wierzę w ciebie...* Poczwała nagłe łzy. Waliła głową w okno w rytmicznym zdenerwowaniu. Zabiera ją do więzienia, za kilka dni jego ludzie ponownie wywiozą ją z tej planety, na zawsze teraz, skazą na dożywotnie wygnanie na jakiejś innej planecie. Skłamał nawet PalaThion, twierdząc, iż lekarze na tyle go podleczyli, że może natychmiast wracać do pracy. Usłyszała też, jak zgłasza się dobrowolnie – dobrowolnie – do sprowadzenia Sparksa; do odbycia pokuty poprzez oskarżenie jej kochanego o morderstwo i wysłanie na resztę życia na jakąś piekielną kolonię karną... jeśli znajdzie go na czas. A jeśli nie...

Opowiedziała o wszystkim pierwszemu sekretarzowi Sirusowi, starając się go nie nienawidzić, dojrzała w jego oczach słabiutkie echo dawnych czasów spędzonych w tym samym miejscu, gdy usłyszał o medalu z jego nazwiskiem, o swoim synu...

– Zawsze go nosi; zawsze chciał być taki jak pan, poznać tajemnice wszechświata.

Roześmiał się z nagłej radości, chciał wiedzieć, gdzie teraz jest jego syn, czy mogą się spotkać. Powiedziała mu niechętnie, że tak i że zobaczy go na dworze Królowej Śniegu. Podobnie jak i Sparks, Sirus urodził się po uroczystościach czczących przybycie Rady na Samathe; podczas następnych odwiedzin Premier w nagłym kaprysie zabrał z sobą swego dobiegającego średniego wieku syna. Moon dojrzała szansę, jakie mogą się wiązać z pamięcią Sirusa o własnym synu, targana nadzieją i strachem dopowiedziała mu całą resztę:

– ...na zakończenie Święta Starbuck wraz z Królową zostanie złożony w ofierze, chyba że ktoś go uratuje. – Zaczekała, aż zrozumie w pełni niebezpieczeństwo, by potem wyteńczyć całą swą wolę. – Pan może go ocalić! Jest wnukiem Premiera, pańskim synem, nikt nie ośmielił się go zabić, jeśli rozkażecie zachować go przy życiu!

Ale Sirus cofnął się z pustym uśmiechem żalu.

– Przykro mi, Moon... krewniaczko. Naprawdę przykro. Nie mogę ci pomóc. Choć bardzo chciałbym... – Wykręcił palce. – Nic nie mogę zrobić. Moon, jesteśmy marionetkami! Kukłami, symbolami, zabawkami – nie rządymy Hegemonią, jedynie ją ozdabiamy. Musiałabyś zmienić samą Zmianę, a ten obrzęd jest dla nas zbyt ważny, by można go przetwarzać z mego widzimisie. – Spuścił wzrok.

– Ale...

– Przykro mi. – Westchnął i rozłożył bezradnie ręce. – Jeśli mogę jakoś ci pomóc w ramach swych możliwości, uczynię to. Wystarczy, że się do mnie zwrócisz. Nie jestem jednak cudotwórcą... nie wiedziałbym nawet, jak spróbować. Wolałbym, gdybyś mi nigdy o tym nie powiedziała. – Odwrócił się i odszedł, zostawiając ją samą.

Samą... Nigdy w życiu nie czuła się tak samotnie. Wagon kolejki zwolnił, wyjechał z tunelu na światło i stanął z westchnieniem. Patrząc w górę, ujrzała olbrzymią, wykonaną przez ludzi jaskinię, słabo oświetlony peron. Jego ściany pomalowane były w jaskrawe pasy, tworząc nieudolną, daremną próbę dekoracji. Na peronie nie było nikogo oprócz trzech dobrze uzbrojonych strażników; dostęp do portu gwiazdowego był dzisiaj ograniczony bardziej niż zwykle. Dojechali do Krwawnika, lecz ani trochę nie odczuła jego prawdziwego oblicza.

Technicy wysiedli ze śmiechem, zaczepiając się łokciami; paru obejrzało się na chwilę, nim ruszyli peronem. Gundhalinu wstał, kaszląc boleśnie i ciągle nic nie mówiąc, nakazał jej gestem opuścić miejsce. Z opuszczoną głową poszła w ślad za technikami, zatopiła się w milczeniu pytań bez odpowiedzi. Na drugim końcu peronu znajdowały się różnej wielkości windy. Technicy zniknęli już w jednej z nich. Gundhalinu nadal miał na sobie poplamiony krwią płaszcz, a także pożyczony hełm. Strażnicy uważniej sprawdzali jego dokumenty niż więźnia.

Wsiedli w windę, która jechała i jechała, aż zaczął protestować pusty żołądek Moon. Po drodze nie stawali. Kabina wznosiła się szybem umieszczonym w wydrążonym wnętrzu jednego z podtrzymujących Krwawnik słupów, prowadziła do środka niższego miasta, przez które przepływały towary z całej Hegemonii... ale teraz już po raz ostatni.

Drzwi otworzyły się, wypuszczając ich na poziom miasta. Od razu zalało ich radosne szaleństwo zgiełku, barw i krzyków świętowania. W takt dudniącej muzyki niewidocznej orkiestry tańczyli mężczyźni i kobiety. Puste, zaśmiecone nabrzeża ładunkowe miejscowi i pozaziemcy wypełniali wspólnie ruchem i wszelką możliwą mieszanką strojów i zachowań. Moon cofnęła się, poczuła, że w tyle Gundhalinu robi to samo, gdy tylko wrzawa szarpnęła ich zmysłami żyjącymi jeszcze kruchą ciszą śniegu.

Gundhalinu zaklął w sandhi, bronił się, przerywając własne milczenie. Chwycił dziewczynę za ramię i wyciągnął z windy, nim zamknęły się drzwi. Poprowadził ją skrajem szalejącej cizby, wiódł nie kończącą się drogą cierniową ku magazynom, stojącym na początku zatłoczonej Ulicy. Wreszcie zatrzymał Moon, znalazł spokojne miejsce w kąciku między dwoma budynkami. Zdecydowanie przycisnął ją do ściany.

– Moon...

Odwróciła twarz, zamiast na niego, wołała patrzeć na boki. *Nie mów tylko, że jest ci przykro – nie mów!*

– Przykro mi. Musiałem to zrobić. – Wziął jej ręce i przycisnął kciuk do wgłębienia zamka w pręcie łączącym kajdanki. Gdy się otworzyły, zdjął je i wyrzucił.

Ze zdumieniem spojrzała na swe dłonie, następnie na jego twarz.

– Ponieważ komendant cię rozpoznała, tylko w ten sposób mogliśmy się dostać do miasta i minąć strażę. – Pokręcił głową i wytarł wierzchem dłoni spoconą twarz.

– Święta Matko! – Wciągnęła głęboko powietrze i zacisnęła pięści. – Kłamałeś bardzo dobrze.

Skrzywił usta.

– Zwłaszcza jak na dobrego Sinego Gundhalinu. – Zdjął swój pożyczony hełm i poklepał go niemal z szacunkiem. – Nikt nie rozumie, że już na mnie nie pasuje. – Głos miał ochryply, wyczuwała w nim poczucie winy. Pochylił się i postawił hełm na chodniku.



– BZ, nikt nie musi wiedzieć. – Dotknęła jego ręki. – Czy nie możesz powiedzieć, że uciekłam ci w tłumie?

Wyprostował się z zaciśniętymi kurczowo ustami i płonącymi oczyma; spostrzegła, iż nie było to katalizatorem jego przemiany, lecz jej chemicznym strąceniem.

– Komendant powiedziała mi, co wie o twoim kuzynie. Nie dostaniemy się do niego w pałacu, ale podobno niekiedy odwiedza kobietę nazwiskiem Ravenglass z Alei Cytrynowej. Możemy równie dobrze zacząć stamtąd. – Odsunął się od niej i od siebie, cofnął na bezpieczny grunt. – Możemy chyba iść jak teraz; w takim tłumie nikt nie zwróci na nas uwagi. – Skrzywił się, nagle patrząc na nią. – Spleć włosy. Zbyt przypominają... są zbyt widoczne.

Posłuchała go, nic nie rozumiejąc.

– Trzymaj się mnie, za nic nie daj się rozdzielić w tłumie. Musimy przebyć połowę miasta, iść w górę. – Wyciągnął zdrowe ramię, kurczowo uchwyciła się go.

Szli tak Ulicą, atakowani niesłychanym natężeniem dobrego humoru Krwawnika. Zimacy bawili się z rodzajem nie skrępowanej niczym rozpaczy, było to ostatnie Święto w ich życiu; Letniacy czcili nadejście Zmiany, która przywróci im prawa do tego świata. Widok butów i sztormiaków ze skór klee oraz ogorzałych od wiatrów twarzy przybyłych tu z pielgrzymką niezliczonych wyspiarzy radował oczy Moon i ścisnął tęsknotą jej gardło. Uprzytomniła sobie, że szuka znajomego oblicza, ciągle się rozczarowując, póki nie spostrzegła rudej głowy odchodzącego w sztormiaku chłopaka. Próbowała uwolnić się z uchwytu Gundhalinu, lecz jej nie puścił. Kręcąc głową, prowadził ją w górę Ulicy, aż wreszcie zrozumiała, że w tym morzu twarzy jest przynajmniej pół setki rudowłosych Letniaków.

Kramarze zachwalali swe towary, ludzie tańczyli w korowodach, aktorzy i muzykanci włączili na skrzynki i schody, by zdobyć ulotny podziw przechodzących rzesz. Był środek nocy, lecz nikt nie odróżniłby jej od pełni dnia – a już najmniej Moon. Przybył Premier i od tej chwili aż do nocy masek hulanki mogą się jedynie stawać coraz dziksze.

Pozaziemscy sklepikarze sprzedawali za bezcen lub rozdawali resztki swych towarów, wystawiali przed drzwi stopy ubrań, jedzenia i wszelkich nieznanych przedmiotów z napisami ZABIERZCIE SOBIE. Środkiem ulicy paradowali Zimacy przebrani za zwierzęta totemowe swych rodów, lśnili od holograficznych świateł. Moon krzyknęła, gdy obok wybuchły fajerwerki, znalezionym niespodziewanie w dłoni żarzącym się iskrzykiem napisała w powietrzu swe imię. W bocznych alejkach wszczynały się walki na pięści i nie tylko, gdy tkwiące u podnóża Święta napięcie wybuchowało nagłą drobną przemocą. Moon z trudem trzymała się Gundhalinu, gdy wzniecona obok bójka zaczęła się przesuwac w ich kierunku. Zajął się tym jednak Siny w błyszczącym hełmie, a BZ skręcił w bok z nagłym pośpiechem.

Idąca w górę Ulicy Moon czuła, jak udziela się jej nastrój tłumy, zaraża lekkomyślnym optymizmem, przytłacza dogłębnie świadomością, że jest wreszcie tu – w tym mieście, w Krwawniku, w miejscu niewyobrażalnych przyjemności. Przybyła na czas, zdążyła przed Zmianą, kiedy to prawdopodobieństwa biorą w łeb i wszystko staje się możliwe. Przybyła tu, by odnaleźć Sparksa, by zmienić Zmianę, i dokona tego.

Coraz częściej to ona prowadziła Gundhalinu, ciągnęła go pod ludzki prąd; w miarę jak narastało jej zdecydowanie i odwaga, jego opadały. Obejrzała się, słysząc jego kaszel, zobaczyła spoconą twarz i pomyślała, że przerwał odpoczynek i leczenie, by jej pomóc. Gdy jednak zwolniła, pokręcił głową i powiedział ponagłając:

– Jesteśmy niemal na miejscu.

Wreszcie weszli w Aleję Cytrynową. Moon znalazła otwarty sklep i zapytała właściciela o Fate

Ravenglass. Spojrzał na jej twarz z dziwnym zdumieniem, choć zasłoniła tatuaż kołnierzem tuniki.

– Fate mieszka tu obok, panienko, ale nie ma jej w domu. W całym mieście dogląda swych masek. Proszę wrócić jutro, może się pani bardziej poszczęści.

Moon kiwnęła głową, rozczerowanie odebrało jej głos.

Gundhalinu oparł się ciężko o podniszczoną ścianę.

– Czy ma pan coś na kaszel?

Sklepiarz wzruszył ramionami.

– Zostało niewiele. Tylko amulet dający zdrowie.

Gundhalinu prychnął pogardliwie i oderwał się od ściany.

– Idziemy, rozejrzemy się po piekle.

– Nie. – Moon pokręciła głową, chwyciła go za ramię i zatrzymała. – Musimy – musimy najpierw się przespać. Wrócimy tu jutro.

Zawahał się.

– Na pewno?

Kiwnęła kłamliwie głową, ale wiedziała, że BZ nie zdoła długo chodzić, a bez niego beznadziejnie zgubi się w mieście.

W końcu znaleźli schronienie u jego poprzedniej gospodyni – pulchnej, opiekuńczej kobiety, która zajęła się nim, gdy tylko uwierzyła, że nie jest duchem. Umieściła ich w pokoju swego syna.

– Inspektorze Gundhalinu, wiem, że niczego pan nie ukradnie.

BZ uśmiechnął się cierpko, gdy zamknęły się za nimi drzwi, zapewniając wreszcie odosobnienie.

– Nie obchodzi jej wcale, czy nie przyprowadziłem cię tutaj w niecnym celu.

Moon spojrzała na niego obojętnie.

– Co to znaczy?

Odpowiedział jeszcze smutniejszym uśmiechem.

– W tym mieście pewnie nic. Bogowie, marzę o zobaczeniu znowu gorącej, bieżącej wody! Chcę się wreszcie wykapać. – Odwrócił się i wszedł do łazienki, po chwili usłyszała płynącą z kranów wodę.

Moon swą porcję rybackiego placka, który dostali na ulicy, zjadła, siedząc w oknie, odwrócona plecami do zamierzonej schizofrenii pokoju, jak we wszystkich domach Zimaków rozdartego między morzem a gwiazdami. Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, patrzyła z góry na Święto, przyglądała się ludziom krążącym jak krew tętnicami miasta. *Tylu ich... było ich tylu.*

Odcięta od źródeł sztucznego ożywienia poczuła, że znowu opuszczają odwaga, że traci pewność, iż kiedykolwiek między tysiącami twarzy znajdzie tę jedną. Sybillowa maszyna przywiodła ją do Krwawnika; ale czego się teraz po niej spodziewa? Aspundth nie potrafił jej powiedzieć niczego o sposobach działania tego urządzenia; stwierdził tylko, że jest najmniej przewidywalną i zrozumiałą z wszystkich rzeczy doświadczanych przez sybille. Wierzyła, że nią kieruje, ale po przybyciu do miasta nie pomogło jej żadne nagłe olśnienie. Czy maszyna porzuciła ją, zapomniana, zostawiła, by liczyła ziarenka piasku na brzegu nieskończonego morza? Jak bez jej pomocy odnajdzie Sparksa?

A co ma robić, jeśli go odszuka? Kim się okaże – zimnym mordercą, wykonującym brudną robotę dla Królowej Śniegu i dzielącym jej łoże? Co może mu powiedzieć, jakie słowa usłyszy od niego? Już dwa razy ją odrzucił, na Neith i na tym straszliwym brzegu... ile razy ma powtarzać, że już jej nie kocha? Czy naprawdę przeszła tyle, by dowiedzieć się o tym bezpośrednio z jego ust? Uniosła dłoń do policzka. *Czemu nie mogę go zostawić? Czemu nie dopuszczam tego do siebie? Przez*

załzawione oczy nie widziała już scen na dole.

Odsunęła się kotara łazienki i wyszedł Gundhalinu, czysty i świeżo ogolony, lecz skromnie odziany w swe stare, brudne ubranie. Z westchnieniem rozciągnął się na sofie, jakby nie pozostała mu nawet odrobina siły. Teraz Moon zamknęła się w małej umywalni, skrywając przed nim wątpliwości, o których nie mogła mówić, a nie potrafiła ukryć. Weszła pod prysznic, parująca woda zmniejszyła dręczące ją napięcie, nie mogła jednak zmyć poczucia winy.

Wróciła do pokoju okryta jedynie tuniką, wycierając ręcznikiem włosy. Myślała, że Gundhalinu będzie już spał, ale tak jak przedtem ona, tkwił przy oknie, wyglądając na ulicę.

Przyłączyła się do niego. Połączeni milczącym zrozumieniem, stali, nie dotykając się, przed kryształowymi szybami. Patrzyli w dół, słuchali bijących w szkło odgłosów Świeta.

Z drżeniem ust przyglądała się znowu tłumom.

– Dlaczego tu przybyłam? Czemu musiałam tu wrócić, choć nie miałam powodu?

Zdumiony Gundhalinu spojrział na nią.

– Co zrobię, jeśli nawet go odnajdę? Już go straciłam. Nie chce mnie więcej znać. Ma Królową – przycisnęła dłoń do ust – i gotów jest dla niej umrzeć.

– Może pragnie Arienrhod, bo nie ma ciebie? – Gundhalinu wpatrywał się w jej twarz z dziwnym natężeniem.

– Jak możesz tak mówić? Jest Królową.

– Ale nigdy nie będzie tobą. – Niepewnie dotknął jej palców.

– Może to dlatego nie chce dłużej żyć.

Złapała go za rękę, przycisnęła do swego policzka, pocałowała.

– Tyś sprawił, że miotana dotąd wiatrem, poczułam się teraz cenna... choć od tak dawna jestem zagubiona. – Poczwała, jak płonie jej twarz.

Uwolnił swą dłoń.

– Nie mów w sandhi! Nie chcę więcej słyszeć tego języka. – Szarpnął niezgrabnie za rękaw swej szorstkiej koszuli, skrywając blizny. – Nie pasuję do niego. Miotany przez wiatr... to odnosi się do mnie, a nie do ciebie. Jestem pianą na fali, kurzem w powietrzu, brudem spod nóg mego ludu...

– Przestań! – Powstrzymała go, cierpiąc jego ból. – Przestań, przestań! Nie pozwolę ci w to uwierzyć! To kłamstwo. Jesteś najlepszym, najłagodniejszym, najbardziej uprzejmym ze znanych mi ludzi. Nie pozwolę ci... w to uwierzyć... – Odwrócił się do niej, przyciągając ciemnymi oczami, przyciskając jej plecy rękoma i swym pragnieniem...

Powoli, niemal nie wierząc sobie, pochylił głowę, gdy podała mu usta do pocałunku. Moon zamknęła oczy, ucałowała go ponownie z drżącym głodem, poczuła, jak zaczyna ją pieścić zaskoczonymi dłońmi, gdy wreszcie odpowiedziała na jego nie wymówione pytanie.

– Jak się tu dostałem? – mruknął. – Czy to wszystko dzieje się naprawdę? Jak możesz...

– Nie wiem. Nie wiem, nie pytaj mnie. – *Bo nie ma odpowiedzi. Bo nie mam prawa cię kochać, nigdy nie zamierzałam... a jednak to robię.* – *BZ...* to może okazać się wszystkim, jutro może się zakończyć. – *Bo dajesz mi siły na dalsze poszukiwania.*

– Wiem. – Całował coraz zuchwalej. – To nieważne. Nie proszę cię, byś kochała mnie zawsze... pozwól mi tylko na ten jeden raz.

– Starbuck! – zawołała ponownie Arienrhod, gdy nie spojrział na nią znad warsztatu.

Powoli uniósł nieuchwytną, mroczną twarz, gdy wreszcie uprzytomnił sobie jej obecność. Odsunął przemycone narzędzia i porozbierane urządzenia, których kruche części rozkładał kolejno. Jego pracownię wypełniały przemysłowe wraki, zasady działania niektórych zaczynał już rozumieć. Do tej pory zawsze cieszyły ją jego wrodzone zdolności techniczne. Po powrocie z ostatecznych, fatalnych Łowów zamykał się w sterylnym świecie maszyn, krył się w nim przed nią i przed sobą.

– Czego chcesz? – W jego głosie nie było ani ciekawości, ani wrogości, nie było w nim w ogóle nic, podobnie jak na twarzy.

Próbowała powstrzymać swe zdenerwowanie, wiedziała, że jedynie cierpliwość i czas zdołają go wyciągnąć z ponurych rozmyślań. Minęły jednak tygodnie, odkąd działał jak mężczyzna, odkąd próbował się z nią kochać, dotykać jej, a nawet uśmiechać się. Nie opuszczała jej niechęć, nie była w stanie znieść jego ponurego, złego humoru.

– Chciałabym wiedzieć, kiedy dokończysz swe obowiązki jako Łowca.

– Obowiązki? – Okręcił się na obrotowym krześle, oczy mu skakały, szukając osłony w dżiczy elektronicznych przyrządów. – Spełniłem wszystkie – powiedział wymijająco.

– Jeszcze nie zapłaciłeś. Źródło czeka na wodę życia. Na pewno nie muszę ci przypominać, że jeśli jej nie dostanie, skończy się Zima – a z nią nasze życie.

– Umrze zaś połowa Letniaków... Lato skończy się na zawsze. – Spojrział na nią oczyma zasnutymi udręką.

– Mam nadzieję. – Przebiła się wzrokiem przez zapory i zajrzała do zasłoniętego przed nią umysłu. – Nie będziesz chyba udawał, że pomyślałeś o tym po raz pierwszy?

– Nie. – Pokręcił głową; rude włosy wplątały się w ogniwa posrebrzanego łańcuszka, którym spinał ramiona luźnej koszuli. – Zastanawiałem się nad tym codziennie, marzyłem o tym...

– Przyjemne marzenia – powiedziała sardonicznie.

– Nie! – Przypomniała sobie koszmary, o których nie chciał z nią rozmawiać. – Przekaż dostawę przez kogoś innego. Spełniłem swe obowiązki, dławię się brudną robotą Zimy. Nie dam wiecznego życia temu śmierdzącemu pozaziemskiemu próżniakowi jako nagrody za zniszczenie mego ludu.

– Nie jesteś Letniakiem! Zapłacisz za życie swoje i moje. – Arienrhod nachyliła się nad warsztatem. – Nie możesz jak ślimak chować się do Letniackiej muszli; dawno już z niej wyrosłeś. Zabijałeś czczone przez nich mery, zostawiłeś wśród ich ciał swą zmarłą Letniacką ukochaną. Przed laty porzuciłeś swój lud i swą boginię – uzyskałeś w zamian coś lepszego! Pamiętaj o tym! Jesteś teraz pozaziemcem i moim kochankiem. I obojętnie, czy ci się to podoba, czy nie, zostaniesz nim aż do śmierci.

Starbuck zerwał się na nogi, pięścią zmiotł wszystko ze stołu. Arienrhod cofnęła się, zrozumiawszy, że ledwo powstrzymał się przed wyładowaniem na niej swej złości.

– Dlatego chcę teraz umrzeć jak najszybciej. – Zaciśnął pięści na krawędzi stołu, pochylił się nad nim z opuszczoną głową. – I dokończyć to, co zacząłem.

– Sparks. – Wypowiedziała to imię z najdalszej głębi serca, dokąd z trudem dotarł rozdzierający ból jego męczarni. Nie odpowiedział jej. Nie mogła już do niego dotrzeć, zamknął się przed nią. – Starbuck! – Zaczęła sama cierpieć, ból przeszedł w gniew. Tym razem nie uniósł głowy o stwardniałej, napiętej twarzy. W oczach nie miał nic ze Sparksa; widniał w nich tylko duch; duch przepadłej Moon, jej przepadłego drugiego ja. Moon, której śmierci był winien, która wzięła z sobą do grobu jego miłość do obu. Arienrhod poczuła, jak ocieniona marą Moon jego dusza staje się

ogniskiem soczewki klęski: klęski. Słowo to zostawiło dymiący ślad w głębi niej samej.

– Dostarczysz wodę życia i uczynisz to szybko. Rozkazuje ci twoja Królowa.

Zacisnął wargi. Po raz pierwszy wydała mu rozkaz; po raz pierwszy ją do tego zmusił.

– A jeśli odmówię?

– Wtedy wydam cię pozaziemcom. – Nie pozwalając mu na sprzeciwianie się jej, zaciskała wymykające się wodze opanowania. – I spędzisz resztę życia w kolonii karnej, żałując, że nie umarłeś podczas Zmiany.

Starbuck otworzył usta. Przeszukiwał oczyma jej twarz, jak ślepiec rękoma, aż wreszcie przekonał się, iż każde słowo było prawdziwe. Poddając się schylił głowę, bezradny pod brzemieniem nienawiści do samego siebie.

Wiedziała, że może go skłonić do wszystkiego... i że wraz z tym zwycięstwem traci go na zawsze.

Moon obudziła się nagle w czyichś ciepłych ramionach. *Sparkle. Miałam taki dziwny sen...* Otworzyła oczy, zamruwała, gdy ujrzała niespodziewanie obcy pokój. Przypomniałszy sobie, gdzie jest, popatrzyła obok siebie i ujrzała pod własną ręką leżącą spokojnie inną, ciepłą i śniadą z różowymi piegami. Przez chwilę coś zabolęło ją w głębi, potem się jednak uśmiechnęła, bez wstydu czy żalu splótła swe palce z jego palcami. Uniosła się ostrożnie z wąskiej sofy, by przypatrzeć się twarzy śpiącego BZ, przypomniawszy sobie, jak milczącymi świtami przyglądał się jej. Przypomniała sobie chwytające za serce wiersze, które mówił w jej podziwiałające uszy, gdy wreszcie uległ jej, *gwiazdeczko, biała ptaszynko, ogródku z polnymi kwiatami...* aż w końcu wykrzyczała słowa, których nie miała prawa powiedzieć, ani sił, by tego nie robić, kocham cię, kocham...

Pogładziła go po policzku, nawet się nie ruszył, położyła głowę na jego ramieniu. W tym pokoju, oderwani oboje od swego życia, dzielili się miłością, dawali sobie coś równie cennego – potwierdzenie własnej wartości.

Ciągle dobiegały ją odgłosy Świeta, stłumione, lecz niezmiennie; podobnie jak światło wpadające przez okno. (– Nigdy nie robiłem tego w świetle – mruknął jej. – Jesteśmy tacy piękni... czego mam się wstydzić?) Nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc, ani jak długo spali. Ciało miała ospałe i niechętne, mówiło, że za krótko. Ale nie mogła sobie pozwolić na dłuższy odpoczynek. BZ ciągle spał jak zabity, mimo to starała się jak najciszej wysunąć spod jego ręki, by go nie obudzić. Pewna była, że zdoła sama trafić do alejki maskarki. Ubrała się i wyslizgnęła za drzwi.

Tłumy wydały się jej równie tętniące zabawą i nieskończone jak przedtem, jakby jedna zmiana hulających została niepostrzeżenie zastąpiona przez następną, przesunęło się wieczne koło. Trzymała się ścian budynków, wybierała drogę przez spokojniejsze zakola nurtu wokół kramów handlarzy i kawiarenek na chodnikach. Z mijanego stołu wzięła kawałek przyprawionego korzeniami mięsa, połknęła je, czerpiąc siły z otaczającej ją z wszystkich stron czystej energii.

Wreszcie wcisnęła się w Aleję Cytrynową, gdzie nurt płynących rzesz był wolniejszy i coraz płytszy. Dotarła do sklepu z roślinami i podeszła do następnego, sklepu maskarki. Prowadzące do niego żółto-zielone podwójne drzwi były zamknięte na głucho, zaczęła walić pięściami w górną ich część, wkładając w to całe swe zdenerwowanie i niecierpliwość.

– Otwórzcie! Otwórzcie! Proszę!

Umilkła w połowie krzyku, gdy rozwarła się górna połowa drzwi; odetchnęła głęboko z ulgą. Kobieta w średnim wieku, nosząca gruby warkocz, wpatrywała się w nią, poza nią, oczami zaczerwienionymi od snu... oczami, które nic nie widziały.

– Słucham, kto tam? – zapytała cicho, trochę niecierpliwie.

– Czy pani jest Fate Ravenglass, maskarką? – Zastanawiała się, czego oczekiwała, skoro poczuła ulgę, że się to nie spełniło.

– Tak. – Kobieta przetarła twarz. – Ale nie została mi już ani jedna maska. Jeśli chce pani je zobaczyć, musi pójść do którejś z wystaw. W całym mieście wypełniają magazyny i puste sklepy.

– Nie przyszłam po maskę. Chcę się zapytać o... o Sparksa. Sparksa Dawntreadera.

– Sparksa? – Uczucie, którego oczekiwała, o które się modliła, wypełniło twarz kobiety. Otworzyła dół drzwi. – W takim razie zapraszam! Proszę wejść.

Moon wkroczyła do wnętrza, zamruwała w mętym świetle. Gdy jej oczy do niego przywykły, ujrzała pudełka i koszyki piętrzące się w równo ułożonym bezładzie w czterech kątach pokoju – pozostałości po szmatkach, matrycach twarzy, piórach, błyskotkach, paciorkach. Gdy weszła głębiej, stąpnęła na koralik. Podniosła go ostrożnie i przytrzymała. Ściany pokoju były teraz puste, błyszcząły

od setek haczyków, na których jak rzadkie kwiaty jeszcze przed dniem czy dwoma musiały wisieć maski... Ostatnia ściana nie była pusta. Wisiała na niej jedna tylko maska. Stała, wpatrując się w przetworzoną wizję letniego dnia. Od pstrokatych sadzawek odbijały się mgliste tęcze, w dole widniały szmaragdowe, aksamitne mchy, zbocza wzgórz porastały zielono-żółte jedwabie świeżych traw; wśród nich kwitły kępki polnych, pachnących życiem kwiatów, jagody i ptasie skrzydła dostarczały plam cienia; w środku zmuszała do podziwu twarz promieniująca niewinnością, zwieńczona bliźniaczymi słońcami.

– Czy to... Królowa Lata? – wyszeptała z lękiem.

Kobieta instynktownie skierowała ku niej twarz.

– To jej maska. Kim będzie ona sama, jest nadal tajemnicą znaną tylko bogom.

– Znaną Pani – powiedziała bez namysłu Moon.

– Tak, oczywiście. – Maskarką uśmiechnęła się trochę smutnie; Moon zrozumiała, co ta maska oznacza dla Zimaków i że dla każdego z nich będzie czymś innym niż dla niej.

– Zrobiła ją pani taką piękną; a przyjdzie tu zabrać wam życie.

– Dziękuję. – Kobieta uśmiechnęła się znowu, tym razem z dumą. – Ale tę cenę płaci każda artystka – traci część siebie za każdym razem, gdy stwarza coś, co ma nadzieję, iż po niej zostanie. Liczę też, że jeśli wykonam ją ładną i miłą, Królowa Lata wypełni może proroctwo i będzie taka dla nas.

– Będzie – mruknęła Moon. *Ale cię nie zrozumie – jak to więc możliwe!*

– Powiedz mi teraz, dziewczyno z Lata – Moon obejrzała się ze zdziwieniem – dlaczego przyszedł tu spytać o Sparksa Dawntreadera.

– Jestem jego kuzynką, nazywam się Moon Dawntreader.

– Moon! – Maskarką skrzywiła się. – Zaczekaj, będę za chwilę. – Przeszła pewnie przez drzwi do następnego pokoju i zaraz wróciła w dziwnej opasce na czole. – Tyle mi o tobie opowiadał, o was obojgu. Podejdź do drzwi, będę cię lepiej widzieć mym “trzecim okiem”.

Moon posłuchała. Kobieta podstawiła do światła jej twarz i nagle zeszywniała.

– Sparks powiedział, że jesteś do niej podobna... do niej... – Wzdrygnęła się nagle.

– Do kogo? – Moon wydusiła te słowa przez sztywne wargi.

– Do Arienrhod, do Królowej Śniegu. Widziałam cię już, kiedyś indziej, gdzieś indziej. – Uniosła dłoń, by zbadać twarz Moon czułymi opuszkami palców, powstrzymując ją od zadawania następnych pytań. Fate zaprowadziła dziewczynę do pokoju, którego jedynym umeblowaniem był okrągły, poplamiony klejem stół i krzesła.

– Moon, gdzie cię widziałam? – Nie wiadomo skąd na stole zjawił się wielki szary kot, podszedł, by powąchać badawczo dłonie dziewczyny. Ta z roztargnieniem podrapała go pod brodą.

– Nie... nie wydaje mi się, by tak było. – Moon usiadła na znak Fate, rozwarła pięści i położyła na stole jeden czerwony paciorek.

– Było. Jesteś sybillą.

Moon złapała się za gardło.

– Nie...

– Twój kuzyn mi powiedział, nie bój się. – Fate uspokajająco pokiwała głową. – Nie zdradzę twego sekretu. A oznacza to, że teraz mogę ci śmiało zawierzyć swój. – Ściągnęła wysoki kołnierz nocnej koszuli, odsłaniając szyję.

Moon poczuła, jak wstrzymuje oddech.

– Jesteś sybillą, tutaj? Ale jak? W jaki sposób się uchowałeś? – Przypomniała sobie Danaquila Lu, noszone przez niego dla przestrogi blizny.

– Mam bardzo... dobrze dobraną klientelę. – Fate odwróciła twarz. – Może było to z mojej strony egoistyczne, może nie wykorzystywałam w pełni swego daru, ale... czułam, że powinnam tu być. Jako... wyście, jeśli nie coś innego. – Jej dłonie znalazły na blacie porzucone piórko. Wzięła je, obracała w palcach. Kot obserwował to, strzygąc uszami. – Mam dziwne poglądy na sybille; może są bzdurne, ale... – Wzruszyła ramionami.

Moon pochylila się.

– Czy uważasz, że sybille są nie tylko na tym świecie?

Piórko opadło, kot je złapał.

– Tak! Och, na bogów, też tak myślisz? – Fate wyraźnie czekała na potwierdzenie.

– Widziałam je – Moon dotknęła dłoni maskarki. – Spotkałam sybille na innej planecie. Występują wszędzie, są częścią sieci informacyjnej zostawionej przez Stare Imperium, by nam pomóc. Hegemonia okłamuje nas.

– Domyślałam się tego, wiedziałam, że musi być coś więcej! Tak, to brzmi bardzo sensownie. – Jej uśmiech był jak świeca zapalona w mroku. – Gdzie je widziałaś? Na innej planecie? Zapytałaś o niego...

– Zapytałam! To dlatego wróciłam. A więc to ty powiedziałaś mi o nim... – *Że kocha kogoś innego.* – Że nic nie jest jeszcze zakończone, że mnie potrzebuje. – Podniosła głos, by pozbyć się wątpliwości. – Ale skąd o tym wiedziałaś? Czy pamiętamy, co mówimy i widzimy? Nigdy jeszcze nie byłam wezwana.

– Tak, pamięta się to. Dokładnie. – Fate uśmiechnęła się na wspomnienie wyraźnego widzenia. – Zdarza mi się to dość często, dlatego czułam się tu potrzebna. Tylko ja mogę odpowiadać na pytania dotyczące Krwawnika. Dlatego też zaczęłam podejrzewać, iż jest nas więcej, niż można by przypuszczać. Jak Hega może nie wiedzieć, że naprawdę działamy?

– Kłamią o wielu sprawach. – *O merach... czy to prawdziwy powód, dla którego nie chcą nas w Krwawniku – by nikt nie mógł dowieść, że kłamią o merach"? I o ilu innych rzeczach!* – Możemy to jednak zmienić, skoro znamy już prawdę. Gdy pozaziemy odejdą...

– Wtedy zaczną rządzić Letniacy, a oni nie będą nas słuchać.

– Ja posłuchałam. – Wzrok Moon przyciągała maska na ścianie. Czy posłuchaliby Królowej sybilli? Przez wszystkie jej nerwy od kręgosłupa po końce palców przebiegło drżenie. – Fate, podczas Przekazu powiedziałaś... powiedziałaś, że mogę zostać Królową. Co to znaczyło?

– Mówiłam tak przed laty... – Fate zacisnęła dłoń na oku czujnika. – Chyba chodziło mi o to, że wyglądasz jak Arienrhod. – Odsunęła dłoń, patrząc na maskę na ścianie. – Ale – może i nie. Wezwałam cię do powrotu; pamiętam to uczucie... musiałam tak uczynić. Nie rozumiem dlaczego. Jeśli wraz z innymi pobiegiesz w wyścigu w dniu wyboru, to kto wie? Może zostaniesz wybrana Królową.

– Ile czasu pozostało do wyborów?

– Nastąpią w dzień przed Nocą Masek – pojutrze.

Moon splotła drżące dłonie, zamykając obwód, poczuła płynący nim prąd straszliwej pewności. *Oto powód. To dlatego przybyłam. By doprowadzić do prawdziwej Zmiany, by przerwać krąg...* Patrzyła na maskę Królowej Lata, niezdolna do oderwania od niej wzroku, wiążące się z nią możliwości rozpały jej oczy.

*Ale to nie uratuje Sparksa.* Ogień objawienia ugasiły zimne wody prawdy. Nie może być odrodzenia bez uprzedniej śmierci, nie zdobędzie władzy, nim nie umrze Królowa Śniegu...

– Ale to dlatego przybyłam! – Ze złością potrząsnęła głową; Fate nasłuchiwała, zwracając ku niej zaciekawioną twarz. – Przybyłam, by odnaleźć Sparksa, ocalić go, jeśli zdołam. Jeśli nadal mnie



potrzebuje, jeśli mnie pragnie... – głos się jej załamał.

– Czy wiesz, kim został?

– Tak. Wiem. Wiem o wszystkim. – Wymówiła słowo, które wypełniło żółcią jej usta. – Starbuck.

Fate kiwnęła głową, opuszczając twarz. Wzięła kota na kolana.

– Nie jest już chłopcem, którego znałaś. Ale i ty nie jesteś dziewczyną, którą zostawił w Lecie. Potrzebuje cię, Moon, bardzo cię potrzebuje; zawsze tak było, bo inaczej nigdy by nie uległ Arienrhod. Znajdź go i ocal, jeśli zdołasz. Dla mnie znaczy to bardzo wiele.

– I dla mnie. – Moon podrapała stół. – Ale nie wiem, gdzie go szukać. To dlatego przyszłam do ciebie. Czy możesz mi pomóc, zaprowadzić mnie do niego? Zostało mało czasu. – *Ten i jeszcze dwa dni dzielą go od śmierci.* – Mam trzy dni na przeszukanie całego miasta.

– Wiem. – Fate pokręciła opuszczoną głową. – Ale przychodzi tu, kiedy chce. Nie wiem też... Zaczekaj. – Poszukała na stole czerwonego paciorka, podniosła. – Jest ktoś, z kim spotyka się częściej niż ze mną. Nazywa się Tor Starhiker, prowadzi kasyno Persefona. Sama tak siebie określa, szukaj jej pod tym imieniem. Czy jesteś tu sama?

– Nie – uśmiechnęła się Moon. – Mam kogoś. – Uprzytomniła sobie, że zostawiła go na znacznie dłużej, niż zamierzała. – Muszę wrócić i powiedzieć mu, czego się dowiedziałam. – Wstała z wahaniem. – Dziękuję ci za pomoc. I za to, że byłaś przyjacielem Sparksa, wtedy gdy ja nie mogłam. – Pragnęła bardzo mieć dość czasu, by wypytać ją o wszystko, co zdarzyło się w ciągu tej długiej-krótkiej przerwy. – Niech Pani się do ciebie uśmiecha – powiedziała nieśmiało.

– Niech uśmiecha się do nas wszystkich. Ale zwłaszcza do ciebie – Fate też się uśmiechała.

Przed wyjściem Moon spojrzała po raz ostatni na maskę Królowej Lata.

Wreszcie dotarła do pensjonatu, w którym zostawiła BZ, wpadła przez oszklone drzwi, zadyszana z wyczerpania i ulgi.

– Moon! – BZ stał w wąskim korytarzu, chowając do spodni tył podartej koszuli. Obok stała górująca nad nim gospodyni, zastygła w połowie wzruszenia ramion. BZ minął ją, podbiegł, by chwycić Moon w ramiona, odrywając od podłogi. – Bogowie! Gdzie, u diabła, byłaś? Myślałem...

– Poszłam do maskarki. – Zaśmiała się, gdy zaskoczony postawił ją z powrotem. – Przestań, nie powinieneś...

– Do maskarki? Sama? Dlaczego? – Skrzywił się, niby z naganą, lecz dostrzegła w tym tylko troskę.

– Znałam drogę, a ty potrzebowałeś wypoczynku. – Uśmiechała się tak długo, aż odpowiedział tym samym. – Znalazłam ją. BZ, nie uwierzysz, że... – przerwała, przypomniawszy sobie, że gospodyni nasłuchuje za jego plecami. BZ obejrzał się przez ramię i odchrząknął.

– Dobrze, dobrze, panie inspektorze. – Kobieta żartobliwie uniosła ręce w geście poddania się. – Zrozumiałam aluzję. – Przeszła obok nich, kierując się do drzwi swego mieszkania. – Sprawiała pani, że się martwił. – Mrugnęła otwarcie do Moon. – Proszę robić tak dalej, dziecko, a nie odleci stąd bez ciebie! – Weszła w swe drzwi i zamknęła je za sobą.

BZ spojrzał w sufit, był równie zakłopotany, co Moon. Zaciągnął ją w głąb korytarza.

– Powiedz mi teraz. Znalazłaś ją?

– Tak! Słuchaj, gdy KR Aspundth wszedł w Przekaz, to ona kazała mi wracać.

Minęła chwila, nim zrozumiał.

– Jest sybillą? Tutaj?

Moon przytaknęła, nie spostrzegła w jego głosie tonu niedowierzania.

– Jedyłą w całej galaktyce, która...

– Co jej powiedziałaś? – przerwał z nagłą złością.

Tym razem zrozumiała; stara niechęć i świeże rozczarowanie wypełniły mrokiem jego oczy.

Cofnęła się, odsunęła od niego.

– Powiedziałam, że chcę znaleźć Sparksa. – *I tylko tyle masz prawo wiedzieć.*

– Nie o to pytałem. – Stłumił kaszel, wykorzystał przerwę, by powściągnąć zły humor. – Bałem się, że mnie porzuciłaś – mruknął zawstydzony – nie żegnając się nawet.

Wiedziała, że nie jest to całą prawdą, ale przyjęła ją, bo wiedziała też, iż chce, by tak było.

– BZ, nigdy... nie tobie. Nie tobie – obiecała, biorąc go za rękę i pocałowała go z łagodnym smutkiem.

Wypuścił ją niechętnie, nagle zakłopotany nieporządkiem koszuli.

– Czego się dowiedziałaś? Czy go widziała?

– Fate nie wie, jak go złapać. – Moon zauważyła, jak podnosi głowę. – Powiedziała mi jednak o kimś, kto może wiedzieć. Nazywa się Persefona, prowadzi kasyno.

Myślała, że będzie rozczarowany, lecz tylko kiwnął głową.

– Dobrze. Znam to miejsce. To w górnym mieście, jest jednym z większych. Pójdziemy tam zaraz. – Spojrzał na kręte schody, które prowadziły spiralą na piętro, do pokoju, w którym spędzili noc. – Poczekaj tylko... aż wezmę płaszcz.

– Hej, ty... cześć, ślicznotko... witamy w piekle, rozrzutniku...

Tor opierała się leniwie o filar, witając bezkształtne tłumy, wlewające się z bezduszną monotonią przez ścianę migoczących luster. Stłumiła ziewnięcie, starając się przy tym nie naruszyć makijażu. Kasyno zostało dopiero co otworzone po kilku godzinach przerwy na odpoczynek i posprzątanie, nie zostanie zamknięte, póki nie skończy się noc masek i nie nadejdzie dzień Zmiany. Wdychała środki pobudzające, aż wreszcie dały jej małego kopa, a oczy pod wymalowanymi w kwiaty powiekami wróciły do czaszki. Jak ktoś mający przystąpić do nie chcianego postu, tłumy podczas Święta były nienasycone głodem wszystkiego, a Źródło wyciskał je do ostatniej kropli.

Ona zaś musiała dawać wszystko, czego Źródło zapragnął. Swym wszechpotężnym, krzywym palcem uruchamiał biurokratyczną górę zezwoleń, aż rozpadała się w łatwą do przebycia równinę. Dał swe błogosławieństwo jej małżeństwu z Oyarzabalem, umożliwiającym ucieczkę z tej planety, nim pozaziemcy zatrzasną wieko trumny Zimy i zabiją je na głucho. Za kilka ciągnących się strasznie godzin kasyno zostanie zamknięte na zawsze – cóż, dla niej będzie to zawsze. Uprzytomniła sobie ze zdziwieniem, że będzie jej brakować tego miejsca. Ale tęsknić będzie do kasyna wypełnionego ludźmi żyjącymi, nie obawiającymi się wykorzystywać szans, ludźmi z planet tak różnorodnych, że ledwo mogła je sobie wyobrazić, ze światów, na które pragnęła się dostać i uda się jej, dzięki Oyarzabalowi i Źródłu.

Przez chwilę opadły ją ulotne wątpliwości, gdy pomyślała, że stanie się żoną Oyarzabala. Małżeństwo pozaziemców wydawało się jej ciężkie i paskudne jak długi łańcuch. Być na zawsze przykutą do Oyarzabala... pożądanego Persefony, a nie Tor Starhiker. Czy na zawsze już ma nosić tę cholerną perukę, tę malowaną, sztuczną skorupę, aż przyrośnie do niej na zawsze? Och, do diabła z tym. Jeśli będzie miała dość Oyarzabala, szybko się go pozbędzie – łańcuchy mają to do siebie, że pękają.

– ...Wyglądasz na prawdziwego farciarza... cześć wam... – Umilkła w połowie potoku słów, stała z otwartymi ustami. – Wasza Wysokość?

Dziewczyna z białymi warkoczami i tuniką koczowników spojrzała na nią z dziwnym zmieszaniem, wystarczyło to, by Tor się upewniła co do swojej pomyłki. Dziewczyna tkwiła przed nią nadal, nie zwracając uwagi na przepychające się obok tłumy.

– Czy pani jest Persefoną?

Uśmiechnęła się promiennie.

– Tylko jej nędzną imitacją, dziecko. Ty jednak, na bogów, jesteś doskonałą kopią Królowej.

– Ja... no... – Dziewczyna nie wydawała się zbytnio zachwycona pochlebstwem. – Przysłała mnie Fate.

Tor roześmiała się nerwowo.

– Bogowie, mam nadzieję, że nie... Och, chodzi ci o Fate Ravenglass?

Dziewczyna przytaknęła.

– Nazywam się Moon Dawntreader. Podobno zna pani mego kuzyna, Sparksa.

– Sparksa! Tak, oczywiście. – Odrywając się od filaru, poczuła niezrozumiałą ulgę. *Piekło z diabłami, przesadziłam dzisiaj.* – Chodźcie, nie wywołujmy paniki. – Po raz pierwszy zauważyła, że dziewczyna nie jest sama; z tyłu jak cień stał pokryty bliznami Kharemoughi, ubrany w kurtkę Siniego z oznakami inspektora. Serce skoczyło jej do gardła, ponownie bezzasadnie, nim nie spostrzegła, że reszta stroju była całkowicie nieregulaminowa, a przód kurtki jest pobrudzony. Plamy wyglądały na zaschlą krew. Możliwe wyjaśnienie nie uspokoiło jej. *Nie pytaj; tylko nie pytaj.* Wprowadziła ich

do wnętrza kasyna. Moon Dawntreader zagapiła się, gdy obok w powietrzu przeleciały efekty gier; na widok oszałamiającego dziwactwa strojów i zachowań, na całe oślepiające, przytłaczające zmysły piekło hazardu, atakujące dziewiczą duszę. Przez dudniącą muzykę dobiegł Tor krzyk dziewczyny:

– Spójrz na to! – Przekraczali rozlewający się hologram Czarnych Wrót, otoczonych płomiennymi wrakami. – Nigdy nie widziałam czegoś takiego na Kharemough, nawet na Targu Złodziei!

Tor obejrzała się ze zdziwieniem; upadły Siny powiedział żarliwie:

– I nigdy nie zobaczysz! – Persefoną pokręciła głową i poszła dalej.

Poprowadziła ich słabo oświetlonym, zasnutym draperiami korytarzem, w którym prostytutki łapały klientów – było to najspokojniejsze, najmniej zatłoczone z miejsc, jakie mogła szybko znaleźć. Szukając bezskutecznie wolnego pokoju, ujrzała, że Herne nie wyszedł jeszcze ze swego i nie poszedł do pracy za barem. Walnęła na płask w jego drzwi.

– Hej, przystojniaczku, czekają na ciebie wielbicielki! Wyłaź!

Drzwi się otworzyły. Zniszczona twarz ślicznego chłopca spojrzała na Tor i poza nią z równym obrzydzeniem.

– Czemu nie weźmiesz... – Jego wzrok spoczął na Moon, a mina zmieniła się całkowicie kilka razy. – Bogowie! – Twarz zastygła wreszcie w czystej wściekłości. – Co tu robisz? Ty suko, przekłeta, judząca suko! Wiedziałem, że kiedyś przyjdiesz! Nie dopełniłabyś uciechy ze zniszczenia mnie, jeśli byś sama nie zobaczyła...

– Herne! – Tor stanęła przed nim, zasłaniając dziewczynę. – Co, u diabła, cię napadło, naćpałeś się za bardzo? Ona jest tu całkiem obca.

– Myślisz, że nie poznam Arienrhod, mając ją przed sobą? Znam waszą Królową Śniegu, wiele lat z nią spałem! Prawda, biała dziwko?

– Nie jestem Królową – powiedziała słabo Moon.

– Nie jest, Herne! – Tor wsiadła na niego, nim zaczął znowu. – Zamknij się i rozchyl swe kaprawe oczka, ofermo. To tylko Letniaczka, szuka tu kuzyna. Nigdy przedtem jej nie widziałeś; założę się też o życie, że nie widziałeś i Królowej, nie mówiąc o spaniu z nią. Ma lepszy gust.

– Co możesz o tym wiedzieć? Nic nie wiesz o niej ani o mnie! – Wyprostował się przy framudze drzwi, wygładził fałdy jaskrawej koszuli, starając się stać z pewną godnością. – Byłem Starbuckiem, póki nie wymieniła mnie na tego mięczaka, Dawntreadera.

– Dawntreadera! – Tor wpatrywała się w Herne'a. – Nie wierzę! – Ten nędzny szantażysta – czy dlatego przez pięć lat wydierał z niej informacje, by pozostawać w łaskach Królowej Śniegu? Czy to możliwe? Czyżby Herne nie kłaniał i o sobie; czy Dawntreader poprzez nią wykorzystywał jego? Potarła twarz, strącając cekiny, rozmazując namalowane na policzku macki.

– Sparks Dawntreader jest moim kuzynem – powiedziała Moon, ignorując intensywny wzrok Herne'a. – Wiem, że został Starbuckiem; chcę go odszukać, nim będzie za późno.

– Twoim kuzynem? – Herne skrzywił się, nie zwracając uwagi na pozostałych. – Tak... coś mi się o tobie przypominało... zniknęłaś... – Podrapał się po głowie, jakby wygrzebywał z niej wspomnienia. Narkotyki, którymi zabijał nudę i ból, rozmiękczały mu mózg. – Jesteś do niej podobna. – W jego oczach kryły się głodne demony. – Tylko podobna.

– Nie trać czasu na tego przesiąkniętego prochami łgarza – powiedział niecierpliwie Siny. – Zwariował. Żaden nisko urodzony Kharemoughi nie ma dość talentu, by zostać Starbuckiem.

Herne zauważył go po raz pierwszy, patrzył na niego z rozszerzającym się brzydkim uśmiechem.

– Pamiętam dzień, Siny, kiedy to nauczyłem cię klęczeć przed lepszymi na dworze Królowej. – Tamten wzdrygnął się na przypomnienie. – Byłeś wtedy za dobry dla niej, dla mnie, prawda,

Gundhalinu-nekru? A spójrz teraz na siebie! – Wskazał ręką na pobrudzony mundur Sinego. – Musiałeś pełzać na brzuchu, nekritto. Nie jesteś godny ze mną rozmawiać!

Siny z trudem wrywał z siebie słowa, wreszcie mu się udało.

– Ciągłe jestem lepszy, niż ty będziesz kiedykolwiek, zafajdany gnoju!

– Jesteś ciągle większym osłem. Dzięki za to bogom! – Herne splunął i zaraz otworzyły się sąsiednie drzwi.

– Hej, popatrz! – prostytutka poprowadziła szybko obok nich smutnego, gapiącego się klienta.

– Gadaj, pójdziesz do pracy czy nie? – Tor oparła dłonie na biodrach, poczuła na nich jedwabne odzienie, patrzyła coraz słabiej.

– Nie. Póki się więcej o tym nie dowiem. – Skinął głową na Moon. – Dlaczego sobowtór Arienrhod przychodzi szukać jej kochanka. – Cofnął się niezdarnie do swego pokoju, parodiując dworskie zaproszenie. Pozostali poszli za nim.

Tor nigdy dotąd nie widziała wnętrza jego pokoju i miała wrażenie, że nadal go nie widzi. Podobnie jak wszystkie inne pomieszczenia przy tym korytarzu, zawierał jedynie łóżko i szafę. W kącie leżało kilka brudnych ubrań. Na ścianach nie wisały żadne obrazy, nie było widać książek, taśm, radia czy trójwymiaru. Był to pokój na godziny – gorzej, cela więzienna. Herne opadł na łóżko, wyciągnął otoczone żelazem nogi. Nikt się nie ruszył, by spocząć obok; Moon i Gundhalinu wbrew swej woli patrzyli na te nogi.

– Czego chcesz po tylu latach od Sparksa Dawntreadera, śliczna kuzynko?

– Jesteśmy zaprzysiężeni. – Moon spojrzała na niego z mrocznym oskarżeniem w oczach. – Kocham go. Nie chcę, by umarł.

Herne roześmiał się.

– Ach tak. Arienrhod przekona się, że jego śluby wierności staną przed ciężką próbą; powinnaś być z siebie dumna. Ale Królowa zawsze w końcu dostaje to, co chce. Co z tobą?

Moon zeszywniała, zacisnęła dłonie na pasku.

– Pójdę swoją drogą. Wcześniej jednak muszę go znaleźć. Fate powiedziała, że może wiesz, jak... – zwróciła się do Tor.

Ta przepraszająco wzruszyła ramionami.

– O mało co się z nim nie minęłaś; szedł na spotkanie ze Źródłem. – *Ciekawe dlaczego. Po co miałby przybyć tu Starbuck? Czemu Królowa... ?*

– Sieci jej intryg zaciskają się coraz bardziej. – Herne uśmiechnął się mrocznie.

*Wie, że Sparks jest Starbuckiem...* Tor skrzywiła się do swoich myśli, patrząc znowu na Herne'a. *Czy jeszcze wie o czymś, o czym mi nie mówili*

– Co to znaczy, że o mało co się z nim minęłam?

Tor skupiła się na zmartwionej twarzy Moon.

– Przed godziną wyszedł z pałacu.

– Ciągnąc za sobą ogon z pary Sinych – dodał z zadowoleniem Herne.

– Co? – Tor uniosła obsypane srebrnym pyłem brwi.

– Komendant – wyjaśnił Gundhalinu. – Musiała wszystkich na niego wyczulić, skoro wie, kim jest.

– Co się z nim stało? – Moon skręcała malowany skórzany pasek. – Czy go złapali?

– Akurat – chrząknął rozbawiony Herne. – Ci partacze nie złapią nawet przeziębienia. – Spojrzał na Gundhalinu. – Wmieszał się w tłum. Jeśli jest sprytny, schowa się w pałacu, gdzie Arienrhod będzie mogła go chronić aż do Zmiany.

– Nie może! Nie może tego zrobić... Niech ją! – krzyknęła Moon.

Tor zobaczyła, jak Siny próbował pocieszyć Moon, lecz strząsnęła jego rękę ze swych ramion, a wzrok z twarzy. Herne też to dostrzegł i uśmiechnął się.

– Słuchaj, dziecko, skoro jesteś w nim tak zakochana, dlaczego straciłaś pięć lat na dostanie się tutaj? – zapytała sceptycznie Tor.

– To nie były lata, lecz miesiące! – Moon zamknęła oczy. – Czemu wszystko musi się tak dziać? Dlaczego robi się coraz gorzej?

– Bo zbliżasz się do Arienrhod – mruknął Herne – a ona jest szybka jak światło.

– Pięć lat temu przemytnicy porwali ją z tej planety – zdenerwowany Gundhalinu zagłuszył Herne'a. – Dopiero wróciła. O mało co nie zginęła, gdy próbowała dostać się do Krwawnika, by go znaleźć. Czy to dla ciebie dostateczne zakochanie?

Tor zacisnęła wargi, złagodniała wbrew swej woli.

– Wystarczy tobie, pozaziemcze. – *Biedny, zakochany wymoczku.* – I dla Fate. Ale musi teraz iść do pałacu, jeśli chce go znaleźć.

– Nie może – powiedział Gundhalinu.

– Dlaczego? – Moon spojrzała na niego. – Mogę się wślizgnąć do pałacu i go znaleźć. Jeśli będę musiała, to tak zrobię. – Zmieniły się jej oczy, zmętniały, przestały patrzeć, jakby coś je zablokowało; gdy znowu się oczyściły, płonęły zdecydowaniem. – Słusznie – pójdę tam! Muszę. Nie boję się Arienrhod.

– A dlaczego miałabyś się bać? – Herne patrzył na nią, lecz w rzeczywistości widział kogoś innego.

– Zamknij się, zbrojeńcu! Powiem ci, dlaczego. – Gundhalinu chwycił Moon za ramię. – Bo Arienrhod... bo ona... bo jest... niebezpieczna – zakończył głupio. Tor zastanawiała się, czego nie chciał powiedzieć, a Moon skrzywiła się lekko. – W całym pałacu jest pełno strażników, jeśliby przyłapała cię na próbie oddzielenia jej od Starbucka... to, cholera, powstrzymałaby cię! Jak, u diabła, zdołasz go znaleźć, nie możesz się przecież o niego rozpytywać!

– Czemu nie? – Herne skrzywił się w uśmiechu adwokata diabła. – Ma najlepsze przebranie, jakie można sobie wyobrazić – twarz Arienrhod. Może robić wszystko i nikt się nie sprzeciwi.

– A prawdziwa Królowa? – zapytała Tor.

– Jeśli pora jest właściwa, będzie zabawiać panów Hegi. Mam też coś, co może bardzo pomóc.

– Co takiego? – Moon podeszła bliżej, jaśniejac nadzieją. Nad jej ramieniem Gundhalinu rzucał Heme'owi groźne spojrzenia.

Herne jednak patrzył tylko na nią; wędrował wolno oczyma w dół jej ciała, wrócił nimi na twarz dziewczyny. Tor czuła, jak wewnątrz niego, między przeciwnymi elektrodami narasta napięcie.

– Spędź ze mną godzinę na osobności, Arienrhod, a będzie twój.

Moon zeszywniała. Gundhalinu zaklął, podchodząc bliżej.

– Co chcesz zrobić, Starbucku? – rzuciła mściwie Tor. – Nauczyć ją grać w karty?

Głowa Herne'a zwróciła się w jej stronę. Gdy ujrzała wyraz jego twarzy, zbliżyła się, litując się nad nim bardziej niż kiedykolwiek.

– Na miłość boską, Herne, choć raz w życiu nie bądź chamem! Zrób coś, by udowodnić, że masz prawo żyć.

Górna połowa ciała Herne'a drżała z tłumionych uczuć; powoli się uspokoił i znowu spojrzał na Moon.

– Tam. – Wskazał na szafę. – Otwórz.

Moon podeszła do mebla i otworzyła drzwiczki. Tor zobaczyła ubrania, narkotyki, opróżnione do połowy butelki. Jedna półka była zupełnie pusta, z wyjątkiem małego czarnego przedmiotu.

– To właśnie to. Przynieś tutaj.

Moon ostrożnie podała mu pudełko, trzymała się przy tym z dala. Położył przedmiot na dłoni i pogładził niepewnymi palcami, jakby był żywy. Dotknął jarzącego się wgłębienia, potem następnego i jeszcze innego. Rozległy się trzy różne dźwięki, zabrzmiały głośno w ciszy zatłoczonego pokoju.

– Czym to kieruje? – zapytał Gundhalinu.

– Wiatrem. – Heme spojrzał na nich wszystkich z wyzywającą dumą. – W Sali Wiatrów pałacu Arienrhod. Pozostał jej teraz tylko jeden taki przyrząd. W ten sposób dostaniecie się do środka pałacu, nie budząc niczyich podejrzeń. – Znow spojrzał na Moon. – Nauczę cię, jak tego używać i gdzie szukać Starbucka.

– W zamian za co? – zapytała łagodnie Moon. Zacisnęła dłonie pragnące znowu chwycić pudełko.

Herne skrzywił usta.

– Za nic. Słusznie się tobie należy... czyż nie odmawiałem ci nigdy, gdy czegoś zapragnęłaś? Albo nie dawałem wszystkiego, czego ci brakowało, nie zważając na żadne trudy...

*Bogowie, naprawdę mają za Królową.* Tor pokręciła głową. W oczy fałszywej Królowej wkradł się ślad sympatii, powiedziała spokojnie:

– Czy jest cokolwiek innego, co mogłabym dać tobie... Herne spojrzał na swe bezwładne nogi.

– Żaden człowiek nie może mi ich dać.

– Słuchaj, skoro masz iść do pałacu, nie możesz wyglądać jak banitka – powiedziała Tor. – Chodź ze mną, znajdę ci królewskie szmatki, a przynajmniej coś do zasłonięcia tych.

– Moon, nie możesz iść do pałacu! Zabraniam. – Gdy się odwróciła, rozpaczliwie urzędowy Gundhalinu zastawił jej drogę.

– BZ, muszę. Muszę – powiedziała, odwzajemniając jego uparty wzrok.

– Marnujesz czas; idąc tam, ryzykujesz swą duszę. On przegnił, zostaw go, zapomnij o nim! – Gundhalinu wyciągnął do niej ręce. – Choć raz mnie posłuchaj! Jesteś w mocy snu, koszmaru – obudź się, na miłość bogów! Uwierz mi, Moon, nie proszę cię o to dla siebie. Wszystkim nam na tobie zależy, na twoim bezpieczeństwie...

Pokręciła głową, unikając jego oczu.

– Nie próbuj mnie zatrzymywać. I tak nie zdołasz. – Minęła go, nie ruszył się, by jej przeszkodzić. Tor wyprowadziła ją z pokoju.

Gundhalinu stał, patrząc za nią, zapiął płaszcz, bo nagle zrobiło mu się zimno. Czuł wwiercający się w tył jego głowy wzrok Herne'a, nie miał siły, by się odwrócić i stawić mu czoła.

– Znasz prawdę o niej? – dobiegł go przyciągający głos Herne'a. – Wiesz, że jest tym samym co Arienrhod.

– Nie są tym samym! – Gundhalihu odwrócił się, pobudzony świadomością swej winy.

Herne uśmiechnął się, czytając odpowiedź z jego oczu.

– Tak właśnie myślałem. Jest klonem Królowej, to jedyne wytłumaczenie.

– Jesteś pewien? – Zadał to pytanie bez namysłu, nie chcąc tego robić.

Herne wzruszył ramionami.

– Całkowicie pewna jest tylko Arienrhod, ale i ja wiem tyle, by w to nie wątpić. Nie jest jej córką – nigdy nie zapomina o zażyciu wody życia. Pamięta też o mężczyznach, z którymi ma do czynienia.

– Czy woda czyni bezpłodną? – spytał zaskoczony Gundhalinu.

– Póki się jej używa... po stu pięćdziesięciu latach może na zawsze. Kto może wiedzieć? To ci żart, co? Spowalnia też wychodzenie z chorób. Zabiła nawet kilka osób. – Herne zachichotał na tą

myśl. – Niektórzy zaś trochę od niej wariują, mają zaburzenia osobowości, czy jak to się nazywa. Tak jednak gadają zazdrośnicy nie mający jej. To władza paczy ludzi, nie lek. Jak się czujesz, jako nie mający wody, Gundhalinu-eshkrad!

Inspektor zlekceważył go, nagle ujrzał Sparksa Dawntreadera w kolczastym hełmie. Podszedł bliżej.

– Daj mi sterownik, Herne. Nie wyślesz Moon w tę norę pełną żmij.

Herne przesunął się lekko i wyciągnął ogłuszacz.

– Stój, Siny. Trzymaj się pod ścianą, chyba że naprawdę dopraszasz się o to.

Gundhalinu cofnął się znowu, na biodrze, pod płaszczem, ciążyła mu własna, zapomniana broń. Oparł się o ścianę, kaszlał z okrutną bezradnością, aż zakręciło mu się w głowie.

– Czy mogę... usiąść? – Nie czekając na odpowiedź, osunął się po ścianie i usiadł na podłodze.

– Powinieneś pójść do medyka – powiedział niemile Herne. – Tech siedzący na podłodze jest jak martwy.

– Nie mogę. – Gundhalinu znowu rozchylił płaszcz, nagle stało mu się za gorąco. *Dopóki to wszystko się nie skończy.*

– A więc ciebie też złapało. – Było to stwierdzenie, a nie pytanie. – Och, wy wszyscy starzy, prawdziwi Sini. Ścigałeś wyklętą przez prawo tubylkę, nie miałeś na tym świecie żadnego przyjaciela; rzuciłeś swą pracę, pozycję i zanurzyłeś w rynsztoku honor dobrze urodzonego. Wszystko to z miłości.

Gundhalinu spojrział na niego zarumieniony, otworzył usta.

– Potrafię dodać dwa do dwóch – uśmiechnął się Herne, lejąc kwas. – Jestem Kharemoughi. – Pokręcił głową i oparł się na łokciu. – Chłopcze, naprawdę do ciebie Ignie... Co ci obiecała? Swoje ciało?

– Nic, nekru!

– Nic? – prychnął Heme. – Większy z ciebie osioł, niż sądziłem.

– Wszystko, co mi się stało, zawdzięczam sobie. – Gundhalinu usiadł prosto, walcząc ze swym gniewem, z wywołującą go gorzką prawdą. – Sam tak postanowiłem; godzę się na skutki rozsądnego działania.

Herne wybuchnął śmiechem.

– Jasne, sprawiła, że w to wierzysz! Ma taką siłę. Potrafiłaby ci wmówić, że możesz oddychać w próżni. Wiele w tym sensu, prawda, rozsądny durniu? Pragniesz jej tak bardzo, że nic innego się nie liczy; mogłeś mieć ją w garści, deportować. Zamiast tego pomagasz jej odnaleźć innego kochanka! Bogowie, do szpiku kości jest taka sama jak Arienrhod. Obie pragną tego samego kochanka; jedyne, którego pożądała tak bardzo, że znenawidziła siebie. Najwyższe kazirodztwo. Jeśli nie jest to najlepszym dowodem, że są tym samym... jakby nie było mnóstwa innych. – Pochylił się, dotknął krat otaczających jego nogi, zwiesił głowę.

Gundhalinu poczuł rosnący mu w gardle wstręt.

– Tego się po tobie spodziewałem, że ściągniesz wszystko na swój poziom, mieszasz to z łajnem. Nie jesteś zdolny do niczego lepszego, nie rozumiesz nawet, iż w ten sposób pogrążasz i niszczysz siebie.

– Skąd możesz wiedzieć? – Herne uniósł głowę.

– Bo nie potrafisz zrozumieć, dlaczego bardziej mi zależy na pomaganiu Moon niż sobie. Bo nie potrafisz wyczuć, co w niej jest... – Zamknął oczy, patrząc w przeszłość. – Tak, zakochałem się w niej, ale nie było to jej zamiarem. Bierze poprzez dawanie... to cała różnica.

Herne wyciągnął w wyzwaniu pudełko sterownika.



– Jak myślisz, dlaczego to jej daję?

– Z zemsty.

Zamiast odpowiedzi Herne znowu spuścił głowę.

– Żaden klon nie jest doskonałym odbiciem oryginału. Nawet bliźnięta nie są jednakowe, a rodzą się bez pośrednika. Panowanie nad procesem klonowania nie jest takie precyzyjne, można co najwyżej uzyskać niepełne odtworzenie.

– Ułomną kopię – powiedział szorstko Herne.

– Tak – Gundhalinu ponownie zacisnął usta. – Czemu jednak zmiany nie miałyby być na lepsze – obojętnie, czy polegałyby na stracie, czy zyskaniu?

Herne rozważał tę możliwość.

– Czemu nie... – Potarł brodę. – Skoro jesteś taki pewny, że Moon nie jest z nią jednakowa, to dlaczego nie mówisz jej prawdy?

Gundhalinu pokręcił głową.

– Próbowałem. – Spojrzał na swe przeguby, przesunął po nich nieczułymi palcami. – Jak mogę jej coś takiego powiedzieć?

– Niedoszły samobójca – szepnął Herne.

Gundhalinu zeszywniał, podniósł się na kolana. Spostrzegł jednak, że Herne go nie podbechtuje.

– Czy to przez nią? – Herne zapytał śmiało, lecz bez złośliwości. Naciągał struny jak wytrawny muzyk.

– Nie. – Gundhalinu pokręcił głową i ponownie opadł. – Dzięki niej dostrzegłem, że dla niektórych rzeczy warto żyć. – Zdumiał się, że nie uważa za dziwne mówienie tego Bezklasowemu, siedząc na podłodze burdelu. – Nigdy nie sądziłem, że można żyć bez osłony nie naruszonego honoru. A mimo to jestem tutaj – spróbował się roześmiać – nagi wobec wszechświata. To boli, boli jak diabli... ale może tylko dlatego, że teraz wyczuwam wszystko dużo wyraźniej. – *I nie wiem jeszcze, czy mi się to podoba.*

– Przyzwyczaisz się do tego – powiedział gorzko Herne. – Widzisz, nigdy nie byłem w stanie sobie tego wyobrazić, jak wy, Techy, połykacie truciznę za każdym razem, gdy życie daje wam kopniaka. Po tysiakkroć popełniłbyś samobójstwo, gdybyś żył tak jak ja, po tysiakkroć.

– Masz rację. – Gundhalinu wzdrygnął się na myśl o znalezieniu się w stanie Herne'a. – Bogowie, byłby to los gorszy od śmierci.

Herne patrzył na niego z lekkim wstrętem, z niezłomną nienawiścią, jaką obdarzał połowę ludzi, aż poczuł, że jego krucha arogancja załamuje się, a wzrok łagodnieje.

– Tak. "Lepsza śmierć od hańby" jest przywilejem bogaczy. Tak jak woda życia... – *Lecz tak naprawdę nikt nie posiada ani Życia, ani Śmierci.* – Przywykłem do myśli, że nic nie jest dla mnie ważniejsze od życia, że nigdy nie zdołam zrozumieć takich mięczaków jak ty, którzy je odrzucają. Przetrwanie, tylko to się liczyło, obojętnie za jaką cenę...

– Liczyło? – Gundhalinu oparł głowę o ścianę, zauważył nacisk położony na czas przeszły. Językiem bezwiednie przeszukiwał miejsce po zębie. Tak jak Herne spojrział na zewnętrzny szkielet otaczający dolną połowę ciała kaleki, zrozumiał, co oznacza taka ułomność, strata wszystkiego, co w oczach byłego Starbucka, w oczach świata, do którego należał, czyniło go mężczyzną. – Nie musisz tu zostać, wiesz o tym. Na Kharemough potrafią zajmować się takimi rzeczami.

– Po pięciu latach? – Herne podniósł głos, gotów wysunąć wszystkie argumenty, podać wszystkie odpowiedzi, które musiał stale powtarzać w myślach. – Nikt nie ma tylu pieniędzy. Ja na pewno nie... Nie starcza mi nawet na to, by wyrwać się z tej przeklętej kupy gnoju!

– Idź do władz. Nie zostawią żadnego pozatemca, który nie będzie tego chciał.

– No jasne. – Herne wyciągnął spod łóżka butelkę, otworzył ją i pociągnął nie częstując. – Siny, czy masz pojęcie, ile zaległych kar czeka na mnie w domu? I w wielu innych miejscach.

Jeśli sądzisz, że zgodzę się do końca życia pocić krwią na jakiejś karnej kolonii, to chyba zwariowałeś. – Pociągnął ponownie, głęboko.

– Wygląda na to, że nie masz wielu możliwości, – *I pewnie na więcej nie zasługujesz.* Niespodziewanie poczuł jednak współczucie. *Święci przodkowie – gdybym urodził się w jego ciele, a on w moim...* – Przykro mi.

– Jasne. – Wytarł usta. – A co z tobą, czy zamierzasz wrócić, by wyrzucili cię z policji i zamknęli w więzieniu? Nie. U licha, pewnie chcesz zwalić wszystko na chorobę. Zbrodnia z namiętności – zrobiłeś to z miłości. Miłość... miłość jest chorobą! – Zadrżała mu ręka zaciśnięta na szyjce butelki.

*Śmierć za pokochanie sybilli... śmierć za niekochanie.* Gundhalinu zakaszłał, odwołując moment odpowiedzi. *Co zamierzam zrobić? Nie wiem.* Przyszłość otwierała się przed nim jak nieskończone morze.

– Zapytaj mnie jutro... – Spojrzał na drzwi, przez które ktoś wszedł – Persefona i ktoś jeszcze, osłonięty opończę i kapturem.

Persefona usunęła się w bok, pozwalając podejść drugiej postaci, ostrożnie odsłoniła jej twarz.

– Moon! – Gundhalinu uniósł się na kolana, podciągnął wzdłuż ściany, aż stanął zagapiony. Stała przed nim Moon, lecz delikatnie zmieniona sztuką makijażu – nie była przesadnie, bez smaku wymalowana jak Persefona, lecz zmieniona w jaśniejącą jak macica perłowa piękność, która wyparła z jego pamięci bladą, otwartą twarz prostej, tubylczej dziewczyny. Jej uczesane do góry włosy opinała siatka ze srebrnych nici z nanizanymi złotymi koralikami, oczy nie były w stanie podążyć za jej splotami. Tor ściągnęła płaszcz z ramion Moon, objawiając miodową suknię opływającą jej ciało jak pole falujących na wietrze traw, trzymającą się nie wiadomo na czym, opadającą ze stanika z kremowej koronki migoczącej zmysłowo na tle skóry. Kołnierz z mieniących się paciorków skrywał tajemny znak na gardle.

BZ stał z zapartym tchem, patrzył, jak rozjaśnia się pod wpływem jego zachwyty.

– BZ, nie... – urwała, uciekła przed jego wzrokiem, uświadamiając go sobie boleśnie. Nadal jednak się rozświetlała.

– Pani... – Jak władca gwiazd Starego Imperium ujął jej dłoń, schylił się i dotknął jej na chwilę czołem. *Królowa w każdym calu.* – Z rozkoszą przed tobą ukląkłbym. – Moon uśmiechnęła się mile, nic nie rozumiejąc – uśmiechem własnym, a nie Arienrhod.

– No i co powiesz, Herne? – spytała zadowolona Persefona, trzymając koczowniczą tunikę Moon. – Czy może tak być?

– Czy ty to zrobiłaś? – zapytał.

Skromnie wzruszyła ramionami.

– No... pomógł mi Polluks. Jak na maszynę, ma dobry gust.

– Arienrhod nie lubi tego koloru. – Herne postawił butelkę na podłodze. – Ale może być... Na bogów, jeszcze jak może! Proszę podejść, Wasza Wysokość. – Wyciągnął rękę.

Gundhalinu skrzywił się, sam chwycił dłoń Moon, poczuł, jak ściska go mocno, patrząc na kalekę.

– Nie nazywaj jej tak – przestrzegł go ostro.

– Lepiej niech się przyzwyczai. Do licha, nie skrzywdzę cię! Nawet cię nie tknę. – Herne opuścił dłoń. – Dajcie mi tylko trochę popatrzeć.

Moon puściła Gundhalinu, podeszła i stanęła przed kaleką. Obróciła się powoli, niepewna

swego stroju, lecz nie podziwu w jego oczach. Pożerał ją oczami, pochłaniał, lecz mimo to stała z cierpliwą godnością, nie potępiając; pozwalając, lecz nie ośmielając. Gundhalinu widział, jak długo patrzy na Herne'a, sam nie wiedział, co przy tym czuje. Napiął się, gdy kaleka nagle wstał, zachwiał się... został na miejscu, gdy niezgrabnie, zgrzytliwie Herne opadł na kolana przed Moon.

– Arienrhod... – mruknął coś, tak cicho, że tylko ona usłyszała. Gundhalinu zerknął na Persefonę; rozszerzyła oczy pod kwiecistymi powiekami, zdumiewała się tak samo jak on. Zrobiła w powietrzu znak odganiający szaleństwo i pokręciła głową.

– Wiem, Starbucku... – Moon przytaknęła, skrywając litość. Zupełnie niekrólewskim ruchem pomogła Herne'owi położyć się na łóżko.

Herne odwrócił od niej wzrok, nagle przypomniał sobie, że ma świadków, znów przybrał twardą minę.

– Pomyliłaś się, Dawntreader... gdy byłem u twych stóp, powinnaś była mnie kopnąć. Arienrhod nie znosi przegranych. – Wypowiedział to słowo z masochistyczną przyjemnością. – Teraz słuchaj uważnie, opowiem ci wszystko.

– Ciągle zamierzasz jej w tym pomóc? – spytał z urazą Gundhalinu.

Herne uśmiechnął się tajemniczo.

– “Ofiara najbezpieczniejsza jest u drzwi myśliwego.” Powinieneś o tym wiedzieć, Siniaku.

Moon odwróciła się, rozrywana tymi słowami. *A może tylko boisz się jej odmówić!* Gundhalinu westchnął, zaboląła go od tego pierś.

– W takim razie jestem odźwierną – uśmiechnęła się Moon, tylko to widział.

– Och, moje bolące plecy! – Tor przeciągnęła się mocno w zaciszu magazynu kasyna. Słowa odbiły się od pustych ścian, w środku nic już niemal nie zostało, a goście byli na najlepszej drodze do wykończenia reszty. – Chodź, Polluksie, zabierz stąd ostatnią skrzynkę tlaloka, nim szernieją im języki. – Ziewnęła, usłyszała, jak zgrzyt szczęk budzi echa w czaszce. *Pusta? Wreszcie zwariowałam.*

– Jak powiedziałaś, Tor. – Polluks poruszał się twardo po pomieszczeniu, jak wierny pies podążał za wskazaniem jej palca.

Zachichotała, oszołomiona zmęczeniem.

– Przysięgam, zrobiłeś to umyślnie! Prawda? Możesz się przyznać...

– Jak powiedziałaś, Tor. – Polluks złapał za skrzynkę.

Nie zamykała ust, wyrzucając z siebie lawiny uczuć.

– Cholera, Polly... co bez ciebie zrobię? Chyba naprawdę cię stracę, kupo złomu i smaru. – Wyprostowała perukę. – Są tylko dwie rzeczy, które może mi dać Oyarzabal, a nie ty, a gdy odleczę z tej skały, zostanie tylko jedna – a tę mogę dostać od każdego mężczyzny. Nic dziwnego, że jest zazdrosny. – Zaśmiała się ponuro. Oyarzabal powiedział jej, że zostanie jego żoną tylko pod warunkiem pozbycia się Polluksa. Zgodziła się, czując, że wykuł następne ogniwo w łańcuchu, którym chciał ją zamienić w swą niewolnicę. *Chce mnie taką, jaką jestem... dlaczego więc usiłuje to zmienić?* Przekrzywiła perukę, znowu wyprostowała.

– Do licha, kto będzie dbał o mój wygląd? Przesuwał skrzynki i zmieniał w królowe letniackie rybojady – wszystko to w jeden dzień, co? Czy kiedyś zastanawiałeś się nad sobą, Polluksie? Czy naprawdę możesz robić to wszystko i nie pytać jak ani dlaczego? – Przeciągnęła go znowu przez pokój. – Albo czy temu dziecku uda się ocalić jej ukochanego przed Królową i czy nie jest szalona, chcąc takiego chama jak Sparks Dawntreader?

Jego bezlica głowa spojrzała na nią z udawaną uwagą, ale nic nie powiedział.

– Auu... – Wyciągnęła do niego rękę. – Chyba naprawdę sprzedałam rozum. Nie wiesz nawet, że tu jestem; czemu miałbyś się choć trochę martwić, gdy mnie nie będzie? Dlaczego więc ł ja się martwię? – Kopnęła pusty karton stojący jej na drodze. – Gdy z tym skończysz, wróć tutaj, weź ostatnią baryłkę tego sfermentowanego soku i zanieś Herne'owi. – *Starbuckowi. Staremu Starbuckowi i nowemu, znam obu. I bliźniaczkę Królowej. Dzięki bogom niedługo opuszczę Krwawnik – nim spotkam siebie idącą w tył.*

Gdy doszła do wyjścia, usłyszała głosy dobiegające z pokoju z drugiej strony korytarza, o drzwiach tak niewzruszenie mocnych, jak skarbcie Banku Newhaven; tych, których nigdy nie widziała otwartych. Teraz jednak pieczęcie opadły, stały nie bronione, a nawet lekko uchylone. Poznała, że jeden z głosów dobiegających zza nich należał do Oyarzabala. Polluks brzęczał, idąc posłusznie do kasyna, sama, pod wpływem nagłego impulsu, podeszła do drzwi i je otworzyła.

Zwróciło się ku niej kilka głów, wszystkie należały do mężczyzn i pozaziemców. Trzech z nich rozpoznała natychmiast jako adiutantów Źródła; Oyarzabal podszedł do niej, objawiając każdym ruchem niepokój i lekki strach.

– Mówiłem ci, byś zamknęła te drzwi! – powiedział zabójczym tonem jeden z obcych.

– Wszystko w porządku, ona prowadzi ten interes, wie o wszystkim – odkrzyknął mu Oyarzabal.

– Co, u licha, tu robisz? – szepnął do Tor.

Rzuciła mu się na szyję, zagłuszyła protesty pocałunkiem.

– Brak mi mego mężczyzny, to wszystko. – *I jeśli jest coś, czego nie znoszę, to zamkniętych*

drzwi.

– Cholera, Persefono! – Oderwał się od niej. – Nie teraz! Musimy wykonać w mieście wielką robotę dla Źródła. Potem ci...

– Coś dla Królowej?

Ścisnął jej nagie ramiona. – Skąd wiesz?

*Ślepy strzał.*

– No, sam powiedziałaś, że wiem wszystko. – Spojrzała na niego tajemniczo. – Nie chcę, byś okazał się kłamcą. Widziałam, jak Starbuck przyszedł dzisiaj do Źródła, i domyśliłam się, że musiała go przysłać Królowa. – Poznała z jego miny, że zarobiła dalsze punkty.

– Czy wiesz także, kim jest Starbuck?

– Jasne. Jestem przecież Zimaczką, nie? I tak jak ty zajmuję się interesami Źródła. – Spojrzała śmiało w jego oczy. – Może więc powiesz mi resztę? Co kupiła Królowa, jaka jest jej ostatnia niespodzianka na przyjęcie pożegnalne? Możesz śmiało mówić, prawie jestem twoją żoną. – Górowała nad nim w butach na wysokich obcasach, patrzyła mu przez ramię na grupkę gestykulujących mężczyzn, otaczających lśniący stół. Rozglądając się wokół, spostrzegła, że to miejsce jest dobrze wyposażonym laboratorium. Zawsze ją zastanawiało, jak Źródłu udaje się zapewniać tutaj stale taką różnorodność nielegalnych przyjemności, choćby zawiedli go regularni dostawcy... Przyjrzawszy się bliżej, zauważyła na nieskazitelnej powierzchni stołu jedną ciężką walizę. Na jej wieku i bokach widniało UWAGA... i koniczynka sybilli. Dostała gęziej skórki.

– No, można powiedzieć, że szykuje Letniakom niespodziankę. – Uśmiechnął się – Nie musisz się jednak martwić o swą śliczną główkę. Miałaś swoje zastrzyki, poza tym odlatujesz stąd ze mną. Nie obchodzi cię chyba, co się tu stanie po twoim odjeździe, prawda?

Wykręciła się niespokojnie w jego uchwycie.

– Co masz na myśli?... Ej, czemu na tym pudełku jest znak sybilli, co? Oznacza on... – Skażenie? – “Biologiczne skażenie”? – Skrzywiła się, gdy ujrzała wyraźniej drobny napis. – Co to znaczy – zarazki? Choroba, trucizna? – podniosła głos.

– Hej, zamkniesz się czy nie? Mów ciszej... – Potrząsnął nią brutalnie.

– Co zamierzacie? – Szarpała się z rosnącą paniką. – Chcecie zabijać ludzi! Chcecie zabić mój lud!

– Cholera, Perse, tylko Letniaków! Zimaków nie, są bezpieczni, tak chciała Królowa.

– Nie, kłamiesz! To zabije i Zimaków, Królowa nie pozwoliłaby nas zabić! Zwariowałaś, Oyar, puść mnie! Polluks, pomocy, Polluks... – Od stołu odszedł inny człowiek, kierując się ku nim, a ciężkie łapy Oyarzabala trzymały mocno więźnia. W rozpaczy szarpnęła w górę kolanem, zgiął się z rykiem w pół i nagle ją puścił, by...

Promień ogłuszacza trafił ją od tyłu, upadła na drzwi, zatrzęsnęła je, osuwając się bezradnie na podłogę.

– BZ, lepiej zaczekaj tu na mnie. – Moon zatrzymała się na dziedzińcu u wrót do pałacu, skąd zaczynała się Ulica. Za przeciwburzowymi murami miasta była znowu noc, lecz nawet tutaj świętujący śmiali się i tańczyli, a muzycanci grali. W tym miejscu więcej było zamaskowanych i niezwykłych postaci, skrzących się od klejnotów, obsypanych złotym pyłem; przed zdziwionymi oczami Moon pyszniły się wspaniałości sprowadzane z kilku światów. Jej własne, naśladowujące królewskie szaty uznała w porównaniu z ich za niemal łaachmany, kryła je, podobnie jak twarz. Strój BZ wydawał się coraz bardziej groteskowo nie na miejscu, lecz z nierozsądnym uporem nie chciał się rozstać z płaszczem munduru.

– Nie pozwolę ci iść samej. – Pokręcił głową, dyszał ciężko po wspinaczce długim, spiralnym podejściem do końca Ulicy. – Królowa...

– Ja jestem Królową. – Spojrzała na niego z pogardą. – Zapominacie się, inspektorze... – Pokręciła głową, próbując bezskutecznie o kapryśny ton, zbyt był daleki jej charakterowi. – BZ, jak mogę ci to tu wytłumaczyć? – Spojrzała na strzeżone wejście do pałacu, poczuła, jak pierś ściska jej strach.

– Mam to. – Wyciągnął swój identyfikator i ogłuszacz. – Tak wyglądam bardziej regulamionowo. – Zapiął kołnierz płaszcza.

– Nie. – Poczowała, jak ściskanie przechodzi w ból. – Zamierzam odszukać tam Sparksa. – Zmuszała jego nachmurzone brązowe oczy, by nie pozwalały opuścić się jej własnym. – Cokolwiek się stanie, muszę zmierzyć się z tym sama. Nie mogłabym tego zrobić... – *na oczach innego kochanka*. Usta jej zadrżały.

– Wiem. – Umknął ze wzrokiem. – Nie, nie mógłbym na to patrzeć. Moon, chcę dla ciebie wszystkiego, co najlepsze, uwierz mi, życzę ci, by spotkało cię wyłącznie szczęście. Ale, do diabła, nie jest mi przez to łatwiej.

– Ciężej. – Przytaknęła. – Jest ci ciężej.

– Wejście... daj mi się do niego odprowadzić. Strażnicy zdziwiliby się, gdybyś nie miała ochrony. Zostanę tu, póki nie wyjdiesz z pałacu lub dowiem się dlaczego.

Ponownie przytaknęła, nawet nie próbując odpowiadać. Przebijali się przez korowód tancerzy; czuła, jak wszystkie jej nadzieje i żale stapiają się w kłęb bolesnych przewidywań... *Jesteś Królową; bądź Królową, przestań się trząść!* Wstrzymała dech, gdy wartownicy przy ciężkich wrotach zaczęli się jej przyglądać. Jak przewidział Gundhalinu, mieli przy sobie ogłuszacze. *Och, Pani, czy mnie słyszysz?* Przypomniała sobie, że teraz nie kieruje nią bogini, lecz maszyna, która przekazała jej, że musi przybyć.

W tym momencie była już pewna, że wartownicy zmuszą ją do odrzucenia kaptura, i trzymała głowę wysoko, starała się uwierzyć tak mocno, by i oni uwierzyli.

– Wasza Wysokość! Jak... – Mężczyzna z lewej strony bramy opamiętał się, podniósł dłoń do piersi i zgiął się w ukłonie. Przyłączyła się stojąca obok kobieta, ich przypominające pozaziemskie hełmy załśniły bielą. Ogromne, ściemniałe od starości drzwi poczęły się rozwierać.

Czując, jak drży jej twarz, Moon odwróciła się szybko, spojrzała w oblicze Gundhalinu pokazujące należyty szacunek... i dostrzegalne tylko dla niej poczucie bolesnej straty.

– Dziękuję wam za pomoc, inspektorze Gundhalinu.

Sztywno schylił głowę.

– Uczyniłem to z przyjemnością... Wasza Wysokość. Proszę mnie wezwać, gdybyście znów mnie potrzebowali. – Podkreślał każde słowo, wykręcając niespokojnie ręce; zasalutował i odwrócił

się, ginąc zaraz w tłumie.

*BZ!* O mało co nie zawołała; nie uczyniła tego, spojrzawszy w otwarte drzwi i widniejącą za nimi ciemną, błyszczącą salę, zapraszającą do zakończenia drogi. Wartownicy patrzyli podejrzliwie na oddalające się, okryte podniszczonym mundurem plecy Gundhalinu. Owinąwszy się oponczą, Moon weszła do pałacu.

Szła jak widmo pustym korytarzem, miękkie buty odzierały ją z istnienia. Założyła sobie klapki na oczy, bała się stanąć, zagubić w kryształowej, hipnotycznej pustce purpurowo-czarnych szczytów i zawalonych śniegami dolin Zimy, wymalowanych na ciągnących się w nieskończoność ścianach korytarza. Do jej przytłumionych uszu zaczęło powoli dochodzić mruczenie Sali Wiatrów. Chwyliła dane jej przez Herne'a pudełko sterownika; dłonie miała wilgotne i zimne.

Sam Herne, mówiąc jej, co tu zobaczy, był spocony, trzęsły mu się ręce – opowiadał o porywającym wichrze, wzdymających się jak chmury kształtach, jednej nitce kładki przekraczającej łukiem Otchłani. Przepaść, której niemal nie zmienił w grób swego przeciwnika, Sparksa, a która zniszczyła jego – przez Arienrhod. Królowa złamała własne prawa, wtrąciła się, by uratować Sparksa, uwięzić Herne'a w kalekim ciele, sprawić, by bezlitosna miłość-nienawiść zżerała mu duszę.

Moon doszła do końca korytarza otwierającego się na powietrze – ogromne, jęczące władztwo nie spoczywającego nigdy powietrza, w którym blade widma chmur nadymały się i dygotały pod dotykiem ich nieziemskiego kochanka. Poczowała, jak niknie i maleje, gdy lodowate zawirowanie zewnętrznego powietrza wykryło jej wtargnięcie i otoczyło ją łapczywie, szarpiąc za płaszcz. Za murami tysiące tysięcy rozpalonych do białości gwiazd świeciło w rudawej kuźni nocy, tu jednak nie było ani ciepła, ani światła z wyjątkiem widmowej, zielonkawej poświaty otwierającego się pod nią szybu dla obsługi... bez litości.

Podeszła jeden krok, potem następny, ku rozpiętej nad otchłanią wąskiej kładce całkowitego mroku. *Nie powiedział mi, że będzie ciemno!* Zachwiała się ze strachu, przebiegła palcami po klawiszach przypiętego do nadgarstka sterownika – w kolejności, która według Herne'a ma otworzyć przed nią w powietrzu bezpieczny tunel. *A może to wszystko kłamstwa?* Nie była jednak obiektem mrocznych namiętności Herne'a, a tylko jego surogatem. Jeśli cokolwiek dla niego znaczyła, to wyłącznie jako narzędzie zemsty.

Podeszła jeden krok, potem następny, aż stanęła z drzeniem na krawędzi Otchłani. Nagły wilgotny podmuch wzbil się szybem, złapał ją niespodziewanie, cofnął na platformę. Przyniósł z sobą zapach Morza, ostry i słodko-gorzki, pełny woni ryb i soli. Moon krzyknęła ze zdumienia, jej głos utonął w wichurze.

– Pani! – Wydech morza odrzucił ją ponownie, zaplątał się w nieprzywykłych do tego sukniach; instynktownie, jak żeglarz na przechylającym się pokładzie, odzyskała równowagę... jak żeglarz, a nie jak Królowa.

Uniosła głowę, drżące, widmowe zasłony nie wydawały się jej dłużej chmurami, kapryśnymi i nieprzewidywalnymi, lecz łopoczącymi na morskim wietrze żaglami. W dłoni, w mieszczącej się w niej pudełku, tkwił ster i lina, dzięki którym mogła wybrać sobie kurs przez tę studnię w morzu. Bijący w górę powiew uderzył ją znowu w ostatnim ostrzeżeniu.

– Pójdę... – Dotknęła pierwszego guzika, usłyszała początkowy ton melodii, poczuła uspokajające się wokół niej powietrze. Mając za sobą umiejętności stu poprzednich pokoleń ludzi, którzy stawiali czoła morzom i gwiazdom, minęła próg i zaczęła przechodzić. Co trzeci krok grała nową nutę, pilnowała, by nie iść ani za szybko, ani za wolno, całą swą uwagę skupiała na wygrywanym wzorze i rytmie.

Gdy Moon minęła środek mostu, zielonkawy poblask rozjaśnił się, poczuła nieokreśloną obecność, bezdźwięczny głos, echo odległego miejsca i czasu... pieśń nuconą jej przez jaskinię sybilli. Szła teraz wolniej, aż wreszcie stanęła, przykuta do tego miejsca przyciągającym nieludzkim pięknem. Ucisk palców na pudełku sterownika osłabł, jego ostry, przenikliwy ton uciszył się i zamilkł... Nagły klaps wiatru rzucił Moon na kolana, dźwięk jej własnego krzyku rozbił zakłęcie i uwolnił ją. Wstała niezdarnie, drżącymi dłońmi wydała sterującą nutę. Ruszyła szybko poganiana paniką, czuła ciągle drażące głowę wezwanie, ale było już cichsze.

Oszołomiona i nic nie rozumiejąca, dotarła do drugiego brzegu, dysząc ciężko, stanęła na twardym gruncie. To nie jest miejsce wyboru! Jak mogło ją rozpoznać?... Pokręciła głową. Czując się obco we własnym ciele, odwróciła się od progu, oderwała wzrok od otchłani i wyszła z Sali.

Wybrała inny korytarz, szła żyłami pałacu, kierując się mapą wrytą jej w pamięci przez Herne'a. Znowu usłyszała muzykę – tym razem ludzką, dźwięki pięknych pieśni Kharemoughi. W myślach ujrzała znowu ogrody Aspundtha, drżącą wspaniałość zorzy, tańczącą świtem na aksamitnym niebie. Doszła do szerokich, pokrytych dywanem schodów, prowadzących do wielkiej sali zajmującej połowę piętra pałacu; spłynęła na nią kojąca muzyka, ujrzała dwóch zaskoczonych służących, pochylających swe głowy i śpieszących jej na spotkanie.

Sama także ruszyła szybciej, minęła podest otwierający się na wielką salę, w której Królowa przyjęła wieczorem Premiera i członków Rady. Weszła na drugie piętro, gdzie według Heme'a mieściły się komnaty Starbucka. Wiedziała, że prawdopodobnie będzie teraz wśród tłumu gości, ale nie miała śmiałości wkroczyć tam, gdzie całą uwagę przyciągała Arienrhod.

Gdy jednak opuściła schody, usłyszała niespodziewanie muzykę i znalazła drobną, ukrytą w mroku wnękę, skąd widać było salę. Pomyślała, że może to być stanowisko wartownika, lecz teraz nikt go nie zajmował. Podeszła do barierki, wyjrzała w cienie, choć cierpła jej skóra od pewności, że spoczną na niej jak reflektory wszystkie oczy.

Gdy jednak ujrzała salę, zapomniała o sobie, wobec rojącej się w dole masy królewskich gości była mała jak owad na ścianie. Błazi dostojnicy Zimy mieszały się swobodnie ze śniadymi Kharemoughi, różnice w barwie skóry niknęły wobec drażniącej oczy pstrokacizny strojów. Tłoczyli się beładnie wokół stołów pełnych resztek sztuki kulinarnej Zimy, eklektycznych wspaniałości kuchni miejscowej i obcej. Moon przełknęła wypełniającą nagle usta ślinę, przypomniała sobie zjedzony wiele godzin temu w kasynie skąpy posiłek. Zawieszane nad nią w powietrzu, pokryte lustrzanymi ściankami kule obracały się w milczeniu, zsyłając na tłum lawinę mieniącego się światła.

Moon pozwoliła oczom błąkać się po sali, zauważyła stojącą na straży pozaziemską policję, rozmieszczoną dyskretnie pod ścianami. Ciekawa była, czy jest tu komendant policji, przeklęła w duchu krzywdy, jakie swym niczym nie złagodzone poczuciem sprawiedliwości wyrządziła BZ; to, co zrobiłaby z życiem jej i Sparksa. Raz miała wrażenie, iż spostrzegła pierwszego sekretarza Sirusa, lecz zgubiła jego twarz, gdy grupa gości skupiła się dla wzniesienia toastu.

Nigdzie jednak w rozległej sali nie dostrzegła kobiety przypominającej Królową... czy też ją. Nie widziała również mężczyzny w czerni, niby kat skrywającego swą twarz... ani rudowłosego chłopca, którego twarz rozpoznałaby zawsze, choćby nie wiadomo jak się zmieniła. Czyżby go tam nie było? Czy już opuścił salę, czy znajdzie go w komnatach Starbucka? Oderwała się od balustrady, serce biło jej jak skrzydła uwięzionego w klatce ptaka.

– A więc tu jesteś – usłyszała za plecami męski głos. – Nawet dzisiaj nie możesz przestać szpiegować swych gości? – Słowa były niewyraźne i pełne powstrzymanej wrogości.

Moon zeszywniała, poczuła, że się czerwieni, jakby została przyłapana na przestępstwie. Zacisnęła usta i zęby w nadziei, iż nieznajomy uzna, że to rumieniec złości. Odwróciła się z



podniesioną wysoko głową, przytrzymując w dłoni spódnicę.

– Jak śmiesz tak mówić do... – Suknia wyslizgnęła się z nieczułych palców. – Sparks? – Zachwiała się.

– A któżby inny? – Wzruszył ramionami i czknął. – Twój wierny cień człowieka – dodał, pochylając się niepewnie.

– Sparks. – Wyprostowała ręce, złapała mocno swe dłonie, by ich nie wyciągnąć. – To ja.

Skrzywił się, jakby usłyszał marny dowcip.

– Mam nadzieję, Arienrhod; bo inaczej znaczyłoby to, że upiłem się tak bardzo, iż nie widzę już prawdziwych koszmarów... – Zerknął na nią zamglonymi oczami, podrapał się w ramię przez rozcięte rękawy.

– Nie Arienrhod. – Z trudem wyduszała z siebie słowa. – Moon. Jestem Moon, Sparkie... – Dotknęła go w końcu, wstrząsnęło to jej ręką.

Wyrwał się, jakby paliła go swym dotykiem.

– Do diabła z tobą, Arienrhod! Daj mi spokój. To nie jest śmieszne; nigdy nie było. – Odwrócił się, by odejść.

– Sparks! – Poszła za nim ku światłu, mocując się z zapięciem naszyjnika. – Spójrz na mnie! – Złapała opadający klejnot.

– Spójrz na mnie.

Odwrócił się opornie; Moon podniosła dłoń do szyi, odciągnęła wysoki kołnierz. Wrócił do niej, mrużąc oczy – zobaczyła, jak w jednej chwili odpływa krew z jego czerwonej twarzy.

– Nie! Bogowie, nie... ona nie żyje. *Nie żyjesz. Zabiłem cię.* – Wskazał na dziewczynę, oskarżając siebie.

– Nie, Sparks, żyję. – Złapała jego dłoń w dwie własne, przyciągnęła pomimo oporów, położyła na swej ręce. – *Żyję! Dotknij mnie, uwierz... Nigdy mnie nie skrzywdziłeś. – A jeśli nawet, to teraz tego nie pamiętam.*

Przestał walczyć z jej uchwytem; powoli otoczył dłonią jej rękę, przesunął nią po rękawie aż do nadgarstka. Opuścił głowę.

– Och, na tysiące bogów... czemu tu przyszedłeś, Moon? Czemu? – zapytał gorąco, niespokojnie.

– By cię odnaleźć. Bo mnie potrzebujesz. Bo ja potrzebuję ciebie... bo cię kocham. Och, kocham cię... – Otoczyła go ramionami, złożyła głowę na jego piersi.

– Nie dotykaj mnie! – Odepchnął ją brutalnie. – Nie dotykaj mnie.

Moon zachwiała się, pokręciła głową.

– Sparks, ja... – Potarła twarz, przypomniała sobie mętnie ból policzka skaleczonego przez niego. – Bo jestem sybillą? To nie ma znaczenia! Sparks, byłam poza planetą; dowiedziałam się prawdy o sybillach. Nie zarazę cię. Nie musisz się bać mnie dotykać. Możemy być z sobą, tak jak zawsze byliśmy.

Patrzył na nią.

– Jak zawsze byliśmy? – powtórzył bezbarwnym, wątpiącym tonem. – Jak dwóch prostych Letniaków śmierdzących rybami i suszącymi się na słońcu sieciami? – Kiwnęła słabo głową, poczuła, że kark odmawia kłamliwego ruchu. – Nie muszę się też bać, że mnie zarazisz. – Szczere zaprzeczenie. – A może mam zarazić ciebie? – Walnął się w pierś otwartą dłonią, zmuszając ją do ujrzenia go takim, jakim był; w koszuli z satynowych strzępów barwy i kształtu płomieni, ukazującej jęzory ciała pomiędzy jęzorami materiału; ze zwisającymi z szyi i nadgarstków niby okowy złotymi łańcuchami nabijanymi grubo klejnotami; w obcisłych spodniach nie zostawiających nic wyobraźni.

– Jesteś... jeszcze piękniejszy niż we wspomnieniach. – Powiedziała prawdę, przestraszyła się

odczutej nagle fali pożądania.

Podniósł ręce, zasłaniając oczy.

– Czy nie wiesz? Do cholery, czemu tego nie rozumiesz? To nie mnie widziałas na plaży zabijającego mery? Jestem Starbuckiem – czy nie wiesz, co to znaczy, czym mnie czyni?

– Wiem – szepnęła łamiącym się głosem. *Mordercą... kłamcą... obcym.* – Wiem, co to znaczy, Sparksie, lecz nic to mnie nie obchodzi. – Zmusiła się do powiedzenia tego, bo za tę chwilę zapłaciła zbyt wysoką cenę, by otrzymać w zamian popioły i zgliszcza. – Czy tego nie widzisz? Nic mnie nie obchodzi, co widziałeś, zrobiłeś, kim byłeś – odkąd cię odnalazłam, jest to dla mnie niczym. – *Nie ma czasu, śmierci ani przeszłości; póki nie pozwolę, by wkroczyły między nas.*

– Nic nie obchodzi? Nie dbasz nawet o to, że od pięciu lat jestem kochankiem innej? Ani o to, ile zarząłem świętych merów Pani, bym mógł zachować dla niej wieczną młodość? Nic cię nie obejdzie, jeśli dowiesz się, dokąd wyszedłem dziś z łupem z ostatnich Łowów i co dzięki niemu za kilka godzin stanie się z twoim i moim śmierdzącym rybami ludem? – Złapał ją za nadgarstek, wykręcając ramię. – Nadal nie jest dla ciebie ważne, że jestem Starbuckiem?

Wzdrygnęła się z wstrętu i gniewu, niezdolna odpowiedzieć mu czy nawet walczyć, gdy zaczął ją wlec korytarzem.

Doszedł do drzwi, uderzył dłonią w zamek i otworzył je kopnięciem, wciągnął Moon do pokoju. Jaskrawe światła uraziły jej oczy, gdy Sparks zatrzasnął drzwi i zablokował zamek odciskami palców. Zobaczyła wpatrujące się w nią z każdej ściany własne oblicze. Popatrzyła w sufit i spostrzegła siebie patrzącą w dół; szybko opuściła wzrok i zatoczyła się w oczekujące ramiona Starbucka. Uśmiechał się do niej, lecz uśmiechem, jakiego nigdy u niego nie widziała, mrozącym krew w żyłach.

– Sparks... co to za miejsce?

– A jak myślisz, kuzyneczko? – Obracał ją w rękach, aż ujrzała zajmujące środek pokoju szerokie łóżko. Wzmocnił uchwyt, gdy zaczęła się wywijać, złapał ją za pierś. – Dla ciebie minęło mnóstwo czasu, prawda, słodziutka? Poznałem to po twych oczach, gdy patrzyłaś tam na mnie. Po to więc przebyłaś taką długą drogę, by zostać kochanką Starbucka? Cóż, jeśli sobie życzysz, cukiereczku... – Szarpnął koszulę, zobaczyła na jego żebrach przypominające robaki białe szramy. – Mogę cię obsłużyć.

– Och, nie, Pani... – Złapała go za bok, zasłaniając blizny.

– Nie? W takim razie zrobimy to szybko i prosto, tak jak przywykły letniackie dziewczyny. – Zaciągnął ją do łóżka i rzucił na nie, przyciskając swym ciałem. Zaciskała kurczowo usta, broniąc się przed brutalnymi pocałunkami, zdusiła krzyk, gdy tak mocno ścisnął jej pierś, że aż zabolęło. – To nie potrwa długo. – Zaczął się szarpać ze spodniami, nie spuszczać ani na chwilę oczu z jej twarzy.

– Sparksie, nie rób tego! – Wyrwała rękę i uderzyła go w twarz z rozpaczliwą łagodnością. – Ani ty tego nie chcesz, ani ja...

– To dlaczego, do cholery, nie walczysz? – Potrząsnął nią wściekle. – Zakaż mnie, sybillo! Udowodnij, że jesteś kimś, kim nigdy nie będę. Kopnij mnie, ugryź, skalecz – spraw, bym oszalał.

– Nie chcę cię skrzywdzić. – Patrząc na własną twarz na suficie, na jego ogniste włosy i ciało na swoim, widziała jedynie mięknącą, tracącą rozum twarz Taryda Roh, podobnie zachowującego się Sparksa... *to zbyt łatwe, zbyt łatwe!* Odetchnęła z trudem. – Mogę! Uwierz mi, mogę to zrobić! Mogę cię wpędzić w szaleństwo. Ale nie chcę cię skrzywdzić. – Zamknęła oczy, odwróciła twarz, czuła, jak napór jego oddychającego ciała wypiera powietrze z jej płuc. – Dość przeze mnie doznałeś krzywd od niej.

Oczy miał jak mur.

– Sybillo, nie marnuj na mnie litości, bo nicną nie uzyskasz. – Złapał ją za brodę, odwrócił twarzą do siebie. – Jesteś ze Starbuckiem – chciałaś go, a na całym świecie nie ma nic podlejszego. – Ale tym razem jego oczy uległy pod jej oczyma, zrozumiała nagle, że jeśli nawet chciał to jej zrobić, odmawiało mu ciało.

– Chciałam Sparksa! I znalazłam. Nie masz na sobie korony z cierni, czarnego kaptura ani krwi na rękach. Nie jesteś Starbuckiem. Nie musisz więcej nosić jego stroju.

– Nie jestem Sparksem! A ty nie jesteś Moon... – Pokręcił głową, poczuła drzenie, które przeszło ich ciała. – Jesteśmy duchami, echami, zagubionymi duszami popadłymi w czyściec, przeklętymi w piekle. – Puścił jej twarz.

– Sparks... kocham cię. Kocham. Zawsze kochałam. – Mruczała bez tchu, jakby szeptała zaklęcia mające uspokoić morze. – Wiem, co robiłeś, mimo to jestem tutaj. Bo cię znam. Wiem, że musiało tak się stać. Nie wróciłabym, gdybym nie wierzyła, iż możemy przewyciężyć czas i zło między nami. Jeśli w to wątpisz, odeślij mnie... Wpierw jednak spójrz na siebie, spójrz w lustro! Jesteś tu tylko ty, obok mnie nie ma nikogo innego. To jawa, a nie koszmar.

Powoli zsunął się z niej, popatrzył w twarz.

– Co... co ci się stało w policzek? Czy to ja ci zrobiłem?

Uniosła dłoń do żółtej szramy po ranie, kiwnęła głową.

Wstał z łóżka z twarzą bladą i bez wyrazu, podszedł do oczekującego cierpliwie na ścianie odbicia. Ich dłonie spotkały się na powierzchni szkła, przycisnął czoło do swego obrazu. Moon zauważyła, jak jego ciało napina się niby ściskana sprężyna.

– Sparks...

Zwarł dłonie w pięści i uderzył w zwierciadło, powalił swe odbicie z hukiem pękającego lodu. Cofnął się, odwrócił... ujrzała, jak z dłoni niby kręta błyskawica spływa mu krew.

Wstała i podeszła do Sparksa, złapała jego dłoń, zasklepiając ranę.

– Nie, przestań! Zostaw, niech krwawi! – krzyknął żywo, niemal radośnie. Spojrzała na niego zboląta, lecz pokręcił głową. – Nie widzisz? Jestem żywy! Żyję, Moon... – Zaniósł się czymś przypominającym śmiech, choć nim nie będącym. Ujrzała, jak jego oczy, zalewane wypływającymi spod mrugających powiek łzami, nabierają barwy szmaragdu. Podniósł mokre dłonie do mokrej twarzy. – Moon. Moja Moon. – Znów ją objął, lecz tym razem nie było w tym nic bolesnego poza cierpieniem odrodzenia i wyzwolenia. – Żywy. Znowu żywy...

Poczuła w sobie rozpalającą się falę żaru. Rozpięła płaszcz, pozwalając mu opaść, i jeszcze mocniej przycisnęła się do Sparksa. Trafiła palcami na rozcięcie w jego koszuli, dotknęła ciepłego, gładkiego ciała, poruszających się pod jej dotykiem mięśni. Jego ręce przesunęły się w dół po jej boku, wzniosły znowu, śledząc krągłości pleców. Przesunął się z nią do łóżka, pociągnął obok siebie na chłodne prześcieradło, tym razem z nieskończoną łagodnością.

– Nie, daj mi... pozwól mi tylko... – Całował ją miękko, zsunął jej suknię z ramion i ciała, aż opadła na podłogę. Na wpół świadomie zdjął swoje ubranie, Moon starała się nie widzieć blizn na jego ciele.

Leżeli razem i gdy spojrzała w górę, dostrzegła jedynie tę chwilę, spełnienie pragnień jej serca. Zaczęli się nawzajem dotykać, niemal wstydliwie odkrywali na powrót tajemne radości dzielone w Lecie. Czas zaczął się zwijać w stronę nieskończoności, jej ciało stało się źródłem wszechświata, gdy każdą cząstką swego budził w niej błogość. Z wprawą, jakiej nie miał przedtem, doprowadził ją na próg ekstazy, przytrzymał tam bujającą w powietrzu... pozwolił jej opaść w cudowne płomienie, skąd wzbiła się jak feniks... raz po raz. Wyrzucona poza wszystko, czego się spodziewała, zagubiona w czasie, odpowiadała mu jak tylko mogła najlepiej, mruczała zadyszane słowa miłości, którymi nie

była w stanie wypowiedzieć całej radości, wypełniała swe instynktowne reakcje napiętą energią spętanej, czekającej tak długo na wyzwolenie tęsknoty. Wreszcie runęli razem w ogień, pochłonięci nim leżeli miękko jak popiół w swych ramionach. Dopełniwszy swej miłości, dopełniwszy siebie nawzajem, zasnęli.

– Moon... Moon, obudź się.

Moon westchnęła, śniąc na ciepłych węglach.

– Jeszcze nie. – Zaciskała powieki, obawiała się trochę je rozchylić.

– Tak. Musisz. – Głos Sparksa ponaglał ją łagodnie, lecz uparcie. – Nie możemy dłużej tu zostać. Zaraz zacznie się przyjęcie. Musimy opuścić pałac, nim przyjdzie po mnie Arienrhod... – Lęk ścisnął mu gardło.

– Wiem – przytaknęła, nagle, boleśnie przypomniała sobie, że policja szuka i jego. Dotknęła ramienia kochanka. – Znajdziemy jakieś miejsce, w którym przeczekamy Zmianę.

– Zmiana! – Zesztywniał pod jej dłonią. – Och, bogowie... och, moja Pani! – Usiadł z zaciśniętymi pięściami.

– O co chodzi? – Moon usiadła obok, nagle przebudzona i przestraszona.

Spojrzał na nią blady z przerażenia.

– Nie będzie żadnej Zmiany, jeśli Arienrhod zrobi, co zaplanowała. Zamierza wywołać epidemię, która zabije większość Letniaków w mieście.

Moon pokręciła głową.

– Jak? Dlaczego?

– Wynajęła pozaziemca zwanego Źródłem, który to zrobi. Załatwia większość jej brudnej roboty; udało mu się nawet zatruć poprzedniego komendanta policji. Zapłaciłem mu wczoraj wodą życia. – Przygryzł wargi. – Pragnie pozostać Królową i zachować Zimę na zawsze.

Moon zamknęła oczy, skupiając się tak bardzo na ogromie zgrozy, że nie dostrzegła w tym jego ręki.

– Musimy temu zapobiec!

– Wiem. – Odrzucił koldrę. – Moon, idź do Sinych. Opowiedz im o wszystkim. Nie dopuszczą do zarazy, jeśli nie jest jeszcze za późno. – Miał pościel w dłoniach. – Na oczy Matki! Jak mogłem...?

Moon poczuła lęk dławiący jej gardło, gdy uświadomiła sobie, dlaczego nie może iść na policję.

– Sparks, byłam na innej planecie. Oni o tym wiedzą.

Spojrzał na nią ostro.

– Deportują cię.

Kiwnęła głową, wstrząsając włosami.

– Ale muszą się dowiedzieć.

– To pójdźmy razem. Może... pozwolą nam zostać razem. – Opuścił obejmujące jej plecy dłonie.

Dostała gęziej skórki. Wstała i wyszła z łóżka, wiedząc, że jeśli się zawaha, nie zdoła już oderwać się od Sparksa. Zaskoczył ją obraz ciała jej i kochanka, odbijający się w nieskończoność od wykładanych lustrami ścian, jakby na cały m świecie nie było niczego poza nimi... Przypomniała sobie nagle, że przed pałacem czeka BZ, zamknęła znowu oczy, nie chcąc patrzeć na ich odbicia.

Ubrali się w milczeniu i wyszli ze zwierciadlanej komnaty; obejrzała się po raz ostatni na zamykające się drzwi, w których mignęły lustra. Szybko i cicho szli pustymi korytarzami, przekonali się, że leżąca pod nimi sala przyjęć jest równie milcząca i mroczna co oni. Moon zobaczyła, jak twarz Sparksa napina się i krzywi potajemnie.

– Sparks, pamiętaj, że jesteśmy tu u siebie! – Naciągnęła kaptur, zasłaniając częściowo

rozwichrzoną fryzurę, i zaczęła iść jak królowa.

Spojrzał na nią i kiwnął głową, lecz mimo zmiany postawy nadal wyglądał na zmartwionego. Zeszli po schodach, minęli bez przeszkód wejście do sali przyjęć, otoczone przez zmęczonych, sprzątających służących. Wreszcie doszli do Sali Wiatrów, równie mrocznej i jęczącej, jak wtedy, gdy ujrzała ją po raz pierwszy, z unoszącymi się jak zawsze w górze widmowymi statkami.

– Jak przeszłaś nad otchłanią? – wyszeptał i poczuła się zmuszona do równie cichej odpowiedzi. – Dzięki temu. – Wyciągnęła rękę, pokazując przyczępione do nadgarstka pudełko sterownika.

Spojrzał zaskoczony.

– Tylko Arienrhod...

– I Herne. Powiedział mi, jak go używać.

– Herne? – powtórzył z niedowierzaniem. – Jak to?

Pokręciła głową.

– Powiem ci wszystko... później. – Przypomniała sobie wyraźnie przywołujące wezwanie, które usłyszała podczas przechodzenia przez most. – Pomóż mi teraz... nie pozwól, bym się zatrzymała, za żadną cenę. – Odetchnęła głęboko.

– Dobrze. – Miał zmartwioną minę, choć nie rozumiał jej obaw.

Podeszli do skraju otchłani, do początku mostu. Moon poczuła dech Morza, wionący zimnem i wilgocią w jej zarumienione policzki, gdy uniosła dłoń, by wypuścić pierwszą nutę ? uspokajającej melodii. Sparks ciągle stał odwrócony, wpatrując się w mrok za nimi. Podeszła do niego z narastającym niepokojem.

Porywiste powietrze wypełniło światło, sala zmieniła się całkowicie. Przycisnęli się do siebie, nic nie rozumiejąc zasłaniając mrugające oczy.

Nie byli sami.

– Arienrhod! – westchnął Sparks. Moon ujrzała kobietę stojącą u wejścia do sali, otoczoną przez dostojników w bogatych szatach – i pałacowych strażników. Obejrzawszy się przez ramię, dostrzegła po drugiej stronie mostu dalsze postacie.

*Królowa.* Kobieta, nazywana przez Sparksa Arienrhod, podchodziła do nich powoli, aż wreszcie ukazała się wyraźnie. Moon zobaczyła jej włosy, równie mlecznobiałe co jej własne, ułożone w wymyślne sploty i zwieńczone diademem... zobaczyła twarz władczyni – swą własną, jakby zbliżało się do niej lustrzane odbicie.

– To prawda... – mruknęła wbrew woli.

Sparks nie odpowiedział, nie patrząc na Królową, rozglądał się na boki, szukając drogi ucieczki.

Arienrhod stanęła przed nimi i Moon zapomniała o wszystkim wobec fascynacji spinającej zielone jak mchy oczy jej i Królowej. W spojrzeniu władczyni nie było jednak jej własnego zdumienia. Odniosła nawet wrażenie, że Arienrhod całą wieczność czekała na tę chwilę.

– A więc w końcu przybyłaś, Moon. Powinam była wiedzieć, że przeżyjesz. Jak mogłam zapomnieć, że nie pozwolisz, by cokolwiek stanęło ci na drodze do celu. – Królowa uśmiechnęła się z dumą, lecz także z ciekawością podszytą zazdrością.

Moon obojętnie wytrzymała to spojrzenie, nie rozumiejąc, co oznacza. W głębi jednak czuła niepokój, rozrywający ją niby przyciąganie czarnego słońca. *Spodziewała się mnie... skąd mogła wiedzieć, że przyjdę?*

– Tak, Wasza Wysokość. Przyszłam po Sparksa. – Rzuciła jej wyzwanie, wiedząc instynktownie, że dzięki niemu osiągnie uznanie tej kobiety.

Królowa roześmiała się, wysokie, ostre dźwięki brzmiały jak wiatr szeleszczący skutymi lodem liśćmi, ale przy tym niepokojąco przypominały jej własny śmiech.

– Przybyłaś tu, by zabrać mi mojego Starbucka? – Sparks zerknął na nią i na czekających dostojników, którym wydała jego tajemnicę, stali jednak za daleko, by słyszeć słowa wymawiane na tle westchnień otchłani. – No, tylko tobie mogło to się udać. – Moon ponownie usłyszała ból skrywanej zawiści. – Ale nie utrzymasz go długo. Zobaczysz, jak się waha. Czyżbyś naprawdę wierzyła, iż będzie szczęśliwy w Lecie, należąc tak długo do Krwawnika? Czyżbyś naprawdę wierzyła, iż zadowolony będzie z tobą, mając mnie? Nie, dziecię mego umysłu... ciągle jesteś dzieckiem. Niepełną kobietą, żałośnie niedoświadczoną kochanką.

– Arienrhod! – zawołał Sparks głosem ochryplym z niepokoju. – Nie...

– Tak, ukochany. Byłam poruszona. Byłeś dla niej bardzo czuły. – Uśmiechnęła się. Moon poczuła, jak się rumieni, jak zniewaga i upokorzenie dudni trucizną w jej żyłach. – Widzisz, wiem o wszystkim, co się dzieje w moim mieście. – Jej słowa migotały. – Rozczarowałeś mnie, Starbucku. Choć nie mogę powiedzieć, bym była zdziwiona. Skłonna jednak jestem ci wybaczyć. – Wabiła go łagodnymi, pozbawionymi sarkazmu słowami. – Zrozumiesz swą pomyłkę, gdy tylko będziesz miał czas o niej pomyśleć. – Uniósł dłoń i podeszli strażnicy, okrążając ich przy skraju otchłani. – Odprowadźcie Starbucka do jego komnat... dopilnujcie, by w nich pozostał.

Sparks zeszywniał.

– To koniec, Arienrhod! Wiesz o tym. Jestem wolny, obojętnie co zrobisz, by mnie tu zatrzymać. Nigdy nie zmienię zdania. Nigdy więcej mnie nie dotkniesz... – odetchnął głęboko, niespokojnie – .. jeśli nie puścisz Moon. Pozwól jej odejść, a zrobię wszystko, co zechcesz.

Moon otworzyła usta, chciała podejść, lecz powstrzymał ją wzrokiem. Zobaczyła, jak patrzy nagląco na most – *ostrzeż ich...*

– Bardzo dobrze – mruknęła Arienrhod, patrząc mu w oczy. – Potem porozmawiamy na osobności. Jeśli chce iść, obiecuję, że jej nie zatrzymam. – Królowa wyciągnęła do nich ręce, pokazując, że nie knuje żadnego podstępu.

– Nie słuchaj, cokolwiek by powiedziała. Obiecuj mi, obiecuj, że nie uwierzysz w jej słowa – mruknął Sparks, gdy otoczyli go strażnicy. Moon zobaczyła, że jej dłonie wyciągają się ku niemu. Spostrzegła jednak patrzącą Arienrhod, tak jak patrzyła na nich... Sparks uniósł ręce, lecz powstrzymała go ta sama nie wypowiedziana wiedza; opadły mu bezradnie wzdłuż boków. Odszedł ze strażnikami.

Moon stała samotnie między Królową i przepaścią. Owionął ją wiatr, wzmagając spowodowane stratą drżenie; ukryła pod płaszczem swą słabość.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. – Słowa padały z jej ust jak kamienie. Odwróciła się plecami do Królowej, zrobiła krok w stronę początku mostu. *Nie myśl, nie myśl o tym. Nie masz wyboru.*

– Moon... moje dziecko. Zaczekaj! – Głos Królowej szarpnął ją jak haczyk rybą. – Tak, widziałam cię, lecz nie powinnaś czuć się bardziej zawstydzona, niż gdybyś patrzyła na własne odbicie.

Moon odwróciła się z wściekłością.

– Nie jesteśmy tym samym!

– Jesteśmy. A jak często kobieta ma możliwość patrzenia na siebie, śpiąc z kimś? – Arienrhod wyciągnęła znowu rękę, tym razem z pewną tęsknotą. – Czy ci nie powiedział? Naprawdę, Moon? – Dziewczyna patrzyła na nią, nic nie rozumiejąc, zobaczyła, jak królowa zaczyna się uśmiechać. – No, to i lepiej; jeśli wytłumaczę ci sama... Moon, jesteś mną. Jesteś ze mnie. Znam cię od dnia twego poczęcia, obserwowałam całe twoje życie. Przed laty pragnęłam cię tu sprowadzić; dlatego wysłałam

ci wiadomość o Sparksie. Potem zniknęłaś i myślałam, że straciłam cię na zawsze. Ale nareszcie przybyłaś.

Moon cofnęła się przed żarem uczuć Arienrhod, poczuła, jak ostrzegają wiatr. *Pani, czy zwariowała?* Skubnęła płaszcz.

– Skąd wiesz tyle o mnie? Czemu cię to obchodzi? Jestem nikim.

– Moon Dawntreader nie jest nikim – odparła miękko królowa – ale najważniejszą istotą na tej planecie. Moon, czy wiesz, co to klon?

Moon kręciła głową, usiłując sobie przypomnieć.

– To... to bliźniak. – Poczuła dziwne mrowienie rodzące się tuż pod powierzchnią jej skóry.

*Przecież jesteś Królową od zawsze.*

– Jest czymś więcej niż bliźniak, czymś bliższym. To jajo, zespół genów, wzięty z mego ciała i pobudzony do rozwinięcia się w identyczny ze mną organizm.

– Z twego ciała – szepnęła Moon, dotykając własnego, patrząc na nie z nagłym poczuciem obcości. – Nie! – Ponownie podniosła głos. – Mam matkę... babcia widziała, jak się rodziłam! Jestem Letniaczką!

– Oczywiście – powiedziała Arienrhod. – Jesteś Letniaczką... chciałam, byś dorastała wśród nich. Umieściłam cię w łonie matki podczas poprzedniego Święta. Byłaś jednym z wielu klonów, lecz tylko ty przeżyłaś w doskonałym zdrowiu. Odejdź od krawędzi... – Podeszła, wzięła Moon za ramię i odciągnęła ją od skraju Otchłani.

Moon próbowała się wyrwać, lecz jej ciało należało do Królowej ... poczuła, jak ulega sztywno, stało się dla niej wytworem techniki i magii. *Jesteśmy takie podobne... wszyscy to dostrzegają, wszyscy.*

– Po co, po co ci było tyle... kopii Letniaków, a nie Zimaków? – Odmawiała umieścić wśród nich siebie.

– Potrzebowałam jednej. Planowałam wówczas wymienić się z tobą, nim umrę podczas Zmiany. Na siebie – lecz siebie dzięki wychowaniu znającą mentalność Letniaków, potrafiącą nimi manipulować. Chciałam sprowadzić cię tutaj, dawno temu wytłumaczyć wszystko, byś miała czas przygotować się do objęcia swego prawdziwego dziedzictwa. Potem myślałam, że jesteś dla mnie stracona... pocieszyłam się, znajdując Sparksa. Moon zeszywniała, lecz Arienrhod tego nie zauważyła. – Stwierdziłam wtedy, że nie muszę umrzeć, że mogę żyć dalej, a dzięki temu przeżyłaby Zima. Ułożyłam inny plan, który mi to zapewni, już cię nie potrzebuję. Ale nadal cię chcę, zawsze pragnęłam mieć przy sobie moje dziecko, moje, a nie nikogo innego. – Ujęła Moon palcami pod brodę i uniosła jej twarz.

*Nikogo innego...* Moon utkwiała wzrok w Arienrhod, bujając myślami daleko – wspomniła głos przemawiający do niej jak matka, twarz dziewczynki, odbicie w lustrze; oczy wzywające ją po nieskończonej spirali czasu... *Kim jestem? Kim jestem?*

– Jestem Letniaczką! A ty chcesz wybić mój lud. – Rzuciła te słowa w twarz Arienrhod.

Królowa wzdrygnęła się.

– Powiedział ci – stwierdziła z gorzką niewiarą. – Jest głupcem. Nie rozumie, że nie są ludem ani jego, ani twoim, Moon. Jesteś mną, Zimaczką do szpiku kości, tak jak Sparks jest pozaziemcem! – Wskazała na gwiazdy. – Byłaś na innych planetach, wiesz, jak Hegemonia nas wykorzystuje, widziałaś, czego nam zabraniają i co zabierają dla siebie wbrew naszej woli. Czy zaprzeczysz? – krzyknęła, żądając odpowiedzi.

Moon spojrzała w rudawe niebo.

– Nie, to prawda. Potępiam to. – Wśród niezliczonych gwiazd dostrzegła ciała niezliczonych



merów. – Zmiana musi ulec zmianie.

– Rozumiesz więc, że bzdurna, przesadna nienawiść Letniaków do techniki utrzymuje nas w łańcuchach po odejściu pozaziemców. Nigdy nie wyrwiemy się spod ich władzy, jeśli nie zyskamy czasu na rozwój własnego przemysłu. Czy możemy w inny sposób zachować tę odrobinę, którą zostawią nam pozaziemcy, niż przez zniszczenie zasad Zmiany?

– Nie przez niszczenie naszego ludu! – *Mego ludu, to mój lud!* Przesłaniała zwierciadlane odbicie Arienrhod obrazami swej rodziny, dzieciństwa, swej wyspowej ojczyzny.

– No to jak? – głos Królowej stracił cierpliwość. – Jak inaczej zdołasz ich przekonać czy nawrócić? – Całą swą postawą wskazywała jednak, że słucha uważnie, że naprawdę czeka na inne wyjście.

– Jestem sybillą. – Serce jej skoczyło, gdy wyznawała to Królowej Zimy, wiedziała jednak, że Arienrhod musi wiedzieć i o tym. – Gdy powiem im prawdę o sobie, gdy ją udowodnię, wtedy mnie wysłuchają.

Władczyni skrzywiła się z rozczarowania.

– Myślałam, że ujrzawszy inne planety, straciłaś serce do tego religijnego przesądu. Nie ma żadnej Matki Morza wypełniającej ci usta świętym bełkotem; istnieje tak samo, jak dziesięć tysięcy innych bóstw Hegemonii, nadających się jedynie na przekleństwa dla pozaziemców. – Z Otchłani wyrwał się pachnący wodorostami podmuch wiatru; Moon bezwiednie zadygotała pod płaszczem. Otulona w mgliste warstwy odzieży, Arienrhod roześmiała się z jej lęków.

– Sybille nie są... – Moon umilkła znowu. *Nie zna prawdy. Nie może znać...* Nagle uświadomiła sobie, że posiada tajną broń i że o mało co jej nie ujawniła. Poczwała, jak odzyskuje potrąskaną nadzieję, starała się nie zdradzić tego miną, bała się, iż Arienrhod zdoła jakoś odczytać każdą jej tajemnicę.

Królowa wpadła jednak w tryby maszyny swych myśli.

– Wiem, czemu chciałaś zostać sybillą... bo nie mogłaś zostać królową. Teraz jednak możesz... – Oczy płonęły jej gorączkowo. – Zapomnij o Lecie! Możemy mieć razem cały świat, trwający wiecznie świat Zimy. Wyrzuc swą koniczynkę i załóż koronę. Przetnij sznurki wiążące cię z tymi ograniczonymi bigotami, zacznij swobodnie myśleć i marzyć. – Rzuciła w przepaść niewidzialną oznakę. Moon poczuła na plecach ostrze wiatru. – Nigdy nie uznają cię za jedną ze swoich ani ci teraz nie zaufają. I tak za późno na ich ocalenie. Koła zostały puszczane w ruch. Nie zdołasz odwrócić ich losu ani go zmienić... Pogódź się z tym. Władaj ze mną, a potem po mnie. Razem wprowadzimy w życie marzenia o nowym świecie. Możemy zrobić to wspólnie, podzielić się wszystkim... – Wyciągnęła rękę, promieniowała pasją. Moon uniosła swoje dłonie, zaczarowana bliskością, niezaprzeczalną rzeczywistością siebie samej, swej pierwotnej siebie... obrazem swej stwórczyni...

– Arienrhod – powiedziała Arienrhod.

Moon cofnęła się, cierpiąc z rozpacz. Zrozumiała, że Królowa wcale jej nie widzi, że nie pojmuje, dlaczego słowa mające omamić i skusić jej drugie ja walą w nie jak kamienie. Egoizm Arienrhod dostrzegał tylko te rzeczy, które chciała zobaczyć... tylko Arienrhod. *I mylisz się.* W głębi Moon poruszyła się silniejsza od ulgi, potężna, niewzruszona pewność, jakby nie wiedząc o tym, przechodziła jakąś próbę i udowodniła w niej swą wartość.

– A co ze Sparksem? – usłyszała własne pytanie, kruche jak lód wobec spodziewań Arienrhod. – Czy i nim będziemy się dzieliły?

Coś zadrgało w łagodnej twarzy władczyni, ale przytaknęła.

– Czemu nie? Czy mogłabym czuć zazdrość o... siebie? Czy mogłabym odmówić sobie

cokolwiek? Kocha nas obie, cóż może na to poradzić? Czemu miałby temu zaprzeczać? – Wznosiła głos, jakby musiała przekonywać samą siebie.

– Nie.

Głowa Arienrhod skrzywiła się z ciekawości.

– Nie? Na co nie?

– Więcej nie. – Moon wyprostowała się, poczuła uwolnioną tym słowem nieograniczoną siłę. – Nie jestem Arienrhod.

– Oczywiście, że jesteś – powiedziała uspokajająco Królowa, jakby zwracała się do upartego dziecka. – Mamy te same chromosomy, to samo ciało, tego samego mężczyznę i to samo marzenie. Wiem, że trudno ci się z tym pogodzić, skoro nigdy czegoś takiego nie podejrzewałaś... Sama tak postąpiłabym w podobnych okolicznościach. Jak jednak możesz zaprzeczać prawdzie?

Moon zadrżała, poczuła wzmacniającą jej zdecydowanie głębszą pewność.

– Bo to, co chcesz zrobić, jest złe. Złe. Niczego w ten sposób nie osiągniesz.

– Co złego w zmianie świata na lepsze, skoro ma się moc uczynienia tego? Moc zmiany, narodzin, stworzenia – nie da się tego oddzielić od śmierci i zniszczenia. To metoda natury i natura mocy... działa nieugięcie, amoralnie, obojętnie.

– Prawdziwą mocą – Moon uniosła dłoń do znaku na gardle – jest opanowanie. Świadomość, że możesz zrobić wszystko... lecz przy tym nie uważasz, iż sama ta możliwość wystarcza, by to czynić. Zmarły tysiące merów, byś mogła zachować swą potęgę w czasach obecności tu pozaziemców; teraz mają zginąć tysiące ludzi, byś przetrwała ich odejście. Nie jestem warta życia tysiąca, stu, dziesięciu, dwojga – ty też nie. – Pokręciła głową na widok tej twarzy przed sobą, na widok siebie. – Gdybym uwierzyła, że będąc tym, kim jestem, zniszczę Sparksa i ludzi, którzy dali mi wszystko, wtedy żałowałabym, że w ogóle się urodziłam! Ale w to nie wierzę, nie czuję tego – powiedziała żarliwie. – Nie jestem ani tobą, ani tym, co we mnie widzisz, czy chcesz, bym była. Nie pragnę twojej potęgi... mam własną. – Znowu dotknęła gardła.

Arienrhod skrzywiła się, Moon poczuła, że gniew Królowej spada na nią jak mokry śnieg.

– A więc wszystkie są niedoskonałe, zawiodły... nawet ty. Zawsze wierzyłam, że mogę dać ci wszystko, czego nie masz... ale nie; nic ci tego nie da. Jesteś mięczakiem bez charakteru. – Szarpnęła głową. – Dzięki bogom, nie muszę polegać na tobie, by osiągnąć me cele.

Moon spojrzała na swe dłonie, na białe pięści.

– A więc jednak naprawdę nie mamy sobie nic do powiedzenia... Powiedziałaś, że mogę odejść. – Odwróciła się od widoku twarzy Arienrhod, z bijącym szaleńczo sercem podeszła krok w stronę mostu.

– Moon, zaczekaj! – Arienrhod ponownie ją złapała, cofnęła i odwróciła. – Naprawdę możesz zostawić mnie tak szybko, tak łatwo? Czy nie ma żadnego sposobu, byśmy mogły wymienić się czymś więcej niż tylko upartą dumą? Spośród wszystkich ludzi ty, tylko ty jesteś w stanie pojąć rzeczy, których wszyscy inni nawet nie dostrzegają... rzeczy, których nie mogłam nigdy nikomu przekazać. – Złagodniał jej głos i dotyk. – Daj mi czas, a może nauczę się docierać do tego, co tkwi w tobie poza zasięgiem wszystkich.

Moon zachwiała się; dziecko bez ojca i matki usłyszało własny głos płaczący z trwającej całe życie samotności; ciągnęło ją do rzucenia się w objęcia własnej siły, zdwojenia jej, stopienia się dziecka z rodzicem. Ale oczyma duszy ujrzała Sparksa, okaleczonego na ciele i umyśle, to, co przysiągł jej swym końcowym milczeniem.

– Nie. Nie możemy. – Opuściła wzrok. – Nie mamy na to czasu.

Arienrhod zaczerwieniła się; łagodność opadła z jej twarzy, ukazując Moon nie przebaczące

żelazo. Uniosła dłoń, jakby chciała uderzyć dziewczynę w twarz, lecz tylko złapała się za kołnierz z koralików, szarpnęła go, rwąc nić.

– Myślisz, że zdołasz mnie zatrzymać. Odejdź, jeśli możesz. Moi dostojnicy wiedzą, że jesteś Letniacką sybillą. – Wskazała na Zimaków stojących cierpliwie za drugim końcem mostu. – Wiedzą także, że przysłaś tu przebrana za mnie, by popełnić jakąś zradę. Jeśli zdołasz ich przekonać, że to nieprawda, będziesz zasługiwała na swobodne odejście – i na bycie częścią mnie. – Odwróciła się nagle, odeszła samotnie w stronę pałacowych korytarzy.

Oczekujący dostojnicy wyszli jej naprzeciw, chyląc głowy, gdy ich mijała, i otoczyli Moon stojącą u skraju mostu. Dziewczyna patrzyła za oddalającą się, nie odwracającą głowy Arienrhod, póki nie straciła jej z oczu poza grubiejącą ścianą mściwych twarzy.

– Witam, pani komendant. Mam nadzieję, że dobrze się pani bawiła na przyjęciu u Królowej. – Główny inspektor Mantagnes przerwał rozmowę z pełniącym służbę sierżantem, licząc na coś wprost przeciwnego, niż mówił, gdy tylko Jerusha weszła z rojnych ulic do pustej, cichej komendy. Dosłownie wszyscy byli na mieście, chroniąc Premiera lub nadzorując świętujących. Obaj mężczyźni zasalutowali niedbale; odpowiedziała im podobnym gestem. Mantagnes przyglądał się zawistnie jej mundurowi. Wiedziała, że spędził wieczór na ponurych rozmyślaniach, ponieważ nie był tam zamiast niej, nie chlubił się przed innymi Kharemoughi należną mu pozycją.

– Nie bawi mnie marnowanie czasu, gdy czeka nas jeszcze tyle roboty. – Patrząc na nich ostro, zerwała szkarłatną pelerynę i rozpięła kołnierz. – Inspektorze, zwalniam was z obowiązku zastępowania komendanta.

– Tak jest. – Zasalutował ponownie, przypominając jej oczyma, że niedługo przestaną się tak do niej zwracać. *Tak, sukinsynie, przyjdzie wreszcie pora na ciebie.* Przeklęty, niekorzystny raport głównego sędziego wraz z podgryzaniem ambitnego Mantagnesza sprawi, iż lista jej osiągnięć będzie czarna i pusta. Zakończy tu swą karierę, jej dowództwo i stopień zostaną zmiecione pod dywan urzędowych zarzutów. Nigdy już nie uzyska szansy ich odzyskania, przeniosą ją na jakiś zapomniany przez bogów posterunek w mrocznej, nic nie znaczącej dziurze (pomyślała ze smutkiem, że są gorsze miejsca niż Krwawnik). Będzie tam gnić do końca życia.

*Bogowie, mam już dość wyniosłości Kharemoughi!* Mnąc pelerynę w dłoniach, szła do swego biura. *Gdybym mogła nie widzieć więcej przekłetej, butnej twarzy Technokraty...* Zwolniła, gdy nagle ujrzała w myślach rysy BZ Gundhalinu. *Nie widzieć więcej.* Dałaby wszystko, byleby ujrzeć tę twarz, właśnie tu i właśnie teraz. Nie przybył jednak ze swym więźniem. Powinna była to przewidzieć, skąd jednak, u diabła, mogła wiedzieć, że akurat Gundhalinu ucieknie z dziewczyną? *Było to oczywiste!* Napisała w raporcie, że był chory, nieodpowiedzialny za swe postępowanie, i bogowie wiedzą, iż więcej w tym racji, niż chciałyby przyznać.

A wieczorem widziała Sparksa Dawntreadera, otwarcie pyszniącego się na przyjęciu własną nietykalkością, zapijającego się do nieprzytomności. A Arienrhod, jak zawsze nieskazitelnie piękna, nie dbająca o zbliżające się przeznaczenie, przesuwała się pomiędzy swymi podwładnymi i rzekomymi panami – nie dbająca zupełnie. Cholera! Co też knuje?

– Cholera, co to tu robi? – Zatrzymała się, spojrzała na Mantagnesza i polrobota stojącego nieruchomo jak drzewo przed drzwiami jej gabinetu. – Dlaczego nie jesteś na służbie? – zapytała, zwracając się bezpośrednio do niego. Nie otrzymała odpowiedzi i zrozumiała, że został wyłączony.

– Jest zepsuty – wyjaśnił zdenerwowany Mantagnes. – Przybył tu jakiś czas temu z mętną opowieścią o dzierzawiącej go Zimacze pobitej przez ludzi Królowej. Przypuszczalnie jęczała nad kończącym się terminem wynajmu. Wymaga całkowitego wymazania. Nie powinno się pozwalać miejscowym nieukom na choćby częściowe użytkowanie tak złożonego sprzętu.

– Nawet “miejscowe nieuki” zdziwiłyby się, gdyby miały dostarczać na policję swe bezmózgie maszyny, gdy tylko obluzuje się im śrubka. – Przekręciła wyłącznik na piersi polrobota, bardziej ze zdenerwowania niż ciekawości, i popatrzyła na czujniki rozpalające się wewnątrz czaszki z plastyku i stali. Zerknęła na tabliczkę z nazwą. – Jednostko “Polluks”. Kto cię dzierzawi?

– Dziękuję, pani komendant...

Cofnęła się ze zdziwieniem.

– Pani komendant, proszę mnie wysłuchać. To pilne, nie mogę...

– Tak, tak, odpowiadaj tylko na pytania. – Nigdy nie przywyknie do ich głosu.

- Dzierżawi mnie Tor Starhiker Zimaczka, kobieta z Tiamat, rzekoma właścicielka Piekła Persefony. – Promieniował niecierpliwością.
- Powiedziałaś, że została zaatakowana przez strażników Królowej? To nie nasza sprawa.
- Nie, pani komendant. Przez pozaziemców. Przez jej narzeczonego...
- Sprzeczką zakochanych?
- ...niejakiego Oyarzabala, pracownika kasyna i jego kompanów. Wezwała mnie na pomoc i została trafiona z ogłuszacza. Nie mogłem do niej dotrzeć, bo drzwi zostały zamknięte. Dlatego przyszedłem tu po pomoc.
- Czy wiesz, dlaczego na nią napadli? – W Jerushy zaczęła wzbierać ciekawość.
- Nie do końca, pani komendant. Być może przeszkodziła w nielegalnej działalności.
- Kto kieruje kasynem?
- Niejaki Thanin Jaakola, mężczyzna, obywatel Wielkiej Niebieskiej.
- Źródło? – Poczula, że nawet Mantagnes zaczyna słuchać.
- Tak, pani komendant.
- Powtórz wszystko, co słyszałaś z ich rozmowy.
- OYARZABAL: – Cholera, Perse, tylko Letniaków! Zimaków nie, są bezpieczni, tak chciała Królowa. STARHIKER: – Nie, kłamiesz! To zabije i Zimaków, Królowa nie pozwoliłaby nas zabić! Zwariowałaś, Oyar, puść mnie! Polluks, pomocy, Polluks.
- Jerusha słuchała, skóra jej cierpła od nosowego smutku tych słów, póki ich znaczenie nie dotarło do jej umysłu, nie pobudziło go jednym wyrazem: *Królowa*.
- Święci bogowie, mam! Wreszcie mam! Sierżancie! – krzyknęła odwracając się i ujrzała go stojącego tuż obok. – Połączcie się z tuzinem ludzi znajdujących się najbliżej Persefony, każcie im udać się tam natychmiast i zablokować kasyno! Mantagnes...
- O co w tym wszystkim chodzi, pani komendant? – Nie potrafiła zdecydować, czy jest urażony, czy przestraszony.
- O sprawę życia lub śmierci. – Rzuciła pelerynę na podłogę i sięgnęła po ogłuszacz. – Arienrhod chce kupić swe życie za cenę śmierci połowy miasta albo nie jestem komendantem policji. – Patrzyła, jak opada mu szczeka. – Jednostko Polluks, modlitwy twoje i moje zostały wysłuchane. – Poklepała go po metalowym ramieniu. – Bogowie, obyśmy tylko zdążyli!
- Pani komendant, proszę pomóc Tor – powiedział. – Przywiązałem się do niej. Kiwnęła głową, nie bardzo wierząc, iż to usłyszała.
- Mantagnes, zawsze skamlaliście, że macie za mało okazji do działania. Teraz pójdziemy na akcję.
- Wybiera się tam pani osobiście? – zapytał bardziej ze zdziwieniem niż sprzeciwem. Odpowiedziała z uśmiechem.
- Nie oddałabym tego nawet za świętość.

– No co, sybillo, zagrażasz Królowej. – Mężczyzna odezwał się wreszcie. Moon poczuła, jak tatuaż na jej gardle płonie, niby żagiew rozpalona skupionym wzrokiem rozgniewanych dostojników. – Ponadto nie wolno wam przybywać do miasta. Przypadł nam zaszczyt sprawienia, byś nigdy już nie powtórzyła żadnej z tych rzeczy.

Moon zerknęła na wąski most, usiłując odpędzić od siebie wspomnienia losu, zgotowanego w tym mieście Danaquilowi Lu.

– Chcę opuścić pałac. Jeśli mnie dotkniecie, zostaniecie skażeni... – Głos się jej załamał.

– Nie będziemy próbowali cię zatrzymać, sybillo – odparł pożądlivym, niewyraźnym głosem. – Wejdz na most i uciekaj. – Uśmiechnął się, zmieniając swą twarz w trupi czerep. Wszyscy nagle zaczęli się uśmiechać z narkotyczną, niedbałą złośliwością ludzi świętujących koniec swego świata i wiedzących, kogo za to winić. Wyjął coś z zanadrza, swej długiej szaty i podniósł; wyglądało jak ciemny palec. – Przejdź otchłań.

Moon ukryła w dłoni pudełko sterownika i przyjrzała się trzymanej przez dostojnika rzeczy. Nie poznawała jej, ale wiedziała, że jest groźna. Musi jednak przekroczyć most; musi spróbować. Nie ma innego wyjścia. Drżącymi dłońmi rozpięła swą wyszywaną złotem aksamitną pelerynę. Złożyła ją w troje, świętą cyfrę Pani, i z wyzywającym uporem podeszła do wietrznej krawędzi przepaści. Opończa jej przeszkadzała, lecz mogła stanowić dar godny Matki Morza, jeżeli głodna czekała w dole. Głodna czci albo ofiary...

*Prowadź mnie, o Pani!* Moon, modląc się, zasłoniła się peleryną, usłyszała za sobą śmiech dostojników. Opończa wydeła się w porywach, uleciała i opadła w zielony mrok szybu niby nurkujący za rybą ptak.

Moon wcisnęła pierwszy guzik urządzenia na nadgarstku i weszła na most. Zimacy patrzyli na nią, coś mrucząc, lecz nie robili nic więcej. Idąca Moon zagrała drugą nutę, bała się nawet odetchnąć. Na drugim końcu kładki czekało jeszcze więcej dostojników; próbowała się im nie przyglądać... ani nie patrzeć w dół, nie słuchać żałobnych pieni demona i trzepotania się lęku we własnej głowie...

Gdy zbliżyła się do środka mostu, usłyszała ponownie zatrzymujące zakłęcie pieśni sybilli. Zwalniało jej kroki, kołło strachy, usypiało instynkt przetrwania. *Nie!* Zastygła, czekając, aż przerażenie urośnie, aż zwalczy je, nim pieśń zdoła ponownie usidlić jej myśli. Gdy przestała iść, ujrzała, że stojący przed nią Zimacy mają wszyscy takie same puste palce, wznoszą je do ust – gwizdki! Sterują nimi wiatry... Wreszcie zrozumiała, skierują na nią wichury, tak właśnie ma zginąć, żaden człowiek nie przeleje jej krwi.

Moon położyła się płasko na kładce, gdy chór gwizdów wpadł na otaczający ją krąg spokojnego powietrza, rozbijając go całkowicie. Wiatry przeleciały nad nią, szarpiąc za ubranie, lecz w ich sercu tkwiła pieśń sybilli – jak obszar pięknej pogody w oku cyklonu. Moon opanowało dziwne, czyste szaleństwo. Jej zahipnotyzowany, sparaliżowany umysł schronił się w kryjówce leżącej na innej płaszczyźnie istnienia...

*Czemu? Czemu tu mnie wzywa?* – Jak brzmi odpowiedź? – usłyszała krzyczący dziko własny głos. – Jak brzmi odpowiedź? – *Możesz odpowiedzieć na każde pytanie z wyjątkiem jednego,* powiedziała jej Elsevier. Nie jest nim *Czym jest życie? ani Czy istnieje Bóg?*... Jedyne pytanie, na które nie wolno jej odpowiadać, brzmi *Gdzie twój początek?* I w tej chwili drżenia na krawędzi obłędu lub śmierci zrozumiała, iż wreszcie otrzymało ono odpowiedź, że została ponownie wybrana przez potęgę tkwiącą w jej umyśle: *Początek, źródło, krynica... tutaj, tutaj, tutaj.* Poniżej szybu

wgłębionego w morze, poniżej miasta w białego w mapę czasu, tajemna jak kamień pod strzegącą ją morską skórą tej wodnej planety, znajduje się maszyna sybill. Wie o tym tylko ona. Poczuli, jak umysł jej ulega ostatniemu atakowi wiedzy i wpada w studnię prawdy; krzyknęła, gdy zaraz potem przestała panować nad swoim ciałem...

\* \* \*

Przyszła znowu do siebie jak zaskoczony marzyciel, leżała na kładce, kwiląc w spokojnym powietrzu. Spokojnym powietrzu... Przycisnęła dłoń do ust i powoli dźwignęła się na kolana. Wiatr ustał całkowicie, otaczały ją jedynie łagodne podmuchy i westchnienia. Na skraju otchłani gapili się Zimacy, gwizdki dyndały u ich bezsilnych palców. Odważyła się spojrzeć za nich, za wietrzne zasłony zwisające bezradnie w ucichłym morzu, za mury przeciwszstormowe. Zamknęły się, odcinając napływające z zewnątrz wichury, zamykając im dostęp do studni w sercu Krwawnika, dostęp do niej. Znowu się pochyliła, w milczącym geście wdzięczności przytknęła czoło do powierzchni kładki.

Wstała niepewnie i ruszyła przez most. Szła wolno ze względu na obserwatorów i na uginające się nogi. Na twarzach Zimaków widoczne było teraz przerażenie i zgroza, sama przybrała minę zimnego wyzwania, żądając dania jej swobodnego przejścia.

Niektórzy się cofnęli, lecz inni rozgniewali się jeszcze bardziej, z rosnącą nienawiścią i brakiem litości patrzyli na Letniaczkę o twarzy ich Królowej i mocy bogini. Ktoś trzymał metalowy drąg zwieńczony koroną z żelaznych cierni, obrożę na czarownicę, która rozdarła gardło Danaquila Lu. Wysunęła się na spotkanie Moon, broniąc jej zejścia z kładki.

– Uklęknij, sybillo, albo idź w otchłań! – Kobieta w usianym klejnotami turbanie potrząsnęła drągiem. Moon cofnęła się i wzięła pod boki.

– Daj mi przejść, bo... – urwała, widząc, jak się odwracają, usłyszała echa licznych kroków, zmierzających do sali korytarzem wiodącym od wejścia. Rozszerzającą się za dostojnikami przestrzeń zaczęli wypełniać ludzie – lecz tym razem ubrani w znajome samodiały i skóry klee – Letniacy. Wyglądali równie morderczo co jeszcze przed chwilą Zimacy, mieli z sobą noże i harpuny, równie okrutnie patrzyli na stojącą na mostku postać.

– Jest tam! To Królowa!

Moon dostrzegła twarz odcinającą się od innych, człowieka przeciskającego się między nimi z rozpaczliwą determinacją.

– BZ! – przekrzyczała wrzawę wywołaną spotkaniem się tłumów, odnalazła i przytrzymała jego szukający wzrok.

Gundhalinu odsunął ostatniego Letniaka, oderwał się od tłumy i wyjął broń, pokazując ją wszystkim.

– Rzuć to! – Szarpnął za koleczastą obrożę trzymaną przez kobietę o wąskich wargach i wyrwał ją z jej zaskoczonych dłoni. Cisnął nią poza krawędź otchłani. – Dość już tego, Zimacy. Cofnąć się! Rozejść!

– Jakim prawem wtrącasz się do nas, cudzoziemcze? To sprawy Zimaków. Nasze prawa...

– Cholerna racja – mruknął BZ. Spojrzał na Moon i na wywalczony dla niej w ludzkim murze korytarz. – Ta kobieta jest aresztowana; należy do mnie. – Moon dostrzegła puszczone przez niego oko i uśmiechnęła się bezwiednie.

– To Królowa, inspektorze Gundhalinu! – powiedział z gniewem jeden z Letniaków. – Należy do nas. Nigdzie nie pójdzie, nim nie nastanie Zmiana. – Mówił groźnie jak mróz.

– To nie Arienrhod. Jest Letniaczką, sybillą! Spójrzcie na jej gardło! – BZ machnął ręką. – Jeśli

chcecie Arienrhod, musicie przejść... – W ślad za własnym gestem spojrzął po raz pierwszy na bezwietrzną salę, zaparło mu dech. – Co...?

– Co za sprawę macie do naszej Królowej, hodowcy ryb? – Kobieta w turbanie, która wraz z kołnierzem sybilli straciła pewność siebie, próbowała ją teraz odzyskać. – Dopóki ten pałac należy do Zimy, nie jesteście w nim mile widziani.

– Wasza Królowa ma sprawę do nas! – krzyknął Letniak. – Próbowala zabić nas wszystkich i przyszedł tu, by przypilnować, że się od tego nie wywinie. I że po raz trzeci pójdzie do Pani.

Moon stała bez ruchu, przepelniona bolesną, niestosowną radością, zrodzoną słuchaniem głosu mówiącego gardłowo jak Letniacy.

– Jestem Moon Dawntreader Letniaczką... – zawołała zdartym głosem. – Królowa jest w środku. Przejdźcie przez most! Będziecie bezpieczni, dopóki z niego nie zejdem. – Przywołała ich gestem, dostrzegła zdumiony wzrok BZ.

Tłum ruszył, ośmielony widokiem koniczynki, zaufał słowom Moon. Ona sama zawahała się, gdy pierwszy Letniak wszedł na kładkę, lecz powietrze tkwiło nieruchomo, a przechodzący obok niej uśmiechnął się krótko i skinął głową. Za nim nerwowym krokiem ruszyli pozostali, popędzani chęcią spełnienia swych zamierzeń. Moon zaczęła, aż ostatni Letniak znalazł się bezpiecznie w drugim końcu sali, dopiero wtedy zeszła sama na posadzkę. Zimacy cofnęli się, patrząc ponuro na nią i na Gundhalinu. Gdy doszła do niego, odwróciła się, słysząc dobiegające z boku drżące westchnienie. Zobaczyła rozwierające się jak żagle mury przeciwsztorowe, poczuła wzbijający się ponownie chłodny wiatr, budzące się do życia zasłony. Otchłań jęknęła i zadygotała od oparów morza.

– Bogowie! Ojcie wszystkich mych przodków – szepnął BZ. – Powstrzymałaś wiatr. Jak... jak to zrobiłaś? – Trzymał się trochę z dala.

– Nie mogę ci powiedzieć. – Pokręciła głową, obejmując się rękoma. *Oto czym jest Krwawnik. Nie mogę nikomu o tym powiedzieć; nigdy.* – Sama nie wiem. – *Nikt nie może się dowiedzieć.* W myślach opuszczała się Otchłanią, do morza i jeszcze niżej, do bezczasowego, skalnego jądra planety, gdzie w tajemnej wszechwiedzy znajdował się ostateczny zbiornik ludzkiej mądrości. – BZ, zabierz mnie stąd – szepnęła w oszołomieniu.

– To nie jest miejsce dla sybilli; Zimacy mają rację. Jest zbyt niebezpieczne. – Czowała na sobie wrogię, nic nie rozumiejące spojrzenia dostojników.

BZ wyprowadził ją z Sali Wiatrów zgodnie z regulaminem, ruszyli korytarzem ozdobionym scenami z panowania Zimy. Nikt za nimi nie szedł. Mimo to BZ ciągle utrzymywał między nimi pewną odległość. Porządkując myśli, wśród oszalałymi wspomnień z ostatnich kilku godzin trafiła na straszliwą tajemnicę, najważniejszą dla niej, nim nie weszła na most.

– Co tu robią ci Letniacy? Czy powiedzieli ci, co Arienrhod... – *o mało co mnie nie zabiła;* nagle zakręciło się jej w głowie – co zrobiła?

Pokręcił głową, skupiając się na własnych krokach.

– Nic o tym nie wiem; zbyt się śpieszyli. Chyba sami nie wiedzą. Tłumowi wystarczy byle plotka.

– To nie plotka, lecz prawda. I nie powstrzymają zagłady, więząc Królową. Wynajęła pozaziemców, by wywołać zarazę. – rzuciła mu niedbale.

– Co? – Stał i zatrzymał ją. – Skąd wiesz...? – przerwał, gdy domyślił się możliwych odpowiedzi.

– Od Sparksa.

– Sparksa. – Znowu spuścił wzrok i przytaknął swoim myślom. – A więc go znalazłaś. A czy ty i on, ciągle...



– Tak. – Zasłoniła się rękoma.

– Rozumiem. Dobrze. – Oparł się o ścianę, długo odwracał twarz, mając za usprawiedliwienie atak kaszlu. Zrozumiała, że to wcale nie widok tego, co zobaczył w Sali Wiatrów, powstrzymuje go od dotknięcia jej. – Nie wyszedł z tobą.

– Kró... Arienrhod nas złapała. Zabrała go ze sobą. – Patrzyła w głąb korytarza, czuła się rozrywana w środku. Poganiała ją jednak ostroga obcej wiedzy. Zostaw go, zostaw go. Zostaw teraz... – Teraz, gdy Letniacy przyszli pilnować Królowej, nic mu się nie stanie. Nie znają go. – Mówiła to bardziej do siebie, niż do BZ, wierząc, że strzegąca ją moc osłoni i Sparksa. – Muszę powstrzymać zarazę. Wiem, kto za nią stoi; Sparks powiedział mi wszystko. Muszę kogoś zawiadomić, policję... – Pogładziła w roztargnieniu wzburzone włosy.

– Nie oddał cię więc łowcom sybilli? – spytał BZ, jakby nie mógł myśleć o niczym innym. Wytarł czoło rękawem, rozpiął kurtkę.

– Nie, to Arienrhod.

– Arienrhod! Myślałem, że jest... – nie dokończył, nie musiał. Poczwała bijące od niego bez słów współczucie.

Owinęła wokół palca pasmo włosów, spojrzała na nie i pociągnęła.

– Było nas dziewięć... żadna jej nie odpowiadała. Nie okazałyśmy się takie, jak planowała. Dlatego zostawiła nas, porzuciła. – Moon uniosła dłoń, żegnając się z własną zagubioną duszą. Nagle spojrzała na Gundhalinu. – Wiedziałeś. Wiedziałeś to o mnie. Dlaczego pozwoliłeś mi tu przyjść, skoro o wszystkim wiedziałeś?

– Bo wiedziałem także, iż nigdy nie przerobi cię na swój obraz. Czy myślisz, że mógłbym spędzić z tobą tyle czasu i nie dostrzec różnicy między wami? – Pokręcił głową i uśmiechnął się, mocniej biorąc ją za rękę. – Niedługo będzie cholernie żałować, że się ciebie pozbyła. Chodźmy, po drodze opowiesz mi o spisku.

Moon szła obok BZ, trzymając go mocno za rękę, lgnęła do kojącego jej bóle balsamu jego zaufania. Zmierzali do widocznego w oddali wejścia do pałacu, do końca Zimy. Powiedziała mu wszystko, co wiedziała, zmuszając swe myśli do trzymania się wąskiej ścieżki między namalowanymi pustkowiami. Drzwi otworzyły się, wypuszczając ich w tętniące życiem, wciągające w wir krzątaniny miasto. U bramy zamiast królewskich strażników kłębiła się masa wojowniczych Letniaków, stojących zamiast nich na warcie. Moon przylgnęła do płaszcza BZ, nim nie zrozumiała, że równie mało wiedzą o wyglądzie Królowej, co ona przedtem. Dostrzegła, że niektórzy zauważyli jej wytatuowaną koniczynkę i patrzą na nią ze zdziwieniem.

– BZ, skąd wiedziałeś, że masz po mnie iść? Skąd wiedziałeś, że cię potrzebuję?

Znowu przesunął dłonią po twarzy, przetaił oczy.

– Nie wiedziałem. Gdy pojawili się Letniacy, zrozumiałem, że czekam już zbyt długo. Błysnąłem im znacznikiem identyfikacyjnym i obwołałem się eskortą policyjną. – Rozejrzał się na boki, gdy Letniacy pozwolili im przejść. – Muszę zgubić tę oznakę... – Nie potrafił niczym wesprzeć fałszywej lekkości tonu i szybko opadła. Zaczął znowu kaszleć, z głębi jego piersi dochodziło brzydkie rżenie. Stał, gdy tylko znaleźli się na ziemi niczyjej pomiędzy Letniackimi strażnikami i rojącymi się gapiami. – Posłuchaj... mnie, Moon. – Z trudem oddychał. – Muszę się ujawnić... prędzej czy później. Skoro i tak muszę wrócić, mogę zrobić to teraz. Wszystko, co mi powiedziałaś, przekażę pierwszemu napotkanemu policjantowi. Nie masz po co narażać się sama. Są tu twoi rodacy, opowiedz im o sobie i o Sparksie, nim się dowiedzą, że jest Starbuckiem. Pomogą ci tam, gdzie ja nie mogę. – Nagle odwrócił od niej wzrok i otulając się płaszczem, spojrzał na gromadzących się Letniaków. Zacisnął mocno usta, jakby w obawie, że powie coś więcej.

– BZ. – Przycisnęła dłoń do ust. – Jak mogę...

– Nie możesz. Nie próbuj. – Pokręcił głową. – Pozwól mi tylko odejść... – Zaczął się odwracać, lecz w połowie ruchu ugięty się pod nim nogi. Osunął się powoli i legł bez zmysłów na białych kamieniach.

Tor siedziała w kącie, opierając się o ścianę jak miękka szmaciana lalka; białe, bezkształtne światło laboratorium kłuło jej załzawione oczy. Wiedziała, że za tą ścianą jest miasto pełne ludzi obojętnych na jej szaleństwo czy zgubę – obojętnych na własną zgubę. Ale do tego czystego pokoju nie docierał żaden głos Święta, żaden śmiech, wrzask, żadna muzyka. Ściana była dźwiękoszczelna, nie przebija się przez nią i jej krzyki, choćby miała siły je z siebie wydać. W milczeniu, na próżno, walczyła z niewidocznymi więzami paraliżu. Minie godzina, nim jej system nerwowy zdoła poruszyć choćby mały palec, a wiedziała, że jej życie nie potrwa tak długo. *Och, bogowie, gdybym mogła krzyczeć!* Skargi wypełniały jej głowę, aż miała wrażenie, że pękną jej oczy... i jęknęła, cienki, żalorny pisk był najpiękniejszym odgłosem, jaki kiedykolwiek wydała.

Oyarzabal zerknął na nią znad stołu, przy którym siedział w żarze świateł niełaski. Jego szeroka twarz, okolona krzaczastymi bokobrodami, zdradzała mękę niemal równą jej; szybko odwrócił wzrok. Ciągnęła się dziwnie surrealistyczna narada nad najskuteczniejszymi sposobami wywołania w mieście epidemii, jej odgłosy przypominały bzyczenie w szatańskim ulu. Jeden z obcych wyszedł porozmawiać ze Źródłem. *Oyarzabalu, ty wszawy łajdaku, zrób coś, zrób coś!*

Oyarzabal zaproponował skażenie wodociągów. Odrzucono ten pomysł jako nieskuteczny.

Hanood, który poszedł do Źródła pół wieczności wcześniej, wrócił do pokoju, z przesadną dokładnością zamykając za sobą drzwi.

Owadzie buczenie umilkło. Tor widziała, jak zwracają się wszystkie głowy, by wysłuchać wyroku, sama nie mogła nawet skrócić oczu.

– No? – zapytał jeden z nie znanych jej mężczyzn.

– Kazał oczywiście pozbyć się jej. – Hanood skinął głową w stronę Tor. – Wrzucicie jej ciało do morza; nikt się nie przejmie, gdy zniknie w tym wszystkim. – Machnął ręką w stronę nieosiągalnej, odgradzonej ścianą rzeczywistości. – Powiadają "Morze nigdy nie zapomina"... ale Krwawnik tak.

Tor jęknęła, lecz tylko w duchu.

– Nie, do cholery, nie wierzę! – Oyarzabal wstał, gotów do sprzeciwu. – Miałem się z nią ożenić; miałem ją stąd zabrać. Wie o tym, nie mógł kazać się jej pozbyć!

– Kwestionujesz moje rozkazy, Oyarzabalu? – Chrypliwy, bezcielesny głos Źródła spłynął na nich z powietrza; wszyscy bezwiednie spojrzeli w górę.

Oyarzabal przygiął się pod ciężarem tych słów, ale nie zrezygnował z walki.

– Nie trzeba zabijać Persefony. Nie mogę tu siedzieć i na to pozwalać. – Oczyma niepewnie przeszukiwał ściany i narożniki sufitu. – Musi być jakieś inne wyjście.

– Czyżbyś proponował, bym pozwolił im zabić i ciebie? Wszystko to stało się przecież przez twą niedbałość. Mam to zrobić?

Oyarzabal sięgnął po broń ukrytą pod połą długiej skórzanej kamizelki. Miał jednak przeciwko sobie pięciu, a samobójstwo nigdy go nie pociągało.

– Nie, panie! Nie, ale... miała przecież zostać moją żoną. Dopilnuję, by nikomu się nie wygadała.

– Czy myślisz, że Persefona chce nadal za ciebie wyjść, skoro wie już, co tu robisz? – Głos Źródła stał się chłodniejszy. – Jest niemoralnym zwierzęciem, niemniej nienawidzi cię za to. Nigdy nie mógłbyś jej zaufać.

*Och, bogowie, och, Źródło, pozwól mi mówić! Obiecuję ci wszystko!* Spływający po żebrach pot swędział ją do szaleństwa.

– Ja też nie mógłbym ci więcej ufać, Oyarzabalu, jeśli nie dowiedziesz mi swej lojalności. –

Głos umilkł, zdawał się uśmiechać. Tor zatrzęsała się w środku. – Nie jestem jednak zupełnie nieczuły na twą troskę. Dlatego daję ci wybór: Persefona może umrzeć albo żyć. Ale tylko wtedy, gdy postarasz się, by nigdy nie mogła zeznawać przeciwko nam.

Przeczcucie zachmurzyło nagłą nadzieję Oyarzabala.

– Co miałbym zrobić? – Odważył się na nią spojrzeć i znów odwrócił wzrok.

– Chciałbym, byś uniemożliwił jej mówienie komukolwiek o tym, co wie, obojętnie jak bardzo by ją przekonywali. Myślę, że wystarczy zastrzyk xetydielu.

– Do diabła! Mam ją zamienić w żywego trupa? – zaklął Oyarzabal. – Straci cały rozum!

Jeden z obecnych roześmiał się.

– No to co, będzie głupia i twoja. Od kiedy to kobietom potrzebny jest rozum?

*Och, Pani, pomóż mi... pomóż mi, pomóż!* Tor wróciła do wiary swych przodków, porzucając tysiące nieczułych bogów zdradzieckich pozaziemców. *Wolę umrzeć. Wolę umrzeć.*

– Sam widzisz, Oyarzabalu, ile kłopotów mogą sprawić kobiety, gdy zostawi się im zbyt dużo swobody, co na nas ściągnęła głupia babska ciekawość. A pomyśl, co tutejsza Królowa szykuje swojemu światu. – Głos Źródła brzmiał jak zgrzytanie pilnika po metalu. – No to wybieraj: śmierć lub wymazanie mózgu. Najpierw dla niej, potem dla siebie.

Dłonie Oyarzabala zaciskały się i otwierały, gdy rozglądał się po pokoju i pięciu pozostałych twarzach, dostrzegając oczywistą groźbę.

– Zgoda! Ale nie chcę, by ją zabito, nie chcę patrzeć na jej śmierć. Wolę, by żyła.

Tor jęknęła znowu, poczuła wypływającą z kącika ust stróżkę śliny. Zadrzały palce jej nóg – *Ruszam się, ruszam! – ale nic więcej.*

– W takim razie zaopiekuję się panią – odezwał się jeden z grupy techników. Tor rozpoznała w nim C'sunha, biochemika specjalizującego się w narkotykach. Zobaczyła, jak wstaje i podchodzi do jednej z zamkniętych szafek, znajdujących się poza zasięgiem jej wzroku. Słyszała, jak przestawia butelki i przyrządy, póki sycząca chmura w jej głowie nie zagłuszyła wszystkich innych dźwięków.

Oyarzabal przestępował z nogi na nogę, trzymał głowę opuszczoną, jakby nie spodziewał się, iż wszystko potoczy się tak szybko i nieodwołalnie. Tor posyłała mu mordercze spojrzenia.

– Panie, czy mam dać jej zastrzyk? – Trzymający strzykawkę biochemik ukazał się ponownie oczom sparaliżowanej.

– Tak, zajmij się nią, C'sunh – odparł głos łagodnie. – Sama widzisz, Persefono, nigdy nie wygrasz. Zawsze skończy się tym samym.

Tor patrzyła na zbliżającego się C'sunha, patrzyła, póki oczu nie przesłoniła jej złota mgiełka; nie oślepiło jej napięcie w głowie. Także Oyarzabal przyglądał się C'sunhowi i jej; wbijał w nich płonący wzrok z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków.

Przez zamknięte drzwi dobiegło ich ciężkie walenie. Chemik zatrzymał się w połowie ruchu, gdy rozległ się stłumiony krzyk:

– Otwierać! Policja! – Mężczyźni przy stole zerwali się na nogi, patrzyli ze zdumieniem na siebie i na sufit.

– Sini!

– Panie, w kasynie są Sini! Co mamy robić?

Nie otrzymali żadnej odpowiedzi, a mózg Tor przeszyło doznanie zbyt wysokie, by odebrała je jako dźwięk. Mężczyźni zasłonili uszy rękami.

– Odblokowują zamki! Zróbcie coś, na miłość bogów! Wykończ ją, C'sunh!

Chemik ruszył znowu do Tor z twarzą skręconą bólem, w dłoni miał cienką plastikową rurkę. Oyarzabal podszedł nagle i złapał go za rękę. Inni jednak skoczyli na Oyarzabala, a C'sunh pochylił

się nad sparaliżowaną.

– Nie! – pisnęła Tor swe ostatnie...

Drzwi otworzyły się i zobaczyła płynny błękit; pokój wypełniło kilku policjantów w mundurach.

– Stój! – Wszędzie widać było broń, dwa lub trzy pistolety skierowane były w plecy i twarz C'sunha. Powoli wyprostował się znad swej ofiary.

– Rzuć to! – polecił mu Siny. Biochemik puścił strzykawkę, Tor wzdygnęła się, gdy wylądowała o centymetry od jej bezbronnej nogi.

– Doktor C'sunh, na me życie! – Z bezkształtej ściany błękitnych mundurów Tor wyodrębniła komendanta policji. – Jesteś w naszych aktach, odkąd pamiętam – to wielka przyjemność spotkać się wreszcie z człowiekiem, a nie danymi. Uśmiechnęła się radośnie i zakuła go w kajdanki. Jej ludzie zrobili to samo z Oyarzabalem i pozostałymi. Komendant pochyliła się, zajrzała w twarz Tor, zauważyła upadłą strzykawkę. Uśmiechnęła się znowu. – O, Tor Starhiker. Wydaje mi się, że nie może się pani doczekać, by coś nam powiedzieć. Ja też nie mogę. Hej, Woldantuz! Chodź tutaj i daj zastrzyk tej kobiecie. Właściwy. – Mrugnęła uspokajająco, gdy podszedł do nich i ukląkł jeden z policjantów.

Tor ledwo zauważyła parzącą odtrutkę, gdy obok twarzy komendanta pojawiła się inna, jeszcze bardziej zaskakująca.

Polluks! – Słowo nie wyszło jej z gardła, lecz zaczynała odzyskiwać panowanie nad swoim ciałem; czuła, jak opuszczają wpływ narkotyku.

– Tor. Wszystko z tobą dobrze?

– Co... coś... ty... powiedział? – Zabulgotała, oddychając ciężko.

– Tor. Wszystko z tobą dobrze? – powtórzył, równie bezbarwnym głosem co poprzednio. Pochylił się i wyciągnął rękę, gdy spróbowała wstać. Chwyliła ją z wdzięcznością i podciągnęła się w górę.

– Uff. – Dotknęła dłonią twarzy, oszołomiona od ulgi, i oparła się ciężko o robota. Palce zagłębiły się w miękkich kędziarach przekrzywionej peruki; poprawiła ją z roztargnieniem... przypomniała sobie ostatnie słowa, jakie usłyszała od Źródła. Zaciśnęła dłoń, zerwała perukę i rzuciła na podłogę. – Od kiedy tak rozwinął ci się słownik, puszeko śrubek? – Odsunęła się, patrząc w nieodgadnione oblicze Polluksa, poczuła rosnący na swoim uśmiech triumfu. – Ognie piekielne... jak podejrzewałam. Ty stary oszuście! Do diabła, czemu przedtem do mnie nie mówiłeś?

– To taki mały żarcik, Tor.

– Aha. Po maszynie można się spodziewać podobnego poczucia humoru. Od kiedy potrafisz tak mówić?

– Odkąd zostałem zaprogramowany w akademii policyjnej na Kharemough.

– Gdzie?

– Wymaż to, Polluksie. – Z drugiej strony zjawiała się skrzywiona komendant. – Naprawdę trzeba nad tobą popracować... Starhiker, możecie podziękować Polluksowi, że zdążyliśmy w porę. A ja za coś znacznie poważniejszego – jeśli potwierdzicie, że podejrzenia, z którymi tu przyszedłam, są słuszne. – Wskazała kciukiem na laboratorium i pojmanyh.

– Dzięki, Polluks. – Tor łagodnie pogładziła go po piersi. – Chcieli wywołać zarazę – poczuła, jak znowu zawodzą ją nogi – i wymordować w ten sposób wszystkich Letniaków. PalaThion kiwnęła głową, jakby to właśnie spodziewała się usłyszeć.

– Kto ich do tego wynajął?

Tor spuściła oczy.

– Królowa Śniegu?

Zaskoczona, przytaknęła, czuła niewytłumaczalny wstyd, potwierdzając to pozaziemcom.

– Tak mówili.

– Tak jak myślałam. – PalaThion uśmiechnęła się, z zimną krwią, nie patrząc już na Tor. – Wreszcie ją dorwałam! Chyba że... – Pokręciła głową, spojrziała na innego Sinego wchodzącego do pokoju, tym razem był to inspektor. – Mantagnes? – spytała z nadzieją.

Ale inspektor ponuro pokręcił głową.

– Uciekł nam, pani komendant.

– Jaakola? Jak, u diabła, mu się udało...

– Nie wiem! – odpowiedział z równym gniewem. – Gdy włamaliśmy się do jego biura, nie było w nim nikogo. Zaglądaliśmy wszędzie – mucha by się tam nie ukryła! Ciągłe szukają... musiał mieć jakąś kryjówkę, na którą jeszcze nie trafiliśmy.

– Nie wydostanie się z planety. – PalaThion szarpnęła za oznakę imperium na sprzączce pasa. – Dostaniemy go.

– Nie założyłbym się o to. – Mantagnes z niechęcią patrzył na swe stopy.

– To pozwólcie mu znaleźć kryjówkę, w której schroni się przed oskarżeniem o usiłowanie ludobójstwa. – Machnęła ręką.

– Woldantuz, zabierzcie tych pięknych ludzi tam, gdzie ich miejsce. Mamy wreszcie wszystkie dowody. I świadka. Starhiker, potrzebuję waszych zeznań.

– Możecie na mnie liczyć. – Tor przytaknęła, poczuła rozpalającą się chęć zemsty na widok prowadzonego obok niej C'sunha. Przeszło jeszcze dwóch innych zatrzymanych, nim ujrzała Oyarzabala.

– Persefono? – Zatrzymał prowadzącego go policjanta. – Chyba jednak nie zabiorę cię z sobą. Nie tam, gdzie trafię teraz.

– Chciałeś zamienić mnie w roślinę, przeklęty wszarzu! Tylko o to ci zawsze chodziło! – Odepchnęła PalaThion, by stanąć przed nim. – Mam nadzieję, że zostaniesz tam, póki nie zgnijesz. Mam nadzieję, że nigdy już nie zobaczysz żadnej kobiety... – Przypomniała sobie nagle, że próbował zatrzymać C'sunha i że te kilka sekund zwłoki ją uratowało.

– Nie chciałem byś umarła, to wszystko! Nawet taki stan jest lepszy od śmierci. – Pochylił się ku niej, Siny go odciągnął.

– Mów za siebie. – Splotła ręce. – Tylko ty tak sądzisz.

Obejrzał się na PalaThion.

– Jeśli chcecie się o wszystkim dowiedzieć, pytajcie. Niczego nie zataję. – PalaThion przytaknęła, a jeden z zatrzymanych zaklął pod nosem. Tor zrozumiała, że od tej chwili życie Oyarzabala nie jest teraz warte splunięcia pijaka, gdziekolwiek by nie trafił.

A ona sama, cokolwiek by nie zrobiła, już się nie wydostanie z tej planety. *Och, bogowie, czemu nigdy mi się nic nie udaje?* Wzięła się mocno w garść, bo nie miała już nikogo, kto by ją podpierał i wspierał. Poczowała na sobie wzrok PalaThion, wyczuła w nim niespodziewane współczucie. Twarz komendant przesuwiała się niepostrzeżenie, aż spoczęła na Oyarzabalu i poza nim.

Wzywając na pomoc wszystkie swe siły, licząc tylko na nie, Tor podeszła do Oyarzabala i pocałowała go krótko w usta. Odsunęła się, nie pozwalili mu zrobić kroku.

– Żegnaj, Oyar.

Nie odpowiedział jej. Sini wyprowadzili go z pokoju. Tor stanęła obok Polluksa. *Dlaczego tak jest? Dlaczego? Czemu dopiero wtedy chcemy tego, co mamy, gdy zostaje to nam zabrane?*

Jerusha wychyliła się znad swego urzędowego biurka, wyciągała szyję, patrząc na doktora C'sunha i innych niedoszłych ludobójców, prowadzonych do skrzydła zawierającego areszt. *Och, słodka zemsto!* W jej uśmiechu nie było ani śladu słodyczy. W ostatniej chwili udaremniła spisek Arienrhod i choć nie dostała jeszcze jej samej, napuściła na nią Letniaków, którzy dopilnują, by doczekała dnia swej egzekucji. *Może jednak we wszechświecie jest jakaś sprawiedliwość.*

– Starhiker!

Tor Starhiker ukazała się spoza topniejącej zasłony gratulujących sobie błękitnych mundurów; siedziała, pijąc mocną herbatę, pod czujnym okiem Polluksa. Wstała z ławki i mijając policjantów, podeszła do biurka. Jerusha przyglądała się jej z oszołomieniem i ciekawością. Chrząszczący strój znacznie więcej odsłaniał z jej przysadzistego ciała, niż zasłaniał. Chodziła jak doker, obojętna na zaczepne spojrzenia mijających ją mężczyzn. Spod rozmazanego makijażu wyłaniała się zwyczajna, zdecydowana twarz, jej proste, mysie włosy sięgały zaledwie do uszu. Na bogów, tam jest człowiek. Jerusha przypomniała sobie nagle, że jeden z odesłanych mężczyzn był zakochany w tej kobiecie. *Do licha, czemu dobro nie może być dobrem, a zło złem... czemu choć raz nie może wszystko być takie proste? Mam już dosyć szarości.* Otrząsnęła się z tych myśli, gdy Tor stanęła przed nią.

– Jak się czujecie?

Tor wzruszyła ramionami, strącając fałdę stroju i wciągając ją na ramię.

– Myślę, że dobrze. To znaczy zważywszy na... – Spojrzała na wejście do aresztu.

– Możecie złożyć zeznanie?

– Jasne – westchnęła Tor. – Chyba nie zdążę stanąć przed sądem, co? – Oparła dłonie na biodrach.

– Proces odbędzie się na innej planecie. – Jerusha uśmiechnęła się, dostrzegając ironię.

– To wyjdzie wam na dobre. Doktor C'sunh ma wielu przyjaciół, wszyscy są tam – wskazała na sufit. Tor skrzywiła się. – Gdy tylko odlecimy z Tiamat, nie' zdołają wam zagrozić. Wasze oświadczenie wystarczy, by ich załatwić, jeśli tylko zostanie właściwie zapisane, a o to już się postaram, możecie być pewni. Mam nadzieję, że zdołamy złapać i Źródło. Jeśli... – przerwała, gdy do komendy weszli nowi nieznajomi. Nie, poznawała ich. Wstała, zobaczyła, że wszyscy inni w pokoju gapią się jak ona.

– Co u...

– Arienrhod?

– Moon! – Usłyszała, jak to mówi i jak wtóruje jej Tor, nie dając czasu na zdumienie. Za dziewczyną dostrzegła dwóch krępych Letniaków, niosących ciało Gundhalinu. – Cholera!

Moon zawahała się na widok Jerushy wychodzącej zza biurka, lecz nie ruszyła się, mimo że otoczyło ich paru policjantów.

– Kto to?

– Gundhalinu!

– Myślałam, że...

– Nie żyje? – Jerusha złapała Moon za ramię, czując, jak runęły wszystkie jej nadzieje.

– Nie! – PalaThion dostrzegła niepokój na twarzy wyrywającej się dziewczyny i ją puściła. – Ale jest chory, potrzebuje lekarza. – Moon wyciągnęła rękę w stronę BZ, lecz go nie dotknęła.

– Dwa dni temu nic cię to nie obchodziło, co? – Jerusha spojrzała na opuszczoną głowę Gundhalinu, jego zamknięte oczy i ściągniętą, spoconą twarz. Skinęła na swych ludzi, by przejęli inspektora od Letniaków. – Zabierzcie go do ośrodka medycznego, szybko. I ostrożnie, do licha!

Droższy jest mi niż diamenty.

Wynieśli go uważnie. Obaj Letniacy skinęli Moon, niemal jak poddani, i wyszli na ulicę. Dziewczyna nie próbowała iść za nimi ani za Gundhalinu, patrzyła tylko za nim. Znalazła gdzieś długą złotą suknię, pomimo rozpuszczonych włosów wyglądała w niej dokładnie tak samo jak Arienrhod.

– Przypominam ci też, Dawntreader, że jesteś aresztowana. – *O bogowie, za dużo tego jak na jeden dzień.* Podniosła głowę, wzywając innego oficera.

Moon skrzywiła się.

– Nie zapomniałam o tym, pani komendant. BZ... inspektor Gundhalinu... uciekłam mu. Odnalazł mnie i odprowadzał tutaj, gdy zemdlał – powiedziała to wszystko bez zmrużenia oka.

– Na pewno. – Jerusha odpięła od pasa kajdanki, mówiąc bardzo łagodnie: – W życiu nie słyszałam większej bzdury. Wolę jednak w nią uwierzyć, ze względu na Gundhalinu. – Zobaczyła oznaczone tatuażem gardło dziewczyny, przypomniała sobie nagle, że jest sybillą, i z chrząknięciem odwiesiła kajdanki. – Chyba nie będą potrzebne, sybillo. Ale nie dlatego tu przyszedłeś, by mi to powiedzieć. Dlaczego więc, do licha?

Moon uśmiechnęła się przelotnie, ironicznie; ta mina nie pasowała do jej twarzy. Spoważniała zaraz.

– Przyszedłam tu, bo Królowa zamierza wywołać zarazę, by zabić wszystkich Letniaków w mieście, a wiem, kto ma to zrobić.

– Spóźniłaś się. – Jerusha rozjaśniała się w triumfie, póki nie dostrzegła reakcji Moon. – Nie – zdążyliśmy już to powstrzymać. Mamy winnych, zostaną na długo naszymi gośćmi. – Skinęła w stronę więzienia, napawając się ciepłym uśmiechem losu.

– *Już?* Jest po wszystkim? Nie zdołają... – Moon obejrzała się przez ramię na wejście do komendy. Zaskoczona popatrzyła znów na Jerushę, zrozumiała nagle, że wymieniła swą wolność za nic.

– Nie zdołają. Letniacy są bezpieczni. Arienrhod przegrała, jest teraz w areszcie domowym. Nie wywinie się waszej Pani. – Przechodzący policjant pogratulował jej; kiwnęła mu głową.

Twarz Moon opadła, jakby nie wiedziała, co ma czuć, jakby wiedza miała więcej warstw, niż mogła przeniknąć.

– Skąd... skąd się dowiedzieliście? – zapytała wreszcie, ze znużeniem i rezygnacją.

– Przypadkowo, dzięki nie zamierzonej współpracy... – zwróciła się do podsłuchującej w tyle Tor Starhiker.

– Witaj, dzieciaku. – Tor uniosła dłoń, gdy Moon starała się ją poznać. – Hej, Polluks, chodź tutaj!

– Persefona? – Moon skrzywiła się lekko na widok nie upiękzonej twarzy Tor, ciągle nie do końca pewna, czy to ona. Obejrzała się na podchodzącego polrobota.

– Za co jest aresztowana? – Tor wskazała lekceważąco kciukiem na Moon, trochę za bardzo przejęła się rolą koronnego świadka. – Czyżby prawo zabraniało bycia wcieleniem Królowej? W każdym razie wasze prawo.

– To zależy, jak dobrze się to robi – odparła Jerusha, przestępując z nogi na nogę. – Znacie się?

– Od dzisiaj. A wydaje się, że od zawsze. – Tor pokręciła głową, starając się uśmiechnąć. – Zobacz, Polly, co zrobiła z twoją fryzurą... Co się stało, kuzynko? Znalazłaś go? Czy wydostałaś go z pałacu? Czy widziałaś Królową? A ona ciebie?

– Byłaś w pałacu? – zapytała ostro Jerusha. Mur oficjalnego oskarżenia zmieniał dziewczynę w więźnia. – By spotkać się z Królową...



Moon wyczuła zmianę nastawienia i rzucone jej wyzwanie.

– By odnaleźć mego kuzyna! – Spojrzała na Tor i opuściła zapłonioną twarz. – Komendancie, czy wie pani, czym... kim jestem? – Znowu popatrzyła na Jerushę.

PalaThion kiwnęła głową, ciągle utrzymując chłodny dystans. – Wiem od dawna. – Tor patrzyła obojętnie w bok.

– Tak jak wszyscy oprócz mnie – mruknęła Moon gorzko. – Dowiedziałam się jako ostatnia.

– Ja ciągle nie wiem – powiedziała Tor.

– Czy powiedział ci Gundhalinu?

– Nie, Arienrhod. – Moon zwijała pasmo włosów.

– Spotkałaś się z nią? – spytała zaskoczona Jerusha.

– Tak – odparła niemal szeptem. – Chciała, bym dzieliła z nią... wszystko. Nawet Sparksa. – Znowu poczerwieniała, lecz z gniewu, a nie wstydu. – Chciała, bym zapomniała, co mu zaprzysięgłam; zapomniała, że jestem Letniaczką, że jestem sybillą. A gdy się nie zgodziłam, próbowała mnie zabić. – Gorycz pogłębiła się mocno. Jerusha poczuła, jak jest coraz bardziej zaskoczona. Moon potarła oczy, zachwiała się nagle. Jerusha przypomniała sobie, co musiała przejść i ile z tego zrobiła ze względu na Gundhalinu.

– Usiądź. Polluksie, przynieś nam herbaty. – Jerusha odesłała czekających strażników, wzięła Moon za łokieć i poprowadziła do ławki przy ścianie. Dziewczyna spojrzała na nią ze zdumieniem; to samo uczucie przeszło komendant. Polluks odszedł posłusznie szlakami urzędowej aktywności. Tor rozszerzyła zamówienie na siebie, wołając: – Polly, mi też dolej.

– Powiedziałaś, że Arienrhod chciała cię zabić? – Jerusha usiadła.

Moon opadła ciężko na miejsce, trochę odsuwając się od niej. Tor usiadła na samym końcu ławki.

– Powiedziała dostojnikom, że jestem sybillą i próbowali wrzucić mnie w Otchłań.

Tor wyprostowała się nagle, choć raz zaniemówiła.

– Swój własny klon? – Jerusha poczuła, jak niedowierzanie opadło z niej, nim jeszcze skończyła mówić. Tak, to pasuje do znanej mi Arienrhod. Nikt jej nie dorówna.

– Nie jestem Arienrhod! – zaprzeczyła drżąc Moon. – Mam jej twarz, to wszystko. – Przeciągnęła dłonią po własnym obliczu, zakrzywiając palce tak, jakby chciała je zedrzeć. – Ona o tym wie.

Wrócił Polluks, podając herbatę z milczącą doskonałością lokaja. Jerusha pociągnęła łyk ze swej czarki, poczekała, aż żar napoju rozszedł się po jej głowie. *Jej przyjście tutaj może być następną sztuczką, nowym podstępem.* Ale nie potrafiła za nic wyobrazić sobie, jaki mogłaby mieć w tym cel.

– Próbowali wrzucić cię do Otchłani? – naciskała Tor, patrząc na gardło Moon. – Co było potem?

– Nie była głodna. – Moon wypiła łyk z dziwnym wyrazem twarzy. Tor patrzyła na nią z bólem.

– BZ – inspektor Gundhalinu przybył z Letniakami i skłonił ich, by mnie puścili.

– A więc ta wędka, z którą przyszedłeś, naprawdę jest Sinym? – zapytała Tor.

– Był nim kiedyś. – Jerusha oparła o ścianę głowę okrytą ciężkim hełmem. – Mam nadzieję, że znowu będzie.

– Nigdy nie pragnął być kimkolwiek innym – powiedziała spokojnie Moon. – Niech pani nie pozwoli mu z tego zrezygnować, porzucić wszystkiego. Nie pozwoli mu winić siebie za to, co się stało. – Przełknęła herbatę.

– Nie zdołam go przed tym powstrzymać – skrzywiła się Jerusha. – Ale postaram się, by nie

winił go nikt inny. – *Mogę uratować jego karierę; nie potrafię jednak uchronić go przed sobą... ani przed tobą.* – Powiedz mi – zażądała, gdy niechęć stężała w oskarżenie – na wszystkich bogów, co widzisz w Starbucku, w tym krwawym ludobójcy...

– Sparks nie jest Starbuckiem... już nie. – Moon odstawiła na ławkę pustą filiżankę, zadygotała, słysząc ludobójcy. – Nie wiedział też nigdy o merach. Ale pani wie. – Podniosła głowę, w oczach rosło jej podejrzenie.

*Od ciebie.* Jerusha nagle odwróciła wzrok.

– Tak. Twój przyjaciel Ngenet powiedział mi, kim są naprawdę. – *Mój przyjaciel Ngenet... zaufał tobie, zaufał też mnie, mówiąc o tobie.* Pokręciła głową, próbując stracić mieszane uczucia.

– Ngenet? – Moon znowu potarła twarz. – Musiała pani wiedzieć o tym wcześniej. Każda sybillą zna prawdę, nie możecie zaprzeczyć – rozciągnęła oskarżenie na całą Hegemonię. – Chciała pani skazać Sparksa za zabijanie merów na ziemi pozaziemca – za rozlewanie ich krwi, choć staliście obok i patrzyliście, jak umierają, wyciągając przy tym dłonie i błagając o wodę życia! Chcieliście i mnie skazać za znajomość prawdy – iż karzecie mój świat za własne winy.

Tor słuchała tego chciwie, ale Jerusha nie próbowała nawet się jej pozbyć. Zamiast odpowiedzieć, dotknęła tylko zimnymi palcami oznaki Hegemonii na klamrze pasa. Moon długą chwilę przyglądała się jej bardzo uważnie.

– Nie ustanawiam praw. Pilnuję ich przestrzegania. – Mówiąc to, pragnęła, by nie musiała tak się tłumaczyć.

W oczach Moon ukazało się rozczarowanie, ale nie próbowała rozprawić się z tym argumentem.

– Sparks nie jest Starbuckiem! Nie był nim w Lecie i przestanie pełnić jego rolę po odejściu Zimy. Arienrhod uczyniła go takim, a on się na zgodził bo... bo jest tak do mnie podobna. – Moon umknęła z oczami. Jerusha poczuła rodzące się współczucie dla nagłego zawstydzenia i zmieszania dziewczyny. Popatrzyła na wytatuowaną koniczynkę. – To Sparks powiedział mi o spisku Królowej. Szedł tutaj, gdy nas złapała; nie obchodziło go, co zrobicie mu albo mnie, jeśli tylko zdołacie ocalić przed śmiercią nasz lud. – Znowu podniosła wzrok.

– Jeśli chce odpokutować za ostatnie pięć lat, musi zrobić coś więcej. Zabierze mu to resztę życia. – Wymawiając te słowa, Jerusha poczuła w ustach smak jadu.

– Tak bardzo go nienawidzicie? – Skrzywiła się Moon. – Czemu? Co wam zrobił?

– Posłuchaj, Moon – wtrąciła się Tor. – Wszyscy w Krwawniku mają powody, by nienawidzić albo Starbucka, albo Sparksa Dawntreadera. Łącznie ze mną.

– Musieliście więc dać mu powód, by was znienawidził. Jerusha odwróciła się.

– Stokrotnie się nam za to odplacił. Moon pochyliła się.

– Możecie przynajmniej dać mu szansę udowodnienia, że już nie należy do Królowej. Wie wszystko o planie Źródła, czy nie mógłby przeciwko niemu zaświadczyć? Wie o Źródle i inne rzeczy, które mogą się wam przydać...

– Na przykład co? – zapytała Jerusha, wbrew sobie czując ciekawość.

– Co stało się z poprzednim komendantem policji? Został zatruty, prawda?

Jerusha poczuła, jak szeroko otwiera usta.

– To zrobił Źródło?

– Dla Królowej – potwierdziła Moon.

– Bogowie... och, bogowie, chciałabym to mieć na taśmie! – *A kopię puszczałabym co wieczór, jako kołysankę.*

– Wystarczy tego, by zdjąć z nas oskarżenia?

Jerusha znowu skupiła się na Moon, zobaczyła narastające szybko w jej dziwnych oczach mocne

postanowienie; zrozumiała nagle, że przegapiła w tym wszystkim jedno – dziewczyna ciągle walczy o życie swego ukochanego i swoje. *Dobrze wyuczyłaś się zasad cywilizacji.* Niechęć zadrgała w jej sercu i zmarła, nim się narodziła. Spojrzała znowu na wytatuowaną koniczynkę. *Piekło i diabły, jak długo można nienawidzić jej twarzy, skoro nie mam dowodu, że zasłużyła na narodzenie się z nią?*

– Czy mogę przyprowadzić go tutaj? – Moon uniosła się lekko, przewidując poddanie się Jerushy.

– To może nie być takie proste.

Moon usiadła znowu, napięła ciało.

– Dlaczego?

– Gdy tylko się dowiedziałam, że Sparks jest Starbuckiem, rozgłosiłam to na całej Ulicy. Letniacy musieli już o tym usłyszeć. – *I byłabym hipokrytką,* nie wiedząc, że chciałam, by tak się stało. – Nie pozwolą mu teraz opuścić pałacu.

– Myślałam, że jest w nim bezpieczny! Tylko dlatego go zostawiłam! – Moon wykrzyczała własną zdradę; spojrzały na nią wszystkie twarze w pokoju. Oczy zapłonęły jej nagle, zmieniły się w przejrzyste okna. Jerusha odsunęła się, uciekając przed skażeniem. – Nie, nie! – dłonie Moon zacisnęły się w pięści. – Nie możecie go wykorzystać i pozwolić, by umarł. Wszystko to zrobiłam dla niego – wiecie, że tylko dlatego tu przyszłam. Nie dla was, nie dla Zmiany... nic mnie nie obchodzi, jeśli przyczyni się do jego śmierci! – Zabrzmiała w tym groźba. – Sparks nie może jutro umrzeć...

– Ktoś musi – powiedziała niepewnie Jerusha, starając się zawrócić dziewczynę do rzeczywistego świata. – Wiem, sybillo, że jest twoim kochankiem, ale Zmiana jest ważniejsza od pragnień czy potrzeb kogokolwiek. Obrzędy Zmiany są święte; jeśli Matka Morza nie dostanie swego małżonka, tłumy, które przyjdą na to popatrzeć, odplacą się piekłem. Starbuck musi umrzeć.

– Starbuck musi umrzeć. – Powtórzyła Moon, wstając powoli. – Wiem, wiem, że musi. – Podniosła dłoń do twarzy wykręconej bólem, jakby walczyła z jakimś przymusem. – Ale nie Sparks! Pani komendant – zwróciła się do niej z udręczoną ciągle twarzą. – Czy pomoże mi pani odnaleźć pierwszego sekretarza Sirusa? Obiecał mi – uśmiechnęła się nagle niemal sardonicznie – że jeśli będzie mógł coś zrobić dla swego syna, uczyni to. I tak się stanie.

– Mogę się z nim połączyć – potwierdziła Jerusha. – Chcę się jednak dowiedzieć po co.

– Muszę... wpierw się z kimś zobaczyć. – Moon spuściła wzrok, wyraźnie zachwiało się jej zdecydowanie. – Potem się do pani zgłoszę, a pani do niego zadzwoni. Persefono, gdzie teraz jest Herne?

Tor uniosła brwi.

– Chyba w kasynie. Na wszystkich bogów – mruknęła z pewnym zdziwieniem – chyba wreszcie coś zrozumiałam z tej rozmowy. – Uśmiechnęła się porozumiewawczo do Jerushy. – Umieracie z tęsknoty, Sina.

Jerusha leżała na niskiej kanapie w swym obskurnym mieszkaniu, zwieszała jedną nogę, łącząc się przez nią z podłogą, *bo inaczej podskoczyłabym do sufitu*. Uśmiechała się, obserwując pod powiekami przesuwane się obrazy wydarzeń dnia; jednym uchem nasłuchiwała dobiegających z ulicy odgłosów hałaśliwego świętowania, łudząc się, że to na jej cześć. *U diabła, przynajmniej połowa z nich zawdzięcza mi życie*. Trochę bardziej rozluźniła klamrę spinającą tunikę munduru. Po raz pierwszy nie zdjęła jej natychmiast po powrocie do domu... po raz pierwszy czuła się dobrze jako Sina i komendant policji.

Usłyszała, jak Moon Dawntreader jęczy i wzdycha przez sen w jednym z ciemnych pokoi. Dziewczyna musi być bardzo zmęczona, lecz mimo to nie odpoczywa tu dobrze. Jerusha nie spała wcale, a gdzieś poza zatrzymującymi czas murami miasta rodził się już nowy dzień. Ale to nieważne, za kilka dni na zawsze opuści to miejsce. Po raz pierwszy nie przetrwała w kółko minionego dnia ani nie przewidywała, co przyniesie nowy. W swym urzędzeniu rejestrującym znalazła prośbę – nie żądanie, a prośbę – o spotkanie z głównym sędzią i członkami Rady. Po zapobieżeniu spisku Arienrhod i złapaniu C'sunha, po sprawieniu, że dla Źródła na każdej planecie jest za gorąco... po tym wszystkim jej czarno-sina kartoteka nabrała nowych barw i wygląda dobrze, podobnie jak ona sama.

Czemu więc pozwala przestępcy spać w pokoju gościnnym? Na Bękartę Sternika, dziewczyna nie jest bardziej od niej samej czegokolwiek winna. Podobnie jak i nie jest królową Arienrhod. A co kogo może obchodzić, że Moon źle myśli o Hegemonii? Gundhalinu ma rację – po odejściu pozaziemców, w jaki sposób będzie mogła jej zaszkodzić? I choć nie chciała przyznawać się nawet przed sobą, ciągle, jak wrzód, dręczyło ją wspomnienie merów i słów dziewczyny o winie i karze. Bo były prawdziwe – są, i nie zdoła nigdy zaprzeczyć ani im, ani obłudzie rządu, któremu służy. *Do diabła z tym, czy istniał kiedyś rząd doskonały!* Powstrzymała Arienrhod i może sobie powiedzieć, że postępując tak z Moon, wnosi swój wkład w zapewnienie Tiamat lepszej przyszłości. Może nawet rozciągnąć to na Sparksa, zostawić go Moon, jeśli złoży potrzebne jej zeznanie. A gdy go puści, powinna już mieć całkowicie czyste sumienie... Wiedziała jednak, że tak nie będzie. Widziała już zbyt wiele rzeczy, jakich nigdy by się nie spodziewała tu ujrzeć; zbyt wielu ludzi, których usiłowała zaklasyfikować, nie pasowało tu do jej psychologicznych przegródek i przewyciężyło jej opór. *Niektórzy z moich najlepszych przyjaciół są przestępcami*.

Uśmiechnęła się boleśnie, ukłuta nagłym żalem. Miroe... żegnaj, Miroe. Nie odezwał się po tym skazonym śmiercią dniu, kiedy to stali razem na krwawej plaży... *Ale nie tak. Nie mogę pamiętać tylko tej sceny*. Usiadła na kanapie, otrząsając się z dręczących myśli. *Nie – mogę mu powiedzieć, że znalazłam Moon, że wszystko z nią dobrze i że Arienrhod zapłaci za wszystko*. Tak, powinna zaraz do niego zadzwonić, póki jeszcze ma czas, nim nie odetną łączności, zanim nie będzie za późno. *Zadzwoń do niego, Jerusho, i powiedz mu... żegnaj*.

Wstała, przeszła sztywno do telefonu, w dole brzucha czuła niespodziewane trzepotanie, jakby połknęła ćmę. Wystukała numer, klnąc pod nosem dziecinne zdenerwowanie, czekała na połączenie.

– Hallo? Tu plantacja Ngeneta. – Głos był bardzo wyraźny, jak nigdy jeszcze. Odezwała się kobieta, Jerusha poczuła, jak sama odpowiada chłodno.

– Mówi komendant PalaThion. Chcę rozmawiać z Ngenetem.

– Przykro mi, pani komendant, ale wyjechał.

– Wyjechał? Dokąd? – *Do cholery, nie może teraz szmuglować!*

– Nie powiedział, pani komendant. – Kobieta mówiła bardziej z zakłopotaniem niż

konspiracyjnie. – Miał ostatnio wiele spraw – wszyscy tu przygotowujemy się na Zmianę. Parę dni temu wypłynął łodzią. Nikomu nie wyjaśnił dlaczego.

– Rozumiem – Jerusha oddychała stopniowo.

– Czy mam mu coś przekazać?

– Tak. Trzy rzeczy: Moon jest bezpieczna. Arienrhod zapłaci. I proszę mu powiedzieć, że... że się z nim żegnam.

Kobieta powtórzyła wszystko dokładnie.

– Powiem mu. Szczęśliwej podróży, pani komendant.

Jerusha opuściła wzrok, zadowolona, że nie widać jej twarzy.

– Dziękuję. Wszystkim wam życzę szczęścia. – Odłożyła słuchawkę i odwróciła się. Zobaczyła muszlę na stoliku przy drzwiach, leżącą tam gdzie zawsze, odłamany kolec świadczył o wszystkim, co zaszło i co mogło zająć. *Tak lepiej... to dobrze, że wyjechał.* Ale jej oczy stały się nagle gorące i swędzące; nie mrugała, póki nie wysechł zbiornik łez, tak iż żadna się nie wymknęła.

Wróciła do telefonu, wysiłkiem woli zmieniła temat myśli. Gundhalinu... czy ma znowu zadzwonić i dowiedzieć się o niego? Już dwa razy łączyła się z miejskim ośrodkiem medycznym i słyszała to samo: majaczy, nie może z nim rozmawiać. Nie rozumieli, jak mógł w takim stanie chodzić, jest bardzo chory, lecz nie sądzą, by umarł. *Pocieszające.* Skrzywiła się, opierając o ścianę. Cóż, może po powrocie ze spotkania z głównym sędzią... Tak, będzie wtedy wiedziała, co mu powiedzieć. Tymczasem lepiej zrobi, jak wróci na komendę, nim nadejdzie pora wizyty.

Wyjęła z kieszeni paczkę iestów i poszła do łazienki umyć się i przebrać. Moon nadal spała niespokojnie, zmęczenie walczyło w niej z obawami, czy Sirius zdoła wydostać z pałacu jej kuzyna. Jerushy ciągle trudno było uwierzyć, że pierwszy sekretarz Rady Hegemonii mógł się zgodzić na taką próbę, Sparks był wprawdzie jego synem – ale synem nigdy nie widzianym, nie miał nawet pewności, że jest nim rzeczywiście. Przyszedł jednak chętnie na rozmowę z Moon i odszedł z chęcią działania.

Jeszcze trudniej było jej zrozumieć, jak Moon zdołała przekonać pochodzącego z Kharemough barmana z Persefony, by zgodził się zająć miejsce Sparksa. Bogowie, dziewczyna jest w mieście zaledwie od dwóch dni! Gdyby uwierzyła, iż osobisty urok Moon wystarcza, by mężczyźni gotowi byli dla niej umrzeć, szybko zamknęłaby to dziecko... Ale w rozmowie dziewczyny z tymi dwoma mężczyznami wyczuwała podteksty mówiące jej, że w ochnie Herne'a kryło się coś więcej niż zachwyty sybillą... wystarczyło jedno spojrzenie na jego nogi. Według osobistego zdania Jerushy, Herne wyglądał na człowieka, na którego śmierci Hegemonia może tylko zyskać; o nic nie pytała, bojąc się uzyskać odpowiedź, z którą trudno jej byłoby żyć. Jerusha usłyszała jakieś odgłosy w sąsiednim pokoju, wyrzawszy przez drzwi, zobaczyła wlokącą się po korytarzu Moon.

– Możesz wracać do łóżka, sybillo. Czas szybciej mija, gdy go nie liczymy. Obojętnie jak pójdzie Siriusowi, dobrze czy źle, tak szybko tu nie wróci.

– Wiem. – Moon przetarła zaspaną twarz i potrząsnęła głową. – Muszę się jednak przygotować, jeśli mam pójść w wyścigu. – Uniosła głowę, sen nie miękcył już jej oczu.

– Wyścigu Królowej Lata? Ty? – zdumiała się Jerusha.

Moon kiwnęła głową, zachęcając, by spróbowała ją powstrzymać.

– Muszę. Przybyłam tu, by zwyciężyć w biegu. Jerusha poczuła, że ktoś depta jej grób.

– Myślałam, że po swego kuzyna, Sparksa.

– Ja też – Moon spuściła oczy. – Okłamała mnie. Nigdy nie chodziło jej o uratowanie go; posłużyła się nim, bym wykonała jej plan. Nie mogła jednak powstrzymać mnie przed spróbowaniem ocalenia go... A ja nie mogę powstrzymać jej przed uczynieniem mnie Królową.

*Nadchodzi nowe tysiąclecie.* Jerusha odetchnęła z niewypowiedzianą ulgą, poczuła rodzącą się litość. *Bogowie, to prawda* – sybille są zwariowane. Nic dziwnego, że Arienrhod w końcu z niej zrezygnowała.

– Doceniam, że mówisz mi o tym szczerze. – Na mokłą skórę wciągnęła nową tunikę, zapięła ją z przodu. – Nie powstrzymam cię, jeśli spróbujesz. – *Ale jeśli wygrasz, nie mów mi tego; nie chcę wiedzieć.*

Moon nigdy by nie uwierzyła, iż w lawinie przepływających, świętujących tłumów znaleźć się może choćby na chwilę dość miejsca, by mogła swobodnie wyciągnąć ramię. Jednakże w jakiś niepojęty sposób z chaosu zrodził się ład; na pozór bezkształtna, obejmująca wszystko budowla Święta miała pod sobą fundamenty. W górnej części Ulicy oczyszczono ciągnący się na milę od pałacu odcinek. Pełni entuzjazmu widzowie ustawili się tak samo równo, co sterczące im za plecami mury eleganckich domów. Ci, którzy mieli dobre miejsca, zajęli je już wiele godzin wcześniej i przesuwający się niekiedy Sini nie mieli wielu kłopotów z utrzymaniem porządku. Przybyli, by zobaczyć początek końca, pierwszy ze starych obrzędów Zmiany – wyścig, który przerzedzi rzeszę kobiet ubiegających się o maskę Królowej Lata.

Moon wyszła na Ulicę, gdy tylko grupka Letniaczek zaczęła się skupiać wokół starszyny rodu Goodventure, w którego żyłach płynęła krew poprzedniej dynastii Królowych Lata. Członkinie tej rodziny podczas tej Zmiany nie mogły się ubiegać o zostanie władczynią, lecz w zamian obdarzone zostały zaszczytem czuwania, by wyścig przebiegał zgodnie z obyczajami. Moon z trzymanyh przez nie toreb wyciągnęła wstążkę, którą owinie głowę. Kolor przepaski wskazywał miejsce, jakie zajmie na starcie – na początku, w środku czy w tyle biegaczek. Wylosowana przez nią wstążka była zielona jak morze, ta barwa dawała pozycję na przedzie, inne opaski były brązowe jak ziemia i błękitne jak niebo. Przepasała nią czoło, blada, milcząca, nie zważała na rozlegające się wokół głosy radości i rozczarowania. To jasne, że wyciągnęła zieloną... czyż mogło być inaczej? Poczła jednak rodzącą się, ściskającą jak macki niepewność; uciekając przed nią, przepchała się na czoło gromadzących się biegaczek.

Rozejrzała się wokół, usiłując nie upaść w ruchliwym tłumie pełnym kolorowych wstążek i podnieconych twarzy... w tłumie obcych. Większość kobiet, które przybyły na Święto z zamiarem wzięcia udziału w biegu Królowej Lata, ubrana była w tradycyjne stroje odświętne, w dziergane z miękkiej wełny spódnice i spodnie, dla sprawienia radości Pani ufarbowane w zieleń morską lub letnią. Szaty miały pracowicie ozdobione wzorami z muszelek, koralików i świecideł handlarzy, zwisały z nich wstążki zakończone figurkami totemów ich rodów. Moon ubrała się w zabraną od Persefony tunikę koczowników; jedyny strój, jaki posiadała. Czła się tu równie obco, jak jego jaskrawe barwy, choć przecież otaczał ją lud, do którego powinna sama należeć. Włosy owinęła chustką, by skryć swe podobieństwo do Królowej. Niektórzy z Letniaków nie chcieli jej dopuścić do biegu, bo nie nosiła żadnego totemu czy innego dowodu na bycie jedną z nich. Zawsze wtedy pokazywała im gardło i cofali się od razu. Czła ironię noszenia tu stroju Zimaków, a nie własnego, a jednak był on dziwnie odpowiedni.

Nie widziała nikogo znajomego ani wśród biegaczek, ani wśród tłumu widzów. Wiedziała wprawdzie, że trudno było jej liczyć, iż pomiędzy setkami i tysiącami ludzi wypełniającymi Krwawnik natrafi na kogoś z Neith czy kilku sąsiednich wysepek, lecz mimo to szukała i czła rozczarowanie, że na próżno. Otaczały ją znajome widoki, głosy i zapachy, lecz babcia była za stara na taką podróż, a matka... – Święta są dla młodych – słyszała kiedyś, jak mówiła z dumą i tęsknotą – nie mających statków do naprawy i gąb do wykarmienia. Miałam swe Święto; co dzień przywołuję drogie mi wspomnienia z tych dni. – Objęła ramiona córki, podtrzymując ją na kołyszącym się pokładzie...

Z ust Moon wyrwał się okrzyk bólu, gdy nareszcie dostrzegła wyłaniającą się spod radosnych wspomnień matki brzydką prawdę. Stojąca obok kobieta przeprosiła i odsunęła się nerwowo. Moon spuściła wzrok, gdy znowu zrobiła się wokół niej podszyta strachem przed sybillami wolna

przestrzeń. Nagle ucieszyła się, że nie ma tu jej matki, że nie będzie się dzisiaj przyglądać wyścigowi, obojętnie, czym się on skończy. Matka i babcia muszą mieć ją za zmarłą, a teraz i Sparks; może to i lepiej. Dawno już musiały zakończyć żałobę. Czy nie lepiej, by nigdy nie poznały prawdy, niż miałyby czuć wiecznie lęk, że dowiedzą się choćby cząstki prawdy, którą poznała w całości, okropnej prawdy o swej córce i wnuczce? Przełknęła żal i znowu rozejrzała wokół.

Nie była dzieckiem swej matki... ani Arienrhod. *To co tu robisz?* Rozglądnęła się z nagłym zwątpieniem. Nie dostrzegła tu żadnej innej sybilli. Czy wśród Letniaków nie było ani jednej, która chciałaby uczestniczyć w biegu? Czy to naprawdę płynąca w jej żyłach ambicja Królowej sprawiła, że sama zapragnęła zostać władczynią? *Nie. Nie proszę się o to! Musi nastąpić zmiana; jestem jedynie jej narzędziem.* Zacisnęła pięści, powtarzając to jak zaklęcie. Jeśli żadna inna sybilla nie pobiegnie w wyścigu, to może dlatego że nie zna prawdy.

*Nikt z nich jej nie zna.* W otaczających ją twarzach odczytywała różne powody, różne stopnie pragnień, które przywiodły tu biegaczki. Niektóre pożywały władzy (choć posiadana przez Królową Lata miała raczej charakter obrzędowy niż świecki), inne zaszczytu, pozostałe pragnęły łatwego życia wcielenia Pani albo po prostu lubiły współzawodnictwo, traktowały bieg jako część uroczystości, nie dbając o wygraną czy porażkę. *I żadna z nich, z wyjątkiem mnie, nie wie, o co naprawdę idzie gra.*

Zaciskała kurczowo pięści, czując rosnące w środku napięcie, i ciągle się przeciskała, aż wreszcie dostrzegła szeroką wstęgę oznaczającą początek trasy biegu. Starsza rodu Goodventure krzyczała, żądając spokoju, by mogła przekazać zasady wyścigu. Nie trzeba być pierwszą na mecie, wystarczy znaleźć się w uświęconym gronie pierwszych trzydziestu trzech biegaczek. Trasa nie była też długa, co dawało szansę nie tylko najsilniejszym. Moon miała jednak wokół siebie setkę kobiet, w tyle dwieście dalszych... ze swego miejsca nie mogła nawet wszystkich dostrzec.

Głos starszej rodu Goodventure wezwał na start wszystkie biegaczki i Moon poczuła, jak traci świadomość siebie, daje się porwać nurtowi wielu kobiet poruszających się jak jedna. Poprzez głowy i ramiona patrzyła na powstrzymującą cały ten przyływ maleńką flagę – zobaczyła, jak opada, dając sygnał do startu. Masa konkurentek runęła nagle, porywając ją z sobą, nie sposób było się jej oprzeć, choćby nawet miała taką ochotę. Zaczął się bieg Królowej Lata.

Przez pierwsze sto metrów Moon tańczyła jak boja na fali, skupiała całą swą uwagę na bronieniu się przed zdeptaniem, potem ścisk zaczął się rozrzedzać. Wpychała się w każdą lukę, nie zważając na walące ją w boki łokcie. Nie wiedziała, ile biegaczek znajduje się przed nią, mogła jedynie kluczyć i szybko przebierać nogami, starając się pozostawić za sobą jak najwięcej innych uczestniczek wyścigu.

Mila była niczym, powodowała jedynie lekkie przyspieszenie bicia serca, gdy wraz ze Sparksem gnała nie kończącymi się lśniącymi plażami Neith... Ale ta mila prowadziła pod górę, podłożem był twardy chodnik, a nie sprężysty piasek. Przed osiągnięciem połowy trasy zaczęła ciężko dyszeć, ciało protestowało przeciwko każdemu rwanemu krokowi. Usiłowała przypomnieć sobie, ile naprawdę minęło czasu, odkąd biegła po błyszczącym piasku; nie pamiętała nawet, kiedy ostatnio zjadła i przespała tyle, by zaspokoić ciało ptaszka. Przeklęty Krwawnik! Miała przed sobą zaledwie kilka kobiet, które jednak powoli się oddalały. Zaczęły ją doganiać i mijać biegaczki pędzące dotąd w tyle. Dostrzegła z lękiem, iż jedna z nich ma wstążkę nie zieloną, lecz brązową – druga grupa uczestniczek zbliżyła się do startujących jako pierwsze. Moon zachwiała się, gdy umysł zapomniał na chwilę o wyczerpanych nogach.

Dwie trzecie, trzy czwarte mili, mijało ją coraz więcej kobiet, miała ich przed sobą około trzydziestu, a skurcz w boku nie pozwalał na oddychanie. *Przeganiają mnie... nie wiedząc nawet, o*



*co się ubiegają!* Goniąc je resztkami sił, patrzyła na umykającą pod stopami końcówkę trasy; zapomniała o wszystkim innym, aż ujrzała wykładany białymi kamieniami dziedziniec pałacu Zimy, a wieniec przedostatniej z grupy zwycięzczyń spadł na jej ramiona.

Roześmiana, zadyszana, oszołomiona, dała się porwać radości oczekujących tłumów, obdarzających triumfatorce uściskami dłoni, pocałunkami i łzami. Przepchała się przez ciżbę, zajęła miejsce w tworzącym się na środku dziedzińca kręgu zwycięzczyń. Obejrzała się, słysząc, a potem widząc grupę ubranych na biało muzykantów, noszących takie jak ona wieńce i czarne rurowate kapelusze zwieńczone totemami Zimaków. Za nimi szła mała procesja Letniaków z rodu Goodventure, dźwigających baldachim z pięknej sieci ozdobionej muszlami i zielonymi gałązkami, podtrzymywali go wiosłami pokrytymi delikatnymi rzeźbami fantastycznych morskich potworów.

Pod baldachimem płynęła maska Królowej Lata. Moon usłyszała rozchodzące się falą przez tłum westchnienia i krzyki podziwu; sama ponownie zachwyciła się widokiem takiego piękna... i potęgi na obliczu Zmiany. Poszukała wzrokiem niosącej maskę i zamrugła, rozpoznając Fate Ravenglass. Krąg pękł, przepuszczając jedynie maskarkę; reszta procesji chodziła w koło, obdarzając tłumy muzyką.

Starsza rodu Goodventure skłoniła się przed Fate lub przed potęgą jej sztuki.

– Zima koronuje Lato, zaczyna się zmiana. Niech Pani pomoże ci wybrać mądrze, Zimaczko; dla dobra tak waszego, jak i naszego. – Stała spokojnie, ufając osądowi Pani.

– Modłę się o to. – Fate także się skłoniła, jej biała szata zginęła całkowicie w promieniach słońca odbijających się od spoczywającej jej na ramionach maski.

*Pani wybierze...* Czyż Fate Ravenglass nie dlatego została wybrana Jej przedstawicielką, by z kolei sama wybrała jedyną twarz, jedyne serce i jedyny poza nią umysł, znający tajemnice tego świata? Ale niemal zupełnie nie widzi. Czy potrafi odróżnić jedną twarz od innych? Jak ją pozna?

Starsza Goodventure zaczęła przestępować z nogi na nogę; przykrywająca jej suknię koronka z nadzianych na siatkę paciorków grzechotała i dzwoniła. Zaintonowała starożytną inwokację święteczną, a korowód kobiet zaczął powoli krążyć, stawiając krok po kroku, ciągnąc za sobą Moon. Bez trudu odnajdywała słowa litanii, powtarzała je niemal hipnotycznie. Były głęboko zakorzenione w jej pamięci, splatały się tam z najprymitywniejszymi obrazami najstarszych wspomnień. W przeciwieństwie do innych świętych pieśni, ta właściwie się nie rymowała, bo język, w którym kiedyś powstała, w ciągu lat utracił swój pierwotny kształt; melodia brzmiała dziwnie w uszach Moon. Śpiewała wraz z innymi, lecz część jej umysłu pozostawała czujna, obserwowała widowisko, któremu ulegała całkowicie reszta jej ciała; ta właśnie część nie była już pewna, że niewidoma Fate wybierze ją bez podpowiedzi. *Czy umysł sybilli naprawdę steruje wszystkimi wydarzeniami? Popycha mnie w swoją stronę – czy jednak może sięgnąć dalej niż moja ręka, czy naprawdę może powodować rzeczami, których sznurków nie trzyma?*

... Kto podaje nas do Jej piersi

I czyni Ją naszym grobem?

Pani daje nam wszystko, czego potrzebujemy.

Odpłacamy się jej wszystkim, czym możemy.

Moon ujrzała, jak Fate zaczyna krążyć w przeciwną stronę, podnosząc maskę z napięciem, lecz nie wyrażającą twarzą. *Nie rozpozna mnie.*

Kto napętnia nasze sieci, baseny i brzuchy,

Kto nasycy smutkiem nasze serca?

Pani daje nam wszystko, czego potrzebujemy.

I prosi o wszystko, co posiadamy.

Moon przygryzła wargi w lęku, by czegoś nie powiedzieć, stłumić chęć krzyku: Tutaj, jestem tutaj! Pragnęła uwierzyć, iż działa tu przeznaczenie, lecz nie była już pewna, czy cokolwiek wydarzy się zgodnie z nim. Nie może wszystkiego zostawić losowi – nie po tym, co przeszła, co widziała. *Musi mnie wybrać. Ale jak?*

Czyje błogosławieństwa wywołują łzy nieba, Czyje przekleństwa wznoszą morze ku górze?

Pani daje nam wszystko, czego potrzebujemy.

I czyni nas tym, czym jesteśmy.

Wspomnienia Moon przeskoczyły do następnego wersetu i oba poziomy jej świadomości wypaliły: *Wejście!*

Kto zna tę, którą Ona wezwie, Albo wie, jaki spotkają los?

Nie dosłyszała już refrenu, wpadając w Przekaz, dobiegł ją ponownie z nagłą, ogłuszającą mocą. Poczuła, jak zatacza się od wstrząsu, spróbowała otworzyć oczy, lecz miała je otwarte, patrzyły na świat ciemny jak w świetle księżycy, o zamazanych, niewyraźnych kształtach. Pozostałe zmysły były nieproporcjonalnie wyostrzone... bo jest ślepa! W następnej chwili pojęła ze zgrozą, że jest – Fate Ravenglass. I że wśród korowodu niewyraźnych postaci, okrążających jej nieruchome ciało, jest jedna, tworząca drugi biegun tego Przekazu...

Patrzyła na przepływające mgliste figury, zastanawiając się, co ujrzałaby, gdyby mogła zmusić je do nabrania kształtów. A potem dostrzegła postać zataczającą się w kręgu innych, podtrzymywaną, niemal niesioną ramionami otaczających ją z obu stron, jednakowych kobiet – to ona, widzi siebie. A Fate Ravenglass patrzyła jej oczyma; każda z nich widzi własną twarz i o tym wie... Moon poczuła nagle, jak pożyczone przez nią ciało otwiera się i podchodzi swobodnie do jej prawdziwego, trzymając maskę w wyciągniętych przed siebie rękach. Gdy zamknęła się w sobie, dostrzegła wreszcie, że to rzeczywiście jej twarz. Popatrzyła na maskę i na swe oblicze, przejęło ją zdumienie i niewysłowny zachwyt. Uniosła maskę drżącymi dłońmi Fate, poruszona na nowo jej pięknem, opuściła ją zdecydowanie na swe własne ramiona.

Gdy tylko maska opadła na jej twarz, Moon poczuła, jak jest znowu wciągana w przepaść Przekazu, jak wraca do swego prawdziwego umysłu, usłyszała krzyk, którym zakończyła trans. Rozglądając się przez otwory na oczy w masce, ujrzała stojącą obok oszołomioną Fate, poczuła, jak sama jest podtrzymywana przez inne kobiety, dobiegły ją radosne krzyki tłumu. Ale jedynym, co pamiętała w tej chwili, była Fate dotykająca twarzy, która znowu była jej.

– Moja twarz, widziałam swoją twarz. I maskę Królowej Lata...

Tłum zaczął się tłoczyć wokół nich, rozerwał kruchy krąg dłoni, odepchnął inne biegnące. Podparcie Moon zniknęło, odzyskała równowagę; wyciągnęła ręce i chwyciła dłonie Fate, trzymała je mocno.

– Fate, stało się – mruknęła. – Jestem Królową Lata!

– Tak, tak, wiem. – Fate pokręciła głową, światło odbijało się od łez w jej ciemnych oczach. – Tak miało być. I było. Po raz pierwszy dwie sybille popatrzyły na siebie oczami tej drugiej i zobaczyły własne twarze... – Z roztargnieniem poprawiła kołnierz z białych piór. – Będiesz taką Królową, jak maska, którą dla ciebie zrobiłam.

Moon poczuła, jak nagle twarda dłoń ściska jej serce.

– Ale nie sama. Będę potrzebować pomocy. Potrzebni mi będą ludzie, którym zaufa lud mój... i wasz. Czy mi pomożesz?

Pierzasty kołnierz zaszeleścił od przytaknięcia Fate.

– Muszę poszukać nowego zawodu. Z radością zrobię wszystko, by ci pomóc, Moon... Wasza Wysokość.

Ostłoniła je siatka baldachimu, weszła pod nią przepęlniona poważną radością starsza rodu Goodventure.

– Pani! – Wokół schylali się w ukłonie inni Goodventure. – Dziś czekają cię trzy obowiązki: Chodzić wśród ludu, objawiając mu rozpoczęcie Nocy Masek. Być beztroską. Radować się. A jutro także trzy: Zejść do portu, gdy za murami wstanie świt. Oddać Zimę Morzu. Panować w jej miejsce zgodnie z wolą Pani.

Oddać Zimę Morzu. Moon spojrzała na pałac.

– Zro... zrozumiałam.

– To chodź z nami, daj się ujrzeć ludowi. Do jutra wszyscy znajdujemy się między światami, między Zimą i Latem, między przeszłością i przyszłością. Tyś jest tego zwiastunką. – Kobieta z rodu Goodventure wskazała Moon oczekujący baldachim.

– Fate, pójdziesz ze mną?

– O tak, pójdę – uśmiechnęła się Fate. – Po raz ostatni chyba zobaczę znajomych, bliskich mi ludzi w pełni swej chwały, chcę cieszyć się tym do końca. – Z czułością i smutkiem dotknęła swego sztucznego oka. – W ciągu tej jednej nocy zakwitną i zwiędną wszystkie me maski, owoc pracy całego życia... niedługo mój wzrok powędruje do morza wraz z wszystkimi innymi darami Zimy, dobrymi i złymi.

– Nie! – pokręciła głową Moon. – Przysięgam ci, Fate, to naprawdę będzie Zmiana! – Tłum zaczął się wciskać między nie.

– Moon, a co ze Sparksem? – zawołała Fate przez rosnący odstęp.

Moon nadaremnie wyciągała rękę, maskarka ginęła w ciżbie.

– Nie wiem! Nie wiem... – Silne ramiona posadziły ją w obwieszonej wieńcami lektyce, okryta baldachimem popłynęła nią przez Ulicę jak liść porwany strumieniem.

Wszędzie, gdzie ją zaniesiono, widziała maski zasłaniające twarze świętujących, pozbawiające ich własnych obliczy, spełniające fantazje, tak jak uczyniła to Królowa Lata. Dziś wieczorem nie będzie Zimaków i Letniaków, pozaziemców i miejscowych, dobrych i złych. Wszędzie błyszczały kostiumy, grała muzyka, zamaskowane twarze śmiały się, śpiewały i pozdrowiały Królową. Wszędzie za lektyką ciągnęły tłumy, ofiarowujące jej jedzenie, picie i podarunki, próbujące ją choćby dotknąć na szczęśliwą wróżbę. Dziś wieczorem miała obowiązek bycia wesołą jętką, symbolem ulotnych radości życia; dopiero jutro jej rządy i świat staną się znowu poważne i prawdziwe...

Wdzięczna była losowi za noszoną maskę, bo pozwalała jej ukryć, że każda nowa radość oznaczała dla niej minięcie kolejnej chwili, zbliżanie się odbierającego wszelką chęć do śmiechu jutra. Bo jeśli zawiedzie jej plan, jeśli zawiedzie ją Sirus, jutro rano jako Królowa Lata wypowie słowa i uczyni znak nakazujący utopienie Sparksa...

*A więc teraz wierzy, iż zostanie wybrana Królową Lata. Słyszy głosy zapewniające ją, iż zwycięży.* Jerusha chodziła powoli dudniącym ciszą przedpokojem głównego sędziego, nerwy nie pozwalały jej siedzieć spokojnie na smętnej zbieraninie porzuconych mebli. Mając przeciwko sobie setki innych? Nie, Jerusho, wszechświata nic nie obchodzi, w co wierzy ona... czy ty, czy ktokolwiek inny. To nie ma żadnego znaczenia.

Nic nie odciągało tu jej uwagi poza dziwnymi, negatywowymi śladami po rzeczach, które kiedyś były, a teraz ich nie ma w tym nagim, starym pokoju. Gdy jednak w cierpiącym Krwawniku nastąpi Zmiana, miejsce ich zajmą inne rzeczy i ludzie. *Rzeczy zmieniają się bez przerwy; ale ile z nich rzeczywiście!* Czy jakikolwiek z naszych wyborów, choćby wydawał się nam najpoważniejszy, może wywołać choćby zmarszczkę w szerszym wzorze? Mijając okno, ujrzała swe odbicie na tle przechodzącego metamorfozę miasta, w milczeniu zaczęła się sobie przyglądać.

– Komendant PalaThion. Dobrze, że pani przyszła. Wiem, jak bardzo była pani zajęta. – W drzwiach stał główny sędzia Hovanesse, wyciągając rękę w uprzejmym powitaniu. Jerusha zdołała zapomnieć, iż zmuszono ją do czekania długo poza porą wyznaczoną na zaproszeniu.

Zasalutowała.

– Wasza sprawiedliwość, nigdy nie brakuje mi czasu na rozmowy o dobru Hegemonii. – *Albo moim. Ani na patrzenie na człowieka zjadającego swe słowa...* Uprzejmie dotknęła jego dłoni, przepuścił ją przed sobą w drodze do drugiego pokoju. Była to sala narad ze stojącym w środku długim stołem zestawionym z mniejszych stolików, zatłoczonym przenośnymi komputerami. Zasiadał wokół niego zwykły zespół urzędników Hegi, których znała i którymi pogardzała. Przetykali ich członkowie Rady, większości nie rozpoznawała. Przypuszczała, że złożyli obowiązkowe sprawozdania z każdego możliwego aspektu ich działalności na Tiamat. Proces opuszczania planety, choćby tak rzadko zaludnionej i zacofanej jak ta, był przedsięwzięciem gigantycznym. Dostrzeżone przez Jeruszę oblicza Kharemoughi wyraźnie okazywały nudę. *Dzięki bogom jestem tylko Siną, a nie biurokratą.* Przypomniała sobie, iż odkąd została komendantem, nie znajdowała czasu na nic innego niż papierki. Ale wczoraj stała się znowu oficerem.

Stała, słuchając pochwalnych walnięć dłoni o blat stołu, ciesząc się tym przyjęciem jakże innym od tego, jakie do wczoraj przewidywała. Większość z cywilnych urzędników na Tiamat, podobnie jak i przeważająca część policji, pochodziła z tego samego rejonu Newhaven. Według Hegemonii jednolitość kulturowa zwiększała skuteczność działania. A dziś wreszcie fakt uznania zasług kogoś spośród nich w obecności Kharemoughi zdawał się usuwać w cień jej kobiecość. Ukłoniła się z godnością, przyjmując ten hołd, i usiadła na krześle ustawionym w pobliżu końca stołu.

– Pewny jestem, iż wszyscy wiedzą już – główny sędzia stanął na swoim miejscu – że komendant PalaThion wykryła i dosłownie w ostatniej chwili udaremniła usiłowania Królowej Śniegu Tiamat, zmierzające do utrzymania jej władzy...

Jerusha słuchała pożądliwie tych słów, wdychając każde pochlebne określenie jak woń rzadkich ziół. *Bogowie, jeszcze się do tego przyzwyczaję.* Choć Hovanesse był Kharemoughi, to wiedział, iż jako główny sędzia zyskuje na chwale Jerushy, i mocno to wykorzystywał. Często pociągał coś z przezroczywej czarki; zastanawiała się, czy ma w niej wodę, czy też coś kojącego ból prawienia jej komplementów.

– ...I chociaż, jak wie o tym większość z nas, wyznaczenie kobiety na stanowisko komendanta policji wywołało pewne kontrowersje, to uważam, iż udowodniła ona, że potrafiła sprostać temu zadaniu. Mam wątpliwości, czy nasz pierwotny kandydat na to stanowisko, główny inspektor

Mantagnes, lepiej poradziłyby sobie z sytuacją, gdyby był na jej miejscu.

To diabelnie pewne. Jerusha spuściła wzrok z fałszywą skromnością, skrywając uśmiechem ironie.

– Wasza sprawiedliwość, wykonałam po prostu swe obowiązki, tak jak starałam się robić to zawsze. – *Mogłabym dodać, że bez twojej pomocy.* Ugryzła się w język.

– Mimo wszystko, pani komendant – powiedział powstawszy jeden z członków Rady – zakończyła tu pani swą służbę z pochwałą na koncie. Przyniosła pani zaszczyt swojej planecie i swojej płci. – Kilku mieszkańców Newhaven zakasłało na te słowa. – Okazuje się, że żaden świat, rasa czy płeć nie ma całkowitego monopolu na inteligencję; wszystkie mogą i powinny wносить swój wkład ku najwyższemu dobru Hegemonii, jeśli nie po równo, to przynajmniej zgodnie ze swymi indywidualnymi zdolnościami...

– Kto wyrył mu napisy w mózgu? – mruknął z goryczą naczelnik Wydziału Zdrowia Publicznego.

– Nie wiem – mruknęła, zasłaniając usta dłonią – ale jest on żywym dowodem, że trwające stulecia życie nie musi czegokolwiek nauczyć. – Dojrzała, jak krzywi usta i wywraca oczyma w przelotnym momencie koleżeńskiej przesady.

– Czy zechce pani coś powiedzieć?

Jerusha wzdrygnęła się, póki nie zrozumiała, że członek Rady nie zauważył nawet, że oprócz niego ktoś mówi. *Bogowie, obym się tylko nie zadławiła.*

– Hmm, dziękuję panu. Nie przybyłam tu z przygotowaną mową, nie mam na to czasu. – *Zaczekaj chwilę...* – Ale skoro wszyscy są skłonni mnie wysłuchać, to jest sprawa na tyle ważna, byście poświęcili na nią swój czas. – Wstała, pochylając się nad trochę nierównym stołem. – Kilka tygodni temu przekazano mi bardzo niepokojące dane dotyczące merów, tiamatańskich stworzeń, z których czerpiemy wodę życia – dodała ze względu na tych członków Rady, którzy o tym nie wiedzieli, lub to udawali. – Dowiedziałam się, że Stare Imperium stworzyło mery jako istoty posiadające inteligencję dorównującą ludzkiej. Człowiek, który mi to powiedział, otrzymał tę informację bezpośrednio z Przekazu sybilli.

Patrzyła na reakcje obecnych, rozchodzące się jak kręgi fal nakładających się na siebie na powierzchni wody. Próbowwała rozpoznać, czy są szczerze, czy wie o tym Rada i urzędnicy, czy była jedyną osobą na sali, nie dostrzegającą prawdy... Jeśli jednak wszyscy udawali zdumienie, to byli dobrymi aktorami. Rozległy się pomruki protestów.

– Czy chce nam pani wmówić – powiedział Hovanesse – iż ktoś oskarża nas o eksterminację inteligentnego gatunku?

Przytaknęła z opuszczonymi oczami, lekko przestępowała z nogi na nogę.

– Oczywiście nieświadomą. – Przypomniała sobie ciała na plaży, *lecz mimo to zachodziło mordowanie.* – Pewna jestem, że nikt w tej sali ani żaden członek Rady Hegemonii nie dopuściłby do czegoś takiego. – Spojrzała umyślnie na najstarszego spośród Nosiciela Oznaki, mężczyznę wyglądającego na sześćdziesiąt lat, choć mógł ich mieć dwa razy tyle. – Ktoś jednak musiał być tego świadom, bo wiemy o wodzie życia. – Jeśli wiedział, to nic na jego twarzy o tym nie świadczyło. Zastanowiła się nagle, o co jej chodzi.

– Sugeruje więc pani – stwierdził inny Kharemoughi – że nasi przodkowie świadomie ukryli prawdę, by zdobyć dla siebie wodę życia? – *W słowie przodkowie dosłyszała dodatkową zawziętość i zrozumiała, że popełniła błąd.* Oskarżanie przodków Kharemoughi było tym samym, co wśród jej rodaków zarzucanie kazirodztwa.

Mimo to uparcie, stanowczo potwierdziła.

– Tak, proszę pana, ktoś to zrobił.

Hovanesse pociągnął łyk ze swej szklanki i powiedział poważnie:

– W tak uroczystej chwili wysuwa pani wyjątkowo brzydkie i nieprzyjemne zarzuty, komendancie PalaThion.

Ponownie przytaknęła.

– Wiem, wasza sprawiedliwość. Nie potrafię jednak wyobrazić sobie odpowiedniejszych słuchaczy. Jeśli to prawda...

– Kto wysunął oskarżenie? Czy ma dowody?

– Pozaziemiec nazwiskiem Ngenet; ma tu na Tiamat plantację.

– Ngenet? – Dyrektor Wydziału Łączności dotknął pogardliwie ucha. – Ten zdrajca? Wymyśliłby wszystko, byleby oczernić Hegemonię. Wiedzą o tym wszyscy członkowie rządu. Jedyną rzeczą, na którą zasługuje od pani, komendancie, jest cela więzienna.

Jerusha uśmiechnęła się przelotnie.

– Kiedyś się nad tym zastanawiałam. Ngenet utrzymuje jednak, że dowiedział się o merach od sybilli; łatwo potwierdzić jego zarzuty, pytając inną.

– Nie znieważyłbym honoru mych przodków tak obraźliwym czynem! – mruknął jeden z członków Rady.

– Wydaje mi się – powiedziała Jerusha, pochylając się znowu – że przyszłość ludności tej planety, człowieczej i nie, powinna być o wiele ważniejsza od reputacji Kharemoughi, którzy zmarli przed tysiącem lat. Jeśli postępowano niewłaściwie, należy się do tego przyznać i naprawić zło. Przymykając oczy na masowe morderstwo, stajemy się równie występni, co Królowa Śniegu. Gorszi, bo bierzemy na siebie krew niewinnych istot, rozlewana przez niewolników i służalców spełniających jedynie wasze rozkazy, których potem karzemy za nasze winy, nie pozwalając im wyjść z epoki kamiennej! – Oszołomiona słowami, które wyszły z jej ust, przypomniała sobie nagle, kto jest ich źródłem.

Z każdej strony otaczało ją grobowe milczenie, zmuszając do opadnięcia na miejsce. Siedziała cicho, słysząc wyraźnie własny oddech, czując opuszczającą ją dobrą wolę, osamotnienie w tej sali.

– Przepraszam panów. Domyślałam się, że odezwałam się w niewłaściwej chwili. Wiem, że to ciężkie oskarżenie, dlatego też bardzo głęboko się namyślałam, co mam z nim zrobić, czy powinnam napisać raport...

– Nie piszcie raportu – powiedział Hovanesse.

Spojrzała na niego badawczo, potem na cały stół, dostrzegając kipiący gniew Kharemoughi i złość urażonych Newhavenczyków.

*Cholerny głupcze! Czyżbyś myślał, że bardziej od ciebie zechcą spojrzeć prawdzie prosto w twarz?*

– Rada omówi tę sprawę po opuszczeniu Tiamat. Gdy podejmie decyzję, Ośrodek Koordynacyjny Hegemonii na Kharemough zostanie powiadomiony o wszelkich koniecznych zmianach naszej polityki.

– Przynajmniej zapytajcie sybilli. – Pod blatem stołu bawiła się zegarkiem, marząc o garści iestów.

– Na statkach mamy jedną – stwierdził, niezupełnie odpowiadając na jej pytanie.

*Żałuję biednej wykrwawiającej przy takich klientach.* Zastanawiała się w głębi duszy, czy to jedyne pytanie warte zadania padnie jeszcze kiedykolwiek.

– W każdym bądź razie – powiedział Hovanesse, krzywiąc się na jej milczenie – jakakolwiek będzie ta decyzja, nie powinna was obchodzić, Jerusho; resztę swej służby i życia spędzicie o lata świetlne od Tiamat. Tak jak my wszyscy. Doceniamy waszą troskę i szczerłość w przekazywaniu

swych myśli, lecz od tej chwili ten problem, jak i cała Tiamat, stanie się dla nas czysto akademicki.

– Tak sędzę, wasza sprawiedliwość. – *Uważasz, że nie ma deszczu, jeśli nie pada na ciebie.*

Wstała znowu i sztywno wszystkim zasalutowała. – Dziękuję za poświęcenie mi waszego czasu i za zaproszenie tutaj. Muszę jednak wrócić do mych obowiązków, nim i one staną się tylko akademickie. – Odwróciła się, nie czekając na zezwolenie, i wyszła szybko.

Była już w korytarzu, gdy usłyszała wołającego ją Hovanessego. Odwróciła się, na wpół gorąca, na wpół zimna, i zobaczyła, że idzie za nią sam. Nie potrafiła odczytać jego miny.

– Komendancie, nie dała pani Radzie sposobności zawiadomienia was o nowym stanowisku. – Oczami karcił ją za brak taktu i wdzięczności wobec członków Rady, lecz nic więcej nie powiedział.

– Och. – Automatycznie wzięła od niego wydruk palcami, które nic nie czuły. *Och, bogowie, jaki czeka mnie los?*

– Nie spojrzysz pani na to? – Nie było to pytanie zdawkowe czy przyjazne, Jerusha poczuła, jak drętwieje.

Chciała potwierdzić, lecz jakaś jej cząstka nie potrafiła odmówić wyzwaniu.

– Oczywiście. – Rozerwała i otworzyła śliską kartę, zaczęła wrywkowo przeglądać tekst. Jak się spodziewała, tiamatański garnizon został porozdzielany, rozrzucono go po kilku różnych planetach. Mantagnes pozostał głównym inspektorem. A ona... ona... znalazła wreszcie swe nazwisko i przeczytała...

– To musi być pomyłka. – Czuła doskonały spokój doskonałej niewiary. Przeczytała ponownie – komendant sektora, pozycja niemal równa dotychczasowej. Ale miejscem jest Stacja Raj w Syllagong na Wielkiej Niebieskiej. – To przecież pokryta żuzłem pustynia.

– I kolonia karna. Wydobywa się tam wiele minerałów, pani komendant. Bardzo ważne miejsce dla Hegemonii. Istnieją plany założenia tam dodatkowej kolonii, dlatego też rozbudowuje się miejscowy garnizon.

– Cholera, jestem oficerem policji, nie chcę zarządzać obozem pracy. – Papier zaszeleścił w jej zaciskającej się dłoni. – Dlaczego zostaję tam wysłana? Za to, co przed chwilą powiedziałam? To nie moja wina, że...

– To wasz pierwotny przydział, komendancie. Ze względu na wasze ostatnie osiągnięcia podniesiono wam rangę na komendanta sektora.

Powiedział to rozmyślnie, promieniując zadowoleniem z siebie człowieka, który cieszył się wpływami i wcześniejszą wiedzą.

– Wychowywanie przestępców jest przecież równie ważne, co ich zatrzymywanie. Ktoś musi to robić, a pani udowodniła, że potrafi radzić sobie w trudnej sytuacji.

– W beznadziejnej! – Spór z nim jedynie bardziej jeszcze ją upokarzał, lecz nie zważając na to, z całą energią przystąpiła do przegranej bitwy. – Jestem komendantem policji całej tej planety. Udzielono mi pochwały. Nie mogę pozwolić, by zmarnowała się moja kariera!

– To oczywiste – stwierdził łaskawie. – Może się pani w tej sprawie zwrócić do członków Rady, choć prawdopodobnie nie zaskarbiła sobie pani ich sympatii rzucanymi przed chwilą ohydnyimi, oburzającymi oskarżeniami. – Jego ciemne oczy pociemniały jeszcze bardziej. – Bądźmy szczerzy, dobrze, komendancie? Oboje wiemy, iż swe tak wysokie stanowisko zawdzięczacie wyłącznie interwencji Królowej. Zostaliście inspektorem tylko dlatego, by ją zadowolić. Nie zasługujecie na swój nowy przydział. Równie dobrze jak ja zdajecie sobie sprawę, że podlegający wam mężczyźni nigdy nie pogodzili się z otrzymywaniem rozkazów od kobiety. – *Ale to przecież sprawa Arienrhod! Wszystko się teraz zmienia, już się zmieniło...* – Morale było okropne, jak często powiadał mu główny inspektor Mantagnes. Policja pani ani nie potrzebuje, ani nie chce.

Może pani przyjąć lub odrzucić nowe stanowisko, dla nas nie ma to najmniejszego znaczenia. – Splótł ręce na plecach i stanął przed nią nieruchomo jak ściana. Wspomniała padające tak niedawno z jego ust gorące pochwały.

*Ty draniu, sam jesteś temu winny. Czulałam, co się święci. Wiedziałam, co mnie spotka, ale po wczorajszym dniu myślałam, myślałam...*

– Nie zrezygnuję z walki, Hovanesse. – Głos jej drżał z wściekłości, połowę gniewu kierowała na siebie za dopuszczenie do tego. – Królowa nie zdołała mnie zniszczyć, wam też się nie uda. – *Jerusho, udało się jej, udało...* Odwróciła się i odeszła, tym razem jej nie zawołał.

Jerusha opuściła gmach Sądu i ruszyła nie zatłoczoną Siną Aleją w stronę komendy policji. (Bawiący się unikali tego miejsca nawet podczas Świąta). Jej pierwszą i jedyną myślą było pójście do podwładnych, powiedzenie im o swych kłopotach, sprawdzenie, czy uzyska ich poparcie. Po wczorajszej akcji ich stosunek do niej naprawdę się zmienił, dostrzegała to na niemal każdej twarzy. Czy jednak dostatecznie silnie? Gdyby miała czas, mogłaby liczyć na uczciwą szansę dowiedzenia, że może równie dobrze jak każdy mężczyzna zasłużyć na ich szacunek. Ale tyle czasu nie miała. Czy zdąży chociażby namówić ich, by ją poparli? A jeśli nawet... czy warto?

Uświadomiła sobie, że stoi samotnie na ulicy przed budynkiem komendy; przed starożytnym, paskudnym gmaszyskiem, do którego tak przywykła. Żaden inny budynek, żadne inne stanowisko w życiu nie będzie jej równie wstrętne – ani, co nagle zrozumiała, równie ważne. Gdziekolwiek by się udała, idąc tam w noszonym teraz mundurze, będzie zawsze obcą. Nigdzie nie wystarczy, by pracowała dobrze, nigdy nie uniknie konieczności udowadniania, że ma prawo choćby się jej podjąć. I zawsze znajdzie się inny Hovanesse, inny Mantagnes, który nigdy na nią nie przystanie i będzie się starał ją zniszczyć. Bogowie, czy naprawdę chce tam spędzić resztę życia? Nie... Gdyby tylko mogła znaleźć coś, co byłoby dla niej równie ważne, jak ta praca, coś, w co równie mocno by wierzyła. Ale nie ma niczego takiego... nie ma. Poza tą pracą nie widzi dla siebie życia, celu, przyszłości. Minęła budynek komendy, ruszyła ku wylotowi alei, ku rwącej rzece uroczystości.



Nie mogąc zasnąć, Sparks chodził bezcelowo po nagle obcych sobie, słabo oświetlonych komnatach Starbucka. Już nie uważał ich za swoje, ale nie miał też możliwości swobodnego stąd wyjścia. Oficjalne i prywatne wejścia do pałacu są teraz strzeżone nie przez wartowników Królowej, lecz Letniaków, rozwścieczonych jej próbą zapobieżenia Zmianie. Pilnowali także Arienhod – a może w pewien sposób i jej udaremnionego spisku. Gdy jednak pytał ich, czy to od Moon dowiedzieli się o knowaniach, nie potrafili albo nie chcieli mu nic wyjaśnić. A kiedy spróbował skłonić ich, by go wypuścili, przekonywał, że jest takim samym Letniakiem jak oni, roześmiali się tylko i wepchnęli z powrotem do pokoju, grożąc harpunami i nożami. Wiedzieli, kim jest, zdradziła im to Arienhod. I przypilnują, by nie zniknął przed ofiarą.

Arienhod nie pozwoli mu uciec. Skoro legły w gruzach jej marzenia, to niech to samo spotka i jego. Jeśli ma jutro umrzeć, to razem z nim; przywiązała go do siebie równie mocno, jak będą spętani podczas wrzucania do oceanu. Była wcieleniem Morza, a Starbuck był Jej małżonkiem i odrodzą się wraz z nowym przyływem... lecz w nowych ciałach, ze świeżymi, nie skażonymi duszami – duszami Letniaków. Tak działo się od początku czasu i choć pozaziemycy dla własnych celów spaczyli ten zwyczaj, nie umarł on i nigdy nie umrze. Kim był, by zmienić Zmianę? Moon próbowała uchronić go przed nią, lecz jego przeznaczenie okazało się silniejsze od losu ich obojga. Starał się nie rozmyślać o tym, co zaszło między Arienhod a Moon, gdy został odprowadzony – kiedy to Moon musiała wreszcie poznać prawdę o sobie. Jeśli nawet udało się jej jakoś umknąć Królowej, to w żaden sposób nie zdoła wrócić po niego. Może być jedynie wdzięczny, iż spędził z nią swą ostatnią godzinę, iż spełniła się ostatnia prośba skazańca... ostatnia ironia zmarnowanego życia.

Grzebał w złoconej skrzyni, aż znalazł ubranie, w którym po raz pierwszy przybył do pałacu. Wyciągnął je i rozłożył starannie na miękkiej powierzchni dywanu, natrafił w fałdach na paciorki, które kupił drugiego dnia pobytu w mieście... na piszczalkę. Odłożył ją na bok, zdarł z siebie noszone teraz szaty i naciągnął luźne, ciężkie spodnie oraz tęczową koszulę pasującą do koralu. Ubierał się jak na jakiś obrzęd. Na koniec wziął z wierzchu szafki medal swego ojca i zawiesił na szyi. Łagodnie podniósł piszczalkę i usiadł z nią na skraju kanapy o ciężkich nogach.

Sparks uniósł piszczalkę do warg i odłożył, usta nagle mu wyschły, nie pozwalając na grę. Przełknął ślinę, czując, jak w skroniach wolniej pulsuje mu krew. Ponownie podniósł kruchą muszlę, ustawił palce na otworach i zadął w ustnik. W powietrzu rozległa się drżąca nuta, jak duch zdumiony uwolnieniem od klątwy milczenia, które miało trwać wiecznie. Uczucie ścisnęło mu gardło i znowu przełknął ślinę. Przez głowę przepływała mu melodia po melodii, starały się wyrwać na zewnątrz. Zaczął grać, z przerwami, palce nie nadążały za zapamiętanymi wzorami, ostre fałszy raniły mu uszy. Stopniowo jednak przebierał palcami coraz szybciej, wylewając z głębi siebie coraz to słodsza i czystsza wodę pieśni, wracał wraz z nią do utraconego przez siebie świata. Arienhod starała się skazić jego ostatnie spotkanie z Moon, zabrać mu nawet to, jak nie pozwalała cieszyć się żadnym pięknem czy radością, których by nie była źródłem. Ale nie udało się jej. Miłość Moon, jej wiara w niego są równie czyste jak pieśń, wspomnianie jej usuwało cały wstyd, leczyło wszelkie rany, naprawiało całe zło...

Rozejrzał się, melodia i czar zamarły, gdy strzeżone drzwi do komnat stanęły nagle otworem. Weszły nimi dwie okryte kapturami i płaszczami postacie. Jedna poruszała się wolno i groteskowo. Drzwi zamknęły się za przybyszami.

– Sparksie Dawntreaderze Letniaku...

Sparks zamrugał, rozjaśnił zawieszony pod sufitem lampy.

– Czego chcecie? Jeszcze nie pora...

– Pora... po przeszło dwudziestu latach. – Pierwszy z ludzi, poruszający się swobodniej, podszedł do świecącej kuli i odrzucił kaptur.

– Co? – Sparks ujrzał twarz mężczyzny w pełni wieku średniego, twarz pozaziemca. W pierwszej chwili wziął go za Kharemoughi, ale miał jaśniejszą skórę, mocniejszą budowę, szersze oblicze. To oblicze... coś mu przypomina...

– Po przeszło dwudziestu latach nadeszła pora naszego spotkania, Sparksie. Żałuję tylko, że tak radosne wydarzenie nie odbywa się w bardziej pasujących do niego okolicznościach.

– Kim pan jest? – Sparks wstał z leżanki.

– Jestem twoim pierwszym przodkiem. – Doszedł do niego dźwięk tych słów, a nie znaczenie, potrząsnął głową. – Twoim ojcem, Sparksie. – Czegoś brakowało w twoim, jakby obcy nie był w stanie wyrazić wszystkiego, co czuł.

Oszołomiony Sparks usiadł znowu, czuł, jak z głowy odpływa mu krew.

Obcy – ojciec – rozpiął płaszcz i rzucił go na krzesło. Pod nim miał prosty, srebrnoszary kombinezon, ozdobiony wymyślną naszywką i kołnierzem członka Rady Hegemonii. Schylił się w nieznacznym, formalnym ukłonie, trochę niezgrabnym pomimo całego wdzięku, jakby nie bardzo wiedział, jak ma zacząć.

– Pierwszy sekretarz Temmon Ashwini Sirius. – Drugi człowiek – służący? – odwrócił się i wycofał powoli, bez słowa zniknął w sąsiednim pokoju, zostawiając ich samych.

Sparks zaśmiał się, głuszac inny dźwięk.

– Co to ma być, jakiś żart? Czy wymyśliła to Arienrhod? – Zakrył ręką swój pozaziemski medal, objął go palcami, zaciskając je, aż zbieleły... przypominał sobie, jak go kusila i dręczyła, mówiąc, że wie, do kogo należał, że zna nazwisko jego ojca; kłamała.

– Nie. Powiedziałem Letniakom, że przyszedłem tu na spotkanie z synem, i pokazali mi, gdzie mogę cię znaleźć.

Sparks ściągnął medal przez głowę. Rzucił go pod stopy Sirusa, głos mu stwardniał, gdy mówił z niewiarą.

– Musi więc należeć do ciebie, bohaterze – na pewno nie do Starbucka. Przyjście tu i klucie mnie nożem wymagało sporej odwagi... masz swoją nagrodę. Weź ją i wynoś się. – Zamknął oczy, nie chcąc szukać między nimi podobieństw. Usłyszał, jak Sirius schyla się i podnosi medal.

– "Dla naszego szlachetnego syna Temmona..." – załamał mu się dźwięczny głos. – Jak się czuje twoja matka? Dałem to jej w Nocy Masek... jako twe dziedzictwo.

– Nie żyje, cudzoziemcze. – Otworzył oczy, by móc spojrzeć w twarz Sirusa. – Zabiłem ją. – Poczekał, aż szok narośnie. – Umarła w dniu, w którym się urodziłem.

Wstrząs przeszedł w żal i niewiarę.

– Zmarła przy porodzie? – zapytał, jakby rzeczywiście go to obchodziło.

Sparks przytaknął.

– W Lecie nie mają żadnych nowoczesnych środków. Po Zmianie nie będzie ich i tutaj. – Przesunął dłońmi po szorstkim materiale spodni. – Ale to nie moja sprawa. Ani twoja.

– Synu. Synu... – Sirius długo obracał medal w palcach. – Cóż mogę ci powiedzieć? Moim ojcem, a twoim dziadkiem jest Premier. Gdy po mnie wrócił, wszystko odbyło się prosto. Jego krew w mych żyłach sprawiła, iż w oczach sojuszników stałem się królem, stałem się przywódcą. Dała mi prawo do panowania, zawdzięczam jej jedynie powodzenie i szczęście. Gdy znowu przybył na Samathe, osobiście wręczył mi ten medal i wziął do Rady. – Wypuścił order z palców. Kołysał się na łańcuszku, odbijając światło jak ogniste koło. – Dałem go twojej matce, bo oczami niebieskimi jak

leśne jezioro i włosami niby promienie słońca przypominała bardzo lud mojej matki... Na tę noc zabrała mnie do mojej ojczyzny, w chwili gdy byłem samotny i tak od niej daleko. – Uniósł oczy, podając medal na wyciągniętej dłoni. – Był jej, twój, i zawsze pozostanie.

Sparks poczuł, jak miękną mu kości, a ciało dymi.

– Ty kanalio... czemu tu teraz przyszedłeś? Gdzie byłeś przed laty, gdy cię potrzebowałem? Czekałem, aż wrócisz, starałem się robić wszystko, by być takim, jak sobie ciebie wyobrażałem, żebyś mnie nie odtrącił, gdy się spotkamy. – Rozłożył ręce, wskazując na techniczne zagadki, które rozwiązywał tak pracowicie, tak nadaremno. – Ale teraz, gdy wszystko przepadło, gdy zniszczyłem swe życie... przybyłeś, by ujrzeć mnie takim!

– Sparksie, twoje życie nie jest zniszczone. Jeszcze się nie skończyło. Przyszedłem tu by... by coś naprawić. – Zawahał się, Sparks wolno zwrócił się ku niemu. – Opowiedziała mi o tobie twoja kuzynka, Moon. To ona mnie tu przysłała.

– Moon? – W Sparksie podskoczyło serce.

– Tak, synu. – Uśmiech Sirusa promieniował otuchą i zachętą. – To jej umysł stoi za naszym spotkaniem, a serce, jak sądzę, oczekuje innego... Zobaczywszy twą kuzynkę, nabrałem pewności, że pochodzisz z bardzo dobrego rodu. – Sparks odwrócił się w milczeniu. – Nie sprostalem jej wierze w ciebie – przyznał ze skruchą. – Nie sądzę, by cokolwiek mogło sprawić, bym zaczął się wstydić, że jesteś moim synem. – Sirius spojrzął poza niego na przyrządy i maszyny, świadczące w milczeniu o ich wspólnej krwi, wspólnym dziedzictwie.

Sparks wstał, ojciec podszedł do niego i ponownie zawiesił medal na piersi, patrząc mu w twarz, zaglądając głęboko w oczy.

– Więcej zawdzięczasz matce... widzę jednak, że masz w sobie potrzebę Technika – dociekania dlaczego. Jakże chciałbym znaleźć odpowiedź na każde pytanie... – Łagodnie położył dłoń na ramieniu Sparksa, jakby nie miał pewności, że nie zostanie odepchnięta.

Ale Sparks wytrzymał spojrzenie ojca, chłonał tę chwilę i dotknięcie. Zimna, pusta komórka, w której przez wiele lat tkwiła spora część jego osobowości, otworzyła się wreszcie, wpuszczając do środka światło i ciepło.

– Przyszedłeś. Przyszedłeś po mnie... ojczy... – wypowiedział słowo, którego nigdy nie spodziewał się usłyszeć z własnych ust; przycisnął dłonie do rąk Sirusa na swych ramionach, przywarł do nich jak dziecko. – Ojczy!

– Bardzo wzruszające. – Drugi mężczyzna wrócił do pokoju, psując tę chwilę. – Wasza Świątobliwość, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chcę z tym wszystkim skończyć.

Sparks wypuścił dłoń ojca, odwrócił się niechętnie, by ujrzeć, jak tamten rozpina i zdejmuje płaszcz.

– Herne? Jak...?

Herne uśmiechnął się ponuro.

– Przysłała mnie Złodziejka Dzieci. Jestem twoim chowańcem, Dawntreader. – Jego sparaliżowane nogi opinał niezgrabny szkielet zewnętrzny.

– O czym on mówi? – Sparks spojrzął na ojca. – Co tu robi?

– Przysłała go do mnie twoja kuzynka Moon. Powiedziała, że chce zająć twe miejsce jako ofiara Zmiany.

– Zająć moje miejsce? – Sparks pokręcił głową. – On? Ty?... Czemu, Herne? Dlaczego chcesz to dla mnie zrobić? – Nie pozwalał sobie na nadzieję...

Herne roześmiał się krótko.

– Nie dla ciebie, Dawntreaderze. Dla niej. Są bardziej podobne, niż sądzisz. Bardziej niż

sądysz... – Oczyma wpatrywał się w dal. – Moon wiedziała. Wiedziała, czego pragnę i chcę – Arienrhod, odzyskania szacunku dla siebie... zakończenia tego ostatniego śmiechu. I wszystko to mi dała. Bogowie, jakże pragnę ujrzeć twarz Arienrhod, gdy się dowie, że oszukano ją we wszystkim! Jednak będę miał ją na zawsze dla siebie... dla nas obojga okaże się to piekłem i niebem. – Jego wzrok wrócił na ich twarze. – Wracaj do swej nędznej kopii, Dawntreaderze, mam nadzieję, że cię zadowoli. Nigdy nie byłeś mężczyzną godnym oryginału. – Wyciągnął swój płaszcz.

Sparks wziął go, zarzucił na własne ramiona.

– Chyba można to tak ułożyć. – Zacisnął zapinkę na szyi.

Ojciec podał mu flakonik z brązową pastą.

– Wymaż tym twarz i ręce, żeby strażnicy wzięli cię za Kharemoughi.

– Jednego z wybrańców galaktyki – Herne uśmiechnął się sztucznie.

Sparks podszedł do lustra, posłusznie rozmazał pastę na skórze, patrzył, jak pod nią znika. Widział w zwierciadle czekającego Sirusa i Herne'a przeszukującego pokój z gorączkową zaborczością; dostrzegł, że Starbuck i syn jego ojca... to dwaj różni ludzie. Dwaj różni ludzie, będący tym samym człowiekiem; kochający tę samą kobietę, która nie była tą samą, miłujący ją teraz za wszystko, co je dzieliło. Jeden z nich gotów jest wrócić do życia, drugi czeka na śmierć...

Zakończył szminkowanie skóry i naciągnawszy kaptur, stanął obok Sirusa.

– Jestem gotów – powiedział, odpowiadając wreszcie uśmiechem na uśmiech ojca.

– Synu pierwszego sekretarza, wnuku Premiera... wspaniale grasz swą rolę. – Sirus kiwnął głową. – Czy chcesz coś z sobą zabrać?

Sparks przypomniał sobie o leżącej na kanapie piszczałce, podniósł ją.

– Tylko to. – Spojrzał przelotnie na zgromadzone sprzęty.

– Herne... – Sirus powiedział coś łagodnie w Kharemoughi, powtarzając to dla Sparksa: –

Dziękuję ci za zwrócenie mi syna.

Sparks odetchnął głęboko.

– Dziękuję.

Herne splótł ramiona, ciesząc się czymś niezrozumiałym dla Sparksa.

– Zawsze, sadhu. Pamiętaj tylko, że to wszystko zawdzięczasz mnie. Teraz wynoś się z moich komnat, sukinsynie. Zacząłem się nimi radować, a nie mam zbyt wiele czasu.

Sirus zapukał w drzwi; stanęły otworem. Sparks obejrzał się szybko na Herne'a stojącego w swym urządzeniu, odzyskującego swe miejsce. *Żegnaj, Arienrhod...* Sirus wyszedł z kulejącym służącym, zostawiając Starbucka samego.

Nurt ludzi niósł Moon z jednego końca Ulicy na drugi, aż do skrzypiących nabrzeży podbrzusza Krwawnika, gdzie miasto brodziło w morzu. Tu procesja złożyła ofiary Matce Morza i po ściśniętej do godzin wieczności uwolniła ją wreszcie, pozwalając spędzić Noc Masek tak jak zechce. Aż do świtu.

Wracała Ulicą do mieszkania Jerushy PalaThion, opędzając się od podpitych wielbicieli i gorliwych zalotników, chroniąc przed nimi w ciżbie przebranych ciał, czując, jak wszystko wokół ulega przyspieszeniu, jak narasta podniecenie wywołane nadchodzącą nocą. Ale cała ta skrząca się prądem gorączkowość, przez którą brnęła, pogłębiała w niej tylko poczucie wyobcowania, świadomość, że jeśli spędzi samotnie ten wieczór, będzie takie całe jej przyszłe życie.

Granatowe niebo zaczęło czernieć na końcu alei, gdy wreszcie doszła do domu PalaThion i zapukała do drzwi. Otworzyła je Jerusha, nosząca zamiast munduru bezkształtną szatę. Spojrzała ze zdumieniem na maskę Królowej Lata.

Moon zdjęła ją z ramion, nic nie mówiąc.

– O bogowie... – PalaThion pokręciła głową, jakby otrzymała kolejny cios, choć i tak przeszła dobre lanie. Odsunęła się, wpuszczając Moon do środka, pozwalając jej uciec przed tłumem kłębiącym się za drzwiami.

Moon przeszła do salonu, z sercem podeszłym do gardła szukała...

– Nie. Na razie. – PalaThion weszła za nią. – Jeszcze nie przyszedł.

– Och – Moon wydusiła z siebie tylko tyle.

– Jest jeszcze czas.

Moon przytaknęła w milczeniu i położyła maskę Królowej Lata na jednej z kanap.

– Już jest dla ciebie za ciężka? – PalaThion spytała mniej już uprzejmie.

Moon spojrzała na nią, dostrzegła, że zmęczenie i utrata złudzeń zmieniły w pył oczy Jerushy.

– Nie... Ale jutro rano, jeśli Sparks nie... nie... – Znów spuściła wzrok.

– Czy uczciwie zdobyłaś tę maskę? – zapytała PalaThion otwarcie, jakby spodziewała się szczerzej odpowiedzi.

Moon zaczerwieniła się, wygładziła wstążki tuniki. Czy uczciwie!

– Musiałam ją zdobyć. PalaThion skrzywiła się.

– Chcesz powiedzieć... sybillo, że naprawdę wierzysz, iż wszystko to było z góry postanowione?

– Tak. Było. Miałam to zrobić, jeśli zdołam. I zrobiłam. Z powodów znacznie ważniejszych niż los kogokolwiek z nas, komendancie. Sądzę, że znasz ten powód... czy nadal chcesz mnie powstrzymać? – Patrzyła na nieokreślone zagubienie na twarzy PalaThion. Jerusha roztarta ramiona pod rękawami swego kaftana.

– Zależy to od odpowiedzi, jakiej udzielisz mi teraz. Mam dla ciebie pytanie, sybillo.

Moon skryła swe zdziwienie i przytaknęła.

– Pytaj, a odpowiem... *Wejście.*

– Sybillo, powiedz mi prawdę, całą prawdę o merach.

Zdziwienie Moon zamarło, gdy runęła w czarną pustkę Miejsca Nicości, gdy mózg komputera zastąpił jej własny, by móc powiedzieć prawdę innemu pozaziemcowi.

Ale pod tą prawdą leżała inna, głębsza i unosząc się bezcieleśnie w mroku, doszła do wizji, która przemówiła tylko do niej. Ujrzała mery nie takie, jakimi są teraz – niewinnymi, nieświadomymi zabawkami Morza – ale jakimi miały być: giętkimi, rozumnymi istotami, przechowującymi zarazki

nieśmiertelności... i coś więcej. Był powód, dla którego otrzymały nieśmiertelność, dla którego otrzymały rozum. I tylko ona знаła tę przyczynę: maszyna sybilli, składnica całej ich wiedzy znajdowała się tu, na Tiamat, pod Krwawnikiem, pod morzem. Ujrzała, czym miały być mery – strażnikami umysłu sybilli, posiadającego wiedzę, którą utrzyma i której pozwoli działać poprzez tysiąclecia... Ale nawet ta izolowana, leżąca na uboczu planeta nie okazała się dostatecznie zabezpieczona przed zgnilizną, zżerającą za życia Stare Imperium. Pozaziemscy piraci przybywali tu, by polować na niedoskonałą nieśmiertelność merów; poddani Imperium rozpoczęli rzezie, które mogły w końcu zerwać sieć sybilli, będącą kluczem do ich własnej przyszłości.

Wtedy to Stare Imperium padło całkowicie, nieodwołalnie załamało się pod własnym ciężarem. Wreszcie planeta uwolniła się od myśliwych przybywających zakłócać jej spokój. Przodkowie Moon, wygnańcy z innych planet, którzy zasiedlili Tiamat, walczyli ciężko o przetrwanie, o stworzenie nowej ojczyzny na tym porzuconym, niegościnnym świecie. Nigdy nie domyślili się, jaką tajemnicę kryje morze; mimo to przez wieki składali nieświadomy hołd umysłowi sybilli, zwąc go Matką Morza, i czcili jego nieśmiertelne dzieci.

Ale groźny sekret istnienia wody życia ciągle tkwił zawieszony w sieci informatycznej i wraz z powstaniem Hegemonii masakry zaczęły się od nowa. Po wiekach eksploatacji mery utraciły sens swego istnienia i cofnęły się do pierwotnej, bezrozumnej więzi z morzem. Sieć sybilli działała nadal, obdarzając wiedzą ułomne kultury wegetujące na szczątkach Starego Imperium, lecz bez wspomagających ją merów ciągle się kurczyła. Nie mogła też się odsłonić i złożyć ufnie swego losu w rękach ludzi, którzy byli w stanie ją uratować; bo to oni właśnie tak ochoczo zabijali mery.

Ale ona, Moon, została Królową Lata – jak przeznaczył to jej umysł sybilli. I będąc nią, przystąpi do zadania odbudowy wszystkiego, co zostało zniszczone. Była ostatnią nadzieją tego umysłu; wykorzystał on wszystkie swe malejące możliwości, by wspomóc ją w poszukiwaniach. Jedynym sposobem zakończenia na zawsze wykorzystywania merów przez pozaziemców jest odwrócenie przez nią pogłębiającego się rozpadu umysłu. Będzie ją wspierał, dopóki zdoła; ale to na niej ciąży brzemie urzeczywistnienia ideału...

*Koniec analizy!* – Moon zachwiała się, gdy wyszła z Przekazu. PalaThion złapała ją i ułożyła na kanapie.

– Dobrze się czujesz? – Jerusha wypatrywała w jej twarzy uspokajającego znaku, iż dziewczyna rozumie jej słowa.

Moon kiwnęła głową, zataczając się pod ciężarem ostatniego objawienia.

– Och, Pani... – jęknęła, gdy zrozumiała wreszcie, do czego się modli. – Jak? Jak mogę zmienić tysiąc lat zła? Jestem sama, jestem tylko Moon...

– Jesteś Królową Lata – powiedziała PalaThion. – I sybillą. Masz wszystkie potrzebne środki. To tylko kwestia czasu... Czy masz go dosyć, nim wróci Hegemonia?

Moon powoli uniosła głowę.

– Nie. – PalaThion odwróciła wzrok. – Nie zamierzam cię powstrzymywać. Jak mogłabym żyć z tyloma śmierciami, ze sobą? I za co...? – Napięła ręce.

Dopiero po chwili Moon zrozumiała, że Jerusha usłyszała tylko to, co i Ngenet, że nie zna szeptów, jakie wsączały się w jej umysł w tajemnej ciemności. Zadanie, dostrzegane przez PalaThion nie było tym prawdziwym – miała się zmierzyć nie z siłą czysto techniczną, lecz walczyć na całkowicie odmiennym poziomie, o stawkę daleko wyższą – o zmianę, która obejmie całą galaktykę. PalaThion rozumiała jednak, że ma przed sobą zadanie, że jej niespełnienie oznacza cierpienie i śmierć, a to dosyć. Moon kiwnęła głową.

– Znaczy to więcej dla większej ilości ludzi, niż mogę ci powiedzieć.

PalaThion uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Cóż, to pewne pocieszenie. – Odsunęła się, podeszła do muszli leżącej na stoliku przy drzwiach. Podniosła ją i trzymała długo, zwrócona plecami do Moon.

Dziewczyna wyciągnęła się na kanapie, czuła, jak ciąży jej ciało, a umysł ma oszołomiony od przemęczenia. Zastanawiała się, jak jutro o świcie zdoła stawić czoła długim latom przyszłości.

– Musi to zostać zwrócone... – PalaThion obejrzała się, słysząc nowe pukanie do drzwi. Moon usiadła, zaciskając mocno dłonie, gdy Jerusha zniknęła w przedsionku.

Słyszała głos otwierających się drzwi, kroków wchodzących do korytarza ludzi...

– Ty! – rozległ się głos gorzki od zdrady. Znała ten głos...

Moon skoczyła na nogi i pobiegła przez pokój. W padającym przez otwarte drzwi świetle dojrzała sylwetki trojga ludzi, otulone złotem rude włosy.

– Zaczekaj. Nie musisz się tak śpieszyć, Sparksie. – PalaThion przytrzymała jego ramię w żelaznym uchwycie, gdy próbował się wyrwać i zniknąć w alei. – Moje mieszkanie nie jest pułapką mającą zaprowadzić cię do więzienia.

– Nie... nie rozumiem. – Sparks oklapł w jej objęciach, był wyraźnie zmieszany.

– Ja też nie do końca. – PalaThion wypuściła go. Sirius stał obok, uśmiechając się z otuchą.

– Sparks...

Podniósł głowę.

– Moon! – Ruszył do niej.

Wyciągnęła ręce. Wszedł do pokoju, w którym stała w oczekiwaniu; przestała dla nich istnieć cała reszta świata poza podążającymi do siebie sercami.

– Och, Moon, Moon... – Sparks szeptał jej do ucha, zagłuszył słowa jej następnych szeptów pocałunkiem.

– Sparkie... – Poczowała łzy, mówiła wysokim, cienkim głosem, jak małe dziecko.

– Sparks. – Obejrzelili się oboje, słysząc głos Sirusa. – Muszę cię teraz zostawić. Jesteś już w bezpiecznych rękach. – Uśmiechnął się z żalem.

Sparks przytaknął, powoli oderwał się od Moon i podszedł do ojca. Dziewczyna patrzyła, jak obejmują się po raz ostatni, czuła ból swego serca, gdy Sirius zniknął w hałaśliwej ulicy. PalaThion zamknęła drzwi, bez wyrazu spojrzała na Sparksa.

Zmusił się, by spojrzeć jej w oczy.

– Powiem wam, co wiem o Źródle. To tego chcecie, prawda, za to mnie puścicie... tylko tego chcecie? – Powtórzył, jakby tak naprawdę w to nie wierzył.

Kiwnęła głową, lecz twarz miała napiętą.

– Słuchajcie, komendancie... – Zamknął oczy. – Nie wiem, czemu to robicie... ale na pewno nie dla mnie. Chcę wam jednak powiedzieć, że jest mi przykro... – ciągnął dalej. – Wiem, że niczego to nie naprawi, niczego nie zmieni, że nawet nic nie oznacza. Ale mimo to... przepraszam. – Rozłożył ręce.

– To coś znaczy, Dawntreader. – PalaThion wyglądała na zaskoczoną, że istotnie to powiedział.

– Mogę jednak coś dla was zrobić – powiedział nagle. Przeszedł do drugiego końca pokoju i zerwał ze ściany brzydką, geometryczną tarczę zegara. Moon patrzyła ze zdumieniem, jak rzuca go na podłogę i zgniata nogą. Uśmiechnął się, zacierając ręce. – Jeśli nienawidziliście tego miejsca, to nie bez powodu – oto on: przekaźnik poddźwiękowy w zegarze. – Wrócił do Moon, wziął ją pod rękę, jakby w obawie, że może zniknąć. – Mogą być inne, o których nie wiem.

Na twarzy PalaThion odbiła się świadomość lat niepotrzebnych cierpień, podważania własnej normalności... świadomość, że wreszcie nadszedł temu kres.

– Zawsze pragnęłam zmienić to muzeum z powrotem w prawdziwy pokój. Ale jakoś nigdy się do tego nie zabrałam... – Znowu przybrała minę suchego rozczarowania. – Cóż, Moon. Masz już wszystko, po co tu przysłaś. Cieszę się z tego, ze względu na kogoś innego. Gdy tylko Sparks złoży zeznanie, możecie oboje przestać dla mnie istnieć. Zakończy to kłopoty, jakie przez was miałam... Mam nadzieję, że zdołacie uporać się ze swoimi. – Minęła ich i weszła do dalszych pokoi mieszkania.

– O co jej chodzi? – zapytał Sparks.

Moon pokręciła głową, unikała jego oczu.

– Chyba o wszystko, co się wydarzyło w ostatnim roku. – *Pięciu latach*, poprawiła się w duchu.

– I o wszystko, co się stanie po Zmianie. – Spojrzała na maskę Królowej Lata.

– Co to? – Podążył za jej wzrokiem.

– Maską Królowej Lata. – Poczowała, jak sztywnieje i odsuwa się.

– Twoja? Zdobyłaś ją? – Głos mu spochmurniał. – Nie! Nie mogłaś, nie mogłaś jej uzyskać, chyba że oszukiwałaś.

Moon ujrzała, jak się odbija w jego oczach w postaci Arienrhod.

– Zdobyłam, bo miałam wygrać! Musiałam – i nie dla siebie!

– Przypuszczam, że dla Tiamat! Ona też ciągle to powtarzała. – Odsunął się jeszcze dalej.

– Jestem sybillą, Sparksie, to dlatego zwyciężyłam! I tak, troszczę się o Tiamat. Arienrhod też to robiła. Lepiej niż ktokolwiek inny wiedziała, czym był ten świat, jak się zmienia i czym ma zostać znowu... I troszczyła się o ciebie, nie możesz temu zaprzeczyć.

Sparks obejrzał się nagle; Moon poczuła w piersi rodzące się różne bóle.

PalaThion wróciła do pokoju ubrana w mundur, minęła ich i wyszła, nic nie mówiąc. Drzwi otworzyły się i zamknęły za nią, odcinając ich ponownie od świętującego na dworze świata. Moon przesunęła palcami po gładkich krzywiznach maski Królowej Lata. Jej maski... *Mojej maski*.

– Sparks, proszę cię, uwierz, że to dobrze. To, iż zostałam Królową, jest częścią czegoś znacznie większego, znacznie bardziej ważniejszego niż ty czy ja. Nie mogę ci teraz tego wyjaśnić... – Zrozumiała z żalem, że nigdy nie będzie mogła; że jej ukochany zawsze będzie wrogi prowadzącej ją bezcielesnej mądrości. – Musimy jednak skończyć z wykorzystywaniem Tiamat przez inne planety. Gdy stąd odleciałam, spotkałam na Kharemough sybille; dowiedziałam się, że są one na wszystkich światach Starego Imperium, że głównym powodem ich istnienia jest pomaganie planetom w odbudowie i odzyskiwaniu wiedzy. Mogę odpowiedzieć na każde pytanie. – Zobaczyła, jak rozszerzają się i zmieniają jego oczy.

– I będąc na Kharemough, zaczęłam dostrzegać to, co ty widziałeś zawsze, patrząc na postęp, technikę; pojęłam, że magia pozaziemców nie jest dla nich żadnymi czarami. Tyle więcej wiedzą... nie muszą bać się chorób, złamania nogi czy porodu. Twoja matka nie umarłaby... Mamy prawo żyć tak jak oni, bo inaczej na naszej planecie nie byłoby sybilli.

Dostrzegła w jego oczach glód tego, co widziała, a czego on nigdy nie zobaczy. Ale powiedział tylko:

– Nasz lud jest szczęśliwy z tym, co ma. Jeśli zacznie pragnąć władzy, pragnąć tego, czego nie ma, skończy jak Zimacy. Jak my.

– Cóż w nas złego? Nic! – Pokręciła głową. – Pragniemy wiedzy, żądamy należnych nam praw. To wszystko. To pozaziemcy chcieli, byśmy uważali, iż niezadowolanie się tym, co się ma, jest czymś złym. Ale nie jest gorsze od bycia zadowolonym z siebie. Zmiana nie jest zła – całe życie to zmiany. Nic nie jest wyłącznie dobre czy wyłącznie złe. Nawet Krwawnik. Jak morze, ma swoje fale, przyływy i odpływy... Nieważne, co zdecydujesz uczynić ze swym życiem, dopóki masz prawo



decydować o czymkolwiek. My nie mamy żadnego wyboru. A mery nie mają nawet prawa do życia. – *A muszą być... to klucz do wszystkiego.*

Sparks skrzywił się.

– Zgoda, wykazałaś swoje! Ktoś musi to zmienić. Ale dlaczego my? – Zacisnął dłoń na medalu.

– Wiesz, mój... ojciec powiedział, że może nas zabrać z Tiamat. Jest w stanie załatwić nam wyjazd na Kharemough. Byłoby to takie łatwe...

– Na Kharemough nas nie potrzebują. Tu jesteśmy potrzebni. – *Kharemough, Targ Złodziei, nocne niebo; byłoby to takie łatwe.* Jeśli nawet uda nam się tu zasiać ziarno, to nigdy nie doczekamy ostatecznych żniw, nigdy się nie dowiemy, czy przegraliśmy, czy zwyciężyliśmy...

– Obu tym miejscom jesteśmy coś winni, a ten dług możemy spłacić tylko tutaj. – Głos jej posmutniał.

– Niektórych długów nie można nigdy spłacić. – Sparks podszedł do okna, Moon zobaczyła, że któryś z przechodniów mu pomachał. – A konieczność przebywania tutaj, w Krwawniku, w pałacu... – urwał. – Nie wiem, Moon, czy to wytrzymam. Nie mogę zacząć znowu od tego samego miejsca, w którym...

– Spójrz na tamtych ludzi – nalegała. – To Noc Masek – noc przejścia. Nikt nie jest tym samym, kim był i kim będzie... nie jesteśmy niczym, mamy nieograniczone możliwości. Powiadają, że zdejmując maski, odrywamy z nimi warstwy naszych grzechów, możemy o nich zapomnieć i zacząć wszystko od początku. – *Mogę dowieść umysłowi sybilli, że jesteś taki, jakim cię widzę, a nie tym, noszącym stale maskę śmierci.*

Podeszła i stanęła obok niego.

– Po dzisiejszej nocy nic nie pozostanie takie jak przedtem. Nawet Krwawnik. Przybywają tu Letniacy, a z nimi usiłuje dostać się przyszłość. To będzie nowy świat, nie należący już do Arienrhod. – *Ale też i jej; zawsze tak zostanie.* Wiedziała o tym, ale zachowała dla siebie. – I obiecuję ci, że nigdy więcej nie postawię nogi w pałacu. – *I nigdy nie powiem nikomu dlaczego.*

Spojrzał na nią ze zdziwieniem; gdy uwierzył w to, co zobaczył, na jego twarzy ukazała się ulga. Dalej jednak wzdychał i czuł, że coś ich dzieli.

– To za mało. Potrzebuję czasu, czasu na zapomnienie; na ponowne uwierzenie w siebie... na uwierzenie w nas. Jedna noc nie wystarczy. Może i całe życie okaże się na to za krótkie. – Znowu odwrócił się do okna.

Moon wyjrzała na ulicę, nie mogąc patrzeć na niego; tłumy zamazywały się w jej oczach i przepływały niewyraźnie jak oleiste plamy na powierzchni wody. *Tu nigdy nie pada. Powinno padać... nigdy nie ma tęczy.*

– Zaczekam – powiedziała, cedząc każde słowo, starała się nimi nie zadławić. – Ale nie potrwa to tak długo. – Odnalazła jego rękę na parapecie, ścisnęła. – Dziś mam obowiązek bycia szczęśliwą. – Usta jej zadrgały. – To Święto powinno być nasze, na zawsze zapaść nam w pamięć. Jest Świętem ostatnim; zapamiętamy je. Czy chcesz tam wyjść i tak jak zamierzaliśmy, skończyć z dotychczasowym życiem? Może, jeśli spróbujemy, uda się nam dziś uczynić coś, co zechcemy zapamiętać na zawsze.

Przytaknął, kąciki jego ust podniósł niepewny uśmiech.

– Możemy spróbować.

Spojrzała na maskę Królowej Lata, ujrzała jej oblicze ginące pod innymi, zalały ją liczne twarze, które poświęciły tak wiele, by mogła ją założyć. Jedna...

– Ale najpierw... muszę się z kimś pożegnać. – Przygryzła usta, uprzedzając ból.

– Z kim? – Sparks spojrzał tam gdzie ona.

– Pozaziemiec. Inspektor policji. Uciekłam z nim od koczowników. Teraz jest w szpitalu.

- Siny? – Próbował ukryć ton swego głosu. – A więc to ktoś więcej niż Siny, jest przyjacielem.
- Więcej niż tylko przyjacielem – powiedziała słabo. Stała przed nim, czekając, aż zrozumie.
- Więcej niż... – Skrzywił się nagle i zobaczyła, jak czerwienieje mu twarz. – Jak mogłaś? – Głos mu się załamał, jak pękający kij. – Jak mogłaś... Jak mogłem? My. Nam...

Opuściła wzrok.

– Porwał mnie sztorm, a on był moją kotwicą. A ja jego. Gdy ktoś kocha cię bardziej, niż ty siebie...

– Wiem. – Jednym westchnieniem pozbył się gniewu. – Ale co teraz, z tobą i z nim? I ze mną?

Przesunęła palcami po kolorowym przedzie swej koczowniczej tuniki.

– Nie prosił mnie o miłość na zawsze. – *Bo wiedział, że i tak to niemożliwe.* – Wiedział od początku, że nikt nigdy nie będzie dla mnie ważniejszy od ciebie, nie stanie między nami ani cię nie zastąpi. – *Choć sądził, że może spróbować. Chciał to uczynić; uczynił.* Poczowała, jak jego twarz stara się wejść między zacięte oblicze Sparksa i jej własne. – Nikt! – powtórzyła, mocno mrugając oczyma. – Pomógł... pomógł mi cię znaleźć. – *Zrezygnował z wszystkiego, dał mi tak wiele; a co ja mu dałam?* Nic. – Muszę wiedzieć, na pewno, że... że będzie z nim dobrze, gdy stąd odleci.

Sparks roześmiał się, chrapliwie i gardłowo.

– A co z nami? Czy będzie z nami dobrze, gdy stąd odlecą? Gdy tu ugrzęźniemy, gdy będziemy musieli żyć obarczeni wspomnieniami o nich, przypominającymi nam, że złamaliśmy nasze śluby, nasze obietnice – i łamiemy nadal?

– Złożymy następne. Jutro – naszym odrodzonym duszom. – *Nie dzisiaj.* Podniosła maskę Królowej Lata. Po świcie. – Myślę jednak, że w głębi serca nigdy nie złamaliśmy poprzednich.

Pocałował ją raz, nim znowu założyła maskę.

– A co z twoją maską?

– Nic. – Pokręcił głową. – Nie potrzebuję żadnej. Swoją już zdjąłem.

– U diabła, na pewno nie tak wyobrażałam sobie spędzenie Nocy Masek. – Tor przerwała, by włożyć do ust wyjęte z trzymanej w dłoni torebki następne słodkie, przesączone alkoholem, upijające ciastko. Przygotowywała tak swe zdrętwiałe ciało i umysł na nadchodzący koniec świata. Naciągnęła znowu maskę wiszącą na potężnym tułowiu Polluksa, wyspie otuchy w gęstniejącym tłumie świętujących. – Mając na pociechę jedynie kupę zimnego metalu, a przed sobą lata skrobania ryb. Cholera, już w wannie mam chorobę morską. Nie znoszę ryb, psiakrew! – wykrzyknęła.

– Nie ty jedna, siostró! – Zamaskowana postać machnęła z wielkim wstrętem, zniknęła ze swą wybranką w starym magazynie, szukając tam odrobiny prywatności. Tor spojrzęła za nimi zawistnie; Polluks wpatrywał się dyplomatycznie w dół Ulicy. Niemal wszyscy chodzili teraz parami.

– Przykro mi, że sprawy tak źle się dla ciebie potoczyły, Tor – powiedział Polluks niespodziewanie. – Jeśli wolisz pobyć z jakąś osobą, nie mam nic przeciwko temu.

Tor spojrzęła na niego z trochę nieracjonalnym przekonaniem, że miałby bardzo wiele.

– Phi. Mogę to mieć każdej nocy... ale tej po raz ostatni jestem z tobą. – Nie odpowiedział.

Zrobili sentymentalną wyprawę do nabrzeży i składów dolnego miasta, bo stwierdziła, że tę ostatnią noc swego świata chce spędzić w miejscach przypominających jej dzieciństwo, pochodzenie. Wspominała swą młodość, przeżywała na nowo dni, kiedy nawet nie marzyła o rzeczach, które w końcu osiągnęła. Miała nadzieję, że jeśli zdoła je zapamiętać, gdy przestaną istnieć, nie będzie jej ich tak bardzo brakować.

Zastanawiała się, kto dziś kieruje kasynem. – Kto w nim został? – czy w ogóle ktoś. Dzięki dziwnej magii Moon Dawntreader zniknął nawet Herne. *Do diabła z nim*. Wróciła tam tylko po to, by zabrać te kilka rzeczy, które chciała zachować z czasów, gdy była Persefoną, i przekazać przybranemu bratu. Nie widziała się z nim od dawna, dziś też się z nim nie spotka – już wyjechał z miasta. Ale i tak nigdy nie byli sobie zbyt bliscy.

– Dziś nie mam nikogo bliższego od ciebie, Polly. – Westchnęła – Może nigdy nie miałam. – Usiadła na porzuconej skrzyni wśród resztek pozostawionych przez odjeżdżających, dobrze się czuła w starym kombinezonie i na starych śmieciach. – Nigdy się nie odgrywałeś, obojętnie jak ciężko cię traktowałam czy jak mało ci dawałam... Jasne, i tak nie mogłeś się skarżyć, czego to więc dowodzi? – Zjadła następne ciastko. Polluks siedział przed nią cierpliwie na trójnogu. Zobaczyła zaczynające migać na jego piersi czerwone światełko; w jej umyśle doszło jednak do informacyjnego zwarcia i nie zauważała go. – Czy naprawdę nigdy gdzieś tam w głębi nie czułeś się urażony? Czy nigdy cię nie obraziłam, znieważylam czy coś takiego? Na bogów, mam nadzieję, że tego nie zrobiłam, bo dla mnie byłeś zawsze taki dobry... – płaczliwie pociągnęła nosem.

– Tor, nigdy nie mogłaś mnie obrazić.

Spojrzęła na jego nic nie wyrażającą twarz, starając się coś wyczytać z tego monotonnego głosu.

– Naprawdę? To znaczy, naprawdę? Naprawdę mnie – lubisz?

– Naprawdę "lubię cię", Tor. Tak, lubię. – Twarz bez oblicza spojrzęła na nią.

– Skąd możesz wiedzieć? – Uśmiechnęła się. – Nie myślałam, że jesteś do tego zdolny. Sądziłam, że nie możesz. Czuć cokolwiek. O to mi chodzi. Zawsze myślałam, że jesteś – no, tępy. Bez obrazy – dodała pośpiesznie.

– Tor, mam w sobie bardzo wymyślny komputer. Nie zaprogramowano mnie na osądzanie, z wyjątkiem kwestii prawnych. Lecz na moim poziomie złożoności trudno nie oceniać. Potrzebuję stałego regulowania.

– Och – kiwnęła głową. – Chyba zawsze wiedziałam, że jesteś czymś więcej niż tylko

urządzeniem załadowczym. To znaczy, czy urządzenie załadowcze wiedziałyby, jak ułożyć moje włosy? Albo... – Umilkła, gdy sobie coś przypomniała. – Albo lecieć do Sinych z każdym słówkiem, które wymknęło się komuś na Ulicy. – Wzruszyła ramionami. – Albo uratować mi życie, co, Polly...? – Poklepała go po piersi. – Och, do diabła, miewaliśmy i dobre dni, nie? Pamiętasz, jak stary Stormprince mi cię przydzielił? Bogowie, jaka byłam z siebie dumna! Czy wiesz, że myślałam, iż w życiu nie osiągnę nic większego od dostania ciebie? Kto by pomyślał... Ale może to i prawda. Nigdy tego nie żałowałam. Nigdy. – Wolną ręką przesunęła po swych gładkich włosach. – Długo chyba potrwało, nim zrozumiałam, co oznaczało dla mnie bycie Persefoną. – Spojrzała na swe dłonie, na których od dawna nie było odcisków. – Dlaczego miga to światelko? Czy zapomniałam ci coś zrobić? – Wstała niepewnie.

– Nie, Tor. Oznacza ono, że wygaśł mój kontrakt.

Opanowało ją zdumienie.

– Och. Wiedziałam... to znaczy, wiedziałam, że wygaśnie dzisiaj. Ale... – *Myślałam, że nikt tego nie zauważy.* Przełknęła ostatnie upijające ciastko, zgmiotła bezlitośnie i wyrzuciła torebkę. Wszędzie całą Ulicę wypełniały śmieci. – Czy chcesz teraz odejść?

– Nie, Tor – Polluks spojrzał na nią bez wyrazu. – Jeśli jednak szybko nie znajdę się na komendzie policji, przestanę działać i zostanę sparaliżowany.

– Och – powiedziała ponownie. – Nie wiedziałam. W takim razie lepiej ruszajmy. – Wzięła go pod grube, krągłe ramię i wrócili na Ulicę, poszli nią w górę po własnych śladach. Oglądała się za siebie, póki nie zaczęło się jej kręcić w głowie, wtedy znowu patrzyła prosto. – Co się teraz z tobą stanie, Polly? Gdzie pojedziesz?

– Nie wiem, gdzie zostanę wysłany, Tor. Wpierw jednak zostanę przeprogramowany i wyposażony w nowe informacje. Zapomnę o wszystkim, co działo się tutaj.

– Co? – Zatrzymała go, zapierając się piętami. – To znaczy, że nie będziesz pamiętał niczego o Krwawniku? O mnie?

– Tak, Tor. Niczego nieważnego. Niczego. Niczego. – Zwrócił się do niej. – Czy mnie lubisz, Tor?

Zamrugwała.

– No jasne. Jak bez ciebie bym przetrwała wszystkie te lata? – Ale to było za mało, jakoś to dostrzegą, patrząc na niego, choć nie widziała żadnej twarzy. – To znaczy... naprawdę cię lubię. Jak prawdziwego przyjaciela. Jak prawdziwego człowieka. Gdybyś nie był maszyną, to wiesz, może nawet bym cię... – roześmiała się ze skrepowaniem. – No wiesz.

– Dziękuję ci, Tor. – Uczynił ruch przypominający ukłon i ruszyli znowu.

Gdy byli już blisko Sinej Alei, minęli małą grupkę zamaskowanych balowiczów, idących im naprzeciw z muzyką i śmiechem.

– Patrz, Polly, jest tam Królowa Lata! Mija nas przyszłość. – Wśród menażerii masek dostrzegła jedną odkrytą twarz, dziwnie jej znajomą pod strzechą ognistych włosów... *Sparks Dawntreader?* Usiłowała lepiej przyjrzeć się tej twarzy, lecz zniknęła już w odchodzącej grupie. Nie... Pokręciła głową, nie chcąc w to uwierzyć. *To niemożliwe. Niemożliwe.*

Polluks zwolnił i skręcili ku wejściu do Sinej Alei.

Jerusha westchnęła i odchyliła się w fotelu za biurkiem nocnej służby, błędząc oczyma po niemal opustoszałym pokoju. Dosłownie wszyscy policjanci patrolowali ulice tej ostatniej nocy Święta; spełniali swój końcowy, najbardziej nużący obowiązek na tej planecie. Nie mając nic, co chciałyby świętować, nie miała serca patrzeć na cały świat bawiący się bez niej, dlatego została w komendzie. Stała przed kilkoma poważnymi problemami; sama się dziwiła, jaką męczarnią była dla niej ta długa i pusta noc. Pusta... to odpowiednie słowo. Westchnęła znowu, nastawiła radio trochę głośniej, by zagłuszyć przyszłość. *Bogowie, co jest gorsze, nie wiedzieć, co się ze mną stanie, czy znać to na pewno!*

Tor Starhiker poruszyła się i przetarła oczy na pustej ławce pod ścianą, na której zasnęła kilka godzin temu. *Najpewniej zasłabła.* Jerusha czuła wyraźnie, co od niej jechało, gdy przyprowadziła tu jednostkę Polluksa... czy raczej on ją przyprowadził, cuchnącą, brudną i pełną tkliwych uczuć. Polrobot stał nieruchomo u końca ławki, można było odnieść wrażenie, że czuwa nad śpiącą. Jerushy trudno było uwierzyć, że ktoś mógłby płakać nad robotem, choćby po pijanemu. *Ale kto wie?* W ostatnich dniach straciła więcej niż tylko robota. Jeśli pragnęła spędzić te ostatnie godziny, trzymając jego mechaniczną dłoń – lub upić się do nieprzytomności – to jej sprawa.

Jerusha wyciągnęła paczkę iestów, najsilniejszą z rzeczy, jakie miała odwagę brać w ciągu ostatnich pięciu lat. Posłała wiadomość rodzinie LiouxSkeda na Newhaven, przekazała im wszystko, czego się wreszcie dowiedziała... *Może przyniesie to im więcej dobra niż mnie.*

– Co? – Tor nagle usiadła i się przeciągnęła. – Och. – Złapała się za głowę i brzuch. – Nie dożyję przyjscia Letniaków.

Jerusha uśmiechnęła się lekko i pochyliła nad konsolę komputera.

– Jeśli chcecie wymiotować, idźcie do łazienki, nie róbcie tego tutaj.

– Jasne. – Tor oparła głowę na dłoniach. – Która godzina? Jerusha zerknęła na zegarek.

– Zbliża się pora, bym ruszyła do portu. – Na częstotliwości łączności policyjnej wezwała kilku dodatkowych ludzi, by doglądali komendy, gdy wyjdzie, i by towarzyszyli jej przy spełnianiu ostatniego obowiązku na tej planecie.

– To znaczy... na ofiarę? – Tor uniosła głowę. Jerusha przytaknęła. – Hmm. Wicie, chciałam tylko powiedzieć... podziękować, że pozwoliliście mi zatrzymać Polluksa aż do wygaśnięcia jego kontraktu. To znaczy, wiem, że wiedzieliście, że słyszałam... no wicie. – Wzdrygnęła się.

– Nie przypominajcie mi. – Jerusha wstała i przeciągnęła się. Ślamazara. PalaThion, jesteś ślamazarą, pomyślała, radując się przyznaniem do tego.

– No, jednak, Polly i ja... – Tor urwała, zwróciła do Polluksa, gdy do komendy wszedł ktoś jeszcze, wysoki mężczyzna, pozaziemiec.

Jerusha złapała się za narożnik biurka.

– Miroe!

Stanął z dala od Tor na środku pokoju.

– Jerusho. – Jego głos brzmiał równie głupio co jej. – Nie sądziłem, że cię tu zastanę... ale nie wiedziałem, gdzie indziej mogę cię szukać. – Wydawało się, że nie wie, co powiedzieć, gdy wreszcie ją odnalazł. Był ubrany jak każdy zimacki żeglarz, miał zaczątki brody.

– Tak, nadal pracuję, Miroe. Aż do Nowego Tysiąclecia – powiedziała z gorzką bezmyślnością.

– Bałem się, że nie zdążę dopłynąć do Krwawnika na czas; na wybrzeżu pogoda jest paskudna. – Dostrzegła, jak bardzo jest zmęczony. – Jeszcze jeden dzień i bym się spóźnił, wszystko by przepadło.

Pokręciła głową, starała się utrzymać spokojną twarz i głos.

– Nie. Jutro przestaniemy tu istnieć technicznie, ale zostaniemy jeszcze kilka dni, by upewnić się, że nie zostawiamy czegoś ważnego. Co tu robisz, Miroe? Twoi ludzie mówili... nie wiedzieli nawet, dokąd popłynąłeś.

– Była to decyzja podjęta w jednej chwili. – Przeszukał oczyma puste kąty pokoju. – Nie planowałem tego rejsu. Bogowie wiedzą, że nie znalazłbym na niego czasu. Jest tyle do roboty – przygotowania do odlotu, pokazywanie ludziom, jak mają sobie radzić w nowej sytuacji... starej nowej sytuacji. – Jerusha miała wrażenie, że słyszy więcej, niż rozumie, może nawet więcej, niż chce wiedzieć.

– Odlatujesz stąd? – Zapytała z nagłą ciekawością Tor. Ngenet spojrzał na nią, jakby po raz pierwszy zauważył, że na komendzie jest jeszcze ktoś. – Szukasz żony, przystojniaku?

Ngenet wydawał się tylko trochę zaskoczony.

– Może. Ale nie takiej, która chce opuścić Tiamat. Boja stąd nie odlatuję. – Spojrzał znów na Jerushę i przeszedł przez pokój.

– Och. – Było to powiedziane bardziej z głęboką niewiarą niż rozczarowaniem. – Dziękuję, że mnie ostrzegłeś. Kto chciałby się ożenić z pomyłką. Prawda, Polluksie? – szturchnęła robota.

– Jak powiedziałaś, Tor.

Roześmiała się głośno, nie wiadomo dlaczego.

Jerusha pochyliła się nad biurkiem.

– A więc rzeczywiście zostajesz tu na resztę życia. Na zawsze. – Była bardzo rozczarowana, choć nie miała do tego prawa. – Nie przybyłeś tu, by odlecieć.

– Nie, Jerusho. Uważam Tiamat za swój dom. Nic tego nie zmieniło. Nie spodziewam się też, by cokolwiek zmieniło twój zamiar opuszczenia planety. – Powiedział to tak, jakby był pewien odpowiedzi.

– Nie. – W momencie zdecydowania usłyszał tony słabości, chwilowe zawahanie. Z jednej strony spodziewał się tego, z drugiej nie. Z rezygnacją kiwnął głową; nie pytał więcej, uznał po prostu jej postanowienie – tak samo jak podczas ich poprzedniego spotkania. Jakby nie miało to dla niego znaczenia. – Dlaczego więc tu przypląnąłeś? – zapytała odrobinę zbyt dobitnie. – Powiedziałaś, że nie chcesz oglądać tego Świata.

– Nie chcę – odpowiedział równie ostro. – Przybyłem, by się z tobą pożegnać. To jedyny powód.

*Jedyny powód?* Poczowała, jak czerwieni się z zaskoczenia i zakłopotania. *Niech cię diabli, Ngenet! Zupełnie cię nie rozumiem.* Nie dociekała jednak, dlaczego on nie naciska, nie mogła się zmusić do zapytania go, skoro on tego nie czyni.

– Jestem... no, jestem zadowolona, że przypląnąłeś. Zaszczyc mnie, że przybyłeś z tak daleka po to tylko, by się pożegnać. – Spojrzawszy z roztargnieniem na Tor, dostrzegła, że znowu się od siebie odsuwają, i spróbowała go przyciągnąć. – W ten sposób mogę cię zawiadomić osobiście – twoja młoda przyjaciółka Moon żyje.

– Moon? – Potrząsnął głową, odrzucając włosy do tyłu. – Jak? Nie mogę uwierzyć... – Roześmiała się, ujrzała, jak ożywa w nim coś, co uważała za przepadłe na zawsze tego dnia na plaży.

– Została zabrana przez koczowniczych Zimaków; ale uciekła od nich razem z porwanym przez nich jednym z moich inspektorów.

– Jest więc tu, w mieście? – Jerusha zobaczyła, jak nagle spogląda w bok, ku niewidocznemu wnętrzu komendy. – Gdzie?

– Nie w celi, Miroe. – Jerusha wyprostowała się nad biurkiem. – O ile wiem, wraz ze swym

kuzynem Sparksem panuje nad Świętem. Została Królową Lata.

Wyglądał na zaskoczonego, podobnie jak i stojąca za nim Tor. Szybko jednak zmienił minę na bardziej osobistą, pełną triumfalnej wiedzy.

– Doskonalszej Królowej nie można było wybrać... Dziękuję ci, Jerusho. – Skinął głową.

– Mnie? Nie miałam z tym nic wspólnego.

– Miałaś wszystko; mogłaś temu zapobiec.

Niemal się uśmiechnęła.

– Nie. Nie sądzę, by ktokolwiek mógł temu zapobiec.

– Może masz rację. – Uśmiechał się. – Jednak znalazła swego kuzyna Sparksa? Po takim czasie?

– Wyrwała go z buduaru Królowej Śniegu. Był Starbuckiem.

– Bogowie... – Twarz mu znieruchomiała. – Starbuckiem. – Wypowiedział to słowo z równym wstrętem co ona. – A... Moon?

Przytaknęła z zaciśniętymi ustami.

– Wiem. Dziwna para kochanków: sybilla i potwór. Wiem jednak, że uparła się na Sparksa jeszcze przed Arienrhod. I ciągle widzi w nim chłopca, choć zna prawdę o nim. Może ma rację, może nie; kto wie? Dzięki bogom nie mnie o tym sądzić.

– Czyli pozwoliłaś mu odejść? To nie wymazuje jego win. Nie zmienia niczego! – Mówił z coraz większym gniewem.

*A więc nawet ty przedkładasz zemstę nad sprawiedliwość, jeśli tytko rana jest dostatecznie głęboka, pomyślała. Nawet ty. A przez wszystkie te lata miałam cię za cholernego świętego. Nie czuła rozczarowania, raczej ulgę, zrozumiałwszy, że nawet on okazał się w końcu człowiekiem, że ma prawo do ludzkich uczuć i błędów.*

– Wiem, Miroe... Oni też to wiedzą. W najlepszych dniach ich życia będzie to tkwić między nimi jak otwarty grób, zabierze im całe szczęście, jak dym stosu pogrzebowego. – Widziała, jak wiedza o tym, co Starbuck zrobił merom, walczy w nim z uczuciami wobec Moon.

Wreszcie spuścił wzrok, skinął raz głową, godząc się z tym.

– Zresztą dostałam prawdziwego winowajcę... mam na myśli Arienrhod. To ona go do tego zmusiła. Próbowwała też zapanować nad miastem poprzez wywołanie wśród Letniaków epidemii. Ale nie ucieknie od kary, o świecie jej nienaturalnie przedłużane panowanie spotka równie nienaturalny koniec.

Ngenet znowu uniósł głowę.

– Spróbowała to zrobić? Królowa Zimy?

– Powiedziała ci, kim była. Powiedziała też, że przypilnuję, by winni zapłacili. Teraz spełniłam wszystkie dane tu obietnice. – *Oprócz tych, które złożyłam sobie.*

– Winien ci więc jestem kolejne podziękowanie za sprawienie, iż dokonana się sprawiedliwość. Prawdziwa, a nie Ślepa. – Uśmiechał się nieznacznie. – Przy naszym ostatnim spotkaniu, tak samo jak przy pierwszym... Gdzie się teraz udasz, Jerusho? Jaki jest twój nowy przydział?

Gwałtownie odepchnęła się od biurka.

– Wysyłają mnie na Wielką Niebieską. – Bezustannie chodziła w kółko, trzymając się za rękawy kurtki.

Ngenet uniósł brwi, gdy nie powiedziała nic więcej.

– Gdzie? Mam nadzieję, że nie do żuźlowego obozu – powiedział, starając się zażartować.

– Tak – zwróciła się do niego jak ukłuta. – Tam właśnie się udaję. Mam kierować miejscowymi koloniami karnymi.

– Co? – Roześmiał się wymuszenie, nie mogąc uwierzyć, że nie odpłaciła się żartem za żart.

– To nie żart – powiedziała bezbarwnym głosem.

Przestał się śmiać.

– Ty... komendantem takiego miejsca? – Spojrzał na biurko, jakby po nim spodziewał się wyjaśnień. – Czy tak mało cenisz Tiamat, że kolonia karna jest dla ciebie awansem?

– Nie, Miroe. – *Tak mało cenią mnie*. Palcami zasłoniła oznaki komendanta na kołnierzu. – Możesz to uznać za przypadek ślepej sprawiedliwości.

– Czy chcesz tej pracy? – Poglądził wąsy.

– Nie. – Skrzywiła się. – To ślepa uliczka, obraza... – zadławiła się.

– Czemu więc się nie odwołujesz? Mimo wszystko jesteś komendantem policji... – Też się skrzywił, starając się zrozumieć rzeczy nagle dlań niepojęte.

Teraz ona zaśmiała się bez powodu.

– Jestem żartem, niczym więcej. – Pokręciła głową. – Mogę albo wyjechać tam, gdzie mnie przydzielą, albo złożyć dymisję.

– No to złóż.

– Cholera, tylko to słyszę zawsze od mężczyzn! Poddaj się... zrezygnuj... nie dasz sobie rady! Dam, u licha! Spodziewałam się od ciebie czegoś więcej, ale powinnam była wiedzieć...

– Jerusho – pokręcił głową – na miłość bogów. Nie zmieniaj mnie w rzecz.

– To nie traktuj mnie jak przedmiot.

– Nie chcę, byś sama się w niego przekształciła! Co z tobą będzie, jeśli pokierujesz takim miejscem... gdy innych ludzi traktujemy jak zwierzęta, sami stajemy się zwierzętami. Albo zniszczysz to, co w tobie ludzkie, albo zwariujesz. A nie chciałbym pamiętać cię zmierzającej do tego; ani wyobrażać sobie... – Rozłożył bezradnie swe wielkie dłonie.

– A co innego mogę uczynić? Zawsze chciałam coś zrobić w życiu, coś wartościowego, ważnego. Zostanie oficerem policji dawało mi to. Może nie zawsze i do końca to, czego się spodziewałam – ale czy coś innego jest w ogóle możliwe? – *Gdyby tylko coś było*.

– Uważasz za wartościowe to, co tu robiłaś? – zapytał głosem przesyconym sarkazmem. Wsunął rękę do kieszeni.

– Już na to odpowiedziałam. – Odwróciła się. – Po jakimś czasie może uda mi się załatwić przeniesienie. A zresztą, czy mam inne możliwości? Żadnych.

– Możesz zostać tutaj – mruknął z niepewnym zaproszeniem.

Pokręciła głową, nie patrząc na niego.

– I co bym robiła? Nie urodziłam się na żonę rybaka. – *Powiedz mi coś innego*.

Jeśli jednak miał inną odpowiedź, to w podaniu jej przeszkodziło mu przybycie dwóch wezwanych przez nią oficerów. Mieli we włosach konfetti, a na twarzach miny lekkiego męczeństwa, lecz zasalutowali jej z pewnym szacunkiem.

Odpowiedziała im tym samym, doprowadzała do porządku mundur i myśli.

– Zróbcie z sobą porządek, pójdziecie ze mną na uroczystość Zmiany, gdy tylko wróci tu Mantagnes.

Rozjaśnili się na perspektywę oglądania ludzkich ofiar z pierwszego rzędu; odchodząc zerkali z ciekawością na Tor Starhiker. Jerusha z niewczesnym zmartwieniem przypomniawszy sobie o jej obecności, lecz Tor znowu zasnęła.

Miroe stał ponuro, ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Weźmiesz udział w... w ofierze? – Wydawało się, że podobnie jak Tor, z trudem wypowiada to słowo. – W śmierci Królowej Śniegu?

Kiwnęła głową, ta myśl nie dawała jej spokoju, choć od tak dawna wiedziała, co ją czeka.



*Śmierć Królowej Śniegu. Ofiara z człowieka. O bogowie.* Mimo to dziwiła się, dlaczego perspektywa czystej, publicznej egzekucji kobiety, która po stokroć na to zasłużyła, wydaje się czymś straszniejszym, niż śmierć za życia skazanych na pobyt w takim miejscu jak to, do którego ją wysyłano. Bogowie wiedzą, że mało było społeczeństw, których całkowita przebudowa zakończyłaby się jedynie dwiema egzekucjami.

– To mój ostatni urzędowy obowiązek jako przedstawiciela Hegemonii; można to nazwać wręceniem nowej Królowej kluczy do jej królestwa. – *I patrzaniem, jak tonie Arienrhod.* Opuściła niepewnie wzrok. – Pójdiesz ze mną, Miroe? Wiem, że wolałbyś na to nie patrzeć, ale nie proszę cię dla kaprysu.

Poruszył się, ciągle patrząc w podłogę.

– Tak, pójdę. Masz rację, wolałbym nie patrzeć na takie rzeczy. Skoro jednak wiem o niej to co teraz... Powiadają, iż przyglądanie się śmierci żywego symbolu starego ładu ma być katharsis; niezbędnym każdemu oczyszczeniem duszy z całego brudu. Cóż, nigdy nie uważałem, że tego potrzebuję... ale może jednak nie jestem wcale lepszy od innych.

– Witamy w klubie – powiedziała, nie do końca się uśmiechając. – Zaraz wrócę. – Poszła do swego gabinetu po płaszcz i hełm.

Gdy wróciła, zobaczyła wezwanego przez nią, czekającego z butną powściągliwością Mantagnesa. Obojętnie odpowiedziała na jego zasalutowanie i rozkazała, by zastąpił ją na komendzie.

Wychodząc już, zatrzymała się i podeszła do Tor.

– Obudź się, Zimaczko. Już niemal świt.

Tor usiadła, rozcierając zaropiałe, nieszczęśliwe oczy.

– Idę teraz na uroczystość Zmiany – powiedziała Jerusha łagodniejszym głosem. – Nie wiem, czy chcecie ją zobaczyć. Jeśli tak, możecie iść z nami. – *Choć nie będę cię winić, jeśli wybierzesz przespanie jej tutaj.*

Tor pokręciła głową i rozciągnęła ramiona. Patrzyła już bystro.

– Nooo... chyba jednak pójdę. Nie mogę zostać tu na zawsze, prawda? – Pytanie było retoryczne. Wstała i zwróciła się do Polluksa, stojącego cały czas nieruchomo przy ławce. – Polly, lepiej pójdę zobaczyć koniec świata; nie doczekam innego. A jeśli bym go nie ujrzała, mogłabym w niego nie uwierzyć.

– Żegnaj, Tor. – Miał głos cieńszy i słabszy, niż zapamiętała Jerusha. – Żegnaj.

– Cześć, Polly. – Usta jej drgały. – Nie zapomnę cię. Zaufaj mi.

– Ufam ci, Tor. – Polrobot uniósł dłoń w geście pożegnania.

– Dobry chłopiec. – Odwróciła się powoli.

Jerusha zauważyła, jak Tor wyciera oczy, wychodząc wraz z nimi z komendy.

Ariennhod zajęła miejsce na grubym stosie białych futer wyścielających stojący na pałacowym dziedzińcu obrzędowy wóz w kształcie łodzi. Spokojnie, z całkowitym opanowaniem wypełniała swą część rytuału, nie traciła zachowywanej przez niemal sto pięćdziesiąt lat królewskiej postawy. Pozdrowienia i złożyczenia zgromadzonych Letniaków przyjmowała za równie nieuniknione co śmierć; rozlegały się też smutne zawrozenia rozpaczonych Zimaków. Ich zmieszane głosy przypominały jęki głodnej Otchłani, na której dnie leżało oczekujące Morze... takie samo oczekuje teraz. Wreszcie zaspokoi swój głód.

Starbuck wcześniej już zasiadł na srebrzystych futrach, w masce i czarnym dworskim stroju wyglądał jak posąg z obsydianu. Zdziwiła się, że znalazł się tam przed nią. *Kochany, byłeś zawsze taki niecierpliwy, ale nie spodziewałam się, że również tego nie będziesz mógł się doczekać.* Poczwała, jak w jej wnętrzu kapnęła zimna, ciężka kropla. *Boja nie. Wcale.*

– Dzień dobry, Starbucku. Mam nadzieję, że dobrze spałeś.

Odwrócił twarz, gdy spróbowała spojrzeć mu w oczy, i nic nie powiedział.

– Uważasz więc, że nigdy mi nie przebacysz? Nigdy, to bardzo długo, Sparksie. A na tyle właśnie zostaniemy razem. – Objęła go miłośnie i poczuła, jak drży czy się wzdryga. Wydało się jej, że okryte grubą tkaniną i skórą ramiona są szersze, niż pamiętała. *To tylko chłopiec, o sile mężczyzny... i jego słabości.*

*Przynajmniej na zawsze pozostaniesz młody,* pomyślała, próbując jeszcze raz uwierzyć, tak jak wierzyła kiedyś, że woli umrzeć, niż żyć w świecie, w którym byłaby biedna, chora i stara...

Wokół wozu zebrała się eskorta z zimackich dostojników, wszyscy byli odziani w luźne białe szaty, nosili bezkształtne białe maski z równie białymi wizerunkami totemów ich rodów. Kilku z nich chwyciło za postronki, by pociągnąć wóz, sprowadzić go z góry; cała reszta, niosąc cenne pozaziemskie przedmioty, osłoniła pojazd ludzkim murem, przynajmniej częściowo broniąc Ariennhod przed wzrokiem, zniwagami, a nawet niekiedy odpadkami rzucanymi przez Letniaków, tłoczących się wzdłuż całej drogi. Obecność dostojników, ich godna służących praca, była zarówno zaszczytem, jak i rodzajem kary.

Ułożyła fałdy swego zabytkowego pierzastego płaszcza, roztapiającego się w bieli futer; tego samego, który zakładała przy wszystkich uroczystościach, który nosiła przez półtora wieku przy każdym pojedynku o tytuł Starbucka. Pod nim miała tylko prostą białą suknię. Biel, kolor Zimy i żałoby. Włosy jak welon opadały jej swobodnie na plecy, skrzyły się wśród nich diamenty i szafiry. Nie nosiła żadnej maski – tylko ona jedna miała odsłoniętą twarz – tak iż wszyscy wiedzieli na pewno, że jest Królową Śniegu.

*Jestem Królową Śniegu.* Patrzyła na mijane po raz ostami bogato ozdobione rezydencje szlachty; wyobrażała je sobie odarte z pozaziemskiej elegancji; wspominała lojalną służbę, jakiej nie szczędzili jej ich liczni mieszkańcy, którzy przez te lata byli jej dworzanami. *I pełnią ją nawet dzisiaj.* Patrzyła na boki na swój orszak, słuchała cichej pozaziemskiej pieśni, którą śpiewali, by uczyć ją i zagłuszyć tłum. Garść zamaskowanej gwardii honorowej była niemal równie stara co ona – choć ich młodość była trochę gorzej zachowana. Stale potwierdzali swą wierność i użyteczność i zawsze otrzymywali za to nagrodę, podczas gdy mniej pożyteczni i gięty starzeli się i zostawali zsyłani na wieś. Wiedziała, że ich dzisiejszy żal jest szczery, podobnie jak wszystkich lamentujących, płaczących Zimaków – i jak wszyscy Zimacy, rozpaczali głównie nad sobą. Byli jednak tylko ludźmi. Ale tak naprawdę nie było pośród nich ani jednego, którego odejścia by żałowała; wielu lubiła czy nawet szanowała, ale do żadnego nie czuła osobiście nic cieplejszego od zadurzenia, które przeżyła

bardzo dawno temu. Tylko jednego człowieka naprawdę kochała w życiu – a jego nie zostawia. Położyła dłoń na okrytym oponczą kolanie Starbucka, odsunął ją, nim opadła. Po chwili jednak, jakby w przeprosinach, sam objął ją pod płaszczem. Uśmiechała się, polci na futrach nie wylądował łeb ryby.

Znaleźli się już na skraju Labiryntu. *Czy to miasto jest naprawdę takie małe?* Spojrzała na zaśmiecone boczne aleje, w ich wylotach kłębiły się tłumy; patrzyły na nią nic nie widzące oczy pustych wystaw sklepowych. Widzi to wszystko po raz ostatni... wspomniała nagle, jak ujrzała je po raz pierwszy, każdy widok był wtedy doskonały i nowy, jak chodzenie po świeżo spadłym śniegu. Pierwszy i ostatni raz są tym samym, nie mają nic wspólnego z wszystkimi niezliczonymi zdarzeniami zaszły mi między nimi.

I dosłownie miały z sobą wiele wspólnego – świętujące tłumy, porzucone, opustoszałe budynki. Ale gdy po raz pierwszy ujrzała Krwawnik, był koniec panowania Lata. Przybyła tu z rodzinnej plantacji na pierwsze od stu lat Święto. Chciała zobaczyć powrót pozaziemców i wziąć udział w wyborach nowej Królowej. Choć pochodziła ze szlacheckiego zimackiego rodu, wzrastała pod koniec Lata, a to oznaczało, że bardzo nieznacznie przewyższała kulturą Letniaków. Wszystkie wyroby pozaziemców, które zdają się jej teraz czymś zwyczajnym, dla naiwnej, wiejskiej dziewczyny były równie dziwne i cudowne, co dla każdego Letniaka.

Szybko jednak poznała się na użyteczności darów przywożonych na planetę przez pozaziemców – dziwnych czarów techniki, dziwnych zwyczajów i występków. Dowiedziała się także, czego dysponujący nimi wielcy panowie żądają w zamian od Tiamat i od jego niedoświadczonej władczyni – zaczęła się na własnych błędach uczyć, jak brać bez dawania i dawać bez ulegania, jak wyciskać krew z kamienia. Wzięła swego pierwszego Starbucka, którego obcych rysów już nie pamiętała, którego prawdziwe nazwisko zapomniała dawno temu. Po nim przyszło kilku innych, nim nie znalazła tego jedyne...

Przez cały czas obserwowała także, jak Krwawnik zmieniał się w kwitnący port gwiazdny; z roku na rok coraz lepiej orientowała się w użyteczności techniki, kruchości ludzkich charakterów, poznawała wszechświat w ogólności, a siebie w szczególności. Choćby żyła dziesięć razy dłużej, niż przeciętnie człowiek, to i tak dopiero zaczęłaby opanowywać to, czego można się było nauczyć, a dane jej były tylko dwa żywoty. Mimo to rozumiała w końcu, że ten świat jest przedłużeniem jej ciała, że jego nieśmiertelności nigdy nie osiągnie żaden człowiek. Snuła plany, iż zakończywszy panowanie, zostawi go jako spadek po sobie, by mógł swobodnie rosnąć i nabywać wiedzę.

Lecz nie udało się jej. Nie zdołała zachować klucza do przyszłości Tiamat, nie zdołała przeprowadzić zmienionego planu osobistego nim kierowania, nie zdołała zatrzymać Moon, gdy dziewczyna okazała się być ostatnią nadzieją... Tymczasem zagubiła jakoś nadzieje na własną przyszłość. Kiedyś żyła tak jak Letniacy, ale było to zbyt dawno temu. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, że może się tak cofnąć, nic nie robić, prowadzić znowu życie barbarzyńcy. A gdyby nawet nie pozwoliła Letniakom na zniszczenia wszelkich resztek techniki, jakie znajdą w Krwawniku, to i tak miasto, podobnie jak i cała planeta, przestanie być nawet zamazanym hologramem kwitnącej, międzyplanetarnej przesiadki, jakim było przedtem.

Kiedyś – wierząc niezłomnie, że Moon, jej klon, wcieli się w nią – przekonana była, iż ochoczo odda się na ofiarę. Iż do końca zagra swą tradycyjną rolę, a śmierć okaże się ostatnim z nowych doznań ciała, które doświadczyło już wszystkich, jakie są tylko możliwe. Sądziła, że bez żalu rozstanie się z życiem, bo wraz z nią zginie wszystko to, co знаła.

Gdy jednak straciła Moon i znalazła zamiast niej Sparksa, gdy zaczęła snuć nowe plany opierające się na niej samej, przestała myśleć o końcu. Zapomniała, iż ona i jej kochanek będą

musieli się postarzyć i ciężko pracować nad utrzymaniem przy życiu Zimy i własnego dziedzictwa. Nie, nie zapomniała – zlekceważyła to, skupiając się na większym celu, na większej szansie nieśmiertelności.

Ale teraz – teraz przegrała, ostatecznie, całkowicie. O świcie spotka ją wieczny kres; stanie się jeszcze jednym ogniwem w nieskończonym łańcuchu zapomnianych Królowych, żyjących i umierających nadaremnie. A na taką śmierć nie jest przygotowana! Nie, nie – nie bez zostawienia dziedzictwa! Niech ich diabli, tych cholernych pozaziemców, którzy zniszczyli jej przyszłość, by zapewnić sobie własną. Niech diabli wezmą bezdenną głupotę Letniaków, tych żalonych, śmierdzących idiotów, którzy tak się cieszą, że wyrzycają całą wiedzę... Rozejrzała się na boki, gotując się od bezsilnej wściekłości.

– Czemu się złościysz, Arienrhod? Zrozumiałas wreszcie, że to koniec?

Zamarła i wpatrzyła się w Starbucka. *Kim jesteś?* Ten szept krzyczał głośniejsz w jej myślach niż wszystkie wrzaski tłumu.

– Kim jesteś? Bo nie Starbuckiem! – *Wyrwała się z jego objęć. Sparks – och, bogowie, co z nim zrobiliście?*

– Jestem Starbuckiem. Nie mów, Arienrhod, że już mnie zapomniałaś. – Złapał jej dłoń w żelazny chwyt. – Minęło zaledwie pięć lat. – Odwracał okrytą czarnym hełmem głowę, aż mogła ujrzyć jego oczy, bezlitosne brązowe oczy z długimi ciemnymi rzęsami...

– Herne! – Pokręciła głową. – To niemożliwe, bogowie, nie możecie mi tego zrobić! Ty kulasie, umarlaku, nie możesz być tutaj, nie pozwalam ci! – *Sparks... cholera, gdzie jesteś!* – Powiem im, że nie jesteś właściwym człowiekiem!

– To ich nie obchodzi. – Poczwała, jak się uśmiecha. – Chcą tylko zobaczyć wpadające do morza ciało pozaziemca. Obojętnie, kim jest. Czemu dla ciebie stanowi to różnicę?

– Gdzie on jest? – pytała gorączkowo. – Gdzie Sparks? Co mu zrobiłeś? I dlaczego?

– A więc naprawdę bardzo go kochasz. – Głos Herne'a stwardniał. – Na tyle mocno, że chcesz, by wraz z tobą wszedł do grobu? – Zaśmiał się ponuro. – Ale za mało, by pozwolić mu żyć bez ciebie... albo z twoim drugim ja. Zachłanna aż do końca. Zamieniłem się z nim miejscem, Arienrhod, bo nie kochał cię na tyle, by z tobą umrzeć – inaczej niż ja. – Przycisnął jej rękę do swego czoła. – Arienrhod... należysz do mnie, jesteśmy tacy sami. Różnimy się od tych mięczaków; za mało było w nim mężczyzny, by cię docenić.

Gdy ją puścił, schowała dłonie pod płaszczem.

– Herne, gdybym miała nóż, zabiłabym cię sama! – *Zaduszę cię gołymi rękoma...*

– Rozumiesz, co mam na myśli? – Znowu się roześmiał. – Któż inny oprócz mnie godziłby się wiecznie na coś takiego? Suko, już raz próbowałaś mnie zabić i chciałem, byś dokończyła roboty. Ale tego nie zrobiłaś i teraz zamierzam mieć to, co chciałem, to moja zemsta. Mam cię teraz na zawsze, tylko dla siebie; a jeśli spędzisz to zawsze w nienawiści do mnie – tym lepiej. Jak jednak sama powiedziałaś, kochanie, "zawsze to bardzo długo".

Arienrhod otuliła się płaszczem, zamknęła w sobie, zacisnęła oczy, by nie patrzeć na niego. Ale śpiewy dostojników nie były w stanie zagłuszyć lamentów i szyderstw tłumów; wsączały się przez skórę, dawały jej rozpaczyc zabójczą wagę i wartość.

– Nie chcesz wiedzieć, jak to zrobiłem? Nie chcesz wiedzieć, kto mnie do tego namówił? – Krzyki tłumu odbijały echem drwiący głos Herne'a. Nie odpowiedziała mu, wiedząc, że i tak powie. – Moon. Twój klon, Arienrhod, twoje drugie ja. Zrobiła to – w końcu zabrała go tobie. Jest rzeczywiście twoim klonem... nikt inny nie potrafiłby tak jak ty postawić na swoim.

– Moon. – Arienrhod zacisnęła zęby, nadal miała zamknięte oczy. Po raz pierwszy od

niepamiętnych czasów przstraszyła się, że może publicznie stracić panowanie nad sobą. Nic oprócz tego nie mogło jej załamać – nic, oprócz utraty wszystkiego, co miało dla niej jakieś znaczenie. A jeszcze dowiedzieć się, że ostatni cios padł z jej ręki! *Nie, do diabła, ta dziewczyna nigdy nie była mną – jest obca, jest niewypałem!* Ale obie kochały jego – Sparksa z zielonymi jak lato oczyma, z ognistą czupryną i duszą.

To ułomne odbicie jej własnej duszy nie tylko sprzeciwiło się jej woli, nie tylko umknęło jej przekleństwu, ale i wykradło Sparksa. Zastąpiła go tym... tym... Spojrzała na Herne'a, wbijając paznokcie w ciało. Poczowała powiew morskiego powietrza, byli już w dolnym mieście. Kres jej ziemskiej podróży był na wyciągnięcie ręki. *Proszę, proszę, niech to się tak nie skończy!* Nie wiedziała, kogo prosi – na pewno nie pustych bogów pozaziemców, nie Morze Letniaków... tak, może jednak Morze, które weźmie ofiarę jej życia, obojętne na to, czy wierzy w starą religię, czy też nie. Odkąd została Królową, nigdy nie uznawała żadnej innej mocy poza własną. A ta została jej teraz odebrana. Opadła na nią świadomość swej pełnej bezradności, załapała jak zimne wody morza...

Procesja osiągnęła ostatni skłon początku Ulicy i zaczęła schodzić na szeroką rampę prowadzącą do leżącego w dole portu. Wszechobecna masa ludzi tłoczyła się tu jeszcze mocniej, tworzyła zbity mur ciał, ścianę twarzy groteskowych zwierząt. Okrzyki radości i żalu wzbily się z dołu na powitanie nadjeżdżającego wozu, odbijając się echem w ogromnej morskiej grocie. Otoczyło ich wilgotne, chłodne powietrze świata zewnętrznego. Arienrhod dygotała skrycie pod maską dumy na twarzy.

Przed i pod sobą widziała obite czerwonymi draperiami podwyższenia na samym końcu nabrzeża, stopnie pełne pozaziemskich dostojników i wpływowych przedstawicieli letniackich rodów. Na estradzie zapewniającej najlepszy widok ujrzała Premiera w otoczeniu członków Rady – już bez masek, jakby uczestnictwo w tym pogańskim obrzędzie było poniżej ich godności, wypatrywali, jak nadjeżdża. Zobaczywszy ich, doznała migotliwego deja vu. Widziała już kiedyś tę scenę, kilkakrotnie, lecz tylko raz tak jak teraz; dawno temu, gdy jako nowa Królowa stała na nabrzeżu i patrzyła na odpływającą ostatnią z Królowych Lata – gdy triumfalnie wysyłała do zimnej wody swą poprzedniczkę.

Wszystkie inne razy, pozostałe świąteczne korowody, były jedynie próbami przed następną Zmianą, tą właśnie. Zgodnie z tymi samymi starożytnymi regułami dokonywano wyboru Królowej Dnia, panującej podczas Nocy Masek i o świcie udającej się w tą podróż. Wydała jednak rozkaz, by morze otrzymywało w ofierze jedynie parę kukieł, a nie ludzi.

Przez wszystkie te Święta, od długich lat, niezmienni jak sam obrzęd pozostawali tylko ona i członkowie Rady. Teraz jednak ujrzą kres jej i wszystkich czynionych przez nią wysiłków wyzwolenia się od nich. Sami będą żyć nadal, podobnie jak przetrwa wiecznie symbolizowany przez nich system. Zacisnęła dłonie na miękkiej tkaninie sukni. *Gdybym tylko mogła zabrać ich wszystkich ze sobą!* Ale było za późno, za późno na cokolwiek.

Zobaczyła wreszcie Królową Lata stojącą na nabrzeżu w wolnej przestrzeni między opatulonymi w czerwień podwyższeniami. Pod nią pluskała woda barwy goryczy. Miała przepiękną maskę, której widok wzbudził w sercu Arienrhod niechętny podziw. *Ale to dzieło Zimaczki.* A kto wie, jaką wiejską, nie zasługującą na taki zaszczyt twarz wyspiarki kryje; jakie krępe, chłopskie ciało i tępy umysł otula błyszcząca siatka na ryby z zielonego jedwabiu. Poczowała, jak przewraca się jej żołądek na myśl o zajmującym jej miejsce takim cielem i umyśle.

Obok siedział cicho Herne, równie milczący co ona. Zastanowiła się, o czym myśli na widok oczekującej elity swej ojczystej planety, oczekującego morza. Nie potrafiła odgadnąć, jaką minę kryje jego maska. *Do diabła z nim.* Modliła się, by załował teraz swego samobójczego impulsu; by

poczuł choćby cząstkę rozpaczy i żalu doznawaną przez nią, gdy stała na szczątkach dążeń swego życia. *Niech śmierć okaże się zapomnieniem! Gdybym miała ją przetrwać z tym symbolem mych klęsk, byłoby to gorsze od wziętych razem wszystkich piekieł tych przeklętych pozaziemców!*

Wóz podjechał, jak mógł najdalej, w wolną przestrzeń na końcu nabrzeża. Eskorta dostojników zwolniła, stanęła i wypuściła liny. Trzy razy okrążyli pojazd, wrzucając na jego tył pozaziemskie ofiary i żegnając Zimę swą ostatnią pieśnią. W końcu pokłonili się przed Arienrhod i zaczęli odchodzić od wozu, zagłuszając płaczami i lamentami krzyki tłumu. Niektórzy, mijając ją, po raz ostatni przyciskali do ust rąbek jej szaty. Paru odważyło się nawet dotknąć jej dłoni – ci najstarsi, stojący przy niej wiernie od półtora wieku – nagle, niespodziewanie, głęboko przejął ją ich żal.

Ich miejsce zajęli Letniacy, także zamaskowani, także śpiewający, lecz pean ku czci nadchodzących złotych dni. Zmusiła swe uszy, by ich nie słyszały. Oni również okrążyli wóz trzykrotnie, wrzucając do niego swoje ofiary – chrześzczące, prymitywne naszyjniki z muszel i kamieni, barwne pływaki rybackie, gałązki ze zwiędłymi liśćmi.

Gdy skończyli swą pieśń, wśród oczekujących tłumów zapadła głucha cisza. Usłyszała w niej wyraźnie skrzywienie i jęczenie pracujących belek, uświadomiła sobie obecność pokrywających powierzchnię wody licznych obcych statków; tworzyły niemal nieprzerwaną płaszczyznę z drewna, płócien i dźwięczącego metalu. Krwawnik wisiał nad nimi jak nadchodząca burza, ale tu, na samym końcu podbrzusza miasta, mogła wyrzeć poza jego cień, zobaczyć przestwór szarozielonego, otwartego morza. *Bezkresne... wieczne... cóż dziwnego, że je czcimy?* Przypomniała sobie, że kiedyś, w bardzo odległych czasach, nawet ona wierzyła w Morze.

Między nią i widok morza wsunęła się maska Królowej Lata, która weszła między liny wozu.

– Wasza Wysokość. – Królowa Lata pokłoniła się przed Arienrhod, która zrozumiała, że aż do śmierci jest władczynią. – Przybyłaś. – Głos był dziwnie niepewny i dziwnie znajomy.

Kiwnęła głową z królewską wyniosłością, panując znowu nad jedyną rzeczą, która pozostała w jej władzy.

– Tak – odparła zgodnie z rytuałem. – Przybyłam, by się zmienić. Jestem wcieleniem Morza; jak zmieniają się przyływy i pory roku, tak muszę i ja. Skończył się czas Zimy... śnieg topnieje na powierzchni Morza, rodzą się z niego łagodne deszcze. – Jej głos brzmiał niesamowicie w tej jaskini. Ukryte kamery zapisywały obrzęd, jego obraz i dźwięk docierał na ekrany w całym mieście.

– Lato następuje po Zimie jak noc po dniu – wyrecytowała Królowa Lata. – Morze styka się z lądem. Spotykające się połowy tworzą całość; któż może je rozdzielić? Kto może zająć ich miejsce czy czas, gdy ten nadejdzie? Narodziły się z mocy większej od każdej innej – ich prawda jest powszechna! – Królowa Lata uniosła ramiona w stronę tłumu.

Arienrhod poczuła lekkie zaskoczenie. Nigdy nie powiedziała ostatniego wersetu, nigdy go nie słyszała. Tłumy zamruczały, coś je niepokoiło.

– Kto przybywa z tobą, by się zmienić?

– Mój ukochany – odparła, starając się mówić równym głosem – którego ciało jest jak ziemia, zaślubiona z Morzem. Połączeni pod niebem, nigdy się nie rozstaniemy. – Zimny wiatr zapiekł ją w oczy. Herne nic nie mówił, nic nie robił, czekał z właściwym sobie stoicyzmem.

– A więc niech tak będzie. – Kobiecie załamał się głos. Wyciągnęła ręce, a dwaj stojący obok Letniacy położyli na ziemi miseczki z ciemną cieczą. Królowa Lata podała jedną Herne'owi; wziął ją chętnie. Drugą ofiarowała Arienrhod. – Czy chcesz wypić łaskę Pani?

Arienrhod poczuła, jak sztywniejają jej usta, w końcu powiedziała – Tak. – Czarki zawierały silny narkotyk, który stłumi jej strach i świadomość tego, co nastąpi. Obok Herne odchylił czarną maskę i z grymasem uniosł napój do ust. Arienrhod podniosła swój. Zawsze zamierzała odmówić

przyjęcia go; nie zgodzić się na osłabienie doznawania chwili swego wielkiego triumfu. Teraz jednak pragnęła zapomnienia. – Za Panią. – Poczwała ostry aromat ziół, w usta zapiekła ją odrętwiająca gorycz. Przełknęła napitek paraliżujący gardło, powtórzyła to, a trzeci łyk był bez smaku, jak woda.

Gdy wypięła wszystko i zwróciła czarę, ujrzała Letniaków nadchodzących z linami, którymi przywiążą ich do wozu i do siebie. Przerazenie ścisnęło jej piers, strach zaćmił oczy. *Oszołom mnie, na miłość bogów!* modliła się o szybsze nadejście odrętwienia. Herne niemal się szarpnął, gdy Letniacy położyli na nim ręce; zobaczyła, jak napięły się i stwardniały jego mięśnie, nim słabość nie zwyciężyła siły. Siedziała całkowicie bez ruchu, pozwalając potulnie, by Letniacy spętali jej ręce i nogi, przywiązali ją mocno do Herne'a i przymocowali liny do wozu. Choć miał on kształt łodzi o zaokrąglonym dziobie, to wiedziała, że w dole, pod stosami futer i ofiar, jest dziurawy jak sito i że zatonię niemal natychmiast. Nie mogła powstrzymać dłoni przed szarpaniem się z więzami ani ciała od odsuwania się od Herne'a. Zwrócił ku niej zamaskowaną twarz, lecz na nią nie spojrzęła.

Królowa Lata znowu stanęła przed nimi, lecz zwrócona przodem do wody, odmawiała ostatnią Inwokację do Morza. Gdy skończyła, tłum znów zamarł w milczeniu, tym razem milczeniu oczekiwania. Teraz, w każdej chwili może dać znak. Arienrhod poczuła, jak senne odrętwienie zaczyna pełznąć jej nogami, wzdłuż kręgosłupa, lecz myśli ciągle miała jasne. Czy tak miało być? W końcu ciało zbyt jej znieruchomiało, by ją zdradzić, dało dostojęństwo śmierci czy chciała tego, czy nie.

Ale Królowa Lata, zamiast się usunąć w bok, znowu zwróciła się do niej.

– Wasza Wysokość. – W stłumionym głosie wyczuła napięcie. – Czy... chcesz przed śmiercią spojrzeć na twarz Królowej Lata?

Arienrhod popatrzyła na nią ze zdumieniem, wyczuła, że to samo czyni Herne. Według tradycji nowa Królowa nie powinna zdejmować maski, odgradzającej ją od grzechów, dopóki poprzednia nie zniknie w morzu. Robi to dopiero wtedy, dając znak tłumowi, że ma iść w jej ślady. Ale ta kobieta wcześniej już zboczyła ze ścieżki rytuału. *Czy jest aż taka głupia?* A może kryje się za tym coś innego?

– Tak, chciałabym ujrzeć twą twarz – mruknęła, wyduszając z trudem słowa zdrętwiałymi wargami.

Królowa Lata podeszła bliżej do wozu, tak by tłum nie mógł jej dobrze widzieć. Powoli uniosła ręce do maski i zdjęła ją z głowy.

Wypadła spod niej kaskada srebrzystych włosów. Arienrhod wpatrywała się w odsłoniętą twarz. Przyglądał się jej również krąg otaczających wóz Letniaków. Słyszała, jak mruczą z niezmiernym zdumieniem na widok tego, co ujrzała i ona... na widok twarzy dokładnie takiej samej jak jej.

– Moon... – ledwo zdołała zdradzić się szeptem. Ciało jej tkwiło w całkowitym bezruchu, jakby nie widziała niczego nadzwyczajnego, niczego niezwykłego, niewiarygodnego, niemożliwego. *Nie na marne. Nie pójdzie na marne!*

– Bogowie – wymamrotał niewyraźnie Herne. – Jak? Jak to zrobiłaś, Arienrhod?

Uśmiechnęła się tylko.

Moon odrzuciła włosy, odpowiedziała na uśmiech własnym, pełnym wybaczenia, buntu i współczucia.

– Nadeszła Zmiana... dzięki tobie, wbrew tobie, Wasza Wysokość. – Znowu opuściła maskę na twarz.

Letniacy wokół wozu odsunęli się, patrzyli na twarze obu królowych, ich własne wyrażały coś pośredniego między zdumieniem a strachem.

– Królowa! Obie są Królową... – *to znak, wróżba*. Na gardle Moon widać było wyraźnie tatuaż sybilli; wskazywali na niego, coś mrużąc.

Herne z trudem zachichotał.

– Tajemnica się wydała... nareszcie. Była na innej planecie; dowiedziała się, kim jest.

– Co? Co, Herne? – Syknęła, usiłując skrócić głowę.

– Sybille są wszędzie! Nigdy się o tym nie dowiedziałaś; nigdy nawet nie podejrzewałaś. Tak samo jak te wypchane kukły. – Zerknął w stronę stojących na podwyższeniach pozaziemców. Zadławił się zduszonym śmiechem.

*Sybille są wszędzie?... Czy to możliwe? Nie, to niesprawiedliwe, tak mało jeszcze wie!* Zamknęła oczy, nie mogąc się skupić na spoglądaniu w głąb siebie. *Ale nie poszło to na marne.*

Chór jęków i złorzeczeń zaczął znowu ich ponaglać, nieuniknienie jak sama zmiana czekał niecierpliwie na ofiarę. Cały żal przepelniający tłum, cała jego wina, wrogość, niechęć i lęk zalewały teraz kruchą łódź, bezsilne postacie Arienrhod i Herne'a, by utonąć wraz z nimi w szczytowym momencie obrzędu. Królowa Śniegu nie unikała już zetknięcia się ciała jej i Heme'a, wdzięczna wreszcie, że ktoś dzieli z nią wyrok, ostatnie chwile... przejście gdzie indziej. Widziała zbyt wiele wizji niebios i piekieł, by wśród nich wybrać. *Mam nadzieję, że trafimy do własnych.*

Po raz ostatni spojrzała na świat i zobaczyła Moon stojącą z boku wozu. Ciało miała bardzo napięte, jakby składała nieodwołalną przysięgę, jakiej nigdy nie będzie mogła cofnąć. *Czemu to ją boli? Cieszyłabym się...* Nie mogła sobie przypomnieć, dlaczego by się cieszyła ani nawet czy rzeczywiście. Po raz ostatni wysiliła umysł, by coś powiedzieć, nim Moon wypowie nieuchronne słowa.

– Mój ludzie... – Jej głos niemal utonął w krzykach tłumu. – Zima minęła! Bądźcie posłuszni nowej Królowej... jak bylibyście własnej. Teraz jest waszą. – Opuściła głowę, spojrzała w oczy Moon. – Gdzie... on?

Moon lekko, niemal niechętnie zwróciła głowę, spełniając ostatnią prośbę swej klonowej matki. Arienrhod podążyła za jej wzrokiem i ujrzała Sparksa stojącego wśród uhonorowanych Letniaków, obok pustego miejsca na podwyższeniu, należącego do Królowej Lata. Tkwił tam jednak z zamkniętymi oczami, jakby nie chciał patrzeć na ostateczne pożegnanie; albo bał się, że spojrzy na niego po raz ostatni... *Czuje... czuł*. Spojrzała znowu na Moon. *Oboje czuli*. W tej chwili opanowało ją nieskończone zadziwienie, wieczne zmieszanie obojętnością życia na słusność czy sprawiedliwość.

Gdy znowu zwróciła głowę, czekało na nią płonące spojrzenie Herne'a – wiedział, o kim myślała w tej ostatniej chwili.

– Na zawsze... Herne.

Nieznacznie pokręcił głową.

– Jesteśmy na zawsze. Teraz. Jak śmierć. Życie... nie trwa.

– Żyjemy, póki ktoś o nas pamięta. A oni nigdy mnie teraz nie zapomną... – Bo zastąpiło ją jej wcielenie. Nie chciała teraz wrócić wzrokiem do Moon ani do Sparksa. *Nigdy nie wracaj*.

Moon wyciągnęła ręce w stronę Morza, krzycząc jak mewa w sztormie wyczekującego tłumu.

– Pani Morza, Matko nas wszystkich, przyjmij nasz dar i odpłać się po dziewięciokroć, przyjmij nasze grzechy i daj nam oczyszczenie, przyjmij duszę Zimy i pozwól się jej... odrodzić. – Nieznacznie zadrżała. – Niech do Lata przybędzie wiosna!

Arienrhod poczuła szarpnięcie wozu popchniętego przez Letniaków, patrzyła na zbliżającą się oleistą powierzchnię wody. Była pełnia przypływu, morze leżało tuż pod krawędzią nabrzeża niby krzywe zwierciadło. *Niech się stanie. Nie poszło na marne*. Wrzaski i jęki tłumu były hymnem



czczącym przyszłość, wysławiającym jej pamięć. Wóz zaczął się pod nią przekrzywiać; wychyliła się do przodu, patrząc na własne odbicie, gdy się zanurzała...

Moon zobaczyła, jak wóz uderza w wodę, zanurza się i wypływa; usłyszała to, poczuła jak wstrząs wibruje w jej kościach. Wstrętne ryki tłumu ciągnęły się bez końca. Niezdarna łódź odpływała od nabrzeża, zagłębiając się coraz bardziej, obracając powoli, aż Moon ujrzała zasłoniętą twarz Starbucka i oblicze Królowej Śniegu, Arienrhod... własne; pogodna od oszołomienia narkotykami, przywiązana była do swego bezsilnego kochanka w groteskowej parodii objęcia. Wypełniająca się wodą łódka zaczęła krążyć coraz szybciej. Moon próbowała zamknąć oczy, lecz nie mogła ich oderwać od przyciągającego hipnotycznie tańca śmierci na wodzie. Przypomniała sobie własną próbę w morzu, przypomniała wszystko, co ją tu sprowadziło, każdą ofiarę po kolei. I ciągle nie mogła odwrócić wzroku...

Łódź przechyliła się nagle, gdy twarze były znowu zwrócone w stronę tłumów, i w mgnieniu oka zniknęła. Moon ciągle wpatrywała się w wodę, lecz na próżno. Powierzchnia morza falowała niezakłócenie, jedynie unoszące się gałązki świadczyły, iż Pani przyjęła ofiary swego ludu. Wrzaski tłumu przypominały sztorm, jaskinia pod miastem drżała. Moon przyglądała się leniwemu ruchowi fal, sama stała, kołysząc się płynnie i tajemniczo jak Morze.

Jeden z Letniaków podszedł do niej wreszcie, dotknął niepewnie ramienia. Moon wzdrygnęła się i ocknęła.

– Pani? – Skłonił się, gdy odwróciła się w końcu. Letniacy uważali, że ich Królowa jest wcieleniem Matki Morza, i nie używali sztucznych, pozaziemskich tytułów.

– Zdjęcie masek...

– Wiem. – Kiwnęła głową, oglądając się ciągle przez ramię na morze. Szczęśliwej podróży, pomyślnego dobiecia do portu. Odeszła od skraju nabrzeża, spojrzała znowu w oczy tłumu. *“Pani”... jestem Królową.*

– Królowa... Królowa... Królowa nie żyje. Niech żyje Królowa! – Krzyki Letniaków rozbrzmiewały w jej duszy jak szyderstwo.

Uniosła ręce do maski, dłonie miała wilgotne i zimne jak przebiegający podbrzusze miasta wiatr.

– Mój ludzie... – Poczła, jak jej ciało opiera się przed odsłonięciem twarzy; nagle uświadomiła sobie z niepokojem niebezpieczeństwo wyzierające z oczu otaczających ją na nabrzeżu Letniaków. Teraz jej podobieństwo do Arienrhod stanie się oczywiste dla wszystkich – a zwłaszcza dla pozaziemców. Jeśli choćby podejrzę wali prawdę... Pokręciła głową, wyrzuciła z siebie resztę słów, jakie musiała powiedzieć oczekującemu tłumowi:

– Zima minęła, nadeszło wreszcie Lato. Pani przyjęła naszą ofiarę i odplaci się po dziewięciokroć. Umarło poprzednie życie – odrzućcie je, jak znoszoną maskę, jak zbyt ciasną muszlę. Radujcie się i przystąpcie do nowego początku! – Uniosła maskę nad głowę.

W tym momencie wszystkie tłumy – Zimaków, Letniaków, a nawet pozaziemców – złączyły się w jeden krzyczący radośnie i rozbrzmiewający szumem niezliczonych masek, zrywanych z niezliczonych głów, odsłaniający twarze wolne już od wszystkich poprzednich smutków, grzechów i strachów. Wesołość i pochwały zgromadzonych wyniosły ją wysoko, zalały jej duszę. *Ten świat będzie wolny!*

Gdy jednak wypowiedziała te słowa z uniesioną wysoko maską, głosy tłumu uległy zmianie; olbrzymia grotka drżała od krzyków ludzi widzących rzecz niezrozumiałą, ale też niezaprzeczną...

– Arienrhod... Arienrhod! – Moon poczuła, jak Letniaków opanowuje przesąd, jak wśród zgromadzonych niby paranoja szerzy się niedowierzanie, wyobraziła sobie, jak wypełnia całe miasto.

Wiedziała, że musi przerwać to natychmiast – nim utraci wszystko, zanim cokolwiek obejmie. *Jak... jak mam ich powstrzymać?* Powtarzała to jak modlitwę, przyciskając dłoń do znaku na gardle. Do znaku sybilli...

– Ludzie Tiamat, dzieci Morza! – Wyprostowała się, szarpnęła za kołnierz szaty, odsłaniając wytatuowaną koniczynkę. – Jestem sybillą! Patrzcie na mój znak – służę Pani wiernie i ufnie. Nazywam się Moon Dawntreader Letniaczka i będę czynić to samo jako wasza Królowa. Mówi przeze mnie źródło wszelkiej mądrości, ale tylko do was. Pytajcie, a odpowiem, nigdy fałszywie.

Szum opadł, cichł wraz ze swym echem; oczy wszystkich w mieście spoczywały na jej gardle, bezpośrednio lub poprzez któryś z ekranów. Zimacy umilkli z niepewności, Letniacy z szacunku na widok niezaprzecznego dowodu przemiany ich Królowej, symbolu jej odrodzenia i świętości. Kącikiem oka Moon dostrzegała dziwne spojrzenia wymieniane przez pozaziemskich dostojników stojących na podwyższeniach, patrzących na ten znak poniżej takiej twarzy...

Przypatrując się dalej z zapartym tchem, dostrzegła, jak spojrzenia rozpadają się w naturalną mnogość uczuć – pełne zgrozy zdumienie, fascynację, niesmak wywołany całym wydarzeniem... lecz także przeciągający się niepokój i niepewność. Nigdzie u pozaziemców nie dostrzegała śladu poczucia winy, szacunku czy rzeczywistego rozumienia oglądanej sceny. *Następnym razem – następnym razem stojący tam dostrzegą te rzeczy.*

Pozwoliła błąkać się swym oczom, aż trafiły do własnego miejsca pomiędzy starszyzną Letniaków. Sparks stał tam, gdzie powinien tkwić jej małżonek; jego płomienne włosy były jak latarnia morska... twarz miał napiętą jak naciągnięty łuk. W milczeniu stanęła obok niego, oderwała wzrok od tłumu, patrząc znowu na gałązki unoszące się na morzu. Tłum ciągle czekał, mrużąc z niepewności.

– Pani, spodziewają się, że im coś powiesz. – Nachyliła się nad nią jedna z kierujących obrzędem Goodventure. Wyczuwała, że mgła niepokoju otula i Letniaków.

Kiwnęła głową, zastanawiając się, tak jak czyniła to podczas usypiających myśli pieśni i uroczystości Nocy Masek, jakich słów ma użyć, by zdobyć posłuch u swego ludu. Jak może zmienić tak wiele, nie tracąc ich zaufania? Ale takie słowa muszą gdzieś być...

I przypląnęły do niej teraz, nie od dziwnego strażnika jej umysłu, lecz z siły własnych uczuć.

– Ludzie Tiamat, Pani raz już mnie pobłogosławiła, dając kogoś, z kim mogę dzielić życie. – Spojrzała na stojącego obok Sparksa, wzięła go za rękę, chłodną i bezsilną. – Pobłogosławiła po raz drugi, czyniąc mnie sybillą, a raz trzeci, dając mi maskę Królowej. Od wczoraj długo rozmyślałam nad swym przeznaczeniem i tym światem, który zamieszkujemy wszyscy razem. Modliłam się, by ukazała mi, jak mam spełniać Jej wolę i być Jej żywym symbolem. I wysłuchała mnie. – *W sposób, o którym nigdy nawet nie śniłam.* Moon spojrzała na morze, na tajemnicę skrytą pod jego ciemnymi wodami.

– Wiem, że jest powód, dla którego ukazała się wam jako sybillą, w mojej osobie. Nie znam jeszcze pełnego wzoru zamierzonej przez nią przyszłości, ale wiem, że aby go spełnić, potrzebna mi będzie pomoc – pomoc was wszystkich, a zwłaszcza innych sybilli. Lato przybyło do Krwawnika i miasto nie jest już dłużej zamknięte dla sybilli – należą one do niego bardziej niż ktokolwiek inny, bardziej niż możecie wiedzieć! Wyspiarze, po powrocie do domu poproście swe sybille, by jeśli mogą, przybyły tutaj – by mogły się ze mną spotkać i poznać swą rolę we wzorze przyszłości.

Przerwała, aby słyszeć szepty tłumu, starała się wyczuć, czy akceptują ją i jej słowa. Zerknęła na Letniaków stojących obok, z ulgą stwierdziła, że patrzą na nią z dobrotliwym zdziwieniem. Wiedziała instynktownie, że Zimakom się to nie spodoba, znała z pierwszej ręki ich lęki i kpiny. Musi im coś dać, zapewnić miejsce w przyszłości. Spojrzała ponownie na czekających

pozaziemców, wiedząc o ryzyku wiążącym się z takim ofiarowaniem, o konieczności zachowania chwiejnej równowagi, dopóki nie opuszczą całkowicie tego świata.

– Choćbyście uznali, że zbaczam z tradycyjnych mielizn Królowej Lata i wypływam na nieznane mapom głębiny, nie przestawajcie mi ufać. Nie zapominajcie, że jestem wybranką Pani i że wypełniam jedynie Jej wolę... – Wreszcie mogła się uspokoić, wiedząc, iż mówi prawdę. – Ona jest moim pilotem, wytycza mi kurs, kierując się dziwnymi gwiazdami. – Dziwniejszymi od tych, które świecą nad nami. Znowu spojrzała na pozaziemców. – Moim pierwszym rozkazem jako waszej nowej Królowej... – Zaszumiało jej w głowie od świadomości władzy, jaką może mieć – jest zezwolenie, by pozaziemskie przedmioty Zimaków nie zostały wrzucone do morza. Wysłuchajcie mnie! – krzyknęła, obawiając się, że tłum może ją zatopić. – Rzeczy zrobione przez pozaziemców kalają wody, wypełniają morze brudem. Pani wymaga od każdego Zimaka trzech rzeczy – i Zimacy sami wybiorą, co jej ofiarują. Czas... czas zajmie się resztą! – Przygotowała się na stawienie czoła wściekłości Letniaków.

Usłyszała jednak tylko niknące szybko pomruki niezadowolenia, gdzieś rozległ się śmiech czy oklaski zdumionego Zimaka. Moon odetchnęła głęboko, nie ośmielając się uwierzyć, że – *Ufają mi! Posłuchają; zrobią, cokolwiek im powiem...* Zrozumiała wreszcie to, co wiedziała Arienrhod, że władza, jak ogień, łatwo wrywa się z wszelkich ograniczeń i niszczy to, czego miała strzec. Zacisnęła dłonie na poręczy.

– Dziękuję ci, mój ludzie. – Pochyliła przed nimi głowę.

Letniacy na podwyższeniu otoczyli ją z obojętną rezygnacją, lecz Sparks, odkąd wyczuł w niej moc, przyglądał się jej jak kot, podejrzliwie i niepewnie.

Odwróciła się szybko, starając zachować spokojną minę, choć widziała, jak Premier osobiście ruszył ku nim, by oficjalnie uznać jej władzę, złożyć pełen hipokryzji hołd jednego malowanego władcy wobec drugiego. Patrząc, jak schodzi ze swego podwyższenia, dostrzegła między członkami Rady pierwszego sekretarza Sirusa, przyglądającego się jej podejrzliwie, ze złymi przeczuciami. Szturchnęła Sparksa, wskazała mu ojca; zobaczyła, jak niepewnie odpowiada na jego nagły uśmiech. Sparks w milczeniu spuścił oczy, gdy zaczął przemawiać jego dziadek, Premier.

Mowy Premiera, głównego sędziego Tiamat i kilku innych dostojników, o których nigdy nawet nie słyszała, były krótkie i życzliwe. Stała cierpliwie, wysłuchując ich wszystkich, odgradzona od ich pychy swą tajemną wiedzą, dostrzegając na każdej twarzy podejrzliwość i brak zaufania, wywołane jej słowami skierowanymi do tłumu. Główny Sędzia przyglądał się jej zbyt długo i zbyt badawczo; lecz tak jak inni, przekazywał ustami jedynie gratulacje, pochwały tradycji i obrzędu, spychającego gładko jej lud w otchłanie niewiedzy. Napomniął ją, by zbyt mocno nie zbacziała ze ścieżki tradycji, by nie zapomniała o możliwych tego skutkach. Odpowiedziała mu uśmiechem.

Gdy odszedł przed jej oblicza, ujrzała podchodzącego ostatniego z hołdowników, spostrzegła, że jest nim komendant policji. Zauważyła też, że gdy PalaThion mijają głównego sędziego, wymienili w milczeniu spojrzenia, zobaczyła pustkę w oczach zbliżającej się Jerushy.

– Wasza Wysokość. – PalaThion zasalutowała jej z regulaminową dokładnością, pustka zaostrzyła się i rozjaśniła, gdy ujrzała ją nad sobą, opartą o pokrytą czerwonym materiałem poręcz. – Gratuluję wam. – Niestosowność podkreślała każde jej słowo.

Moon uśmiechnęła się szerzej.

– Dziękuję wam, komendancie. Jestem równie jak wy zaskoczona, że tu stoję. – Poczła nagłe zakłopotanie, jakby przez jej usta przemawiał ktoś inny.

– Bardzo w to wątpię, Wasza Wysokość. Ale kto wie...? – PalaThion nieznacznie wzruszyła ramionami. Wzmocniła głos.

– Uznanie waszej władzy jako Królowej Lata kończy me obowiązki tutaj, Wasza Wysokość, jak też odpowiedzialność policji za wszystko, co dzieje się na Tiamat. A także na sto lat, do następnej Zmiany, wszelkie oficjalne panowanie Hegemonii. Od tej chwili odpowiedzialność za zachowanie porządku spada na was.

Moon kiwnęła głową.

– Wiem, komendancie. Dziękuję wam za służbę dla mego ludu... a zwłaszcza dla Letniaków, za uchronienie ich od... od zarazy. Nie jestem w stanie odpłacić się wam za tę przysługę... – *za dwie przysługi*, pomyślała, opierając się o barierkę.

PalaThion opuściła wzrok i znowu uniosła.

– Wasza Wysokość, wypełniałam jedynie mój obowiązek. – Ale na jej twarzy odczytać można było zaskakującą wdzięczność.

– Tiamat żałuje, iż traci w was prawdziwego przyjaciela, tak samo ja. Nie mamy ich zbyt wielu w galaktyce, a potrzebujemy wszystkich.

PalaThion uśmiechnęła się przelotnie.

– Przyjaciół można znaleźć w najmniej spodziewanych miejscach, Wasza Wysokość... Ale niekiedy przekonujemy się o tym, gdy jest już za późno. To samo odnosi się do wrogów. – Zniżyła głos. – Moon, stąpaj ostrożnie, póki ostatni statek nie odleci z portu gwiazdowego. Nie próbuj już dzisiaj przywoływać przyszłości. Zastanawiają się nad tobą nie tylko twoi poddani. Już znalazłabyś się w celi, gdyby główny sędzia nie miał świadomości, iż wywołałoby to powstanie... Jedynym powodem, dla którego upiekło ci się zmienienie obrzędu, jest to, że niczego to nie zmienia.

Moon zamrugła, na czerwonej tkaninie zbieleły jej dłonie.

– Co macie na myśli?

– Hega ma swe sposoby rozprawiania się z gromadzącymi technikę. Nigdy jej nie lekceważ – nawet na sekundę. Jako przyjaciel, nie mogę ci dać teraz lepszej rady.

– Dziękuję wam, komendancie. – Moon wyprostowała ramiona, starając się ukryć strach. – Ale nawet to mnie nie powstrzyma. – *Bo najważniejsze w tym wszystkim są mery.*

PalaThion zaczęła się odwracać, zerknęła na swych ludzi i zawahała się.

– Wasza Wysokość. – Znowu spojrzała na Moon i zaczęła mówić miękko, niemal niesłyszalnie. – Wierzę w to, co chcesz uczynić. Wierzę, że jest to słuszne. Nie chcę, by cokolwiek temu przeszkodziło. – Zdawała się zbliżać, choć nie zrobiła żadnego ruchu. – Pragnę nawet pomóc ci, by to się stało – powiedziała nieśmiało. – Proponuję ci... proponuję moje usługi, wiedzę, doświadczenie, resztę mego życia, o ile je zechcesz. Jeśli tylko pozwolisz mi używać tego wszystkiego w celu, w który będę wierzyła.

Moon poczuła, jak gotowość PalaThion wznosi się coraz wyżej, dalej, głębiej, wykracza poza to, o co prosiła.

– Chcesz... chcesz tu zostać? Na Tiamat? – Jej szept brzmiał głupawo, nie po królewsku. Sparks przyglądał się ze zdumieniem.

Ale zapatrzona w swoją wizję PalaThion niczego nie widziała, niczego nie słyszała.

– Nie na Tiamat takim jak teraz, ale takim, jakim może być. – Jej ciemne, skośne oczy pytały, prosiły, obiecywały.

– Jesteś komendantem policji – pięścią Hegemonii... Dlaczego? – Moon pokręciła głową, pewna szczerości PalaThion starała się ustawić na nowo sypiący się piasek rzeczywistości.

– Nastąpiła pora zmian – padła prosta odpowiedź.

– To za mało. – Sparks przechylił się przez barierkę. – Nie wystarczy tego, jeśli chcesz resztę swego życia spędzić na wtrącaniu się w nasze.

PalaThion potarła twarz.

– A ile wystarczy? Jakiej gwarancji żądałam od ciebie, Dawntreader?

Odwrocił wzrok, nic nie odpowiadając.

– Nie wystarczy całego mego życia, bym ci powiedziała, co wywołało we mnie zmianę. Ale uwierz mi, miałam powody – zwróciła się do Moon.

– Jeśli zmienicie zdanie, całe swe życie spędzicie tu na żałowaniu. Jesteście sobie pewna?

– Nie. – PalaThion spojrzała znowu na pozaziemców oczekujących na podwyższeniu, odległych o lata świetlne od świata, na którym stała. – Tak! Co, u diabła, mam do stracenia? Tak. – Uśmiechnęła się wreszcie.

– To zostań. – Moon uśmiechnęła się także. *Jeśli ten świat zmienił ciebie, to może zmienić się i sam... możemy go zmienić... ja mogę.* – Potrzebuję wszystkiego, co możecie mi dać, komendancie...

– Jerusho.

– Jerusho. – Moon wyciągnęła dłoń; PalaThion chwyciła ją za nadgarstek, zgodnie z miejscowym zwyczajem.

– Nie uwolnię się od tego – PalaThion wskazała na swój mundur – póki nie odleci stąd ostatni statek; ale także nikt z was. Potem skończę z Hegemonią, całym sercem będę mogła zwrócić się ku przyszłości.

Moon kiwnęła głową.

– A teraz, Wasza Wysokość, jeśli pozwolicie, opuszczę was. Póki jeszcze mam siły zmienić stare błędy na nowe. Chcę także powiedzieć parę ważnych rzeczy człowiekowi, który nie potrafi mówić za siebie.

Moon kiwnęła z roztargnieniem głową i patrzyła, jak Jerusha wraca samotnie przez pustą przestrzeń w szeregi pozaziemców. Gdy tylko zniknęła na podwyższeniu, głośno oznajmiła o zakończeniu uroczystości, Święta, Zimy... ale zaledwie początku Zmiany.

Zimny zmierzch wleciał na skrzydłach wiatru między ziejące pustką nabrzeża i magazyny podbrzusza miasta, gdzie równie chłodny świt był świadkiem, jak do Krwawnika przybyła Zmiana. Moon spacerowała ze Sparksem, ciągnąc za sobą dyskretną eskortę, wsłuchując się w skrzypienia i wzdychania niespokojnych statków, odległe, odbijające się echem głosy ich znużonych załóg. Kłębówisko zimackich i letniackich okrętów, które niedawno wypełniały każdy wolny skrawek powierzchni wody, zmniejszyło się już o połowę, obie grupy zaczęły opuszczać miasto.

Letniacy niedługo powrócą; Zmiana była dla nich znakiem rozpoczęcia przenoszenia się na północ, opuszczania regionów równikowych i wypełniania luk pomiędzy siedzibami Zimaków. W miarę zbliżania się Tiamat do Czarnych Wrót i wzmagania się aktywności słońc Bliźniąt, niskie szerokości geograficzne stawały się niezdatne do zamieszkiwania. Zmieniało się tam także morze, obecnie zasiedlające go formy życia chroniły się w głębinach lub na wyższych szerokościach, zmuszając do tego samego ludzi.

Zimacy będą musieli podzielić się z Letniakami rozrzuconymi wyspami i szerokimi przestworami oceanu, które dotąd należały tylko do nich, podobnie jak nowym, trudniejszym życiem, pozbawionym wsparcia pozaziemców. Szlachta zacznie opuszczać miasto i uczyć się od nowa prowadzenia własnych plantacji, które do tej pory były przeważnie jedynie terenami Łowów; zacznie przekształcać je w podstawę zapewniającą zachowanie cennej równowagi życia pozostawionego im przez pozaziemców.

A w samym środku tego cyklicznego chaosu ona, Moon, ma zapoczątkować nowy ład.

– Myślałam kiedyś, że gdy tylko dostanę się do Krwawnika, skończą się wszystkie moje kłopoty. Ale wtedy dopiero się zaczęły. – Ich smutne oddechy zamarzały w powietrzu. Nawet teraz,

gdy spacerowali razem, kojeni obecnością morza, czuła, jak brzemień przyszłości przygniatają równie mocno, jak wiszący w górze ciężar miasta. Oparła się na poszarzałej od starości barierce, spojrzała na chłodną, zielonoczną wodę. Obok pochylił się milczący od rana Sparks; starał się czynić jak najlepiej to, czego nie mógł zmienić – a zmiany przyjmować jednakowo, tak samo traktować tych, którzy na nich zyskiwali i tracili.

– Masz teraz sojuszników. Będzie ich coraz więcej. Nie będziesz musiała dźwigać wszystkiego sama. Zawsze znajdą się przy tobie. – W jego głos wkradła się nuta smutku, lekko się odsunął. Wszyscy ludzie, na których będzie musiała opierać się Moon, wiedzieli, kim był, i choćby nawet przestali go już za to nienawidzić, samą swą obecnością będą mu o tym przypominać i zmuszać do nienawidzenia siebie. – Nikt nie może panować zupełnie samotnie... nawet Arienrhod.

– Nie jestem Arienrhod! – Urwała, zrozumiałwszy, że nie o to mu chodziło, lecz było już za późno. – Myślałam, że...

– Nie.

– Wiem. – Ale wiedziała też, że jakaś jego część będzie zawsze widziała w niej Arienrhod, że ta nigdy go tu nie opuści; że będzie zawsze tkwić w mieście, powodując, że zaczną unikać swych oczu. Otarła z twarzy wieczorną rosę. Za odległym skrajem miasta dostrzegła na zachodzie pasek zanurzającego się w wodzie słońca, przypominającego gasnącą tęczę.

– Kiedy teraz ujrzymy znowu tęczę? Czy do końca życia nie zobaczymy żadnej?

W dole coś naruszyło powierzchnię wody, miękko wtrąciło się w ich słowa. Opuściwszy wzrok, Moon dostrzegła smukłą, cętkowaną głowę, unoszącą się na węzowatej szyi, by spojrzeć jej w oczy. Poczowała, jak wstrzymuje dech, usłyszała bezwiedny protest Sparksa...

– Nie!

– Sparks! – Chwyliła go za ramię, gdy odepchnął się od poręczy. – Poczekaj. Nie odchodź. – Przytrzymała go.

– Moon, co chcesz ze mną zrobić?

Nie odpowiedziała jednak, przyklękła tylko, pociągając go za sobą; paciorki, którymi wyszyty był jej cieniutki zielony szal, zachrobotwały o drewnianą powierzchnię nabrzeża. Wyciągała rękę, aż dotknęła ją ciemna sylwetka mera, dowodząc swej realności.

– Co tu robisz? – Samotny mer spojrzał na nią hebanowymi, nic nie wyrażającymi oczami, jakby sam nie znał odpowiedzi na jej pytanie. Nic jednak nie zrobił, by stąd odpłynąć, uderzając rytmicznie płetwami w zasłaną odpadkami wodę, tkwił przy brzegu basenu. Zaczął smutnie zawodzić, jego samotny głos powtarzał melodie zagubionego chóru. *Pieśni... dlaczego śpiewacie? Czy to coś więcej niż tylko pieśni! Czy mogą opowiedzieć o waszym celu, waszych obowiązkach, przyczynach istnienia tutaj, jeśli kiedyś zostaną zrozumiane!* Poczowała rodzące się podniecenie. Ngenet. Ngenet może pomóc jej się dowiedzieć. A jeśli ma rację, dowie się, jak ich uczyć...

Dostrzegła go wczoraj wśród tłumów, widziała na jego twarzy dumę i nadzieję, ale nie zdołała się do niego precyzyjnie. Zauważyła także, że z nie wybaczącymi wspomnieniami wpatruje się w tkwiącego przy niej Sparksa.

Trzymała mocno Sparksa za rękę, przewyciężając jego niepewny opór, zmuszała do patrzenia na wodę. Jęczał, jakby wsadziła mu dłoń do ognia. Mer patrzył nieodgadniętym wzrokiem to na nią, to na niego, nim powoli nie zanurzył się w ciemnej wodzie, nie próbując go dotknąć.

Moon puściła dłoń Sparksa, patrzyła, jak z własnej woli wychyla się nad wodę. Powoli cofnął rękę i przykląkł, przytrzymując się barierki.

Z tyłu dobiegły Moon zdumione pomruki letniackiej eskorty – wszechobecnych Goodventure, którzy niby trzymając się w tyle, przez cały dzień próbowali w rzeczywistości nią kierować.

Nastawiła ich do siebie wrogo, umyślnym niespełnieniem oczekiwań związanych z obrzędem, wiedziała też, że ze względu na pochodzenie od poprzedniej Królowej Lata mogą się w przyszłości okazać groźnymi przeciwnikami. Teraz znieubiła ich jeszcze bardziej za przeszkadzanie Sparksowi w pozostawaniu tylko z nią i rozpaczą. Zrozumiała wreszcie, iż zostanie Królową nie oznacza uzyskania absolutnej swobody, lecz przeciwnie – skończenie z nią.

– Morze nigdy nie zapomina. Ale wybacza, Sparkie. – Moon sięgnęła do jego włosów, wzięła między swe zimne, wilgotne ręce zziębniętą, mokrą od łez twarz ukochanego, poczuła, jak jego wstyd staje się dla niej jeszcze jedną mroźną drzazgą wątpliwości. – Wystarczy poczekać.

– Życie okaże się na to za krótkie! – Jego słowa były jak sztylet wbijany własnoręcznie w serce. Nigdy nie będzie należał tu ani do żadnego innego miejsca, póki nie zawrze pokoju z samym sobą.

– Och, Sparks, niech Morze zaświadczy, że masz me chętne serce, tylko ty, teraz i zawsze. – Mówiła z wyzwaniem słowa przysięgi; jedyne, które spełniały jej pragnienie spełnienia jego pragnień.

– Niech Morze zaświadczy... – powtórzył te słowa, uspokajając się przy tym, pozbywając swej siły, oporu.

– Sparks... dzień kończy się tutaj, choć nigdy w Krwawniku. Znajdźmy sobie na noc jakieś miejsce, w którym zdołasz zapomnieć, że jestem królową, gdzie ja to zdołam... – Obejrzała się przez ramię na grupę Goodventure. Ale co z jutrem? – Jutro wszystko zacznie zajmować swe miejsce. Jutro uwolnimy się od dzisiaj; tak będzie z każdym następnym dniem... – Odgarnęła włosy znad oczu, spojrzała znowu na ciemniejące wody, na których nie pozostał już żaden ślad z ofiary, o świcie złożonej Morzu. Morze odpoczywało, czyste w swej obojętności, tworzyło nieskazitelne zwierciadło odbijające gwiaździste oblicze powszechnej prawdy. W Krwawniku dziś nigdy się nie kończy... Czy naprawdę nadejdzie jutro? Widziała przyszłość umierającą pod ciemnymi wodami; przyszłość, jaka nigdy już nie nastąpi, jeśli tylko choć na chwilę zawiedzie, potknie się, osłabnie... przytknęła usta do jego ucha, szepnęła z mocą: – Sparkie, boję się.

Objął ją mocno i nic nie odpowiedział.



Jerusha stała w ognistej, piekielnej poświacie czerwono oświetlonego doku, pod olbrzymim parasolem wiszącego statku w kształcie monety. Ostatniego już, zabierającego resztę oficerów policji – ostatnich pozaziemców odlatujących z Tiamat. Przez poprzednie kilka dni statki Rady w gorączkowym pośpiechu przeniosły się na orbitę planety, gdzie dołączyły do innych, odbierających promy z najbardziej wytrwałymi handlarzami i wyczerpanymi uczestnikami Święta.

Cierpliwie znosiła remanenty, ciągle sprawdzanie i potwierdzanie danych z raportów i zapisów, chciała mieć pewność, że niczego nie pozostawiono, nie zapomniano zrobić czegoś ważnego, wszystko rozstrzygnięto i zamknięto. Na niej spoczywała odpowiedzialność za dopilnowanie, by wszelkie prace wykonano do końca, dokładnie. Czyniła to najlepiej, jak potrafiła, upewniała się, czy żaden policjant nie zostawił żadnego zasilacza, czy wszystko tu wyłączył, zabezpieczył. A przy tym cały czas wiedziała, w dziwnym podwójnym widzeniu, że jutro zacznie się starać odwrócić to wszystko, co właśnie robi dzisiaj.

*Ale, na bogów, niczego sobie nie ułatwię!* Wiedząc, że skoro już kończy zdradą swą karierę, która dotąd tyle dla niej znaczyła, nigdy nie zdoła zbudować nowego życia na nic nie wartym fundamencie. *Nic, co warte zdobycia, nie jest łatwe do osiągnięcia.* Odwróciła wzrok od załadunku różnorodnych towarów, od grupy niebieskich mundurów i pojemników tkwiących przy rampie towarowej statku monetowego. Statek, dok, cała tętniąca ruchem złożoność portu gwiazdowego przywodziła na myśl żywy organizm – wszystko, co symbolizował, a z czego rezygnowała. Nie za rok, za tydzień czy nawet za dzień – już za niecałą godzinę wszystko to zostawi za sobą, będzie przez to pozostawiona. Porzuca to wszystko... dla Krwawnika. A nim ostatni statek gwiazdny opuści przestrzeń wokół Tiamat, wyśle sygnał wysokiej częstotliwości, który zniszczy czułe mikroprocesory, od których zależało działanie dosłownie każdego urządzenia. Całe chomikowanie gromadzących zakazane sprzęty pójdzie na mamę i Tiamat powróci na zerowy poziom techniki. Nagle przypomniała sobie widok wiatraka na samotnym wzgórzu, na plantacji Ngeneta Miroe. *Niezupełnie zerowy.* Przypomniała sobie też, że wtedy nie miała pojęcia, jaki może być z niego pożytek. *Nikt nie jest równie ślepy jak ten, który nie chce widzieć.* Uśmiechnęła się nagle.

– Pani komendant?

Wróciła oczyma do przestrzeni wokół siebie, spodziewając się kolejnej prośby czy potwierdzenia.

– Tak, słucham – Gundhalinu! – Zasalutował. Uśmiechem rozświetlał wychudzoną twarz, mundur wisiał na nim, jakby go od kogoś pożyczył.

– Co, u diabła, tu robicie? Powinniście być...

– Przyszedłem się pożegnać, pani komendant.

Urwała, odłożyła sterownik komputera na prowizoryczne biurko, stojące w pustym doku załadowczym.

– Och.

– KerlaTinde powiedział mi, że... że pani rezygnuje, że zamierza pozostać na Tiamat? – Mówił z nutą zdumienia, jakby spodziewał się, iż zaprzeczy.

– To prawda – przytaknęła. – Zostaję tu.

– Dlaczego? Przez przeniesienie? O tym też słyszałem. – Teraz mówił ze złością. – Nikt tego nie lubi, pani komendant.

*Znam paru, którzy bardzo by się ucieszyli.*

– Tylko częściowo z tego powodu. – Skrzywiła się na myśl, że cała policja plotkuje o jej

rezygnacji, niby starcy na rynku miasteczka. Zdecydowawszy, że nie ma co się skarżyć, nie okazywała gniewu, nie była jednak w stanie ukryć przed innymi faktu swego poniżenia. Odmawiała też wszystkim rozmów na temat swej decyzji czy rezygnacji – nie była pewna, czego się obawiała, że będą się starali namówić ją do zmiany zdania czy że nie będą.

– Czemu mi pani nie powiedziała? Przestała się krzywić.

– Na bogów, BZ, mieliście i tak za dużo własnych kłopotów, bym dokładała wam swoje.

– Gdyby mnie pani nie kryła, pani komendant, miałbym ich dwa razy więcej. – Zaciśnął zęby. – Wiem, że gdyby nie pani, nie miałbym prawa do noszenia tego munduru. Wiem, ile zawsze dla pani znaczył... o wiele więcej niż dla mnie, aż do teraz, bo nigdy nie musiałem o niego walczyć. A teraz się pani poddaje. – Spuścił wzrok. – Gdybym mógł, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, by pomóc w zmianie przydziału. Ale... – Popatrzył na swe dłonie. – Nie jestem już synem mego ojca. Inspektor Gundhalinu, tylko tyle mi zostało. Jestem po dziesięciokroć pani wdzięczny, że mam tak wiele. – Znowu na nią spojrzał. – Wszystkim, czym mogę pani za to podziękować, jest zapytanie, dlaczego tutaj? Dlaczego Tiamat? Nie winie pani za rezygnację, ale u diabła, jeśli pragnie pani rozpocząć nowe życie, każda planeta Hegemonii nadaje się do tego lepiej od tej. Przynajmniej można je opuścić, gdyby się pani nie spodobała.

Pokręciła głową z nikłym, zdecydowanym uśmiechem.

– Nie poddaję się łatwo, BZ. Nie zrobiłabym tego, gdybym nie znalazła sobie czegoś lepszego. I myślę, że jest tu coś takiego, choć może się to wam wydać nieprawdopodobne. – Rozejrzała się, utkwiała wzrok w szeregu wysokich okien wyglądających na pole, na pustą halę, w której Ngenet Miroe skrycie obserwował odlot Hegemonii, czekając na chwilę, w której Jerusha ostatecznie i nieodwołalnie stanie się częścią tego świata.

Zaskoczony Gundhalinu podążył oczyma za jej spojrzeniem.

– Zawsze nienawidziła pani tego świata, bardziej nawet niż ja. W imię dziesięciu tysięcy bogów, co mogła pani tu znaleźć...?

– Odtąd będę się klęła tylko na jednego. – Pokręciła głową. – I przypuszczalnie dla Niej będę pracować.

Patrzył z całkowitym zdumieniem, dopiero po chwili zaczął coś rozumieć.

– Ma pani na myśli... Królową Lata? Chodzi o Moon... pani i Moon?

– Zgadza się. – Kiwnęła głową. – Skąd wiecie; BZ? Że wygrała?

– Przyszła do szpitala i powiedziała mi. – Mówił to bezbarwnym głosem. – Widziałem maskę Królowej Lata. Była jak sen. – Poruszył dłońmi w powietrzu, dotykając nimi czegoś tkwiącego we wspomnieniach, zamknął oczy. – Był z nią Sparks.

– BZ, co będzie z tobą?

– Też mnie o to zapytała. – Otworzył oczy. – Mężczyzna bez tarczy jest bezbronny, komendancie. – Uśmiechnął się, nieśmiało, nikle. – Ale może jest bez niej swobodniejszy. Ten świat... ten świat o mało mnie nie złamał. Ale Moon dowiodła mi, że nawet ja mogę się nagiąć. We mnie, we wszechświecie jest więcej, niż podejrzewałem. Jest w nim miejsce na wszystkie marzenia, jakie miałem kiedykolwiek, na wszystkie koszmary... na bohaterów w rynsztoku i w lustrze; na świętych w mroźnym pustkowiu; na głupców i kłamców na tronie mądrości, na ręce wyciągające się z zachłannością, której nic nie zaspokoi... Nic nie jest możliwe, jeśli nie znajdziemy w sobie odwagi przyznania, że nic nie jest pewne. – Jego uśmiech skurczył się bezwiednie. Jerusha słuchała go w cichym zdumieniu.

– Komendancie, kiedyś patrzyłem na życie jak przez cięty kryształ – widziałem je ostro, dokładnie i doskonale. Fantazje trzymałem w kieszeniach, gdzie było ich miejsce. Ale teraz... –

Wzruszył ramionami. – Czyste, twarde krawędzie załamują światło w tęczę, wszystko staje się miękkie i zamglone. Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze zdołam patrzeć prosto. – W jego głos wkradła się nuta beznadziejności.

*Ale dzięki temu będziesz lepszym Sinym.* Jerusha widziała, jak przeszukuje oczyma połączenie posępnego pola, skupia je na najbliższym wejściu, jakby spodziewając się, że swym nowym wzrokiem zdoła po raz ostatni zerknąć na Moon.

– Nie, BZ. Nie ma jej tutaj. Nie może wchodzić do portu gwiazdowego.

Jego spojrzenie nagle się zaostriło i oczyściło.

– Tak jest. Znam prawo. – Ale tonem mówił, iż rozumie teraz, że nawet prawa przyrody nie są doskonałe; że prawo ludzkie jest równie ułomne, co tworzący je człowiek; że nawet on może pojąć, kim jest Moon i w czym ona, Jerusha, zamierza jej pomóc... że patrzy inaczej. – Może tak i lepiej. – Nawet temu nie wierzył.

– Zrobię, co tylko będę mogła, by się nią opiekować zamiast ciebie, BZ.

Roześmiał się wstydliwie, z odrobiną czułości.

– Wiem, komendancie. Ale czy jest w galaktyce siła mocniejsza od niej?

– Obojętność. – Sama Jerusha zdziwiła się tą odpowiedzią. – Obojętność, Gundhalinu, jest najpotężniejszą siłą we wszechświecie. Wszystko, czego tknie, staje się bez znaczenia. Miłość i nienawiść są wobec niej niczym. Dzięki niej zaniedbanie, gnienie i najstraszniejsze niesprawiedliwości przechodzą bez echa. Nie działa sama, tylko dopuszcza. To właśnie daje jej taką moc.

Powoli kiwnął głową.

– I może to dlatego ludzie chcą ufać Moon. Bo dla niej coś znaczą, tak jak wszystko; bo przy niej wiedzą, że znaczą coś dla siebie. – Wysunął przed siebie ręce, patrzył na szramy, które dopiero będą usunięte. – Dzięki niej zniknęły me blizny...

– Możesz zostać, BZ.

Pokręcił głową i opuścił dłonie.

– Był na to czas... ale już minął. Nie tylko moje życie się zmieniło. Nie należę już tu. Nie – westchnął – są dwa światy, których już pewnie nie zobaczę, wyjąwszy Tysiąclecie. Ten i mój własny.

– Kharemough?

Przysiadł niepewnie na stosie skrzynek.

– Mój lud zawsze dostrzeże me blizny, choćby całkowicie zginęły. Ale, u diabła, mogę wybierać między sześcioma innymi planetami. I kto wie, co znajdę, gdy na którąś trafię? – Ale oczy wróciły mu do pustego wejścia, szukały czegoś, czego nigdy już nie znajdą.

– Chwalebna karierę. – Pstryknęła w przełącznik na gardle, gdy nadajnik zaczął znowu buczeć.

Siedzący na skrzynkach Gundhalinu patrzył cierpliwie na załadunek ostatniej partii sprzętów, słuchał złożonego Jerushy ostatniego meldunku, potwierdzenia nadawanego do serca wiszącego statku. Stali obok siebie, gdy reszta ludzi zasalutowała jej po raz ostatni i złożyła niepewne życzenia pomyślności, nim zniknęła w luku towarowym.

Gundhalinu wskazał na nich.

– Nie wejdzie pani na pokład, by złożyć ostateczny raport?

Pokręciła głową, czując nagle, jak w tej chwili odszczepienia serce ściska jej bezlitosna dłoń.

– Nie. Nie potrafiłabym tego znieść. Gdybym teraz postawiła nogę na statku, to chyba nie zdołałabym już z niego wyjść, choćbym była nie wiem jak pewna, że mam rację. – Podała mu sterownik komputera. – Inspektorze Gundhalinu, możecie im za mnie powiedzieć, że wszystko w

porządku. I wzięcie to. – Znowu sięgnęła do swego kołnierza, odpięła oznaki komendanta i wręczyła mu. – Nie zgubcie ich. Pewnego dnia będą wam potrzebne.

– Dziękuję pani, komendancie. – Jego zmarszczki pociemniały, wywołując u niej uśmiech. Zdrową rękę zacisnął na metalowych blaszkach, jakby były cennym skarbem. – Mam nadzieję, że będę je nosił równie honorowo co pani. – Wysunął skaleczoną dłoń w instynktownym geście Kharemoughi; uściśnęła ją na pożegnanie.

– Żegnajcie, BZ. Oby bogowie uśmiechali się do was, dokądkolwiek polecicie.

– I do pani, komendancie. Oby pani po wielekroć pra-pra-wnuki czyły pani pamięć.

Spojrzała ku dalekim, ciemnym oknom, za którymi czekał Ngenet; uśmiechnęła się. Ciekawa była, co te prawnuki będą mogły powiedzieć, gdy pozaziemcy tu wrócą.

Gundhalinu z trudem wyprostował swe dochodzące do zdrowia ciało i zasalutował z doskonałą precyzją. Odpowiedziała tym samym – uczyniła ostatni salut w swej karierze, pożegnała nim dotychczasowe życie i galaktykę.

– Nie zapomnijcie zgasić świateł. – Zerknął ku windzie, w której czekał na niego ostatni policjant. Odwróciła się od tego plecami, winda wydała się jej otwartymi ustami nawołującymi ją i nazywającymi szaloną... Najszybciej jak mogła, niemal biegiem ruszyła do najbliższego wyjścia z pola.

Gdy weszła do opustoszałej sali, zastała czekającego na nią przy drzwiach Ngeneta. Stała obok niego przed ścianą ze zbrojonego szkła, razem patrzyli na płytę, na której tkwiła bezwładna masa jedyne go już statku w kształcie monety, samotnego w ogromnej, rudawej jamie, tak samo samotnego jak oni. Miroe spokojnie chwalił ją za umiejętności, zadawał niewinne pytania; mówił ściszym głosem, jakby uczestniczył w obrzędzie religijnym. Odpowiadała mu z roztargnieniem, ledwo słuchała, co oboje mówili.

Statek długo tkwił na swym stanowisku, ciągle nie mogła się doczekać spełnienia własnych oczekiwań. Pozwalała Ngenetowi śledzić w swych słuchawkach ostateczne wciąganie dźwigów i sprzętu, meldunki oficerów statku, dokonujących ostatnich sprawdzianów i kontroli.

– Jesteście bezpieczna, obywatelko PalaThion?

Jerusha wzdrygnęła się z zaskoczenia, gdy kapitan statku zwrócił się do niej bezpośrednio.

– Tak. Tak, jestem bezpieczna. – *Obywatelko*. Poczowała nieuzasadnione rozczarowanie. – Wszystko w porządku, kapitanie.

– Na pewno chcecie tu zostać?

Miroe spojrzał na nią z wyczekiwaniem.

Odetchnęła głęboko, kiwnęła głową... jakby po namyśle powiedziała:

– Tak, na pewno, kapitanie. Ale dziękuję za pytanie.

Jeszcze przez kilka sekund z drugiej strony dobiegały ich odgłosy życia, nim nadajnik umilkł całkowicie. Jerusha długo stała całkowicie nieruchomo, jakby wsłuchiwała się we własną śmierć, aż wreszcie zdjęła z głowy delikatną siatkę.

Pod sobą zobaczyła zapalające się i gasnące na kadłubie statku holograficzne światła zapłonu, usłyszała głuche ostrzeżenie. Patrzyła do bólu oczu, czekając na ruch.

– Patrz. Unoszą się.

Teraz i ona to zobaczyła, ujrzała, jak statek podnosi się z drzeniem – to włączyły się kraty odpychaczy portu gwiazdowego – i jak lekko zawirowało powietrze. Wzbijał się powoli ku otwierającej się jak kwiat części kopuły osłaniającej port gwiazdowy, pokazującej teraz nocne niebo przesłonięte rudawą poświatą pochłaniającą gwiazdy. Statek minął otwór, kierując się do mroków, w których gdzieś bardzo wysoko dołączy do karawany kilku innych spośród floty liczącej dziesiątki

jednostek. Stamtąd napęd jądrowy zanieś je do Czarnych Wrót. Przebędą je i nigdy za życia Jerushy nie wrócą na tę planetę.

Wysoko w górze kopuła zamknęła się znowu, przesłaniając gwiazdy.

Jerusha spojrzała w dół, na żarzącą się kratę płyty, na siebie, stojącą samotnie w tej ciemnej, pustej hali, tkwiącą tu niby porzucony mebel. *Och, bogowie...* Zasłoniła twarz rękoma i zachwiała się.

– Jerusho – Miroe podtrzymał ją z wahaniem. – Obiecuję ci, nie będziesz żałować.

Kiwnęła głową, ściskając mocno usta.

– Czuję się dobrze. Czy raczej poczuję za chwilę, gdy tylko odetchnę. – Opuściła dłoń, odpięła klamrę kurtki. – Jak każdy noworodek. – Uśmiechnęła się niepewnie do Ngeneta; podsycił jej uśmiech swoim, aż wreszcie się rozszerzył.

– Należysz tu, do Tiamat. Wiedziałem to od pierwszego z tobą spotkania. Musiałem jednak zaczekać, aż sama się o tym przekonasz... Myślałem już, że to nigdy nie nastąpi. – Nagle się zakłopotał.

– Czemu nie powiedziałaś mi czegoś, cokolwiek, bym łatwiej zrozumiała? – głos zaostrzył się jej niemal w rozdrażnieniu.

– Próbowałem! Bogowie, jak bardzo próbowałem. – Potrząsnął głową. – Ale się bałem, że powiesz mi "nie".

– A ja się bałam, że powiem ci "tak". – Znowu wyjrzała przez okno. – Ale należałam także do tego portu gwiazdowego. Jak i ty... – Z westchnieniem wróciła wzrokiem do Ngeneta. – Skończyło się to już dla nas obojga, Miroe. Lepiej stąd wyjdźmy, nim zamkną nas tu jak w grobie.

Uśmiechnął się lekko.

– To krok we właściwym kierunku. Tak właśnie zabierzemy się do wszystkiego – krok po kroku. – Znowu spoważniał. – Gdy tylko będziesz gotowa.

– Nigdy nie będę bardziej niż teraz, Miroe. Cokolwiek nastąpi. – Stwierdziła, że wraca do niej podniecenie i odwaga. – Zaczyna się robić ciekawie. – Poczwała, jak jej twarz rozgrzewa się pod jego dotykiem. – Czy wiesz, Miroe – roześmiała się nagle – że wśród moich rodaków życzenie "Obyś żył w ciekawych czasach" nie jest bynajmniej błogosławieństwem?

Uśmiechnął się, a zaraz potem roześmiał i oboje ruszyli do wyjścia z opuszczonych sal – wracali do Krwawnika, do domu.

# Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Prolog. 4](#)

[1. 7](#)

[2. 18](#)

[3. 24](#)

[4. 29](#)

[5. 40](#)

[6. 57](#)

[7. 60](#)

[8. 67](#)

[9. 72](#)

[10. 76](#)

[11. 79](#)

[12. 93](#)

[13. 98](#)

[14. 102](#)

[15. 107](#)

[16. 113](#)

[17. 119](#)

[18. 128](#)

[19. 142](#)

[20. 154](#)

[21. 174](#)

[22. 179](#)

[23. 188](#)

[24. 191](#)

[26. 199](#)

[27. 206](#)

[28. 213](#)

[29. 219](#)

[30. 224](#)

[31. 231](#)

[32. 243](#)

[33. 246](#)

[34. 270](#)

[35. 275](#)

[36. 292](#)

[37. 299](#)

[38. 301](#)

[39. 307](#)

[40. 319](#)

[41. 322](#)

[42. 331](#)

[43. 340](#)

[44. 343](#)

[45. 349](#)

[46. 355](#)

[47. 362](#)

[48. 365](#)

[49. 372](#)

[50. 379](#)

[51. 385](#)

[52. 393](#)

[53. 396](#)

[54. 403](#)

[55. 413](#)

[56. 423](#)